JLLUSTROWANE DZIEJE LITERATURY POLSKIEJ

PRZEZ
Dr HENRYKA BIEGELEISENA

WIEDEŃ NAKŁADEM FRANCISZKA BONDY



ILLUSTROWANE

DZIEJE LITERATURY POLSKIEJ

PRZEZ

DRA. HENRYKA BIEGELEISENA.

LITERATURA ŚREDNIOWIECZNA.

OKRES PIASTOWSKI.





TOM PIERWSZY.

W TOMIE TYM ZNAJDUJE SIĘ PRZESZŁO 202 ILLUSTRACYJ i 38 KARTONÓW.

WIEDEŃ.
NAKŁADEM FRANCISZKA BONDEGO.


LIBRARY
OCT
18
1990
UNIVERSITY
OF TO



SPIS RZECZY.



SPIS TABLIC.

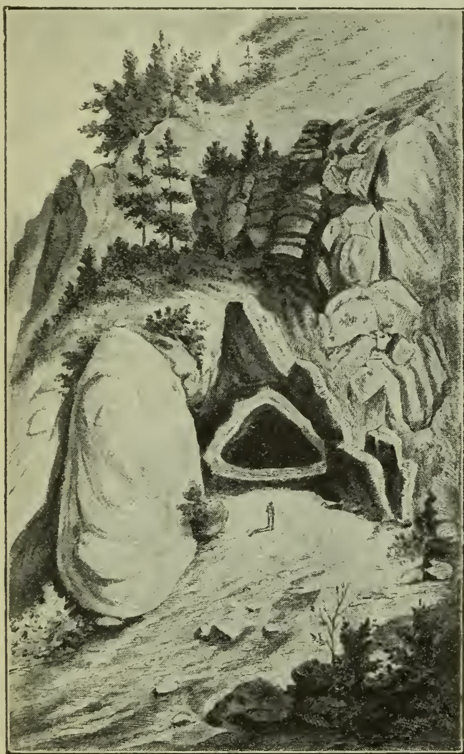


ROZDZIAŁ PIERWSZY.

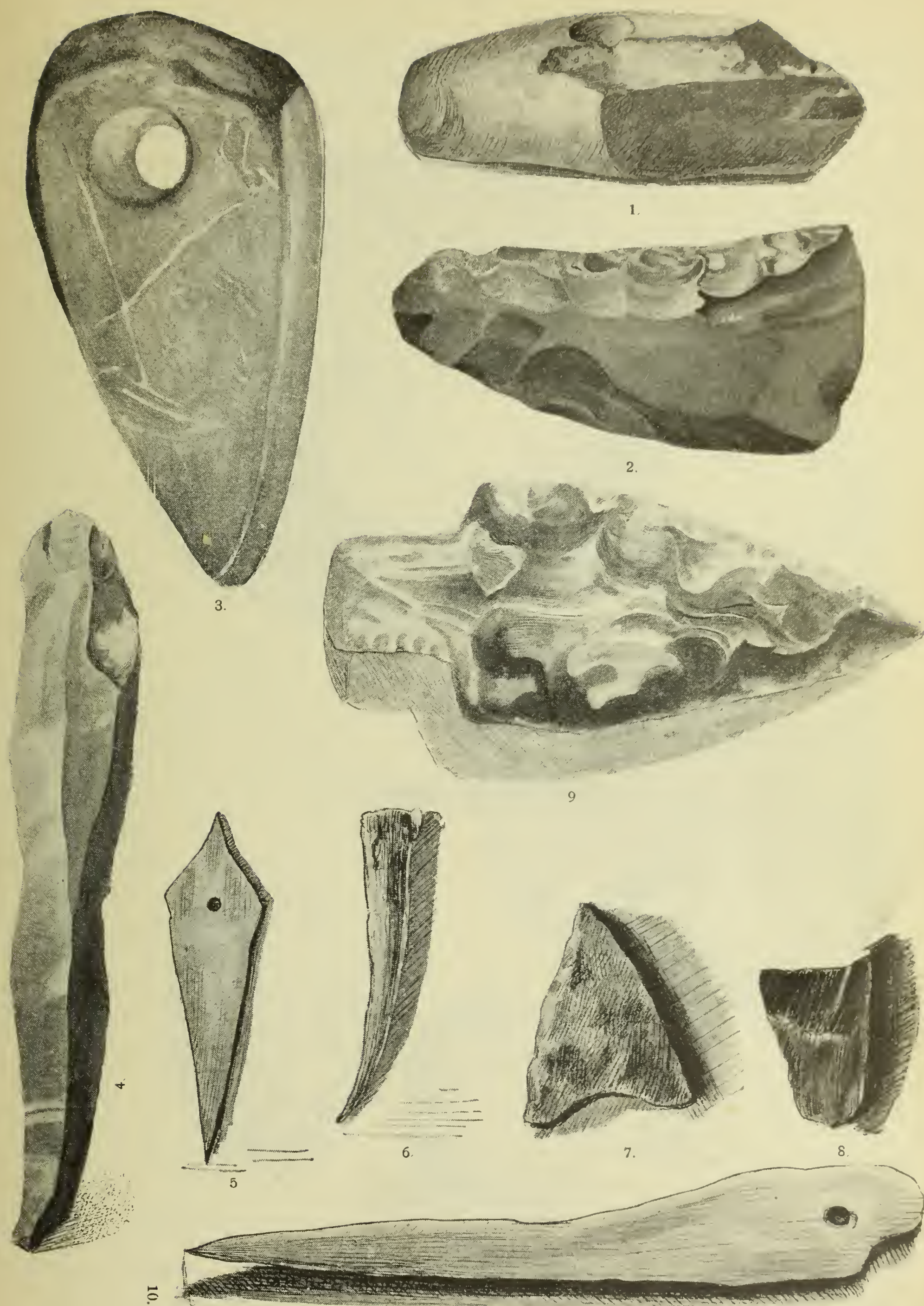
PIERWOTNE SPOŁECZEŃSTWO POLSKIE.

W błyszczących okazałością podzwrotnikowej flory obszarach Afryki i Australii mieszkają ludy tak zwane dzikie, które po dziś dzień zachowały dawne instytucye i obyczaje jakby od wieków skrystalizowane. Z tej żywej stronicy dziejów kultury możemy, używając niektórych wskazówek z szczątków prastarej naszej cywilizacyi czerpanych, wynieść wyobrażenie o tem, jakim był stan ludu polskiego, zanim się, jeszcze podniósł do poziomu znaczenia historycznego, zanim przybrał wyraźne kształty politycznej organizacyi. W tym względzie dużą odgrywają rolę wykopaliska. Mają one taką ważność w dochodzeniu pierwotnych form kulturalnych, jak skamieniałości w świecie fizycznym. — Do najstarszych zabytków, na których dłoń pierwotnego człowieka wycisnęła swe ślady, należą u nas: jaskinie, pieczary, jamy. Niektóre z nich zadziwiają obszernością. Kilka korytarzy i sal dużych ciągnie się wzdłuż pod ziemią, wnętrze zazwyczaj wypełnione stalaktytami, spływającymi w lśniących słupach od wierzchołka ku podstawie. Tutaj pierwotny człowiek założył swe siedziby, które miały go chronić od niestałej aury, tutaj szukał schronienia przed rozjuszonem zwierzęciem lub dzikim najezdnikiem. W owych ciemnych, głuchych siedliskach gotował przedmioty, służące do opędzania nielicznych jeszcze potrzeb. To też niejednokrotnie wydobywają stamtąd szczęśliwie do dni naszych zachowane świadectwa pracy pierwotnego człowieka, w postaci czy to sprzętów domowych, czy oręża, czy też ozdób. Z początku osiedlali się nasi przodkowie na brzegach nadrzecznych. Trudnili się zazwyczaj rybołowstwem, albo gonili za zwierzyną z oszczepem i łukiem, z którego puszczali kamienie, a potem strzały zakończone krzemiennym bełtem. Kamienne skrobacze były pewnie używane do czyszczenia skór, któremi okrywali

ciało. Tak się przedstawia pierwsza stronica kultury naszej ziemi, te są pierwsze brzaski naszej cywilizacyi. Szczupłe mamy wiadomości o tym pierwotnym okresie, zatopionym głęboko w pomroce zamierzchłej epoki. Napróżno ich szukać w księgach naszych kronik, niema ich śladu w podaniach, ani w najstarszych pieśniach; jedynie z wykopalisk wydobywają nieco światła. Poszukiwania czynione w tym kierunku wykryły dotąd szkielety ludzkie, kości mamuta, niedźwiedzia, łosia i tym podobnych zwierząt, a nadto narzędzia z krzemienia łupanego i gładzonego. Lud nasz, oddawna używając żelaza, nie wie jakie było przeznaczenie tych kamiennych przedmiotów. Znalazłszy je przypadkiem, obwija nitkami własnej wyobraźni, dziwnej i prostej, objaśnia w powieściach fantastycznych. O kościach zwierząt kopalnych sądzi, że pochodzą z olbrzymów, że są zachowanymi po nich szczątkami. Wielka brama katedry krakowskiej była zewnętrz ozdobiona kośćmi zwierząt «przedpotopowych». Znajdowała się tu piszczel udowa mamuta, kość czaszkowa nosorożca i tym podobne. Miał je nawet prof. astronomii dr. Dunczewski za «kości wykopane gigantów czyli olbrzymów». Takie kości widać i w kościele OO. Bernardynów na Kalwaryi, «z olbrzyma żebro wielkie». Opowiadają w okolicy Ostrołęki nad Narwią, gdzie przed laty kilkudziesięciu wykopano ogromne kości przedpotopowych zwierząt, że miały tam mieszkać wielkoludy. Z sufitu farnego kościoła w Wieluniu zwieszała się połowa zęba mastodonta, przymocowana na łańcuchu, druga zaś połowa wielkości pięści spoczywała w futrynie okna. Na ścianie widniał czerwony napis, pouczający, że to: ząb wielkoluda. Żyje nawet śród ludu przypowieść, dotycząca kości z «porониętego» wielkoluda, zawieszonej w kruchcie na Wawelu. Podług tej przepowiedni ma z kości co roku opadać na ziemię kawałek tak wielki jak ziarnko. Skoro ostatnie źdźbło spocznie na zimnej płycie kruchtowej podłogi, nastąpi koniec świata. Badawcza myśl ludzka, acz światłem nauki nie ogrzana, mocą silnie zakorzenionego popędu, pragnie sobie zdawać sprawę z każdej, często niewiele lub nawet nic nie znaczącej rzeczy. I umysły barbarzyńców nie były z pod tego ogólnego prawa wyjęte. Rzeczy lub zjawiska niewytłumaczone, ale z jakichkolwiekbądź względów budzące uczucia tajemniczości, narzucały się gwałtownie wyobraźni pierwotnego człowieka; słabo rozwinięty umysł tłumaczył je sobie, ile to było w jego mocy. Anatomia porównawcza prosto i wyraźnie objaśnia olbrzymie kości wykopane z ziemi. Ale



1. Smocza jama pod Krakowem.

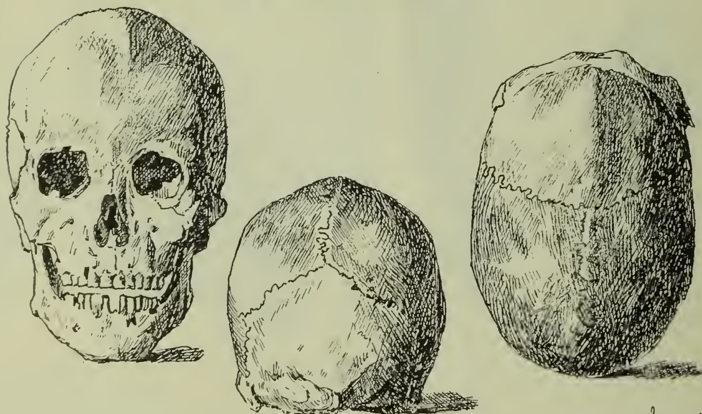


2—11. Wiek kamienny. Wykopaliska w Polsce.

1. Młot kamienny. 2. Siekiera bez otworu. 3. Siekiera z otworem. 4. Nóż krzemienny. 5, 6. Igły kościane. 7, 8. Groty do strzał. 9. Grot krzemienny. 10. Igła kościana.

pokąd nauka ta nie dawała jeszcze znaku życia, owe zagadkowe szczątki budziły w nierozwiniętych umysłach wyobrażenie o żyjących ongi na ziemi wielkoludach,

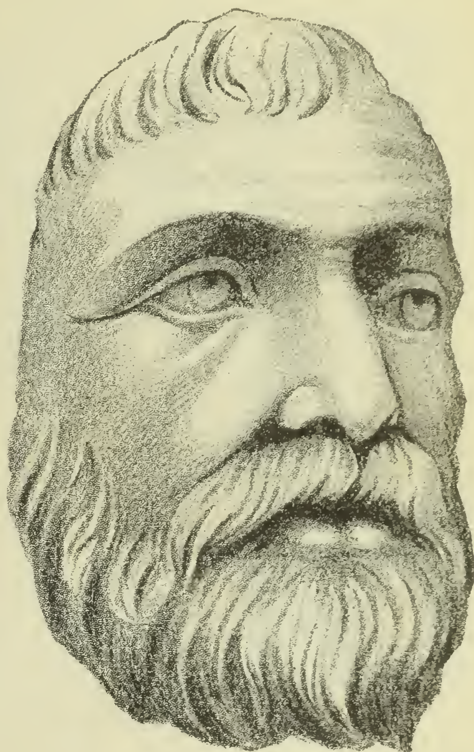




12, 13. Czaszki z czasów przedhistorycznych, wykopane na ziemiach dawnej Polski.

co ruchliwa fantazya ubarwiła w żywe kolory i ozdoby. Nauka nowożytna uznała je za kości olbrzymów, atoli nie praszczurów/człowieka; odniosła je do olbrzymów w państwie zwierzęcem, wytłumaczyła, że stanowiły części szkieletów dziś zaginio-

nych gatunków, jak kopalnego słonia, nosorożca i tym podobnych. Ale pokąd żywą była wiara w istnienie wielkoludów, zaludniano ją złotemi opowieściami, podawano sobie wzajemnie wzruszające historye o okropnych czynach, które, w porównaniu z tem, co było przed oczyma, budziły podziw i cześć dla niezwykłych bohaterów nadludzką obdarzonych władzą. Tak zresztą działo się nietylko u nas. Na obu półkulach długo trzymały się śród ludu opowiadania o tych «potworach». Plemiona zamieszkujące zachodnie stepy Ameryki północnej, opowiadają, że ich lasy dziewicze przebiegały niegdyś olbrzymie postaci nadludzkie. Szczątki, jakoby ułamki ich szkieletu, są tam często używane do praktyk w czasie uroczystości religijnych. Znane są powszechnie opowieści o potwornych zwierzętach. Zdaniem antropologów, dały im początek kości kopalne, których sobie inaczej nie potrafiono wytłumaczyć. I poetycka twórczość naszego ludu zastanawiała się często nad tymi szczątkami. Schodziła do ciemnych wykopalisk, opiewając tajemnicze potęgi natury w postaci olbrzymów nieokreślonych kształtow. Na Śląsku znajdują się góry Olbrzymiemi zwane. Nazwa ta pochodzi od olbrzymów, mających ongi zamieszkiwać góry i lasy tej okolicy. Między baśniami naszego ludu jest jedna, opowiadająca o braciach Waligórze i Wyrwidębie, którzy toczyli walkę ze smokiem. Pozostałość to dawnych podań ludu o olbrzymach. W każdej górze ukrywał się jakiś potwór. Na wzgórzu Wawelskiem pokazują dotąd jaskinię, którą obrał sobie za siedlisko straszliwy smok, ziejący ogniem i siarką. Dopiero waleczny Krakus zdołał uwolnić gród nadwiślański od nielitościwego potwora. Najstarsze o tem podanie mieści kronika mistrza Wincentego z wieku XIII.



14. Maska twarzowa, wykopana w Poznańskiem.

Z pomiędzy przedmiotów znalezionych w Królestwie polskiem przez Zawiszę, zwraca uwagę badacza amulet w kształcie serca, ozdobiony po obu stronach kilku nacięciami. Jest on wyciosany z kła mamutowego. Oto w jaki sposób możnaby wytłumaczyć znaczenie tego zabytku. Dzicy ludzie, sądząc, że w sercu spoczywa siedlisko życia, często wyrywali je z piersi pokonanego wroga, w przekonaniu, że ten najszlachetniejszy organ przeciwnika zleje na nich zdrój odwagi i męstwa. Nic więc dziwnego, że kształt ten nadawali amuletom i niby symbolem bohaterstwa zdobili nimi piersi. — Te i tym podobne wykopaliska świadczą nieodbicie, że człowiek czwartorzędnej epoki, zamieszkały w jaskiniach, ciosał kość mamuta i rogi innych zwierząt, przygotowując z nich przedmioty potrzeb codziennych lub ozdoby, podobnie jak to czynili troglodyci jaskiń odkrytych na zachodzie.

Podaję tu w podobiźnie wyobrażenie twarzy ludzkiej, które obok innych wykopalisk wydobył G. Ossowski z jaskini, znajdującej się w okolicach Krakowa. Na jednym brzegu kościanej blaszki, wyjętej z żebra bydlęcego, widnieje profil twarzy, wyrznięty nieumiejętną, ale staranną ręką. Nie duże miał ów rzeźbiarz jaskiniowy pojęcie o technice rysunku, ale celu swego dopiął, części twarzy uwydatnione są dość wyraźnie. Oblicze to zdaje się niewieście, podobne do dzisiejszych tak zwanych sylwetek, naprowadza na domysł, że zostało zdjęte nie z żywej twarzy, ale raczej z odbicia profilowego na cieniu. Pierwszy to pączek sennie jeszcze budzącego się u nas poczucia piękna samorodnego.



15. Sylwetka człowieka przedhistorycznego.

W jednej z jaskiń opodal Krakowa, znanej pod nazwą «kochanki», znaleziono wiele rzeźb kościanych, wyobrażających domowe i dzikie zwierzęta. Forma ich bardzo jeszcze pierwotna, ale ogólny zarys kształtów dowodzi, że ludzie tej epoki kamieni łupanych, dość już trafnie umieli naśladować naturę. Są to prawdopodobnie amulety. Niektóre z nich wyobrażają postacie ludzkie. Wyciosane z gruba uwydatniają jedynie główne kontury twarzy, zaledwo domyślnymi rysami zaznaczone. Może to bałwanki bożyszcz?

Stały, a przynajmniej dłużej trwający pobyt w pieczarze mówi o budzącej się potrzebie życia osiadłego. W ostatnich latach zwrócono baczniejszą uwagę na ten przedmiot. Poszukiwania na tej drodze okryły się bujnym owocem. Odkryto bowiem kilkadziesiąt pieczar, o których na podstawie niewątpliwych świadectw twierdzić można na pewno, że zamieszkiwali je ludzie pierwotni. Znalezione w nich zabytki przemysłu ludzkiego należy odnieść do wyższego już stopnia rozwoju kulturalnego.

Mieszkania grzebane w ziemi — zwane u nas od wieków ziemiankami — których szczątki dziś jeszcze istnieją pod postacią piwnic, stanowią przejściowe ogniwo od pieczar do właściwego domu.

Pomysłowość pierwotnego człowieka, podsunęła jeszcze inny sposób stałego zamieszkania, mianowicie domy nawodne. Wiele wskazówek przemawia za tem, że praojcowie nasi, przybywający do okolic bagnistych, często stawiali podobne budowle. Kiedy już nawet osiedli na lądzie stałym, nie przestali korzystać z owych domostw. Służyły one za spichrze, w których składano dobytek i żywność, a w razie grożącego niebezpieczeństwa zmieniały się w twierdze. Dwa są rodzaje tych budowli: palowy i pokładowy. W pierwszym wypadku wbijano pale w dno wody, w drugim kładziono pnie drzew jeden na drugim, aż do powierzchni wody, naścielano je potem choiną, mchem, ubijaną ziemią i na niej wznoszono lepianki.

W Czeczewie, wsi niegdyś Karola Libelta, położonej w Wielkopolsce, znaleziono szczątki mieszkań palowych; rodzaj pokładowy odkryto w Kwaczale, w pobliżu Krakowa. Żywo przypominają one podobne budowle, stawiane przez dzikie ludy Nowej Zelandyi. Opisywał je już Herodot w V. wieku przed Chrystusem. W podaniach

naszego ludu można odnaleść liczne wzmianki o tych pierwotnych praojców naszych domostwach. Na Kujawach żyje opowieść o możnym panie, którego kara boska dosięgła za zmuszanie ludzi do pracy w świąteczne dni odpoczynku, z rozkazania bożego zapadł się dom jego w głębie jeziora. Baśń ludowa stroi budowle podwodne w cudowne arabeski. W brzasku doby historycznej przodkowie nasi budowali obronne grodziska na jeziorach, w pobliżu łąk obfitujących w wodę i trzcinę. Na takiem wzgórzu maluje się posępnie tak zwana Mysza wieża, ruiny warownego niegdyś zamku. Wieża ta widnieje po nad prastarym grodem Kruszwicą, mając u podnóża szumiące fale



16—26. Bożyszcza (amulety) i zwierzęta z czasów przedhistorycznych.

dziejowego Gopła, które się ongi łączyło z Wartą i Wisłą. Opodal Gniezna, na jeziorze lednickiem zielenią się przykryte mchami i chwastem zwaliska zamku na Ostrowie. Okolice te, to kolebka dziejów naszych, tu bowiem pierwsi Piastowicze mieli swą siedzibę.

Ziemianki, podobnie jak większa część mieszkań nawodnych, należą do okresów metalicznych: bronzowego i żelaznego.

Człowiek pierwotny wyobrażał sobie świat zagrobowy na podobieństwo tego, który miał przed oczyma, dlatego starał się, aby zmarłym nie gorzej było w wieczności, jak w życiu domowem. Stawiał mu też mieszkanie takie, w jakiem zwykł przebywać za życia. W ten sposób należy tłumaczyć grzebanie ciał w ziemi; zwyczaj

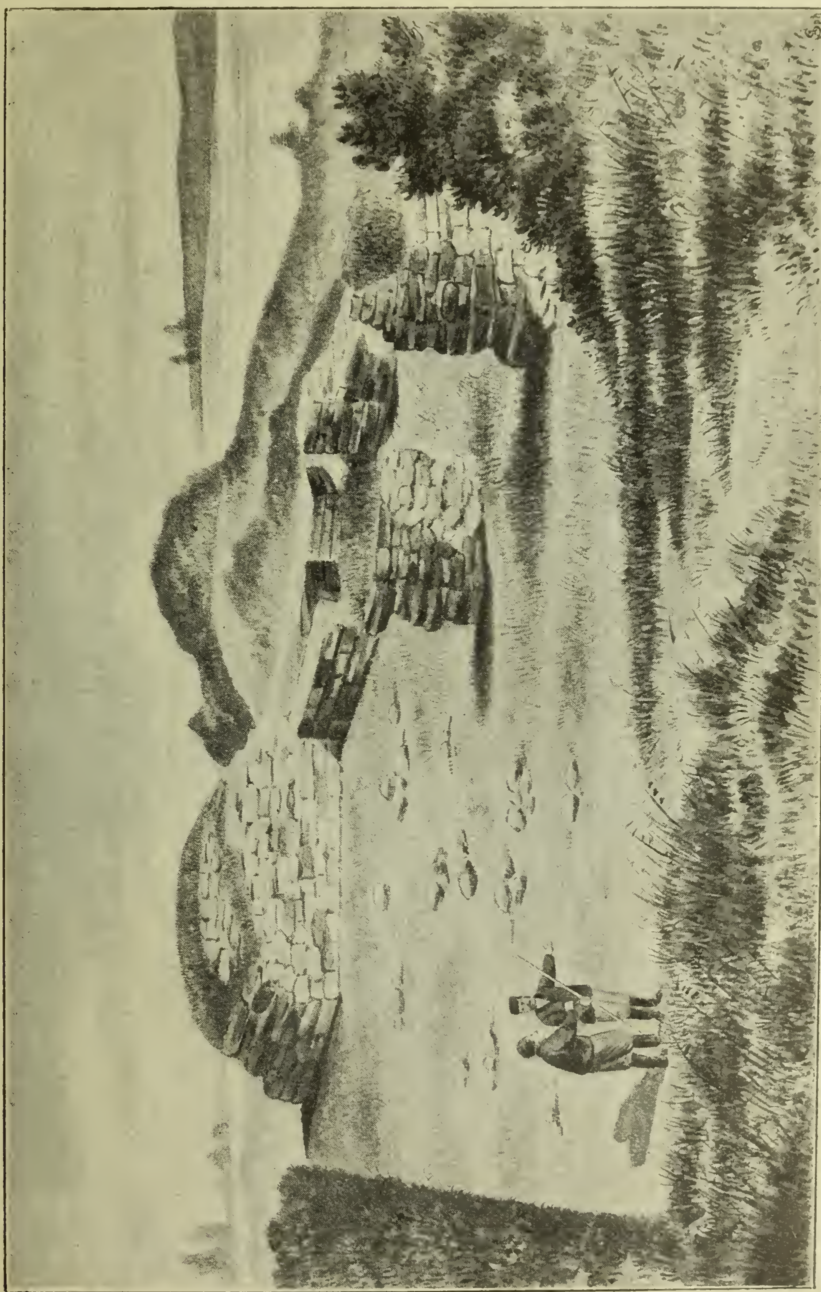


27. Wieża kruszwicka.



Popielnice twarzowe z napisami.

ten powstał w epoce ziemianek. Dziki błąkający się bez przytułku po lasach, rzuca «ciała nieboszczyków na pastwę psom i ptakom drapieżnym» jak powiada pieśń home-



28. Ruiny grodu legnickiego.

rowska; ten co ma swoją siedzibę na drzewach, zawiesza umarłych na gałęzi, budujący domy murowane wznosi dla nich kaplice.

W śledzeniu pierwszych kroków pochodu cywilizacyi jest coś podobnego do obserwacyi płochliwej zwierzyny. Jak przyrodnik śledząc taki okaz, skupia troskliwie uwagę na każde poruszenie w puszczy, podobnie archeolog musi pracowicie odszukiwać i badać nieliczne ślady dzikiego mieszkańca ziemi, jeżeli chce pochwycić prawdziwy obraz zamierzchłych dziejów jego bytu. W braku świadectw piśmiennych na własnym gruncie, posiada on wyborne narzędzie pomocnicze i sprawdzian w etnonologii dzikich ludów dziś jeszcze żyjących. Są to żywe karty pierwotnej kultury. Widząc naprzykład cześć, jaką dzicy żywią dla duchów umarłych i bojaźń, jaką wobec nich czują, możemy łatwo zrozumieć, dlaczego przodkowie nasi taką troską otaczali umarłych.

Zabytki cmentarzysk przedhistorycznych zadziwiają ogromem pracy, użytej gwoli mniemanej wygody pogrzebionych nieboszczyków. Najbardziej godnymi uwagi są kopce, sypane z ziemi lub z kamienia. Bujne dokoła nich rozkwitły legendy i baśnie. Niektóre



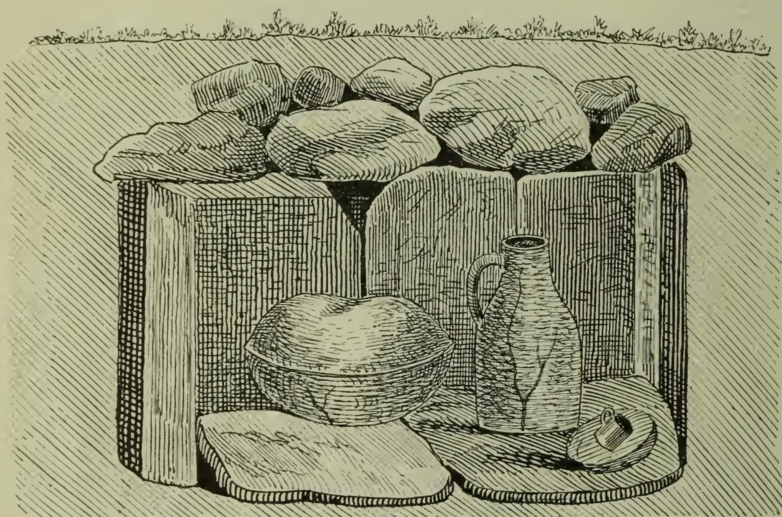
29. Mogiła Wandy pod Krakowem.

z kurhanów sięgają może okresu kamiennego, inne powstały już niemal w czasach historycznych. Mogiły służyły za wyraz czci, składanej bohaterom, i wtedy przybierały niezwykłe rozmiary. Takiemi są kopce Krakusa i Wandy. Ku pamięci zwyczajnych ludzi, wznoszono choćby malutkie mogiły. Pierwsze były zazwyczaj dziełem rąk całej ludności, drugie sypała osierocona rodzina, której obowiązek nakazywał pieczę o duchu zmarłego. Winna ona była dbać, iżby umarły po śmierci nie tułał się po świecie bez schroniska, lecz spoczął spokojnie i w godnym przybytku. Brak mogiły uważano za większą karę aniżeli skazanie na śmierć, towarzyszyło bowiem wtedy nieboszczykowi przekleństwo i w jego tułaczce pozagrobowej. To też do niedawna jeszcze skazanych na karę śmierci chowano bez mogiły. W Grecyi utrzymał się zwyczaj, że pamięci tego, kto zginął bez wieści, wznoszono grób próżny — może więc sypanie mogiły, pod którą nikt nie leżał, było i u nas w zwyczaju, wszak i dziś jeszcze sypią ludzie mogiły dla pamięci. Kopiec Unii lubelskiej we Lwowie zawdzięcza temu, do dziś zachowanemu zwyczajowi, swój początek.



30. Grobowiec pogański.

Ze sposobu budowania grobów wnosić można o głębokim pietyzmie, z jakim ludność przedhistoryczna grzebała szczątki drogich jej osób. Nie żałowano trudów, byle pamięć zmarłych uczcić wzniesieniem trwałych pomników. W liczbie tych pierwotnych grobów spotykamy, oprócz mogił sypanych z ziemi, także kopce z bryłowatych kamieni, pod którymi kryły się izby, zbudowane z dużych kamieni, w czworobok. Musiały być wznoszone w głębokiej starożytności, jak na to wskazuje sposób budowania gruby i niezgrabny. Później nadawano im kształt skrzynek; składały się zazwyczaj z czterech płyt tworzących czworobok i przykrytych piątą płytą, jakby wiekiem owej skrzyni. Oba te rodzaje zabytków są grobowiskami zbiorowemi całopalnych szczątków ludzkich. Że u nas za czasów pogańskich było w użyciu i palenie i grzebanie zwłok, stwierdzają to nietylko świadectwa historyczne, ale przedewszystkiem same groby; w niektórych bowiem znachodzono całe szkielety, inne mieściły jedynie popiół. Plemiona polskie, które mieszkały na pasie ziemi,



31. Naczynia znalezione w grobie przedhistorycznym.

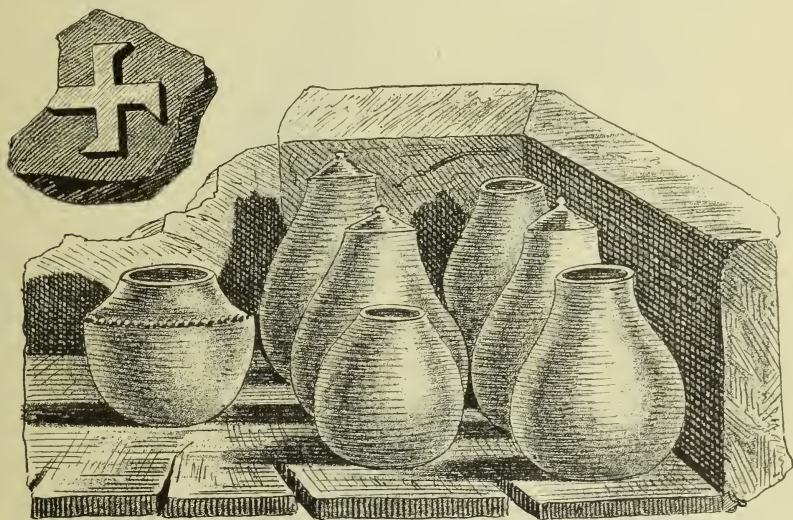
odgraniczającym północnych Słowian od południowych, zajęły pośrednie miejsce i pod względem religijnym; pogrzeb odbywał się przez grzebanie i palenie ciał. Popiół i niedopalone kości nieboszczyków zsypywano do naczyń glinianych czyli popielnic, a popielnice zakopywano w tak zwanych żalnikach.

Obok popielnic znachodzą także w grobach naczynia próżne, otwarte — zawierały one napój, dawany zwykle nieboszczykowi do grobu, i jadło, o czem świadczą różne kawałki kości i kostek, leżące zazwyczaj opodal szczątków umarłego. Nieboszczykowi dawano także do grobu broń, czasem nawet rozmaite narzędzia, jak siekierę, kamień do ostrzenia i t. p. czemby duch umarłego mógł się posługiwać w razie potrzeby; natrafić tam można także na ślad różnego rodzaju ozdób i zabawek. Zwyczaj raczenia nieboszczyków jadłem i napojem tak bujnie puścił korzenie w ludzie, że zachował się do niedawna w niektórych okolicach.

Na mogile zatykano zwyczajnie znak, po którym można było rozpoznać, kogo w niej pochowano. Trwalszym nad inne znaki było żywe drzewo, dlatego to naj-

częściej grzebano nieboszczyków pod drzewami. A ponieważ o umarłych sądzono to samo co o ludziach żywych, przypisując im naprzykład upodobanie w towarzystwie, mnożyły się przeto mogiły obok siebie. Pokrywały one czasem całe gaje lub znaczne przestrzenie ocienionych drzewami wiekowymi borów. Owe przybytki umarłych, inaczej uroczyskami zwane, pełne były dla żywych dziwnej tajemnicy, budziły cześć i bojaźń, czyniono z nich miejsca ofiar i modlitw, stawały się świątyniami. Urządzano je prawidłowo, ze ścisłem zachowaniem pewnych form ogólnie przyjętych i uświęconych odwiecznym zwyczajem. Tam również wyprawiano uczty, zabawy, igrzyska i tańce.

Przy rozkopywaniu starożytnych grobów kamiennych w ziemiach dawnej Polski, znachodzono często po siedm urn, ustawionych w szeregi. Musiała liczba siedm już wtedy posiadać znaczenie symboliczne, jak to dziś widzimy u ludu.

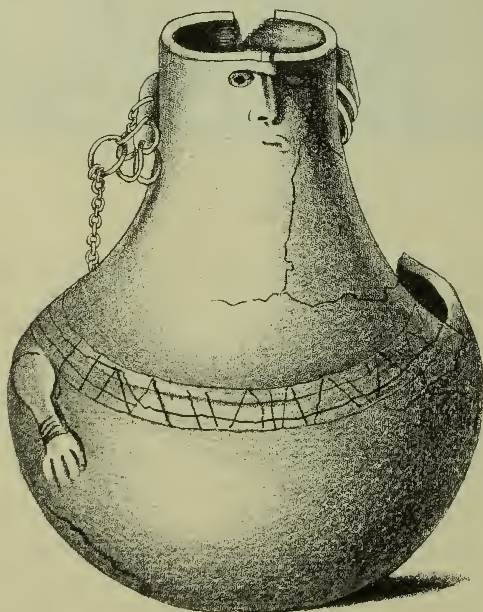


32. Siedm urn ze swastyką.

U wszystkich ras, które paląc umarłych, umieszczały pozostałe szczątki w popielnicach, przewodniczyła myśl, że niszcząc ciała podlegające zepsuciu, trzeba przynajmniej piopioły ich w trwalszej zachować osłonie. Tą osłoną, wyobrażającą ciało nieboszczyka jest właśnie popielnica, dlatego wszystkim jej częściom nadawano kształty ludzkie, głowę, szyję, stopy, brzuch i t. p., mające we wszystkich prawie językach nazwy ciała ludzkiego. Uwydatnienie to ciała ludzkiego na urnach było pierwotnie bardzo niewyraźne. Postęp w udoskonaleniu kształtów przejawiał się w zamianie stopy w nóżkę, w zwężeniu szyi i t. p. Słowem, w miarę rozwoju wyobrażeń estetycznych, popielnice z przysadzistych i pękatych, przekształcały się w smuklejsze, bardziej zbliżone do postaci ludzkiej. Wszystkie ludy, skoro tylko w ich umysłach zaczęła przyświecać myśl o nieśmiertelności duszy, uważały ciało za doczesne mieszkanie, więc ludowi przejętemu tem pojęciem potrzeba było najlżejszej pobudki, żeby popielnicę swą dodaniem jeszcze twarzy podniósł do znaczenia portretu nieboszczyka. I wśród naszych wykopalisk znajdują się tak zwane urny twarzowe, na których pierwotny artysta



33. Urna z napisem.

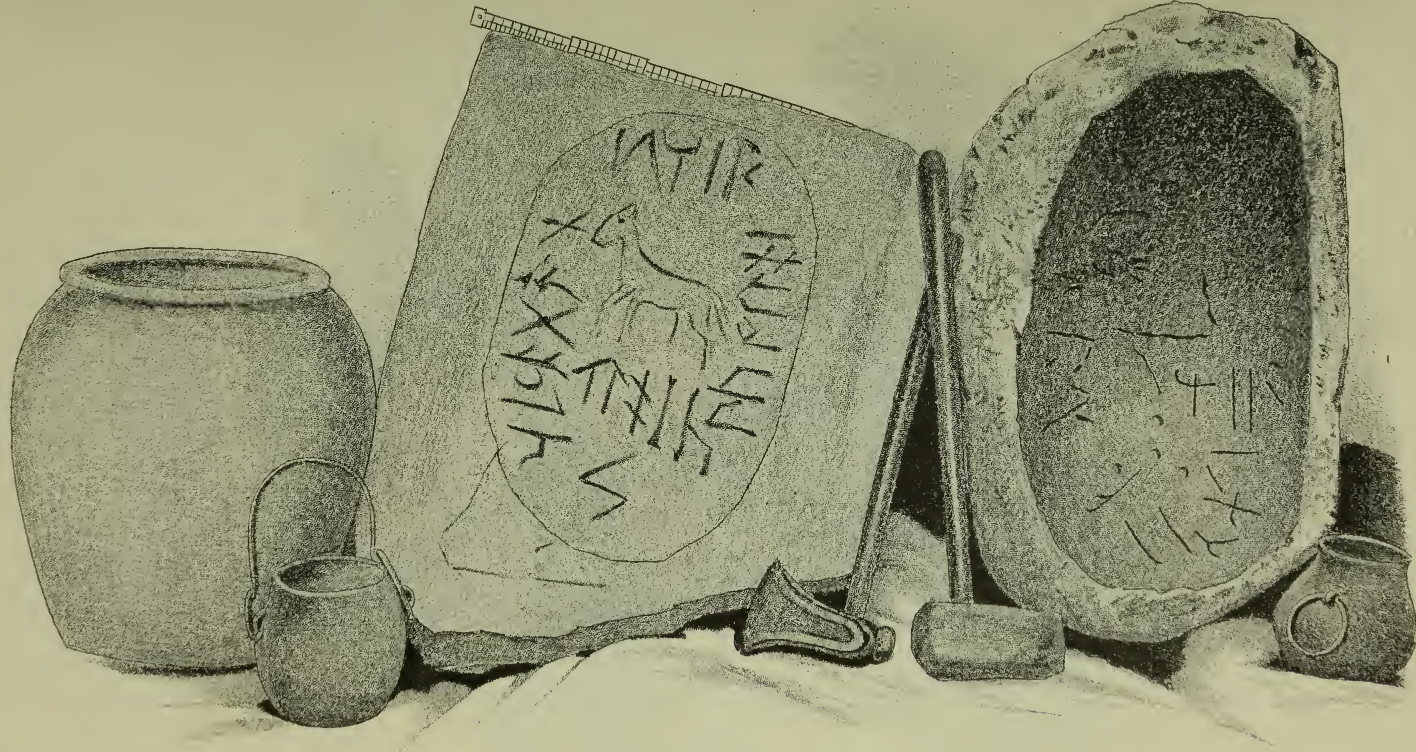


34. Urna z ręką i kulczykiem.

wywodził znaki, twarz przypominające i zdobił w przedmioty, których nieboszczyk używał za życia. W tych szczątkach naszej ceramiki widzimy pewne podobieństwo do techniki kształtów i ozdób etruskich. Wzory jednak urn i znaków symbolicznych nie były u nas martwem naśladownictwem, lecz owszem zostały pochwycone z pewnem ciepłem żywszego uczucia, pojęte w sposób rodzimy. Niezależnie więc od motywów etruskich, symbol słońca zaznaczony tam tylko czarnym punkcikiem w kole, przybrał się tu w dziarsko nakreślone, jaskrawo świecące promienie niebieskiego ciała i nabrał zarazem tego czerstwego oblicza, jakie przedstawia słońce, zchodzące z mglistego nieba północy. Barwa tych urn bywa ciemna, lub czerwonawa w rozmaitych odcieniach, a ich ornamentyka, to zazwyczaj figury geometryczne, albo motywa ze świata roślinnego. Ozdobność popielnic twarzowych podnosi niepospolicie inkrustacya czyli zapełnianie zagłębień w rytych liniach rysunku białą masą wapienną na sposób rzymski. Inkrustacya ta, na ciemnem połyskującem tle naczynia, sprawia kontrast kolorów, który podnosi bardzo i uwydatnia dekoracyjny efekt rysunku. Wykopane w dawnych mogiłach naszych popielnice twarzowe, z nader małym wyjątkiem, należą do osób płci żeńskiej, inaczej trudno byłoby sobie objaśnić znajdujące się tam rozmaite ozdoby i dodatkowe upiększenia jak: warkocze, zausznice, szpilki i t. p. Doskonałym typem naczyń twarzowych męskich jest wykopana pod Ledną górą popielnica, przedstawiająca człowieka w kapeluszu. Na innych popielnicach męskich, twarzowych wyobrażane są: sposób noszenia brody, miecz zawieszony z boku i typowe ozdoby, wreszcie sposób obszywania sukmany sznurkami i frenzelkami, jak to wyraźnie widać na popielnicach gosińskich. Dna urn zazwyczaj porysowane w znaki rozmaitych kształtów: kręgi, linie łamane i tym podobne motywa. Mają one prawdopodobnie symboliczne znaczenie, którego dotąd niewyrozumiano. Na urnach tych napotyka się często na spodzie lub ściankach znak krzyża łamanego, zwany swastyką 卐. Znajdujemy go również na najdawniejszych monetach polskich; ma to być pozostałość symbolów pogańskich. Prawie wszystkie ludy świata znają swastykę i przypisywały jej znaczenie magiczne. Wyraz



35. Popielnica twarzowa z kapeluszem.



36. Kamienie mikorzyńskie.

ten pochodzi z sanskrytu (*su* = dobrze, szczęśliwie i *asti* = jest; *swasti* = dosłownie: dobrze jest) i ma być formułką powitania w rodzaju salve, na zdar, na zdrowie. Swastykę znajdujemy bardzo często nie tylko na urnach i monetach, ale i na innych naszych pomnikach. Wobec tych przedwiekowych szczątków zabiegów ludzkich, o które tu z lekka tylko potrąciłem, najtrzeźwiejszy nawet umysł, pragnąc zagłębić się w tak odmienne od dzisiejszego życie naszych praojców, zapuszcza się w niezbadany, a więc urokiem tajemnic nęcący labirynt przeszłości, w którego cieniach gdzieniegdzie zaledwie zamigocą drobne światełka, jak świętojańskie robaczki. Do takich światełek, nęcących ku sobie błędnego wędrowca, należą napisy runiczne.

37. Grot z napisem runicznym.

Gdy badania wykazały, że runy polskie, zdobiące posągi bożyszcz słowiańskich, tak zwane bałwanki prylwickie i kamienne płyty mikorzyńskie, które w swoim czasie obudziły niezwykłe zajęcie w świecie naukowym, są fałszowane, przez długi czas postępowano z przesadną oględnością do badania naszych zabytków runicznych. Sprawę pozornie rozstrzygniętą na ich niekozryść podjął dopiero na

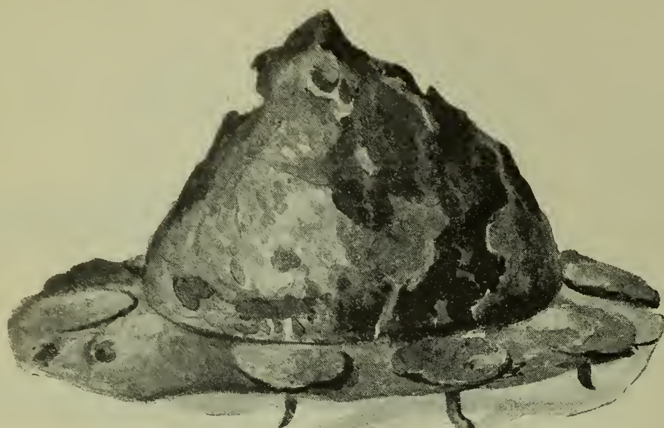
Napis na kamieniu z rzekomym Prowem

Napis na kamieniu z konikiem

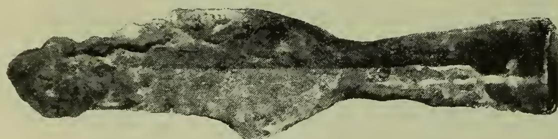
38. Napisy runiczne na kamieniach mikorzyńskich.

nowo Piekosiński, dowodzący autentyczności runicznych napisów na kamieniach mikorzyńskich.

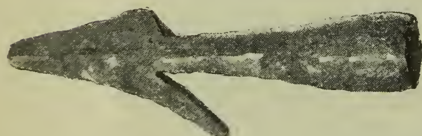
Załączam podobiznę owych kamieni, tudzież grotu starożytnej dzidy. Ten ostatni ozdobiony srebrną inkrustacyą z runicznym napisem: Raninga, znaleziony na piaszczystych wydmach Polesia. Ale zachodzi pytanie, czy to nie zabytek obcy, bo mieszkańcy dawnych ziem polskich, gdy wyszli z okresu kamiennego, nie stanowili już



1. Środek tarczy.



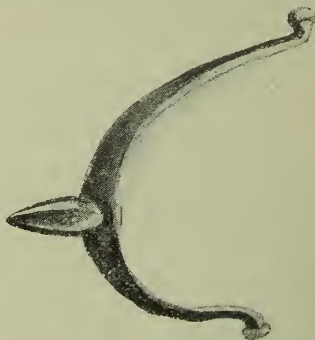
3. Grot.



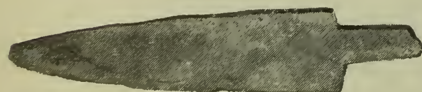
2. Strzała.



5. Zapinka



4 Ostroga.



6. Nóż

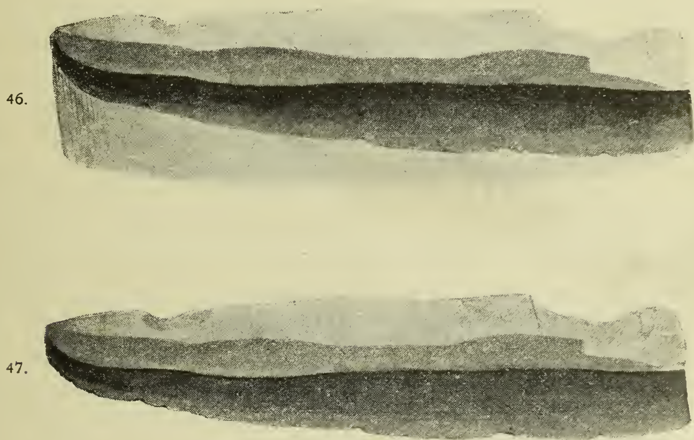


7. Miecz.

39—45. Wykopaliska w Polsce. — Wiek żelazny.

zasklepionego w sobie społeczeństwa, lecz owszem częste utrzymywali stosunki z innymi ludami. Świadczą o tem odkopane wyroby bronzowe, które niewątpliwie należą do przedmiotów cywilizacyi obcej, a dostały się do nas w drodze handlu.

Wykopaliska metalowe dzielą się na: wyroby służące do ozdoby, do potrzeb zwyczajnych i do obrzędów kultu pogańskiego. W liczbie pierwszych znajdujemy: zausznice, na których nawleczone są paciorki: bronzowe, szklanne, pięknego błękitnego koloru, lub bursztynowe, dalej naszyjniki, naramienniki i iglice, czyli szpilki do spinania włosów kobiecych, albo do zapinania wierzchniej odzieży, sprzączki i tym podobne zapinki w kształcie splotu wężów, lub potworów. Do wyrobów gospodarskich, łowieckich i wojennych odnieść należy: wędki, czerpaki, sierpy, topory, noże obosieczne i t. p. W końcu wyodrębniamy wyroby służące do obrzędów wiary słowiańskiej, a mianowicie noże do zabijania ofiar, obręcze, w które — jak we dzwony — uderzano bijakiem i t. d. Z tych, przedmioty bursztynowe, kościane i żelazne, wyrabiane z materyałów miejscowych, były dziełem krajowców. Już sama rozmaitość



46, 47. Noże kamienne.

znalezionych przedmiotów dowodzi różnorodności potrzeb, a tem samem i rozwiniętej do znacznego stopnia kultury naszych przodków. Zmniejszająca się z każdym wiekiem wielkość narzędzi, ich staranne wykończenie, miękkość konturów, zadziwiająca symetrya i dobieranie materyału na piękniejsze przedmioty — wszystko to rzuca pewne światło na rozwój psychiczny ówczesnych mieszkańców naszego kraju. Badając wykopane narzędzia, przekonywamy się naocznie, jak niezgrabnie ociosany kamień, służący pierwotnie naprzykład do rębania, przeobrażał się w coraz bardziej artystycznie wykonane dłuto kamienne, osadzone jak siekierka w oprawie drewnianej, jak potem, kiedy weszły w użycie metale, kamień został zastąpiony podobnem narzędziem żelaznem, aż w końcu osiągnął kształt najdoskonalszej nowożytnej siekiery z ostrzem stalowem, osadzonem na toporzysku. Taki był wszędzie postęp rozwoju siekiery, która się pojawia przed chronologią i historyą, a była od początku jednem z głównych narzędzi pomocniczych człowieka na drodze cywilizacyi.

Wogóle wszelkie dzieła udoskonalonej techniki, pojęcia oderwane, instytucye, są wynikiem stopniowej ewolucyi, postępu, do którego podnosi się stan życia

wcześniejszy, prostszy i mniej wyrobiony, słabe tylko echa wyciskający na języku. Weźmy jeden przykład: Lud nasz nazywając kożą nożyk krzemienny, przechował w pamięci przedmiot, który już od dwóch tysięcy lat nie jest w użyciu i w nazwie tej dał świadectwo swej tożsamości plemiennej z owymi, którzy już przed wiekami używali kamiennych nożyków. Głównym ich celem było niezawodnie skrobanie i przerzynanie skór, zwanych kożami, a służących jako pierwotna odzież: od nich to i narzędzie do ich obrobienia nazwano kozikiem. Przypuszczenie to popiera mały nieskładany nożyk, kształtem, wielkością, a nawet przeznaczeniem nie wiele się różniący od dawnego krzemiennego noża. Jeszcze w wieku XVI, jak to czytamy u Reja i innych pisarzy spółczesnych, kozikiem nazywał się nóż rzeźniczy, przeznaczony głównie do przerzynania skóry, czyli po staremu koży.

Zauważył J. Karłowicz, że pewne obrzędy i zwyczaje, podobnie jak to ma miejsce z wyrazami w języku, żyją do dziś dnia od czasów najdawniejszych, w postaci nieco od pierwotnej odmiennej, na co wpływa zasób pojęć, które je do naszych stosują warunków, bardziej uduchowiając. Dziś zaledwie szkielet pozostał z tego, co pierwej tętniło życiem i używane jest do posług często bardzo różnych od pierwotnych. Liczne godła, sprzęty a zwłaszcza narzędzia, dawno już zeszły ze sceny, jedynie pogrobowem świecą światłem, opowiadając nam o przeszłości, jako jej świadki naoczne. Tu zaliczyć wypada głęboko w ziemi ukryte zabytki kamienne i bronzowe. Plemiona wpół cywilizowane, jak o tem świadczą dochodzenia na polu wykopalisk czynione, mimo, że już dawno nie jest im obcą znajomość metali, używają jeszcze krzemienia. Jest to utrzymujący się z odległej epoki zwyczaj, który mocą zakrzewionej tradycyi długo jeszcze trwa w okresie następnym. W niektórych okolicach naszego kraju, do dnia dzisiejszego krzemień zastępuje nóż. Znachor mazurski w swej lekarskiej praktyce, mianowicie gdy ma zdjąć komu kołtun, używa zamiast ostrych nożyc krzemienia, to jest narzędzia z czasów, kiedy w pełni kwitła epoka kamienna. Człowiek tej doby, myślą sięgając nieba, które za siedlisko bożyszcz uważano, wyobrażał sobie, że żyją tam nieśmiertelni w warunkach podobnych do jego własnego bytu. Gdybyś go był zapytał, jakiej w niebie używają broni, byłby ci bez zastanowienia odpowiedział: kamiennej. Nasze i obce ludy żywią niepłonną wiarę, iż piorun jest to pocisk przez którego z bogów puszczony. A że w okresie krzemienia używano broni kamiennej, przeto litewski gromowładca Perkunos zawsze był wyobrażany z kamieniem w ręku. Podobnie przedstawiają go sobie Rusini, których bóg pioruna trzyma zawsze kamień, na kształt ognistego pioruna. I dziś jeszcze lud nasz nazywa odłamki piaskowca «strzałką piorunową», «bożym początkiem», a kamyki te służą mu jako środki zaradcze przeciw urokom lub chorobom. Zachowane z okresu kamiennego narzędzia, nie mniej, kunsztowne wyroby z bronzu — wszystko to bywa w ogromnem poszanowaniu u ludu. Nie pomnąc, jakie było ich pierwotne przeznaczenie, sądzi, że są to zaklęte skarby lub strzały gromowe, a pojęcia te wiążą się zazwyczaj w wyobraźni jego z pojęciem bóstwa. Stąd żywiony dla tych zabytków pietyzm, który i dziś jeszcze śród ludu napotkać można.

Człowiek pierwotny stoi prawie wyłącznie pod wpływem otaczającej go natury. Jest on ściśle związany z ziemią, na której żyje, musi się do jej warunków zupełnie stosować. I dlatego to ani go poznamy, ani zdołamy zrozumieć jego wyobrażeń, jeżeli przedtem nie otworzymy sobie obrazu przyrody, śród której żył, gospodarstwa, jakie prowadził.

Nie wielki jest zakres wiadomości tego rodzaju. Ziemia nasza z czasów przedhistorycznych, przedstawia się nam jako niezmierny obszar puszcz i bagnisk, ciężki

do zaludnienia. Tylko krok za krokiem, niszcząc odwieczne lasy, można było zakładać siedziby ludzkie i prowadzić nieduże gospodarstwo. Postępowano w sposób, jaki się dziś jeszcze stosuje w Małej Azyi i Algierze. Na jesień obcinano gałęzie, zdzierając z pnia korę, a skoro las usechł, podpalono go. Ziemię użyźnioną popiołem zostawiano ugorem, poczem wypasało je bydło, a w końcu zasiewano zbożem. Podobna gospodarka utrzymała się w XII. wieku w okolicach Paryża. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że i u nas w czasie przeddziejowym nie musiało dziać się inaczej. Kiedy był jeszcze możliwy ten rodzaj gospodarowania na ziemi, przedstawiała ona obraz zupełnie od dzisiejszego odmienny. Oto jak je malowniczo przedstawia przyrodnik Rostafiński: Bujne błota, gołe torfowiska, namuliste rzeki i jeziora tworzyły tło Wielkopolski. Przeciwnie Małopolska była przeważnie lesista i obfitowała w grubego zwierza.

Cały obszar ziemi dawnej Polski, przedstawiał się jako jeden gęsty i bagnisty bór, tu i ówdzie świecący polankami ziemi uprawnej i zaludnionej. Atoli z biegiem czasu czerń nieprzebytej puszczy coraz bardziej rzedniała, natomiast łany uprawne wychylały się coraz obficiej. Zmieniła się postać ziemi naszej; koloryt, połyskujący zielenią i złotem, zastąpił miejsce szarego o ponurem tle. Najpierw poczęły się roić ludźmi brzegi nadrzeczne. Tu bowiem i wody i ryb było podostatkiem i ziemia żyźniejsza i kommunikacya nie przedstawiająca tyle trudności co w głuchej i błotnistej kniei. Ci pierwsi nasi osadnicy, był to lud silny, twardy, sprawny do wszelkiej potrzeby, do swobody mocno przywiązany, niechętnie znoszący rozkazy. Lud Małopolski, w porównaniu do Wielkopolan, był wzrostem niższy, ruchliwszy i popędliwszy. Nazwa Polaków powstała prawdopodobnie od okolic bezleśnych, które podobnie jak i dziś jeszcze w Karpatach, nazywały się i wówczas polanami, albo polankami.

Bardzo niezłożony i jednostajny prowadzili ojcowie nasi żywot. W czasie pokoju, kiedy nie szli gromadnie w ziemie sąsiadów, lub nie stawiali oporu najezdnikowi, życie ich wypełniały zajęcia, któremi swe potrzeby opędzali. A więc chów bydła — później rolnictwo — połów ryb i gonitwa za zwierzyną, a w chwilach od pracy wolnych śpiewy i uczty — oto co stanowiło treść ich prostego życia.

Pierwotnem mieszkaniem polskiego rolnika była wspomniana ziemlanka, której typ do dziś dnia zachował się na Litwie. Składała się z jamy, właściwego mieszkania i z wystającego po nad nią dachu; ten ostatni był zazwyczaj płaski, lub w kształcie strzechy dzisiejszych lepianek wiejskich, kryty powszechnie ziemią. Następną fazą rozwoju naszego budownictwa były okrągłe chatki, stawiane z chrustu na zewnątrz i wewnątrz gliną oblepione, kryte dachem stożkowatym ze słomy lub trzciny. W górach miejsce lepianek zastępowały nędzne szałasy. Nawet w pierwotnej swej formie można je jeszcze spotkać u niektórych bardziej od ognisk cywilizacyi oddalonych okolicach Karpat. Bydło i trzoda rzadko tylko mieściły się osobno; najczęściej te same izby służyły dla ludzi i zwierząt. Był to rodzaj chat kurnych, to jest dym w czasie palenia rozchodził się tu po izbie i wychodził na zewnątrz przez drzwi i okna. Zanim nauczono się wznosić mieszkania z kominem, chaty kurne przerodziły się w pewien typ przejściowy, był to rodzaj izb półkurnych. Dym z nich przedostaje się do sieni przez otwór w piecu, a stamtąd dopiero wychodzi na zewnątrz. Ogień rozkładano zazwyczaj w samym środku izby na miejscu, w tym celu wyłożonem kamieniami. Jeden kąt izby zajmowały ławy, a obok nich stół nakryty, z chlebem i solą dla gości. Powyżej, na ścianie, mieściła się półka z domowem naczyniem i sprzętami, w drugim kącie widziałeś łoże na ziemi. Najważniejsze przyrządy gospo-

darskie stanowiły: żarna, stępa, międlica i krosna. Skrzynie nie były jeszcze wówczas znane; skrzętna gospodyni ukrywała swe drogocenne sprzęty w bedni; jest to rodzaj półbeczka z wiekiem.

Człowiek owych czasów nie potrzebował zbyt wiele pracy nakładać, żeby się wyżywił. Sama przyroda dostarczała mu niezbędnego pożywienia. Leśne gruszki, jabłka, trześnie i przemarzły owoc tarniny zbierano i suszono na zimę. Musiał ten zapas mieć duże znaczenie w gospodarstwie, skoro do dziś dnia przechowało się przysłowie: «Nie zaspij gruszek w popiele.» Z wiosną zbierano oskołę; jest to słodkawy sok, ciekący z klonu lub brzozy. Służył on prócz wody przez całe lato za napój. Dziko rosnący barszcz, szedł na gotowanie zupy tejże nazwy. W wodach łowiono ryby, z pszczół wydobywano miód. Ule stawiano rzędami w bezleśnych okolicach, a w lesie osadzano pszczelne roje na bartnych drzewach. Wiele trudu kosztowało gospodarza zabezpieczenie barci od ptactwa dzikiego, a zwłaszcza musiał je chronić przed łakomym niedźwiedziem. Patoka dostarczała napoju miodowego, o którym głośno było na całej północy. Płyn ten przechowywał się zwykle w łagwiach t. j. miechach z koźlej skóry. W lasach pełno było zwierza, dziś zaledwie w niedostępnych borach mającego swe leże, a prócz niego przebiegał w tysięcznych stadach knieje leśne tur i żubr, pierwszy zupełnie wytępiony, dziś jako okaz przechowany skrzętnie w puszczy Białowieskiej. Lesiste równiny i pobrzeża bagnisk pełne były olbrzymich, o rosochatych rogach łosiów, a rozległe trawiaste doliny, ocienione borami kryjącymi pobliskie wzgórza, ożywiały tabuny dzikiego konia i osła. Wytępione dziś bobry gdnieździły się miryadami w swych domkach fantastycznych. Powietrze pełne było sznurów przelatującego ptactwa, gdzie pierwsze miejsce w pojęciu ludu miał sokół, pilnie przez łowców poszukiwany.

Z wieloma było trudami sprzężone gospodarstwo rolne. Nie znano bowiem ani narzędzi pomocniczych ani ułatwiającego roboty podziału pracy. A kiedy już niwa była zasianą, trzeba jej było strzedz od łakomego zwierza, który często plony mozolnej pracy niszczył. I domowe bydło trzeba było mieć ciągle na oku, żeby się do niego nie zakradł nieproszony gość lasu. Sarny i jelenie upatrzyły sobie rzepę, którą często skrzętnym gospodarzom zjadały; niedźwiedź i dzik wałęsał się po łanach owsa. Stada dzikiego ptactwa, a zwłaszcza gęsi wiele w zbożu szkodziły, tak, że trzeba je było odgradzać płotami i zabezpieczać rzędem żerdzi.

Ponure refleksy rzucają mnisi lubiąscy na stan ówczesnego rolnictwa. Czytamy w ich wierszach sądy niepochlebne o znacznie późniejszem gospodarstwie rolnem w Polsce. W połowie XII. wieku, w celu podniesienia kultury rolnej, sprowadzono na Śląsk kolonistów niemieckich. Zastali oni obraz gospodarstwa rolnego nader opłakany. Stosowano do ziemi jedynie sochy, złożonej z kilku kawałków nieudolnego drzewa. W ten sposób przygotowywali pod zasiew lichego zboża glebę nieżyzną, bo wszędzie prawie piaszczystą. Nikt podówczas u nas nie wiedział ani o włóczeniu, ani o nawozach. Skoro zboże uzłociło łany, brano się do żniwa. Młócka odbywała się w sposób następujący: Ubijano miejsce, gumnem zwane, dokoła rozrzucano na niem zboże, a koń lub krowa, trzymane na linie przez człowieka, stojącego w środku, biegając w kółko, kopytami wysypywały ziarna z kłosów.

Ściśle był z gospodarstwem połączony przemysł domowy. W miejscach obfitujących w drzewo ciosowe, wyrabiano z niego sprzęty i łuki, okolice zadrzewione bukiem dawały gotową hubkę i karmę dla wieprzów, gdzie opoka, tam był gotowy materyał na żarna lub osełki. W ten sposób wszędzie, gdzie samowolnie bujał prze-

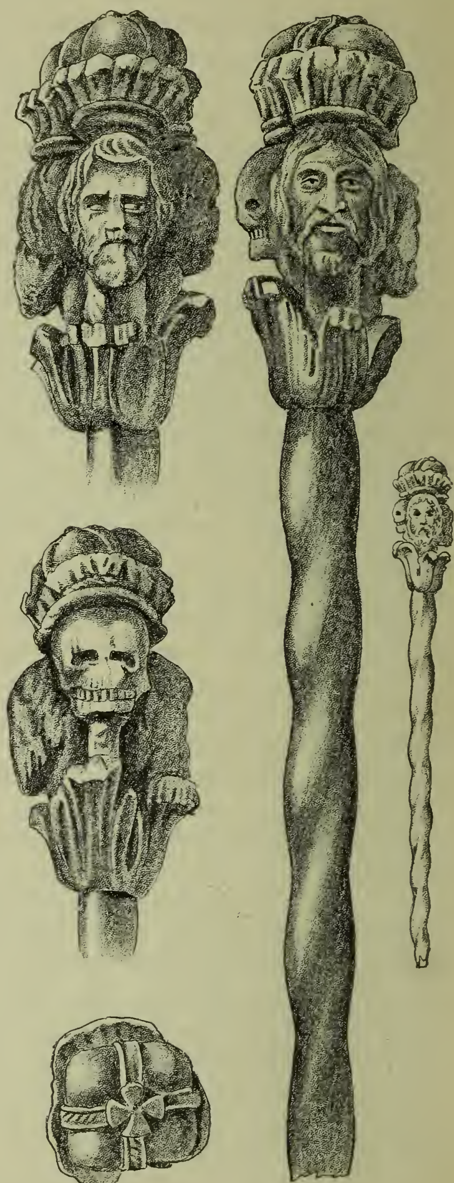
mysł domowy, był on zupełnie zależny od naturalnych warunków ziemi. Najwięcej znaków życia dawał w okolicach obfitujących w sól, żelazo lub glinę. Osobliwie co do soli na pewno powiedzieć możemy, że była towarem bardzo w ówczesnej Polsce powszechnym; inaczej trudnoby było objaśnić sobie, dlaczego odgrywała rolę monety zamiennej. Dostarczały jej źródła solne, płynące na powierzchni ziemi, że zaś rozpadała się w okruchy, otrzymała nazwę krusz. Najwięcej takich źródeł było w Wielkopolsce, mianowicie na Kujawach. Tej okoliczności zawdzięczać należy, że się ziemie Kujawszczyzny prędzej od innych zaludniły, i że okolice Kruszwicy były kolebką politycznego naszych dzierżaw zawiązku. Nie inaczej działo się i w Małopolsce, w okolicy Wiślicy, Solca i t. d., lubo nie w stopniu tak wysokim. Łąki błotliwe obfitują w żelazo; metal ten znajduje się w nich w minerale, który należy do najłatwiej topliwych. Nie bardzo były złożone narzędzia, ani zbyt kunsztowna pracownia, w której go przyprowadzono do stanu umożliwiającego użytek. Prosty piec, jaki dziś jeszcze napotkasz na Wołyniu, nieco węgli i miech, ręką człowieka w ruch wprawiony, oto wszystko, co potrzebnem było do otrzymania w ciągu niewielu godzin tego szacownego kruszcu. Bardziej jeszcze od rudy powszechną była glina. Ale wyrabianie z niej przedmiotów na kole trudniejsze. I przez to, w czasie przed wprowadzeniem pisma, spotyka się ją tylko w naczyniach ręką lepionych. Dopiero później, kiedy wraz z chrześcijaństwem przybyły do nas z zachodu i niektóre owoce europejskiej kultury, zaprowadzono warsztat, który kunszt zduństwa na wyższy posunął szczebel.

Handel miał u nas początkowo jak u wszystkich ludów charakter zamienny. Odbywał się zaś w pewnych odstępach czasu w miejscu, dla tego celu przeznaczonem, lubo zdarzały się wypadki, że obwożono towary po kraju. «Kupiec z Pragi» przybywał do ziemi Polan z rozmaitym towarem, szczególnie z płatami lnianymi i jak opowiada arabski podróżnik po Mieszkowem państwie, zachwycał Polanki świetną białością wyrobu, jakiej one swym konopnym parciankom nadać nie umiały. Zapewne jej do ozdoby używały, jak to dziś jeszcze czynią nadobne krakowianki, i stąd prawdopodobnie poszła nazwa białogłowy, nadawanej niewiastom. Musiały być bardzo pożądane owe cieniutkie i śnieżne płaty, skoro z nich później zrobiono drugą, może wyższą od soli, monetę zamienną. Ozdoby te, głównie podnoszące wdzięki naszych praprababek, dały początek wyrazowi płacić... Z starożytnej zapiski rękopiśmiennej, w której mieści się opis wyposażenia biskupstwa płockiego z końca XI. wieku, dowiadujemy się, że się kupcy skórkami kuny z swych zobowiązań uiszczali. Musiało zatem i wówczas mało być jeszcze w kraju monety, skoro stosowanym był jeszcze handel zamienny. Stosunki te pierwotnie u nas panujące, wycisnęły swe piętno na najdawniejszym prawa polskiego pomniku. Zakon krzyżacki spijał je po niemiecku około roku 1230 dla ludności chełmińskiej. Wina «trzysta», o której czytamy w tym zabytku, pochodzi stąd, że ją trzystu kruszami czyli kruszynami soli płacono.

Najdawniejsze nasze drogi handlowe były w ścisłej od przewozu soli zależności; ona bowiem stanowiła najniezbędniejszy składnik gospodarstwa rolnego. San i Wisła ożywione były żeglugą, dostarczała zaś soli miejscowość Starą Solą nazwana, zanim poczęto ją wydobywać w Bochni i Wieliczce. Pierwsze atoli zawiązki zorganizowanego już handlu odnieść należy do chwili, kiedy pojawił się na rynku bursztyn. Grecy (Albiopolitańczycy), trudniący się handlem, nabywali w Polsce sól, którą na wybrzeżach Narwi zamieniali na bursztyn kopalny, swoją zaś sól

limanową wieźli aż do miejscowości w bursztyn obfitujące, biorąc go w zamian za swój produkt, albo też ją po drodze zamieniali za płody lasów poleskich lub pruskich.

Obrona człowieka, byt, władza, którą na otoczenie rozpościera — wszystko w ścisłym zostaje związku z narzędziami pomocniczemi, bez których aniby mógł istnieć, ani granice swego koła rozszerzać. Chcąc przeto w należytem świetle owo rosnące znaczenie człowieka i ludu przedstawić, należy uczynić pobieżny choćby przegląd narzędzi i broni, jak się powoli rozwijały od form pierwotnych i prostych do najmisterniejszych i najbardziej wykwintnych. Nie będziemy tu śledzić powolnej drogi rozwoju, jaki przechodził kij prosty, przeobraziwszy się w końcu w smukłą dzidę lub w łuk giętki, który zostanie praszczurem dzisiejszych manlicherów. Poświęcamy jeno parę uwag symbolicznemu znaczeniu laski.



48—52. Laska sędziowska z czterema głowami.

Najpierwotniejszem narzędziem obrony był kij, czyli pałka, ta zaś kiedy sękami nasadzona i ciężka, nazywa się maczugą. Liczne i ściśle określone szczeble ewolucyi przechodzi to proste narzędzie obrony i podpory człowieka, na łonie natury żyjącego, aż się w końcu nie dzwignie na stanowisko buławy hetmańskiej, albo w laskę marszałkowską nie zmieni i nie będzie dane jako pastorał w ręce biskupa.

Kiedy jeszcze sztuka pisania nie była znaną ogółowi, trzeba było wyszukać jakiś sposób, przy którego pomocy możnaby było sobie udzielać wiadomości potrzebnych drogą jak najspieszniejszą. Żeby się tedy w pewnych sprawach porozumieć, obnoszono od osady do osady pewne znaki mające znaczenie symboliczne. Siekiera zwoływała ludność na sądowe rozprawy, jeżeli trzeba było sądzić zabójcę, krzyż przynosił potem smutną wiadomość śmierci i pogrzebu członka danej wsi lub gminy i tak dalej. Najpospoliciej używano w podobnych celach drzewa, jako to: gałęzi, maczugi, laski rozmaicie ukształtowanej. Zawiadomieni tą drogą dobrze umieli rozpoznać, co im za wieść przynosiły. Tak zwane krzywuli czyli zakrzywionej laski używano w całej Polsce, na Litwie, u Germanów, Keltów; z pewnemi odmianami

widzimy ją u plemion wschodnich, gdzie nawet i dziś jeszcze zwyczaj ten się pielęgnuje; tu i ówdzie zastępują laskę tabliczki, deseczki i tym podobne przedmioty.

Przekazał nam Dytmar z Merseburga wiadomość o używaniu krzywuli w celu zwoływania obrad u Łużyczan w X. wieku. Dotąd nie zatarły się zupełnie ślady tego zwyczaju w niektórych okolicach Słowiańszczyzny. Niezrozumiałe już dziś znaczenie laski opolnej, wspominanej w naszych dokumentach z XIII. wieku, wyjaśniają starodawne zwyczaje górali zachodniego skrzydła Karpat, ich obsyłanie buławy, pochodzące niezawodnie z prastarych czasów słowiańskich.

Podobny zwyczaj był pielęgnowany jeszcze i za panowania Jagielonów. W sprawach państwo obchodzących, rozsyłane były po całem kraju wici. W Bielskiego kronice czytamy: «Rozesłał król listy, które że na wiciach noszono, wiciami jeszcze zowią». Opowiada w swem dziele Dusburg, pisarz z XIV. wieku, że najstarszy kapłan Krywe wysyła «nuncium cum baculo vel alio signo noto». Oczywiście «baculus» nic tu nie może oznaczać jeno «kulę» którą zwoływał gromadę.

Zadziwiającą jest stałość praw historycznych. Zawsze ten sam biorą początek, zawsze jednemi kroczą drogami w mroki przyszłości. Pierwotne instytucye społecznego i towarzyskiego życia do tego stopnia u wszystkich ludów są identyczne, że ustrój, jaki spotykamy u Irokezów, odzywa się w obyczajach naszego ludu. Podstawą wszelkiej cywilizacyi były wynalazki, odkrycia i instytucye okresu barbarzyństwa. Okazałe dzieła, które zapełniły całe foliały dziejów oświaty, lubo ogromne i nadzwyczajny podziw budzące, nie mogą jednak przysłonić dobytków czasu przedhistorycznego. Tam to bowiem obudziły się do życia wszystkie tak obecnie spotęgowane i rozgałęzione pierwiastki cywilizacyi, oczywiście z wyjątkiem alfabetu pisanego.

Kilka zarodków myśli, które błysnęły w mrocznej jeszcze epoce barbarzyństwa, dały początek potężnym dźwigniom oświaty. W tym zamierzchłym, rzadko oku badacza dostępnym okresie, spoczywa kolebka podwalin ustroju społecznego. W pierwotnem społeczeństwie polskiem rozwinęły się dwa typy rządu. Najdawniejszy stanowił organizacyę społeczną na rodach opartą, drugi, polityczny, znalazł fundament w instytucyi własności. Dwa te różniące się między sobą typy odmienny mają początek. Kiedy drugi należy do czasów nas bliższych, pierwszy sięga powstaniem w odległe przedhistoryczne wieki.

Nasze społeczeństwo, podobnie jak inne, wyłoniło się nie z rodziny, ale z rodu. Najdawniejsze pomniki naszej oświaty zachowały ślady tej pierwotnej instytucyi, zwanej spólnością rodową. Polega ona na zbiorze osobników z linii męskiej, występującym jako jednostka doskonale określona i w sobie zamknięta. Jak daleko wstecz sięgnąć może tradycya i pamięć ludzka, istniała już instytucya rodowa w tej formie. Bliższe zbadanie praw i zwyczajów owych organizacyj rodowych dostarczy podstawowego pojęcia o składzie i formie naszego pierwotnego społeczeństwa i snopem światła obleje podwaliny dolnego rozwoju narodu. Oto co powiada Nestor o Polanach: «Mieszkali oddzielnie, każdy w swojem miejscu, ze swymi rodami, którymi rządzili». Słowa te zamykają opis bytu pierwotnych plemion polskich. Z fazy życia koczowniczego podnoszą się one z upływem czasu na wyższy stopień kulturalny, stają się ludem osiadłym. Wtedy podstawą bytu materyalnego było już rolnictwo i chów bydła. Cały gmach życia społecznego Polan wzniósł się na organizacyi rodowej. Pojęcie jednak rodziny ściślejszej, to jest grupy obejmującej ojca, matkę i dzieci, w odróżnieniu od rodziny w pojęciu obszerniejszem, to jest rodu, istniało już w wieku XII. Majątkowo była taka rodzina młodsza wyodrębnioną od innych połą-

czonych z nią węzłem pokrewieństwa. Nie zatarła się przecież odrazu pamięć dawnej rodziny, obejmującej ród cały, gdzie ziemia stanowiła własność niepodzielną całej gromady. Do późna w wiekach średnich przechowały się szczątki tej powszechnej niegdyś instytucyi. Dobra naprzykład nie mogły być przez nikogo sprzedane, jeżeli na to nie dali krewni pozwolenia, nadto mogła rodzina zaprotestować przeciw wyzbyciu się dóbr, a służyło jej również prawo odkupu. Jeszcze w XIII. i XIV. wieku znajdujemy u Polaków wiele śladów owych ścisłych, rozległych i długo na wpływy czasu opornych związków rodowych, co szczególniej widzi się w najdawniejszych pomnikach prawa polskiego. Ziemia stanowiła pierwotnie własność spólną całego rodu, a u steru rządów stali starsi z łona jego wybrani. Nawet w zasadzie późniejszego prawa polskiego znajdujemy uwzględnienie tego spólnego władania ziemią. I w naszym wieku można tej prastarej instytucyi szczątki odnaleść. Hube wspomina o «wolnej wsi» w województwie sandomierskiem położonej, której ziemie są ogólną własnością wszystkich mieszkańców, ci zaś pod rządem wójta uprawiają łany, dzieląc między siebie otrzymane owoce. Wsie o podobnym ustroju znaleść można w różnych stronach dawnej Polski.

Organizacya rodowa społeczeństwa polskiego, wycisnęła swe piętno na stosunkach ekonomicznych i zwyczajach prawnych, które spotykamy jeszcze w XIV. wieku. Ona dała również początek szlachcie. W tym zarodku znajduje ona swe źródło, idzie z pojęcia i nazwy rodu. Dawny język niemiecki posiadał wyraz szlachta, który oznaczał to samo, co pokrewne mu dzisiejsze Geschlecht (ród). Podobnie w języku czeskim. Tutaj wyrazowi szlachta towarzyszyło pierwotne jego pojęcie, nietylko bowiem używany był w znaczeniu heraldycznem, ale także dla określenia rodu. Tak było i u nas w ciągu kilku wieków, poszczególne rody szlacheckie czuły swą solidarność, stanowiły jedno ciało, czujnie strzegły swej przynależności i połączenia. W tym celu było u nas w użyciu tak zwane zawołanie, albo hasło rodu, co znowu przerodziło się w dalszym rozwoju na godło albo herb, używany przez wszystkich dla oznaki rodu. Okoliczność ta wpłynęła znakomicie na karność między szlachtą. Nakaz głowy rodu obowiązywał wszystkie ród składające jednostki. W ten sposób rzuconą była podstawa późniejszego powodzenia instytucyi szlacheckiej.

Pierwotna Polska rządziła się zasadami demokratycznemi, napotykanemi w organizacyi rodów, bractw i plemion wszystkich ludów pierwotnych. Organizacya rodów polegała na spólnych prawach przysługujących członkom, podobnie jak to miało miejsce u innych plemion trwających w barbarzyństwie. Tu należą: 1) prawo wyboru naczelników; 2) wzajemne prawa własności i dziedziczenia członków rodu; 3) wzajemny obowiązek w niesieniu pomocy, obrony i krzywd nagradzaniu; 4) prawo przyjmowania obcych do rodu, czyli adoptacya; 5) spólne nazwy rodowe.

Pozwolimy sobie słów kilka powiedzieć o tych prawach. Już sama organizacya rodu, składającego się z spokrewnionych między sobą jednostek potrzebujących przedstawiciela, każe się domyślać prawa wyboru starszego. O nim nie wiadomo nic bliższego.

Co zaś dotyczy prawa dziedzictwa, to jak wiadomo powszechnie, społeczeństwa w okresie dzikości i w niższym stanie barbarzyństwa, wyjątkowo tylko stosowały własność osobistą. Podlegała jej jedynie szczupła garść przedmiotów, do pożytku osobistego służących; później objęła także wspólnie zamieszkiwane domy, w końcu lasy i pastwiska. Rzeczy posiadające wielką podówczas wartość, ze śmiercią właściciela były z nim razem grzebane. Atoli z rozwojem własności osobistej,

która coraz większe zataczała koła, rosła waga dziedziczenia, tworząc z biegiem czasu stałe prawo spadkowe. Od najdawniejszych czasów istniała u nas zasada, na mocy której wszystko, cokolwiek do kogo z rodu należy, winno w owym rodzie pozostać i ma być rozdzielone między pozostałych jego członków. Do XIII. wieku dotarły szczątki tego zwyczajowego w Polsce prawa.

Instytucya wspólności rodowej czyniła konieczną własność komunalną. Dowody na to, że ziemia nasza w zamierzchłych wiekach należała do całego plemienia, znajdujemy w najstarszych dokumentach. Dowiadujemy się z nich, że w wieku XII. i XIII. jednostka do rodu należąca, na zasadzie zwyczajowego prawa (consuetudo terrae) — pisane bowiem prawo należy odnieść dopiero do czasów późniejszych — nie mogła ani wedle woli swojej dobrami dziedzicznemi rozporządzać, ani ich długami obciążać. W obu razach ród cały musiał użyczyć swego zezwolenia. Długo, bardzo długo, przetrwał w Polsce stary obyczaj, na mocy którego, każdy chcący się w jakikolwiek sposób pozbyć ojcowizny, winien był trzykrotnie obwoływać swój zamiar, żeby krewni, w razie gdyby prawo jakieś do niej rościli, zgłaszali się do sądu. Przeciąg czasu, w obrębie którego można było wnosić zażalenia, nosił miano perskrypcyi. Na mocy prawa spadkowego krewni mogli wykupić dziedzictwo, gdyby je był ostatni krewniak sprzedał, nie zaciągnąwszy przedtem zezwolenia wszystkich krewnych, należących prawnie do masy spadkowej. Do dziś dnia wiodące pierwotny żywot społeczeństwa niecywilizowane dają pierwowzór owych zasad własności u nas.

Różnica między własnością rzeczową a osobistą daje się spostrzegać już na niższym szczeblu drabiny kulturalnej. Owoce ziemi idą między wszystkich, ale nikt nie ma prawa wziąć jej samej w posiadanie. Prawo to dotyczy polowań. Gonić za zwierzyną wolno każdemu w granicach, do rodu należących, ale zwierzyna wtedy dopiero przechodzi na własność myśliwca, kiedy już padła z jego strzału. Świadczy to wyraźnie o istnieniu prawa własności w granicach ziemi spólnej, będącej w posiadaniu rodu lub plemienia. Chata przez jedną, lub kilka rodzin zamieszkiwana, stanowi również własność tych, którzy budową jej byli zajęci, podobnie grunt otoczony ogrodzeniem, a do domu przytykający, należą do tych, którzy go uprawiali albo zupełnie lub też do czasu, pokąd kładą weń swą pracę. Zarówno sprzęty domowego użytku, znajdujące się w chacie, jako to: naczynia gliniane, żarna i t. d. są w osobistem posiadaniu mieszkańców domostwa. Jednocześnie, lubo z dużem jeszcze ograniczeniem, budzi się do życia własność osobista. Z początku korzysta z niej jedynie ojciec rodziny, lub jej głowa. Należą tu przedmioty, których każdy używa: broń, ozdoby, skąpe odzienie i rzeczy, któremi może właściciel wedle woli rozporządzać, lub po śmierci zabiera z sobą do grobu.

Barbarzyńskie więc plemiona, jak już widzimy z tego, co się dotychczas rzekło, miały pojęcie o spólności ziemi, nie była im obcą wyłączna własność rodowa, a nieraz i rodzinna, tudzież osobista własność ruchoma. I na naszych zwyczajach a również na prawie starodawnem pojęcia te wycisnęły wyraźne piętna. Nie wszędzie jednak przybierały te same kształty. Kiedy istniały u nas spółkowiny, ziemia była pierwotnie wyłączona z prawa własności osobistej. Odzielne rodziny pracowały około jej uprawy lub otrzymywały, niejako w dzierżawę od rodu, odpowiednio do liczby swych członków, szmat ziemi, który po niejakim czasie wracały rodowi. Wyłączna własność rodzinna ograniczała się jedynie przedmiotami, będącymi w szczupłym obrębie zagrody.

Podobnie jak obok pojęcia rodziny zachowało się pojęcie dawnej organizacyi rodowej, istniała także dwojaka forma własności. W najdawniejszych źródłach pol-

skich znajdujemy świadectwa na dowód, że cała rodzina posiadała spólnie dobra nieruchome, a dotyczyło to koła najbliższych, jedynie rodzeństwa. Ale nawet ojcu nie przysługiwało prawo sprzedaży dóbr, musiał się co do tego zawsze porozumieć z dziećmi, lub żoną. Jeszcze w XIII. wieku tu i ówdzie należą dobra spólnie do braci stryjecznych lub stryjów i ich bratanków. Równolegle jednak z tą formą spólnego posiadania dóbr, znajdujemy własność indywidualną. Ziemia w takich wypadkach przeszła do rąk właściciela albo w drodze kupna, albo też darowizny księcia. Właścicielowi zaś przysługiwało prawo dowolnego rozrządzenia swym nieruchomym majątkiem. Dwa te rodzaje własności wyodrębniały się wyraźnie w prawach dziedziczenia. Dobra dziedziczne nie należały do masy spadkowej; na mocy silnie zakorzenionego zwyczaju zostawały one niepodzielnie w rodzie. Natomiast dobra nabyte leżały w obrębie przedmiotów, stanowiących indywidualną własność posiadacza i podlegały prawu sukcesyi. Różnica ta stanie się wyraźniejszą, jeżeli rzucimy pobieżny choćby rzut oka na prawo dziedziczenia kobiet. Na mocy najdawniejszego naszego prawa spadkowego, córki w ogóle nie mogły dziedziczyć dóbr nieruchomych. Przypadała im w udziale jedynie jako posag odprawa pieniężna, należąca się z dóbr rodzinnych. Jeszcze na początku XVI. wieku widzimy, że męscy członkowie rodziny starają się wszelkimi sposobami, aby dobra nieruchome z rąk kobiet wykupić, uważano bowiem za rzecz zwyczajem uświęconą, że ziemia winna pozostawać w ręku męskich krewnych. Zdarzały się przecież wypadki już w XIII. wieku, że kobiety były dopuszczane do spadkobrania dóbr nabytych, później nawet dziedzicznych. Pod wpływem nauki kościoła, wypadki te zdarzają się coraz częściej. Jakób, archidyakon leodyjski w połowie XIII. wieku, nie miał słów potępienia dla utrzymującego się w Polsce zwyczaju, mocą którego kobiety odsuwano od spadku. Uważa go za «przeciwny Bogu i wolności kościelnej».

W niektórych obyczajach, do dziś dnia w poważaniu u ludu będących, spostrzedz można ślady dawno już rozsypanych w gruzy instytucyj społecznych. Zachowały się tam one jak odłamki mamuta w pokładach geologicznych. Badacze ludu porównywają owe ocalone z przeszłości szczątki z instytucyami istniejącemi u plemion barbarzyńskich i tym sposobem sięgają w zamierzchłą przeszłość dziejów po za linię, która oku historyka jest dostępną. Na tej drodze możnaby odbudować cały szkielet przodków naszych organizacyi, o której wiemy bardzo skąpo z garści ułamkowych i wprost do wyprowadzenia wniosków niedostatecznych wzmianek. — Przed zaraniem cywilizacyi lud nasz sam w swej zbiorowej jednostce stał u steru obchodzących go spraw i interesów, zakładał cugle na samowolę niepohamowanych z łona swego jednostek. Podstawą były tu obyczaje, przechodzące od pokolenia do pokolenia. W nich tkwiła zasada rządu, źródło stosunków ekonomicznych, księga sądowego kodeksu, wreszcie szkoła nauk moralności życiowej. Kiedy nad krajem naszym zabłysła jutrzenka chrześcijaństwa, fundamentem moralności stał się obowiązek religijny. Pismo święte i przepisy wiary wywarły swój wpływ i na pierwotne wyobrażenia i na obyczaje barbarzyńskie. Nauki dawane w kościołach podmyły prastare instytucye, które w wielu względach winny się były do nich stosować. Ustawy świeckiego i duchownego prawodawstwa, wola monarchy i klasy krajowi sterujące, wszystko to wprowadziło «nowy żywioł do obyczajów ludowych.» Już poczynały z zagranicy wkraczać do nas obce urządzenia i zwyczaje, ale nie mogły wszystkiego, co dotąd byt narodowy stanowiło, wyprzeć lub usunąć. Niejedno prastare pojęcie lub obyczaj do nowej wiary przystosować się nie dały, owszem, często w jaskrawej były z nią sprzeczności.

Urządzenia polityczne w Polsce z czasów Mieszka zburzyły przedewszystkiem dawny sposób władania ziemią. Aż dotąd była własnością rodu, odtąd jednak przeszła do rąk księcia, ten zaś rozdawał ją wedle woli, lub za opłatą pewnej daniny uprawiać pozwalał. Z biegiem czasu przez wkładanie większej pracy w ziemię, podniosła się jej wartość, hodowla pomnażała stada zwierząt domowych, zwiększyło się koło prawdziwych lub urojonych potrzeb służących do zaspokojenia jednostek. Jednocześnie daje się spostrzegać większa dążność do wyodrębnienia rodziny. Młodsze rodzeństwo pracując koło roli, tem samem chciało przypadającą po rodzicach ojcowiznę w ręku swoim zatrzymać, stąd coraz większe roszczenia do prawa dziedzictwa. W końcu prawa rodowe gasną i zanikają w świetle praw jednostki.

Przystępujemy do innego prawa członków rodu, jest niem: wzajemny obowiązek pomocy, obrony i nagradzania krzywd. W społeczeństwach pierwotnych na straży bezpieczeństwa jednostek stał ród. W jego ręku spoczywały środki do nadania opiece należnej powagi i siły, co potem dziedziczą państwa. W chwilach nieszczęścia lub trudnych okolicznościach wszyscy członkowie rodu winni sobie wzajemnie pomagać.

Podobny przykład znajdujemy dziś jeszcze u ludów plemion pierwotnych. Kiedy naprzykład ktoś z rodu wstępuje w związki małżeńskie, cała gromada zajęta jest koło budowy domu dla nowożeńców. I nasze obyczaje weselne zachowały ślady podobnej spólnej pomocy.

W obręb obowiązków rodu należy położyć również prawo odwetu czyli zemstę, która powszechnie panowała we wszystkich grupach społecznych. Kiedy jednostka stawała się już dojrzałym członkiem rodu, jego obraza lub zabójstwo było poczytywane za zniewagę, wyrządzoną rodowi i wymagało zapłaty.

U Australczyków zemsta za śmierć kogoś z najbliżej spokrewnionych uważaną jest powszechnie za najświętszy obowiązek, którego niewypłacenie pociąga za sobą ogólną zniewagę i pogardę. Kiedy zaś zemsta nie może być wykonaną — w wypadku, jeżeli zabójca ukryje się lub umknie, — wówczas odpowiada cały ród, do którego przestępca należy. W tej lub innej postaci prawo zemsty stanowi jeden z środków w obronie rodu, jeden z pancerzy publicznego bezpieczeństwa. Społeczeństwo, które je u siebie w członkach swoich wychowuje i umacnia, używa swego wpływu również na każdą jednostkę w celu utrzymania pokoju. Trudno tej sile żywiołowej, na pisanem prawie nie wspartem, odmawiać pożytku społecznego, skoro niema kodeksu karnego, ani innej instytucyi, dbającej o wymierzenie sprawiedliwości. Bo właściwie mściciel krwi swego rodu, lubo zemsty dokonywa w zapale i dziko, działa jednak po części z pobudek natury szlachetniejszej, w poczuciu spełnienia aktu, wiążącego się z bezpieczeństwem tej grupy społecznej, do której należy. Rozwój życia cywilizacyjnego odmienia kształty tej pierwotnej wendety, później zanika ona zupełnie. Z ewolucyą ekonomiczną, kiedy rozszerza się i rośnie gospodarstwo społeczne, a szczególnie w tej fazie, kiedy towar ocenia się pieniądzmi, prawo zemsty krwawej może być okupione pieniężnem wynagrodzeniem. Dwa owe stopnie rozwojowe zemsty rodowej, dają się spostrzegać jeszcze w Arabii, gdzie istnieją one obok siebie. Koczownicze ludy zachowały tu krwawe prawo zemsty, osiadłe zaś — trudniące się handlem w miastach — pobierają wynagrodzenie pieniężne, pierwotny bowiem sposób odbierałby spokój miastom, któreby temsamem nie mogły się swobodnie rozwijać. Podobnie było i u nas. Pierwotnie kwitła w Polsce krwawa zemsta, później zmieniła się w ugodę między zwaśnionymi rodami. Wreszcie znalazła wyraz

w karze pieniężnej, której wysokość zależną była od tego, czy winny należał do stanu wolnego, czy też był poddanym.

Prawo polskie żąda «pokory» za zabójstwo. W ustawach z XV. wieku, na Mazowszu obowiązujących, znajdujemy formuły, podług których owa «pokora» wobec krewnych pokrzywdzonego winna być czynioną.

Nasze monografie rzuciły wiele światła na to prawo zemsty, którego ślady sięgają czasów bardzo do nas bliskich, bo drugiej połowy XVI wieku. Jest pewien zakres obelg, które i dziś krwią jedynie okupione być mogą... W pomnikach, jakie się do dni naszych zachowały, widzimy już prawo zemsty w jego formie zanikowej pod postacią «wróżdy». Obowiązuje ona t. z. «zjechanie», mianowicie wydalenie zabójcy. Akt pokory, który należał się krewnym zabitego, składano w następujący spasób: «Na cmentarzu, na świeżej mogile zamordowanego ojca staje osierocony syn, otoczony gronem krewnych i przyjaciół. Zbliża się ku niemu z orszakiem dwunastu krewniaków zabójca ojca, po pas obnażony, na szyi wisi mu rusznica, z której ofiarę swą zastrzelił, klęka przy grobie, pochyla głowę aż do nóg syna, oddając się cały w moc jego. Ten walczy w duchu między wrogim odwetem a miłosierdziem, otaczający skłaniają go do pojednania». Wiadomość ta w aktach polskich przechowana, nabiera szczególniejszego znaczenia, jeżeli się ją zestawi z podobnemi wiadomościami o innych plemionach. Wtedy w zamierzchłe wieki pada snop obfitego światła i czyni dla nas dostępnem badanie tego tak powszechnego, do godności prawa podniesionego obyczaju. Zachowało się dotąd przysłowie: «Pokornej głowy miecz nie siecze», co ma swe źródło w zwyczaju proszenia o łaskę z mieczem na szyi. Na prawach polskich, które dopiero około XIV. stulecia spisywać poczęto, instytucya zemsty tu i ówdzie wycisnęła swe piętno. Najtrwalszym i najwyraźniejszym śladem tego prawa jest t. z. główszczyzna, często w literaturze z epoki Piastowskiej wspominana; dowodzi ona niezbicie, że i u nas zemsta utrzymywała się na wysokości prawa zwyczajowego. Była ona okupem, jaki składał winowajca rodzinie zabitego, żeby się od ciężącej nad nim zemsty uwolnić. Główszczyzna była składaną rodzicom, dzieciom lub przyjaciołom zabitego, co wyraźnie pokazuje, że poczęła się w dawnem prawie zemsty rodowej, na tej bowiem grupie osób spoczywał obowiązek pomszczenia śmierci. W statucie wiślickim czytamy: «Aczkolwiek *podług prawa ustawionego, że kto zabije kogo, tedy głowa za głowę*, ale my chcąc ulżyć, ustawiamy acz kto zabije rycerza, on ma dać jego ojcu i macierzy trzydzieście grzywien, a dzieciom albo przyjaciołom sześćdziesiąt». Również za szczątek prawa zemsty należy uważać następujący punkt w statucie wiślickim: «Ktoby dziewkę któregokolwiek stadła zgwałcił, a toby było doświadczono, tedy *żywot jego ma być na miłości tej i jej przyjaciół*». Statut zakroczymski z roku 1390 postanawia, aby krewni zabitego, jeżeli winowajca zbiegł, zagarnęli jego dobra, gdyby jednak udało im się zemstę wykonać, dobra winny być napowrót krewnym zabójcy oddane.

Następuje prawo rodu do przyjmowania w swe grono nowych członków lub cudzoziemców na podstawie adoptacyi. W pismach sięgających czasów najbardziej oddalonych, znajdujemy wiadomość o niewolnikach, których — skoro na śmierć skazani nie byli — przyjmowano do rodu. W nazwach i zawołaniach herbowych pozostał również ślad tego prastarego zwyczaju.

Każdemu rodowi przysługiwało prawo używania odrębnej nazwy, którą inne rody mienić się nie mogły. Nazwa ta trwała wieki całe i pokolenia, była własnością rodu i prawem dziedziczenia przechodziła na potomków. Rozmaicie objaśniają źródło

powstania nazw rodowych. Metoda etymologiczna, którą chciano prawdy dociec, sprowadzała często na bezdroża. Na tych manowcach powstało wiele nieprawdopodobnych baśni heraldycznych. Naprzykład herb Doliwa miał stąd powstać, że protoplasta tego rodu zamieszkiwał szmat ziemi, leżący w pobliżu miasteczka Liwy.

U ludów znajdujących się jeszcze w stanie pierwotnym ród zapożycza nazwę swą od zwierzęcia lub rośliny, co się zowie «totem» (od indyjskiego wyrazu dodem — siedziba), skąd wyprowadza wspólnego przodka. Skoro sobie ród wziął nazwę od pewnego zwierzęcia, natenczas zwyczaj zakazuje zabijania go, jedzenia zeń mięsa, a natomiast bierze nazwę z jego części lub przymiotów, szuka w niem pomocy i t. d. W ten sposób należy tłumaczyć powstanie niektórych starszych zwierzęcych «zawołań». W herbarzu naszej szlachty napotyka się takie nazwy, jak łabędź, lis, wilk. Przywodzą one na pamięć nazwy, używane przez ludy barbarzyńskie Afryki lub Australii. Zapytajcie tam członka rodu wilczego jakie imię nosi, a odpowie, że jest wilkiem, albo będzie naśladował ryk swego totema. Jeżeli zaś los umieścił go śród orłowców, natenczas rozwiedzie ręce naśladując lot króla ptaków. Każdy tam ród ma swoje uświęcone imię, jemu wyłącznie przysługujące, a urobione z totema, jego własności lub ściśle z nim związanych tradycyj. Syn pierworodny rodu łosiowców ozdobiony jest imieniem miękkiego rogu, takim bowiem jest pierwszy pęd rogu u łosia, po nim następujący mieni się żółtym rogiem, od drugiego rogu, który, po tamtym na łbie łosia wyrasta; trzeciemu użycza się imienia rozgałęzionego rogu i t. d.

Śród plemienia Omahów znajdujemy pewną liczbę gentów, znanych pod nazwą żółwiów, łosiów, bawołów i t. d.; chłopcy każdego z nich noszą czuprynę stosownie kwefioną. Tu i ówdzie zachował się zwyczaj wyszywania na piersiach wizerunku zwierzęcia. Należy to uważać za szczątek ogólniejszego zwyczaju, kiedy mianowicie całą postacią naśladowano zwierzę. U plemienia Omahów, kiedy w ich gronie przyjdzie na świat niemowlę, namaszczają mu na piersiach, plecach i ramionach czerwone plamy, jakie występują na czole młodego łosia. Ciekawym jest zwyczaj stosowany w podobnych wypadkach u Słowian południowych. Kiedy się tam dziecię narodzi, wybiega stara kobieta na ulicę i woła: «Wilczyca urodziła wilka», przyczem dziecko bywa przesuwane przez skórę wilczą, co ma być symbolem porodu, kawałek oka i serca wilczego umieszcza się w koszulce, a niemowlę odtąd nazywa się Wilkiem.

Przywiedzione przykłady każą się domyślać, że pierwotni ludzie ubierali się w skóry zwierzęce. Całe rody nosiły jeden strój. Byli więc ludzie — wilcy, ludzie — niedźwiedzie i t. d. Co też było powodem takiego naśladowania zwierząt? Jedni przypisują to skórom zwierzęcym, które z nieznajomości sztuki garbarskiej i tkackiej zaciągano na siebie. Inni tłómaczą zwyczajem myśliwskim. Przebrani w skórę lisa, łatwo mogli zwierza podejść. W wiekach zamierzchłych, kiedy oręż rzadko tylko był w użyciu, a robienie łukiem zależało wiele od osobistej zręczności, takie przebieranie ułatwiało gonitwę za zdobyczą. I za naszych czasów, kiedy Zuńczyk prześladuje antylopę, wydaje dźwięki pantery w celu ubezwładnienia i oczarowania zwierzęcia.

Zanim jeszcze u steru nawy państwowej stanęli książęta, obrona w społeczeństwie naszem organizowaną była za przewodem najstarszych w rodzie pod tak zwanem «zawołaniem». Początek owych zawołań czyli proklamacyj sięga czasów, po za linią dziejową leżących. Z biegiem wieków wyłania się z rodów szlachta, zatrzymując zawołania, jako rodowe nazwy. Najdawniejsze zawołania, o których tu i ówdzie

w pomnikach historycznych znajduje się wzmianka, należy odnieść do drugiej połowy XIII. wieku jak naprzykład Radwan, Gryf, Nałęcz i inne. W dokumentach starszych podanem jest jedynie imię osoby, czasem dodana i godność, a tu i ówdzie wia-

Futhork starszy

f u th a,ą r k ǵ w h n i j eo,i p R s t b e m l ng o d .

Futhork młodszy

fé, úr, thurs, óss, reid, kaun, hagl, naud, iss, ár, sól, týr, bjarkan, madr, lögr, yr

Z run, które są obu futhorkom, tak starszemu jako i młodszemu spólne, znajdujemy pomiędzy herbami polskiemi następujące:

naud, naud, tyr, R lub madr, R lub madr, madr, madr, lögr, j lub sól, i tyr, i tyr, i tyr

z futhorku starszego dostrzegać się dają następujące runy w herbach polskich:

g, gt, eo, eot, e, et, m, o, ot

Wreszcie z młodszego futhorku znajdujemy w herbach polskich następujące runy, mianowicie:

hagl, hagl i tyr, yr, yr i tyr, madr, madr i tyr, tyr, tyr i lögr, dwa lögry i tyr

Runy jako godła chorągiewne, na znak, że to mają być godła chrześcijańskich rycerzy, opatrzone zastały krzyżem chrześcijańskim.

Znaki wojskowe. Herby.

1. 2. 3. 4. 5. 6. 7. 8. 9. 10. 11 12. 13. 14.

Formacyja herbów Ulina i Owada.

1. 2. 3. 4. 5. 6. 7 8 9

1. Runa yr o tukowatem znamieniu. 2. Pie. Marka wojew. krak. z r. 1228. 3. Pie. Marka wojew. krak. z r. 1230. 4. H. Ulina wedle zapisek sądowych z XIV. i XV wieku. 5. Forma przejściowa z h. Ulina do h. Owada przez potrojenie krzyża, z czego się później wytworzyła korona o 3 liljach. 6. H. Owada wedle zapisek sądowych z XV. wieku. 7. H. Owada wedle h. Ambrożka z XVI. w. 8. H. Owada wedle rys. zamieszczonego w h. Giermańskiego r. 1621. 9. H. Owada u. Niesieckiego.

1. Znak wojskowy rodu seniora: runa wiązana R lub madr (o prostych znamionach), spólna obu futhorkom, połączona z tyrem. 2. Tenże znak w formie uświęconej. 3. Znak wojskowy rodów młodszych: sama runa R lub madr. 4. Tenże znak uświecony. 5. Pieczęć Mikołaja z Bogoryi wojew. krak. z r. 1334. 6. Herb Bogoryja. 7. Herb Bogoryja odmiana. 8. Herb Bogoryja Porębnych. 9. Pieczęć niewiadomego schlachcica powiatu bracławskiego z końca XVI. wieku. 10. Herb kniaziów Różyńskich. 11. Herb Pocisk Białokurowiczów. 12. H. Dederkało 13. Pie. Sułka kaszt. kr. z r. 1286. 14. Pie. Wawrzyńca z Ostrowa z. r. 1504.

53. Znaki i herby runiczne. (Wedle Piekosińskiego).

domość z kogo się rodzi (Gerwazowic, Trojanowic). Później wymieniano również nazwę dziedzicznej posiadłości, naprzykład Clemens de Ruszcza, Jaroslaus de Bogoria, i tym podobne, w XIV. wieku dzieje się to już na mocy powszechnie przyjętego zwyczaju. O znakach rodowych robią przypuszczenia, że posiadały też znaczenie ma-

giczne, tajemnicze, symboliczne. Rzeczywiście trudno się na niektóre nie zgodzić. Tak pojmują naprzykład swastyki, trykwetry, półksiężyce i t. p. Najczęściej używano w herbach znaków strzałek, podków, półksiężyców z gwiazdą lub innym dodatkiem, półpierścieni i krzyży o różnym kształcie. Znany na tem polu badacz Piekosiński w następujący sposób tłómaczy powstanie herbów polskich z run, to jest z liter, które były w użyciu u narodów północnych, mianowicie u skandynawskich.

Abecadło runiczne przestrzega, jak wiadomo, odmiennego od alfabetu porządku i ma sobie właściwy układ. Alfabet runiczny nazywa się futhorkiem, a to na podstawie pierwszych sześciu głosek po sobie idących (*f*é, *u*r *th*urs *o*so *r*eid *k*ann).

Odróżnia się tam dwa abecadła, starszy i młodszy. Niektóre znaki znajdują się w obu. Futhork starszy dłuższym jest niż młodszy i liczy 24 głosek. Futhork młodszy ma głosek tylko 16. Starszy był używany od IV. do VI. wieku, okres młodszego wypełnia czas od IX. do XI. wieku.

Przytaczamy na tem miejscu poczet run, których początkowo praojcowie nasi używali jako znaków wojskowych, później, kiedy weszły w życie herby, zdobili niemi tarcze.

Szmat ziemi między Odrą i Wisłą, jak przypuszcza Piekosiński, był kolebką państwa polskiego. Dało mu początek kilka plemion nadłabskich, które tu pod koniec VIII. wieku przybyły. Dowódzcy tych plemion przejęli od sąsiadujących z nimi Normanów duńskich zwyczaje rycerskie i pismo runiczne jako znaki chorągiewne. I to był pierwszy zarodek heraldyki polskiej. W średniowiecznem piśmiennictwie zachowały się jeszcze resztki z owych stanniczych znaków. Niektóre herby zatrzymały dotąd ślady pisma runicznego zupełnie w dawnych, lub też nieco odmiennych kształtach, tak naprzykład Kościesza, Bogorya, Lis i t. p.

Wojewodowie owych prastarych plemion dali początek naszej szlachcie, czego dowodzą zawołania herbowe, mające za temat imiona wojewodów, naprzykład Czewoja, Ocz, Zaworze i t. p. Czasem zawołania zatrzymują nazwy prastarych grodów, na brzegach Warty przez przodków naszych wznoszonych, bo i grodom użyczają imion wojewodowie, jak naprzykład Poznań, Gecz, Kostrzyn.

Oto w jaki sposób objaśnia Piekosiński dalsze fazy rozwoju herbów z run. Pierwszy okres tej ewolucyi przypada na chwilę przyjęcia przez Polaków chrześcijaństwa. Kapłani szerzący światło nowej wiary, niszcząc nie jedno, co zwyczajów pogańskich dotyczyło, nie zapomnieli i o runach, bo i one przypominały bałwochwalców. Atoli tutaj bezwzględność nie mogła znaleść zastosowania. W dużem poważaniu były u plemion nad Wartą przybyłych owe znaki runiczne. Stanowiły one znak widomy ich mocy hetmańskiej, były symbolem dynastycznym. Nie chcąc zanadto tubylców drażnić, trzeba się było obchodzić oględniej. To też apostołowie chrześcijaństwa pozostawili te godła odwieczne, dodając jedynie znak krzyża, na świadectwo, że odtąd mają służyć chrześcijanom. Druga faza przeobrażenia run liczy się od czasu, kiedy mianowicie, zamiast drzewa z przymocowanym na niem znakiem wojennym, używać zaczęto chorągwi. Zapomniano już wtedy o tem, że owe znaki pochodzą z czasów pogańskich i że je tylko znak krzyża uświęcił. Nareszcie trzecia, najważniejsza faza, rozpoczęła się od doby, w której polska heraldyka urabia herby, wzorując się na prawidłach, wedle których tworzono je w zachodniej Europie. Ta okoliczność dała początek herbom, najmniej niepodobnym do run, z których powstały. Naprzykład uświęcona runa madr przeobraziła się w Jastrzębca przedstawiającego podkowę z krzyżem, Szeliga w półksiężyc z krzyżem i t. p. Było to,

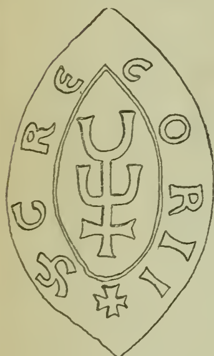

7.

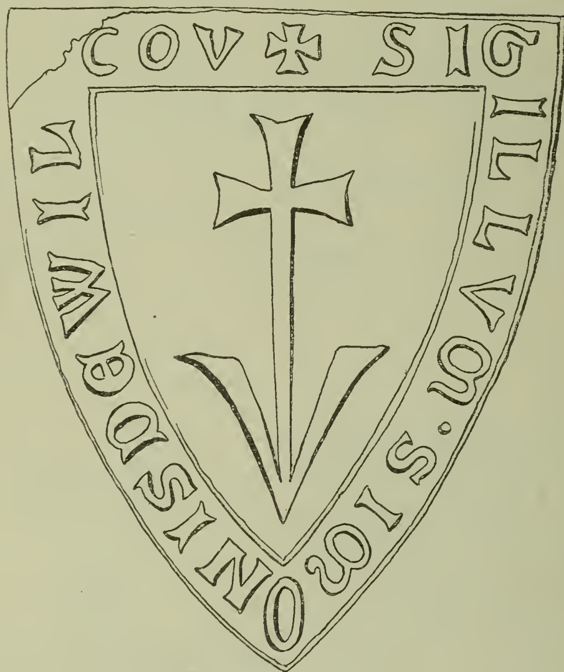

1.


13.


10.

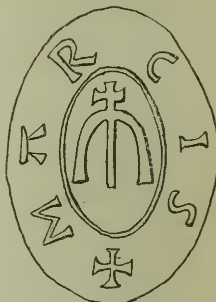

8.


11.


12.


5.


4


14.


2.


3.


9.


6.

54—67. Herby szlacheckie z runami.

jak się domyśla Piekosiński, gdzieś w drugiej połowie XII. wieku, najdawniejsze bowiem znaki chorągiewne jak naprzykład znak wojewody krakowskiego Marka, nie wykazują jeszcze żadnej dążności do uherbienia.

Do przytoczonych wyżej źródeł powstawania herbów dodaje Jabłonowski jeszcze źródło wschodnie. Herby tą drogą powstałe, mają być podobne do t. zw. tanch. Do takich między innemi należą: Cielątkowa, Jasieńczyk, Radwan, Ogończyk.

Zupełnie odmiennie tłumaczy Małecki powstanie herbów polskich. Uwzględnia on głównie wpływy rodzime. Oto jak mniej więcej przedstawiają się jego wnioski.

Aż do końca XIII. wieku nie były w Polsce w użyciu stałe herby. Godła, któremi się szlachta nasza przed tem posługiwała, były to znamiona przygodne, osobiste, z kilku tylko kresek złożone. Możnaby je zaliczyć do kategoryi tak zwanych «marek domowych», jakiemi od najdawniejszych czasów naznaczano pewne przedmioty na dowód wyłącznej własności.

Do dnia dzisiejszego znajduje się odłam ludu polskiego, który zachował prastare formy tych znaków. Siedziba jego jest półwysep Hela, opłukiwany wodami morza bałtyckiego. Mieszkańcy trudnią się ryb połowem, to też sama miejscowość nosi miano Rybaki. Po śmierci każdego Rybaka — takie bowiem ma każdy z nich imię — na grobie, obok krzyżyka, zatykają i «merk», inaczej jego znak. Każdy z nich posiada swoje, jemu tylko przysługujące godło. Składa się ono zazwyczaj z paru kresek, któremi naznacza wszystkie przedmioty, stanowiące jego własność osobistą, jako to łódkę, wiosła i inne przyrządy rybackie. Małecki utrzymuje, że większa część znamion wojewodów, tudzież godeł mieszczańskich, albo rzezbiarskich, z przed roku 1300 powstały z podobnie prostych odznak, jedynie przez kombinacye kresek prostych, lub w łuk zgiętych, na kształt owych marek Rybaków.

I dziś jeszcze śród ludu można na podobne natrafić znaki. Bartnicy w okolicach nadbużańskich mają zwyczaj znaczenia swych pni, kreśląc na nich krzyżyki, kwadraciki i t. p. Znaki owe nazywają się «klepiami», a nazwa ta była ongi używana w praktykach wojennych.

Fala zachodniego prądu przeciągnęła nad Polską, kiedy na tronach siedzieli czescy Wacławowie. Ich panowanie oddziałało na język, obyczaj i cały ustrój społeczny. Pierwszy to raz w owym czasie spotykamy wyraz «herb». Jest on właściwie pochodzenia niemieckiego, myśmy go zapożyczyli podobno od Czechów. Nazwą rodzimą rodów są «zawołania». Już sama nazwa wskazuje, że mają one swe źródło w zwoływaniu członków rodu lub opola. Jeszcze za Bartosza Paprockiego, w niektórych wsiach opactwa tynieckiego, był zwyczaj, że w czasie potrzeb publicznych, spowodowanych gwałtem, lud miejscowy zwoływał mieszkańców wsi okrzykiem: Starza! Starza! Za rządów Jagiełły dwadzieścia rodów połączyło się w jedno bractwo (fraternitas). Akt do dni naszych zachowany mieści przyrzeczenie wzajemnego niesienia pomocy w razie, gdyby który z połączonych rodów doznał skądkolwiek krzywdy. Czytamy tam między innemi: «Jeżeli kto związkiem niniejszym z nami zbratany, w chwili stanowczej potrzeby słowem swojem proklamacyjnem zawoła o pomoc i obronę ze strony rodów, należących do związku, w takim razie wszyscy i każdy z osobna bracia i związkowi przytomni zdarzeniu, słyszący to zawołanie, zbiegać się do niego i nieść mu pomoc winni». — Słowa powyższe świadczą nieodbicie, że proklamacye były w używaniu w celu zwołania rodów, w razie gdy jawiła się potrzeba

gromadnego wystąpienia. Służyły one i w innych wypadkach za hasło, szeregujące rozproszone tu i ówdzie siły. A dotyczyły nie tylko mieszkańców jednej osady. Owszem czasem na odgłos zawołania, zbiegała się raźno ludność wsi okolicznych, w jakikolwiek sposób stanowiących jednostkę społeczną. W burzliwej owych wieków dobie różne bywały powody podobnych alarmów. Więc przedewszystkiem klęski elementarne, jak powódź, pożar, dalej bójki, najazd awanturniczego sąsiada, a bywało i gęsta chmura dziczy tatarskiej. Skoro zdala ujrzano groźne tumany kurzu, zwiastujące zbliżanie się barbarzyńskiej hordy, lub pochwycono języka o napadach w okolicy, wtedy na dane hasła ożywiały się drogi wiejskie ciągnącem zewsząd rycerstwem i pachołkami. Oczywiście w epoce tworzenia się silnej organizacyi politycznej i zaprowadzenia stałej siły wojskowej, owe nawoływania mniejszą odgrywały rolę, niżeli w dobie wcześniejszej, kiedy każda niemal osada w wypadkach ciężkich winna była sama dbać o obronę. Wtedy owo tłumne gromadzenie się zewsząd ludu stanowiło jedyną niemal rękojmię powszechnego spokoju i bezpieczeństwa. Zresztą zawołania nie tylko gromadziły ludność w oznaczonem miejscu przed rozpoczęciem wojny, ale i podczas walki służyły jako znak, którym nawoływano bojujących do stawania w hufcach.

W herbach znajdujemy też zawołania, które w jakikolwiek sposób można było uprzystępnić zmysłom. Korczakowie mieli swe znamię w korczaku, co oznaczało czaszę, czy naczynie gliniane. Rodziny, posługujące się zawołaniem «Kot» nie sądziły, żeby im owa nazwa, od zwierzęcia zapożyczona, ubliżała. Zawołanie «Rogale» znalazło wyraz w dwóch rogach: jelenim i bawolim i t. p. Godło otrzymywano od zajęcia, skłonności osoby lub rodziny. Pieczęcie duchowieństwa z XIII. wieku mają znak krzyża, kielicha, księgi ołtarza i t. p., na co oczywiście wpłynął zawód kapłański. Szlachcic polski zatrudniony koło roli, goniąc za zwierzyną żył w bliskiem pokrewieństwie z naturą, to też od niej zapożyczał znaków do swych herbów. Ale ponieważ uprawiał również rzemiosło wojenne i ta dziedzina często udzielała mu matetryału do utworzenia herbu. Będąc chrześcijaninem i chcąc tę wiarę swoją w godle odznaczyć, dodawał naprzykład do broni swej krzyż. Niekoniecznie jednak dodawanie krzyża należy odnieść do czasu przyjęcia chrześcijaństwa. Najczęściej znajdujemy w herbach znak podkowy i strzały. Bo też duże miał znaczenie w boju dzielny rumak, a większe jeszcze bystre oko strzelca, który łuk naciągał i puszczał strzały na nieprzyjaciela. Ziemiaństwo dostarczyło herbów takich jak brug (leszczyna). Znamiona te, później bogacone dodatkami, służyły jako herby całym rodzinom, które je na osobistą i wieczną brały własność. Naprzykład Lis i pokrewna mu Kościesza, Radwan, Świerczek, Gerałt i następujące pięć na temacie krzyża głównie opartych herbów: Dębno Tarnawa, Prus, Pilawa, Bojna, zalicza Małecki do kategoryi najstarszych, przedherbowych znaków.

Aż do końca XIII. wieku, za odznakę jedności rodu, służyło samo zawołanie. W XIV. wieku rody przyjmują wspólne godła i odtąd one już stanowią symbol solidarności. Poczem oba pojęcia topiły się w jedno. Trudno już dziś zrozumieć zawołania bez herbu, a herb bez nazwy, którą zawołanie użyczyło.

Ustalenie godeł rodowych nastąpiło najwcześniej na Śląsku. Spotykamy się tu bowiem z tym wypadkiem dziejowym w XIII. wieku, kiedy w innych ziemiach polskich przypada o jakie sto lat później. Pierwotne znaki napieczętne nie były używane inaczej, jak w znaczeniu znamion osobistych. Do XV. wieku nie używał szlachcic polski tarczy herbowej, dostojnik, piastujący godność wysoką, nie widział nic ubli-

żającego w rytowaniu herbu na wolnem polu. Napiwon butnego Maćka Borkowicza w pieczęci z roku 1343 «strzyże bydlęcemi uszami» bez podkładki, ale herb jego z roku 1352 ma już za podstawę tarczę. Owo używanie tarcz w herbach zapoczątkowano na Śląsku, stąd się już po całej Polsce rozpowszechniło.

W wizerunkach dzisiejszych herbów znajdujemy dwie części zasadnicze: godło na tarczy lub, jeżeli jej nie ma, na wolnem polu, co zajmuje dolną połowę herbu, a górną zdobią ornamenty, które w heraldycy noszą miano klejnotów w ścisłem słowa znaczeniu. Druga ta część składowa herbu weszła w użycie nieco później niż tarcza. Pierwszy wprowadził ją w życie książe opolski Władysław, dopiero w r. 1234. W ślady książąt poszło i rycerstwo, które swe tarczy i hełmy uświetniało ozdobami.

Lecz wróćmy do rodów. Wspomnieliśmy, że pierwszem ogniwem społecznem był ród. Ten zaś w drodze rozwoju przybiera kształty opola, które składając się z pewnej liczby rodów, stanowiło już bardziej złożoną jednostkę społeczną. Zabytki prawa polskiego z XII. i XIII. wieku noszą wyraźne piętna, wyciśnięte przez te szersze organizacye społeczne. Jeżeli w obrębie jakiego opola zdarzyło się morderstwo, a sprawca nie został schwytany, leżał na niem obowiązek zapłacić przepisaną grzywnę. Później wynagradza straty kradzieży, jeżeli odmawiało pomocy w szukaniu winowajcy. Ciężyła na niem kara pieniężna, jeżeli nie spieszyło z ratunkiem napadniętemu na drodze publicznej. Opole niosło spólne posługi publiczne, spólnymi kosztami płaciło daniny, dźwigało równe ciężary i posiadało spólne obrzędy religijne. Instytucye opola mają wiele punktów stycznych z greckiemi *fratryami*, są podobne do rzymskich kuryi i do bractw, spotykanych u ludów w stanie pierwotnym. Związek ten byłby nie do pomyślenia, gdyby się społeczeństwo nie składało z plemion, tak samo jak niemożliwem jest istnienie plemienia bez rodów.

Instytucya opola sięga niemal kolebki społeczeństwa. Skoro z gęstych kniei i oparzelisk poczęły się wychylać pierwsze osady, a potem wsi, jako połączenie owych osad, zamieszkałych jeszcze przez członków jednego rodu, budzi się do życia federacya kilku lub kilkunastu wsi ze sobą sąsiadujących.

Niektórzy z badaczów sądzą, że opola powstały właściwie z rozrodzenia się starej osady. Z biegiem czasu, kiedy rosła ludność praojcowizny, trzeba było ziem nowych, siedzib innych i oto dokoła zabuduwują się kolonie. Ten związek pokrewieństwa osad pewnej okolicy dzierżgał mocne węzły solidarności opola. Lubo sprawa ta nie jest dokładnie zbadaną, trudno nie przyznać, że związek opola łączył głównie osady, znajdujące się blisko siebie. Szczególnie wieki zamierzchłe, niehistoryczne, kiedy ziemia nasza bardzo skąpo była zaludnioną, wykazują ogromne znaczenie sąsiedztwa. Kiedy jeszcze tu i ówdzie budowano osady, stanowiące ogniska zaludnienia, silny musiał być związek pobliskich wiosek. Z oddalonemi wsiami nie otrzymywano prawie żadnych stosunków. Ogromne przestrzenie ginących gdzieś za horyzontem borów, moczary bez końca, bezludne i głuche pustkowia, czyniły wprost niemożliwem stykanie się daleko od siebie położonych wiosek. Ile natomiast na tem ponurem tle smutnej i odwiecznie milczącej natury musiał się silniej nawiązywać związek między osadami znajdującemi się w pobliżu. Wiele tu również znaczyły całe szeregi lat wspólnie przebyte, te same zajęcia, interesy, wreszcie budzące się tradycye. Jak silnem było owo poczucie wspólności i pokrewieństwa, dowodzi okoliczność, że i później nie wiele straciło mocy, kiedy się już lud nasz rozmnożył, a korczując puszcze i ożywiając pustkowia, kraj powoli pokrywał siecią wsi i osad.

Granice i rozległość opola zależały od wielu warunków. Odegrało tu rolę i położenie topograficzne i względy komunikacyi i osadnictwa warunki. Później opola niezmiernie się rozszerzają. Jedno z nich, Chojnickie, leżące w północnej części Poznania, liczyło 41 wsi. Po nad sąsiadującemi opolami stał wspólny gród, ognisko targu w czasie pokoju i schronienie w wypadkach najazdu nieprzyjaciela. Ten gród opolny jest zarazem siedliskiem roków czyli orzeczeń rozsądzających sprawy sporne. Tutaj również znajduje się magazyn, dokąd wsi opolne zwożą zboże, pędzą bydło na rzeź, na wypadek oblężenia. Podatki «osep» i «narzaz«, pobierane w okresie panowania książąt, tu mają swój początek. Gród jest zarazem stolicą przewodnika, który i wyniesiony i z godności wyparty, może być jedynie mocą uchwały powziętej jednomyślnie na zgromadzeniu rodów, których głos rozstrzyga zresztą o wszystkiem, co dotyczy opola. Każdy w skład opola wchodzący osobnik winien się był do owej uchwały nakłonić. W razie przeciwnym bito go kijami, a jeżeli się publicznie opierał, niszczono mu dobytek. Dobrze pojęty interes własny budził we wszystkich pieczę o dobro ogólne. Szkodliwe opolu jednostki były powszechnie piętnowane. Każdy był pewien, że wyrządzona szkoda bezkarnie nie ujdzie i to wewnętrzne przeświadczenie było tarczą publicznego spokoju. W takich warunkach poczucie obowiązku publicznego bujnie się krzewiło i było dla opola nie małą dźwignią spokojnego rozwoju i wzrostu. To też późniejsze rządy książęce skupiły na tej prastarej opola instytucyi baczną uwagę i do celów swoich wyzyskiwały, ustanawiając zasadę solidarności w ściąganiu grzywien lub danin. Opole było zobowiązane dostarczać do skarbu książęcego większą część podatków i samo je między swoje części składowe dzieliło. W razie jakiego gwałtu lub innej niepomyślnej okoliczności każdemu z członków opola przysługiwało prawo zwołania wiecu. Wtedy po wsiach roznoszono laskę opolną z wiadomością, gdzie i kiedy ma się lud gromadzić. Kto laskę pierwszy otrzymał, winien ją był nieść dalej. Ani pilne w domu zajęcie, ani słota lub zawieja śnieżna nie zwalniały z obowiązku. Laska musiała być bez względu na wszystko doręczoną sąsiadowi. I w ten sposób obiegała ona wsie i osady, dając znać o zwołującym się wiecu. Piękna zachowała się tradycya o gorliwości z jaką ten obowiązek wówczas pełniono. Pewnego razu dostała się laska zgrzybiałemu starcowi. Był ów tak wiekiem zmożony, że jeno w porze południowej wychodził z wielką trudnością na ulicę, żeby się ciepłem słonecznem ogrzać. Laskę otrzymał wieczorem, kiedy synowie i wnuki nie wrócili jeszcze z pola. I oto siwy jak gołąb staruszek powlókł się, dotarł z trudnością do szopy i skrzesił ognia. Zbiegli się ludzie ze wsi okolicznych, zwabieni łuną pożaru, staruszek mógł obowiązku dopełnić i doręczyć laskę. Opowiada dalej legenda, że tejże nocy z nadmiaru wysilenia skonał, ale przed śmiercią radował się w duchu, że przy nim laska nie ugrzęzła.

Lud gromadził się licznie na opolnych wsiach. Brak było jedynie wiekowych starców, kalek i wyrostków, tych ostatnich na wiec nie puszczano. Pod naciskiem jednolitej opinii szybko następowała zgoda i uchwały zapadały prawdopodobnie jednomyślnością. Z biegiem czasu poczęły opola łączyć się w związek wyższego stopnia. Tworzyła się organizacya plemienna. Dopiero z plemion w miarę rozrostu inteligencyi śród mas ludowych, wyłonił się naród polski, jako związek plemion.

W czasach przedhistorycznych zamieszkiwały ziemię polską kilka różnorodnych plemion. Odrośl szczepu słowiańskiego mająca swe siedziby na zachodzie, uschła i od ogólnego pnia odpadła, zanadto bowiem wystawioną była na wpływ niem-

czyzny. Ocalał jedynie pas środkowy i wschodni, silnie scałkowany, dzięki podbojowi Piastowiczów, których potęga z nadwiślańskich brzegów i łanów polańskich rozszerzała się dokoła. Całe pasmo wieków przesunęło się nad ziemią polską, a jednak nie zatarły się cechy odrębności plemiennej rozmaitych części składowych, nie zgniótł ich ciężar organizacyi państwowej i dziś jeszcze po ośmiu stuleciach wspólnego pożycia występują wyraźnie odmienne kształty etnograficzne.

Przed połączeniem ziem polskich w państwo, dokonanem za czasów historycznych istniały może na ziemi naszej federacye plemion, których zlanie wytworzyło naród. Nader niezłożonej natury były zapewne warunki powstania i zasady, wedle których posuwał się po drodze rozwojowej. Jeżeli plemię rozszczepiło się na kilka grup rozmieszczonych po sąsiadujących gruntach, federacya znowu je w jeden związek łączyła na podstawie wspólności rodów i pokrewieństwa narzeczy.

Oba te pierwiastki, wspólność rodów i pokrewieństwo narzeczy były kitem spajającym powyższe związki. W rodach więc miała federacya jakby podstawę i środek, język zaś szczepowy był niejako jej obwodem. Jest to bowiem faktem powszechnie znanym, że żadna z federacyi nie przekroczyła granic zakreślonych wspólnym językiem.

W owych związkach czyli federacyach szczepowych uderza przedewszystkiem charakter religijno-polityczny. W niektórych miejscowościach, jako w uświęconych, gromadziły się w pewnych porach roku masy ludowe. Tam składano bogom wspólne ofiary, wyprawiano uczty, poczem następowały narady w sprawach, cały związek obchodzących. W takich obradach publicznych największy udział brali kapłani, oni bowiem najbliżej stali wyroków bożych, najlepiej ich wolę odgadnąć umieli. Dużą odegrali rolę w życiu politycznem owe tłumne zebrania. One podtrzymywały w coraz dalej kolonizujących się federacyach poczucie jedności i stały się zawiązkiem państwowych instytucyi ludów słowiańskich.

Z biegiem czasu, kiedy bogactwa bujnie się rozrosły, a ziemie coraz bardziej zaludniały, już pierwotna organizacya związku wystarczyć nie mogła. To też kiedy kraj nasz wspina się coraz wyżej po drabinie cywilzacyjnej, spólność rodowa coraz bardziej zanika i słabnie. Ostatecznie jednak wyparcie jej nastąpi dopiero po długim okresie czasu.

Skoro społeczeństwo nasze za przewodem książąt przybrało wyraźne kształty państwa politycznego, organizacya rodowa w górnych warstwach narodu odpadła, jak przeszłoroczna skóra z węża. Ale praojcowie nasi długo w niej trwali, i wiele pod jej skrzydłami zdobyli podstaw późniejszego rozwoju. Wszystko bowiem, co się tak możnie później w kulturze narodu naszego rozkrzewiło, ma swoje zródło w owej dobie zamierzchłej. Zabytki tej rodowej instytucyi zostaną na zawsze najcenniejszym skarbem, lubo nie ma o nich mowy ani w kronikach, ani nawet w dokumentach...

Badania socyologiczne wykazują, że każde społeczeństwo pozbywa się swej formy pierwotnej, odziewając w państwową, już to pod wpływem n a j a z d u innych, obcych plemion, już też skutkiem konieczności stałej o b r o n y przed najeźdzcami. Jeżeli najazd obcy rozstrzygnął o upaństwowieniu grupy społecznej, odbywa się to zazwyczaj w ten sposób, że zdobywcy stojąc u steru rządów, wpływają na zróżniczkowanie się jednolitego przedtem społeczeństwa, przyczem dzielnie im współdziałają warunki ekonomiczne. W wypadku kiedy upaństwowienie odbyło się dzięki potrzebie obrony, klasie wojowników, wyłaniającej się stopniowo z ogólnej

masy, dostaje się rola podobna do tej, jaką w innych społeczeństwach odegrali najeźdzcy.

Badacze genezy państwa polskiego dzielą się przeto na dwa obozy; jedni których przedstawicielem jest Piekosiński, dowodzą, że wytworzyło się ono dzięki obcemu najazdowi, drudzy z Małeckim na czele, sądzą, że dała mu początek obrona przed nieprzyjacielem, że więc społeczeństwo nasze wytworzyło się samorodnie. Na każdy sposób, jakie przyjmiemy teorye: najazdu czy obrony, przyznać musimy, że stosunki społeczne uległy w tym czasie radykalnej zmianie.

Nową postać przybiera kraj nasz z chwilą, kiedy go Piastowicze do życia politycznego zbudzili. Książę dzierzy swe berło despotycznie nad ludem, który od spraw publicznych usunięto zupełnie. Wiece ludowe ucichły, ludność wieśniacza bez własności. Ustrój rodowy rozpadł się w gruzy, zostawiając tu i ówdzie historyczne ślady. Już nie lud obiera sobie starostę, w jego miejscu dzierzy nad nim władzę, z ramienia księcia postawiony, comes grodowy, który prawie nikomu z swoich czynności liczby nie daje. Powstają organizacye grodowe, które niby pancerze młodego państwa bronią go od wrogich najazdów. Znajdującą się tam załogę, rycerstwem władycznem zwaną, musiała okoliczna ludność wieśniacza żywić i utrzymywać. Powstały w tym celu odnośne daniny, jak naprzykład tak zwana «stróża», składana przeważnie w zbożu. Nadto niektóre wsi u stóp grodu położone, winny były świadczyć pewne usługi. Narocznicy (wieśniacy) pełnili kolejno obowiązki koniarzy, skotników i t. d.

Trudno bez zastrzeżeń powiedzieć, co mianowicie ten przewrot polityczny sprowadziło, w czem tkwi źródło tej radykalnej zmiany, jaką społeczeństwo nasze w tej zamierzchłej przebyło dobie. Jedni twierdzą, że był tu głównie czynnym najazd ludów z Pomorza i z za Odry, który jak gwałtowny wicher zburzył pierwotną organizacyę plemienną, stawiając na jej miejscu rządy absolutne. Miało to się odbyć z końcem VIII. czy na początku IX. wieku.

Inaczej tłumaczą ten przewrot dawniejsi historycy. Podług nich wybiła się nowa monarchia podbojem, dokonywanym przez Piastowiczów na pomniejszych książętach, władających ziemiami, które po tem weszły w skład państwa polskiego.

Możnaby przypuścić, że władza książęca powstała z żupańskiej czyli starościńskiej. Książę bowiem był zrazu tylko przedstawicielem rodu. Dopiero później, kiedy wskutek powtarzających się napadów zewnętrznego wroga wyłoniła się potrzeba organizacyi wojskowej, należało stosować wiekszą niż w czasie spokojnym dyscyplinę, a tem samem z początku może w imię celów ogólnych sprężystszą nadano władzę owym przedstawicielom rodu. Z biegiem czasu umacniała się ona i potężniała, a później książę zatrzymywał rządy już i wtedy, gdy wawrzynami okryty wracał do kraju.

Podobnie niepewne jak te przypuszczenia, są wiadomości, dotyczące sposobu życia plemion zamieszkujących ziemie polskie.

Przy sprzyjających warunkach, gdy pożywienie nie jest zbyt skąpem, a wojna nie zbyt niszczącą, życie ras barbarzyńskich może być na swój sposób szczęśliwem i spokojnem. Na wyspach Indyi zachodnich, gdzie Kolumb po raz pierwszy wylądował, żyły plemiona, które nazwano «najłagodniejszemi z całej ludzkości.» Etnologowie wspominają o jednem nisko stojącem, biednem plemieniu Indyi południowych, niezwykłej uczciwości. Kurubar prędzej umarłby z głodu, aniżeliby ukradł ziarno powierzone jego pieczy, a jest tak prawdomownym, że danem słowem roz-

strzyga wszelki spór. Tymczasem ci, którzy walczyli z tym ludem, nazywają ich «potworami dzikości i zdrady». Tak się rzecz ma i z «łagodnemi» plemionami, zamieszkującemi dawne ziemie polskie. Sąsiedzi nasi Niemcy, zbyt pochopnie sądzą, że Polacy «żyli w niczem niekrępowanej swawoli.» Wiadomo jednak, że opinia publiczna była już u nich wielką potęgą, a sposób w jaki oddziaływała, zasługuje na szczególną uwagę. Gromada mogła u nas zgnieść człowieka podłego i tchórza piętnem wzgardy. Wszechwładna ta pani krępowała człowieka pierwotnego, ona stała też na straży zwyczajów, które powstały dla dobra społecznego, naturalnie wedle owych grubych pojęć. Uznawano u nas, jak w ogóle w krajach dzikich, za słuszne, okazywanie gościnności wszystkim przybyszom, a jako powód podają, że «może kiedyś sam jej potrzebować».

Łagodność lub dzikość, napotykana u ludów barbarzyńskich, wychodzi na jaw i w stosunku do ludzi wiekiem steranych. U niektórych plemion barbarzyńskich starcy otaczani są uszanowaniem i pieczą, nie wszędzie to jednak ma miejsce. Owszem znamy wiele takich plemion, gdzie się dzieje wprost odwrotnie. Dzikie ludy, zamieszkujące Brazylię, rozbijały niedołężnym starcom głowę maczugą, czy to w celu, żeby się od ciężkiej troski utrzymania ich uwolnić, czy też może sądzą, że wyświadczą dobrodziejstwo, skoro pozbawią życia ludzi, nieprzystępnych rozkoszom zmysłowym, nie biegnącym na pole walki.

Wendowie pielęgnowali straszny zwyczaj skazywania starców i kalek na śmierć przez gotowanie, poczem spożywano ich mięso. Czasy się jednak z lat biegiem zmieniły. Do tyla wówczas dręczony ojciec rodziny, skoro wieku sędziwego dobiegł, teraz rozdziela swe mienie między rodzeństwo, zasiada w spokoju przy ognisku rodzinnem i dni ostatnie pędzi w ciszy, bez trosk, otoczony kochającemi dziećmi i wnukami. W tradycyi ludu krakowskiego prawo ojcobójstwa odniesionem jest do okresu istnienia olbrzymów. «Ludzie — powiadają tu — zjadali wówczas gdzie tylko co było, wszystkiego widziała się odrobina dla takich obrzymów. Więc wyszedł rozkaz od starszyzny, ażeby każdy syn, jak się ożeni, ojca swego zakopywał w dole. Tak kopali dorośli synowie ogromne doły i zakopywali ojców żywych, żeby ich nie objadali».

Kiedy się już pewien dobrobyt u ludu ustalił, przestano uważać za rzecz słuszną, na mocy przysługującego prawa obyczajowego pełnioną zbrodnię nad ojcem lub porzucanie go w celu wyzbycia się z trosk, które na barki synów i wnuków spadały. Atoli nie tak szybko zwyczaj ten ustał. Długo jeszcze, jak donoszą dzieje, nawet już w czasach historycznych, panowała śród ludu ta srogość obyczajów. Do dziś istnieje w niektórych okolicach Polski zwyczaj wynoszenia umierającego starca z łóżka na barłog, aby mu zgon uczynić lżejszym.

Istniał także na Pomorzu zwyczaj zabijania dzieci płci żeńskiej, który jeszcze w półtora wieku po przyjęciu chrześcijaństwa dawał znaki życia.

W trudnych okolicznościach życia, kiedy siły własne nie starczyły do rozstrzygnięcia spraw zawiłych, udawano się do potęg boskich, wyzywając ich opieki i pomocy. Były to tak zwane «sądy boże» (ordalia). Znanym jest powszechnie zwyczaj praktykowany u Indyan w celu wykrycia prawdy, jeżeli zostało popełnione jakieś przestępstwo i nie zdołano odkryć sprawcy. Zmusza się wtedy złoczyńcę do przełknięcia garści ryżu. Ma to tak ogromny wpływ na winowajcę, że w obawie, żeby się ryżem nie udławić, przyznaje się do wszystkiego. I na ziemi angielskiej długo przechował się ten zwyczaj, a nie musiał być obcym i naszym przodkom, skoro się

dotąd daje słyszeć przysłowie: «bogdajbym się udławił tym kawałkiem, jeżeli kłamię». Za dni niemal naszych zdarzały się wypadki «pławienia» czarownicy. Rzuca się ją do wody w tem przekonaniu, że święty żywioł wyrzuci przestępcę, a sprawiedliwego przyjmie. Dawna ta praktyka sądowa, mieszcząca się w starej hinduskiej księdze ustaw Manu, była prawnie stosowaną w Anglii do wieku XIII. u nas zaś do XVIII. wieku.

W stosunkach obu płci panowała w owych czasach swoboda wkraczająca — wedle naszych obecnych pojęć — w dziedzinę rozpusty. Jaskrawy przykład mamy w małżeństwie. Młodzi małżonkowie nie poślubiali dziewcząt. Skoro się bowiem te ostatnie rozwinęły dostatecznie i poczynały odczuwać pragnienia, wychodziły często na noc całą z domu i wracały rankiem, nasycone rozkoszą. Było to do tego stopnia powszechnem, że kiedy pan młody dowiedział się, iż poślubił dziewicę, odpychał ją w przekonaniu, że gdyby coś była warta, byłby się ktoś na niej poznał.

Oczywiście stosowalibyśmy pojęcia nie odpowiadające czasowi i jego warunkom, gdybyśmy tu chcieli szukać czystości obyczajów. Za dni naszych jeszcze swoboda w tym kierunku jest tak wielką, iż w niektórych okolicach, naprzykład u Kurpiów, zanim nastąpią związki małżeńskię, żyje przyszły mąż ze swą narzeczoną przez pewien czas «na próbę». Porywano też dziewczęta, czego ślady przechowały się w obrzędach weselnych i w innych wskazówkach. To też nie były lubą idyllą czasy prastare. Często mąciła się cisza krwawem rozwiązaniem.

W małżeństwie nie odgrywało rolę przywiązanie, ani też nie wchodzono w związki przez miłość. Uczucia te powstały dopiero później, na wyższym szczeblu drabiny rozwojowej. Głównym motywem była tu wygoda albo potrzeba. Dla tych powodów o małżeństwie młodzieży stanowili rodzice, w ogóle starzy, nie pytając się o przyzwolenie czy wolę mających się pobrać. Mocą głęboko zakorzenionego obyczaju dzieci szły ślepo za rozkazem starszych. I za dni naszych zawierają się jeszcze małżeństwa z woli rodziców. Podarunki, składane krewnym panny młodej, wskazują również na rodową zależność nowożeńców. Długo już istniejący zwyczaj, tak zwany «wspomożenia», polega na tem, że krewni panny młodej składają się na wiano i gospodarstwo skojarzonej pary. Młoda dziewczyna przed aktem zawarcia małżeństwa obchodzi wszystkich gospodarzy wsi, co się nazywa «chodzić za wspomożeniem», a każdy obdarza ją jakimś przedmiotem do zagospodarowania potrzebnym. Jest to szczątek prawa obyczajowego, na mocy którego sioło winno było złożyć pannie młodej wiano i dopomódz w urządzeniu.

Powoli wyosobniała się rodzina w pierwotnem społeczeństwie polskiem. Zazwyczaj kilka ich żyło pod spólnym dachem, prowadząc spólne gospodarstwo. Już ta okoliczność dowodzi, że rodzina sama przez się walce z trudnymi warunkami bytu podołać nie mogła. Forma rodziny patryarchalna, należąca do okresu barbarzyńskiego, dosięgała u nas czasów historycznych. Wiemy naprzykład, że książęta żyli w wielożeństwie — Mieszko był małżonkiem kilku naraz niewiast — ale z drugiej strony pamiętać należy, że wielożeństwo nie stanowi rdzennej cechy rodziny patryarchalnej. Związek pewnej liczby osobników wolnych i niewolników, pracujących około gospodarstwa pod władzą ojcowską patryarchy — oto w czem się zamyka określenie rodziny patryarchalnej.

Powstanie jej przypada na tę ważną chwilę rozwoju grupy społecznej, kiedy jednostki nie zadawalniając się szczupłem kołem zajęć w obrębie rodu, pragnęły się wyzwolić z pod jarzma, jakie pierwotny ten związek rzucał im na barki. Więcej niż poprzednio indywidualna, bardziej uświadomiona, śmielsza, wyłamuje się rodzina

z pod praw rodowych, dąży do niezależności w życiu, żąda szerszych pól dla wzmocnionych sił swoich.

Szeroko zozpowszechnił się po świecie system patryarchalny. Nie ogranicza się bowiem jednym jakimś narodem lub rasą, owszem spotkać go można u każdego plemienia na niższym stopniu ewolucyi. Za dni naszych instytucya ta jest w poszanowaniu u indyjskich górali i — w takiej oddali od nich żyjących — murzynów afrykańskich. Stary testament przekazał wiele o niej wiadomości. W Rosyi i dziś jeszcze radzie «głów siwych» przewodzi starszyna, który może być uważany za spółczesnego przedstawiciela patryarchatu.

Oczywiście społeczeństwa biedne, złożone z ludzi o potrzebach słabo rozwiniętych i niewielkiej liczby, mogą żyć szczęśliwie i w zadowoleniu pod opieką tych siwych spokoju publicznego obrońców, będących u wszystkich w należnem zachowaniu. Ale ruchu w takim ustroju niewiele. Ospale posuwa się grupa społeczna, mająca w swem łonie stróżów często już anachronicznych tradycyi, w postaci praojców, którzy i silniej niż młodzi dawnym urządzeniom sprzyjają, i najczęściej na nowe niechętnem patrzą okiem. Nie powinien nas dziwić wszędzie powtarzający się fakt historyczny, że system patryarchalny zrazu żywotny i cieszący się ogólnem uznaniem upada, a na jego miejscu powstaje i rozumniejsza i bardziej sprężysta organizacya patrymonialna.

Głównym czynnikiem w tem przejściu były warunki ekonomiczne, to jest rozwój własności.

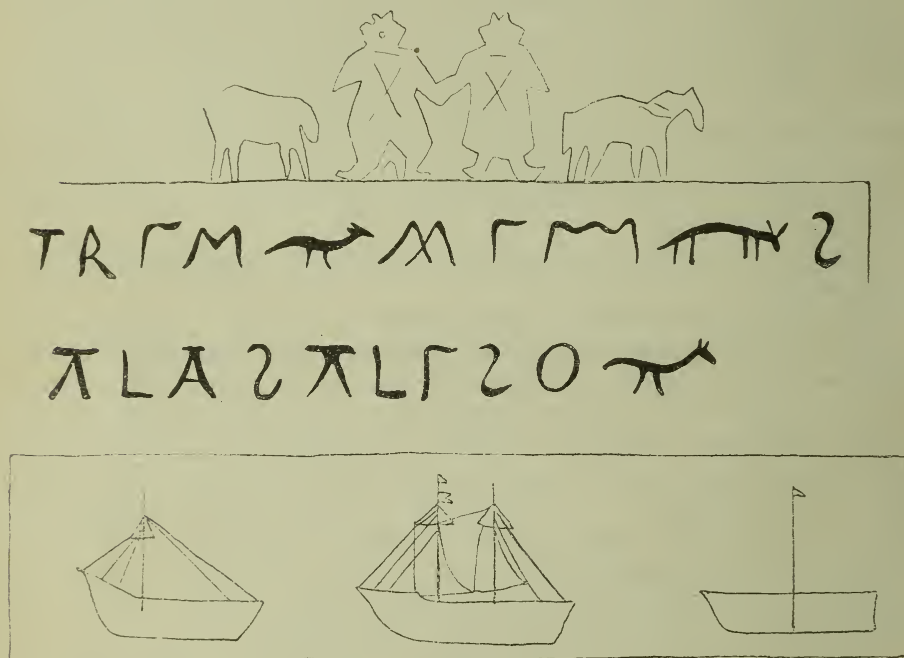
Zasada wspólnej własności — jak wspomnieliśmy wyżej — rozciągała się na wszystkie dziedziny bogactwa danej grupy społecznej, dopóki hodowla bydła stanowiła główne zajęcie plemion zamieszkujących szmat ziemi między Wisłą i Łabą. Ale stara ta instytucya z lat upływem musiała ustąpić miejsca innej, bardziej się stosującej do wyłonionych warunków i potrzeb. Wzmagający się dobrobyt pobudził ludność do porzucenia hodowli bydła, zmuszając chwycić się uprawy roli, karczunku puszcz i kniei. Jednocześnie z temi zmianami własność wspólna ustępuje miejsca własności indywidualnej. Zasiany łan zboża wymagał dużego nakładu pracy, to też ród nie mógł już do niego rościć pretensyę. Jednostka, która go swą pracą do wydawania owoców uzdolniła, słusznie go uważała za swoją własność osobistą. Odtąd w obręb własności wspólnej wchodzą jedynie lasy, pastwiska i wody.

Wolnym krokiem rozwijają się i mnożą te rolne osady. Wyższe okolice były pod tym względem szczęśliwsze, w niżej zaś położonych przez długie jeszcze lata trwa dawny sposób utrzymania życia, mianowicie hodowla bydła, a obok niej rybołowstwo i bartnictwo. Wsie tą drogą w gospodarstwa rolne zmienione z jednodworczych stały się wielodworczemi i zmieniły nazwę dziedzicznych na patronimiczne. Osady, noszące w czasie trwania własności wspólnej nazwy takie jak: Łętów, Wróblów i t. p., zapożyczone od naczelników rodów, obecnie stały się Łętowicami, Wróblowicami i t. p. Dotyczy to jednak nie dużej liczby osad, większa bowiem ich część zachowała stare nazwy dzierżawcze.

Pierwotni osadnicy kraju naszego należeli prawie wyłącznie do stanu wieśniaczego. Ani szlachta, ani władycy przed zaraniem naszych dziejów osad nie zakładali. Do takiego wniosku doprowadza Piekosińskiego rozejrzenie się w statystyce siół naszych. Na 14.000 wsi, nazwiska, urobione z imion wieśniaczych, nosi więcej niż 11.000, podczas gdy na imiona władycze przypada tylko 3000. Wsie, które nazwy zapożyczyły od osiadłych w nich jeńców, jak Czechy, Pomorzany, Prusy,

Płowce i t. p. są nader nieliczne; nie przekraczają liczby kilkudziesięciu. Taki był stan osadnictwa naszego w czasie przedhistorycznym.

W Polsce, zarówno jak w całej Słowiańszczyźnie, fundamentem, na którym rozwinął się później szeroko rozgałęziony i rozróżniczkowany ustrój państwowy, były stosunki patryarchalne. Państwo Mieszka I. posiada kształty patryarchalno-despotycznej monarchii, za wzór służyła tu zachodnia monarchia Karola Wielkiego. Przeszły do nas stamtąd dworskie i obszarowe urzędy, tam zapożyczyliśmy zwyczaje, stosując je do urządzeń rodzinnych. Przez pewien czas toczy się walka między obcemi pojęciami i formami, a rodzimemi: palatyn staje naprzeciwko wojewody, kasztelania walczy z opolem, aż w końcu z palmą zwycięstwa wychodzą formy zachodnie.



68. Okazy pisma obrazkowego.

Wynalezek pisma po przyjęciu chrześcijaństwa i form zachodu był ową dźwignią, która społeczeństwo nasze nachyliła ku zachodowi. Wyrywając je ze stanu barbarzyńskiego, wprowadził w koło narodów cywilizowanych. Wielkie pisma znaczenie daje się łatwo wykazać, kiedy porównamy społeczeństwo, które je posiada z takiem, któremu go brak. Nie może być mowy o zachowaniu dla późniejszych pokoleń spostrzeżeń, doświadczeń, ani wypadków u tych ludów, które pisma nie znają. Zdobycze umysłu, lubo w tych warunkach szczupłe, przepadają; wiadomości o przeszłych dziejach, opierając się na tradycyach, w pamięci ludu jedynie żyjących, podlegają licznym zmianom i dodatkom, czynionym często z potrzeby spożytkowania żywej wyobraźni. Dużo musi czasu upłynąć, zanim badania na podstawie tak niedokładnych podań, najczęściej w wysokim stopniu fantastycznych, będą mogły coś zgodnego z prawdą o przeszłem życiu takich ludów powiedzieć.

69. Okaz pisma obrazkowego. — Rachunek kowalski.

Przyuczeni od dzieciństwa do czytania i pisania, nie zastanawiamy się nad tem, jak olbrzymia rola owocom tych kunsztów przypada w rozwoju kulturalnym społeczeństw. Pierwszą próbę na tej drodze podjęły rasy niecywilizowane, stosując pismo obrazowe. Załączona rycina przedstawia próbkę pisma obrazowego, używanego śród myśliwskich plemion Ameryki północnej. Jest tu mowa o przeprawie przez jezioro; przewodniczy wódz siedzący na koniu z laską czarodziejską w ręku. Drużyna składa się z pięćdziesięciu ludzi, których rozmieszczono na pięciu czółnach. Pierwsze, którem przewodzi sojusznik wodza, imieniem Zimorodek, oznaczono wizerunkiem tego ptaka. Żółw ziemny, znane powszechnie godło ziemi, oznacza pewnie ich na ląd przybycie, trzy zaś słońca pod sklepieniem nieba, mają wyobrażać, że przeprawa trwała trzy doby. Naiwny ten sposób tłómaczenia na pismie polega na kreśleniu obrazów rzeczywistości. Można tu atoli znaleść pomysły świadczące, że nie zawsze stosowano nieuświadomioną zasadę naśladownictwa. Żółw naprzykład w niczem nie jest podobny do ziemi, którą ma oznaczać, jest tu użyty w znaczeniu godła lub symbolu. Wizerunek zimorodka, mający nasuwać czytelnikowi na pamięć nie ptaka, ale człowieka, noszącego to imię, wkracza już w dziedzinę pisma dźwiękowego, które polega na tem, że obraz stawia się zamiast dźwięku mówionego. Dalszy postęp w pisowni przedstawiają tak zwane rebusy. Gra ta, jak wiele zresztą tego rodzaju zabaw, zachowała w rozrywce to, czemu człowiek pierwotnie przypisywał znaczenie poważne, nie mające związku najmniejszego z odpędzaniem nudów. Stanisław Ciszewski opowiada, że w jednej z swych wycieczek po Moraskim Wataszku spotkał oryla, który używał do liczenia najzupełniej pierwotnego sposobu znaków, krajcar oznaczał zazwyczaj cyfrą 1. znakiem ⊙ = grosz, √ = 5 groszy, + = $^{1}/_{2}$ złr. reńskiego, ⊕ = cały złr. Kwota naprzykład: 6 złr. 16 groszy i 2 krajcary otrzymywała taki symbol: ⊕⊕⊕⊕⊕⊕+√○○ 11. Jeżeli wypadło mu robić rachunek większy, cały stół wtedy pokrywał się znaczkami, zastępującymi liczby arabskie.

Podajemy poniżej próbkę pisma obrazkowego z okolic Limanowy w Galicyi. Ma to być rachunek robót dostarczanych dworowi przez kowala, nie znającego pisma. Załączony tu rysunek przedstawia: 1. łańcuch, 2. podkowę, 3. lemiesz, 4. bronę, 5. koło, 6. klucz, 7. widły, 8. wóz, 9. gwóźdź, 10. rydel, 11. siekierę, 12. sztelwagę, 13. kosę, 14. podkowę ostrą. Cyfry oznaczają cenę.

Jest rzeczą niewątpliwą, że Polacy zanim poznali się z pismem łacińskiem, używali sposobu obrazowego. Cywilizacya ludów słowiańskich dążyła tym samym gościńcem, co cywilizacya innych narodów, trudno przeto przypuścić, żeby nie przebywała fazy, w której budzi się do życia ideografia. Mamy zresztą nieodbity dowód w wiadomości, którą nam mnich z końca IX. wieku Chrobry przekazał. Dowiadujemy się od niego, że Słowianie używali kresek i karbów (czrty i riezy) do liczenia i wróżby. Wyrzynane na drzewie lub innych przedmiotach kultu pogańskiego, znajdujemy je także na popielnicach z owej zamierzchłej epoki do dziś dnia zachowanych. Używanie karbów zachowało się zresztą do dni naszych. Na wsi niepismienni posługują się w rachunkach kawałkiem drzewa albo laską rozpiłowaną wzdłuż na dwoje, czyli karbem. Dni odbytej robocizny oznaczają w ten sposób, że na przystających do siebie częściach karbu, wyrzyna się tyle kresek, ile dni oddanej dworowi roboty odbyto. Jedną część zatrzymywał u siebie dziedzic, druga zaś zostawała u wieśniaka, który lubo był niepismienny, miał na rozszczepionej lasce ilość robocizny dokładnie spisaną. Używają dziś jeszcze karbu leśniczy, którzy tym pierwotnym sposobem oznaczają liczbę wyciętych drzew lub kłód z lasu wywiezonych. Stoso-

wanym jest on także przez wierzycieli i dłużników. O tym zarodzie społecznego pisma najlepiej świadczy etymologiczny rozbiór niemieckiego wyrazu «Buchstab», co nic innego nie oznacza jak kij bukowy. Od karbowania pochodzą wyrazy jak karbowy, karbownik.

Do tej kategoryi znaków, napół skojarzonych z pismem, należą rysunki (o których podaje wiadomość J. Karłowicz w «Wiśle») w czasie śpiewu w ten oto sposób wykonane: Śpiewak w miarę, jak przedmioty pieśnią objęte wymienia, rysuje je kredą na stole, wybijając takt drugą ręką, przyczem śpiewa gwarą, a raczej mieszaniną z języków: polskiego, białoruskiego, ze słowackim.

Basy, skrypki, długi, krótki,
Tu stolica rezacy (lada do deski,)
Hak, ptak, pohaniak,
Choine, widła gnojne,
Koła orne, osada śnipica,
Basy, skrypki i t. d.

Przy każdem słowie znajduje się rysunek: a więc basetle, skrzypce, dwie laski: długa i krótka, znak miasta, to jest stolica, ⊙, hak, ptak, człowiek z biczem w ręku, jodełka (choina), widły, koło wozowe i t. d.

Stan społeczeństwa polskiego w pierwotnej dobie rozjaśnią nam dokładniej pieśni, podania, zwyczaje i obrzędy ludowe, do których w następnym rozdziale przystępujemy.





ROZDZIAŁ DRUGI.

PRZEŻYTKI POEZYI LUDOWEJ.

a najbardziej doniosły owoc spółczesnej wiedzy należy uważać poznanie, że rzecz każda może być zbadana w swych fazach rozwojowych od zarodka do tego stopnia, na jakim ją dziś widzimy. Badania nad budową i ruchem gwiazd pozwoliły zapełnić kilka kart dziejów powstawania wytworów kosmicznych; warstwom skorupy ziemskiej każemy opowiadać historyę naszej planety, zbrojni w szkła morfologii możemy z organicznej budowy rośliny lub zwierzęcia wysnuć cały rząd szczebli, jakie twory te przechodziły, zanim doszły do formy dzisiejszej; analiza mowy uczy nas o postępie umysłu ludzkiego, a przez podania, pieśni, obyczaje, wogóle wyobrażenia ludu, możemy zajrzeć w stary gmach dziejów minionych i ustroju społeczeństwa dawnego, jak przez okna kolorowe, lubo zakurzone, ale wiele jeszcze pozwalające przejrzeć.

Każdy naród w postępie cywilizacyjnym zmienia swą formę. Ulega on niejako procesowi łuszczenia się. Jeżeli się na nim zewnętrzna osłonka już przeżyła, a nowa, która się pod tą tworzy, jest już dość mocna, do organizmu ściśle przystająca, wtedy tamta odpada, a ta odtąd stanowi łuskę zewnętrzną, dopóki jej znów inna nie zastąpi. Ale to nowe życie nie objawia się jednocześnie we wszystkich sferach. Najwcześniej ulegają mu warstwy wyższe, niziny ludowe długo jeszcze dźwigają na sobie resztki starej skorupy, która nie odrazu od społeczeństwa odpada. Nasze strzechy piastują u siebie dawne instytucye, tutaj utrzymuje się stary zwyczaj, brzmią na ustach zapomniane na szczytach pieśni, obiegają średniowieczne podania. Takie szczątkowe objawy przeszłości nazywamy inaczej przeżytkami.

Historya rozwoju istot organicznych używa już oddawna pojęcia tak zwanych narządów szczątkowych. Nazwy te noszą narządy, które wskutek zmiany warunków, nie oddając żadnych już usług naszemu ciału, powoli zanikają i na mocy prawa

dziedziczenia przekazywane są następnym pokoleniom. Podobnie się rzecz ma i w umysłowem życiu narodu. Nie odrazu znikają z życia społeczeństwa instytucye, uczucia, popędy, które wobec odmiennych warunków utraciły racyę bytu w swej formie pierwotnej. Ustępują miejsca innym, wytworzonym w nowem otoczeniu, ale w głąb odsunięte, trwają przez dziedziczność i tradycyę w formie przechodniej, jako niezagubione resztki przebytych okresów. Przez analogię z zjawiskami życia zwierzęcego nazwano je również objawami szczątkowymi.

Historyk literatury jest tu w podobnem do fizyologa położenia. Jak ten ostatni znajduje w szczątkowych organach wskazówki, które go pouczają o pierwotnem ich przeznaczeniu, podobnie i historyk literatury mając przed sobą licznie zgromadzone tak zwane przeżytki (przedmiot folklorystyki), potrafi z nich wysnuć istotną rolę, jaką odgrywały niegdyś w społeczeństwie, kiedy były jeszcze naturalnym społecznych funkcyi wyrazem. Przeżytki te, lubo w życiu praktycznem nie przynoszące pożytku, a czasem nawet wprost szkodliwe, przedstawiają skarb cały dla badacza przeszłości. Może on, pilnie i z pewną swobodą im się przypatrując, wykreślić drogę, jaką przebiegały pewne pojęcia w swych stopniach i powolnych fazach rozwoju. Rzadko w życiu okazujemy samodzielność. Wystarczy pobieżnie tylko przyjrzeć się objawom, których pozornie wydajemy się sprawcami, a przekonamy się niebawem ile w tem wszystkiem winniśmy być wdzięczni przeszłości, której spuściznę jedynie nicujemy, lub ostatecznie garścią własnych pomysłów skąpo zasilamy. «Pierwszą szkołą człowieka jest przykład i naśladownictwo.» Tą drogą przechodzi pierwotna kultura dziedzicznie z pokolenia na pokolenie. Synowie biorą od ojców w spadku: język, wiarę, zwyczaje, i obyczaje. Nowe generacye przechowują szczątki pojęć i wyobrażeń wytworzonych w przeszłości, ożywiają je nowym duchem do życia w odmiennych stosując warunkach. Lud nasz pielęgnuje mnóstwo takich tradycyi, podobnych do starych zamczyska ruin, co to tak romantycznie odbijają od tła kipiącego dokoła nowością życia.

Dziwną mają trwałość i odporność na nowe wpływy niektóre zwyczaje, przesądy, a osobliwie zabobony. Raz do życia powołane płyną wyżłobionem korytem, i mimo różne przypływy, które ich kierunek zmienić usiłują, nie opuszczają stałego łożyska, w czem mają podobieństwo do strumieni, dążących w raz obranym kierunku, a żadne zapory przeszkodzić im nie zdołają.

I poezya ludowa wykarmiła się, do kwiatu rozwinęła u źródła odwiecznych zwyczajów i wyobrażeń. Tam często odnajduje swe odbicie przeszłość przedhistoryczna, której śladów ledwie dojrzysz w najstarszych zabytkach piśmienniczych. Oczywiście trudno o jakimkolwiek utworze poezyi ludowej powiedzieć, że go epoka przedhistoryczna wydała; często atoli poszczególne motywy, osnowa cała zrodziła się w okresie poprzedzającym przyjęcie chrześcijaństwa. Przyglądając się bliżej licznemu twórczości ludowej zasobowi, możemy wysnuć wiele wyobrażeń o rysach znamiennych naszego społeczeństwa w stanie pierwotnym, o religii, zwyczajach i obyczajach. Tam możemy odnaleść ślady pierwotnych uczuć lub poglądów, a nawet dojrzeć przędzę jego fantazyi i środków zewnętrznych, które mu do pomysłów artystycznych służyły.

Lwią część naszej produkcyi ludowej stanowi zasób twórczości krążący w powszechnym niemal obiegu.

Wymiana tych spólnych wątków poetycznych, odbywała się tem trudniej, im na niższym stopniu rozwoju stało społeczeństwo. Kiedy jeszcze kraj nasz był niewiele



O. Kolbe

zaludniowy, a jedną osadę od drugiej rozdzielał bezmierny obszar dziewiczego boru, stykano się ze sobą bardzo rzadko. Komunikacya wsi od siebie oddalonych stawała się tem trudniejsza, że droga, zazwyczaj bardzo ciężka, była przepełniona stadami dzikiego zwierza i dzikszych jeszcze plemion rozbójniczych. Później jednak postać rzeczy się zmienia, idea, w jakiemś plemieniu urodzona, łatwiej już obiega inne plemiona, a nawet rozpoczyna się już wędrówka idei międzynarodowa. Gromada plemion sąsiadujących chwyta nowe myśli, odbijają je dalej i tak powoli, jak w lesie Soplicowskim, kiedy się muzyka Wojskiego rozlega, cały naród po upływie pewnego czasu rozbrzmiewa nową ideą. Ogromna w tym względzie rola przypadła stosunkom handlowym, nie mniej przysłużyły się wojny. Im to zawdzięczać wypada pojawienie się w średniowiecznej literaturze europejskiej przeróbek powieści wschodnich.

Z każdą wojną średniowieczną zmieniają się motywy literackie. Często jeńcy, idąc w kraj sobie obcy, przynosili wraz z życiem i dorobek duchowy swej ojczyzny; zapoznawali z nim krajowców i nieraz go w umysły zdobywców szczepili. Niektóre wielkie idee, osobliwie religijne, bardzo się prędko, dzięki dziwnej jakiejś mocy, rozpowszechniają. Wnet się budzą liczni apostołowie, którzy w nową ideę rzucają wszystko, co im dotąd było święte. Opuszczą dom, rodzinę, ojczyznę, majątek, dostojeństwa, wszystko — żeby tylko do wielkiego jej ołtarza się zbliżyć, żeby nową nieść chorągiew i nową pochodnię. Największa z owych idei, chrześcijańska, szybko świat cały dla siebie zdobyła, wywarłszy wpływ niebywale silny na wszystkie warstwy ludzkości, zagarnęła pod swe berła wszystkie życia publicznego dziedziny. To też nie mogło się wobec niej obojętnie zachować i nasze społeczeństwo. Ale dużo jeszcze czasu upłynęło, póki z formy, często mało zrozumiałej, stała się treścią życia naszego ludu, póki nietylko muskając powierzchnię, wniknęła wgłąb literatury. Z rozwojem naszego społeczeństwa chrystyanizm panującą śród naszego narodu odgrywa rolę. Lud już prawdy, przez apostołów głoszone, rozumie, od zwyczajów bałwochwalczych coraz więcej stroni, a żyje zazwyczaj po chrześcijańsku, przestrzegając nakazów kościoła. Równocześnie zmienia się charakter poezyi ludowej. Wnika w nią pierwiastek chrześcijański, choć to, co w niej pogańskiego, nie zupełnie usunięte. Stąd pewna pstrocizna pieśni ludowych, które z czasem tracą zupełnie swój kształt pierwotny, rodzinny. Wcześnie z zachodu napływają do nas duchowni: czescy, niemieccy, włoscy i francuscy, a z nimi rozszerza się śród nielicznych jeszcze warstw inteligencyi nauka i wyobrażenia zachodniej Europy, budzi się do życia literatura nowa w uroczystej szacie łacińskiej przemawiająca. W sferach tych zatraca się przywiązanie dla dawnych tradycyj i podań żywione. Warstwy narodu, wpływowi zachodniej kultury bliskie, odtrącają od siebie ze wzgardą zabytki czasów przeszłych, przyjmując się tem, co koloniści europejscy niecili. Toteż ukryły się dawne wyobrażenia w masie ludowej, która je jeszcze czcią otaczała, obyczaje i pamiątki minionych wieków godnie szanując. Kwitnęły odtąd obok siebie dwie te różne literatury. Jedna — ustna, rodzima, żywiona duchem tradycyjnym w ludzie żyjącym i druga łacińska, piśmienna, eksport zagraniczny.

Obie na siebie wpływały, wzajemnie się przenikając, aż wreszcie oddaliły się od siebie i dwoma różnemi korytami od siebie odbiegły. Na widoku publicznym była zawsze łacińska, rodzima zaś coraz bardziej stawiała się wyłącznie własnością ludu, nikt się już o nią nie pytał, ani jej poznać pragnął. Mniej wystawiona na obce wpływy, rozwijała się samodzielnie, karmiona bolami duszy ludowej, kwieciem

jej wyobraźni i uczuć strojna, błyszcząca rosą serdecznego ciepła. Aż do wieku XIX. żaden badacz uwagi jej nie poświęcił. Nie jeden, są słowa Wiszniewskiego, patrzył na nią, a nie widział jej, stał nieraz blisko jej źródła, a jednak ani mu się śniło, żeby prócz w starych książkach, znajdować się mogła literatura. A jednak ta gruba, często nader niekształtna powłoka, ukrywała najszlachetniejszy metal; tam bowiem składał naród złoto swoich wyobrażeń, wyrobionych drogą ciężkiej, mozolnej, samoistnej pracy. Jak język zdradza ślady i jest pomnikiem różnych faz rozwojowych, podobnie pieśni i podania mieszczą w sobie odbicie przeszłości, która pismem niewiązana, spłynęła w te proste naczynia z serca ludu, jak z źródła najczystszego. Poeta ludowy nie bardzo swą indywidualnością odbiega od poziomu ogólnego. Jest on owszem wyrazem uczuć, pragnień powszechnych. To jakby arfa eolska, w której odzywają się echa całej okolicy. I przezto poezyę ludową uważać należy za prawdziwe, niczem niezmącone odbicie duszy społecznej.

Odźwierciedla ją ona lepiej, aniżeli pisma uczonych, które zazwyczaj słabe ledwie zarysy wieku podają, niż historye, zdradzające indywidualność pisarza. Kto był pieśni owych twórcą i jaki był czas ich powstania, rozstrzygnąć trudno. Utonęły w mrokach przeszłości imiona ludowych poetów, podobnie jak nie dobiły do naszych czasów nazwiska architektów, którzy w wiekach średnich wspaniałe wznieśli gotyki, podobnie jak nie wiemy, jakie nosili nazwiska wynalazcy pługa lub pióra. Atoli pieśni ich przekazują sobie pokolenia, rozlegają się one w promieniu mil tysiąca, w coraz innej postaci, bo je wiecznie żyjąca twórczość poetycka śród ludu upiększa perłami nowych pomysłów, milkną i znów w całej świeżości odradzają się w piersi ludowej, ale kto im dał początek, na czyich ustach po raz pierwszy zabrzmiały, w jakiej dolinie lub na jakiem wzgórzu, nikt tego dociec nie potrafi.

Jeden i ten sam utwór poezyi ludowej czasów najdawniejszych środkował w sobie potrójny pierwiastek, dramatyczny, opisowy i liryczny. Nie z namysłu mięszano te trzy rodzaje poezyi, ale wprost nie umiano ich jeszcze odróżnić. Nawet sama poezya nie zajmowała odrębnego od sztuk innych stanowiska. Uroczystość Bachusa w Grecyi święcono nie tylko pieśniami, ale tańcem i śpiewem. Podobnie rzecz się ma z naszymi pieśniami obrzędowemi. I tutaj śpiewowi towarzyszyło mimiczne objaśnienie zawartej w nimi treści. Utwór taki znany jest ludoznawcom pod nazwą kantyleny. Pierwotnie pieśń taka miała — zdaniem Prof. Łosia — osnowę religijną, a tylko w opisach przymiotów i potęgi bóstwa, któremu pieśń ofiarowywano, występował pierwiastek epiczny, nuta liryczna brzmiała w prośbach i błaganiach, a nadto mimika obrazowa lub afektacyjna towarzyszyła niektórym wybitniejszym ustępom pieśni, która w ten sposób nabierała większej wypukłości. Produkowano ją zaś przy dźwiękach muzyki. Typ kantyleny przebija jeszcze w znanej piosence, rozpoczynającej się pytaniem: «Czy wiecie jak się sieje len?» W drugiej zwrotce mamy odpowiedź: «Oto tak, oto tak, sieją len.» W ciągu dalszym opowiada piosnka o zbieraniu, międleniu lnu i t. p., a dzieci śpiewając ją, mimicznie odtwarzają malowaną tam słowami czynność. Podobna pieśń dość jest pospolitą na Rusi o maku, we Francyi o hodowli owsa i t. p.

Wiersz pierwotny, krom uwzględnienia iloczasu lub zachowania tej samej ilości zgłosek, innych mnemotechnicznych środków zgoła nie posiadał. Dopiero później przybywa jednodźwięczność, która nader łatwo utrzymuje się w pamięci. Atoli przejść ona musi długie stopniowe koleje, zanim się przeobrazi w misterną formę spółczesnego rymu. Równobrzmienność odnosiła się z początku do pojedyńczych dźwięków

i środka jednego wiersza lub odzywała się w dwóch sąsiadujących ze sobą wierszach. Pierwsza nazywa się aliteracyą, druga zaś — asonansem.

Oto przykład asonansu zwrotki ludowej:

Kiebym była nie j a,
Konikby beł nie j a d,
Ale ja mu d a ł a
Owieska i s i a n a.

Tutaj w końcowych wyrazach «ja», «jad», «dała» i «siana» widzimy jednakowe samogłoski i spółdzwięczność spółgłosek. A nie należy tego podobieństwa kłaść na karb przypadku, za często je bowiem w poezyi ludowej spotykamy. Zdarza się i tak, że asonans sąsiaduje z pełnym rymem:

Matko moja m a t k o,
Serce mi się z a m k ł o,
Szukajcież do niego
Klucza rybelnego.

W ten sposób objaśniają powstanie rymu, dzisiejszej ozdoby kwiatów poetycznych. Pierwszy jego zarys powstał w zabiegach uprzystępnienia utworu, przechowania go pamięci.

Do najstarszych wierszy, już napół rymowanych, po większej części dwu lub czterowierszowych, należą tak zwane zamawiania. Osnowa drobnych tych utworów, opisujących wszelkiego rodzaju zażegnywania, oparta jest zazwyczaj na odmalowaniu samego zabobonu, a tu i ówdzie wpleciono, dla ożywienia treści, zdanie religijne. Jak zażegnywania, pielęgnowane skłonnością natury człowieka do mistycyzmu, tak i wiersze te noszą charakter tajemniczy. Chłop nigdy ich najbliższej nawet sercu osobie nie wyjawi. Prędzej już zwierzy je w kole jak on myślących, ludzie zaś innej sfery nigdy się od niego o nich nie dowiedzą. Zamówienia te są to pozostałości, szczątki pospolitych niegdyś pogańskich modłów, któremi starano się przebłagać rolnicze i domowe bóstwa. Przytaczamy na tem miejscu jeden taki wierszyk, znany w okolicach Kielc.

Przy zatykaniu czaszek końskich na żerdzi, wygłasza się zamawianie, które określa cel tej czynności:

Zli ludzie zaciekli,
By nam kapusty nie urzekli,
Trza, byśmy się opatrzyli,
Zdechłego konia tu łbisko wstawili.

Romantycy pierwsi, przyjrzeli się bliżej pieśniom ludowym i otworzyli skarb dotąd dla sfer inteligentnych zamknięty, wydobywając z głębi nie jedną drogocenną
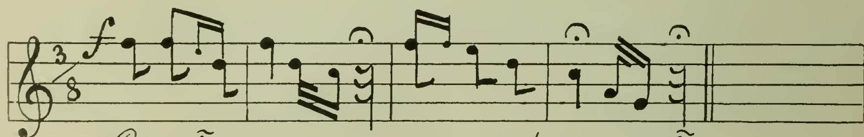
perłę. Całe wieki mijały i nikt nie przeczuwał nawet, aby w tych nizinach takie spoczywały bogactwa. Ludowa poezya, jak owa zaczarowana z baśni księżniczka, długo drzemała pogrążona w śnie i ukryciu, aż ją miłujący królewicz pocałunkiem zbudził i na światło dzienne wywiódł. — Owym królewiczem był z początkiem naszego stulecia ciągle rosnący pochop do rzeczy swojskich, uszanowanie i miłość dla wszystkiego, co rodzime, co własne.

Jak powszechnie znaną jest dziś piosnka:

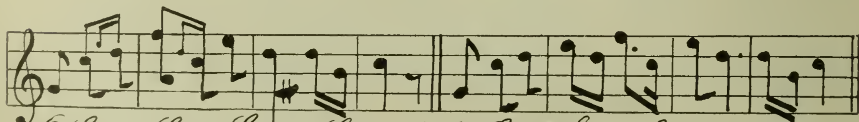
«Graj pasterzu graj!
Bóg ci pomagaj,
Starsza siostra mię zabiła,
Młodsza siostra mię broniła....!»

Pieśń ta w różnych odmianach żyje na ustach ludu całej kuli ziemskiej. Składowe jej pierwiastki łączą się częstokroć w dziwną całość, z której trudno już dziś rozplątać nici wzajemnego ich do siebie stosunku; różne w nich słyszysz epoki, różne upodobania i to są rozdźwięki, które harmonię pieśni psują i mącą. Mimo to ma ona jakiś dziwny urok prostoty i grozy zarazem, co naturalne uczucia i obrazy podnoszą i wzmacniają. Pierwotna jej forma dawno się już rozpadła, ale dzisiejsza wsiąkła w siebie to, co było istotnego, najbardziej trwałego, co najwymowniej do wyobraźni ludu przemawiało. W osnowie piosnki przebiegają jeszcze pozostałości wiary w metampsychozę, której ludy pierwotne powszechnie hołdowały.

Bardzo często w pieśniach ludowych zdarza się przy końcu zwrotki refren, złożony z sylab, nie mających żadnego znaczenia. Nie powinno to nas dziwić. Takie, nic nie wyrażające dźwięki, często się u ludów, na niskim stopniu cywilizacyi znajdujących, spotyka. Dzisiejszy Australczyk, śpiewając, w końcu wiersza wydaje zazwyczaj okrzyk: «Abong! abong!» a czarnoskórcy Indyanie, pewnie dla ożywienia pieśni krzyczą chórem: «Nyach eh wa! Nyach eh wa!» i poruszają grzechotki, podobne do tych, jakie dajemy do zabawy naszym dzieciom. Nie musiał być wyższy poziom kulturalny i naszego narodu, kiedy owe dziwaczne przyśpiewki w pieśniach swoich dodawał. Kiedy się lud pewien wyżej podniesie, w refrenie takim jest już zachowanym iloczas prawidłowy lub rytm. Podaję jedną taką piosnkę z refrenem Łado, śpiewaną w okolicach Lublina podczas przejazdu orszaku ślubnego przez wieś:



Cy mgła, cy woda, pod wieś pod-biegła,
Jasiowe bo-ja — ry pod wieś podje,



O Łado Łado Ła-do, Ła-do! O Łado Łado Ła-do! Łado!
chali oj Łado itd.

Najdalej w przeszłość sięgające źródła dziejowe zawierają dowody, że w Polsce piastowskiej śpiewano pieśni rodzime. Kontynuator wielkiego dzieła Mieszkowego, Bolesław Chrobry, kiedy siły zbrojne na obronę kraju tworzył, nakazał, aby ludzie po wsiach straż nocną odbywający, dawali znak wołaniem głośnem i śpiewem. W kronice Galla czytamy, że po śmierci Chrobrego, która kraj cały w ciężką pogrążyła żałobę, w ciągu całego roku «nikt uczty głośnej nie wydawał ani oklasków, ani dźwięku lutni po gospodach nikt nie zasłyszał, żadną piosnką dziewczęcia, ani odgłosem wesołości nie rozbrzmiewało echo po siołach».

Laury zwycięstwa mężnie odniesionego pod Zawichostem w roku 1205 nad Romanem, księciem włodzimirskim i halickim, zostały przekazane potomności w pieśniach, które jeszcze w półtrzecia wieku potem, jak świadczy Długosz, były «wdzięcznie na widowiskach publicznych nucone».

Naród nasz znajdował się w warunkach mniej pomyślnych, niż narody niemieckie i romańskie, które na wzorach literatury klasycznej wykształcone, ogólny prąd dziejowy porwał w swoje koryto i uniósł wysoko, gdzie im doniosła w dziejach przypadła rola. Myśmy długo drzemali w spiączce przedhistorycznej, odgłosy starć i rozwoju zachodniego późno do nas dotarły, w czem nie mało przyczyniło się geograficzne położenie naszego kraju i stosunki polityczne. Na arenę dziejów europejskich wystąpiliśmy dopiero w jednym z dalszych aktów. Nie działo to się bez wpływu na naszą literaturę. U jej kolebki nie słyszym potężnych hymnów wojennych. Ani Homera, ani swoich Niebelungów nie mamy. W poezyi naszej później dopiero odzywają się struny uczuć, które w życiu prywatnem lub towarzyskiem znajdują ujście. W kraju panowała martwota, nikt o przewrotach gwałtownych nie myślał. Podobny charakter nosiła i poezya. Nie odzywały się w niej surmy wojenne, nie pieniły fale wzburzonych namiętności — nie kwitły lilie krwawo zdobytych ideałów.

Baczny przegląd dawnych naszych kronik naprowadza ledwie na ślady podań, które pierwotnie miały być śpiewane lub opowiadane mową wiązaną. W liczbie takich utworów kładą powieść o Wisławie, księciu Wiślickim, znajdującą się w kronice Wielkopolskiej. W okolicach Krakowa, w wieku XIV., stopiła się ona w jedno z niemiecką epopeą o Walterze Akwitańskim. W XV. wieku Stanisław Ciołek, biskup poznański, wydobył z zapomnienia cały szereg pieśni historycznych, które wedle zwyczaju ówczesnego w języku łacińskim były podane.

W czasach prastarych, kiedy jeszcze społeczeństwo na stany nie rozpadło, kiedy jednakowe prawa przysługiwały wszystkim i wszyscy te same dźwigali obowiązki, musiały też i pieśni być własnością wspólną, wszyscy bowiem tę samą rolę w życiu publicznem odgrywali. Ale z lat upływem stan rzeczy znacznie się odmienił. Wolny niegdyś kmieć został własnością pana, powinność wojskową sprawowały jedynie sfery uprzywilejowane, w których ręku spoczywał odtąd ster rządów. Wielka była różnica między wspinającym się coraz wyżej panem, a chłopem, który coraz niżej schodził. Z areny interesów ogólnych wyparty, zamknął się i zacieśnił ten ostatni w szczupłem kole spraw osobistych lub gminnych. Odtąd szeroki widnokrąg wypraw wojennych i wypadków, dziejowe mających znaczenie, stawał się dlań coraz bardziej obcym i dalekim. I pieśni historyczne były odtąd dlań niezrozumiałe.

W jaki sposób pieśń ludowa rozumie i jak maluje wypadki historyczne, przekonywa nas między innemi pieśń o Ludgardzie, żonie Przemysła, księcia

wielkopolskiego. Oto jak mniej więcej opowiada Długosz genezę pieśni o zamordawaniu Ludgardy, inaczej Lukierdą zwanej: «Pieśń między ludem, jeszcze za naszych czasów (Długosza) śpiewana, świadczyła, jako księżna przeczuwając, że ją mąż zgładzić ze świata zamyśla, błagała go ze łzami i zaklinała, żeby w niewieście swojej i małżonce życia nie gasił, ale pomnąc na przykazania Boskie zezwolił jej do domu ojczystego powrócić, choćby w jednej koszulinie. Chętnie bowiem żywot najokropniejszy zniesie, byle ją na śmierć nie skazywał. Mniemał Przemysław, że popełnione przezeń skrytobójstwo w wiecznem zostanie milczeniu. Bóg jednak zrządził inaczej: Morderca bowiem słyszał swoją hańbę w pieśni wyspiewaną, która, jak wiadomo, dotarła aż do naszych czasów i powtarzaną bywa na widowiskach publicznych (theatra). Obwiniała go o tę zbrodnię krążąca między gminem, ale prawdziwa pogłoska i nieraz znosił przygryzki, że Lukierda cudzą wprawdzie ręką, ale z jego rozkazu zabitą została. Ani książęca powaga, ani wydane rozkazy nie zdołały stłumić tych zarzutów w ustach i sercach ludu.»

Tyle jedynie z tego opowiadania przyjmuje historya, że ambitny książe, marzący o świetnej przyszłości, znienawidził bezpłodną swą małżonkę. Smutny był los nieszczęśliwej księżny. Samotna, bez przyjaciół i powierników, pozbawiona nawet tej pociechy, jaką kobieta w macierzyństwie znajduje, pędziła dni ciężkie, słuchając często wyrzutów porywczego księcia, który ją winił o wszelkie klęski, jakie niebawem tłumnie na Wielkopolskę z braku dziedzica książecego tronu spadły. Trudno orzec na pewno, czy rozkaz zabicia księżnej wyszedł z ust księcia, ale musiał się on nie mało do jej śmierci przyczynić ciągłymi wyrzutami i gniewem. Rymowana kronika w języku górnoniemieckim r. 1370 przez Ernesta Kirszberga ułożona, mieści szczegółowy opis smutnego tego wypadku. Za osnowę opowiadania posłużyło mu — zdaje się — to samo podanie ludowe. Meklemburska ta wersya całą winę spycha na barki matki Przemysława (zmarłej w roku 1265, śmierć zaś Ludgardy podana pod rokiem 1283). Miała ona żywić dla żony księcia nienawiść z powodu jej niepłodności i radzić synowi, żeby sobie inną poszukał. Przemysław jednak, kochając gorąco Ludgardę, odwracał się ze wstrętem od podszeptów matczynych. Tem się jednak sroga kobieta nie zraża, knuje skrycie intrygę, mąci spokój w komnatach zamkowych, aż wreszcie udaje się jej przytłumić ogień miłości w synie. Już się serce księcia od Ludgardy poczyna odwracać. Stawia jej stanowcze żądanie, albo żeby w ojczyste wróciła strony, lub gdzieś w klasztornych murach ostatku żywota dokonała. Był jednak upór niewieści w księżnej. Słów się wzburzonego księcia nie zlękła. Owszem narażając się na okropne katusze, nieustraszona księciu odpowiada: «Co Bóg złączył, Bóg tylko rozłączyć może.» (Nasza baśń, jak widzieliśmy, każe jej prosić księcia, żeby ją puścił do domu rodzinnego.) Przemysław atoli od raz powziętego zamiaru nie odstępował. Starał się ją skłonić do rozwodu, używając pośrednictwa to rycerzy, to spowiednika księżny. Ponieważ Ludgarda namowom pośredników ucha chętnego nie nachyla, wtrąca ją już gniewem zionący Przemysław do ciemnicy w mniemaniu, że tem upór jej złamie. Pewnego razu przybiegły do niej służebnice oznajmiając, że król się do jej komnaty zbliża: Z radością biegnie Ludgarda do bramy więziennej, a ujrzawszy wchodzącego Przemysława rzuca się mu na szyję i gorącym wita pocałunkiem. W chwili jednak, kiedy go ciśnie do łona, zbrodnicza ręka księcia godzi ją w piersi sztyletem. (Nasze podanie nie sądzi, żeby bezpośrednim winowajcą jej śmierci był Przemysław.) Ponieważ księżna nie zupełnie jeszcze ducha wyzionęła, rzuca się na nią sfora służby książęcej i ręcznikami

szyję ściskając, dobija. Nieszczęśliwa, wierna ślubom małżeńskim Ludgarda, umarła ze słowami na ustach: «Boże, w twoje ręce polecam ducha mojego! Ulituj się nad cierpieniami memi.»

Chętniej niż pieśni historyczne śpiewał lud nasz pieśni obrzędowe, zabytki czasów pogańskich. I choć już od chwili przyjęcia chrześcijaństwa kilka wieków ubiegło, mimo przestróg i rozkazów ze strony duchowieństwa, długo jeszcze rozlegały się po wsiach i osadach dawne śpiewy, idące od czasów najdawniejszych z pokolenia w pokolenie. Nie mógł się lud nasz od nich odwrócić, zbyt wiele bowiem wiązało się z niemi wspomnień. Toż one były pierwsze, które u swej kolebki zasłyszał. Nie byli tym stanem rzeczy kapłani chrześcijańscy zbudowani, a autor żywota Stanisława, piszący po roku 1300, ubolewa na «uczty ze śpiewami pogańskimi, poklaskiem dłoni i pozdrowieniem». Nic to jednak nie pomogło, owe pieśni pogańskie nie schodzą z ust ludu jeszcze w wieku XV.

Wielki historyk Długosz skarży się na «igrzyska z pogańskimi śpiewami obchodzone». Nie powinien nas stan ten rzeczy dziwić, skoro nawet za jego czasów spotykamy jeszcze ślady czci dawnych bóstw pogańskich. W roku 1420 wychodzi na synodzie dyecezyi poznańskiej zakaz wynoszenia w niedzielę, «laetare» zwaną, bałwana śmierci na ulicę i rzucania go do wody (podobny zakaz ze wzmianką o śpiewach historycznych, około roku 1384, wydaje synod praski). O pieśni, przy tym obrzędzie w wieku XVI. śpiewanej, możemy szczupłą jedynie podać wiadomość z wierszy przytoczonych przez Bielskiego: «Śmierć się wije po płotu, szukający kłopotu». Pieśni tej dał początek przesąd związany z rośliną, przestępnikiem zwaną. Ziele to rośnie zazwyczaj przy płocie i wije się po nim. Lud wierzy, że kto je zerwie przed czasem, kiedy żółknąć poczyna i z liścia opadać, może kogo z bliskich owemu sprawcy śmierć spotkać. Wiara ta zachowała się jeszcze z czasów pogańskich.

Piosnka o topieniu Marzany, wspomniana już w historyi Długosza, taką dziś przybrała szatę:

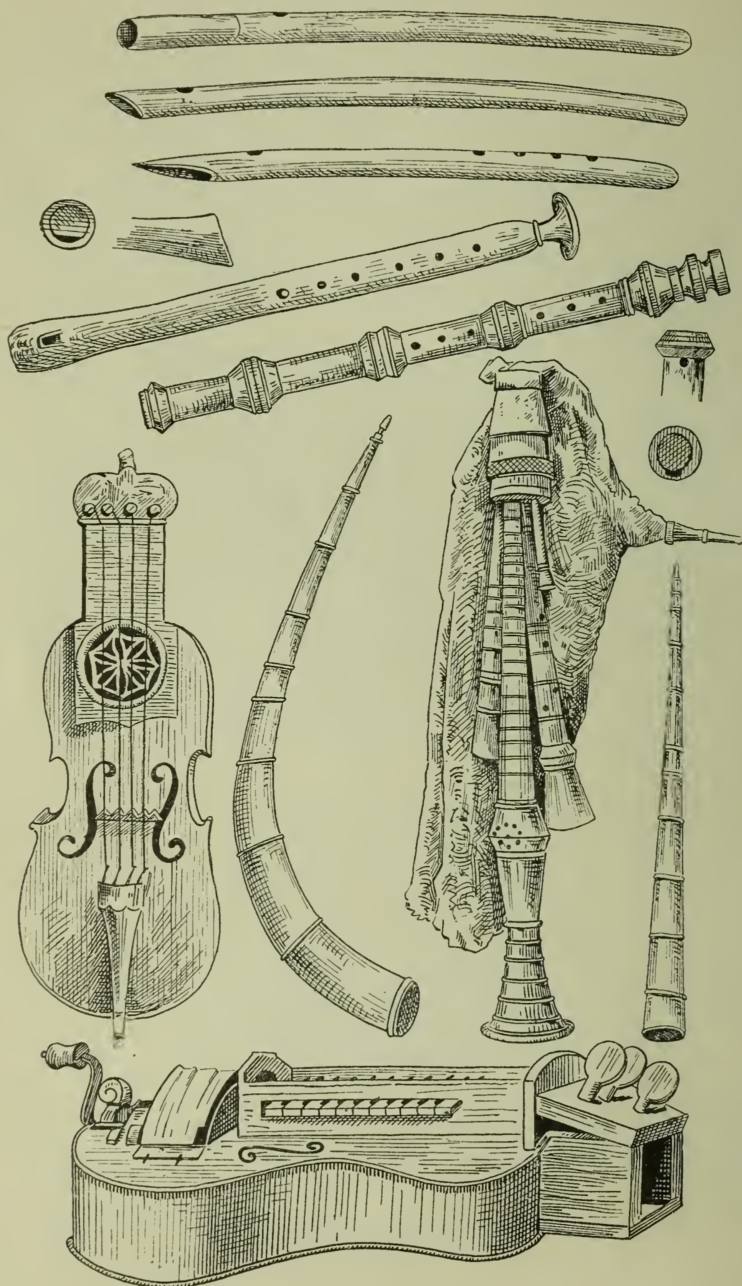
«U Kasieńki na końcu
Marzaneczka we wieńcu,
Dokądże ją nieść mamy,
Gdy drożenki nie znamy?

Wynieście mię dzieweczki
Tu na te pagóreczki,
Potem rzućcie do wody,
O! do głębokiej wody!»

Odśpiewawszy te zwrotki, dziewczęta chwytają marzannę i topią w osobłodzie, poczem wracają z maikiem w ręku i nucą:

Wynieśliśmy mór ze wsi,
Latorośl niesiem do wsi.

Podobny aż do słów pieśni obyczaj przechowuje się w Czechach i w Niemczech. (W piosnce niemieckiej słyszymy: Wir tragen den Tod in's Wasser i t. d. = Śmierć niesiemy ze wsi, lato niesiem do wsi.) Tak samo u Włochów i u ludów



71. Instrumenty muzyczne naszego ludu.

romańskich. Uboga literatura za Piastów nie przekazała nam pereł swych ze skarbca poezyi ludowej. Dlatego zbieramy najdrobniejsze okruszyny, świadczące o jej istnieniu w czasach pierwotnych.

Śród ludu krążą inne jeszcze śpiewy obrzędowe, ale lubo formą bardzo już od pierwotnych odmienne, żywo przywodzą na pamięć starożytność. Jest garść i takich, które niegdyś śpiewane w hołdzie bóstw pogańskich, dziś z odpowiedniemi zmianami czczą patronów religii chrześcijańskiej. Typem takiej pieśni jest śpiew sobótkowy, św. Janowi poświęcony, który w wyobrażeniach ludu wiąże się z pojęciem Kupały.

Zresztą pieśni starożytne, nie spisywane, często ulegały zapomnieniu, zwłaszcza że do tego dążyło świadomie duchowieństwo, szerząc między ludem śpiewy kościelne. Powoli rozbiegły się po naszych wioskach i na ustach ludu zabrzmiały hymny i pieśni pobożne jak naprzykład: «Boga Rodzico, dziewico,» która długo była śpiewana przez nasze rycerstwo, jak kolendy «Anioł pasterzom mówił». Co do innych szczupłe nas doszły wiadomości, atoli na pewno twierdzić można, że i więcej ich było i wpływ swój na masy ludowe wywierały.

Śpiew ludowy stał z daleka od wpływu obcego. W każdym razie nie podlegał mu w takim stopniu, jak pieśń historyczna i przez to mógł dawną tonalność zachować — dotyczy to zwłaszcza śpiewów obrzędowych. W ogromnej części produkcyi ludowej uderzają nas owe starożytności ślady. Natrafia się tu jeszcze na tonacye i gamy kościelne z wieków średnich, a tu i ówdzie zadźwięczą zupełne lub na pół barbarzyńskie tony, nie można jednak i tym ostatnim odmawiać właściwej piękności; nie są pozbawione siły i charakteru, lubo w niektórych miejscach rażą nas ostrością.

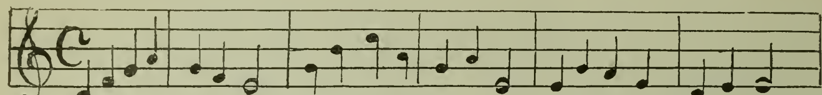
Nic w tem dziwnego nie ma, że lud nasz od czasów najdawniejszych umiłował śpiew i gędźbę, jako towarzyszkę pieśni. Przecież tak się z duchem jego zrosły...

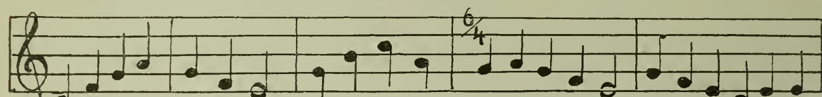
Ludy, zajmujące niższe stopnie drabiny kulturalnej, mają już niektóre narzędzia muzyczne. Tu należą: dudy, rogi, trąby i t. p. Dźwięki, w naturze zasłyszane, odtwarza człowiek pierwotnie organem głosu. Dopiero później każe naśladować instrumentom i szmer strumienia i szum lasów i huk burzy i świst wiatrów. Już w czasach przedhistorycznych znali Polacy narzędzia muzyczne dęte i wiązane strunami, na których przebierano palcami. Najprostszą budowę posiada duda czyli fujarka, należy ją tedy uważać za najdawniejsze narzędzie muzyczne. Dostarcza jej na wiosnę kora wierzbowa. Postacią przypomina ją tak zwana ligawka, długa pasterska trąba, złożona z deszczułek świerkowych, nitkami okręcanych. Zazwyczaj miewa kształt prosty, czasem zakrzywione zakończenie. W dawnej muzyce wojskowej rozbrzmiewała grzmiąca surma i piszczałka o tonie przenikliwym. Rogi, wyrabiane z rogów zwierzęcych, wypada odnieść również do czasów najdawniejszych, nadto bowiem prostą posiadają budowę. I dziś jeszcze chętnie używa jej myśliwy do polowania. Przejściem od narzędzi, ustami grajka nadymanych, do innych, więcej złożonych, należy kobza, którą wypełniano powietrzem przy pomocy miecha, przez co mógł grajek jednocześnie śpiewać i grać.

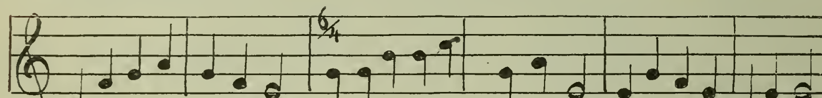
Obok instrumentów strunowych: gęśli i lutni, znano także cymbały. Najdawniejszy to wzór narzędzi perkusyjnych, to jest, wydających dźwięki przy pomocy uderzeń palcami w struny druciane. Przysłowie dawne: «Para Serbów a cymbał idzie w taniec kołem» — każe się domyślać, że grający na cymbałach szedł razem z innymi do tańca.

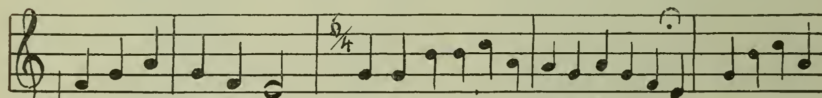
Za mało mamy jeszcze dokumentów, iżby można było krytycznie ocenić znaczenie naszej muzyki ludowej z doby piastowskiej. W braku spółczesnych zabytków

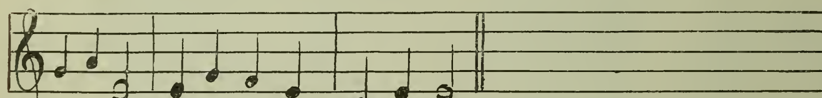
przytaczam poniżej jedną — jak mi się zdaje — z starodawnych melodyj wielkanocnych. Śpiewana w Częstochowie, przypomina układem, tokiem i charakterem muzyki pieśń o Bogarodzicy.











Kiedy już mowa o muzyce, poświęćmy słów parę tańcowi, do którego jej dźwięki pobudzały. Było w nim, w przededniu kultury, wiele namiętności i uroczystej powagi. Dla ludów dzikich i barbarzyńskich był on wyrazem ich boleści i wesela, tu odzwierciedlał się ich gniew i miłość, towarzyszył on również obrzędom religijnym. Uczucia ludom tym właściwe, nie zupełnie u nas wygasły i możemy mniej więcej zdać sobie sprawę i pojąć szalone Australczyków tańce, które mają krew ożywić do walki na dzień następny, a odbywają się zazwyczaj w krwawym blasku rozrzuconych ognisk. Trudno atoli dziś zrozumieć, jakim sposobem ów taniec, po za pobudką i zachętą, może mieć znaczenie realne, jak odeń oczekiwać można wpływu na wypadki świata zewnętrznego. Taki wpływ, przypisywany tańcowi, objaśnia nam, dlaczego stał się jedną z głównych praktyk nabożeństwa. Taniec i śpiew towarzyszyły procesyom religijnym w Egipcie i Grecyi. Ażeby go sobie w wyobraźni uprzystępnić należałoby zwiedzić jaką świątynię indyjską lub tybetańską. Postacie w maski zwierzęce przebrane przy szumnej, nieskładnej muzyce bębnów i trąb muszlowych, unoszą się w szalonych podskokach, w ten sposób wypędzając dyabła lub rok nowy witając. Słabe owych tańców doby przedhistorycznej odgłosy odzywają się jeszcze w pląsach naszych chłopców i dziewcząt dokoła ogniów świętojańskich, lub w dawnych tańcach masek na święto Bożego Narodzenia. — Nasz polonez — po-

dobnie jak i krakowiak — należą do okresu piastowskiego. O pierwszym wspomniano w jednej z kronik śląskich około roku 1406, pod nazwą «polnischer Tanz». Od owego czasu rytm i figury jego rozwinęły się znacznie. Śpiew menzuralny wprowadził i do tańca więcej rytmiczności. Prof. Kawczyński dowodzi, że krakowiak nie może przekraczać granic XIV. stulecia, łatwiejsze bowiem melodye układano w rytmie nierównodzielnym, przyznaje jednak, że nie wiele będzie młodszy.

Trudno orzec, czy miał jakieś znaczenie w owych tańcach pierwiastek wojenny. Krakowiak i mazur do dziś bywa tańczony z ostrogami. A nawet i inne tańce, po nich powstałe, mają pewną cechę wojenną, naprzykład sejdak i hajduk. Radziwiłł Sierotka, w swych wspomnieniach z podróży do Egiptu, widzi podobieństwo sejdaka do tańca egipskiego, składa się bowiem cały z łamań, podskoków i pochyleń, co czyni wrażenie wojennych harców na koniach lub w bitwie. Nie innym jest taniec «wyrwany», który, jak to z opisu Paska widać, bardzo przypomina mazura i posiada cechę wojenną. Jeszcze za Piastów, podobno od czasu napadów tatarskich w wieku XIII., wytworzył się w Polsce taniec wielki, p i e s z y zwany, później p o l s k i. Tańczyli go wyłącznie mężczyźni, puszczając się w wir pląsu parami. Miał to być pochód tryumfalny znużonych bojem i starców sędziwych, z wielką uroczystością prowadzony. Później dopuszczano i kobiety, ale w parach osobnych. Dopiero w nowszych czasach tańczono go parami mięszanemi. Nie stało się to atoli tak prędko, bo jak Rej opowiada, jeszcze w XVI. wieku prowadzili go w obliczu króla sami panowie.

U ludów niski poziom kultury zajmujących, taniec i widowiska stanowią organiczną, jednolitą całość. Nie inaczej działo się u plemion słowiańskich. Cześć oddawana bogom nie ograniczała się jedynie modłami i składaniem objatów, trzeba było bogobojność swą wyrażać przez pląsy, poruszenia ciała, przypadania do ziemi. Tu należało także bicie pokłonów, rąk załamywanie, podskoki i inne podobne ruchy. W niektórych pomnikach historycznych znajdujemy na to dowody. Ale tańce posiadały także znaczenie towarzyskie. Żaden ślub nie obszedł się bez pląsów. — W dobie chrześcijańskiej odbywały się na naszej ziemi pogańskie igrzyska, inaczej stadami zwane. Zazwyczaj w oznaczone dni i pory roku, gromadzili się na pewnem miejscu chłopcy i dziewczęta, dzielili się na rzesze i obchodzili uroczystość «rozpustnem śpiewaniem, rozwiązłemi usty, wykręcaniem się lubieżnem i inną swawolą». A nawet później, kiedy już chrześcijaństwo szeroko się w Polsce rozpowszechniło, lud nadto do swych zabaw dawnych, zwyczajem uświęconych, przyzwyczajony, nie porzucił ich bynajmniej, chociaż ze strony duchowieństwa raz po raz odzywały się głosy potępiające te pogańskie igrzyska ze śpiewem, gędźbą i pląsami. W kilka jeszcze wieków po przyjęciu chrześcijaństwa, czas, od Zielonych świątek aż do dnia św. Jana, lud nasz wosoło spędzał na tych pogańskich zabawach, nie dając ucha przestrogom kościoła.

Pozwoliliśmy sobie słówkiem o śpiew i pląsy potrącić, wiążą się bowiem z poezyą ludową. Wróćmy więc do wątku przerwanego i zastanówmy się nad podaniami ludowemi, o ile jeszcze uważać je wypada za wytwór rodzimy, w odległe sięgający wieki. Częstokroć mówiono o naszych podaniach, że mają charakter czysto swojski, szczerze polski, bliższe atoli dociekania dowiodły, że w wielu wypadkach zapożyczyliśmy je z zachodu, a nie rzadko posiadają je plemiona, nawet dość od nas odległe. Za naszą w nich rodzimą własność nie należy uważać — jak to wykazał J. Karłowicz — całokształty moralne, prawne, religijne, poetyczne. Nasza zasługa w szczupłej tylko położona części, możemy rościć prawa nieledwie do drobnych zasobów nader wielu naleciałości i bogatej, ogólnej wielu plemion spuścizny. Na

tych różniczkach nasza odrębna kultura wycisnęła swe piętno. Cały jednak gmach naszych podań spoczywa na fundamencie wspólnym, powszechnym, podobnie jak to ma miejsce w mowie, piśmie, sztuce — w całym dorobku cywilizacyjnym.

Powieści ludowe dają się porównać do rzek z jednego płynących źródła. Przepływając przez liczne ziemie o gruntach i własnościach odmiennych, z każdego coś uszczkną, w falach swoich roztopią, lub w całości uniosą, u ujścia zaś wcale już odmienniej wyglądają, niż kiedy źródło opuszczały. Tam jak kryształ czyste i jednakowe, tutaj nieprzejrzyste i najczęściej do siebie nie podobne. Tu należą podania, eponimicznemi zwane. Wszystkie ludy zwykły zatrzymywać uwagę na swojej nazwie, ona pobudza ich wyobraźnię i nęci zdolność kombinacyjną. Największą wziętością cieszy się przypuszczenie, że każde plemię posiadało przodka z imieniem, które w spuściźnie odziedziczyli potomkowie. Ma to rzeczywiście w wielu wypadkach miejsce, najczęściej atoli dzieje się to z łaski twórców genealogii, którzy zmyślają mit o takim eponimicznym czyli imiennym przodku i przedstawiają go jako osobistość dziejową. Czasem bardzo łatwo można im dowieść wymysłu. Niektóre plemiona brazylijskie, na niskim stopniu kultury stojące, zowią się Tupi, a inne Guarani. Genezę powstania owych imion objaśniają w ten sposób, że dwaj bracia, Tupi i Guarani, przybyli z za morza do Brazylii i dziećmi swemi zaludnili pustą krainę. Nie tylko w dobie pierwotnej wymyślano podobne baśnie mające objaśnić początek nazwy narodu, działo się to i później. Nasze podanie eponimiczne o Lechu, Czechu i Rusie, jako praszczurach Polaków, Czechów i Rusinów powstało w XIV. wieku.

Wogóle niektóre podania nasze powstały w czasie, kiedy jeszcze narody indoeuropejskie nie opuściły swej prastarej ojczyzny. Inne są nowoczesnego pochodzenia. Jedne przechodziły od narodu do narodu, od plemienia do plemienia, drugie występują na tle wspólnej wielu grup społecznych psychiki, czyli tworzyły się na podstawie jedności natury ludzkiej. Trudno w zupełności jednemu z tych sposobów tłumaczenia zawierzyć, każdy z nich w części jest słuszny.

O ile baśń ma szczątków doby przedhistorycznej obok pomysłów, wytworzonych dzięki współdziałaniu czynników nowych, wyraźny tego obraz widzieć można w podaniu o młodzieńcu, który palony gorączką poznania świata, puszcza się w pielgrzymkę. Różnych doznaje kolei i przygód, wszędzie zadziwia męstwem i odwagą, drwi sobie ze starców, noce spędza w zaklętym pałacu, wysługuje sobie żonę — dziedziczkę tronu i wreszcie drobny przypadek poucza go, co to jest strach. Naprzykład, gdy go śpiącego ktoś zimną obleje wodą. Rozkład bajki wykazuje następujące pierwiastki:

	Wątki główne	dodatkowe	nowsze
1. Żywioły pierwotne z doby przedhistorycznej.	Wysłużenie sobie żony. Dziedzictwo tronu po żonie i spokrewnienie się przez kobietę.	—	—
2. Żywioły fantastyczne.	—	Przygody w zamku zaklętym.	—
3. Rysy uświetniające.	—	—	Dwór królewski.
4. Rysy moralne.	Odwaga.	—	—

Trudno lud uważać za płytę Daguera. Obraz blaskiem słońca odbity nie pozostaje na zawsze w jego duszy niezmienny. Jest on w różnych okolicach różny. W pewnych miejscach zdolniejszy, żywszą ma na rzeczy nowe wrażliwość, łatwiej wpływom zewnętrznym przystępny i pamięć dla nich mający trwalszą; w innych natomiast ociężały, bardziej w dawnej tradycyi zaskorupiony.

Wiele opowiadań ma treść żywcem wziętą z Pisma świętego, innym dostarczyły materyału apokryfy. Istnieją wreszcie takie, które są jedynie przeróbkami opowieści wschodnich. Do tych ostatnich zaliczyć wypada powszechnie w wiekach średnich znaną historyę o Berlaamie i Jozafacie. Powstała w Indostanie, między wyznawcami Buddy, a w szczegółach tak jest podobną do chrześcijańskiej, że weszła w skład Żywotów świętych. Lud nasz i dziś jeszcze opowiada sobie bajkę o lampie Aladyna, wyjętej z «Tyciąca i jednej nocy», a znanej u nas pod nazwą «Latarnika». Wiele w ogóle bajek przywędrowało do ziem naszych gościńcem zachodu. Między góralami Beskidowymi krąży baśń «O jednym synu, który się z swą matką ożenił», jest to tylko przeróbka znanej w wiekach średnich opowieści o św. Grzegorzu (Gesta romanorum). O niektórych wiadomo, że przybyły z zachodu jeszcze w epoce średniowiecznej, jak naprzykład o Meluzynie, Sowisrzale (Eulenspiegel). Że są obcego pochodzenia najlepiej świadczy o tem podobieństwo nie tylko osnowy, ale nawet imion, naprzykład w podaniu o Walgierzu znajdujemy imię Helgundy. Można w nich również zaczerpnąć dowodów, wskazujących na odległą — nie polską — miejscowość, spotykamy też wiadomości o przedmiotach, których lud nasz wtedy jeszcze nie znał, jak naprzykład dyamenty.

Z kronikarskich opowieści, co mchem uścieliły kolebkę narodu polskiego, z baśni o Leszku, Popielu, Piaście — dadzą się wyłuszczyć ziarna prawd ludowych: przechowują one ważniejsze chwile rozwoju polskiego plemienia w dobie historycznej. Znana jest legenda o Helenie, ojcu Hellenów, którego trzej synowie, Eolos, Doros i Ksutus, byli praojcami Eolów, Doryjczyków i t. d. Takim to mitem jest wspomnian poprzednio podanie historyczne o Lechu, Czechu i Rusie, sięgające XIV. stulecia. Posłuchajmy o wiek starszej opowieści mistrza Wincentego o wyniesieniu Leszka, to jest Chytrego na tron polski. Gdy Polska była bez księcia, zgodzono się powierzyć wybór jego najrozumniejszym i najstarszym. Ci oświadczyli się za tym, kto na wyścigach stanie pierwszy do mety. Oznaczono więc miejsce i czas ku temu. Przypadkiem, wigilią dnia tego, dwaj młodzieńcy założyli się, kto z nich prędzej dobiegnie do mety i postanowili zrobić próbę na torze, przeznaczonym do wyboru księcia. Lecz ledwie zaczęli biedz, uczuli, że ranią sobie nogi. Odkryli wówczas, że cała droga najeżona jest kolcami, i że przebiegły oszust zostawił wolną drożynę, po której spodziewał się pierwszy dobiedz do celu swych marzeń. Młodzieńcy zachowali w tajemnicy swe odkrycie i na tę ścieżkę nakładli kolców. W oznaczonym czasie zebrała się starszyzna i lud. Twórca podstępu ani wątpił o zwycięstwie; jeden z tych, co wczoraj odkryli zdradę, był także pełen nadziei, gdyż dla bezpieczeństwa kazał całe kopyta końskie okuć żelazem. Na dany znak puścili się wszyscy do mety. Lecz tylko ów młodzian, co podkuł kopyta swego konia, dobiegł szparko do celu i został okrzyknięty księciem. Współzawodnik jego, skacząc tędy i owędy aby ominąć kolce, wśród ogólnego śmiechu, w ślad za nim przypadł do mety. Odkryto jednak podstęp, a w przekonaniu, że twórcą jego był ów młodzieniec, co pierwszy dopadł mety, zamordowano go w gniewie i ogłoszono drugiego księciem.

Odrzuciwszy nowsze naleciałości baśni, Roepell dostrzega w tem podaniu ślady najstarszego systemu urządzeń słowiańskich. Tylko na wpół koczownicze plemiona mogą wyhołubić podanie o wyborze naczelnika na wyścigach, albowiem tylko w życiu takiego ludu rumak odgrywa pierwszorzędną rolę. Jednocześnie, pomimo uczonej łataniny kronikarza, wybija się na wierzch podania tego drugi starożytny rys, wskazujący na równe niegdyś stanowisko wszystkich członków plemienia. Leszek, ubogi młodzieniec w łapciach i grubej siermiędze, ubiega się o koronę i zdobi nią skroń. W uznaniu Lecha za władzcę całego szczepu, zachować się też miało poczucie szerokiego rozpostarcia plemion lechickich i pierwotnej ich jedności, sięgającej najodleglejszej doby. A że później zarysowały się na fizyonomii tych plemion różniczki, dlatego to podanie mówi o dwudziestu synach Lecha i dzieli pomiędzy nich obszerne państwo. Każde podanie przekształcając się, dąży do przemiany na prawdziwą historyę. W tym ewolucyjnym pochodzie kronika Wielkopolska podaje już imiona Lechitów i wymienia ziemie każdemu z nich nadane.

Zwyczaje naszego ludu z bieżącego wieku stwierdzają rodzimy pierwiastek tego podania. Zwyczaj obierania «króla pasterzy», przypomina historyę Leszka. Kto na Kujawach w pierwszym dniu Zielonych Świątek najwcześniej przypędził bydło na oznaczone miejsce, ten zostawał królem. Jeśli dwóch lub trzech razem się zeszło, gonitwa rozstrzygała. Kto pierwszy dobieży do mety, temu przyznają to dostojeństwo. Żeby zaś wszelkie usunąć wątpliwości i najściślejszą wymierzyć sprawiedliwość, oznaczano kołeczkami drogę, którą przebiegać mają współzawodnicy. Świadkami i sędziami razem są wszyscy zebrani. Po obu stronach stają ubiegający się, a jeden drugiemu przeszkadzać nie powinien, ani żadnej popełniać zdrady. Gdy powszechna zgoda uzna, kto królem wybrany, wszyscy składają mu podarki. Z urzędów, nadanych przez króla, uderza tytuł podkownika, przypominający tradycyę o Leszkowej gonitwie konnej, po nabitej gwoździami drodze. Gonitwy konne o «królestwo» w Łużycach i na Śląsku polskim, w Laskowicach, odbywały się do niedawna między parobkami. Kto stanął pierwszy u mety, zostawał królem młodej czeladzi wiejskiej. Ostatni w biegu, Rochwistem zwany, błaznował.

Bezpośrednio do podania o Leszku nawiązują tradycyę o Piascie. Podanie to przechowało się w dwóch postaciach; starszej i krótszej — w kronice tak zwanej Galla z początku XII. wieku — i w młodszej, obszerniejszej, w Kronice Wielkopolskiej, z drugiej połowy XIV. wieku. Wedle dawniejszego podania rzecz działa się w Gnieźnie. Książę Popiel wyprawiał na zamku wspaniałą ucztę, a goszcząc panów, nie chciał przypuścić do stołu dwóch pielgrzymów. Wypędzeni z grodu stanęli oni u progu chaty rataja książęcego, Piasta, który mieszkał tu z małżonką swą Rzepką. Ci sprawiali skromne przyjęcie, a na uroczystość przygotowali dzban piwa i prosię. Pielgrzymi serdecznie zaproszeni przyjęli gościnę i zasiedli do stołu. Aliści wnet stał się cud — rozmnożenia chleba. Oto mięsem z prosięcia naładowano dziesięć cebrów, a na piwo trzeba było pożyczyć dzbanów z dworu książęcego. Piast i Rzepka proszą więc pielgrzymów o pozwolenie, aby mogli i księcia na ucztę zaprosić. Pielgrzymi zewolili. Przybył tedy Popiel ze swymi towarzyszami, a pielgrzymi postrzygli synka i nazwali go Ziemowitem (to jest tym, który otrzymał ziemię). Poczem rósł w siłę i męstwo, aż za wolą Bogów został książęciem polskim.

Po owem eponimicznem wytłumaczeniu nazwy księcia słyszesz niby daleki odgłos opowiadania sędziwych starców o tem: jak niegodnego Popiela zrzucono z tronu i jak go za karę prześladowały — myszy. Książę ucieka przed niemi za

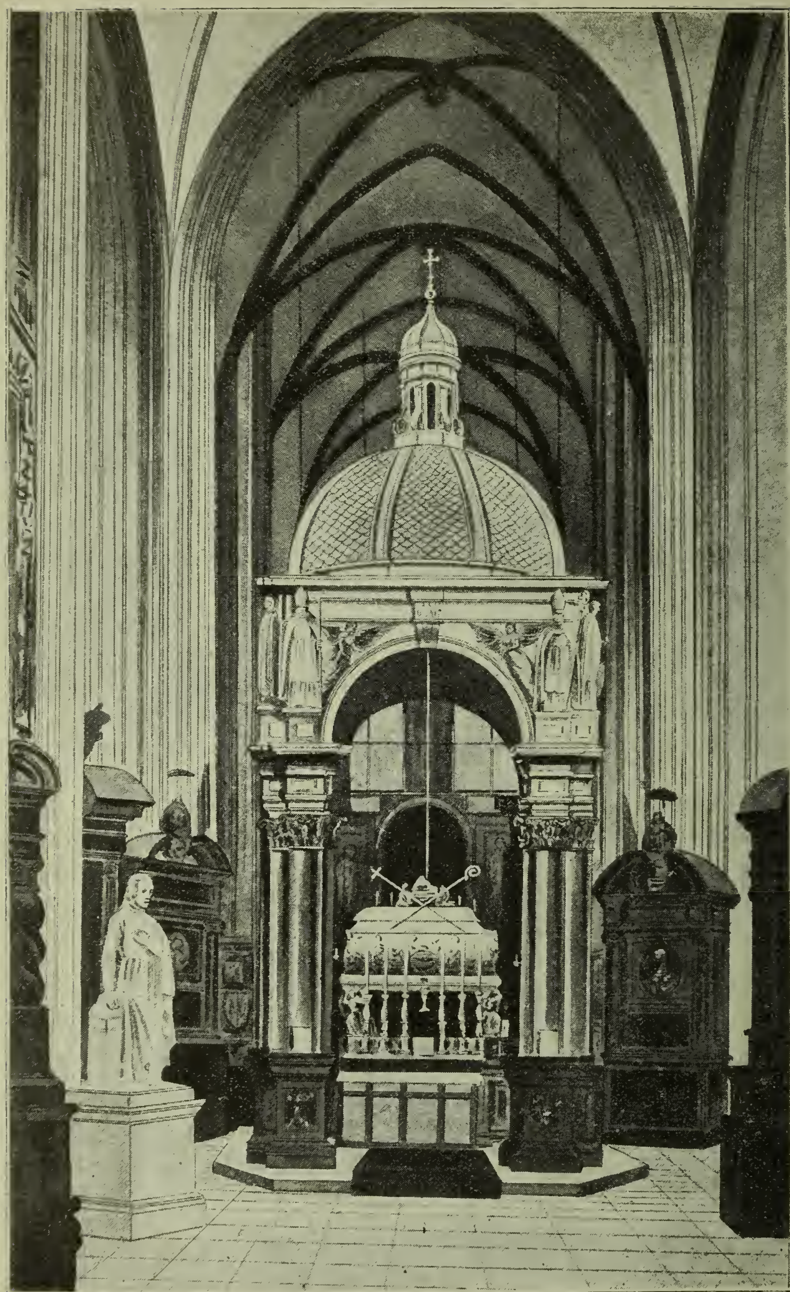
wodę, na wyspę, a gdy go i tam dogoniły, na drewnianą wieżę, gdzie go w końcu na smierć zagryzły. Podanie o biednym i miłosiernym, a za gościnność cudownie nagrodzonym gospodarzu — jak to wykazał Prof. T. Wojciechowski — jest rzeczą prastarą, może jeszcze Aryom spólną, na każdy sposób o wiele wieków dawniejszą niż czas, w którym miał żyć ojciec Ziemowita. Cudowne rozmnożenie pokarmu i napoju przez — pielgrzymów, bogów w ludzkiej postaci, to również prastary mit ludów, nietylko aryjskich ale i semickich. Bogowie schodzili na ziemię i przyjmowali gościnę u śmiertelnych, aby wypróbować ich serce i przekonać się czy spełniają święty obowiązek gościnności, tej pierwszej cnoty społecznej. Tak postępowali bogowie Indów, Hellenów, Germanów i t. p., a legendy chrześcijańskie opowiadają i o Chrystusie, że chadzał po świecie, aby doświadczać ludzi. Bliżej spokrewnioną z naszem podaniem jest powieść o Filemonie i Baucydzie. Obie baśnie mają te same imiona osobowe: Filemona i Piasta. Czasownik bowiem grecki φιλέω znaczył: piastować, a imię pierwszego księcia ma w baśni polskiej, również znaczenie opiekuna i obrońcy — rozumie się owych gości, których wygnano z dworu książęcego. Nasuwa się pytanie, dlaczego prastara opowieść przylgnęła do ojca Ziemowita t. j. do osoby historycznej księcia, żyjącego w drugiej połowie IX. wieku po Chrystusie. Wojciechowski rzecz tę wyjaśnia podobieństwem imienia: bohater baśni nazywał się Piastem, a ojciec Ziemowita był piastem, czyli piastunem i nadwornym urzędnikiem księcia.

Bajka o myszach, które zagryzły Popiela, jest również aryjskiego pochodzenia. W roczniku świętokrzyskim przechowała się w pierwotniejszej formie t. j. bez związku nietylko z historyą Piasta, ale i bez truciciela stryjów.

Rozbiór składowych części całego podania wykazuje prócz wspólnych wątków podaniowych i tradycyi historycznej pierwiastek etnograficzny t. j. postrzyżyny Zatrzymamy się na chwilę nad tym zwyczajem.

Na książęcym dworze w Gnieznie, sprawiają uroczyste postrzyżyny dwóch synów Popielowych. I w ubogiej chacie Piasta odbywają się postrzyżyny jedynaka. Przyjęci tu gościnnie przybysze ubcinają mu włosy i dają imię Ziemowita.

Zwyczaj ten, spisany na początku XII. wieku, ręką mnicha, zapewne z ust już nie młodych, zachował się do dziś między ludem, gdzie jako objaw szczątkowy przetrwał ośm wieków. Na Mazurach nie obcina się dziecku włosów, nawet nie czesze grzebieniem do pierwszego roku życia, bo — mogłoby umrzeć. W Sandomierskiem zakazują strzydz dziecko, dopóki się nie nauczy mówić, boby miało trudną wymowę i t. p. Postrzyżyn przestrzegają jeszcze w południowej Słowiańszczyźnie, a niegdyś były one powszechnym ludów aryjskich obrzędem. K. Potkański tłumaczy je jako święto odchowania dziecka i wprowadzenia go do związku rodowego. Mistrz nauk wyzwolonych paryskiej Sorbony, Wincenty, rozszerza nawet zwyczaj ten do znaczenia adopcyi. Wykonywa go tu nie ojciec, który ma wyłączne prawo wprowadzania do rodziny, ale pielgrzymowie. Przedstawia to Wincenty jak zwykle w formie dyalogu: biskup Mateusz potępia postrzyżyny, mistrz Jan zajmuje obronne stanowisko, twierdząc, że uroczystość ta jest niczem innem jak formą usynowienia. Postrzyżony staje się krewnym postrzygającego z tytułu przysposobienia. Matka zaś dziecka zostaje siostrą przysposobioną. — Obcięcie włosów miało też znaczenie poddania się czyjejś władzy. Woźnych sądowych w wiekach średnich, na znak zależności, postrzygali wojewodowie. Pewszechny u ludu naszego zwyczaj podcinania warkoczy panny młodej, przy ślubie, oznaczać ma poddanie się pod władzę męża



72. Grobowiec św. Stanisława w katedrze na Wawelu.

i pana. Możnaby z tego wnosić, że i postrzyżyny były poddaniem się dziecka pod władzę ojca. Tkwi w nich także pierwiastek społeczno-religijny. Dzisiaj już to samo, że się ktoś urodził — dajmy na to — w Rosyi, wystarczy, aby zostać członkiem potężnego państwa. Bezosobiste prawa roztaczają nad nim swe opiekuńcze skrzydła. Dawniej trzeba było każdego wprowadzać do samych wrót związku, posuwać po kilku szczeblach plemiennej drabiny, inaczej młodzieniec byłby pozbawiony opieki praw rodowych.

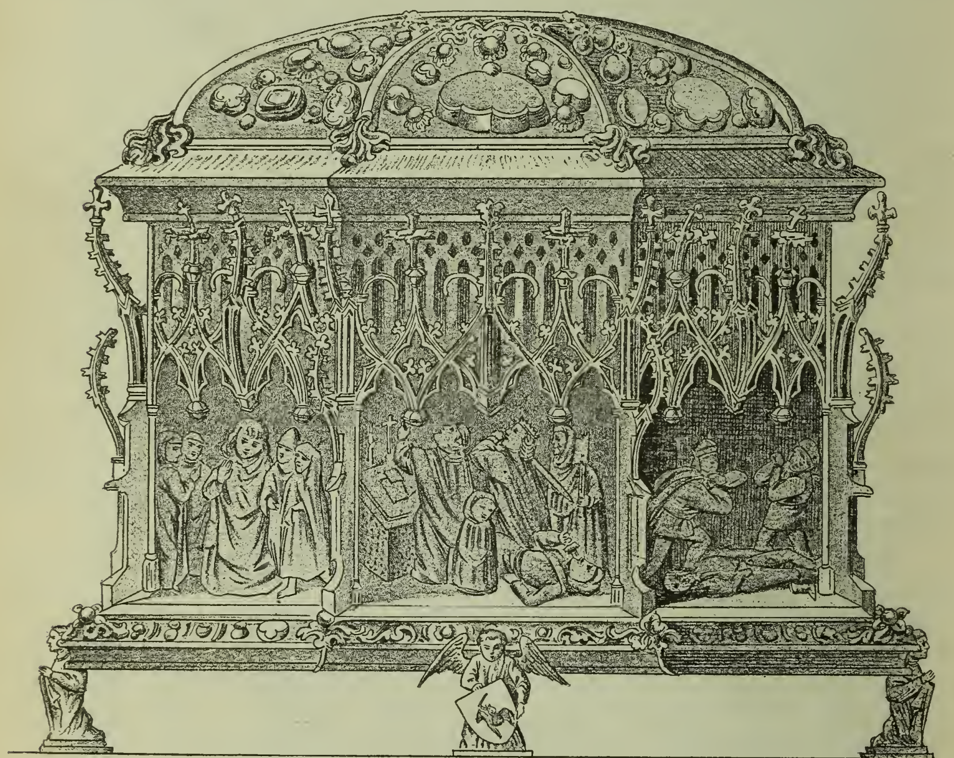
Z Mieszkiem przestępujemy progi historyi. Tylko w opowiadaniu o jego młodości, czuć woń legendy chrześcijańskiej. Ziemomysł, powiada Gallus, spłodził wielkiego księcia, pamięci godnego Mieszka, który do 7 lat po urodzeniu był ślepy. Poczem ojciec jego, zwyczajem przodków, zaprosił do siebie starszyznę. Wsród uczty, gdy jedni z radości wykrzykiwali, a drudzy klaskali w dłonie, książę westchnął głęboko, wspomniawszy o ślepocie syna. Wtem niespodzianie rozgłoszono cudowną wieść, że dziecko jego przejrzało. Ojciec nie chciał dać temu wiary, ale gdy żona jego, wstawszy od stołu, sama przyprowadziła chłopca, nie posiadał się z radości. Zwoławszy tedy starszyznę, zapytał, co znaczy ten cud? A oni mu odrzekli: Ślepota Mieszka to pogaństwo ludu. Polska — dodaje kronikarz — była dotychczas w istocie ślepą, gdyż nie znała prawdziwego Boga i jego nauki; dopiero przez przyjęcie chrześcijaństwa, wyrwaną została z objęć niewiary.

Pobożne objaśnienie cudu przez kronikarza tłumaczy nam zarazem podanie, które dochodzi do wrót chrześcijaństwa w Polsce i tu się kończy. — Nie mnożę przykładów, których dostarczają sowicie nasze ludoznawcze zbiory. Przytoczone wystarczą do wykazania, że w wierzeniach, w podaniu i pieśni ludowej — czy są rodzime czy od obcych przyjęte, czy z ustnej wyszły tradycyi, czy z książek — tkwi żywioł sięgający nieraz odległych, przedhistorycznych czasów, i że nasz folklor — mimo zupełnie zmienionej formy — posłużyć może do charakterystyki stanu kultury polskiej w wiekach średnich, co zaprzeczają nowsi historycy literatury.

Zachodzi pewna różnica między podaniem ludowem, bluszczem wspomnień oplatającem rzeczywistość, a czerpaną z mętnych jezior i sztucznie ulepioną tradycyą historyczną. Żywe podanie bije jak zródło kryniczne tam, gdzie czczą pamięć bohatera lub jego wielkich czynów. Przędzę podania snują wieki całe, dopóki nie wygasną wspomnienia o nim płynące z serca. Żywe podanie nie ginie, lecz przechodzi z ust do ust, zapalając wyobraźnię pokoleń całych. A właśnie tych przymiotów brak zupełnie tradycyj o mnichostwie Kazimierza Odnowiciela. Przeczy ona przedewszystkiem wiarygodnej opowieści najbliższego czasów owych świadka, Galla. Kronikarz ten wspomina tylko o pobycie Kazimierza w klasztorze, gdy był dzieckiem. Z tego źródła urosło niezawodnie podanie o pobycie jego w Kluniaku, znanej metropoli klasztorów Benedyktyńskich. Dyspenza papieska miała usprawiedliwić powrot mnicha na tron. Żywociarz to Stanisława, pragnąc na pniu dziejów narodu polskiego zaszczepić płonkę ascezy, pierwszy spisał tę tradycyę około połowy XIII. stulecia. Kroniki: śląska i wielkopolska dorzuciły do niej kilka nowych szczegółów, a dzieła późniejsze zatoczyły szerokie koła sławy króla mnicha. Szczątki tej tradycyi mają rzekomo przechowywać formę poematu, oczywiście łacińskiego, który tak odtwarza jeden z historyków na podstawie żródeł XIII.—XIV. wieku: Powieść sięga początkiem swym owego pamiętnego w dziejach Polski zdarzenia, kiedy cesarz Otton III, otoczony orszakiem książąt, odwiedził w Polsce grób swego przyjaciela, św. Wojciecha, i włożył koronę królewską na skroń Bolesława. Scenę tej uroczystości

umieszcza powieść na zamku ostrowskim, którego ruiny, wsród jeziora lednickiego, widne są do dziś dnia w Wielkopolsce. Dwumilową tę drogę z Ostrowa do grobu św. Wojciecha zasłał Bolesław jedwabiem i aksamitem, aby uczcić pieszą wędrówkę dostojnego pielgrzyma.

Pobyt Ottona w Polsce kojarzy powieść z historyą Kaźmierza stułą małżeńską. Oto razem z Ottonem przybywa do Polski siostra cesarska, którą — dla uświęcenia wiecznej zgody z Bolesławem — wydał wtedy Otto za młodego Mieszka, syna Chrobrego. Po świetnej uczcie weselnej, wrócił cesarz z książętami do Alemanii, a król Bolesław panował jeszcze długie lata. Miał znaczenie i sławę, ale nie miał



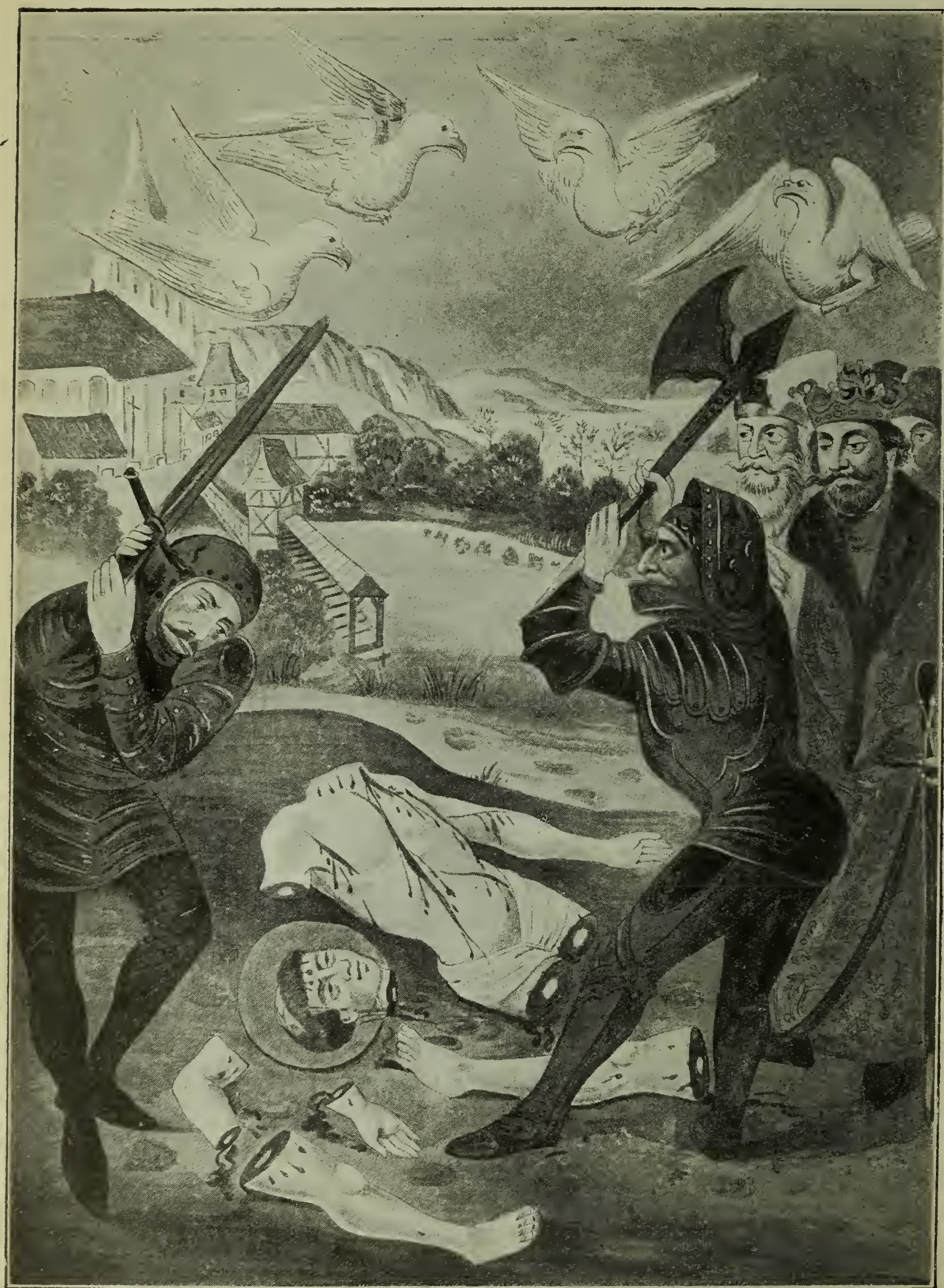
73. Relikwiarz złoty św. Stanisława, przedstawiający scenę zabójstwa świętego.

szczęścia w synu. Mieszek — jak niesie owa niezgodna z prawdą tradycya — był leniwy i niedołężny, nie miał poważania u ludu, pomimo że miał żonę z cesarskiego domu. Pogrążony w zbytkach i rozpuście, tracił zamki graniczne, aż w końcu stracił rozum i umarł w szaleństwie. Zostało po nim dwóch synów: starszy Bolesław i młodszy Kazimierz. Po starszeństwie zasiada na tronie Bolesław, ale zaledwie przywdział szaty królewskie, począł znęcać się nad swoimi, uciskać matkę i młodszego brata. Matka, nie mogąc znieść postępowania wyrodnego syna, zamknęła się w samotnej celi klasztornej. Tymczasem srogi tyran napiętrzył tyle zbrodni, że te zwaliły się na własną jego głowę. Sąsiedni królowie i książęta, ukorzeni przez Chrobrego, podnieśli teraz czoło i jak wilki zgłodniałe wypadli z zasadzek na królestwo

polskie. A gdy już nie stało w Polsce pana z rodu królewskiego, wyprawiają poselstwo do Saksonii, aby wyszukać królowę matkę i wyprosić od niej na tron wnuka Chrobrego. Znaleźli ją w zaciszu klasztornem, ale otrzymują złowrogą wieść, że starania ich daremne, bo Kazimierz, wyzuty z dziedzictwa, poświęcił się Bogu i został zakonnikiem w klasztorze kluniackim. Spieszą więc posłowie do Kluniaku. Gdy stanęli przed furtą, Kazimierz zamiatał krużganek. Poznał swoich, ale że reguła zakonna nakazywała milczenie, nie przywitał ich, lecz ukrył się za filarem, aby nie być poznanym. Posłowie idą więc do opata, przedkładają powód przybycia i proszą o wydanie królewicza. Na to odpowiada opat, że Kazimierz nie może opuścić klasztoru, bo już wziął święcenie kapłańskie, jest dyakonem, a od tych ślubów nikt — prócz papieża — zwolnić go nie może. Nie tracąc chwili czasu, jadą posłowie do Rzymu i przedkładają swą prośbę Ojcu świętemu. Ten litując się nieszczęścia królestwa chrześcijańskiego przyzwolił na prośby Polaków i zwolnił Kazimierza od ślubów zakonnych. Ale nałożył pewne obowiązki: król do końca życia nie zdejmie z siebie habitu zakonnego, wystawi w swojem państwie nowy klasztor dla braci kluniackich, a Polacy ostrzyżą włosy na pamiątkę tonzury mniszej, przywdzieją przepaskę z białego płótna przez szyję, na wzór stuły dyakońskiej, i opłacać będę rocznie dla św. Piotra po denarze od każdego domu. Posłowie przyjęli wdzięcznie podane warunki. Wracają więc z Rzymu do Kluniaku, aby zabrać z sobą Kazimierza. Opat i bracia zakonni wyprowadzają go uroczyście z furty klasztornej. Posłowie jadą wesoło z królewiczem do Saksonii, gdzie przebywała jego matka. Stąd wrócą do Polski. Po kilku zwycięskich bitwach Kazimierz odzyskał ojcowiznę przy pomocy rycerstwa niemieckiego, zasiadł na tronie i panował szczęśliwie.

Inna wersya opowieści opowiada jeszcze o zwycięskiem starciu z Masławem. Człowiek ten niskiego pochodzenia zebrał jeszcze raz sąsiednie pogaństwo, napadł Polskę i niszczył ją ogniem i mieczem. Z całego królestwa nie zostało królowi ni piędzi ziemi — oprócz zamku w Ostrowie; wpadł więc w ciężką zadumę. «Papież — wyrzucał sobie — nie miał prawa zwolnić mię od tego, co ślubowałem Bogu, a zniszczenie narodu jest zasłużoną karą za moje grzechy». Nocą wszedł do kościoła Boga Rodzicy, zbudowanego na zamku ostrowskim przez prababkę Dąbrówkę, złożył miecz i koronę na ołtarzu i postanowił wrócić do celi klasztornej. Leżąc przed ołtarzem w modlitwie, usłyszał tajemnicze słowa: «Wstań, weź miecz i uderz na wroga». Głos ten Boży, trzykrotnem powtórzony echem, zrozumiał król; wziąwszy więc miecz z ołtarza, rozbudził śpiących przy nim panów i rzucił się z małą garstką na niezliczoną czerń pogaństwa. Nad głowami walczących unosił się obrońca z białą chorągwią w ręku, osłaniając garstkę rycerzy. Wołał zaś: «Na wroga, na wroga!» tak długo, aż całe pogaństwo w śmiertelnych poginęło zapasach. Świętym sprzymierzeńcem w boju był tensam, od którego zaczęła się powieść; patron Polski i królewskiej rodziny Chrobrego — św. Wojciech.

Do rzędu takich baśni, utworzonych przez mnichów, należy legenda o Bolesławie Śmiałym: W Ossyachu, (po słoweńsku Ossoje) w malowniczej okolicy górskiej w Karyntyi, rysuje się na tle turni alpejskich majestatycznie, a smutno, kościółek niegdyś Benedyktyńskiego opactwa, gdzie miano na wieczny złożyć spoczynek zwłoki króla tułacza. Miejscowi opowiadają następującą o tem legendę: W czasie, kiedy przełożonym klasztoru był opat Teucho (Teuzo), zakołatał do furty klasztornej pielgrzym, o bladych a szlachetnych rysach twarzy, ale silnej budowy ciała. Zapytany przez opata, czegoby żądał, dał gestami do zrozumienia, że jest niemy i podał



74. Rozsiekanie przez katów ciała św. Stanisława (z obrazu w bibliotece Pawlikowskich).

pismo z następującą prośbą. «Zlitujcie się nad biednym, niemym pachołkiem bożym i dajcie mu u siebie przytułek». Badawczym wzrokiem zapytał go opat, czy chce przyjąć służbę parobka kuchennego, pielgrzym z wdzięcznem spojrzeniem dał znak potwierdzający. Odtąd spełniał w klasztorze najniższe posługi, rąbał drwa, nosił wodę, zamiatał kuchnię i korytarze. Z czasem wyszło na jaw, że nieznajomy przybysz umie czytać i pisać, a nawet pełnić służbę wojskową, co na owe czasy nieomylną było wskazówką, że musiał należeć do wyższego stanu. Sam pokutnik jednak spędził lat kilka w klasztorze, nie zdradzając najmniejszem słowem dawnej przeszłości. Przed śmiercią dopiero odkrył opatowi tajemnicę swego królewskiego pochodzenia, wyznał jako jest królem polskim Bolesławem II., zabójcą biskupa krakowskiego, Stanisława. Na dowód zaś wiarygodności słów swoich oddał opatowi pierścień królewski, który nosił zawieszony na szyi. Przyjąwszy sakrament ostatniego pomazania, umarł z temi słowy na ustach: «Cel mój spełniony... W dniu, w którym bogobojny Stanisław padł pod ciosem mojego miecza, oddaję Bogu ducha. Niech będzie chwała Najwyższemu. Święty męczennik przebaczył mi — widziałem go dzisiaj we śnie, uśmiechał się łagodnie i przywoływał ku sobie, do królestwa niebieskiego. Idę już... idę». Nazajutrz wyzionął ducha wśród modłów braci zakonnych. — W kronice Karynckiej XVI. stulecia pod tytułem «Annales Ossiacenses», pisanej prawdopodobnie przez opata Zacharyasza Gröblachera, czytamy tę oto krótką zapiskę: «1072 Teuzo, opat, był przełożonym klasztoru. — 1084. W tym roku Bolesław, król polski, porzucił królestwo swe i tu po odbytej ośmioletniej pokucie zmarł. Kronika ta przechowała również następujący wiersz o królu Bolesławie.

Rex homicida ego sum, perfugus et scelere dives,
Hic latui, luxi, deplorans facinus audax,
Ne tamen admissum scelestem (ob crimen coelestis) vindicet ultor,
Sanguine purpureo tingentem sidera coeli (Olimpi),
Te Stanislae peto sedantis (rogo precantis) advoca causam
Polonum quesens hac me versurus eas.

W przekładzie polskim:

Królem mężobójcą jestem, tułaczem i w zbrodnie bogatym,
Tum się ukrywał, bolał i opłakiwał czyn zuchwały,
Aby mnie jednak za zbrodnię haniebną nie karał mściciel,
Błagam cię Stanisławie, którego krew purpurowa broczy gwiazdy niebios,
Bądź obrońcą sprawy ukorzonego, błagam Cie w imię Polaka,
Przybądź oddalić ją odemnie.

Na początku XV. wieku wspomina Jan Dąbrówka, glosator kroniki Wincentego, że, według podania, król Bolesław strawił resztę żywota na pokucie, a na grobie jego (w Ossyachu) jest napis: Hic jacet Boleslaus, rex Poloniae, occisor sancti Stanislai, episcopi Cracoviensis. (Tu leży Bolesław, król polski, zabójca św. Stanisława, biskupa krakowskiego). Dopiero towarzysz Hozyusza w podróży do Rzymu, Kuczborski, oglądając na własne oczy ów kamień grobowy, odczytał dokładnie napis, którego podobiznę podajemy w rycinie. Nad tablicą grobową umieszczono w XVII. wieku, w zagłębieniu ściany kościelnej, duży obraz na drzewie malowany, przedstawiający wizerunek królewski w całej postaci, w pancerzu i szyszaku, a w około



75. Podniesienie zwłok św. Stanisława (z obrazu Pawlikowskich we Lwowie).

niego ramowane obrazki następującej treści: 1. Biskup Stanisław upomina króla i 2. modli się za niego; 3. Król zabija biskupa; 4. Bolesław w pielgrzymce — 5. na łożu śmiertelnem — 6. nosi drwa do kuchni klasztornej; 7. Pogrzeb Bolesława. Pod spodem obrazu był napis: «Boleslaus rex anno 1089» a nadto niżej następuje wiersz:

Occidit, Romam pergit,
Placet Ossyach illi.
Ignotus servit, notus pie
Lumina claudit. Ossyach
Hic tibi placet, Stanislae,
Tyrrannum, miteem quem factum,
Coelestibus intulit astris.

Co znaczy:

Zabił, do Rzymu dąży,
Ossyach mu się podobał.
Nieznany służył, poznany pobożnie
Zamknął oczy! Ossyach przeto
Pojednywa z tobą, Stanisławie,
Tyrana, którego skrószywszy,
Wniósł ku gwiazdom niebieskim.

Wiersze te, jak cała tradycya o zabójstwie św. Stanisława i pokucie Śmiałego, wychodzi daleko po za granice okresu Piastowskiego. Nie ulega jednak wątpliwości, że pewne motywy odnieść można do czasu kanonizacyi, to jest do połowy XIII. wieku. Do tradycyi o Stanisławie wrócimy jeszcze w rozdziele pod tytułem Żywoty świętych, obecnie zatrzymamy się nad wierzeniami ludu naszego, o ile słowiańskie zdradzają piętno.

W dziejach cywilizacyi religia stanowi pierwotną i przez wiele wieków wyłączną postać życia duchowego; ona to wydziela z siebie zarodkowe komórki literatury i sztuki. Ubóstwo pojęć religijnych i nierozwinięte formy kultu, dają miarę niskiego stopnia rozwoju umysłowego pierwotnych Polan i tłómaczą dla czegośmy nie wytworzyli w tym okresie literatury i sztuki rodzimej.

Pierwotny stan społeczeństwa był nieustającą walką. Człowiek musiał żyć gromadnie, bo pojedyńczo nie dałby sobie rady — zginąłby bezwarunkowo. Gromada zaś nie może się obyć bez wodza, widzisz go już u zwierząt. A że w owych czasach nie istniały jeszcze imiona chrzestne, tem mniej nazwiska, nazywano więc wodza po prostu «panem» albo «ojcem» — «b o g i e m» całej drużyny czyli «czeladzi». Że «bóg» pierwotnie znaczył tyle co naczelnik, na to mamy dowody w naszych wyrazach «bogacz», «bogaty» — «bogactwo» — «ubogi» i t. p. Narody, sięgający pamięcią zamierzchłej doby prabytu, jak naprzykład Grecy, zaczynają historyą swą od panowania bogów. Uważając pierwszych królów za następców tych bezimiennych jeszcze ojców, składają im po śmierci ofiary, jako duchom opiekuńczym swego rodu. Każde plemię ma swego ducha opiekuńczego czyli boga. Stanowi on o potędze plemienia, wyraża miarę jego wpływu. Im potężniejszy duch, tem silniejszy lud tulący się pod jego skrzydła. U nas dziś jeszcze opowiadają włościanie o walce duchów. A mianowicie gdy nadciągają chmury gradowe, każą po wsiach dzwonić — a lud

twierdzi, że chmury ścierają się jakby dwa nieprzyjacielskie wojska, uderzając na siebie, mieszają się lub padają. Jest to walka duchów, płanetnikami zwanych.



76. Kanonizacya św. Stanisława (z obrazu Pawlikowskich).

W ścieraniu się chmur okazuje się, która gmina silniejsza, po czyjej stronie stał potężniejszy duch i której dzwony były skuteczniejsze.

Lud wyobrażał sobie ducha opiekuńczego w postaci człowieka, podlegającego wszelkim skłonnościom i potrzebom ludzkim. Mamy na to dowody w najdawniejszych naszych grobach, gdzie składano umarłemu naczynia, zbroję i kosztowności, w których lubował się za życia.

Jak dla człowieka jest i dla ducha najgłówniejszą potrzebą i przyjemnością: jedzenie, pokarm, uczta. Bez nich nie mógłby żadną miarą istnieć. Dla ducha, jak wiatr wiotkiego, bywa pokarmem para, i woń unosząca się z potraw, duchy lekkie nie mogą spożywać grubych potraw. Aby się o tem przekonać, nie trzeba cofać się w czasy pierwotne, i obecnie bowiem usłyszeć można zdanie, że «duszę ma tylko chrześcijanin, żyd zaś lub turek i straszniejszy nad to wszystko lutryan i kalwin mają tylko — parę». Mądre czyli cioty mają w sobie po jednym, trzech, siedmiu lub dziewięciu złych duchów, a te różnymi przez nie przemawiają językami. Wchodzą zaś do wnętrza baby zawsze jeden po drugim — parą, oddechem.

Ofiary, składane Bogu, dadzą się również wyprowadzić z tej funkcyi fizyologicznej. W najdawniejszych czasach wymagały bóstwa ofiary z ludzi, z postępem czasu jedynie nieprzyjaciół, później zwierząt w końcu chleba. Z razu służą ofiary za pokarm, spożywany przez boga. Na wyższym jednak stopniu rozwoju tracą swe grube, pierwotne znaczenie (karmienia bogów). Wylewają w prawdzie napoje i palą mięsa na ołtarzu, ale czynność ta jest tylko wyrazem uwielbienia bóstw. Słowianie, zamieszkali nad Łabą i na wyspie Rugii, składali już tylko zwierzęta w ofierze, ale na Litwie i Żmudzi ofiarowano jeszcze w dwa wieki później, jeńców wojennych, umyślnie w tym celu kupowanych. U ludu naszego zastępuje ofiary ze zwierząt odpowiednie pieczywo. Do pozostałości owych zastępczych ofiar należą korowaje. Bywają one dziś jeszcze wielkości ogromnego bochna chleba, przystrojone z wierzchu różnemi z ciasta urobionemi zwierzętami, bydłem, ptactwem. Pieczą korowaj i wynosząc go do komory, obserwują różne starożytne zwyczaje i śpiewają uroczyste pieśni, jak naprzykład następująca:

Ej! Łado, Łado — ej, Łado, Łado!
Bez (przez) te lubelskie pola
Połamały się, pokruszyły się
Pod korowajem koła.

(Takiej był niegdyś wielkości).

Wygląd i nazwa korowaja świadczą, że chlebem tym, który zastępował ofiarę krowy, karmiono bóstwo.

Ojcu rodu, patryarsze, oddawano za życia we wszystkiem pierwszeństwo, a więc i potężnemu duchowi jego należał się pierwszy kęs, czyli wszystko pierworodne, wszelkie pierwociny. Uiszczała się z tej daniny drużyna, bo czekały ją za to i liczniejsze potomstwo i obfitszy rozpłodek. — Pozostałości tego przekonania przechowały się do dziś dnia między naszym ludem. Gospodarz wszystko pierworodne uważa za nieprzydatne do przychowku. Pierwsze cielę, pierwsze koźlę, pierwszy baran idzie pod nóż, a pierwsze szczenięta i koty topi się zazwyczaj w rzece.

Z pojęcia, że pokarm był taką samą dla ducha, jak dla żyjącego człowieka potrzebą, wynikały ofiary na ucztach. Duch lubiał, jak człowiek pierwotny, uczty i spieszył na nie chętnie, mimo to wymagał, tak samo niemal, jak on — przyzwoitego, a nawet z ceremoniami połączonego zaproszenia. Ślady tych wyobrażeń zachowały

się jeszcze w «Dziadach», gdzie guślarz duchy na ucztę — zaprasza. Na uczcie pierwsze zajmowały miejsce. Z każdego kieliszka zlewano najpierw dla nich kilka kropel napoju, przyczem oprócz wezwania, uderzano o naczynie, aby zwrócić ich uwagę. Stąd i dzisiaj jeszcze słyszysz przy pełnym kieliszku wezwanie «daj nam Boże» lub bodaj lekkie trącenie. I ugaszczanie duszyczek w «Dziadach» oparte jest na odwiecznych zwyczajach ludu. Różnica polega na tem, że za dawnych, pogańskich czasów raczono duchy, aby je za ciężkie przebłagać winy lub względy ich pozyskać,



77. Rzekomy grobowiec Bolesława Smiałego w Ossyachu.

dzisiaj zaś, aby przynieść ulgę nieboszczykom w męczarniach czyścowych. Dawniej były to duchy opiekuńcze, dusze zmarłych przodków (stąd nazwa «Dziadów»), które potomków jak oka w głowie strzegły i chroniły, dziś lud myśli już tyko o grzesznych duszyczkach, oczekujących od mąk czyścowych wybawienia.

Zdarzało się, że duch zjawiał się sam, jak nieproszony gość i nie chciał ustąpić, czem wzniecał strach. Używano wtedy prośby i groźby, a w końcu przemocy, ażeby go się pozbyć. I guślarz Mickiewicza najpierw prosi, a potem grozi krzyżem. Za czasów pogańskich nie posługiwano się oczywiście krzyżem, ale wy-

machiwano miotłami w powietrzu po wszystkich kątach. Dlatego to miotła zachowała do dziś jeszcze w wyobrażeniach ludu jakąś siłę tajemniczą. Starej miotły, wyrzuconej na drogę, wiejska kobieta lęka się dotknąć, pokutuje w niej bowiem zły duch.

Mieli więc Polacy swoich bożków, a były nimi cienie zmarłych przodków. Ale kult ich nie wzniósł się do poziomu bogów klasycznych, ani nie zdołał objąć rozległych dzierzaw Słowiańszczyzny. Najwyżej stosunkowo rozwinęła się wiara Pomorzan; oni też jako wysunięci najdalej na północ byli najdłużej poganami. Ze świadectw kronikarzy nakreślić można etapy rozwoju owych wierzeń od pierwotnej czci gajów.



78. Rzekomy posąg Swantowita, w zbiorach Akademii umiejętności w Krakowie.

I tak o Słowianach, mieszkających w dzisiejszym Holsztynie, opowiada kronikarz: «Przyszliśmy do gaju, gdzie wśród wysokich, starych drzew wznosił się dąb święty. Bożek, któremu dąb ten był poświęcony, nazywał się Prowe (może «borowy» — to jest w borze mieszkający). Otaczała go zaś okrągła świetlica, niby namiot, naokoło świetlicy była zagroda z częstokołu, a do zagrody prowadziły dwie bramy.» Inny kronikarz opisując świątynię na wyspie Rugii, powiada, że «stał tam posąg boga z dębu. Okalał go namiot spoczywający na palach. Na dębie wyciosane były ze wszystkich stron twarze, których było siedm, aby każdy z stojących naokoło posągu mógł widzieć przed sobą boga. Bóg ten nazywał się «Rugiwit». — W tych dwóch opowiadaniach widzimy dwa, po sobie następujące stopnie rozwoju świątyni.

Pierwotny przybytek bóstwa tworzyły rozłożyste konary dębu, rozpinając nad niem żywą, naturalną zasłonę. W dalszym stadyum rozwoju widzimy już sztuczną altanę, ale jeszcze okrągłą, jak cień drzewa, a sędziwy dąb stoi jeszcze krzepko i siekierą nietknięty. — Następnie zostaje z olbrzymiego drzewa sam tylko pień z wyrytemi na nim twarzami. Jest to już posąg, lubo bardzo zawsze pierwotny. Dalszą ewolucyę przybytku bóstw przedstawia świątynia w Arkonie, tak opisana przez naocznego świadka: «Dach spoczywał na czterech palach — a więc już świątynia czworograniasta, kiedy poprzednie były jeszcze okrągłe — wiszące kobierce tworzyły ściany. Podwójna zagroda przedzielała przybytek boga od miejsca zgromadzenia pobożnych. W samym środku stał olbrzymich rozmiarów posąg o czterech głowach i tyluż szyjach. W prawym ręku trzymał puhar w kształcie rogu, który kapłan raz na rok napełniał winem. Lewe ramię, w kabłąk zgięte, miał o kłąb oparte. Okrywał go żupan niżej kolan sięgający. U boku wisiał wielki miecz. Stóp nie było widać, i zdawało się jak gdyby cały posąg tkwił po kostki w ziemi. Bóg ten nazywał się Swantowitem.»

Z owych nieznacznych początków rozwinęła się oto zupełna świątynia, z tą chyba różnicą, że dla pobożnych wyznaczano miejsca, nie przed, lecz w około boga, jak pierwotnie naokoło drzewa. Posąg bóstwa nie pozbył się jeszcze czterech głów, aby z każdej strony mógł spoglądać w oblicza pobożnych w czworobok ustawionych. Nie wyzwolił się też z pierwotnych cech swego pochodzenia — zawsze jeszcze wyglądał jak drzewo wrosłe w ziemię. Spotykamy tam posągi o trzech (Triglaw) i o czterech głowach, trzymające piątą głowę w rękach i t. p. Gdyby tu było pogaństwo jeszcze ze dwa wieki potrwało, rozwinęłaby się może murowana świątynia z pięknym posągiem, stojącym na piedestale.

Inaczej rzecz się ma na ziemiach rdzennie polskich. Snać nie miało społeczeństwo nasze w czasach przedhistorycznych silnie rozwiniętej organizacyi kultu, kiedy nie przechowały się żadne ślady świątyń pogańskich. W stosunku naprzykład do Słowian nadbałtyckich, którzy swym bogom wspaniałe wznoszą budynki i posiadają świadome swego celu kapłaństwo, byliśmy ubodzy i prości. Wskazuje na to również i łatwość, z jaką przyjmowano i rozpowszechniono u nas chrześcijaństwo. Rozwinięte wielobóstwo z wyrobioną teokracyą byłoby stawiało nowej wierze tak silny opór jak nad Bałtykiem, gdzie po długoletnich dopiero bojach i gwałtownych przewrotach, barbarzyńcy, do ostateczności doprowadzeni, wyrzekli się z wiarą i życia. U nas kult nowy zastał grunt dziewiczy, gotowy do zajęcia. Dłutem wyrzeźbione bóstwo i ustrój służby kapłańskiej byłyby wyryły w pamięci ludu tak silne wspomnienia, iżby prędzej czy później przedostały się i do literatury.

Cześć religijna w Polsce płonęła w prostych całopalnych ofiarach, wyrażała się w obrzędach i praktykach, których szczątki wloką jeszcze swój byt między ludem. Znano zapewne i u nas bożyszcza, ale były one podobniejsze do fetyszów plemion indyjskich, aniżeli do bogów homerowskich. Babie i Łyse góry, a na równinach święte bory i gaje służyły od najdawniejszych czasów za przybytek bóstw. Kamień czy pień drewniany, okolony, niby dziećmi, mniejszymi kamykami albo ogrodzony płotem, zastępował ołtarze, tu składano «objaty» i sprawiano inne obrzędy religijne. Od tych «bożnic» czyli po prostu kamieni ofiarnych na górach i świętych borach, nie przyszło do wznoszenia budynków dla bożyszcz, wcześnie bowiem rozpiął tu krzyż swe ramiona i przeciął dalszy rozwoj kultu. Za owych czasów obrzędy religijne sprawowali starsi w rodach. Z rozwojem stosunków społecznych wytwarza

się osobny stan ludzi do składania bogom ofiary, do przepowiadania przyszłości i tym podobnych praktyk. Zostało po nich wspomnienie w wróżbitach i guślarzach wiejskich.

Chrzest zmył wprawdzie poganina z «kału grzechów» ale nie zdołał wykorzenić z duszy jego starodawnych wierzeń, praojców zwyczaju, co to przez wieki i pokolenia budziły się w sercu jego do nowego życia. Do obrzędów starej, weselszej religii zapraszała sama przyroda, przypominały z każdym rokiem długie wieczory zimowe, zwiastuny rozkosznej wiosny, żniwa płodów polnych i t. p.

Przychodziło nieraz do starcia, do walki obu wierzeń — skończyło się kompromisem. Kościół, kierowany wyrozumiałością, przyjął wiele zakorzenionych zwyczajów pogańskich, ale nie doznał przez to uszczerbku zasadniczego, zbliżył się tylko mocniej do serca ochrzczonego ludu. Niektóre swawolne obyczaje, z którymi kościołowi pogodzić się nie było wolno, zdławił ostatecznie po długim oporze, te zaś, których wytępić nie mógł, wcielił do swoich obrzędów. Postępował przytem oględnie. Szatę kultu pogańskiego, nieco spłowiałą, zabarwiła symbolika chrześcijańska wyższemi pojęciami dobra i sprawiedliwości.

Na bożnicach i cmentarzyskach stanął krzyż, godło męki Zbawiciela. Miejsca, odgrywające wybitną rolę przy zaprowadzeniu chrześcijaństwa, jak Gniezno, Kruszwica i t. p. były nawet, jako rezydencye czasowe pierwszych książąt panujących, siedliskiem obrzędów pogańskich. Jeszcze po śmierci Mieszka pamiętali starzy ludzie książąt polskich, składających bogom rodzimym ofiary. Po uroczyskach i świętych gajach zbierały się jeszcze gromady, co się z nowym stanem rzeczy pogodzić nie mogły i jeno wyczekiwały stosownej chwili, aby zrzucić z siebie gniotące jarzmo ładu i nowej organizacyi, narzuconej przez państwo i kościół. Niepowodzenia i klęski spadające na głowę Mieszka II, ośmielały coraz więcej zwolenników dawnego porządku, a gdy i Mieszka nie stało, reakcya pogańska podniosła groźnie głowę. Jak silnym musiał być ten opór przeciw nowej idei, wnosić można z tego, że zniszczył owoce przeszło półwiekowej pracy cywilizacyjnej pierwszych Piastów. Reakcya uderzyła przedewszystkiem na widomych nowej wiary przedstawicieli. Pomordowano kapłanów, zrabowano kościoły; wzniesione szczodrą dłonią pierwszych chrześcijańskich władzców mury kościoła polskiego rozsypały się w gruzy. Tak szalała wichura przeżytych wierzeń, że nie ostała się żadna z katedr biskupich. Następców Mieszka II. czekało żmudne zadanie. Trzeba było dzwigać z upadku, a raczej na nowo budować zwalone warownie chrześcijaństwa. Podjął się tej pracy Kazimierz, a przydomek Odnowciela, nadany mu niemal przez spółczesnych, dowodzi, że jej podołał. Nie mógł jednak przywrócić już znaczenia kościoła do dawnego stanu. Przypadło to w udziele jego następcom. —

Że w pierwszej dobie chrześcijaństwa, kiedy nowa wiara nie przejęła jeszcze głębi umysłów i serc ludu, spoglądał on z niewiarą, a może i odrazą na kapłanów i krzewicieli chrześcijaństwa, tego dowodzi zachowany do naszych czasów przesąd, że, «skoro duchowny przejdzie drogę, to wróży nieszczęście.» Podają na to radę żeby szpilkę albo słomę na niego rzucić, może w zastępstwie drzewa lub kamienia, a wtedy nieszczęście się odwróci. W Karpatach wyobrażają sobie do dziś dnia dyabła w postaci mnicha, a pojęcie to możnaby wytłumaczyć szczątkowymi objawami owej niechęci, jaką niegdyś żywił poganin ku słudze Bożemu.

Wierzenia pogańskie przechowały się do dziś w pojęciach naszego ludu o pozagrobowem istnieniu. Wiara w życie przyszłe kojarzy dwa szeregi powiązanych

z sobą wyobrażeń, rozprzestrzenionych po obu półkulach. Sięgają one w najgłębszą przeszłość i pochodzą z najniższych, badaniom naszym ledwie dostępnych stanów społecznych, a przechowują się też w wierzeniach ludu naszego, lubo uległy niezmiernym przeobrażeniom. Jedno z tych wierzeń, to metampsychoza, wiara w wędrówkę dusz, rozkrzewiona niezmiernie w tej części świata, który miał być kolebką rodu ludzkiego, u narodów z wspaniałą przeszłością, co to i dziś jeszcze liczebnie przeważają innych wyznawców. Wiara ta zatrzymała się w drodze rozwojowej i osłabła. Na wyższym szczeblu drabiny ewolucyjnej stanęła druga teorya religijna o przyszłem, po śmierci ciała życiu duszy osobowej. W biegu dziejowym ludzkości wierzenie to przebyło różne zmiany od najgrubszych początków u ras dzikich, aż do wcielenia jej do zasadniczych nauk chrześcijaństwa.

Metempsychoza urosła w rękach ambitnej hierarchii indyjskiej do systemu teologicznego. Wystawiała zaś życie w ciągle zmieniających się, jak kameleon, postaciach, niby wspaniałe igrzysko ciągłych odrodzeń, jako straszliwy proces oczyszczenia, którego oskarzycielem, sędzią i obrońcą byli kapłani. Echa tej grupy wierzeń przechowują praktyki religijne naszego ludu. U nas władzę czynienia przemian posiada w wysokim stopniu zły duch. Wróżbiarze i czarownice przemieniają się w koty, psy, konie, wilki. Ulubionym wątkiem w baśniach jest przemiana królewny w kaczkę, rybę i t. p. Rozpowszechnione są bardzo podania, których bohaterowie i bohaterki otrzymują moc przeobrażania się w najrozmaitsze istoty, w celu ujścia od prześladowania smoków lub jędz. Do istot, w które ludzie się przemieniają, należą wilkołaki, upiory, mawki, łaskotnice. Do kategoryi przemian należą liczne metamorfozy przedmiotów nieżywotnych w żywotne, naprzykład włosa w konia, szczotki lub grzebienia w las, chustki lub ręcznika w morze i t. p. Z grobu niewinnie zamordowanego wyrastają białe lilie na znak jego niewinności, na mogiłach kochanków wiją się powoje i rosną kwiaty lub drzewa z sobą splecione. Podanie heraldyczne niesie, że każdy zmarły z rodziny Herburtów przemienia się w orła. Gdy zbójca Madej spowiadał się z licznych swych grzechów, klęcząc pod drzewem, wtedy za każdem wymienionem zabójstwem jedno po drugiem jabłko ulatywało w postaci białego gołębia w górę, były to dusze pomordowanych — wreszcie z ostatniem jabłkiem uleciała dusza jego ojca. Rozpowszechniona u nas wiara w wilkołaków, to jest ludzi przemieniających się w wilków, chciwych krwi ludzkiej, jest spuścizną z czasów przedhistorycznych. W komedyi Wiśniewskiego pod napisem «Ludowe wesela», drukowanej w XVI. wieku znajduje się następujący wiersz odnoszący się do tego zabobonu:

Raku nie raku,
O, straszny cudaku,
Cały wilkołaku.

Wiarę tę zachowało jeszcze wiele plemion. W Siam wierzą dotąd, że za wymówieniem pewnego słowa, zamieniają się ludzie, kiedy wychodzą na łup, w tygrysów, poczem przybierają napowrót postać ludzką. Wierzenia te znajdują swe ujście w nazwach rodów czy pokoleń Wilków i Słowianom także znanych. Wilkołak nie rodzi się u nas, jak inne wilki, z wilczycy, ale powstaje z człowieka, którego zaklnie czarownik i żyje w tym stanie przeobrażenia przez taki czas, jaki mu on przeznaczy. Przed kilkunastu laty postrzelono opodal Lublina wilka, właśnie kiedy wchodził do lasu. Wkrótce jednak zgłosił się do dziedzica jeden z włościan z prośbą, aby nadal

do wilka strzelać zabronił, «bo to, proszę pana — rzekł — ten wilk, to mój syn zaginiony, który zamienił się w wilka, lecz on nikomu szkody nie robi i tylko tak około swej rodzinnej wsi się błąka». Lud mniema, że taki wilk wraca w późnym wieku do swej pierwotnej postaci ludzkiej, ale nie znalazłszy ani przytułku, ani litości, wraca do lasu jako wilk. Już Herodot opowiada to samo o Neurach; uchodzą oni u Scytów jakoby każdy z nich przemieniał się corocznie na parę dni w wilka. Ludzie posiadający tę władzę nazywają się lyk-antropoi, (wilkołaki) w staroniemieckim verevulf, w fracuskim loup-garou, w serbskim wukodłak i t. p. Metampsychoza jest tylko częścią obszerniejszej grupy wierzeń w pozagrobowe życie duszy.

Jakie pojęcie mieli barbarzyńcy o tem, co się dzieje z duszą po śmierci? — Odpowiedzi są rozmaite, lecz w tem są zgodne, że dusze przebywają w miejscach, skąd mogą odwiedzać żyjących, naturalnie w nocy. Niektóre plemiona Indyan utrzymują, że dusza nie przestaje nawiedzać swej chaty, albo że krąży w pobliżu miejsca grobu. Z cmentarzysk, które bywają niekiedy miejscem zebrania ludu, duchy przodków przypatrują się im życzliwie, niby starzy ludzie, którzy siedząc na łące wioskowej, patrzą na zabawy młodzieży. Lud dobrzyński wierzy, że z osób w zachwyceniu (letargu) wychodzi dusza i one dotąd leżą umarłe, dopóki dusza do nich nie wróci. Taki człowiek wie wszystko, co się na tamtym świecie dzieje, lecz nie wolno mu nic powiedzieć pod karą śmierci. Po zgonie człowieka — powiadają inni — dusza wychodzi z ciała, staje po prawej stronie i dotąd tam czeka, dopóki nie pogrzebią trupa. Można ją widzieć ulatującą, przy konaniu osoby, w postaci muchy lub motyla. Dusze błąkają się też po borach i łąkach w postaci ogników błędnych, «świetlików» i t. p.

Ludy pierwotne wierzyły, że śmierć nie zrywa węzła umarłych z żywymi. Ciało zmarłego, pogrążone we śnie, pozostawało w ziemi, a dusza ulatywała w krainę przodków, aby stamtąd czuwać nad dolą i niedolą krewnych. W pewnych chwilach zjawiał się duch na ziemi, niewidzialnie lub w postaci zwierzęcej, jak naprzykład węża, gołębicy, sokoła, motyla, robaczka i t. d. czasem nawet w formie listka, proszka, ziarnka piasku i t. p. zaglądał do chaty rodzinnej, śledził czyny i postępki żyjących, dawał im przestrogę, spieszył z pomocą lub karą. W okolicy Ostrowca (w Radomskiem) mają ludziska dwa duchy, to jest złego i dobrego. Jeden z nich, to jest dobry, idzie spokojnie do krainy duchów, drugi zaś, zły, zostaje na ziemi, chodzi wraz z ciałem w nocy po wsi, stuka w okno, przeszkadza ludziom. W ogóle nie wszystkie dusze mają dostęp do krainy szczęścia; duchy złych ludzi musiały długo błąkać się po ziemi w postaci sowy, kruka, niedoperza, wilka lub też strygi, rusałki, boginki i t. d. Pokutują one za winy popełnione i bywają postrachem mieszkańców danej okolicy. — I wiara w upiorów ma swe źródło w pierwotnych wyobrażeniach tak zwanego animizmu. Upiory są to wedle pojęcia ludu dusze zmarłych, pozbawione krwi i łaknące jej, bo je na chwilę ożywia. Wiadomo, że wiele ludzi zapada w bezkrwistość i ginie na brak sił żywotnych. Otóż, wedle podań gminnych, stan ten sprowadzają wysysające krew zmory, których straszne odwiedziny lud odczuwa we śnie.

Zabobon ten należy do najbardziej na kuli ziemskiej rozpowszechnionych wierzeń i właściwy jest rasom od najniższych począwszy, u nas zaś wielce rozgałęziony między ludem wiejskim i miejskim. Przytaczam jeden z tysięcznych przykładów.

W Lublinie opowiadają, że silny i odważny parobek nawiedzany był co nocy przez zmorę czyli upiorzycę, która przeciskała się przez szczelinę okna w postaci kota, a wyszukawszy swego kochanka powoli się rozciągała po jego ciele od nóg aż do piersi i cisnęła go. Raz udało mu się pochwycić i przydusić kota. Po prze-

dzierzgnięciu okazało się, że to była kobieta, która zakochana w parobku przychodziła go odwiedzać w nocy, a dręczona jego naleganiem zaprzysięgła, że go już nigdy dusić nie będzie.

Pojęcie duszy było pierwotnie zupełnie materyalne. Nikaraguanie twierdzą, że gdy mężczyzna lub kobieta umierają, z ust ich wychodzi coś zupełnie do ludzkiej postaci podobnego. W Iliadzie przybiera już dusza charakter mniej materyalny. Zmarły Patrokles odwiedza śpiącego Achilesa, który na próżno usiłuje pochwycić go w swe objęcia, gdyż duch jak dym znika pod ziemię. Pojęcie duszy w postaci nikłej, eterycznej materyi ustąpiło potem miejsca określeniu duszy jako substancyi nie materyalnej, jako czystej abstrakcyi. Dawniejsza jednak i grubsza teorya była milszą i bliższą sercu naszych niecywilizowanych przodków. Nawet język zdradza ślady tego poziomu wyobrażeń. Do dziś mówimy: «wychodzi z siebie», «przyszedł do siebie», «wyzionął ducha», albo znowu dusze zmarłych nazywamy «cieniami». Wyobrażenia te są pozostałością najdawniejszych o życiu człowieka wyobrazeń.

Aby zapewnić sobie opiekę i pomoc dobrych duchów, albo zabezpieczyć się od złych, starano się o zjednanie ich sobie. Czy to, że uczta dla ludzi mało rozwiniętych stanowi jedną z największych rozkoszy, czy też, że zaspokojenie głodu i pragnienia należy do niezbędnych potrzeb, największym dowodem pamięci o zmarłych było ich karmienie. Odbywało się ono w pewnych okresach czasu, poświęconych pamięci przodków czyli dziadów. Według świadectw historycznych i do dziś istniejących między ludem obrzędów, pamięć zmarłych obchodzono od najdawniejszych czasów na wiosnę lub w jesieni. Chwila, w której budziła się cała przyroda do nowego życia i przeddzień, kiedy w długi sen zimowy zapadała, najwięcej skłaniały serca ludu do wspomnień zmarłych. Zbierała się wówczas drużyna z wielką uroczystością na cmentarzach, zanosiła modły wedle starodawnych obrzędów, śpiewając na mogiłach i przynosząc umarłym pokarm. W powiecie siedleckim drobna szlachta wyprawia do dziś tak zwane Boże obiadki czyli stypy po pogrzebach i żałobnych nabożeństwach. Z kolei biorą w nich udział wszyscy krewni, sąsiedzi, ludzie z całej wsi i zaproszeni ubodzy. Wszystko to przeplatane jest śpiewem, modlitwą i wspomnieniami umarłych, zwłaszcza tych, którzy w tym domu żyli. Lud lubelski wierzy, że w wigilię dnia zadusznego zmarli schodzą na ziemię i przebywają przez czas jakiś w tych miejscach gdzie mieszkali za życia. Niepoliczone krążą przykłady o pobycie na ziemi nieboszczyków, o ich wybawieniu z mąk czyścowych przez ofiary i modlitwy. Kult ten, sięgający czasów zamierzchłej przeszłości, ma dotąd wielkie znaczenie w wierze wszystkich ludów, a więc i naszego. Ale gdy dawniej posilano duchy jadłem i napojem, dziś świat chrześcijański daje im inny, duchowy posiłek, to jest modlitwy i mszę świętą. Tylko lud, pomny dawnej ojców wiary, zachowuje dotąd pierwotny charakter zaduszek.

Z takiego pojmowania śmierci wypływa także zaopatrzenie zmarłych w zwykłe potrzeby. Wieśniacy angielscy kładą umarłemu piekielne ciżmy («helshoou») na straszną podróż do tamtego świata, gdzieniegdzie dają mu w rękę pieniądze, ażeby miał czem zapłacić za drogę. Stryjkowski poświadcza, że kobietom umarłym kładziono do rąk igłę z nitką, jako godło codziennego ich zajęcia. W poznańskiem stawiają do dziś koło trumny kawałek chleba z masłem i kieliszek wódki, aby umarły, na drodze do wieczności, miał się czem posilić. Podczas «pustej» nocy pijąc, wlewają mu w usta kilka kropel napoju. Aby nieboszczykowi nie brakowało niczego po śmierci, grzebano go ze zbroją.

Dytmar opowiada, że za Mieszka I., gdy ten był jeszcze poganinem, po stracie męża na stosie spalonego, ucinano żonie głowę, aby, jak przystoi, odchodziła za mężem. Miała ona w dalekiej krainie połączyć się z mężem i pełnić swe wobec niego obowiązki, tak samo jak na ziemi. Są okolice w Indyach, gdzie «dobra żona» bywa dotychczas palona na stosie pogrzebowym swego małżonka, zupełnie tak samo, jak opisują historycy Litwy. — Kiedy już oddawna żony i niewolnicy przestały w ten sposób towarzyszyć swemu panu, zabijano uroczyście konie wojownika na jego grobie i grzebano z nim razem. Wzruszający ceremoniał prowadzenia na pogrzebie, za trumną żołnierza, konia jego, jest ostatnim zabytkiem starożytnej ofiary. Litwini chowali wraz z umarłym pazury niedźwiedzia, w mniemaniu, że duszy jego będzie łatwiej drapać się na stromą górę. Górę tę nazywają nasze baśnie szklanną i opowiadają, że dusze potępionych muszą za karę leść na nią, a gdy są bliskie wierzchołka, noga im się usuwa i spadają. Kiedy w kieleckiem wynoszą zwłoki nieboszczyka z domu, to na znak pożegnania uderzają rogiem trumny w cztery kąty ścian, a nad progiem kilka razy podnoszą i opuszczają trumnę w cześć bóstwom domowym, mieszczącym się, jak wiadomo, po kątach i na progach domostwa. W pochodzie na cmentarz śpiewają:

Wynijdź, wynijdź, gospodarzu!
Chodzą śmiercie po podwórzu.
Ciało leży, ciało stęka,
Dusycka się w ciele lęka.
Moi mili przyjaciele,
Zaświećcie im świecę śmiele!
Jak wy mnie dziś, ja wam potem,
Wynijdź dusa krwawym potem i t. d.

W wierszu tym mamy wyraźne ślady przedhistorycznych wyobrażeń ludów pierwotnych o śmierci.

Im umarły wyższe zajmował stanowisko za życia, tem świętszą była wola jego, a pamięć o nim trwalszą. Starszy w rodzie, patryarcha rodziny, z poza grobu dawał czuć swą wolę i nie przestawał opiekować się rodziną lub gospodarstwem, a żyjący uważali go za swego bożka domowego. Z wprowadzeniem chrześcijaństwa bóstwom pogańskim przypisano charakter złych duchów, znikła pamięć o pochodzeniu od pradziadów, a upatrywano w nich wyłącznie istoty szkodliwe.

Opłakiwać zmarłego nie godzi się krewnym, albowiem wyobrażają sobie, że łzy ich nie dadzą nieboszczykowi spokoju w grobie i ciężą na jego duszy. Opowiada lud w Kijach, że matka, opłakująca zgon przedwczesny swej jedynaczki, idąc raz w dzień zaduszny na nabożeństwo, w bramie cmentarnej zobaczyła swą nieboszczkę córkę, obciążoną dwiema konwami łez, które po jej stracie wylała.

Wspomnę tu jeszcze o dwóch kategoryach przeżytków prastarej wiary indoeuropejskiej w okresie, kiedy jeszcze ludy słowiańskie jedną tworzyli rodzinę i jednym mówili językiem. Są to: zagadki i podania tyczące się rzeczy niebieskich, stworzenia swiata, tudzież zaklęcia, czary, gusła i t. p. Okolice górskie, w ogóle miejscowości odcięte od ognisk oświaty, są dziedziną guseł i zabobonów, wiernie po dziś dzień z czasów pogańskich przechowanych. Zdaje się jakoby postęp w pojęciach nie wycisnął na nich swego piętna. Każda okolica ma swego guślarza

lub wróżkę. Rzemiosło to przechodzi w spadku u mężczyzn: z ojca na syna, zazwyczaj pierworodnego, u kobiet z matki na jedną z córek. Polega zaś na znajomości pewnych formuł, zazwyczaj wierszowanych, w których trudno nieraz dopatrzeć myśli, a mających w pojęciu ludu moc przywracania zdrowia. W formułach tych, pod osłoną symbolów chrześcijańskich, przebija pierwiastek pogański. Wszystkie ludy, zanim umysł ich dojrzał, wierzyły w siłę czarodziejską potęgi słów, wierzyły w moc zaklęć i zażegnywań. Ta wspólność zabobonu dowodzi wspólnych do niego w całej ludzkości usposobień. Wszędzie też było mniemanie, że obce, nie zrozumiałe zaklęcia, najsilniejszy miały skutek. Pierwszy piśmienny ślad zażegnywań w języku polskim, o ile dotąd wiadomo, zachował nam Syreniusz, w swym zielniku, w rozdziale o «zaklinaniach i zażegnywaniach guślarzy i czarowników». Większą część tych zażegnywań odnaleść już można u Rzymian, a nawet u Greków starożytnych. Oto naprzykład znany zabobon zawiązywania czyli robienia zawitek w zbożu był już surowo karany prawem dwunastu tablic. W przysłowiu: «milczy jak zaklęty», dochował się ślad potęgi zaklęć, które nawet głosu pozbawiały ludzi. Wsie, zamki, kościoły, miasta, całe królestwa przez zaklęcia skamieniały lub zapadły się w ziemię. A ileż to baśni krąży o zaklętych skarbach, znajdujących się w ziemi, których złe duchy strzegą. Przytaczam tu jeden tylko przykład — ale wielce starożytny. Pod Wieluniem, w poznańskiem, powiadają przy zamawianiu: Niech się łączy ciało z ciałem, krew ze krwią, żyła z żyłą. Podobne zażegnywania cytuje Busłajew u Rosyan: Spustasia tiło z tiłom, kość z kośtiu, żyła z żyłoju. Prawie dosłownie znajdujemy ten zwrot u Germanów i Łotyszów, a w hymnie Indów opiewa ten wiersz jak następuje: Niech się łączy szpik ze szpikiem, z skórą skóra niech się zrośnie, krew niech ci wystąpi na kość, mięso z mięsem niech porośnie. Formułka więc nasza przy zażegnywaniach dotąd używana, ma bardzo stary początek.

Do najbardziej rozpowszechnionych wierzeń pierwotnych należą wróżby. Z niezliczonej ilości tej kategoryi przykładów zajmie nas tutaj jeden.

Istnieje u nas zabobon o babie, że wróży nieszczęście. Jeżeli myśliwy wyruszy na polowanie, a w drodze spotka kobietę (zwłaszcza w poprzek mu zachodzącą), to okoliczność ta wróży niepowodzenie. W Wielkiej Brytanii już w XII. wieku kobieta z rozpuszczonymi włosami uchodziła za przepowiednię nieszczęścia. Zresztą przasąd, że kobieta jest zwiastunką i źródłem nieszczęścia, występuje w rozmaitych okolicach kuli ziemskiej od czasów najdawniejszych, a siła owego przesądu wzmaga się w miarę tego, jak schodzim ku niższym szczeblom cywilizacyi. U czerwonoskórych z nad Hudsonu wiara ta posiada taką jeszcze moc, że pociąga surową względem winnej kobiety karę, u mieszkańców zaś Alaski dochodzi przez to do czasowego rozłączenia małżonków. Zjawiska tego nie można tłumaczyć wzajemnem zapożyczaniem, gdyż zbyt jest rozpowszechnione. Źródło jego znajduje L. Krzywicki w pierwotnym ustroju społecznym, a mianowicie w ściśle przeprowadzonym podziale zajęć obu płci, co dochodzi w niższych rasach do potwornych objawów kastowości. Mężczyzna trzyma się tam oburącz zajęć myśliwskich lub pasterskich i uważałby wszelkie przykładanie ręki do pracy niewieściej za rzecz hańbiącą. Zczasem podział ten pracy uświęca tradycya, która podnosi go do religijnego kanonu. Wykroczenie przeciw niemu staje się przestępstwem, grzechem, te zaś pociągają za sobą karę i odpowiednią pokutę. Dlatego Indyanka, przestępując broń myśliwską, sprowadza niepowodzenie na łowach, jeżeli nie okupi swojego kroku i nie przebłaga surowych bogów plemiennych, stojących na straży danego porządku rzeczy.

W ten sposób zaliczają jedni nasz przesąd myśliwski względem «bab» do szeregu pozostałości po dalekich barbarzyńskich przodkach, którzy za przejście w poprzek drogi może surowo karali swoje żony. Inni upatrują w tym zabobonie jedynie analogię tej kategoryi wróżb, o której poniżej wspominam. Objaśni ją najlepiej jeden z licznych przykładów u ras niższych, gdzie ma najrozleglejsze zastosowanie. Indyanin północno-amerykański, pragnący zabić niedźwiedzia, wiesza niezgrabną jego postać, uwitą z gałęzi drzew lub trawy, i strzela doń w przekonaniu, że ta czynność symboliczna sprowadzi fakt rzeczywisty. Zulu, mając kupić bydło, żuje kawałek drzewa, żeby skruszyć twarde serce sprzedającego, i wytargować taniej bydlę. Te i tym podobne płody rozumowania barbarzyńców wylęgły się na zasadzie, że rzeczy podobne do siebie zachowują się jednako. Jeżeli zastrzelę wizerunek, powinien paść trupem i rzeczywisty niedźwiedź. Jeżeli skruszę drzewo, zmięknie i serce kupca. Takie wyobrażenia rozpowszechnione są dotąd w naszym kraju śród nieoświeconego ludu. W radomskiem wierzą naprzykład, że chcąc ukarać złodzieja, trzeba tylko dać na przystawkę świecę, aby się co dzień przez jakiś przeciąg czasu paliła, a złodziej skończy życie wraz z dogorywającą świecą, jeżeli kradzieży nie wróci. Zwyczaj ten nazywa lud mściwością pogańską. Dziewczęta na Śląsku, chcąc przywabić do siebie zalotnika, szukają o północy ziela, zwanego nasięźrzał (na-się-patrzeć). Znalazłszy je, rozbiera się dziewka, klęka i mówi rwąc ziele, te słowa:

Nasięźrzale,
Rwę cię śmiale,
Pięcią palcy, szóstą dłonią,
Niech się chłopcy za mną gonią:
Karczmarze,
Owczarze,
Sołtysi,
A potem z całej wsi.

Te słowa po trzy razy powtórzywszy, musi potem co tchu uciekać i na goniące ją straszydła ani się obejrzeć, bo by życie postradała. Zerwane ziele zaszywa sobie w obrębach spodnicy, a skutkiem tego chłopcy tłumem się o nią dobijają. Na urok złych oczu, który się objawia zazwyczaj bólem głowy, daje piosenka gminna następującą radę:

Trzy węgielki w wodę kładź,
Trzykroć głowę zmocz dziecięciu;
I nad dymem rózg dziewięciu
Dziewięć razy kadź.

Starożytna liczba trzy i dziewięć (3×3) występuje bardzo często w zamawianiach ludu. — Któż u nas nie zna zwyczaju lania ołowiu lub wosku, aby się dowiedzieć o osobie przeznaczonej na dozgonnego towarzysza życia. Zwyczaj ten, czy podejmowany bywa z wiarą, czy dla zabawy, jest igraszką niewinną, nie był nią jednak przed kilkuset laty. Życiem przepłacał często wśród okropnych męczarni, kto go praktykował, jak tego dowodzi spalona żywcem (1544) przed ratuszem Dorota Gnieczkowa zniewolona zeznać na torturach, iż «lała wojsk na wodę, dochodząc tego, kto jej pani pieniądze ukradł». A wiadomo, że na kilkanaście wieków wstecz nale-

żały te i tym podobne wróżby do prawowiernej religii słowiańskiej. Znali ten zwyczaj już Rzymianie, jak to pokazuje znany wiersz Owidyusza. Z takich woskowych odlewków nietylko odkryć było można — ich zdaniem — poszukiwaną osobę, lecz kłując i krając je nożem, można było daną osobę o śmierć przeprawić. O istnieniu odlewaczy figurek woskowych na początku XIV. stulecia we Francyi, świadczy bulla Papieża Innocentego. I w Anglii prawa Henryka nakładają na nich kary. W Szkocyi przypisywano śmierć króla Duffusa również przebitemu wizerunkowi jego z wosku. W następujących przykładach wróżb naszych jest zasada tej analogii wyraźnie wymienioną. «Anno 1559 — zeznaje przed sądem Maciejowa Sieczczyna, że razem z dwiema sąsiadkami brały mrówki z gniazda (mrowiska) i warzyły je w wodzie, a wodą z nich kropiły po domu, aby się tak owego domu ludzie trzymali jak się mrówki onego gniazda trzymały». Na wiosnę, na widok bociana, chłopcy i dziewczęta tak sobie wróżą: jeżeli bocian leci, to dziewczyna za mąż w tym roku wyleci, a młodzian się ożeni, jeżeli bocian chodzi, to tylko będą zaloty, jeżeli stoi nieporuszony, to rok przejdzie bez odmiany. O zaciosie na drzewie, jaki zdarza się widzieć w lasach, powiadają, że to złośliwy cieśla zaciął na życie jakiegoś człowieka, którego jest nieprzyjacielem. Koło Gniezna leczy chłop brodawki w ten sposób, że wrzuca w studnię tyle ziarnek grochu, ile ma brodawek na ręku, nie zaglądając do studni, aż ziarna w wodę wpadną. Zabobony te przedostały się i do poezyi, oto tak naprzykład: Z sielanki Szymonowicza, pod tytułem «Czary», dowiadujemy się, że opuszczona żona, chcąc napowrót czarami odzyskać serce mężowskie, prażyła proso w tyglu, ażeby mężowi serce tak pukało z tęsknoty ku niej, jak pukały od gorąca ziarnka owe prosa; że paliła liście jasionowe, ażeby i jemu tak serce miłością gorzało, jak zalepiony w garnku nietoperz piekł się przy ogniu, ażeby jakich ten ptak, takich jego serce doznawało męczarni, dopóki niewierny nie wróci do opuszczonej. Były więc jeszcze za czasów Szymonowicza, a z pewnością sięgały odległej przeszłości takie o czarach miłosnych wyobrażenia, jakie mieli już starożytni Rzymianie.

Pospolity zabobon o urokach znały i ludy pierwotne. Najlepszem u nas lekarstwem na takie oczy jest spluwanie; stąd przysłowie «pluń na marę!» I starzy Rzymianie uważali ślinę ludzką za najlepsze przeciw urokom lekarstwo. Człowiek w pierwotnym stanie zapatrywał się na choroby jak na nieszczęście, spowodowane przez nieprzyjaznego ducha. Nie inaczej było i u nas, wierzono, że jakiś zły duch wstąpiwszy do wnętrza zdrowego człowieka, wywoływał w nim ten stan chorobowy. Pod wyrazem «zły duch» nie wyobrażano sobie jednak szatana, lecz zwykłego ducha, tylko zagniewanego, który dał się przebłagać ofiarami i do wyjścia nakłonić. Znachor znał się na sposobach. Wiedział gdzie i jak ich używać. Gdy zły duch czarodziejskim jego zaklęciom nie dawał ucha, wtedy przywoływano na pomoc silniejszego ducha, aby wygził słabszego, który pacyenta opętał. Z tych samych powodów nie wymawia wieśniak wyrazu «cholera», bo wyobraża sobie, że to jest imię nieprzyjaznego ducha, któregoby tym sposobem przywołał. A jeżeli już zachodzi konieczność użycia tego słowa, dodaje: «Duch święty przy nas — cholera.» Wybija więc jak klin klinem jednego ducha drugim, potężniejszym.

Popęd do nadawania wszelkim objawom natury postaci ludzkich, (to znaczy antropomorfizm) zakorzeniony u wszystkich ludów stojących na niskim stopniu rozwoju, bywa też źródłem rozlicznych przesądów w odniesieniu do chorób. Pomór czyli zaraza morowa wywierała zgrozą swego pochodu silny wpływ na umysł

naszych przodków. Nie zatarły się jeszcze w pamięci i naszego ludu obrazy morowego «powietrza». Wystawiają je sobie jako niewiastę w bieli, jak objeżdża wsie na wysokim wozie o dwóch kołach — to znaczy na biedzie, a gdzie stanie przed domem pyta: «Czy spicie?» Gdy odpowiedzą «Spimy». Rzeknie: «Spijcie na wieki.» Podobnych środków analogii używa lud nasz i w innych słabościach. Chory na febrę — dzieje się to w poznańskiem — wierci dziurę w lipie i chucha w nią mówiąc: idź febro! Zabija potem otwór kołkiem i pewny jest, że febrę zabił. Podobnie postępuje lud w Egipcie. Cierpiący wbija gwóźdź w drzewo — szczególne gatunki drzew pomocnemi są na odpowiednie bole — i przekonany, że przebija gwoździem chorobę, powraca uzdrowiony do domu. Lud nasz leczy też chorobę przez zakopanie jej w ziemię w postaci naprzykład paznogci chorego lub jakiejś jego rzeczy. W miarę jak one niszczeją, ustępuje i choroba. Można też pozbyć się słabości przez przeniesienie jej na inne istoty lub rzeczy, zawieszają w tym celu lub przywiązują do cudzych płotów ubranie chorego. Całą fatalistyczną wiarę ludu polskiego, że chorobie nie należy się sprzeciwiać — co tak szkodliwie oddziaływa na stan zdrowotny kraju, przypisać należy podobnej grupie wyobrażeń. Człowiek pierwotnie tłumaczył sobie słabość wyjściem ducha z ciała chorego. Naturalną więc metodą leczenia jest sprowadzenie ducha napowrót do dawnego miejsca. Lekarz północno-amerykański udaje, że chwyta wałęsającą się duszę chorego i wkłada mu ją nazad do głowy. Na Fidżi leży chory na grzbiecie i krzyczy na swoją duszę, ażeby do niego wróciła. — Drugorzędnych źródeł tych wierzeń szukać należy w stanie patologicznym. Patrzącemu jak chory rzuca się i drży w gorączce, jak wije się w konwulsyach po ziemi, albo majaczy w malignie i mówi od siebie, nasuwa się w zaraniu wiedzy lekarskiej przypuszczenie, że wszedł w niego jakiś inny duch i opętał go.

Gdy prof. Bastian przybył do Birmy, a kucharz jego dostał napadu epilepsyi, żona chorego robiła wszelkie wysiłki, aby ułagodzić urażonego demona, który to nieszczęście sprowadził. Kładła mu kupki ryżu zabarwionego i błagała: «Och, nie znęcaj się nad nim! Och, puść go! Nie chwytaj go tak mocno! Dostaniesz ryżu! spróbuj jaki smaczny!» W krajach gdzie panują wierzenia tego szeregu, chorzy sami mówią głosem siedzącego w nich demona, lub odpowiadają w jego imieniu, a czyniła to już chora księżniczka w Syryi przed trzema tysiącami lat. Nie trzeba jechać do Indyi lub Chin po ilustracye tej pierwotnej teoryi chorób. U nas, «cioty» i «mądre» wypędzają dyabłów z ust i nóg chorych epileptyków. Opętanie bowiem uważają za sprawę złego ducha, który chwyta chorego i trzęsie nim do woli. Włościanin ze Siednika, w lubelskiem, zwierzył się swemu znajomemu w drodze, że ma w sobie pięciu złych duchów. Z tych wypędziła zeń znachorka czterech, piąty jednak trzymał go się rozpaczliwie i «niejakiej rady» dać mu nie było można. Znajomy wypędził mu owego piątego dyabła nieco drastycznymi środkami, które tu pomijam... «Teraz właśnie uciekł piąty» zakończył swoje ekzorcyzmowanie znajomy, a opętany nie posiadał się z radości, że pozbył się ostatniego dyabła.

Lud, nie pojmując warunków zdrowia ani przyczyny chorób, przypisuje swe wyzdrowienie nadnaturalnej mocy. Ogień i woda, jako mitologicznej natury spuścizna, posiadają żywą moc uzdrawiającą. O święconej wodzie i poświęconych zdrojach, leczących różne choroby, czytamy w najdawniejszych legendach średniowiecznych. W wierzeniach pogańskich, w tem źródle przechowanych, ważną też odgrywają rolę jako środki zapobiegające wszelkim urokom, czarom i nieszczęściom — amulety. Były one rozmaitego rodzaju, pisane i ryte na metalu, papierze i t. p., także kości

zwierzęce, kamyki, korzonki, liście lub kwiaty wszywane w suknie lub noszone na nagiem ciele, aż nie opadły, poczem je nowymi zastępowano. Dziś używają w podobnym celu relikwii, medalików lub tym podobnych poświęconych rzeczy. — Ludzie pierwotni czerpią z mętnych wyobrażeń o duchach pierwsze pojęcia o przyczynie wszelkiego wypadku. Każde potknięcie się o kamień, każde zbłąkanie się w lesie przypisują złych duchów sprawkom.

Własne szczęście lub nieszczęście przedstawia im się pod postacią czynów anioła — stróża, lub złego ducha, którzy w nich samych przemieszkują albo kryją się po krzakach w urwiskach. Śród naszego sioła krąży niezliczona ilość takich istot nadziemskich; noc pobudza je przeważnie do życia. Są jednak duchy, które się we dnie pokazywać zwykły. Chłop zna je dobrze, nieraz się z nimi spotyka, boi się ich, ale też ma przeciw nim środki odporne, wodę i kredę swięconą, gromnicę, zioła i t. p. Wymienię tu kilka duchów, o których wiadomo, że sięgają czasów pogańskich. Od bezimiennego kaznodzei XV. wieku dowiadujemy się, że lud nasz, w owym czasie w wielki czwartek, zostawiał po wieczerzy potrawy, aby nakarmić niemi dusze zmarłych. Co czwartku zaś nie obmywano mis, zostawiając na nich resztki potraw dla ducha zwanego ubożem, co przybywał stale przy domu. Wiara w opiekuńczego ducha domostwa była powszechną w Polsce.

Skrzat naprzykład jest przeżytkiem bardzo dawnej doby, ustąpił zaś z poczesnego niegdyś miejsca w walce z chrześcijaństwem i spadł dziś na poziom psotnego chochlika, płatającego figle wieśniakom, ale w okresie przedchrześcijańskim musiał być jednem z najważniejszych bóstw przodków naszych, takiem, jakiemi były Lary i Penaty rzymskie, jakiemi byli Pitaras (ojcowie) indyjscy. Progi domowe, jako siedziba owych opiekuńczych duchów, w powszechnem były poszanowaniu. Do dziś zakopuje lud pod progi płód poroniony. W pieśni ludowej, z dzieci zabitych przez matkę niepoślubioną:

Jedno l e ż y p o d p r o g i e m,
Przykryłaś je barłogiem!

Jeżeli dziecko słabe, kładą je pod progiem, nakrywają deską, aby nie uległo uszkodzeniu, a potem przez próg przepędzają prosięta, ażeby one z sobą zabrały chorobę. W czasach przedhistorycznych, szczątki ciał palonych nieboszczyków zakopywano w urnach pod progami chat, które czcił lud jako święte miejsca. Stąd zapewne pochodzi przesąd, że na progu nie wolno witać się, ani rąbać drwa, ani dawać żebrakowi jałmużny, bo się takiemu domowi nie szczęści. Wierzą też, że pod progami domów pokutują dusze umarłych. Przypomina to wiarę u Niemców w Elfy przymieszkujące również pod progami.

Duchy złe i dobre w rozmaitej zjawiają się postaci. W stawie siedzi topielec, duch utopionego człowieka, który o miesiączku wychodzi z wody, siada na brzegu lub na pobliskiej kopie siana i przymila się do księżyca. W Bugu przebywają boginki czyli wodnice, ukazujące się z zielonymi na głowie wiankami. W śród upałów słonecznych szybują na jeziorze Gople swobodnie jak stado łabędzi. Pod wieczór, gdy zimna opadnie rosa lub wiatr powieje chłodny, przykrywają włos złoty czapeczkami, które przy zmroku tak świecą, jak gwiazdy odbite w wodzie. Czasem otwierają usta, by bladym promieniem miesiąca głód zaspokoić.

Dolę uważa wielu Koziarów za jakiegoś ducha opiekuńczego, który nietylko niewidzialnie, ale i jawnie pomaga swoim ulubieńcom. Opowiadają, że widziano Dolę,

jak przy księżycu przędła i dziecko w kolebce kołysała. Gdy ludzie śpią, to Dola wszystkiego pilnuje, jak oka w głowie. Ale niechno się rozgniewa, to nie ma ratunku; wszystko zmarnieje. Inne «Boginki» wyglądają jak zwykłe kumoszki, gdy im się jednak bliżej przypatrzysz, ujrzysz, że mają zęby jak kły, oczy jak talerze, a głowy jak wiadra. Do rzędu tych Boginek należą Przypołudnice. Kiedy w polu pokażą się strączki na grochu, to matki zwykłe straszyć swe dzieci mówiąc: «nie chodź do grochu, bo cię Przypołudnica weźmie». Przemieszkuje ona w południe na polach, stąd jej nazwa, a ma postać kobiety w bieli, wychodzi zaś w towarzystwie czarnych psów. Czyha zazwyczaj na małe dzieci, ale niepokoi też i ludzi starszych, skoro w skwar letni położą się do snu w południe, na polu. W Chełmcach, w powiecie kieleckim, kiedy złapi dziecko, zapytuje je temi słowy:

Co wolisz, czy czerwoną wstążeczkę,
Czy też robaków beczkę?

Jeżeli dziecko wybierze wstążeczkę, natenczas je zabija, w przeciwnym razie daje mu zboża dla rodziców do domu. — Wierzenia i klechdy ludowe o boginkach, zwanych Mamunami, spotykamy u wszystkich Słowian, a także u wielu narodów obcoplemiennych. Wszelako nigdzie wspólna podstawa wierzeń tej kategoryi nie doznała tak pełnego rozwinięcia, jak w etnograficznych granicach Polski. Klechdy zuluskie opowiadają o uglakaujanach, istotach nawpół demonicznych, pokrewnych starożytnym Mojrom, wielkoruskim «Rożańcom», skandynawskim «Dîsir», klasycznym «Eryniom» czyli «Parkom». W naszych zabobonach o Boginkach tkwi wiele szczegółów, wyniesionych z głębi religijno-mitycznych poglądów Słowian. Pod nazwą Sybieli przychodzi niby sąsiadka do domu, gdzie się narodziło dziecię, staje za oknem i puka, aby jej otworzyć. Jeżeli kto z domowników dał się uwieść i usłucha jej prośby, boginka wszedłszy do chaty, porywa nowonarodzone dziecię, a w jego miejsce podkłada swego bękarta z wielką głową i dużym brzuchem. Ilość Mamun jest nieoznaczoną, a okoliczność tę można poczytywać za rys najbardziej archaistyczny; zgodnie bowiem z ogólną chwiejnością pierwotnego na świat poglądu, przypuszczają wierzenia ludów pierwotnych niezliczone mnóstwo demonów na zewnątrz i wewnątrz człowieka. Dziś, nauczeni w dzieciństwie pojmować działanie praw fizycznych ciężkości i ciepła, wzrostu lub rozkładu, z pewnym wysiłkiem możemy się cofnąć wyobraźnią do czasów, kiedy całej rzeszy bóstwom przypisywano wszelkie objawy natury.

Ziemia, matka wszech istot, posiada w teologii barbarzyńskiej zaszczytne miejsce. Nabożny Indyanin, kopiąc rośliny lecznicze, zostawia jakąś ofiarę dla «prarodzicielki» ziemi. Pozostałym tej czci wyrazem jest śród nas zostawianie ostatniej garści kłosów zboża na pniu w polu, lub przynoszenie wieńców zboża na dożynkach.

Ślady kultu księżyca zachowały się wyraźniej do naszych czasów. Lud modli się do księżyca na nowiu, mówiąc po trzykroć Ojczenasz, Zdrowaś Maryo i Wierzę, dodaje zaś za antyfonę:

Witaj księżycu nowy,
Niech nas nie bolą głowy!

Aby się uchronić przed bolem głowy, radzą, w innych okolicach, koło północy wyjść w pole, kłaniać się księżycowi i wymawiać następujące słowa:

Witaj-że, witaj-że, miesiącu nowy,
Aby nas nie bolały brzuchy i głowy,
Tobie cześć i koruna,
A nam szczęście i fortuna.

O modlitwach na nowiu wspominają z oburzeniem kaznodzieje polscy z XV. wieku. Jeszcze za czasów Cezara uważano czas przednowiu za pomyślny do rozpoczęcia różnych czynności. Wszystkie czary, «uwziątki» i t. p. dzieją się u ludu naszego w nowy czwartek (I. kwadrę). Małżeństwa kojarzą się w czasie nowiu, zaczynają w tym czasie budować domy; na nowiu trzeba zbierać zioła leczące i czystą rosę, bo są skuteczne. Wraz z rosnącem światłem niebieskiem przybywa szczęście i błogosławieństwo. Przy pełni znów, dla ubytku światła, należy dopełniać czynności, zmierzających do rozłączenia, ubicia i t. p.

I gwiazdy uważa lud jako siedlisko duchów. Drogę mleczną nazywają drogą błogosławionych do raju. Każdy człowiek ma swoją gwiazdkę, zawieszoną w obłokach, jeśli komu źle się w życiu powodzi, powiadamy jeszcze dzisiaj, że się pod nieszczęśliwą urodził gwiazdą. W tem samem mniemaniu z gwiazdy spadającej wróżą śmierć.

Słońce, które budzi i utrzymuje życie całego świata doznawało szczególnej u wszystkich ludów czci. Słońce i księżyc uważane są u nas za brata i siostrę, lub za męża i żonę, a niezliczona ilość podań i zwyczajów kojarzy się z tym antropomorfizmem. «Słońce — powiada lud w krakowskiem — jest żywe, kieby człek chodzący, z oczami i gębą i nawet miód przaśny jada kopyścią; ma ono przy sobie dom i gospodarstwo, a że jest świętem, ma braci i siostry święte».

79. Przyrząd do niecenia ognia u naszego ludu.

Ogień, straszny w swej niszczącej sile, doznawał również czci. Ale nie ogień był bogiem, tylko duch, który w ogniu przemieszkiwał. Ogień, od uderzenia piorunu powstający, musiał wielkie uszanowanie religijne budzić między ludem, skoro dotąd żyje na jego szkodę wiara, iż ognia takiego gasić się nie godzi. Kiedy po długiej zimie jasnym zaświeci płomieniem w kołybie góralskiej, nazywają go żywym albo bożym ogniem. Rozniecają go ze spróchniałego pnia, na którym robią nacięcie; włożywszy obciosany kawałek drzewa, dwóch mołojców za pomocą tarcia wydobywa ogień. Z ukazaniem się iskry wszyscy padają na kolana, żegnając się po trzykroć, a gospodarz głośno odmawia «Ojcze nasz».

Dzicy — już wiadomo — wydobywali ogień najczęściej przez tarcie dwóch kawałków drzewa. W krajach cywilizowanych zastąpiono już od dawna ogień zapałkami. Zachowano go jednak przy ceremoniach religijnych. Dotąd jeszcze widzieć można braminów dobywających świętego ognia do swych ofiar przez wiercenie. W podobny sposób nieci i nasz lud t. z. «ogień nowy» podczas pomoru na cholerę lub zarazę, przepędzając przez nie konie i bydło. Cześć dla ognia przejawia się od niepamiętnych czasów. Hindowie wielbią go już w hymnach Rigwedy, u Greków cześć ta objawiła się w filozofii Empedoklesa, u Słowian przechowała się w rozmaitych obrzędach. I w naszym obchodzie Bożego Narodzenia mamy resztki starożytnego kultu słońca z domieszką obrzędu, t. z. saturnaliów. Wskazuje na to — staropolska kolęda — pochodząca od rzymskich kolend, które również poczynały się roznie-

ceniem ognia. Serbowie i Chorwaci palą w wilię drewno zwane tam badniak, Skandynawowie pilblock, Francuzi coliquean la souche de Noël. U Niemców goreje wiele świec, Osetyńcy całą noc przed Nowym Rokiem utrzymują ogień. U Rusinów na tak zwaną bogatą kutię pali się woskowa świeca. W pierwsze święto Bożego Narodzenia, «godami» zwane, przychodzi do górali zagórzańskich połaźnik i pozdrawiając sypie żytem po izbie. Potem przystępuje do komina, na którym od wieczora pali się bodniak, to jest pniak dębowy, uderza weń pogrzebaczem, aby wydobyć jak najwięcej iskier, i mówi:

«Na scęście, na zdrowie, na to Boże Narodzenie!
Żeby się wam darzyło w komorze,
W oborze;
Kielo kołków,
Telo wołków —
Kielo jedlicek,
Telo cielicek!»

Ogniowi wigilijnemu przypisują u nas różne ochronne własności, jego popiół, włożony do bielizny, zabezpiecza od pożaru, węgle chronią oborę od zarazy. — Do dziś zachowały się resztki kultu ogniska domowego, które lud uważa za rodzaj talizmanu. Na Polesiu, z przybyciem nowożeńców do nowej chaty, przenoszą żar ze starego pieca. Na Ukrainie utrzymują, że ogniowi co dnia trzeba robić podarunek, stawiają więc na noc «paruch» (garnek) z wodą do pieca. Cząstka czci, należnej ogniowi, a raczej z powodu ognia, przypada piecowi. U ludu naszego, aby się «udało małżeństwo», swachy starają się wydłubać z pieca kawałek cegły lub gliny i trzymają w kieszeni. Dziewczyna w czasie przybycia swatów dłubie piec, sadza ich pod piecem i t. p. W Niemczech, a w starożytności u Rzymian i Indyan, narzeczoną oprowadzano trzykrotnie w około domowego ogniska. Nasi włościanie szanują ogień nie tylko jako niezbędny w życiu codziennem czynnik, ale jako rzecz świętą. Gospodynie, nim zaczną krzesać ogień, robią wprzódy znak krzyża, a gdy zapalą szczypkę lub łuczywo, żegnają się powtórnie, jak gdyby dla pobłogosławienia szczególnego daru niebios, który utrzymuje życie tylu istot. Ślad tej czci zachował się w następującej powiastce ludowej: Zeszedł się raz ogień gospodarza z ogniem sąsiada i żalił się, że gospodyni nie dbała o jego porządne utrzymanie, ani go też na dobranoc nie przeżegnała. (Porządna gospodyni starannie go na noc przechowuje, zasypując rozżarzone węgle popiołem, ażeby przez noc nie wygasł, i żeby go nazajutrz rano miała w pogotowiu.) Ten drugi ogień, porządnie przechowywany, nakazał mu zemstę. Jakoż następnej nocy ogień ów, jako wprzódy nieuszanowany, zapalił dom i całe gospodarstwo poszło w perzynę.

Ognisko było siedliskiem duchów domowych, dlatego to ważniejsze uroczystości odbywają się przy rozpalonych ogniach, dlatego za plucie na ogień po śmierci trzeba lizać kamień rozpalony do czerwoności.

W poznańskiem stare gospodynie, w wigilię św. Wawrzyńca (9 sierpnia), przygaszają ogień po chałupach i dopiero w dzień tego swiętego wydobywają go na nowo mocnem tarciem drzewa o drzewo, podobnie jak to czyniono w całej Polsce na sobótkach jeszcze za czasów Marcina z Urzędowa. Święty Wawrzyniec zajął tu widocznie miejsce bóstwa pogańskiego, skoro kobiety, rozpaliwszy ogień, tak się do

niego modlą: «Święty Wawrzyńcze, przebłogosławiony, tobie oddaję ogień, stawiony pod najświętszą twoją opiekę.»

Cześć ognia występuje najwyraźniej na uroczystości «Sobótek», niegdyś powszechnej na całym obszarze Europy, a nawet poza jej granicami, jako czci światła, słońca, urodzaju, święta, do którego przywiązany był obrzęd oczyszczenia się za pomocą ognia i wody. Na Sobótce do dziś rozniecają «żywy» ogień przez tarcie drzewa o drzewo. Kaznodzieja z XV. wieku piorunuje na ten obrzęd pogański. Polacy — powiada — jeszcze zawsze około Zielonych Świąt, czcząc bóżków A lado i Jesse, większą im cześć oddają niżeli Bogu, bo dziewczęta, które przez cały rok nie przychodzą modlić się, wówczas idą służyć bożkom». Tańcząc w około ogniska śpiewano dawne pieśni obrzędowe, z których kaznodzieja wymienia: «A lado gardzina.» Ks. Michał z Janowca, z XV. wieku, określa wyraźniej ten kult ognia: «Trzeba parafian upominać, by nie palili stosów, tak zwanych gromadek, wedle obrzędu pogańskiego, na pamiątkę dusz sobie miłych. Twierdzą oni, że dusze do
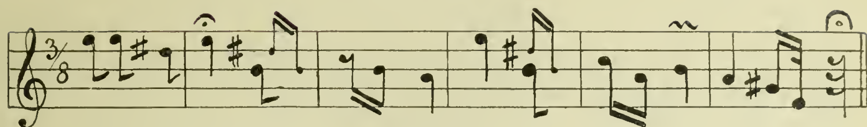


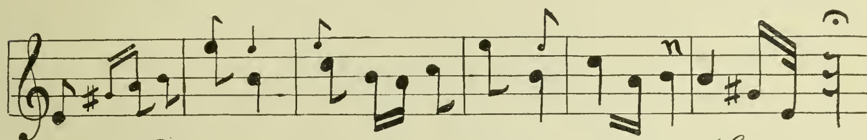
80. Obchód ludowy Sobótki.

tego ognia przystępują i tam się grzeją. Składają im więc ofiary pokarmów i napojów. Późniejszy o wiek Stryjkowski, pisząc o słowiańskich bóstwach, powiada, że: Polacy chwalili Ładę i na jej cześć starzy i młodzi, mężczyźni i niewiasty zwykli byli schodzić się dla tańców i innych krotochfil. Schadzkę tę, kupało zwaną, odbywali zwyczajnie po przewodniej niedzieli aż do św. Jana. «Skoro niewiasty i panny do tańca gromadą się zeszły, wnet ująwszy się za ręce spiewały Łado, Łado moja.» W lubelskiem, jadąc z panną młodą do kościoła, śpiewają rzewną pieśń, której melodya, jak sądzę, odległej sięga starożytności:

1. Pośrataj Boże goście nasze,
Łado! Łado!
Pośrataj że ich Panie Jezusie,
Łado! Łado!

2. Tatusio wyszedł i pośratał,
Łado! Łado!
I pośratawszy rzewnie zapłakał,
Łado! Łado!





Łada, Lele, Jesse rzekome nazwy bóstw pogańskich, zaczerpnięte są z refrenu pieśni wiosennych, śpiewanych przez lud zapewne jeszcze w czasach pogańskich. Oto prawie dosłowne opowiadanie o tym obrzędzie spisane z ust kobiety wiejskiej (z Zeliszewa nad Kostrzyniem), która przed laty kilkunastu żywy w nich brała udział. «Bywało — mówiła — w wigilię św. Jana (23. czerwca), a także św. apostołów Piotra i Pawła (28 czerwca), po zachodzie słońca, zbierały się wszystkie ze wsi dorosłe dziewuchy w umówionem miejscu, zwykle na czystem polu, pomiędzy zbożem ozimem i tam, okręciwszy słomą wysoki tyk, wkopywały go w ziemię, a naokoło układały stos chrustu i drzewa. Poczem go zapalano. Po odśpiewaniu pieśni kościelnych, stanąwszy szeregiem, wywodziły stare pieśni obrzędowe. Oto parę z nich:
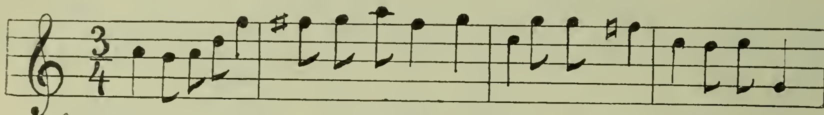
Janie, jesli ty ożenity,
To ja tobie żonkę naraity,
Je tam w Adamiaka córeczka,
Ma ona w gródecku różą,
Dobrzy jej ludzie zawsze służą.

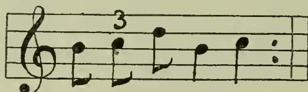
*

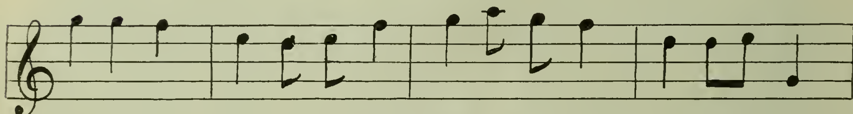
Szeregiem dziewczęta stali
U ognia kalinowego,
A kogoż sobie obadali?
Jasieńka Rybakowego (bis),
A cóż mu tam jeść dawali?
Oj kołaca miedzianego i t. p.
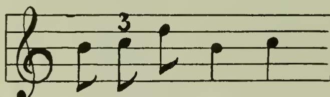
Dopokąd dziewczęta śpiewały i żerdź wysoko się paliła, chłopcy ukryci w zbożu nie dawali znaku życia, lecz gdy ogień opadł i pieśni miały się ku końcowi, wtedy wybiegali oni z ukrycia i kto mógł chwytał dziewczynę, najczęściej tę, z którą go w pieśni łączono i przeciągał ją przez ogień. Zabawa ta trwała zwykle aż do wschodu

słońca, a że nie obeszło się bez wrzasków i swawoli, ściągała sarkania starszych, aż wreszcie proboszcz miejscowy, przypatrzywszy się jej z ubocza, zganił surowo z ambony cały obrzęd i zakazał go zupełnie. — Przytaczam tu kilka pieśni sobótkowych, które, z osnowy sądząc, należą do starszych. W powiecie opatowskim śpiewają jak następuje:









Sama nie wysła — posła postała;
Sprawże się, miły pośle,
Sprawże mi się tak dobrze,
Jakby ja sama, jakby ja sama.

W krakowskiem, w dzień Zielonych świątek, dokoła stosu biegają młodzi chłopcy z długiemi żerdziami, na których goreją snopy zapalonej słomy i nawołując wesoło, ścigają rześkie dziewuchy. Śmielsi przesadzają rzutnym skokiem gorejący ogień, a niektórzy śpiewają:

«Oj sobótka, sobótecka,
Pójdźże do mnie dziewusecka,
A cyś godna, cy niegodna,
Nie uciekaj-że od ognia,
Nie uciekaj-że od środka,
Nie spali się twoja cnotka.

W sam dzień św. Jana chodzą w kaliskiem przed wschodem słońca kąpać się, ażeby uchronić ciało na zawsze lub przynajmniej na ten rok od wrzodów

świerzbu i tym podobnych słabości naskórnych. Rzucają też jabłka na wodę i wróżą z tego o miłości, o czem wspomina następująca piosenka:

(Antek) Zrywał jabłka w ogrodzie
I puszczał je po wodzie,
Kulaj mi się i obracaj,
Jeno mi się nie umacaj,
Kulaj mi się ku memu,
Ku temu pociesznemu.

Jeżeli forma tego wiersza jest nowożytna, to treść odległej sięga starożytności. Tradycyjne igrzyska świętojańskie obchodzono w Rzymie już w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, przyczem palono ognie. Św. Augustyn powiada, że po nieszporach cały Rzym bywa w płomieniach, a trzask i dym tych ogni — istne igrzysko szatanów — mroczy powietrze. Po ogniach następowały nocne kąpiele. Obrzęd rzymski przeskakiwania ognia wśród śpiewów i tańców opisuje już Dyonizy z Halikarnasu i Owidyusz. Pogański charakter sobótek objaśnia też przepis statutów poznańskich biskupa Laskarza, zakazujący tańców nocnych w dnie przedświąteczne, to jest w soboty (stąd też ich nazwa «sobótek».) Przy odgłosie dźwięków chóru i lutni — powiada kaznodzieja krakowski z XV. stulecia, Jan ze Słupca — tańcząc w tym czasie głupie niewiasty śpiewają pieśń pogańską: «Świątki w lecie». Obyczaj ten jako pogański stwierdza statut synodu krakowskiego z roku 1408, opatrzony nagłówkiem: «De ritu paganico huiusque servato per christianos». Obrzęd sobótki obchodzony w Czarnolesiu, w XVI. wieku, opisuje Jan Kochanowski w znanym poemacie, gdzie sześć par dziewic bylicą przepasanych — zupełnie jak dziś — tańcząc «pochodnego« (powolny taniec w odróżnieniu od «gonionego») śpiewały pieśni przy sobótkowym ogniu.

Woda podobnie jak ogień, uważaną była za święty, oczyszczający żywioł, a źródła i strumienie otaczano głęboką czcią. O jeziorze, które duchy zamieszkały, wspomina Długosz (pod rokiem 1278). Nad wodą modlono się, składano bóstwu wodnemu obiaty z pokarmów albo wianków. Woda, zaczerpnięta ze źródła lub strumienia (o pewnym czasie i w oznaczonem miejscu), daje dziewczętom piękność, zabezpiecza od czarów i różnych chorób. Jako niezbędny do utrzymania życia napój nie małą gra rolę u ludu. Rzeki i potoki zapełnione były duchami, które później po zaprowadzeniu chrześcijaństwa lud przemienił na złe siły. Nazwiska kilku rzek «od Boga biorących swą nazwę» (Bug wpadający do Wisły, Boh i t. p.) mają być dowodem tej pierwotnej czci. Świadek, nieświadom jakiejś sprawy, «umywał ręce» w wodzie. Jeżeli skarzony dowiódł swej niewinności, wychodził «na sucho», bez użycia próby wodnej. Tej ostatniej procedury stosowano u nas dłużej niż na zachodzie. Czarownice pławiono do XVIII. stulecia, a nawet i później. «Gdy je unosiła woda«, skazywane były na stos, ogłaszano zaś za niewinne, gdy je «pochłonęła». Anna Jedynaczka, oskarzona o czary, nie poczuwała się do tej winy, zapytana co ją do złego przyprawiło odpowiada naiwnie: «To mnie przyprawiło, żem pływała«. Wzięta na torturę odpowiada na wszystkie sugestye sędziów: «Niechże i tak będzie». W końcu zasądzona zawodzi boleśnie: «O wodo, wodo, tyś mnie niesprawiedliwie osądziła». Inna obwiniona «ciota», Strzeżyduszyna, zeznaje nader charakterystycznie: «Z tej przyczyny mnie wzięto, żem pływała, ale nie jednakowo rzucano na wodę. Jedne z ochroną, a drugie jako mogło być. A tom ja od ludzi słyszała, że kiedy

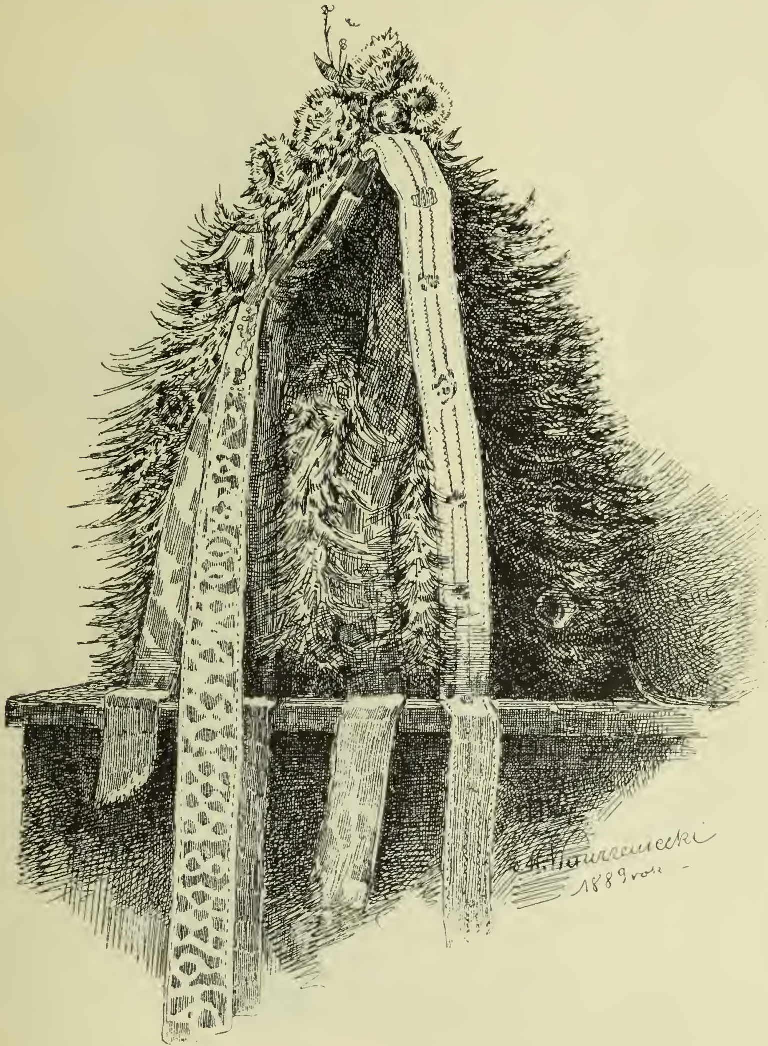
która jest czarownicą, chociaż ją pogrążają, tedy ona przecie pływa, jako kaczka, alem ja tylko głowę z wody wyścibiła»... Nie pomagały te i tym podobne usprawiedliwienia. Nieszczęsne ofiary, w zmowie z nieczystą siłą będące, karano śmiercią. Dytmar, kronikarz z XI. wieku, podaje następującą wiadomość o czci źródeł u naszych sąsiadów, nadelbiańskich Słowian. Gdy spokój i dobre nastają czasy, a ziemia nie odmawia urodzaju, uradowani tem okoliczni mieszkańcy schodzą się tłumnie do źródeł. Gdy zaś zagraża wojna, źródła napełniają się krwią i popiołem, co wróży klęski. — Za dawnych czasów przepowiadano u nas zwycięstwo z wody. Wyjątek z tak zwanej Chronicon montis sereni pod rokiem 1209 dowodzi, że jeszcze Władysław Laskonogi wyruszając na wojnę, miał przy sobie wróżbiarkę (pythonissam), która przysporzyła mu zwycięstw przez to, że niosła na przodzie wojska sito z wodą nie wyciekającą.

Jak u starożytnych Greków i Rzymian doznawały i u nas wiatry czci boskiej. Nadawano im postacie ludzkie. Wiatr w pojęciach ludu naszego, to duży chłop, czarny albo smagławy, lata od miejsca do miejsca w połatanym kożuchu, który roztwiera na poły. — Kiedy dwa wiatry przeciwne uderzą o siebie i zerwie się słup kurzu lub piasku, szybko w około się kręcąc, wtedy mówią, że się zły duch cieszy, tańczy i młynkuje, i niebezpiecznie jest zbliżać się do takiego wiatru.

Wiadomo jaką rolę w wierzeniach ludu odgrywają zwierzęta. Są to jego opiekunowie i dobroczyńce. Wśród plemion czerwonoskórców istnieje zwyczaj, że chłopiec, kiedy dorośnie, wybiera sobie części zwierzęcia opiekuna, naprzykład kopyta, pazury, sierć i z tem nie rozłącza się już przez całe życie, bo mu to zapewnia pomoc i powodzenie. I klechdy naszego ludu opowiadają o młodzieńcu, który udając się na wyprawę po złotego ptaka, zaskarbia sobie pomoc zwierzęcia. Dostaje od niego podobny amulet. Ryba naprzykład daje łuskę, orzeł pióra. Jest to szczątek po rzeczywistej praktyce, jaką spostrzegamy w całej pełni u Indyan. — Lud nasz przypisuje zwierzętom wyjątkowe przymioty, zwłaszcza zdolność przewidywania. Pies przeczuwa nadchodzącą klęskę, wyje, gdy śmierć podkrada się do chaty. Kot wie skąd i o jakiej porze przybędą goście; dzięcioł zna trawkę, którą można otworzyć wszystkie zamki. Kukułka zapytana odkuka ile lat pozostaje do czyjejś śmierci lub wesela i t. p. Są to rozpierzchłe i zanikające ogniwa starożytnych wierzeń kosmicznych, które bujnie się krzewią w ciasnych mózgownicach najniżej stojących szczepów ludzkości. Człowiek nie jest tam jeszcze panem ziemi. Rola zaś bogów jest bierną, istotnymi władzcami losów ludzkich są mityczne zwierząta, jak ów wąż australski lub wódz-jeleń u Czeroków. Potrzebujący pomocy, zwraca się o pośrednictwo do odpowiedniego zwierza. Do dziś jeszcze zachowała się cześć zwierząt w takich zabobonach naszego ludu, jak naprzykład ten, że kto zabije skowronka, dostanie wyrzutów na twarzy, kto ośmieli się podnieść rękę na jaskółkę lub skowronka, temu źle się wieść będzie. Niedźwiedź, niegdyś młynarz, skoligacony był z zającem »Jackiem». Żaba była żoną królewicza. W wyobrażeniach ludu dobrzyńskiego, ziemia spoczywa na jakiejś rybie, która powoduje trzęsienie ziemi, gdy się poruszy. Z ziemi, z dzioba kaczki wypadając, powstały góry. Te i tym podobne wierzenia są przeżytkami kosmogonii, czy religii, zwanej totemizmem.

Zwierzę występuje tu jako pierwszy sprawca zjawisk przyrody. Człowiek pierwotny na każdym kroku odczuwał jej potęgę? W lesie przywalił go olbrzymi pień drzewa, kamień spadający ze skały rozmiażdżał jego czaszkę, kąpiącego się unosił nurt rzeki, lub chłonęły tonie jeziora. Jakże miał wyobrażać sobie przyczynę

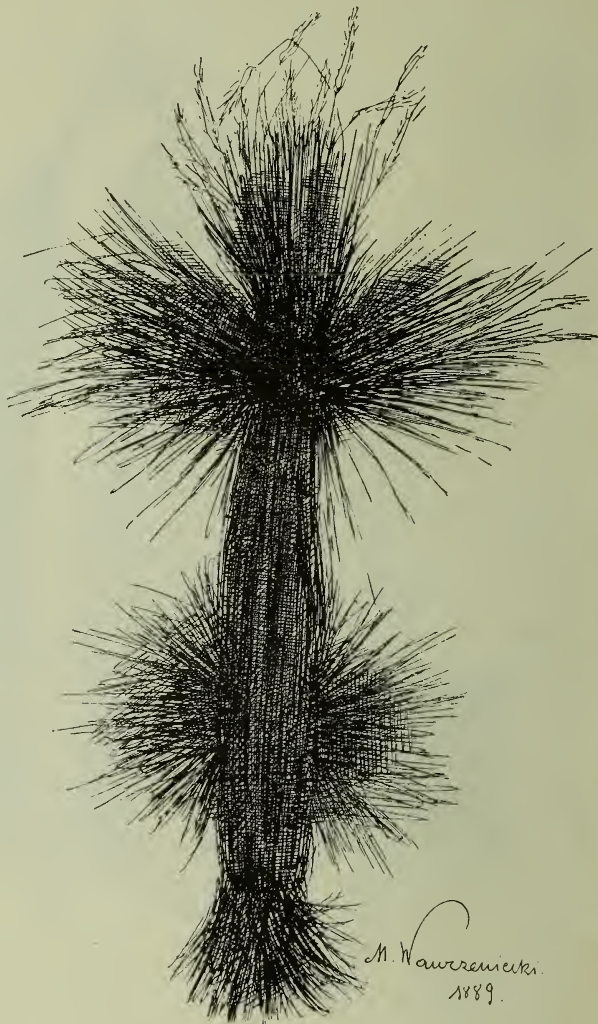
tych wypadków? Oto drzewo, skałę, rzekę obdarzał nadzwyczajną siłą, życiem. Nie umiał wytłumaczyć sobie, że echo — to drgające fale odbitego powietrza, więc znów podsuwał pod nie żywą wolę. Wyobraźmy sobie położenie naszego dalekiego przodka, bez narzędzi, bez pomocy, rzuconego na łup potężnych drapieżców, czyż



81. Wianek dożynkowy.

można się dziwić, że upatrywał w nich istoty potężniejsze? Doświadczenie uczyło, że zwierzęta z wielu względów przewyższają go, musiał je uwielbiać. Tak tłumaczy Krzywicki zwierzochwalstwo czyli zooteizm, jedną z najpierwotniejszych filozofii ludzkości. Później zwierzęta te zmieniły się w postacie półludzkie, wreszcie w ludzkie. Wierzenia naszego ludu odnoszące się do zwierząt mogą być porównane z bogatym księgozbiorem nieznanych a przedwiekowych rękopisów, drzemiących w pyle za-

pomnienia. Przytoczymy z nich parę tylko przykładów. Wiadomo z historyi, że w pogańskiej Polsce i na Litwie oddawano wężom cześć boską. Chowano je w domach, otaczając szczególnem uszanowaniem, a zabicie ich należało do największych przestępstw. Dla tego to do dziś włościanie uważają za szczeźliwy ten dom, w którym się wąż znajduje i twierdzą, że skutkiem zabicia węża krowy mleko tracą i ginie drób domowy. Węże, podobnie jak inne zwierzęta, mają właściwe sobie imiona, nigdy nie nazywają się gadami. Na czele ich stoi król wężów, dwa razy większy od innych, z złotą koroną na głowie, zwołuje on w pewnych porach radę, wydaje rozkazy. Fantastyczne o nim opowiadania należą do bardzo powszechnych tradycyi. Powstały one tysiące lat temu w strefie cieplejszej — gdzie jest ojczyzna wężów — przybyły zaś do nas za pośrednictwem średniowiecznych autorów. Świadczą o tem gatunki strefie naszej zupełnie obce. Niektóre właściwości tych wierzeń dadzą się wyprowadzić z fizycznych cech węża. Hypnotyzująca władza jego wzroku przyczyniła się do wiary o czarodziejskiej mocy. Właściwość przybierania barwy otaczających roślin lub kamieni posłużyła do uznania w nich duchów opiekuńczych.

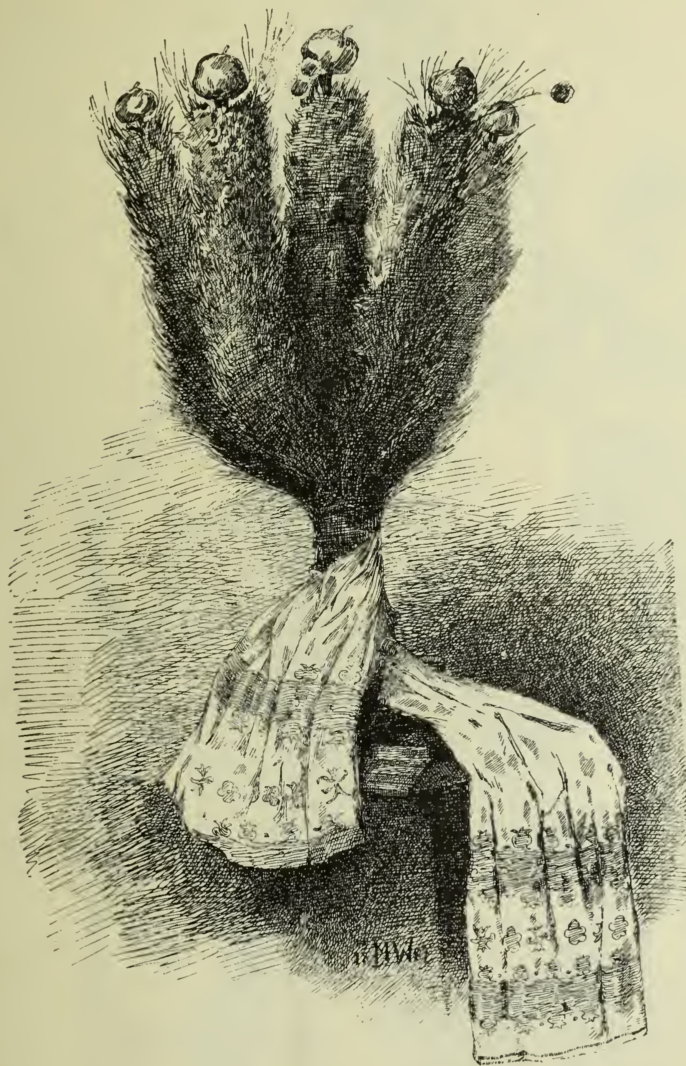


82. Snop wigilijny.

Cześć dla bociana należy do najdawnieszych wierzeń naszego ludu. Dlatego to wróżą dziś szczęście rodzinom, na których dachu gnieżdżą się bociany i przestrzegają, aby ich nie płoszono. Zabicie bociana uważane bywa prawie za grzech śmiertelny. Lot bociana jest szczególną wróżbą przyszłości, tak u nas, jak niegdyś u ludów starożytnych. — Cześć pogańska zwierząt wyrodziła się w wiekach średnich w potworność. Kroniki średniowieczne, a u nas akta ziemskie i grodzkie, świadczą, iż w owych czasach panowania ciemnoty ekzorcyzmowano szkodliwe zwierzęta, upatrując w ich częstem lub gromadnem tylko jawieniu się

sprawkę złego ducha. Stawiając zwierzęta na równi z człowiekiem, pozywano je przed sąd, wytaczano formalne procesy, naznaczając oskarzonym prawnego obrońcę, oskarzyciela i t. p. kończyło się zaś zasądzeniem na karę lub uniewinieniem.

Z kolei przystępujemy do kultu roślin. Znaną jest z dziejów polskich nazwa świętego gaju: Swatibor. Wyraz ten nie był imieniem własnem boga lasów, lecz podobno tylko «uroczyskiem», miejscem ofiarnem. Cześć jego da się wywieść z pojęcia animizmu. Duch zmarłego przebywał w cieniu swego drzewa, albo miewał swą siedzibę w samem drzewie. Dlategoto nasz wieśniak czuje do dziś jakąś grozę dla starych, cienistych drzew, rosnących na kościelnym cmentarzu. Jeżeli z ważnych przyczyn trzeba takie drzewo zrębać, to żaden z nich nie zada mu pierwszego ciosu, musi to zrobić ktoś z inteligencyi. A wtedy opowiadają, jak było słychać jęk wychodzący z drzewa, jak czasem nawet krew popłynęła. — Nie można ominąć milczeniem jednego drzewa w owych swiętych borach, które dla silnej woni liści i kwiatów było prawdopodobnie każdemu przyjemne, a zwłaszcza duchowi, który się wonią jego żywił. Były to krzaki bzu, siedziba ducha, którego przezwano w czasach chrześcijańskich złą, nieczystą siłą. Inną próbkę starożytnego kultu roślin daje jemioła. Żyjący w pierwszym wieku po Chrystusie Pliniusz starszy podaje, że była ona przedmiotem uwielbienia Gallów. Ich druidzi — powiada — nie mają nic świętszego, nad jemiołę rosnącą na dębie, którą zbierają uroczyście. Wierzą



83. Rózga weselna.



84. Dożynki (ze zbiorów Akademii umiejętności w Krakowie).

zaś, że napój z jemioły upładnia zwierzęta i używają go przeciw wszelakiej truciznie. Kto chce się zapoznać z kultem jemioły, niech otworzy którego z naszych starych zielnikarzy: Wiadomości, u nich zapisane, dostały się tam przez pisma Pliniusza, tak samo jak wiele innych wyobrażeń i użytków roślin. Ślad tego kultu zachował się w używaniu jagód jemiołowych do ozdoby różczek weselnych, w zatykaniu ich w koronie pana młodego. Długosz powiada, że Polacy czcili Dziewannę, wyobrażając ją sobie jako niewiastę, której mężatki i panny znosiły wieńce w ofierze. Wiadomość tę potwierdza Marcin z Urzędowa, kanonik sandomierski, piszący w pierwszej połowie XVI. wieku. Poganki — powiada — święciły dziewannie to ziele, wieszając je po domach lub się niem opasując. Święto też tej dyablicy (dziewanny) święcą, czyniąc sobótki.

Z wiosną dziewczęta wiejskie obnoszą gałęź jedliny jako «nowe latko», w lecie na Zielone święta «mają» chaty, na Kolędę stroją choinkę wigilijną w wiecznie młodą zieleń iglastą. Na wszystkich godach spotykamy drzewo żywota, ów widomy symbol życiodawczej siły, która na ziemi wszystko pobudza do wzrostu i życia. Drzewo — gałąź albo rózga — bywa też w mitologii roślinnej oznaką płodności. Widzimy je dlatego w obrzędach weselnych na całej powierzchni ziemi. W Japonii małżonkowie piją po raz pierwszy przed krzakiem sosnowym, który jako wiecznie zielony oznacza trwałość rodu ludzkiego. W Persyi przynoszono nowożeńcom na półmisku małe, owocami okryte drzewko. I nasza rózga weselna, uszczknięta zazwyczaj z gałęzi sośniny, ubrana wstęgami i owocami, ma to samo znaczenie symboliczne. Dziewczęta odświętnie odziane, obnosząc tę choinkę, i pokręcając nią w takt, śpiewają jakby do żywej osoby:

«Gaiku zielony, ślicznie ustrojony!
Pięknie sobie chodzi, bo mu się tak godzi.»

Drzewa w lesie — powiada lud kielecki — mają duszę. Na sądzie ostatecznym każde drzewo, bezpożytecznie ścięte skarżyć będzie o to człowieka, że je przedwcześnie pozbawił życia.

Łęczyckie, podobnie jak wiele innych dzielnic starożytnej Polski, pokryte niegdyś gęstymi borami, wśród których świeciły kępy moczarów i trzęsawisk, kryło też w łonie swem mnogie mitycznej natury tajniki. W nieprzebytych puszczach przesiadywał, po swojemu dokazując, głośny u ludu Boruta. Źródłosłów jego nazwiska wskazuje, że ród swój wywodził z ciemnych borów. Duch to był tak potężny, że przenosił jak piórko góry w poznańskiem i z takąż łatwością wyrywał z korzeniem sosny, dęby w puszczy ostrołęckiej, a miał w łęczyckiem, jak powiadają swe rodzinne gniazdo, skąd robił wycieczki po całym kraju. Tutaj też, u piskorzów łęczyckich, dobił się snać zczasem indygienatu i jako waszmość, karmazyn, przeniesiony został z pospolitych wądołów i błot leśnych do wygodniejszych dlań piwnic łęczyckiego zamku. W tej rezydencyi szlacheckiej sprawiał dla spółbraci biesiady, i podobnie sobie z nią poczynając, jak młodszy jego kolega w krakowskiem, Twardowski, już to usługą, już postrachem zaskarbił sobie porękę, przyjaźń, a w końcu i duszę szlachetki.

W klechdach naszych nietylko zwierzęta i rośliny, ale nawet «martwe» ciała odgrywają rolę istot w pełni żyjących. Sprzęty, narzędzia, budowle, kamienie mają swą wolę i gwarę, mówią i czynią jak istoty żywe. Zawdzięczają ruch i życie sile uroków, lub zaklęć na nie rzuconych i odwrotnie, moc podobna obraca istoty żyjące w martwe kamienie. Wszystkie twory królestwa przyrody — zwierzęce, roślinne

i kopalne — żyją wspólnie i — raz skłócone, to znów zgodne — tworzą w wyobrażeniach ludu jedną wielką, cudowną całość.

Ślady kultu pogańskiego odnaleść też można w obchodach świąt, w których przebija przeważnie antropomorficzne pojmowanie przyrody. Przesilenia dnia i nocy święciły ludy pierwotne uroczystym obchodem. Im bardziej zaś ku północy, tem mocniejsze sprawiała wrażenie owa chwila, w której podczas przesilenia letniego panuje dzień bezustanny, w czasie zimowego bezustanna noc. Uroczystości te opisane już przez Tacyta mają swe źródło w boskiej czci słońca. Odradzenie jego przypadało w czasie przesilenia zimowego, to jest 23. grudnia, w chwili, kiedy życiodajne światło znów brało górę nad ciemnościami. Godami temi kończono długie i przykre noce zimowe, a napawano się nadzieją zbliżającej się wiosny. To też wdzięczni byli bogom za tę łaskę nasi przodkowie i składali im objaty. A że początek dnia rozpoczynał się z zachodem słońca, przezto każdy dzień świąteczny, więc i te gody obchodzono wilią. Radość swą objawiali wielką hojnością. Co było w domu, wszystko służyło dla ogólnego użytku, każdy otrzymał dar, a nie zapominano o domowych zwierzętach, które w ten «szczodry» wieczór dostawały obfite pożywienie. Uroczystość odbywała się z zachowaniem obrzędów, zastosowanych do wysokiego znaczenia godów. Stół zaścielano sianem, symbolem urodzaju, na nim stawiano potrawy z płodów ziemnych. Sam gospodarz częstował czeladź, dzielił się z nią chlebem, a ta składała mu życzenia szczęścia. Pamięć tej uroczystości przechowała się dotąd w łamaniu opłatka, którym gospodarz lub gospodyni domu dzielą się z rodziną i służbą, życząc sobie wzajemnie szczęścia. Podczas uczty śpiewano pieśni (dziś zastąpione kolendą). Z tych wymieniają starożytną pieśń, poczynającą się słowami:« Szczodry wieczór, dobry wieczór».

Od chwili, kiedy «słońce zaczyna tańcować», to jest od wiosennego porównania dnia z nocą, zaczynał się nowy szereg godów. Dziś z pozostałych resztek obrzędów mało dla nas zrozumiałe, stanowiły one w dawnych czasach rdzeń wierzeń naszych praojców. Kościół nie zdołał ze szczętem wykorzenić tego, w co lud wierzył przez setki, a może i tysiące lat, przeznaczył więc na czas wiosennych godów święto Zmartwychstania Pańskiego, jak umieścił Boże Narodzenie w czasie zimowych godów. Nasze święcone z pisankami tak zwanymi dyngusami i tym podobne obrzędy wielkanocne — mniejsza na razie o to, skąd je bezpośrednio przyjęto — trącą jeszcze pogańskim charakterem. Ulubioną zabawą w czasie tych godów było przebieranie się za tury lub niedźwiedzie, a był to zwyczaj ogólny, przeciw któremu od najdawniejszych czasów powstawał kościół, wyłączający «kobylników» od sakramentu ołtarza. Niedziela wielkanocna i dwa następne dni — gromiono z kazalnicy w XV. wieku — pełne są nierządnej zabawy, obmierzłego dyngowania i rozmaitych guseł. W uchwałach synodu dyecezyi poznańskiej z roku 1420 czytamy: «Zabraniajcie, aby w drugie i trzecie święto wielkanocne mężczyźni kobiet, a kobiety mężczyzn nie ważyli się napastować o jaja i inne podarunki, co pospolicie się nazywa dyngować, ani do wody ciągać, bo swawole i dręczenia takie, nie odbywają się bez grzechu śmiertelnego i obrazy imienia Boskiego». Najdawniejsza to pono wzmianka o dyngusie w Polsce.

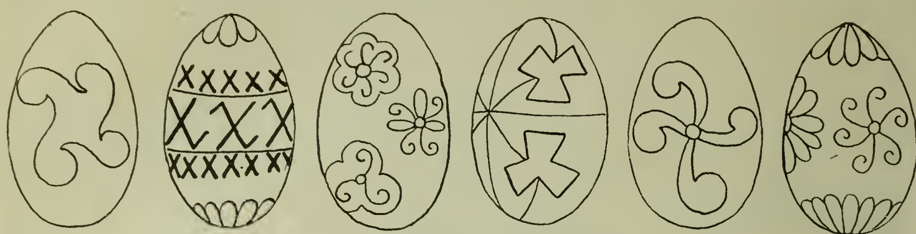
Na pierwsze hasło zbliżającej się wiosny, w Dobrzyńskiem, wypędzają czyli wybijają żura, tłukąc garnki, skorupy i t. p. Żur (ruskie: żuryty sia), to smutek,

zima, śmierć, które ustąpić muszą przed życiem, wiosną, słońcem. Kiedy słońce, stopiwszy lody, opromieniło ziemię, następował upragniony początek Nowego lata, które aż do XIII. wieku poczynało się, nie jak teraz, w styczniu lecz w marcu. Nastawały gody jaru, obchodzone przedewszystkiem pogrzebem zmarłej zimy. Wynoszono więc ze wsi bałwana, wyobrażającego Marzanę, przy śpiewie: «Już niesiem śmierć ze wsi, nowe lato do wsi» — (albo «Śmierć płynie po wodzie, nowe lato ku nam idzie»). W spomnianych ustawach synodu poznańskiego mamy opis tego zwyczaju, działo się to w białą niedzielę; figurę, wyobrażającą śmierć, wrzucano w błoto, wśród śpiewów pogańskich. Za mej pamięci — powiada Bielski — był ten obyczaj po wsiach, iż na «białą niedzielę» po poście, ubrawszy snop konopi albo słomy w odzienie człowiecze, wszystka wieś prowadziła ten bałwan, gdzie najbliżej było jakie jezioro albo kałuża. Tamże zebrawszy z niego odzienie, wrzucano do wody, śpiewając żałobliwie:

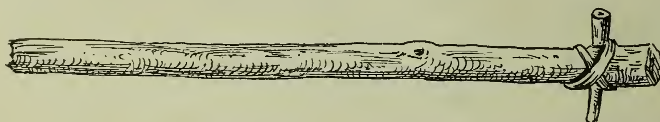
Śmierć się wije po płotu,
Szukający kłopotu.

Potem co najprędzej od tego miejsca bieżali, a który, albo która się natenczas powaliła albo powalił, wróżbę tę mieli, iż tego roku umrze. — Zabytek ten pogańskich czasów kościół starał się wykorzenić, grożąc nawet, że wynoszącym śmierć grzechy nie będą odpuszczone. Gdy to się nie udało, usiłowano obrzędowi pogańskiemu dać tło chrześcijańskie. Stąd zapewne poszło to, co mówi Długosz, że w niedzielę laetare topią bałwanki Dziewanny i Marzanny na pamiątkę postanowienia Mieczysława I., który rzekomo 7. marca nakazał wszystkie bałwany pogańskie wynieść z miast i wsi i potopić. Tradycya ludowa z okolic Rożnowa, wyprowadza na swój sposób ten zwyczaj. W pewnem mieście ludzie «okrutnie» umierali, rzekła więc córka do matki: «Mamusiu, kiedy ta śmierć u nas tak dokazuje, zróbmy lalkę, przebraną za dziewczynę i wynieśmy ją z miasta, a potem w jej suknie ubierzmy zdrowe dziewczę, któremu już Marzanna nie zaszkodzi, a śmierć do nas nie wróci. Zrobiono tak i w mieście przez lat kilka ludzie nie umierali. «Od tego czasu — kończy baśń — wynoszenie Marzanny weszło w zwyczaj powszechny». W dniu Zielonych świątek odbywano w Polsce igrzyska zwane s t a d o, o których Długosz powiada, że lubo od wprowadzenia chrześcijaństwa upłynęło 500 lat, a jednak Polacy aż do jego czasu obchodzili corocznie te pogańskie święta śpiewami i rozwiązłymi ruchy, niekiedy klaskaniem, lubieżnem wykręcaniem się i inną swawolą w pieśniach i sprośnych uczynkach.

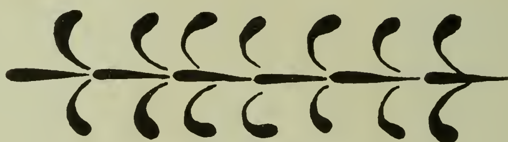
Niektóre ze zwyczajów tych przez lud nasz do dziś zachowanych, naprzykład zlewanie wodą w poniedziałek wielkanocny, czyli tak zwany śmigus, są niekoniecznie rdzennie słowiańskiego pochodzenia, przybyły one z obcych krajów, ale tak się zrosły z pierwotnemi wierzeniami, że ich odróżnić nie podobna. Istniały bowiem już u poszczególnych plemion słowiańskich pokrewne pierwiastki, ułatwiające przyjęcie tych zabobonów. Niektóre z nich wiodły żywot wędrowny i oplatały wierzenia ludu jak babie lato przechodniów. Duchowieństwo samo, powtarzając przez wieki całe opowiadania cudów i legend, szerzyło u nas niektóre zabobony średniowieczne z kazalnicy, wciskały się one do chat wiejskich, skąd je znowu kiedyś zaczerpną do poezyi. Ku istnej zgrozie mitologów — powiada A. Brückner — odkrywają dziś wpływ chrześcijaństwa nawet w tradycyi pogańskich Skandynawów w ich «sagach», w świecie, który wydawał się tak samodzielnym i nieprzystępnym, że czerpał chyba tylko z lodów i mroku północy, z szumu morza i z nieokiełzanych sił Normanów.



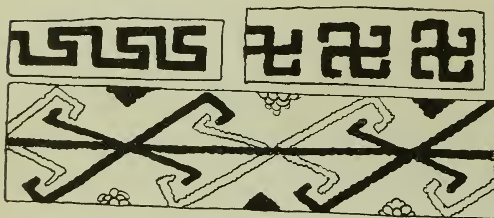
85. — Motywy ludowe na kraszankach.

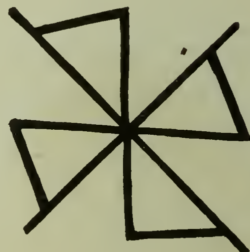


86. — Pisak, przyrząd do zdobiena jaj wielkanocnych.

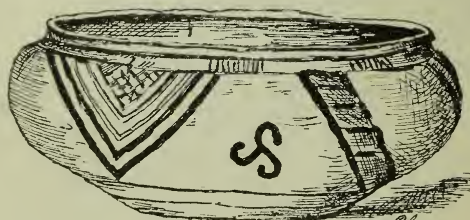


87. — Choina.





88. — Swastyka we wzorach haftów ludowych.



89. — Waza z trykwetrem.





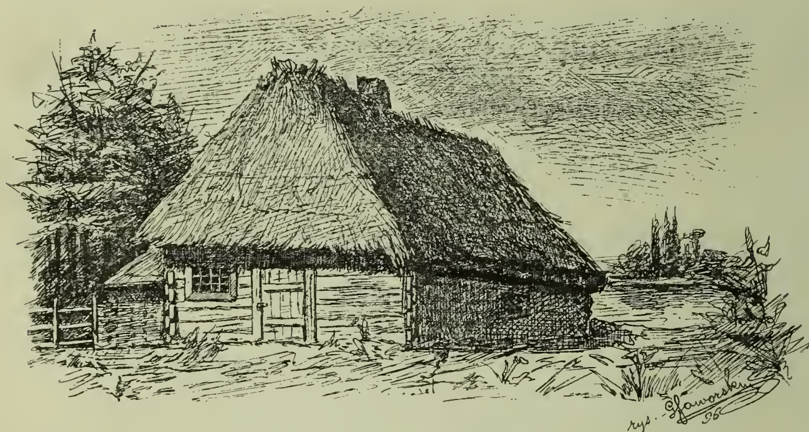


PISANKI - WZORY RYSUNKÓW Z CZASÓW PRZEDHISTORYCZNYCH.

A cóż dopiero mówić o wierzeniach naszego ludu. — Ze świętem Wielkiejnocy w ścisłym zostaje związku zwyczaj farbowania ozdobnie jaj kurzych, o których obrzędowem używaniu wspomniano wyżej. Zwyczaj ten, rozpowszechniony w całej Słowiańszczyźnie (a są ślady, że znanym był i w niektórych krajach zachodniej Europy), pochodzi z czasów przedchrześcijańskich. Dla nas ważnym jest ze względu na pierwociny naszej ornamentyki, składającej świadectwa o prastarej sztuce polskiej. Umieszczając tablicę kolorowaną kilku pisanek, chcieliśmy dać wyobrażenie o głównych ich odmianach. «Malowankami» nazywają się jaja nie mające żadnych rysunków, lecz ufarbowane na jeden kolor. «Pisanki» są ozdobione rysunkiem, w którym częstszą gra rolę tradycya niż fantazya. Styl ornamentacyj bowiem należy do cech najstateczniejszych. Lud w danym razie zmieni religię, język nawet, ale oddziedziczonemu po przodkach ornamentowi prawie zawsze pozostanie wiernym. Dlatego ktoby umiał czytać w ornamentach pisanek, ten zdołałby za ich pomocą objaśnić lepiej nie jeden rys kultury, niż przez szperanie w starych szpargałach. Z wzorów, rozpowszechnionych po całym obszarze ziem polskich, zasługuje na uwagę wiatrak, którego prototyp z małemi zmianami wszędzie nosi tę samą nazwę. Drugim bardzo pospolitym jest wzór nazywany «rózgą», «choiną», «smerekiem» i t. p. Oba rodzaje ornamentu zdobią przedmioty z bardzo odległej epoki, jak naprzykład naczynia gliniane i bronzy, wydobywane z grobowców przedhistorycznej doby. Rozróżniamy na pisankach rysunki geometryczne, solarne, roślinne, zwierzęce i t. p. Pod względem archeologicznym najważniejszą jest ornamentyka geometryczna. Wzór tej kategoryi, zwany plecionką (na Podlasiu i w Lubelskiem «w dreliszek»), znajduje się na najstarszych wazach greckich. Rysunki swastyki naszych pisanek, znajdujemy wśród wykopalisk Schliemana w Hisarlik. W najbliższem pokrewieństwie z symbolicznym charakterem tego znaku i jego prostotą, ustępującą miejsca dążności ornamentacyjnej, pozostaje trikwetrum, przypisywane zwykle Rzymianom, a mające zamiast czterech, trzy ramiona. Jeżeli zestawimy rząd swastyk, pomnożymy złamania ich ramion i powiążemy je ze sobą, to otrzymamy przykład ornamentacyi, zwanej u Greków meandrem. Podobne okazy widzimy na naszych pisankach, jakoteż na wzorach ornamentyki pogańskiej średnich wieków. Chrześcijaństwo nie walczyło z zabytkami wierzeń pogańskich, dającymi się pogodzić z nauką Chrystusa, dlatego zachowało dawne motywy, a swastykę uświęciło nawet znakiem krzyża. Widzimy więc cały szereg kościelnych rzeczy, jak sarkofagi, ołtarze, cymborya, stuły, mitry i t. p. znaczone tym symbolem. Na katedrze w Kruświcy znak ten widnieje na zewnątrz, a wewnątrz kościoła w Inowrocławiu, obok wielkiego ołtarza, jest krzyż z czterema punktami, który jest jedną z najbardziej znanych form pogańskiego symbolu.

W epoce przedhistorycznej widzimy go na wielkiej liczbie popielnic, rozwija się potem coraz więcej, dochodząc wreszcie do formy, w której trudno już dopatrzyć pierwotnej myśli. Jak ten starożytny symbol, istniejący do dzisiaj na pisankach wielkanocnych i w haftach ukraińskich, tak i zwyczaj farbowania jajek i obdarzania się niemi na wiosnę nie jest ściśle związany z obchodem wielkanocnym, jest bowiem znacznie od tych świąt starszy. U nas potwierdza to okoliczność, że farbowanie w dzień pierwszy i drugi Wielkiejnocy uważają za grzech i prawie nigdzie nie jest w użyciu. Jajko, jako symbol życia wiecznie odradzającego się pod wpływem słońca, stało się niejako pośrednim symbolem zmartwychwstania i dlatego to kult jego połączono ze świętem Zmartwychwstania Chrystusa.

W starożytnych obrzędach występuje, nasze jajo wielkanocne wyraźnie jako źródło życia i wszech świata. Stąd obdarzają się wzajemnie jajami na początku Nowego Roku, stąd też pochodzą mity o jaju w mitologii egipskiej i indyjskiej. Według podania, które spisał Herodot, świat powstał z jaja, zniesionego przez feniksa w świątyni Heliosa. Stwórca świata, bożek polinezyjski Tangaroa, wyszedł z jaja. W tradycyi fińskiej cały świat powstał z sześciu jaj złotych i jednego żelaznego. Mit ten kosmogoniczny żyje i w podaniach Słowian. W baśniach, rozpowszechnionych po całej Polsce, ukrywa się w jaju życie lub śmierć. Mycie się wodą, w której zanurzano pisanki, daje zdrowie, siłę i piękność. Kraszanki, zakopane w ziemię, mają sprowadzać urodzaj, włożone do ula, powodują rojenie się pszczół, chronią od uroku, zadanego przez czarownicę, od pożaru, pioruna, pomagają na febrę, żółtaczkę, różę — kładą je wreszcie na grobach, oraz rzucają do rzeki dla duchów topielców. Najdawniejszą o nich wiadomość podaje mistrz Wincenty w swej kronice z 13go stulecia. Mowa tu prawdopodobnie o zwyczaju tłoczenia ich przez dwie osoby —



90. Chata polska (na Kujawach).

może narzeczonych. — Każda z nich bierze po jajku w prawą rękę i uderza niem, a które silniejsze, ta osoba tryumfuje.

Pomijam inne obrzędy ludowe, w których tkwi mniej lub więcej pierwiastków z przedhistorycznej doby, a zatrzymam się pod koniec tego rozdziału nad zwyczajami weselnymi.

Doniosłość małżeństwa w życiu człowieka wymagała utrwalenia związku za pomocą uświęcających go obrzędów. Starożytność ich przeczuwali już pierwsi nasi zbieracze pieśni ludowych, nie umieli tylko twierdzenia tego dowieść. Jeżeli krytycy dzisiejsi, widząc kruchość ich dowodów, zwątpili w ogóle o starożytności obrzędów naszego ludu, to popełniają większy błąd od swoich poprzedników.

Z całego dramatu weselnego wybieramy tu tylko parę obrzędów, sięgających zamierzchłej przeszłości. Wzajemne podarunki obu stron, powinowacących się przez związki małżeńskie, spotykamy w rozmaitych zakątkach kuli ziemskiej, sród ludów, stojących na niższym stopniu rozwoju. Na szczególną jednak uwagę zasługuje podarek, składany żonie nazajutrz po ślubie (Morgengabe). Statut Wiślicki nazywa ów podarek męża «oprawą» lub «wianem». Zwyczaj ten powszechny w wiekach śre-



91. Ubiory włościańskie (ze zbiorów Akademii umiejętności w Krakowie).

dnich, wspomniany jest w «Zbiorze prawa zwyczajowego Indusów» pod imieniem «culka». Źródła jego szukać należy w czasach przedhistorycznych, w barbarzyńskich o małżeństwie pojęciach. Składał go pierwotnie mąż, jako odszkodowanie czystości panieńskiej. W miarę rozpadania się ustroju rodowego, gdy własność osobista, roz-



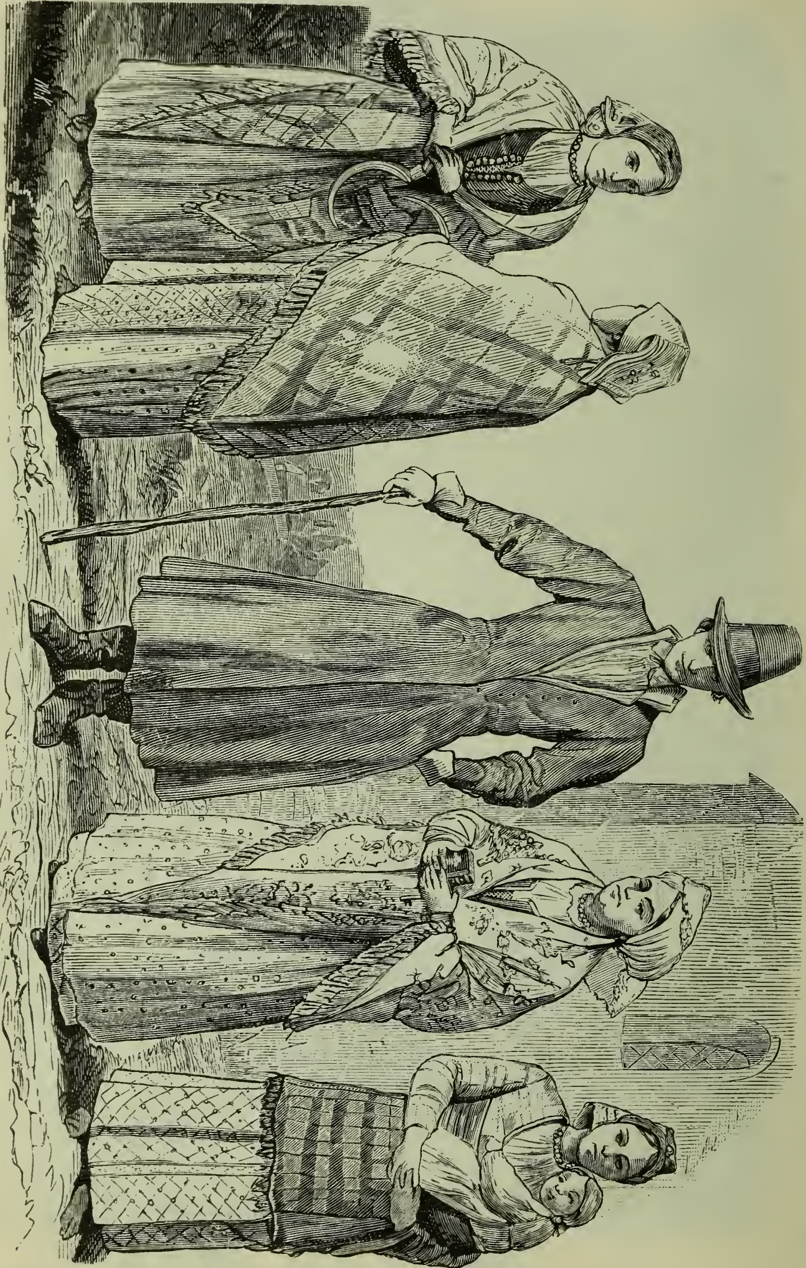
92. Ubiory włościańskie (ze zbiorów Akademii umiejętności w Krakowie.

szerzając się, zaczynała ogarniać i nieruchomości, a związki małżeńskie zawierali ojcowie narzeczonych, zmienia się charakter podarku porannego, wówczas składa go ojciec pana młodego. Zwyczaj ten znany był u nas za czasów Mieszka. Opisuje go arabski pisarz, z XI. wieku, Al-Bekri: «Gdy dziecko płci męskiej dojdzie pełno-



93. Ubiory włościańskie (ze zbiorów Akademii umiejętności w Krakowie).

letności, to je Mieszko żeni i płaci za nie swadziebny podarek ojcu narzeczonej. Jeżeli zaś jest płci żeńskiej, to je wydaje za mąż i płaci swadziebny podarek jej ojcu.



94. Ubiory włościańskie (ze zbiorów Akademii umiejętności w Krakowie).

Podarek ten bywa u Słowian bardzo znaczny, a obyczaj ich w tej mierze podobny jest do obyczajów berberskich plemion Afryki». Za dowód starożytności naszych obrzędów weselnych posłuży inny szczegół, szeroko rozpowszechniony między ludem,

a sięgający jeszcze pochodzeniem swem owych pierwotnych czasów, kiedy «młody pan» siłą mocą zabierał «młodą» do swego domu. Etnologowie odnoszą ten obrzęd do tak zwanego małżeństwa przez porywanie. Oto jeden przykład (z lubelskiego): Podczas nadejścia drużyny weselnej narzeczonego, matka narzeczonej wchodzi spiesznie do chaty i zamyka za sobą wrota. Drużyna staje więc przed chatą, otaczając zagrodę całą i dobija się do zamkniętych wrót, matka zaś śpiewa z chaty:

Skądeście dwór najechali,
Cisowe wrota złamali,
Zielone podwórko zdeptali?



95. Nakrycia głowy i obuwia ludu.

Na każde to zapytanie drużyna weselna odpowiada okrzykiem:

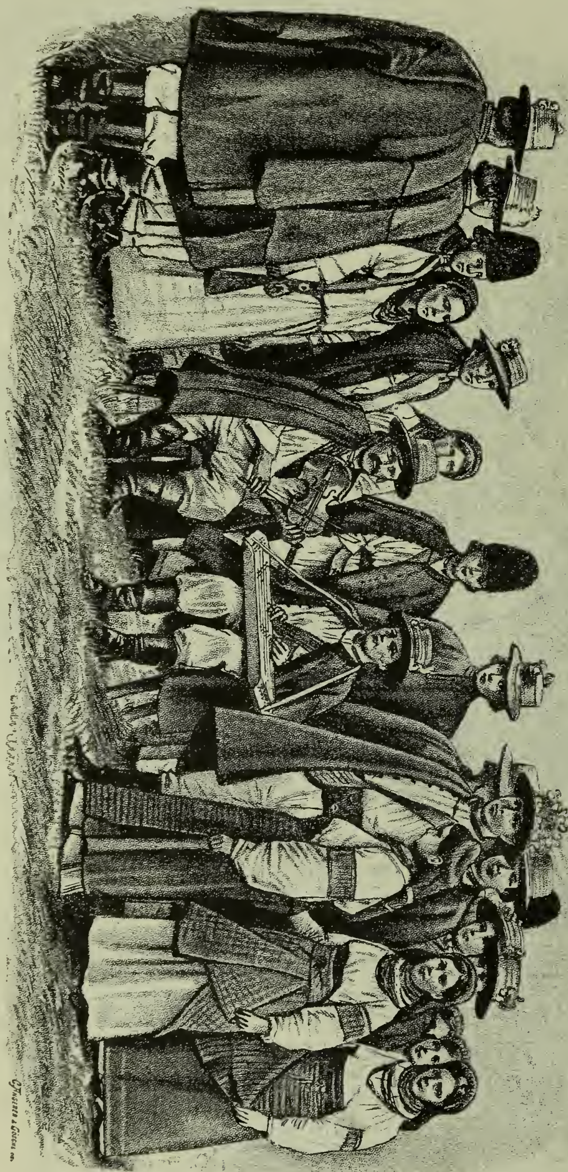
Łado! Łado!

Gdy zaś matka drzwi silniej zapiera, śpiewają drużby:

O zamknięni nam, zamknięni,
Nie chcą nas puścić do sieni.
Łado! Łado!

Ten sam zwyczaj napotykamy u wszystkich ludów Europy a nawet u plemion barbarzyńskich innych części świata, w Ameryce środkowej, w Persyi, w Bengalii, w Nowej Gwinei i t. p. Porywanie należało u niektórych południowo-słowiańskich ludów aż po pierwszy dziesiątek lat naszego wieku do ustalonych form zawierania związku małżeńskiego. — Podobnie starożytną postacią obchodu weselnego u Słowian jest walka o narzeczoną, odmalowana w wielu pieśniach gęślarskich; drugą zaś,

również nierzadką formą były zapasy, w których narzeczona stanowiła nagrodę; trzecią wreszcie, najrzadszą, były gonitwy. Dawniej odbywały się o kobietę istotne walki, które jednak z upływem czasu, zeszły na widowisko dla gości. Nie mniej



96. Lud wiejski w dzień świąteczny przy muzyce (ze zbiorów Akademii umiejętności w Krakowie).

starożytną instytucyę zawierania małżeństw przez kupno narzeczonej, za opłatą w naturze lub pieniądzach, przechowały nasze obrzędy weselne. Nie mogący złożyć okupu Osetyniec, wysługuje sobie dziewczynę u jej rodziców, pracując ośm lat jako parobek. Jakże to przypomina znaną piosnkę naszą «Czterym lata wiernie służył

gospodarzowi». Okup płacony był dawniej przez rodziny pobierającej się pary, czego ślady zachowały się w obchodach weselnych. W sandeckim n. p. starosta sprzedaje pannę młodą, a drużba ją kupuje. Prowadzą targ w języku cygańskim lub ruskim, t. j. raczej naśladując tę mowę. Starosta, aby pokazać, jaki to on ma cenny towar, tańczy z panną młodą. Drużbie zdaje się (podoba się) towar, więc



97. Okrycia kobiet wiejskich (ze zbiorów Akademii umiejętności w Krakowie).

wstrząsając workiem przewieszonym przez plecy, w którym brzęczą skorupki potłuczonych garnków, niby pieniądze, oświadcza się z gotowością kupna. — «Przedaj mi to bydlątko», powiada. «Sprzedam, wiele date?» — odrzece starosta. «Dwacet.» Lecz sprzedający chce koniecznie «trycet.» I prowadzą z sobą targ dość długi, wśród którego starszy drużba próbuje panną młodą, lecz ta z nim niezgrabnie tańczy — kuleje. Więc drużba zaczyna głowę kręcić, na znak, że towar niezbyt dobry. Aby

mu pokazać, że tak nie jest, bierze znowu starosta pannę młodą, która tańczy zgrabnie i lekko. Wśród tańca szepnie jej do ucha, by teraz dobrze z drużbą tańczyła, co też ona rzeczywiście czyni i drużba kupuje ją za «trycet». Tylko starszy starosta wymówi sobie jeszcze litkup t. j. pewną ilość wódki, którą pan ojciec (ojciec panny młodej) przyniesie na zgodę. W powiecie włoszczowskim panna młoda śpiewa:

«O la Boga, co takiego,
Co nie widać kupca mego?
Czy go woda zamuliła
Czy go inna odmówiła? i t. p.

Wspomniemy tu jeszcze o podobnym zwyczaju, praktykowanym przez młodzież wiejską w ziemi czerskiej. — W dniu tłustego wtorku gromadzi się lud przed karczmą, dokąd parobcy ciągną przemocą dziewczęta, przeznaczone na sprzedaż. Dziewuchy naturalnie udają niechęć, w rzeczywistości zaś kraśnieją z radości na myśl, iż znajdą kupca, który, jak się to najczęściej zdarza, w następstwie bywa małżonkiem zakupionego okazu. Na umówiony znak «jeden z policyantów» wyprowadza na środek dziewczynę. Parobek pragnący ją posiąść, bije co siła we drzwi. «Otwórzcie drzwi, bo wywalę». «A to poco?» «Żeby kupić krowę», (tu wymienia dziewkę po imieniu) «Ho, ho! — dziwi się komornik — albo pan masz tyle pieniędzy? To jest co najpiękniejsza jałówka; trzydzieści dukatów kosztuje». — «Ano, to kupię i zapłacę» — powiada parobczak, składając na ręce upoważnionego skarbnika pewną kwotę pieniężną. Zakupioną «krówkę» przyprowadzają do odzielnej zagrody, poczem kolejno «komornik» wywołuje następne dziewczęta.

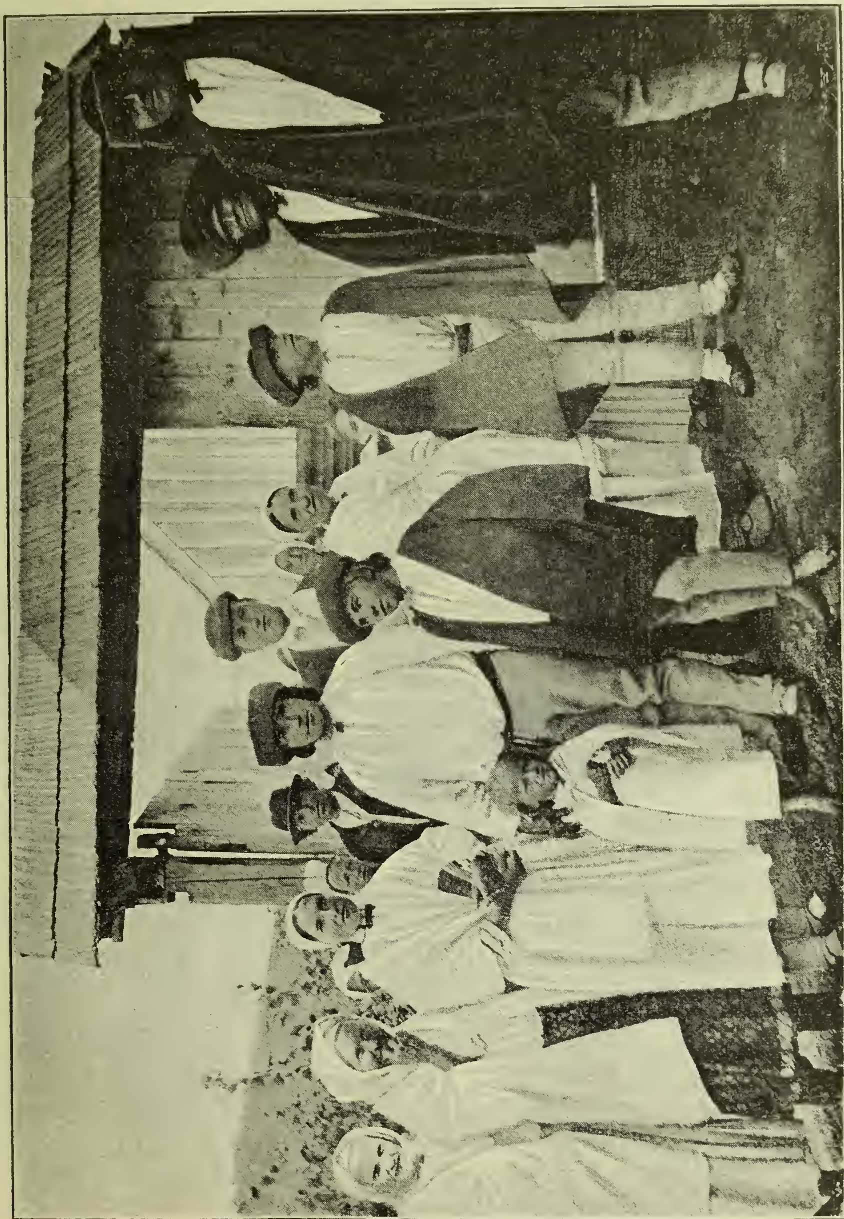
Jest to rzeczą częstokroć sprawdzoną, że pewne narzędzie do użytku służące, lub obrzęd, mający znaczenie dla spółczesnych, z biegiem czasu, kiedy już istotne znaczenie utracą, stają się dla potomnych zabawką lub poetycką igraszką. Wielu gier dziecinnych powstania należy szukać na tej drodze w zamierzchłych wiekach. Egipcyanie naprzykład mieli zwyczaj bawienia się w tak zwaną pytkę, jak o tem świadczą starożytne malowidła egipskie. Gra polegała na tem, że jednemu z uczestników przewiązywano oczy i ten, uderzony pytką przez kogoś po plecach, musiał odgadnąć filuta. Każdemu nasuwa się na pamięć podobna gra, często przez dzieci nasze uprawiana. Dziewczęta, chłopcy, a nawet starsi stają kołem, trzymając ręce za sobą. Jeden, na którego los padł, kręci chustką pytę, obchodzi następnie całe koło i przymawia:

Chodzi lis koło drogi,
Nie ma ręki, ani nogi,
Chwała Bogu trzy niedziele,
Jak my lisa nie widzieli i t. p.

Ten, kto się obejrzał, dostaje pytą po plecach, poczem następuje znana pogonka.

Nawet szata ludu, owa powłoka ciała, nie może być dla dziejów oświaty obojętną. W niej odbija się charakter ludu, z niej wnosić można o stanie kultury, o sposobie życia, klimacie, w jakim żył, o wydarzeniach dziejowych, w których brał udział. Jak człowiek długo musi pracować, zanim zdoła uwydatnić swoją indywidualność, tak i naród, wydobywając się z niemowlęctwa, dochodzi powoli do objawienia swej oryginalności.

W wiekach średnich krój i rodzaj sukni był mniej więcej wspólny całej ówczesnej Europie, z tą różnicą, że zmiany jego u góry bardzo powolnie szerzyły się w niższych warstwach. Główną różnicę naszych ubiorów od zachodnich, stano-



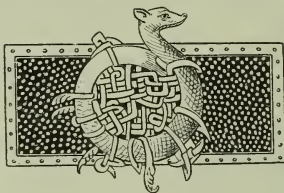
98. Ubiory górali (ze zbiorów Akademii umiejętności w Krakowie).

wiły futra, które dla obfitości u nas zwierzyny jak i z przyczyn ostrości klimatu, należały do ulubionej odzieży naszych przodków. Z trzech klas społecznych, na jakie dzielił się naród polski, przyswoiło sobie duchowieństwo i stan rycerski,

w ciągłych zostający stosunkach z sąsiadami, formy cudzoziemskie, najdłużej jeszcze przechował pierwiastek rodzimy lud, którego ubiór w głębiej ukrytych zakątkach kraju, nie wiele się różni od ubioru, jaki spotykamy na najdawniejszych naszych zabytkach. Takimi są drzwi katedry gnieźnieńskiej i kielich Dąbrówki, dochowany w skarbcu kościelnym w Trzemesznie. Wyrzeźbione tam sceny, uwydatniają wszystkie stany społeczeństwa polskiego. Mamy króla i królowę z dworem, rycerstwo, wieśniacy z ówczesnemi przyborami i sprzętami.

Dzisiejszy ubiór ludu polskiego zbliża się zupełnie do stroju średniowiecznego. Kapelusz naprzykład krakowskiego włościanina ma kształt nakrycia głowy arystokraty z XII.—XIII. wieku. Podobnie jak Krakowiak stroi swój kapelusz w taśmy aksamitne, w sznelki i sznury jaskrawe, lub w piórka pawie, tak możni panowie w okresie Piastowskim stroili się w złote ozdoby, w pióra, bordy i t. p. Karazyję, jaką nosi dziś chłop koło Skalmierza, napotykamy u szlachty i mieszczan z 15go wieku. Chodaki (z wiązadłami) naszych górali, ciżmy nawet Podlasian mają charakter wczesnej średniowieczyzny. Tak zwana podwika, osłaniająca głowę, szyję i twarz Mazurki, na kształt welonu, spotykamy już na patynie kielicha Dąbrówki. Szubę czy kożuch Kurpia mamy wyrzeźbiony na drzwiach katedry gnieźnieńskiej (12 wieku), oboje, tak podwika, jak kożuch, przypominające strój ludów azyatyckich, nie zmieniły się prawie w niczem od czasów najdawniejszych.

W ozdobach stroju okazuje lud nasz do dziś jeszcze niewyrobione poczucie piękna.





ROZDZIAŁ TRZECI.

POGLĄD NA STOSUNKI SPOŁECZNE ZA PIASTÓW.

Z owego rojowiska drobnych plemion ludu polskiego, które w okresie przedhistorycznym, to łączyły się w celach wspólnej obrony, to krwawe ze sobą staczały zapasy, zaczęło się — pod egidą książąt, którym udało się podbić lub przyłączyć sąsiednie kraje — wyłaniać powoli na widownię dziejową państwo polskie. W połowie X. wieku obejmuje ono już olbrzymi szmat ziemi, którego granice sięgały od Dunaju do Bałtyku, a od Odry do Bugu. Podwaliny tego państwa położył Mieszko I. z rodu Piastów, on je zorganizował i zbliżył do światła Europy. Politycznie sobie poczynając z odwiecznym wrogiem Słowian, zachował przyjazne stosunki z cesarstwem i tem okupił pokój w kraju. Korzystał z tego przezorny książę, aby uścielić warunki jednolitego rozwoju swemu narodowi, złożonemu z różnorodnych żywiołów. Pod jego sterem naród zrzucił z siebie zwierzchnictwo Niemiec, utrzymał się szczęśliwie wobec Czechów, założycieli pierwszego państwa słowiańskiego i stanął naprzeciw olbrzymiej potędze drugiego, tworzącego się na wschodzie państwa. Dzieło Mieszka ujął w żelazne dłonie syn jego Bolesław i wyniósł naród polski na wyżyny historyczne. Zauważono, że w dziejach każdego narodu spotyka się bohaterów, odznaczających się niezwykłą energią i wielkością umysłu którzy wiodąc naród od zwycięstwa do zwycięstwa, wznoszą go na piedestał. A lubo po ich zgonie nie jedna zdobycz, krwią ludzką oblana, marnie zginie, pozostanie jednak zrąb politycznej budowy, który stawiać będzie czoło dziejowej zawierusze i zostanie na wieki wyżłobione koryto, którem popłyną losy narodu. Do takich bohaterów należał Bolesław Chrobry, mąż wielkiego serca i śmiałej ręki. Zakreśliwszy ogniem i mieczem szerokie granice młodemu państwu, ujął je równocześnie w karby wojskowej organizacyi. Bystrym prądem popłynęła odtąd łódka piastowych

rządów, dzięki zróżnicowaniu narodu na dwie klasy społeczne. Bo kiedy kmieć krwawym zraszał potem rolę i posługą lub daniną zaspakajał potrzeby drużyny wojennej, mógł szlachcic spieszyć wesoło za wielkim wodzem na wyprawę, gdzie go czekała obfita zdobycz w ludziach i skarbach. Wśród nieustannych walk, jakie ten dzielny wojownik prowadził, zmężniała władza książęca, z każdym dniem pełniejsza i górująca nad oboma stanami. Nastaje ograniczenie pierwotnej swobody plemiennej i przełom organizacyi rodowej na korzyść monarchii chrześcijańskiej i średniowiecznego feudalizmu. Nie odrazu jednak młoda latorośl zapuściła korzenie. Stosunki społeczne nie dadzą się narzucić, jak mundur na rekruta. Było dużo żywiołów niezadowolonych z nowego stanu rzeczy. Przedewszystkiem dawni przewódcy, strąceni z wyżyn swego stanowiska, szukali sposobności zbrojną ręką położyć koniec panowaniu książąt. A i lud, nad którym najbardziej zaciężyła zmiana stosunków, nie miał przyczyny być zadowolonym, nie tak łatwo przychodziło mu rozstawać się z dawną wiarą i obyczajem ojców. Żywioły te, stanowiące zwartą opozycyę, trzymało w posłuszeństwie silne ramię Chrobrego. Ale, kiedy nie stało czujnego władcy, książęta, którzy byli przycichli albo oswoili się już nawet z nowym porządkiem, plemiona, nie pozbawione jeszcze miłości do swych prastarych zwyczajów i nie wprzęgnięte w nowe jarzmo, podnoszą głowę i zaczynają targać swoje więzy. Wszczęły się krwawe rozruchy. Lud na czele dawnych przewódców uderzył na widomych przedstawicieli nowej wiary, to jest na kapłanów, mordował obcych przybyszy, urągających bóstwom pogańskim i w gruzy rozsypywał ich domy boże. Wszystkie uciśnione dotychczas żywioły, dawnej pomne wolności, podniosły oręż przeciw absolutnej woli jednego człowieka, pana ich życia i śmierci. Ale zamarłych form społecznych nie wskrzesić do nowego życia... Nastały czasy rozstroju i zamieszania, z którego nie omieszkali korzystać wrodzy nam sąsiedzi. Z położenia tego dźwignął kraj dopiero Kazimierz, zwany dlatego odnowicielem i Bolesław Krzywousty, dziedzic myśli rycerskiej wielkiego pradziadka.



99. Pieczęć Mieszka Starego.

Na nim kończy się pierwszy okres dziejów polskich. Czasy Bolesławów wychowały politycznie młode państwo w zwycięskiej z otaczającymi ją wrogami walce, ale zużywają wszystkie siły żywotne narodu. W okresie tym nie może być mowy o rozwoju literatury i sztuki, zaledwie widome pierwsze ich zarodki, słabe światełka kultury dają się tu i ówdzie zauważyć. Kiedy cały świat oświecony poruszyły wyprawy krzyżowe, o Polsce było głucho, i ledwie ostatnie straszliwe spustoszenia pogańskiego Pomorza za Bolesława III. ocenia obcy, ale spolszczony już, kronikarz Gallus ze stanowiska świętej krucyaty. Kiedy na zachodzie i południu pierś rycerzy złociły romantyczna miłość i wysokie poczucie honoru, dla szlachty naszej, w grubych pogrążonej ciemnościach, obcy był ten złoty wiek szwaleryi. Zamiast przygód i awantur, podniecających wyobraźnię giermków, obierało rycerskie pachole wychowanie praktyczne. Nie budowaliśmy zamków, ostremi iglicami prujących niebiosa,

ani nie urządzaliśmy wspaniałych turniei, nie było więc i trubadurów, którzyby je opiewali. Życie nasze było więcej do natury zbliżone, proste, nieokrzesane. Nawet religia przybierała ten charakter. Obcy nam był ascetyzm Tomasza z Akwinu, nieznany prawie Piotra z Amienu fanatyzm, cały zakres uczuć religijnych ograniczał się ofiarami i fundacyą kościoła lub klasztoru. Do tego poziomu przystosowało się i nasze duchowieństwo. Zapał rycerski porywał na zachodzie nawet braciszka klasztornego, wytrącając mu z ręki brewiarz, u nas pochłaniał wszystkie bezmała siły zakonu myśl utrzymania i pomnożenia gospodarstwa.

Z przyjęciem chrześcijaństwa w łacińskim obrządku oderwaliśmy się wcześnie od świata wschodniego, a przygarnęli do oświaty zachodniej. Ale z natury geograficznego położenia, wciągnięci na sam koniec prawie wielkiego pochodu cywilizacyi chrześcijańskiej, zajęliśmy jej ostatnie skrzydło. Jesteśmy najmłodszym narodem w wspaniałym koncercie Europy. Ludy romańskie mogą się poszczycić pomnikami, sięgającymi w głęboką starożytność, aż do piątego wieku, oświata germańska ludów da się odnieść do szóstego, nawet Czechy i Ruś wykazać mogą zabytki kultury z dziewiątego stulecia — tylko Polska, wskutek wielkiej od ogniska cywilizacyjnego odległości, spóźniła swój pierwszy występ aż do jedenastego wieku. Inne narody wyrosły na gruzach państwa rzymskiego, żyły długo jeszcze spuścizną świata starożytnego, który przeniknął ich język, zwyczaje i stosunki społeczne, dla Polski Bolesławów był ten pierwiastek oświecenia prawie nieznany. Ona musiała na pniu pogaństwa szczepić winną latorośl oświaty chrześcijańskiej, bo nie miała przeszłości, z którejby snuć mogła nić tradycyi. A gdy się zaprzęgła do rydwanu, dostało jej się miejsce gdzieś na tyle i otrzymywała okruchy tylko z pańskiego stołu, najczęściej z drugiej lub trzeciej dopiero ręki. I oto walna przyczyna wielkiego milczenia naszej literatury i sztuki za pierwszych Piastów. Prądy oświaty dochodziły nas bardzo późno i odbijały się dlatego słabem tylko echem, albo przelatywały po nad nami, jak chmury, gnane wiatrem jesiennym. A gdyśmy wreszcie dotknęli się lekką stopą zdobyczy zachodniego światła, nie budowaliśmy dalej na jej podwalinach, ale chwytali żywcem obce myśli i przedmioty. Jakąż mogła być suma oświaty w Polsce ówczesnej, skoro cała spoczywała w rękach obcego prawie duchowieństwa, skoro szlachta nie mogła parać się literaturą, bo najczęściej nie umiała czytać ani pisać, a lud był po szyję pogrążony w pogaństwie, skoro nawet książęta dają się owładnąć dzikim, rozbójniczym instynktom.

Z podziałem jednak państwa, po zgonie Bolesława III., następuje zwrot w rozwoju narodu polskiego. Państwo Piastowiczów wspierało się na barkach olbrzymiej, nieograniczonej władzy panującego. Z rozćwiartowaniem monarchii na kilka, a później kilkanaście dzielnic, wskutek wiekowych walk ich książąt, występujących spółcześnie w pokaźnej liczbie kilkudziesięciu pretendentów do tronu, osłabia się powaga i znaczenie samowoli książęcej. Monarchia patryarchalna zmienia się w patrymonialne państwo, w którem wyższe duchowieństwo i możnowładztwo świeckie lwią część władzy w swoje dłonie zagarnęły.

W wiekach średnich nie było w ogóle miejsca dla wielkich konglomeratów politycznych. Despotyzm militarny w postaci rządów Bolesławowych runął na zachodzie jeszcze za panowania Karola Wielkiego. Ustrój feudalny odegrał tam rolę owego taranu, który zachwiał podstawami absolutyzmu. U nas zaszczytne to zadanie spełniły księstwa dzielnicowe. Wielka monarchia piastowska nie dawała sposobności do indywidualnego rozwoju, prawo książęce ciążyło tam jak zmora na wszystkich

klasach społecznych; rolnictwo, handel i przemysł nie miały warunków rozwoju. Pomimo najgorszych skutków politycznego podziału, pomimo stuletniego prawie krwi rozlewu, wstępuje Polska za czasów panowania książątek na wyższy cywilizacyjnie szczebel drabiny rozwojowej. Dźwiga się kościół, podnosi szlachta, przychodzą do znaczenia miasta, nawet kmieć może swobodniej odetchnąć. Okres ten nie może się poszczycić bohaterskimi czynami, nie wydał mężów znakomitych, jak jego poprzednik, ale zapuścił szerzej korzenie oświaty i dobrobytu. Kiedy po wielkich bojownikach nie wiele zostało z ojczystego dorobku, krom myśli politycznej, to doba politycznego upadku, za ich niegodnych dziedziców, wykazać się już może licznymi pomnikami kultury od kronik do poezyi, od kościołów do osad rolnych.

Zaszło słońce majestatu, dumnie okrążające nieprzejrzane obszary ziem polskich, w noc książęcych rządów po Bolesławach zaroiło się od gwiazd tysięcy. Obok tronu zasiedli wielmoże. Pierwszy nasz kronikarz Gallus wielbi jeszcze wyłącznie niezrównaną potęgę «panującego», mistrz Wincenty rozkłada już swe uczucia na wielkich «senatorów», mieni ich złotymi filarami, na których gmach ojczysty spoczął i porównywa do świeczników niebieskich, co rzeczpospolitę najświetniejszymi rozjaśnili czyny. Nowy ustrój społeczny, dokąd nie wyrodził się w oligarchię, oddał wielkie ojczyźnie usługi. Dwie górne warstwy społeczeństwa, jedna posiadająca znaczne na owe czasy zasoby umysłowe, druga, wtajemniczona w sztukę rycerską, to jest duchowieństwo i szlachta, złączywszy się razem, wybili się z pod jarzma wszechwładnej woli książęcia i rozwinęli skrzydła do lotu. Nie od razu jednak nastąpiło to przeobrażenie państwa. Pierwszy wyłom w twierdzy absolutyzmu uczynili — ktoby się był tego spodziewał — mnisi zakonni. Przyczyniają się do tego sami książęta. Nie biorąc udziału w wyprawach krzyżowych, składali dowody swej pobożności w udzielaniu przywilejów dla klasztorów, które z dniem każdym do tego stopnia rosły, że w końcu wszelkie prawa książęce na ich terenie zostały zawieszone. W ślad za duchowieństwem zakonnem poszło i świeckie. Biskup i kanonicy, otrzymując z ręki monarchy pastorał, musieli być woli jego posłuszni. Obecnie, kiedy władza zwątlała, starali się dostojnicy kościoła z pod wpływów jego wydobyć, do czego im kurya papieska dopomogła. Widząc to uprzywilejowanie stanu duchownego, zapragnęła i szlachta skosztować słodyczy praw wyjątkowych. I tak przywileje mnożyły się i mnożyły, aż w pakcie koszyckim nie pozostało nic z dawnych praw panującego, z wyjątkiem poradlnego.

Słusznie zauważył Szujski, że cywilizacya jest wszędzie z jednej strony rozkładowym, z drugiej twórczym czynnikiem. Rozkłada ona to, co nie ma warunków rozwoju, wytwarza zaś z zmienionych potrzeb nowe idee. W Polsce rozłożyła ona prawo absolutne, system patryarchalny, polegający na zależności drużyny od księcia i cały feudalizm, który zaprzepaściła w darowiznach prawem dziedzicznem.

Wyłonienie się idei oligarchicznej w Polsce przypada na czasy zamętu, który zazwyczaj bywa rodzicem nowych myśli społecznych. Czasy to napadów krzyżackich i pogańskich, bratobójczej wojny domowej i niemczenia miast, a zarazem okres świątobliwości, posuniętej prawie aż do ascezy, jako jedynej deski zbawienia w morzu krwi ludzkiej. W jednej osobie mieszczą się tuż obok siebie: okrucieństwo, gwałty i gruba zmysłowość po jednej, a twarda pokuta, pokora i chrześcijańskie zaparcie się życia, po drugiej stronie. Dość spojrzeć na poczet książęcych postaci, wychylających się ku nam z opowiadania ks. Załęskiego, aby się o tem przekonać. Oto występuje książę Kazimierz, zaborca cudzej własności, nękający poddanych

i własne dzieci do tego stopnia, że bunt przeciwko ojcu podnoszą, dalej idą zdrajcy ojczyzny, zniemczali książęta śląscy, których trują właśni poddani, taki Bolesław Rogatka, opój, szuler, włóczęga i — rozbójnik. A potwory te ukrucieństwa i upodlenia świecą cnotami pobożności. Znajdziesz między nimi takie idealne postacie jak Henryk Brodaty, ślubujący przez lat trzydzieście wstrzemięźliwość w stanie małżeńskim, możny, potężny książę, żyjący jak pokutnik. Dorównywa im szereg świętych matek i córek, niewiast niepokalanie czystych i miłosierdziem wyniesionych na wyżyny społeczne, skąd jak gwiazdy promienne przyświecały ludzkości. Że tu wymienię tylko św. Jadwigę, księżniczkę polską i śląską, św. Salomeę, księżnę halicką, Kingę, królowę węgierską i księżniczkę polską, Jolantę kaliską, nie wspominając tylu innych cichych, dobroczynnych kobiet, o których milczy historya. Zrodziły się one w ognisku ascezy chrześcijańskiej, w której popiołach tliły jeszcze rodowe, słowiańskie uczucia.

Na zachodzie i południu rozjaśniały się już widnokręgi, kiedy Polska wiła się w porodowych bólach epoki dzielnicowej. Tam owe dwa wrogie sobie, a potężne słońca: władza papieska i cesarska po śmiertelnych ze sobą zapasach zaczynają rozpadać się, chwiać się w swoich posadach. A kiedy padną przesypane wspólną mogiłą, wzleci ze zgliszcza ich feniks nowych idei. Dnem społecznem, które przy każdym wielkim przewrocie użyźnia krwią swoją grunt pod nowy zasiew i wydaje ziarno życia ze swego łona, jest zawsze — lud. Wszak wśród pasterzy, rybaków i cieśli urodził się i działał Zbawiciel, wszak i dziś jeszcze między ludem szukamy dróg dźwignięcia narodu. Lud ten, niby fantastyczny kameleon, zmienia tylko barwy w wielkim pochodzie dziejowym, ale to ten sam, nieustający w cichej pracy, bezimienny, zbawczy żywioł. W owej dobie występuje on w postaci mieszczaństwa, przeciwstawiając pokrzęstowi oręża i wzlotom w sfery niedoścignionych ideałów trzeźwy rozsądek i mrówczą pracę, zdążając powoli, krok za krokiem, do znaczenia i siły. Polem jego działania to nie szerokie horyzonty życia politycznego, ale mniej błyszczące, lubo ważniejsze pole przemysłu, handlu, sztuk i umiejętności. Ale kiedy za granicą z łona kupiectwa wystrzeli myśl szukania nowych dróg — kupiec wenecki, Marco Polo, wykrywa już w XIII. wieku nieznane dotąd kraje Chin i Japonii — u nas owe potężne poruszenie mieszczaństwa ostatnim tylko i spóźnionym odbrzmiewa odgłosem, a co smutniejsza jest obcego pochodzenia.

Od wieku XII. napotykamy w Polsce pierwsze ślady ruchu kolonizacyjnego. Po napadzie Mongołów, w połowie XIII. stulecia, rozsiedli się już na dobre w sercu Polski i zajęli wszystkie znaczniejsze miasta. Napływ ten osadników niemieckich sprowadza pierwszy wyłom w stosunkach społecznych, tak, że od niego liczą nowy okres w historyi polskiej. Jako kolonie obcych przybyszów, wyjęte z pod sądownictwa książęcego, uwolnione od ciężarów i danin publicznych, rządzą się własnem niemieckiem prawem, które zwolna rozsadza jednolitą dotąd administracyę rządową, a w następstwie wpływa na rozwój stosunków społecznych w Polsce. Kolonizacyę wywołały głównie wojny, które wyludniły ogromne, nieprzejrzane obszary kraju, pozbawiając go sił roboczych. Aby je zastąpić innymi pracownikami, sprowadzali książęta i szlachta Niemców. Sprzyja kolonizacyi druga, po napadach Mongołów, klęska ówczesnej Polski, upadek włościaństwa. Spowodowała go szlachta, która za cenę pomocy, użyczonej książętom w walce o starszeństwo, uzyskała wyjęcie włościan z pod praw książęcych, przez co lud popadłszy w ręce szlachty, staczał się w przepaść niewoli. Prawo niemieckie rozszerzało się i na ludność miejscową,



100. Grobowiec Władysława Łokietka.

szlachta bowiem przyszła do przekonania, że poddani w lepszych warunkach, większe przynoszą im korzyści, że ci, którzy płacili czynsze w gotówce, przysparzają im większe dochody, aniżeli ci, na których ciążyły obowiązki dawnego prawa.

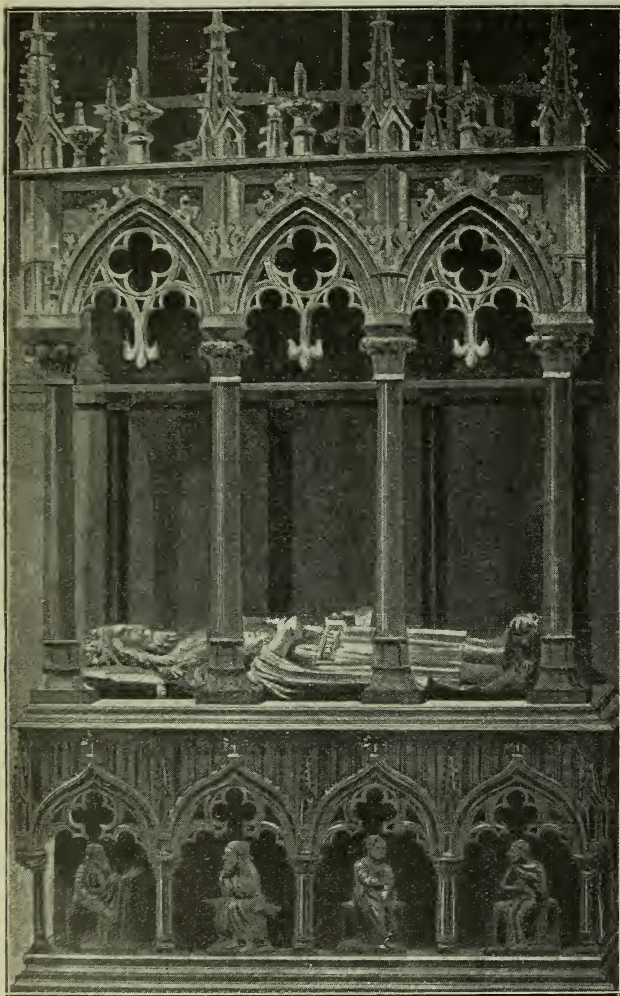
Osadnictwo na prawie niemieckiem, jak w ogóle kolonizacya ówczesna miała swoją jasną, słoneczną, ale i ciemną stronę. Odcięła ona Polskę od wszelkiej z morzem styczności. Odejmie jej na zawsze dwie najpiękniejsze ziemie, Pomorze i Śląsk, który przy końcu XIII. stulecia był już zupełnie zniemczony. Zagnieździła obcy język, zwyczaje i prawa. Zadała klęskę idei politycznej narodu polskiego. Dzięki jednak kolonizacyi, podnosiły się miasta, zaludniały wsie, krzewiły się rzemiosła, rozwijał handel. Ona dostarczyła Polsce żywiołu pełnego zapobiegliwości i inteligencyi. Po długiem na ziemi polskiej pobycie, pozbyło się mieszczaństwo cech rasy germańskiej, a zaszczepiało w kraju pierwiastki dobrobytu i przynosiło ze sobą wyższą kulturę zachodnią. Ale egoistyczna polityka stanu szlacheckiego, umiejąca przerabiać społeczeństwa wedle własnej modły, przerobiła mieszczanina na istotę od siebie zależną, przyjmującą jej wady i zalety. Dlatego to wpływ dodatni, jaki wywarło mieszczaństwo na zachodnie narody, jego oszczędność, poszanowanie dla pracy i tym podobne zalety, zostały dla nas niemal stracone. Do dziś panuje pewien fałszywy wstyd, objawiający się w niechęci do przyznania niemieckich początków naszego mieszczaństwa. A przecież jedna z prawdziwych zasług około rozwoju oświaty, to przyjęcie municypalności zachodniej od Niemiec i przeniesienie jej dalej na wschód. Było to dziełem Kazimierza Wielkiego, którego panowaniem, obfitem w skutki, kończymy ten pogląd.

Jeżeli jeden z pierwszych Piastów rzucił podwaliny gmachu państwowego Polski, to ostatni z tego rodu wystawił mu trwałe mury. Za cenę utraty ziem polskich okupił on pokój na zachodzie, a natomiast zwrócił się na wschód, gdzie rozpoczął ową chlubną pracę cywilizacyjną, która zjednała Polsce imię krzewicielki oświaty. Zachowało się przysłowie, sięgające odległych czasów, że po ojcu, Władysławie Łokietku — który pierwszy połączył rozbitą na dzielnice i księstwa ojczyznę — otrzymał Polskę drewnianą a zostawił ją murowaną. W tych murowanych miastach bogaciło się mieszczaństwo, kwitły handel i rękodzieła, a bujnie rozsadzająca się na wsi szlachta parła na Ruś, którą kolonizowała razem z ludem, wymykającym się w dal z jarzma domowej niewoli. Zasługi Kazimierza na polu prawodawstwa i szkolnictwa przedstawimy na następnych kartach. Tu rzućmy tylko okiem na działalność jego w kierunku podniesienia ludu miejskiego i wiejskiego, a pójdziemy tu za myślą Szujskiego, złożoną w charakterystyce Kazimierza Wielkiego.

Stworzenie mieszczaństwa polskiego, to jedna z wielkich myśli Kazimierza Wielkiego. Nie wprowadza on go do prawodawstwa sejmowego, nie miesza między szlachtę, jak to czyniono później, ale wielekroć dopuszcza do rady swojej i z niem o niem stanowi, chce go mieć ważną częścią podstawy władzy królewskiej, źródłem dochodów, żywiołem, równoważącym stan szlachecki, którego niebezpieczne dążenie do zdobycia wyłącznego w kraju stanowiska odgadł i powstrzymać usiłował już w owym czasie.

Ale mimo wielu poszczególnych pojawów znamienitej w czasach Kazimierzowskich roli miast polskich, mimo słynnej uczty Wierzynka, nie dochodzi przecież mieszczaństwo do należytej u nas pełni dojrzałości. Wszelka waga życia historycznego skupia się w zbrojnym rycerskim stanie, a ten pod względem oświaty stał bardzo nisko.

W wieku XIV., w tym wieku srogich wojen, schyzmy kościelnej, rozruchów miejskich, okropnych morów, powszechnej swawoli i rozpusty, oświata i nauki stały w ogóle niżej, niż w wieku przeszłym. W Polsce do owych ogólnych przyczyn upadku przyczyniły się jeszcze szczególne, ściśle miejscowe, a jednym z tych były niczem nieukojone skutki owej strasznej burzy tatarskiej, co przeciągnąwszy trzema płomiennymi szlakami spustoszenia, zburzyła szkoły, spaliła księgozbiory i całe ziemie wyludniła. Trzeba było zatem przedewszystkiem zaludniać opustoszałe okolice, odbudowywać sioła i miasta, a dzieła tego dopełnił wielki król.



101. Grobowiec Kazimierza Wielkiego.

Ręce robocze są najcenniejszym skarbem, szanował je też zacny król gospodarz. Dobrze było włościaninowi w królewszczyznach, pożądanym on był i miłym królowi, jako kolonista, pomoc jego była konieczną przy budowach, ściągających mnogi zastęp rzemieślników i wyrobników. Późniejsi królowie zerwali z tradycyą rodzimą, bo nie byli krwią z krwi, kością z kości tego ludu, ale ostatni Piast, ostatni potomek tej dynastyi, co z ludu wyszła, schodził jeszcze między murarzy, sukienników, słuchał chętnie rady rajców i głosu kmieci. A za to, że trzymał się rodzimej tradycyi, tradycya ta zachowała o nim wdzięczną pamięć.

Nowe stosunki ekonomiczne pociągnęły za sobą potrzebę kredytu. Bystry umysł Kazimierza zrozumiał, jaką usługę w tej mierze mogli mu oddać żydzi, którzy byli gotowi pieniądzmi okupić dla siebie tolerancyę w społeczeństwie chrześcijańskiem, a pomagało im w tej mierze prawo kanoniczne, wzbraniające chrześcijanom pożyczać na procent. Wskutek gotowego grosza obiegowego, stali się oni niezbędnymi. Dowodzi tego między innemi wzmianka w statucie uniwersytetu krakowskiego,

który wyznacza umyślnie żyda wekslarza, obowiązanego pożyczać pieniądze studentom za bliżej określonym procentem.

Słabą stronę wielkiego króla, stanowią jego stosunki rodzinne. Kazimierz Wielki nie zostawił potomka, w inne ręce oddał następstwo po sobie, z powodów, które wiążą się z rozpustnem życiem króla. Szujski przedstawia go niewiernym mężem Anny Aldony, namiętnym kochankiem pięknej Małgorzaty bawarskiej, najgorszym mężem Adelajdy heskiej, żyjącym w nielegalnych stosunkach z kobietami różnego stanu i wyznania, bigamicznie wreszcie ożenionym z Jadwigą Żegańską. Wielki ten organizator państwa nie umiał zorganizować szczęśliwie rodziny, a okoliczność ta natury prywatnej, zaważyła na szali dziejów i oświaty w Polsce.

Mimo usilnych i wielostronnych usiłowań Kazimierza, mimo fundacyi akademii, nie rozwinęły się nauki w Polsce, nie zabłysły w niej promienie oświaty. Nie odrazu pierzchają ciemności, nie odrazu zasłynęła Polska głośnemi imionami. I nie dziw, wszak nawet w najoświeceńszych krajach Europy, nawet tam, gdzie żyli Dante, Petrarca i Boccaccio, panowało trudne do uwierzenia nieuctwo, wszak jeszcze w roku 1429 sobór duchowieństwa francuskiego w Paryżu zalecał, aby tylko takim duchownym poruczano obowiązki kościelne, którzy epistoły i ewanielie płynnie czytać umieją, a w roku 1335 kanonicy zurychscy, w liście do swego biskupa w Konstancyi, przepraszają, że niektórzy podpisują się znakiem krzyża św., «ponieważ nie wszyscy pisać umiemy». A nawet ów współczesny Jadwidze, papież Bonifacy IX., według pobłażliwej wzmianki swego czasu, «umiał zapewne czytać, ale pisać nie umiał». Gdy zaś obudziła się w kim żądza wiedzy i ambicya naukowa, to szedł do Francyi lub Włoch i najczęściej nie wracał już do kraju, gdzie trudno było dalsze prowadzić studya, bez środków nauki, bez towarzystwa ludzi uczonych, bez ksiąg prawie. To też — jak zauważył Szajnocha — nauki leżały ugorem i marniały zdolniejsze umysły. Czasem wynikły stąd i gorsze następstwa, bo najzdolniejsi ludzie, nie widząc w około siebie pobudek do pracy umysłowej, a żądni wrażeń, chwytali się zajęć i rozrywek światowych i brnęli w rozpustę. Gdy zaś duchownemu dostojnikowi przyszło okazać za granicą powagę swego kraju, wtedy dobywał trzosa i sprawiał ucztę, ku uświetnieniu imienia Korony polskiej...

Śmierć Kazimierza Wielkiego jest faktem dziejowym wielkiej doniosłości. Z nim kończy się dynastya rodzimego pochodzenia, a zaczyna się panowanie obcych królów, Jagiellonów. — Zrywa się łączność i jednolitość między królem a narodem, między polityką zewnętrzną a potrzebami kraju. Przez unię Korony z Litwą i Rusią otwierają się nowe, szersze widnokręgi. Polska wkracza na odmienne tory rozwoju.





ROZDZIAŁ CZWARTY.

KOŚCIOŁY I KLASZTORY.

Kościół wszędzie wyciska piętno swego wpływu na kulturze narodu i jego stosunkach społecznych. U nas zatacza koła daleko szersze, ogarnia bowiem — w większym lub mniejszym stopniu — teoryę i praktykę, sztukę i wiedzę, prawo i poezyę. Pod berłem kościoła znajdują się nietylko wzajemne ludów chrześcijańskich stosunki, rzesze państw i narodowości, małżeństwo i rodzina, dusze grzeszne i rozpaczą zamglone. Pod jego opiekuńcze skrzydła tuli się również sztuka i literatura. W wiekach średnich cała cywilizacya ludzkości, cały jej rozwój i postęp płyną ze źródła religii, w której znalazła wyraz odwieczny idea rzymsko-chrześcijańska. Daremnie rzucają jej rękawicę ludy pogańskie. Mieszko I., pierwszy książe chrześcijański, a bardziej jeszcze Bolesław I., jak najgorliwiej krzewią w swoim kraju światło nowej wiary. Wszyscy Piastowie, nie wyłączając Kazimierza Wielkiego, szczerze i gorąco służyli chrześcijaństwu, z którem płynęła do Polski rzeka dobrodziejstw duchowych, rzeźwiąc dokoła zdrowszą atmosferę. Ginęły bóstwa, świadectwa ciemnoty i barbarzyństwa, ustępując miejsca ideom ludzkości i światła. Od przyjęcia nowej wiary zaliczona została Polska w wielki, powszechny związek narodów europejskich. Z rozszerzeniem chrześcijaństwa, coraz większe zastępy plemion słowiańskich dotąd poza rodziną ucywilizowanych narodów stojące, powoływane zostają do uczestnictwa w sprawach oświaty. Na ruinach państwa rzymskiego budzi się do życia nowy feniks, powstają młode, barbarzyńskie dotąd ludy, wyznawcy nowego rzeczy porządku. Przypadła im w udziale misya założycieli państw nowych i podjęcie idei uniwersalnej, która dyademem była w koronie Karola Wielkiego, święci odrodzenie w wielkim Korsykaninie, a waży się do dziś na karbach historyi. Razem z chrześcijaństwem otrzymała Polska prawo obywatelstwa na zachodzie, uzyskała udział w powszechnych sprawach Europy i stała się orędownikiem nowych idei.

Niejako twierdza na linii granicznej, dzielącej zachód od wschodu, oddała niepowszednie usługi chrześcijaństwu, to stacząjąc wojny krzyżowe z sąsiadami, trwającymi w pogaństwie, to wysyłając apostołów i siewców nowej wiary. Literatura nasza w epoce Piastów wiąże się ściśle z dziejami kościoła polskiego. Urodziła się bowiem i wykołysała pod skrzydłami kościoła. Uprawiana wyłącznie przez duchowieństwo, kwitnęła głównie w kapitułach i klasztorach.

Ale stanąwszy w obrębie koła europejskiej kultury, poczęły tracić swą świeżość, a nawet zupełnie więdnąć, i usychać rodzime wyobrażenia, zawarte w pieśniach i przysłowiach, w gadkach i podaniach. Nowe wierzenia puszczały pęki i wybujały



102. Katedra gnieźnieńska (z miniatury kancyonału gnieźnieńskiego z 1374 roku).

pod słońcem religii chrześcijańskiej. To zaś co zalatywało bałwochwalstwem, powoli traciło znaczenie i wartość. Prawne pojęcia, któremi posługiwano się przed Mieszkiem w prostem życiu ludu rolnego upadały, a na ich miejsce szczepiono kanony, przeniesione z zachodu, i do warunków miejscowych mało zastosowane. Wogóle cały świat wierzeń, wyobrażeń i pojęć rodzinnych bladł, usuwał się w głąb i powoli zamierał, kiedy rozbłysła jutrzenka wiary i nowego życia. Ten sam los spotkał i język polski, który z początku ani w modlitwie, ani w praktykach kościelnych nie był w użyciu. Religia chrześcijańska, z swoją zasadą miłości bliźniego, rzucała snopy światła w ciemne umysły, podnosząc serca, łagodząc dzikie instynkty, pielęgnując pokorę w tych, którzy najwyższą pokładali ufność w sile ramienia. Nie były jeszcze

minęły czasy przemocy i barbarzyństwa, uciskanych była liczba ogromna. Apostołowie i kapłani nowej wiary byli prawdziwą tarczą przeciwko prawu przemocy. Pod skrzydła klasztoru i wierzących uciekali słabi i ciemiężeni, szukając pomocy i obrony. Pierwszy zastęp misyonarzy wzorem osobistym zachęcał do cnót chrześcijańskich, dowodząc naocznie ich wyższości nad pogaństwem. Bez wrzawy i zamieszania, bez przymusu wnikali w serca tubylców, z łagodnością przemawiając i ucząc, sypały się z rąk ich ziarna nowej wiary. A cierpliwi siewcy nie szczędzili zachodu i trudów, żeby żniwo było bogate i nie późne.

Z wcieloną w sercu żądzą poświęceń biegli w dalekie kraje, gardząc niebezpieczeństwy, nieśli światło nowej oświaty i wyobrażeń, z wysoko wzniesionym sztandarem wiary Chrystusowej. W puszczach zakładali klasztory, suszyli trzęsawiska, wycinali lasy. Całe okolice zamieniały się, dzięki ich niestrudzonej a mozolnej pracy, w ziemię uprawną, świecącą złotem falownego zboża. Stali się apostołowie prawdziwymi nauczycielami pogrążonego w ciemnocie i przesądach narodu. Od nich bowiem przejmował on i wyniesienie się samego siebie dla celów wyższych i wytrwałość w pracy i pilność i porządek, co miało wpływ nietylko na materyalne podniesienie bytu, ale także na rozwój etyczny i umysłowy. Kiedy w kraju szalała wojna lub plądrował zastęp dzikich najeźdzców, klasztory zamieniały się w twierdze, gdzie można było znaleść żywność i obronę. Tutaj w czasie pokoju chronili się ludzie cisi, dusze znużone lub czujące niechęć do życia śród zgiełku i nieukróconych namiętności. Znalazły tu przytulisko szczątki nauk przechowanych przez starożytność, tliła się w nich iskierka, która później rozgorzała jak łuna i oświeciła Polskę nowem światłem, a teraz prysnęła deszczem złotych iskier, budząc uspionych do życia W kapitułach i opactwach widzieć było można i mszały i brewiarze i mortyrologie i graduały z nutami. Znaleść mogłeś również roczniki i kroniki, foliały prawa kanonicznego i pisma starożytnych przez zakonników z zachodu przywiezione lub przepisane, a nawet kodeksy ozdobione pięknemi miniaturami. Wszystko to stanowiło dobytek kościoła, było jego ozdobą i potrzebą. Jakkolwiek niewiele wpłynąć mogły na podniesienie poziomu pojęć całego narodu, były przecież jedynem świadectwem kultury. Zakonnicy, idący z misyą chrześcijańską w oddalone zakątki krajów barbarzyńskich, utrzymywali związek z oświeconymi narodami Europy. W tym względzie szczególniejszą zasługę oddał język łaciński i prawo kanoniczne, a religia miłości wpływała łagodząco na charakter i obyczaje mas, dopiero co wydartych mrokom bałwochwalstwa.

Wieki średnie, powszechnie jako czasy okrucieństwa i ciemnoty uważane, nie były bez blasków i zasług na ołtarzu cywilizacyi położonych, a w każdym razie nie należy kłaść wszystkiego, co źle o nich świadczy i o pierwotnej surowości całego narodu, na karb duchownych i zakonników. Raczej należy się im wdzięczność, że za ogólnym prądem nie szli, ani obojętnie nań patrzali, ale owszem zgodnem poświęceniem dźwigają naród z ciemności, zbliżając go do światła wiary Chrystusowej i szczepiąc zdobycze kultury europejskiej. Taką była działalność kościoła pedagogiczna, (zwłaszcza kaznodziejska i katechetyczna) kapłańska, (szczególniej w konfesyonale) i pasterska (klątwy, interdykta i t. p.)

Krwawa zemsta poczęła się chylić do upadku i w głąb usuwać, ustępując miejsca pokorze i duchowi chrześcijańskiemu, który przysięgał obronę uciśnionym i bezinteresowną pracę w kierunku idealnych zadań społeczeństwa. Również topniało pod ożywczym wpływem kościoła prawo pięści i podboju. W zgiełku walk bratobójczych jaśniała postać Ukrzyżowanego, rozniecając ogniska spółczucia i miło-



OKŁADKA EWANGELIARZA Z DRUGIEJ POŁOWY 11. WIEKU.

Z muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie.

sierdzia. Kościół przekształcał, uszlachetniał i cywilizował narody. Działalność, jaką roztoczył, zakreśliła szerokie koła i pod swoje berło zagarnęła wszystkie niemal dziedziny twórczości ludzkiego ducha. Zdumiewające pomniki budownictwa, rozwój sztuki, muzyki i literatury, duch zapału i poświęcenia, ciągnące zastępy rycerzy na walkę z pogaństwem, na śmierć w apostolskiej misyi, oto świetne owoce tej pracy, podjętej z zaparciem i pogardą niebezpieczeństw. Nie można atoli twierdzić, że kościół nie rzucił za sobą i cieni. Język łaciński do kościoła wcielony, usuwał na plan ostatni mowę ojczystą. Nie małe szkody wyrządziło duchowieństwo, żądając w zamian za głoszone nauki, ciężkiej obowiązkowej robocizny. Wprawdzie światło kultury europejskiej z wprowadzeniem chrześcijaństwa znalazło u nas swój przybytek, trudno jednak twierdzić, że się ono szerokiem przedzierało korytem przez mroki, zalegające naszą ziemię. Panowie, a zwłaszcza lud nie wiele korzystał z nowych wyobrażeń, które w swej szacie łacińskiej nie były dla nich nawet zrozumiałe i przystępne. Wykładano zresztą w szkołach jedynie rzeczy, bez których działalność kapłańska nie mogła się obyć. Prócz śpiewu łacińskiego i czytania po łacinie niczego prawie nie uczono.



103. Pieczęć arcybiskupa Jana z 1153 roku, (z fotografii złożonej w muzeum ks. Lubomirskich we Lwowie).

Postęp naszej oświaty posuwa się powoli drogą utartą już na zachodzie. Chrześcijaństwo, ognisko i źródło ówczesnej cywilizacyi, rozpoczęło się od dworu i drużyny książęcej; dały mu więc początek wyższe sfery społeczeństwa. Księża językiem polskim słabo władali; do wykładu nauk trzeba było tłumaczy, których liczba nie była wielką. To też mgły i wyziewy epoki dochrześcijańskiej nie ustąpiły od razu. Długo jeszcze zachowały się dawne obyczaje i dawna surowość. Grzebano po pogańsku, śluby małżeńskie w kościele należały do wypadków rzadkich, często nawet mordowano księży i zakonników. W jaskrawych barwach stan ów społeczeństwa polskiego maluje list Grzegorza VII., wystosowany do Bolesława Śmiałego, w roku 1075. «Biskupi Twojej ziemi, czytamy w tem piśmie, nie mający stałej siedziby, włóczą się wedle woli swojej, od reguł i postanowień ojców świętych zupełnie wolni. Mało ich jest, a potrzeby ich tak rozległe, że rady dać nie mogą wielkiej liczbie ludności». Wprawdzie nabożeństwo odbywa się z przepychem, ołtarze świecą złotem i srebrem. Przedmioty te jednak stanowią własność kościoła. Uposażenie biskupów, pełniących godności nadwornych kapelanów księcia, jest osobiste. Obszerne dobra, nadane łaską panującego, zostają w rękach duchownych tylko dożywotnie. Po śmierci przychodzą napowrót na własność skarbu książęcego. Duchowieństwo, jak to widać z listu Paschalisa II., do Marcina, arcybiskupa gnieźnieńskiego w roku 1102, nie stało w ścisłym związku z Rzymem, tem większa atoli zależność wiązała je z władzą książęcą. Papież wyraża swoje niezadowolenie z wypadku wyklęcia biskupa przez metropolitę bez zawiadomienia o tem kuryi, tudzież z przenoszenia biskupów ze stolicy do stolicy, bez wyraźnego na to zezwolenia Rzymu, jedynie za

wolą księcia. Kościół zaiste nie cieszył się wówczas stanowiskiem niezależnem, podlegał w wielu sprawach i władzy i wpływowi panującego, jak tego dowodzi przykład św. Stanisława, a również powiastka z XII. wieku opowiadająca dzieje łakomego księdza, który nie będąc w stanie udźwignąć ciężaru darów ks. Bolesława, pochylił się i upadł. Duchowieństwo zawsze więcej obcowało z dworem książęcym i stanami wyższymi, niż z szarą masą ludu wieśniaczego. I przeto oświata szerzyła się jedynie w tych kołach; w niższe piętra gmachu społecznego światło kultury przedzierało się słabo nader wątłymi promieniami. Dopiero w epoce Bolesławów powstały fundacye najstarszych klasztorów i kapituł, pierwszy inwentarz oświaty przy ich bibliotekach. Sprawa szerzenia religii chrześcijańskiej przedstawia się nader niepochlebnie w wiekach XI. i XII., jeżeli weźmiemy pod uwagę synodalne postanowienia z następnego stulecia o potrzebie księży znających mowę ojczystą, o szerzeniu wśród ludu pierwszych zasad składu apostolskiego, o nakłanianie do chrześcijańskich małżeństw i pogrzebów.

Porównywając poziom naszego kraju a zachodu, dochodzi J. Szujski do wniosku że musiała w tym względzie ogromna zachodzić różnica. Od końca XI. wieku nad całym zachodem świeciła łuna zapału i natchnień wojen krzyżowych. W konflikcie między władzami duchowną a świecką ostatnia wracała z pola walki w pokorze i z świadomością poniesionej klęski. Tem była Kanossa, nieczem innem scena odegrana na placu św. Marka w Wenecyi. Reforma kościelna zdąża ogromnymi krokami po drodze rozwojowej. Duchowieństwo zakonne zagarnia pod swe berło i świeckie. Reguły klasztorne stają się coraz bardziej surowe i ascetyczne. Nawet stan świecki, w uznaniu nad sobą władzy duchownej, pochyla czoło przed powstającą potęgą i zaciąga się do nieustającej służby Bożej; rycerze wdziewają pancerz zakonnych ślubów, przysięgają gotowość wojenną i duchową. Od św. Anzelma z Kanterbury począwszy (od roku 1033—1109), teologia i filozofia rozszerza się coraz bujniej i pnie ku górze po przez «zboczenie» w Piotrze Abelardzie (od 1034—1142), potrząsa konarami o sklepienia wspaniałej mistyki w Bernardzie klarawaleńskim (1091—1153), Hugonie i Ryszardzie de S. Victor (1141—1173). Głębia, czystość i górny, orli polot owych intuicyjnych myślicieli, zapala świat chrześcijański do walki z pogańskim, «trabizmem» i materyalizującym wpływem krajów wschodnich. Oczywiście ta potężna mistyka przemawiała jedynie do umysłów wybranych ale nie brak pisarzów, którzy odpowiadali wymaganiom szkoły i pragnieniom wiedzy.

Piotr z Poitiers, kanclerz uniwersytetu paryskiego, ustępuje miejsca Piotrowi Lombard, który w swoich «Libri sententiarum» zamyka wielki całokształt teologii — cała średniowieczna scholastyka zajmuje się rozbiorem tego dzieła. Ramy filozoficznego systemu otrzymuje chrześcijaństwo w dziele Allanza Lille'go pod tytułem: De arte sive de articularis fidei catolicae ad Clementem III. Wreszcie dzięki Janowi de Salisbury († 1180), przyjacielowi Tomasza Becketa, ponury gmach szkolny zawrzał ruchem i życiem. Nie mogło stać się inaczej, uczony ten bowiem posiadał umysł praktyczny, bystry, obejmujący szerokie widnokręgi. Odświeżył wrażenia starożytności, rozwinął krytykę dyalektyki spółczesnej, podniósł godność filozoficznej spekulacyi, rzucił garście orzeczeń o ustroju państwa ojczystego wobec prawa Bożego. Ruch ten olbrzymi słabo tylko odzywał się w Polsce; dochodziły tu zaledwie jego odgłosy. Nie objawił się u nas potężnie kościół w zaraniu swego powstania. Wątła roślinka, na grunt niewdzięczny zaszczepiona, potrzebowała ciągłej opieki monarszej, ścinana chłodem pogaństwa, które z głębin duchowych ludności nie zupełnie zostało wykorzenione, ale owszem częste dawało oznaki życia, stawiając groźnie czoło nowej

kiełkującej dopiero potędze. Wprawdzie sprowadził Chrobry do Polski zakon Benedyktynów, ale nie byli to owi braciszkowie, skrzętni i niestrudzeni siewcy prawd bożych, którzy we Włoszech, Anglii i Francyi tak świetnie przysłużyli się kulturą ziemi i dusz ludzkich. Ci, którzy zamieszkali w Polsce, pochodzili już z czasów upadku zakonu. Bardziej miał on na oku uprawę własnych grzechów i życie w wygodach, aniżeli doskonalenie ludu. To też skąpo rozsiewał światło nauk Chrystusowych. A nie należy zapominać, że wiele jeszcze czasu upłynie, zanim staną otworem bramy klasztorów dla krajowców. I lubo było już kilku biskupów za Bolesława, jakże niedużą musiała być ich działalność, kiedy nietylko w kronikach nie ma wzmianek o ich czynach kapłańskich, ale napróżno ich szukać w rocznikach katedralnych, gdzie okrom nazwisk i garści ogólników, nic zgoła o nich znaleść nie można. Wątłą łodzią misyi apostolskich sterował Wojciech, Brunon, Otto; żadnego w niej nie było Polaka.

Stan ten nie odmienił się i później na lepszy. Pierwszy blady promień poczucia swojej siły u władzy kościelnej wobec świeckiej, zgasł na długie czasy ze śmiercią biskupa Stanisława, i bardzo wolnym krokiem postępowała emancypacya duchowieństwa z pod zależności panującego. Związek ze Rzymem i zachodem jakżeby nie był wcale istniał. Oto kiedy Konrad III. ogłosił wyprawę krzyżową do ziemi świętej, odezwał się tylko wygnany król Władysław II. i luźny książe Henryk Sandomierski. Za Bolesława Krzywoustego postać rzeczy odmienia się wprawdzie. Potężnie rośnie prąd fundacyjny klasztorów i kościołów. Duchowieństwo od XII. stulecia otrzymuje coraz wybitniejsze stanowisko polityczne. Atoli porósłszy w włość duchową w poczuciu zdobytych praw i przywilejów, poniekąd nawet potężne duchowieństwo, ile że władzę świecką nadwątliło, nie bardzo się zrazu przykładało do reform i oświaty. Nieliczne zabytki piśmiennictwa z tego czasu nie zostawiły śladów nowego ducha, którym św. Anzelm porywał, zapisaliśmy tylko akt podziwu dla czynów raczej niż pism św. Bernarda. Natomiast w kronice Kadłubka wyraźnie tu i ówdzie przyświecają piętna prawa rzymskiego i owa niemowlęca uczoność XI. wieku, wegetująca w fizyologach, w wymysłach historycznych o Aleksandrze Wielkim i innych podobnego rodzaju opowieściach średniowiecznych. Dopiero zakony żebrzące zostawiły światłe ślady swej działalności na niwie oświaty i krzewienia prawd Chrystusowych. Dominikanie — canes Domini, jak się sami nazywali — z falą płomieni w sercu, idący odważnie na walkę z pogaństwem, w każdym calu woli stolicy apostolskiej ulegli, wytworzyli potężną szkołę filozoficzną, której mistrzem był św. Tomasz z Akwinu (1274). Obok nich z odmiennemi pobudkami wyrastał inny zakon (fratrum minorum), któremu dał początek ów drugi oblubieniec nędzy, natchniony Franciszek z Asyżu. Kościół stał już wtedy na wyniosłej wyżynie. Zwycięstwo odniesione nad pogaństwem, potęga i zamożność materyalna — wszystko to obfitowało w pokusy władzy, ambicyi, zbytku, użycia. Aspiracye duchowe uginały się też pod brzemieniem prawa kanonicznego. Tej groźnej, z życia świeckiego idącej nawalnicy, postawiła czoło mistyka średniowieczna, szedł na odsiecz mężny zakon braci żebrzących. Powstawały dokoła klasztory, wymagające ślubu ubóstwa, czynienia z siebie ofiary na ołtarzu miłosierdzia lub ascezy. Świat ujrzał widnokręgi dotąd nieznane, wchodziły nowe natchnienia. I zakon franciszkański ujął swe prawdy w systemat filozoficzny, wszakże w pewnem przeciwieństwie do dominikańskiego Tomizmu; była to scholastyka Duns Szkota, mistycyzm serafickiego doktora św. Bonawentury. Szczególnie klasztory dominikańskie bardzo się u nas szybko rozkrzewiły. Wzrost ich może iść o lepsze z szybkością rozwoju zakonu jezuickiego w XVI. stuleciu.

Łącznie z klasztorami misyjnymi na Rusi, posiadali Dominikanie u schyłku XIII. wieku do 33 domów, liczba zaś franciszkańskich nie przenosi 23. Wogole wiek XIII. w Polsce, był okresem pielęgnowania i rozkwitu ducha religijnego. W tem stuleciu przybyło do kraju naszego około 50 legatów papieskich, odprawiono niemniej jak 30 synodów. To samo już może zaświadczyć, jak żywe były między Polską a Rzymem stosunki, z jaką gorliwością oddawano się regule kościoła. Z synodów jedne zwoływali i prowadzili legaci apostolscy, inne były gromadzone pod egidą krajowych arcybiskupów. Pierwsze, których inicyatywa prawodawcza w lwiej części szła z ramienia kuryi, zajmowały się sprawami ogólnych zasad zachowania się duchowieństwa, drugie biorą za podstawę stosunki kościelne i dążą do ich naprawy. Obu rodzajom przyświeca tendencya obronna, wysuwa się groźne stanowisko kościoła wobec samowoli władzy świeckiej. Owo ubieganie się za celami przekraczającymi ramy pierwotnych zadań kościoła, działa ujemnie na życie umysłowe. Duchowieństwo bardzo powoli zrasta się z społeczeństwem. Wogóle czasy organizacyi kościoła polskiego nie bardzo były przychylne rozkwitowi nauki i oświaty, spoczywających głównie w rękach duchowieństwa. Większość księży nie znała wprost języka polskiego. A kiedy później kościoły i klasztory zaroiły się od krajowców, sprawa nie wzięła obrotu lepszego. Nauka bowiem zamknięta w ciasnem kole pojęć średniowiecznych, nie mogła się swobodnie rozwijać. Owszem, wywarła raczej wpływ szkodliwy, bo nie oświecając, paczyła nadto pojęcia naturalne, do których dochodzi każdy umysł drogą samoistnego myślenia. Z teologii wylęgł się duch scholastyki. Długo ta zmora ciężyła na umysłach ludzkości, nękając najlepsze siły, tłumiąc swobodny rozwój, stawiając nieprzebyte zapory władzy umysłowej. Język ojczysty był w zupełnej poniewierce. Należało do nieprzyzwoitości używanie polskiej mowy; wszędzie królowała łacina. Nie należy się przeto dziwić, iż przeciąg czasu od XI. do XIV. wieku nie zdobył się na żadne dzieło polskie, mamy tylko same przekłady, kazania, modlitwy i wogóle rzeczy, będące w związku z kościołem. Uczono więc i wykładano w języku łacińskim, a w dodatku była to łacina średniowieczna, bardzo od mowy dawnych Rzymian odmienna. I zaiste, trudno teraz niejednemu dzielnemu klasykowi zrozumieć ówczesną gwarę łacińską, podobnie jak spółcześni uczeni nie pojmowali języka Cyceronów.

W natłoku przenośni i obrazów ginęła pierwotna mowa, prosta i niewymuszona. Scholastycy nie mieli uczucia dla piękności natury, nie potrafili przemawiać naturalnie i do serca. Więcej do dzieci podobni, bardziej się w rzeczach dziwnych i osobliwych lubowali, niż w prawdziwych. Zmysł krytyczny wogóle był śród nich nadzwyczaj mało rozwinięty, opowieściom w księgach wyczytanym dawali zupełną wiarę, nie licząc się ani z czasem, ani z osobą autora. Logiką posługiwano się w sporach i wywodach, snutych w myśli bez treści. Od dróg prostych stroniono, gościniec prawdy naturalnej nie cieszył się uznaniem. Nauczyciele bynajmniej nie dążyli do nauczania młodzieży, ich celem było zadziwiać zręczną i misterną dyalektyką, «zadawać podstępne pytania», lub «przy pomocy rogatego syllogizmu zapierać w kąt przeciwnika». Nauki obfitowały w wyrażenia techniczne, zazwyczaj słowa, bez wewnętrznej treści, najczęściej osłony niewiadomości i nieuctwa.

Rzucał jednak kościół prócz tych cieni i jasne smugi światła. Przypatrzmy się bliżej warunkom, dzięki którym rozszerzyło się chrześcijaństwo w Polsce. Cesarstwo zachodnie, korzystając z praw przelanych przez stolicę apostolską, postępowało zwolna, ale statecznie, do zwierzchnictwa świeckiego i duchownego nad Słowianami. Niemcy

posuwali się nieustannie przez knieje i niezamieszkałe pustkowia ku wschodowi, aż wreszcie z zastępem odważnych rycerzy dotarli do granic Polski. Zasiadający wówczas na polskiej stolicy książe, nie poszedł za przykładem nadelbiańskich swych pobratymców. Rozumiał, że podniesienie rękawicy równało się pewnej zagubie, albowiem w ten sposób skazanym byłby na nierówną walkę, w której Niemcy, jako naród oświeceńszy i lepiej w rzemiośle wojennem wprawny, byliby niewątpliwie odnieśli zwycięstwo. Przyjęcie chrześcijaństwa uważał Mieszko za krok rozumnie polityczny, tembardziej, że bożki pogańskie nie były już w takiej czci, jak ongi, że wogóle barbarzyństwo chyliło się do upadku. Za pośredników w chrzcie świętym nie wybrał jednak wrogów. Pięknie kreśli Małecki warunki, śród których odbyło się przejście Mieszka na łono kościoła powszechnego: «Czech i władza cesarska, jako rodzice chrzestni, trzymali go do chrztu, a Rzym był owym kapłanem, który nad nim sakramentu dopełnił». Słońce nowej wiary rzuciło promienie na ziemię już od dawna tu i ówdzie płonkami chrześcijaństwa świecącą. Byłoby rzeczą wprost nieprawdopodobną, żeby Polska tak bardzo na zachód wysunięta, nie ulegała już poprzednio wpływom panującej w Europie religii. Unosiły się w atmosferze zarodki chrześcijańskiej wiary i tylko trzeba było jakiegoś stężenia powietrza, żeby na grunt upadły i zapłodniły obszary puste, dzikie, chwastem pogaństwa obrosłe. W porównaniu z Słowianami nad Łaby, którzy cierpliwie znosić musieli ucisk niemiecki, znajdowali się Polacy w położeniu względnie pomyślnem.

Przyjęcie chrześcijaństwa było dla Polski prawdziwą jutrznią na drodze bytu politycznego, źródłem, z którego później szeroką rzeką płynęła w morze europejskiego życia. Naród polski, niejako usynowiony przez kościół rzymsko-katolicki, podaje odtąd dłoń bratnią narodom zachodnim. Myśli, co się przesunęły nad światem średniowiecznym, stają się jego własnością. Wstępuje w szeregi rycerzy, walczących w imię wolności i oświaty, a nie z musu, nie z bojaźni przed potężnym nieprzyjacielem, ale z własnych pobudek i woli. Zachód poczyna kierować uwagę na Polskę, albowiem odtąd staje się jego współzawodniczką w zadaniach kultury i oświaty. Dzieje świata udzielają jej miejsca na swych pergaminach. Z początku kronikę wypadków, odbywających się w Polsce, zapisuje rzesza historyków obcych, potem cudzoziemcy w kraju przybywający, a w końcu sami Polacy. Kościół, w swej polityce od kolei życiem wyżłobionych zależny, sam ułatwiał narodom barbarzyńskim rzucenie starej, a przyjęcie nowej religii. Urwiska i knieje, od wieków krwią niewinnych ofiar broczone, błyszczą kościołami z wyższem przeznaczeniem. Dni prastarych uroczystości, bałwanom poświęcone, stają się świętami chrześcijańskiemi, uroczyska zamieniono w twierdze, gdzie osadzano załogi chrześcijan, gotowych do walki z upadającem pogaństwem, do ofiary na ołtarzu kultury i światła. Sławny list papieża Grzegorza Wielkiego daje szermierzom wiary świadectwo mądrości i umiarkowania kościoła. Nie tępieniem, nie groźbą oręża i postrachem pożogi, zaleca szerzenie chrześcijaństwa. Owszem nakazuje liczyć się z warunkami miejscowymi, łagodnie nawracać dusze bałwochwalców, nowe idee szczepić na pniu starych tradycyj i zwyczajów. Pismo to, po dziś dzień budzące podziw ogólny, było niejako manifestem dla apostołów i pasterzy chrześcijańskich. «Niepodobna jest — czytamy w owym liście — pozbawiać ich wszystkiego, do czego przywykli. Nie w podskokach i nie odrazu staje się na szczycie góry, spinać się należy stopniowo, krok za krokiem». Surowość zalecona tu jedynie dla pozostałości pogańskich, będących w jaskrawem przeciwieństwie z podstawami wiary Jezusowej.

Jakiemi ścieżkami, którym gościńcem przybyło do nas chrześcijaństwo? Na falach Mołdawy i Łaby płynęli Czesi ku Niemcom, z prądem Dniepru zawijali Rusini w zatoki Grecyi i Bizancyum. Nasi ojcowie żyli w innych warunkach. Wody Wisły, odbijane od brzegów Bałtyku słabo zaludnionych, przynosiły z powrotem pierwiastki potrójnej kultury — germańskiej z zachodu, z południa romańskiej, a ze wschodu bizantyńskiej. W ten sposób, wpływ każdej z osobna tracił ze swej siły. Żaden nie posiadał tak doniosłej nad innemi przewagi, żeby tamte odeprzeć i działać wyłącznie. Miała Polska wielką moc odporną i poczucie niezależności. W stosunku do oświeconych narodów przysłużyły się te władze narodowi polskiemu w wysokim stopniu, ale z drugiej strony powstrzymywały od ulegania ogólnemu prądowi, którym porwani byliby się dawno swej wyłączności wyzbyli i stanęli obok narodów europejskich. Czesi wypełnili kilka kart historyi przed Borzywojem. Ruś budziła postrach na zachodzie, w czasie poprzedzającym panowanie Włodzimierza, jedynie Polska wysunęła się na teren życia dziejowego dopiero po przyjęciu chrześcijaństwa. W krajach powyższych obudziło się wcześnie życie polityczne i poczęło kiełkować w brzasku kultury. U nas przeciwnie, słońce religii wzbiło się już wysoko, kiedy Polska poczuła się powołaną do życia politycznego. Trzeba było stoczyć walkę nietylko z nieprzyjacielem zewnętrznym, ale jeszcze z dość licznym zastępem wroga wewnętrznego. Wszystko, cokolwiek związanem było z życiem społecznem, nie stężało jeszcze w formy stałe. Wszędzie widzimy zmiany, wahania, to wzrost to upadek. Ani granice państwa, ani znaczenie władzy świeckiej i duchownej, ani ich wzajemny do siebie stosunek, nic nie pokryło się błoną twardszą. Organizacya kościoła na zachodzie wybujała w ogromną potęgę, u nas zaledwie kiełkuje, łatwo ulegając wpływom zewnętrznym; a widok piętnastu biskupów, koronujących Bolesława Śmiałego, uważać można za dowód trwającego wówczas nieładu.

Naród przebywał chwilę wyjątkową; była to nieokreślona a gorączkowa formacya, która pochłania wszystkie siły wewnętrzne. Z tej mgły, unoszącej się nad przepaścią twórczego chaosu, jedynie tu i ówdzie wynurza się kilka świetlanych punktów. Naród, zajęty głównie obroną swoich sadyb i ich rozszerzeniem, nie garnie pod swe skrzydła cichych natchnień, upodobań kontemplacyjnych, dążności twórczych. Idzie mu przedewszystkiem o uszykowanie żołnierza, któryby granic młodego państwa bronił przeciwko hordom najeźdźców; na jego barkach, cięży zadanie karczunku puszcz nieskończonych, osuszanie bagnisk i uprawa roli. W tym szczęku oręża i tartaku robót publicznych nie stało miejsca na przybytki życia kulturalnego, które i wielkich wymagają nakładów i nie obiecują szybkiego żniwa. Ten na pół barbarzyński przepych, którym się otoczył waleczny do zuchwałości książe Bolesław Chrobry, składał się z łupów wojennych i drogocennych kruszców. Zestawićby je należało z potęgą materyalną jakiegoś bohatera Iliady lub Eddy. Wszakże prąd z nich płynący na podniesienie oświaty, na postęp sztuki, był bardzo nieduży, jeżeli nie żaden.

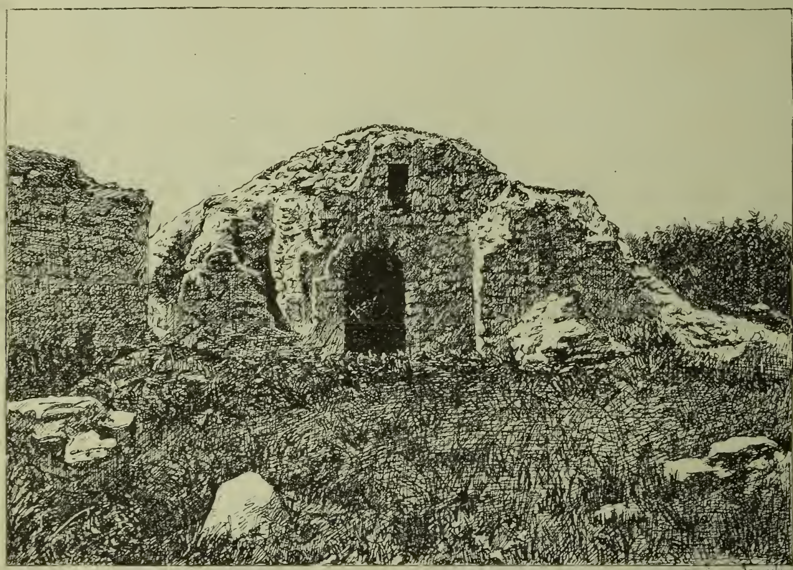
Kilka kłosów literatury, wyrastających z tej niwy ciągle krwią broczonej i zasypywanej popiołem tlejących zgliszcz, zawdzięczamy jedynie kościołowi. Nie żelazem, nie gwałtownymi środkami wzrosło u nas wprowadzone chrześcijaństwo. Łagodnie, na drodze pokojowej szerzyła się nowa wiara. Napróżno szukałbyś wypadku krwawego w połączeniu z wiarą chrześcijańską, wspomnienia o męczeńskiej w apostolstwie śmierci w sercu samej Polski. Jak natomiast inaczej przedstawiają się dzieje krzewienia chrześcijaństwa na zachodzie. Misyonarze szerzyli u nas swą działalność pod osłoną opieki książęcej, a ludność powoli oswajała się z nowemi pojęciami. Dzieje

przekazały nam wiadomości o tych pobratymczych krajach, gdzie zastęp kapłanów torował sobie drogę z orężem w ręku. Zaciekle przeciw nowym prądom bronili się Pomorzanie. «Nie chcemy z wami mieć nic wspólnego — odparli z dumą apostołom chrześcijaństwa — nie odstąpimy od naszych ojczystych obyczajów. Między chrześcijanami są i złodzieje i zbójcy, wykłuwają sobie oczy, ucinają nogi i wszelki rodzaj niegodziwości popełnia chrześcijanin na chrześcijaninie. Taka wiara niechaj będzie od nas daleka». Nie ulega wątpliwości, że przed przyjęciem chrześcijaństwa złączyły się bratnie plemiona polskie w jeden polityczny związek, którego ogniwa w dobie chrześcijańskiej odkrywa wzrok dziejopisarza. Nowa wiara nie tylko nie przeszkadzała zespoleniu, owszem była znakomitym cementem, który połączył na długie wieki rozszczepione plemiona, oddając nad niemi władzę panującemu księciu. Względy polityczne, jakoteż położenie kraju nie małą odegrało rolę, wpływając na wybór pośrednika, wrogi żywioł niemiecki był przytem najmniej czynny. Był to jeden z dalszych przyczyn — jak to wykazał dr. Abraham — i nie jedyny. Do połowy X. stulecia pas ziemi, dzielący Polskę od Niemiec był zamieszkały przez barbarzyńskie, w bałwochwalstwie zostające ludy. Droga więc do dzielnic polskich była najeżona groźnemi niebezpieczeństwami. Powinni się byli zresztą przekonać misyonarze niemieccy, że zatknięcie krzyża na zgliszczach grodziszcz nie odnosi pożądanego skutku, jak to miało miejsce na ziemiach obmywanych falami Łaby. W oczach plemion słowiańskich, Niemiec, jawiący się z orężem w ręku, był znienawidzonym wrogiem, czy występował jako nieprzyjaciel, czy też w roli apostoła. Działalność misyonarska tam tylko mogła liczyć na posiew skuteczny, gdzie opór był prawie wykluczony. Byli w zupełnej zgodzie z tą zasadą cesarze z dynastyi saskiej, zaprowadzając organizacyę kościelną jedynie w krajach zupełnie podbitych. Awangardę stanowiły zawsze zastępy wojska, dopiero później przybywali misyonarze. Zresztą chrześcijaństwo z za Odry przedzierało się na drogi handlowe dzięki jeńcom, wyznającym tę religię. Silniejszy prąd idei chrześcijańskich powiał też z państwa Wielkomorawskiego, któremu sterował Świętopełk.

Pierwszy pączek nowej wiary na ziemi naszej, wybłysnął na widowni historycznej w chrzcie księcia Wiślicy. Legenda św. Metodego opowiada o tym wypadku w sposób następujący: «Pogański książe, bardzo potężny, siedząc w Wiślech, urągał chrześcijanom i zbytki im czynił. Rzekł więc do niego przez posły św. Metody: Dobrzeby było synu, abyś się dał ochrzcić dobrowolnie na swojej ziemi, bo inaczej jako jeniec będziesz ujęty i zniewolony przyjąć chrzest na cudzej ziemi i wspomnisz moje słowo». Tak się też stało.

Nie zaginęły też świadectwa, zdające się potwierdzać prawdziwość tradycyi św. Metodego i Cyryla, skoro dawne brewiarze prowincyi gnieźnieńskiej mieszczą modlitwy do tych apostołów. Ale jaskrawiej wystawiają rzeczywistość powyższej opowieści mnogie kościoły pod wezwaniem św. Klemensa. Imię to św. Cyryl i Metody otaczali czcią wyjątkową i mieli niektóre po nim relikwie przywieźć do Polski. Nie należy także pominąć ożenienia Mieszka z Dąbrówką, świadczącego wyraźnie o dawnych stosunkach Polski z chrześcijańskimi Czechami. Pierwsi atoli misyonarze, przybywający do Polski, nie pochodzą z Czech, gdzie wtedy zbywało jeszcze na wykształconym klerze. Rekrutowali się przeważnie z Niemców. Źródła polskie, sięgające w ściśle historyczną przeszłość, otwierają na oścież bramę i granice Polski dla wpływów chrześcijańskich z Czech z chwilą, kiedy stanęła na kobiercu ślubnym para książęca. Język polski przejął cały szereg wyrazów kościoła dotyczących z czeszczyzny,

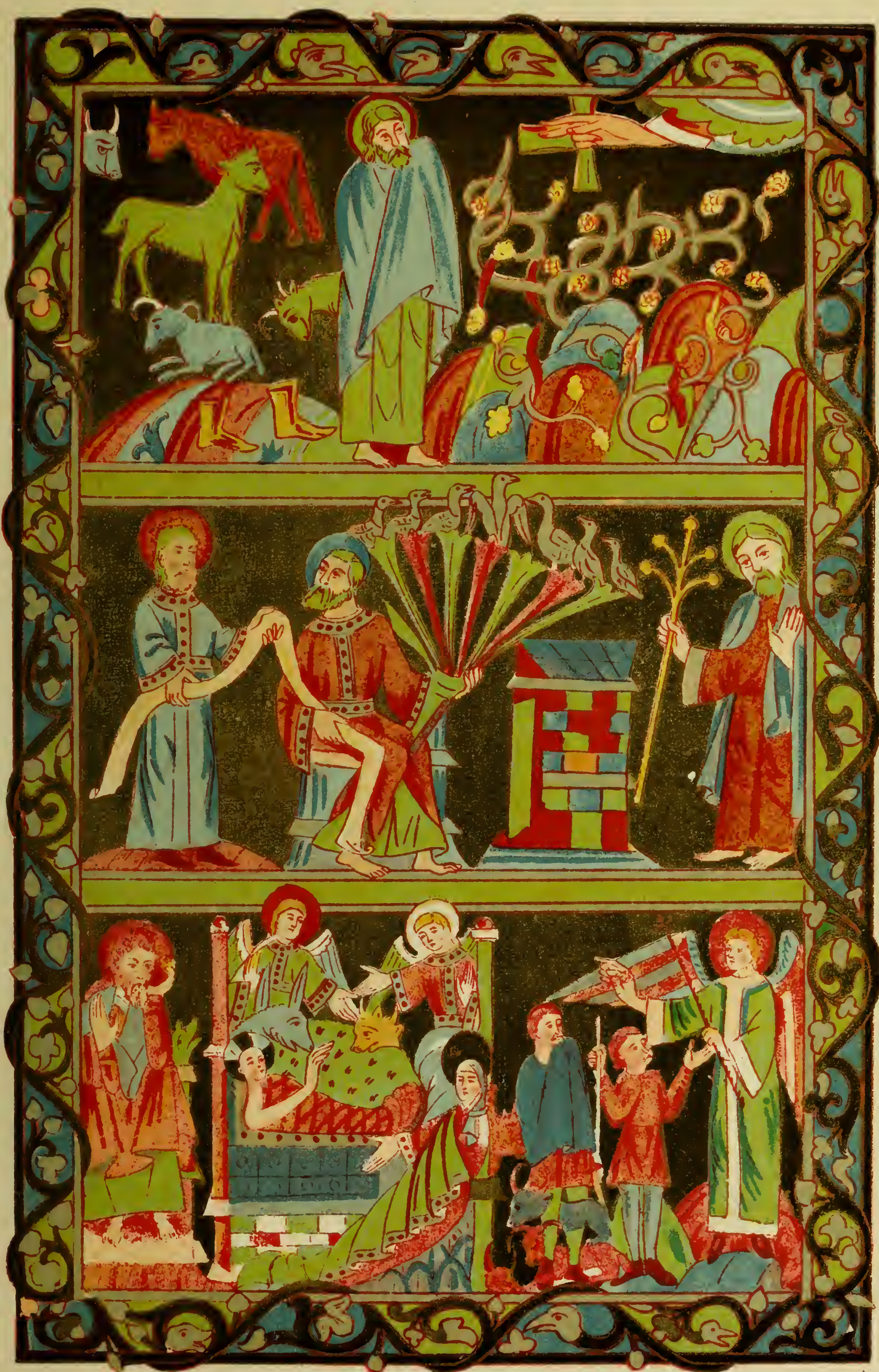
jak naprzykład: kościół, papież, msza, kazanie, spowiedź, post, wielkanoc. Działalność tej gromadki cichych, nie goniących za rozgłosem apostołów, zamknięta była w ramach nader szczupłych, dopóki nie było w Polsce biskupa, wyposażonego pełnią apostolskiej godności. Nie było władzy, któraby mogła zakładać i poświęcać kościoły, a pracy misyonarzy zbywało na ogólnych podstawach i kierownictwie. Posiew nowej wiary odbywał się pod opieką ramienia książęcego. Mieszko, będąc w częstych z dworem niemieckim stosunkach i odczuwając potrzebę stolicy biskupiej w kraju, udał się do Ottona I. w tej sprawie, który później wyznaczył na tę godność Jordana. Rozpoczął ów dzieło nawracania od szczytów. Ochrzcił najpierw Mieszka, jego drużynę najbardziej wierze i sprawom jej przyjaznym. Przyjęcie sakramentu odbyło się w tych sferach spokojnie, bez przymusu. Kiedy jednak trzeba było zejść w warstwy niższe, mocno jeszcze stojące przy dawnych obyczajach i przesądach, zmieniła się



104. Ruiny najstarszego kościoła na ostrowie jeziora w Lednicy, w Poznańskiem.

postać rzeczy. Spotkał się tu był biskup z opozycyą, która sprawę przyjęcia chrześcijaństwa wikłała. Słusznie jednak domyśla się dr. Abraham, że z chwilą, kiedy Mieszko zgodził się na porzucenie wiary pogańskiej, miało już chrześcijaństwo między ludem polskim grunt przysposobiony. Jest rzeczą niemal pewną, że książe nie odważyłby się na przyjęcie chrztu, gdyby nie mógł liczyć na poparcie, choć średnie, śród ludu. W przeciwnym bowiem razie byłby się naraził na zupełne odosobnienie, zgromadziłby dokoła siebie zastęp niezadowolonych, byłby wytworzył sobie i państwu wewnętrznego wroga.

Dzieje nie zostawiły nam wskazówki, z której wolnoby było wnosić, gdzie został zbudowany pierwszy kościół. Można jednak przypuścić, na mocy analogii podobnych wypadków u innych plemion słowiańskich, że zajął miejsce na gruzach jakiej świątnicy pogańskiej. Kościółek św. Wita w Kruświcy, stolicy kujawskiej, jeden z najdawniejszych u nas przybytków wiary chrześcijańskiej, otrzymał nazwę



EWANGELIARZ Z DRUGIEJ POŁOWY 11. WIEKU.

Podobizna miniatury, z muzeum ks. Czartoryskich.

miejscowej wsi Dziewy. Łączy się z tą miejscowością pewien element mitologii słowiańskiej. Przypuszczają, że w osadzie tej była pierwotnie świątynia pogańska, a po jej wzburzeniu wzniosła się na tem samem miejscu kaplica św. Wita. Między Elbą a Odrą, na Pomorzu, posiadali Słowianie liczne i zamożne świątynie, rozporządzające mnogością dóbr i skarbów. Napróżno jednak szukalibyśmy w kronikach śladów o istnieniu świątyni pogańskiej w Polsce. Jest poprostu rzeczą nieprawdopodobną, aby Polacy żywili religię czystego kultu natury, żeby zadawalniali się jedynie prostem odczuwaniem bóstwa w lasach i uroczyskach, bez potrzeby krystalizowania pojęć o bogach w kształty widoczne, i budowania dla nich przybytków. Na ostrowie jeziora w Lednicy (w Poznańskiem) znaleziono posążek boga pogańskiego, tudzież obszerny fundament starodawnej świątyni z czasów panowania Mieszka. Czy z czasem owa świątynia nie ustąpiła miejsca nowemu, chrześcijańskiemu kościołowi u nas?

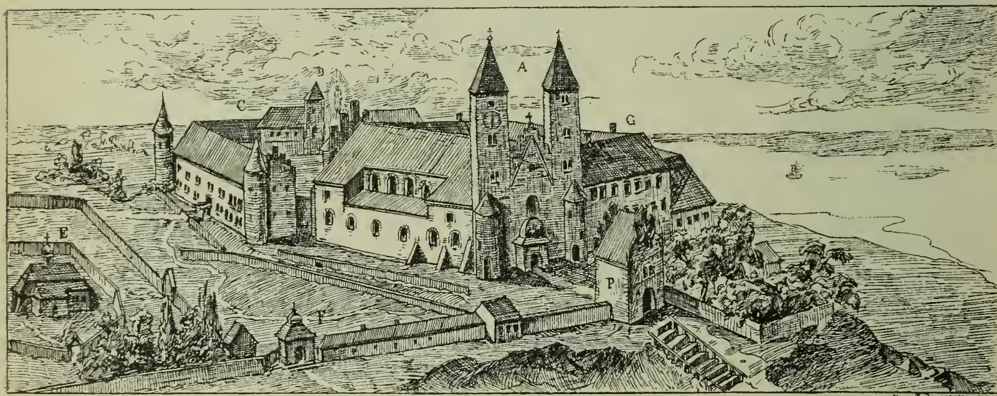
Po śmierci Mieszka syn jego Bolesław Chrobry rozwijał dalej rozpoczęte dzieło ojca. Trzeba było słabo kiełkującą religię od wpływów szkodliwych ochraniać, coraz większe gromadzić w koło niej zastępy, w przekonaniach i wierzeniach lud utwierdzać. Nadto przypadła Chrobremu w udziele inna jeszcze misya. Sprawę chrześcijaństwa u nas dzierzył w swojem ręku kler zachodni, wtedy już zepsuty, i zmateryalizowany. Trzeba było wpływ ten odpierać i wiązać się ściśle z Rzymem i cesarstwem. Św. Wojciech miał być w tym względzie dla księcia niewyczerpanem źródłem zachęty.

W swojem miejscu omówimy działalność, jaką apostoł ten rozwinął w Gnieźnie, gdzie duża liczba Polaków przyjęła chrzest z jego namowy i nauki. Historycy przypuszczają nawet, że na mocy układu, jaki stanął między św. Wojciechem a następcą Jordana, biskupem poznańskim, pierwszemu powierzoną została wschodnia część dzielnic polskich ze stolicą w Gnieźnie, skąd otwierała się droga dla szerokiej pracy apostolskiej, drugi zaś, wziął pod swoją opiekę część zachodnią. Około tego czasu, budzi się w Polsce potrzeba silniejszej organizacyi kościoła. Ażeby rozwinąć działalność w tym kierunku, trzeba było zezwolenia kuryi papieskiej i cesarza. Zwrócono się więc do marzyciela na tronie, Ottona III., który żywił cześć najwyższą dla św. Wojciecha i był z nim w pokrewieństwie i wyjednano zezwolenie na tytuł katedry metropolitalnej dla bazyliki ze szczątkami św. Wojciecha.

Trudniejsza sprawa była z uzyskaniem niezależności dla kościelnego terytoryum. Episkopat niemiecki, w osobie arcybiskupa magdeburskiego, któremu więcej szło o pomnożenie dochodów, niż o szerzenie chrześcijaństwa, uważał kościół w Polsce za sobie podwładny. Innej atoli myśli była stolica apostolska. Owszem, staraniom dworu polskiego przyklasnęła, zezwalając mimo oporu arcybiskupstwa, na założenie metropolii gnieźnieńskiej, bezpośrednio z Rzymem związanej. Uważała ją bowiem za nowe ognisko, które wysyłać będzie promienie wiary daleko na wschód i północ. Uświęca ten nowy stan rzeczy zjazd gnieźnieński w roku 1000, stanowiący pierwszą kartę w historyi nowego kościoła, to co było przedtem, zasługuje nieledwie na nazwę wstępu. Tutaj postanowione było usamoistnienie kościoła polskiego, zorganizowanie gnieźnieńskiego arcybiskupstwa z osadzeniem na tej godności Gaudentego, brata św. Wojciecha i podział prowincyi polskiej na pięć dyecezyi. Misyonarze chrześcijańscy, którym zawdzięczamy rozszerzenie nowej wiary, wyznawali ją podług obrządku rzymskiego. To też obrządek ten zaprowadzony został u nas zaraz w zaraniu chrześcijaństwa. Były jednak praktyki i modlitwy z wyraźnem piętnem odrębności. Jeszcze w roku 1323, Jan XXII., zezwala Nankierowi, biskupowi wrocławskiemu, w godzinach

kanonicznych stosować się do kościoła krakowskiego. A chrzest św. bywał udzielany przez zanurzenie, nie przez polanie.

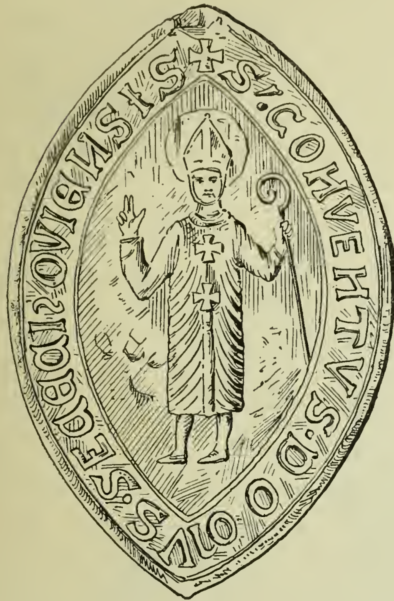
Ogniskiem kultury i życia umysłowego były w wiekach średnich u nas i za granicą klasztory i kapituły. Wyjątkowo tylko oddawali się naukom ludzie świeccy. A nawet większość duchowieństwa świeckiego poza szkołą miała na widoku cele praktyczne. Jedynie klasztory były prawdziwym przybytkiem sztuk i nauk. One zastępowały drukarnie, biblioteki, księgarnie i naukowe gabinety. Były to prawdziwe dźwignie i twierdze oświaty. Kopiowanie cennych dzieł i dokumentów należało w wiekach średnich do zakonników, którzy tym sposobem bogacili klasztorne biblioteki, a często składali w darze dobrodziejom swoim. Tą drogą dochowały się owe misternie zdobione folianty w komnatach książąt i możnych panów, stąd zaś wędrowały dalej z misyą szerzenia światła i kultury. Ta cicha, skromna, «benedyktyńska praca» zapoznała nas z wieloma płodami starożytnych, bez niej doszłoby do nas niewiele pomników. W celach klasztornych powstała niemal połowa zabytków



105. Kościół klasztorny w Czerwieńsku, nad Wisłą, z XIII. wieku.

piśmiennictwa średniowiecznego naiwnie, a często bez odpowiednich uzdolnień pisanych, tem nie mniej przedstawiających prawdziwą studnię wiadomości historycznych. Skrzętnej opiece władzy zakonnej zawdzięczać winniśmy, że się do dni naszych zachowały. Na wzburzonych falach wypadków dziejowych niesione znalazły tam, jak w arce, bezpieczny przybytek. Doniosłość zakonów była uznawaną powszechnie. Szczodrymi darami obsypywane przez królów, książąt, biskupów, panów, a nawet groszem wdowim ludu pracującego, szybko się rozwijały i bogaciły. Ale obfitując w bogactwa, wpływy, szerokie przywileje i prawa, poczęły gnuśnieć i zasypiać na zdobytych laurach. Oczywiście, zakony w tym stanie, jak je dziś oglądamy, przestarzałe, niedołężne, wegetujące tylko, wydają się z małym wyjątkiem niepotrzebnymi. Nie należy jednak na podstawie spółczesnego ducha sądzić o przeszłości. W zaraniu bowiem, kiedy jeszcze żyła pamięć ich założycieli, były to prawdziwe dźwignie życia umysłowego i wyższej kultury, obozy, mieszczące zastępy żołnierzy ducha, idących w nieprzebyte głębie warstw narodowych, z pochodnią oświaty, aby karcić dzikie instynkty, łagodzić butność i surowość. Miały nadto wielkie znaczenie w życiu ekonomicznem. Dzięki zakonom nieprzejrzane puszcz dziewiczych obszary

złociły się zbożem, pobudowały wsie i osady, wznosiły budowle obronne przeciwko sile nieprzyjacielskiej, wreszcie rozwijały się warsztaty rękodzielnicze. Zgromadzenia pod wezwaniem św. Benedykta, licznie na zachodzie i południu rozkrzewione, zrazu pełne godnego zapału i świętych natchnień, zniewieściały później, puszczając w niepamięć zasady i ducha, który je na początek ożywił. Porzuciły pracę ręczną, skoro im wszystkiego dostarczali wieśniacy, zamieszkujący ich dziedziczne dobra. Szkoły zdawały się mącić ciszę klasztorną, a również przestano cenić zajmowanie się niepopłatnem piśmiennictwem.



106. Najstarsza pieczęć polska klasztoru Benedyktynów.

Opaci, jako bliscy monarchom, towarzyszyli im w podróżach, byli wtajemniczeni w prawa polityczne. Inaczej podwładne im mnichy. Tu panowała oziębłość i ospałość. Nie troszczono się o nic więcej, krom spożywania dostatków. Taką fazę przebywał zakon Benedyktynów na początku XI. wieku, kiedy wysyłał braciszków do Polski. Ale nie należy zapomnieć, że Benedyktyni do nas przybywający musieli odbijać od szarego tła zakonników. Inaczej nie byliby porzucili owych siedzib wygodnych, nie byliby się puszczali w niebezpieczną drogę do dzikiego kraju, najeżonego niebezpieczeństwy. Toż św. Bruno zginął śmiercią męczeńską za sprawę chrześcijaństwa. Opat zaś Tuni (tyniecki), poufały Bolesława Chrobrego, «mnich odzieżą, lecz lis zdradliwy i dlatego ulubieniec księcia», jak go określa Dytmar, często był jako poseł wysyłany przez Chrobrego, co świadczy bezwarunkowo, że odznaczał się inteligencyą. Pierwszy klasztor Benedyktynów stanął w Międzyrzeczu lub Trzemesznie, na miejscu męczeńskiej śmierci pięciu braci zakonnych. Burza dziejowa, która przeleciała nad naszym krajem po śmierci Mieszka II, powaliła wszystkie klasztory i całą działalność kościoła. Żaden snać dom boży nie ocalał z tej powszechnej zawieruchy. Wprawdzie później, w wieku XII, kiedy już się była ustaliła organizacya kościoła w Polsce piastowskiej, powstaje spora liczba klasztorów benedyktyńskich, wpływ jednak przez nie wywierany na ogół był bardzo nieduży. Nie można wszakże zaprzeczyć, że pierwszymi siewcami nietylko kultury, ale i oświaty, byli u nas Benedyktyni. Młodzież ówczesna odbierała wykształcenie w ich murach



107. Pieczęć klasztoru w Trzemesznie z wizerunkiem św. Wojciecha.

klasztornych. Dzięki Benedyktynom, posiadamy jeden z najbardziej w przeszłość sięgających pomników piśmiennictwa, rocznik świętokrzyski. Ale w ogóle jednak, w XII. wieku, klasztory benedyktyńskie chylą się do upadku. Żali się papież Grzegorz IX., że nawet Kluniacy, ongi kwiat zakonników, którzy rozciągnęli swe osady od morza do morza, upadli haniebnie, a domy, te prawdziwe przybytki ascetycznego życia, pracy, bożych natchnień, opustoszały zupełnie. Dopiero ze wstąpieniem na stolicę papieską Benedykta XII., rozpoczyna się reorganizacya czarnych mnichów. Zespolono wszystkie leniwo wegetujące klasztory, ustanowiono prowincyę gnieźnieńską, do której należeli odtąd Benedyktyni całej Polski. Klasztory ich w XIV. wieku istniejące, znajdowały się: w Tyńcu, Łysej Górze i Sieciechowie w Małopolsce, w Mogilnie i Lubieńcu w Wielkopolsce, oraz w Płocku na Mazowszu. Na Łysej Górze osiedli z początku Czesi, później wychodźcy węgierscy. W Sieciechowie zamieszkali zakonnicy od św. Idziego z Prowancyi. Lubiń gościł z początku Benedyktynów niemieckich, a Płock rzymskich. Ta różnorodność klasztorów utrudniała sprawę zało-



108. Kościół świętokrzyski OO. Benedyktynów na Łysej górze.

żenia prowincyi. Klasztor tyniecki, który już w 1125 roku, dzięki zabiegom w stolicy apostolskiej czynionym, wyjednał sobie zupełną prawie od biskupa niezależność, po założeniu prowincyi gnieźnieńskiej zyskał naczelne stanowisko, będące jeszcze za Długosza w powszechnem uszanowaniu.

Po Benedyktach idą Cystersi. Jan, później arcybiskup gnieźnieński, sprowadził zakon ten do Polski i założył, wraz z bratem swoim Klemensem, klasztor w Brzeźnicy. Ponieważ pierwsi zakonnicy przybyli z Burgundyi, nazwano klasztor Marymondem polskim, następnie użyczyło mu nazwy pobliskie miasto Jędrzejów. Cicha ta ustroń wsławiła się pobytem W. Kadłubka. Od tego czasu zaczyna się krzewić wpływ Cystersów. Zakon ten, nie tyle przysłużył się piśmiennictwu, ile raczej wpłynął na podniesienie warunków ekonomicznych. Zagospodarowanie obszarów, do klasztoru należących, tudzież ściąganie mnogiej liczby kolonistów — oto co należy do zakresu jego działalności. Nigdzie nie spotykano tak postępowo prowadzonego gospodarstwa, jak w dobrach Cystersów i Benedyktynów. Zgromadzenia

klasztorne, znajdujące się w Tyńcu i Mogile, miały ogromne obszary znakomicie uprawionej roli. Rozporządzając wielkimi zapasami pieniędzy, byli w możności ciągłego zwiększania swych gospodarstw, czemu w końcu kres położyło rozporządzenie rządu rzeczypospolitej z obawy, aby z biegiem czasu nie znalazła się w ich rękach — cała ziemia. Cystersi w obecnych stosunkach, z tą organizacyą i zasadami, jakie żywili wówczas, byliby wprost nie do zniesienia. Wyrzekanie się stosunków z kołami poza obrębem klasztoru, niedopuszczanie krajowców, asce-

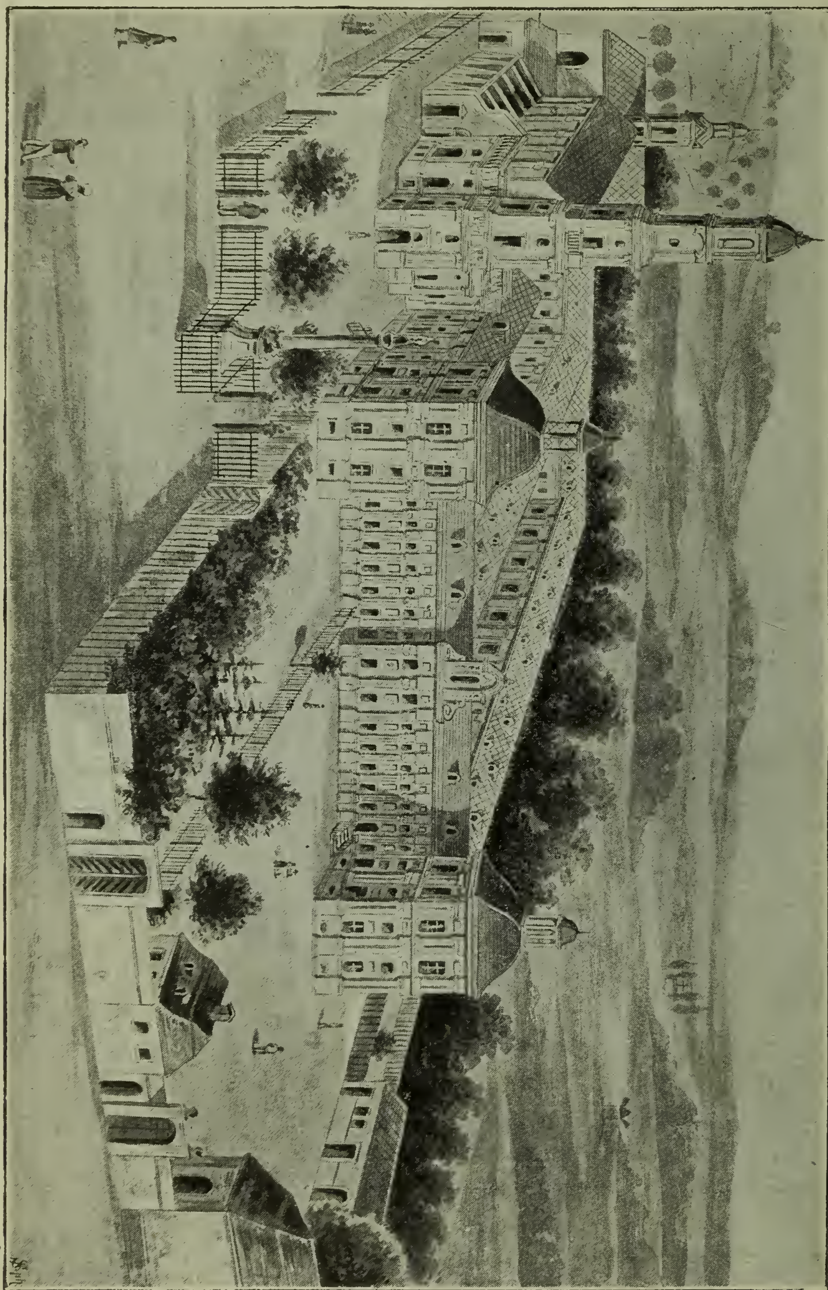


109. Klasztor OO. Benedyktynów w Tyńcu pod Krakowem.

tyzm, pustelniczość, dążenie do ideału wewnętrznej doskonałości z wyparciem się służby dla kraju, w którym przebywali, wszystko to nawet ze względu na warunki owych czasów, nie wszystkim wydaje się godne krzewienia i poparcia. Z drugiej jednak strony, trudno nie przyznać im moralnego na społeczność wpływu. Cele, które na plan pierwszy wysuwali Cystersi, zdążając do urzeczywistnienia w życiu, stały bezsprzecznie po nad poziomem ogółu. Były to niejako gwiazdy, rzucające światła promienie na szarą codzienność naszego średniowiecznego życia.

O obcem pochodzeniu tych klasztorów możemy sądzić z tak zwanej filiacyi. Jeżeli klasztor wysyłał zakonników do objęcia nowego klasztoru, nabierał w stosunku

do niego prawa ojcowstwa. W ten sposób wszystkie klasztory Cystersów stanowiły pewnego rodzaju rodzinę z macierzą swą na czele. Stąd pochodzą tak zwane generacye.



110. Klasztor Cystersów w Trzebnicy.

Opactwo naprzykład w Mogile, założone przez zakonników w Lubiążu, na Śląsku, zostaje z nim w stosunkach bezpośredniego pokrewieństwa; ten zaś ostatni należy w tym

samym stopniu do opactwa Porty, które z kolei pochodzi od Marymondu, a ów w końcu zależnym jest od głowy zakonu w Citeaux. Mogiła więc stanowi siódmą generacyę z linii Marymondu, klasztor jędrzejowski należy do trzeciej z tejże linii i t. p. Filiacya ta świadczy nietylko o pokrewieństwie i pochodzeniu klasztoru, ale także o narodowości naszych zakonów Cysterskich, jak widzimy obcej. Długo jeszcze siedzą Niemcy w Lędzie, a Francuzi w Jędrzejowie, chociaż na synodach wychodzą przeciwne rozporządzenia. A nawet nie zmienia stanu rzeczy nakaz za czasów Zygmunta Starego wydany, żądający przyjęcia Polaków do zgromadzenia. Odrębność ta była źródłem poważnych szkód, wyrządzonych naszym ojcom, zwłaszcza na Śląsku, w Prusiech i na Pomorzu. W ten bowiem sposób zagnieździła się w zanadrzu Polski instytucya germanizacyjna, bo zakonnicy ci pochodzili głównie z Niemiec. A krzywdę tę odczuwano tem dotkliwiej w krajach powyższych, ile że wpływy germańskie dawno je omywały. Nadto ciągły, dzięki im zabiegom, napływ kolonistów, dla których wypraszali u władzy wyjątkowe prawa i przywileje, nie zawsze był korzystnym dla krajowców. Niemcy stanowili przeważny, jeżeli nie jedyny składnik wielu klasztorów Cysterskich w Wielkopolsce. Niektóre z nich (jak naprzykład paradyski, bledzewski, lędzki, byszowski), wytworzyły prawdziwą szkołę niemczyzny. Obszary ziemi, jakie się raz w ręce ich dostały, nigdy już w inne nie przeszły. Zresztą w ślady klasztorów wstępowali książęta śląscy, którzy garnęli do siebie gromady obcych przybyszów, a Konrad mazowiecki posuwa się tak daleko, że sprowadza sławny zakon Krzyżaków, który tyle szkód wyrządził narodowi polskiemu. Ten prąd niemiecki, płynący środkiem kraju szerokiem łożyskiem, rozlewał się coraz dalej, co słusznie przejmowało trwogą duchowieństwo polskie. Jakób Świnka, arcybiskup gnieźnieński, usiłuje postawić tamę tym zgubnym falom niemieckiego napływu, wydając w roku 1285 ustawę synodalną. Nie sądząc zaś, aby w ten sposób groźne niebezpieczeństwo usunięte być mogło, udaje się z prośbą błagalną przed stopnie papieskiego tronu o pomoc w nieszczęściu. Klasztory Cystersów i Benedyktynów, z powodów wyżej zaznaczonych, a głównie przez brak znajomości języka i obyczajów ziemi, w której gościli, mało wpłynęły na podniesienie literatury i oświaty śród ludu. Myliłby się jednak, ktoby sądził, że Polacy nic im zawdzięczać nie mają. Owszem, zakony te potężnie naprzód posuwały społeczeństwo polskie, podnosząc kulturę, ucząc licznych rękodzieł, rozwijając sztuki. Natomiast właściwe dusz pasterstwo było od nich dalekie. To też ludność zostająca bez opieki moralnej zdziczała w obyczajach. Środek ratunku zdawał się koniecznym. Znaleziono go też wkrótce, sprowadzając w XIII. stuleciu zakon, który się jedynie pracom apostolskim oddawał. Postępowaniem swoim zjednał sobie wkrótce szerokie koła miłośników i zwolenników, nietylk(z warstwy wyższej, ale i z pracującego ludu.
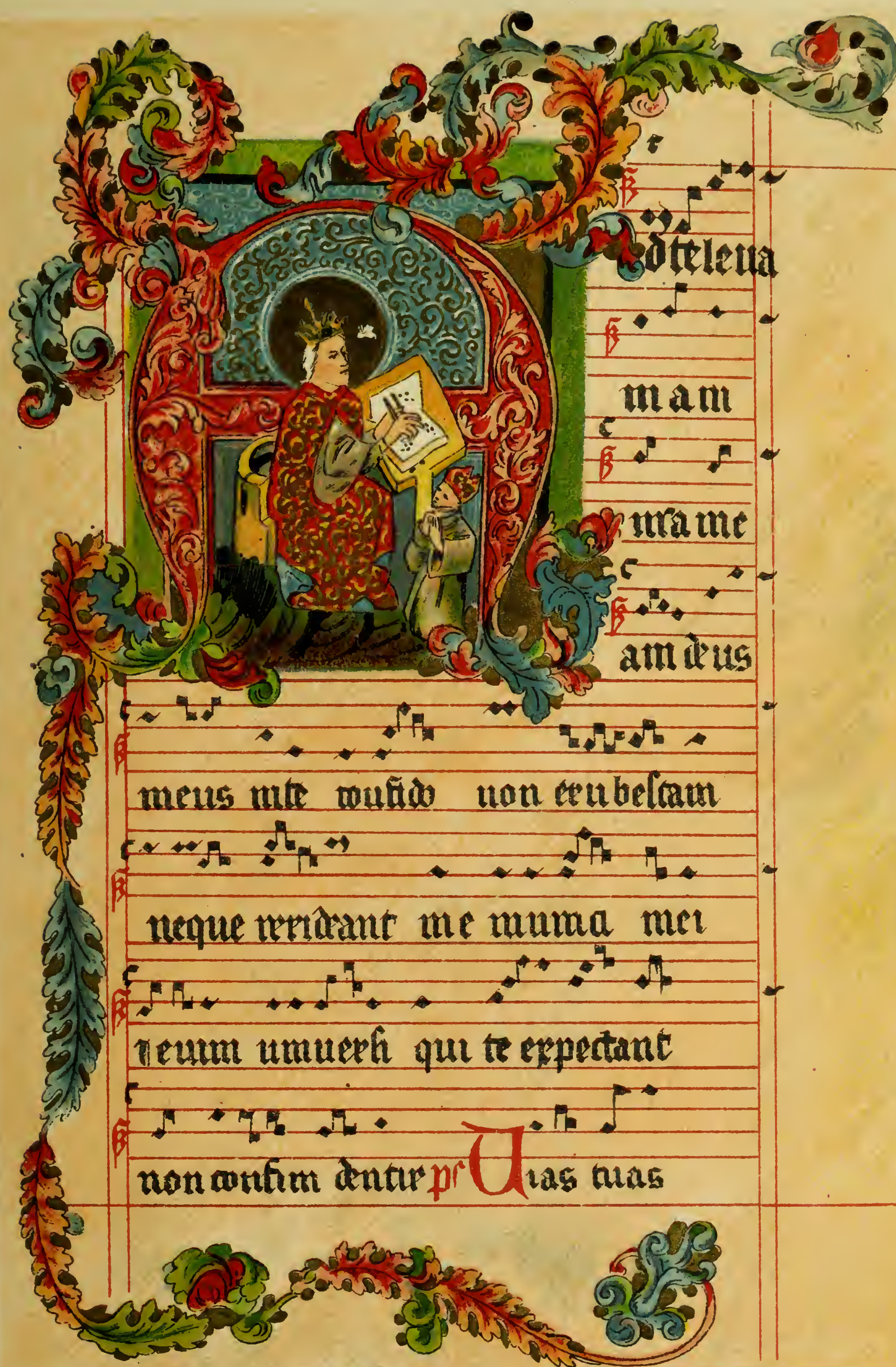
Byli to Dominikanie, zakonnicy noszący nazwę . swego założyciela św. Dominika, a sprowadzeni do Polski staraniem biskupa krakowskiepo Iwona Odrowąża w roku 1222. Nie ascetyzm, nie kaptur mnisi, ani samotny w murach klasztoru żywot przyświecał ich życiu, pracy, natchnieniom. Apostołowie w każdym calu, gotowi byli na święte wędrówki w głąb kraju, z pochodnią światła i wiary. Prałatowi klasztornemu wolno było uwolnić zakonnika z obowiązujących reguł, gdyby te krępowały go w działalności misyjnej lub w pracy około dusz ludzkich. To też powoływano tak pożyteczne klasztory do wszystkich stolic i na wszystkie dwory. Wiele dobrego zdziałały, oświecając, łagodząc obyczaje, dzikie instynkty korząc i krępując, o czem świadczą dzieje i wędrówki znakomitego braciszka św. Jacka. A pewnie i inni, lubo

w mniejszym stopniu szli za śladem mistrza. Po raz pierwszy w kraju widziano krajowców, tłumnie pukających do bram klasztorów.

Na równi z Dominikanami szerzą dobroczynny wpływ braciszkowie z wielkiego zakonu jałmużników, założonego przez św. Franciszka. Wpływ, jaki wywarli Franciszkanie na społeczność polską, można śmiało porównać z wpływem Jezuitów. Oba zakony atoli szły drogami odmiennemi. Zakon Lojoli rozpoczął swoją działalność w przełomowym okresie, kiedy rozum, wyzwoliwszy się z pęt dogmatów, wypowiedział posłuszeństwo władzy kościelnej. Zwolennicy religii katolickiej musieli w walce z przeciwnikami używać tej samej broni. Winni byli bronić swych zasad na drodze oświecenia, zakładali szkoły, wpływali odpowiednią nauką i wychowaniem. Uczniowie i wielbiciele świętego z Asyżu mieli przed sobą inne warunki, otoczeni byli ludźmi o odmiennych upodobaniach. Rozpętane namiętności, ogień pożądań, nieświadoma skłonność ku dobremu i złemu, objawiająca się potężnie, oto na co trzeba było nakładać wędzidła, hamować, zwracać w łożysko prostej wiary, nieskalanych dogmatów.

Zbytek i rozpusta, pieniące się jak krew w żyłach młodego zwierzęcia, nie jako zwyrodnienie, ale raczej wylew żywotnej energii, mogły być ukrócone jedynie przemawianiem do wyobraźni, do serca. Trzeba było kontrastu. I oto jak reguły przepisują Franciszkanom ubóstwo do żebractwa posunięte, surową i bezwzględną pokutę, ostre posty, czuwanie, ciężkie łańcuchy. W ten sposób przyciągano do siebie młode, rozjuszone źrebięta. W krótkim czasie liczba zakonników wzrasta do nieprawdopodobnej liczby. W roku 1209 w Asyżu znajdujemy tylko dwóch zakonników. W dziesięć lat później, na pierwszej kapitule generalnej, do koła świętego gromadzi się pięć tysięcy braci, a pięciuset prosi o przyjęcie do zakonu. W roku 1264 zakon franciszkański obejmuje 33 prowincye, 6000 domów i 200.000 osób. Morowa zaraza, która srożyła się w XIV. wieku w Europie, miała zdziesiątkować 124.000 Franciszkanów, zajętych koło zadżumionych. Z biegiem czasu rosną we wszystkich krajach ich kolonie. Powstają klasztory św. Klary, (Klaryski) w którym szukają schronienia i kobiety, często z najznakomitszych rodzin. W XIII. wieku liczba ich dochodzi do 1000, a w nich znajdujemy do 28.000 zakonnic. W końcu tak licznie gromadzono się do klasztorów, że św. Franciszek, chcąc położyć tamę tym pielgrzymkom, które dziesiątkowały rodziny, a nawet wyludniały całe okolice, utworzył trzecią regułę: tercyarzy i tercyarek, żyjących śród rodzin. W komnatach tronowych, w zamkach książąt, śród świetnych szat, tu i ówdzie błyszczał pasek św. Franciszka, obowiązkowy dla «braci i sióstr» zakonnej rzeszy. Franciszkanie byli chętnie widziani na dworach książąt i królow. Cieszyli się śród nich wielkimi wpływy; godzili zwaśnionych, udzielali rad możnej szlachcie, a nawet panującym. Sławny Jan Plano de Carpini, franciszkanin, udaje się w poselstwie do chana tatarskiego, mając za towarzysza Polaka, mnicha z reguły minorytów, imieniem Benedykta, późniejszego gwardyana w Krakowie. O relacyi, jaka zachowała się o tej podróży, wspominam w jednym z następnych rozdziałów. Wit, zwolennik Jacka, naznaczony był przez papieża jako pierwszy biskup Litwy, napisał on list do Innocentego IV., w którym żali się na opłakany stan chrześcijan na wschodzie. Pismo to «o żałośnem położeniu chrześcijan na Litwie» znajdowało się niegdyś w bibliotece klasztornej w Krakowie.

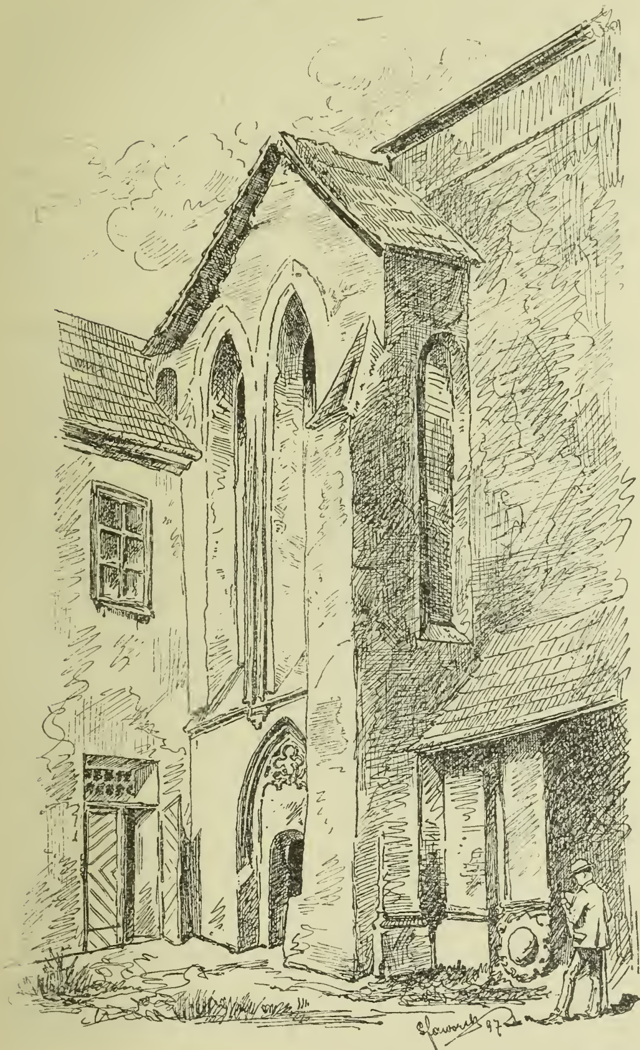
Podział królestwa po zgonie Krzywoustego pociągnął łańcuch następstw, a i na zakony w Polsce rzucił szczególne światło. Kościół doszedł już dość wysokiego stopnia rozwoju, wzrósł w potęgę i szerzej roztoczył koło swego wpływu. Klasztory, rekrutujące zakonników z ludzi obcego pochodzenia, ustępują na plan



PIERWSZA KARTA GRADUAŁU TYNIECKIEGO Z 14. WIEKU.

Z biblioteki c. k. Uniwersytetu we Lwowie.

dalszy. Zakon Franciszkanów i Dominikanie, liczący w swych szeregach przeważnie ludność miejscową, odnoszą nad tamtymi zwycięstwo. Używając mowy ojczystej, własnym ucząc przykładem: poświęcenia, pracy, religijnego żywota, przyczynili się ogromnie do moralnego podniesienia społeczności polskiej, do postępu na drodze rozwoju umysłu. Znajdują tu nawet gościnę zakony rycerskie, które niegdyś z bronią w ręku zbliżały się do murów Antiochii i walczyły na polankach Jerozolimy. Rozszerzają się widnokręgi myślowe, powiększa skarb wiadomości, a nowe zarodki przyszłości wchodzą ożywczym prądem w surową atmosferę. Napływają fale wiadomości o dalekich i zamożnych krajach, zapładniając umysły i wyobraźnię. Ludność niemiecka przybywa swobodnie do Polski, zabezpiecza ją panujący od nieprzyjaciół pierścieniem murów i przewilei ochronnych. Równocześnie idą z zachodu rzemiosła, przenosi się kultura oparta na klasycznych tradycyach. Na powierzchnię spienionego morza dziejów wypływają nowe, drzemiące dotąd żywioły. Niewiasta uszlachetnia się i pozbywa surowej powłoki. Dotąd widziano w kobiecie jedynie niewolnicę, która nie dorastała kolan ojca ani nawet syna. Teraz dosięga równouprawnienia. Widzimy ją na tym samym poziomie kultury, na którym znalazł się mężczyzna. Te same duchowe potrzeby i natchnienia wstrząsają łonem mężczyzny i kobiety. Prąd ten odbił się żywo w Polsce Piastowskiej. Wiek XIII. powołuje do życia dwadzieścia i kilka klasztorów niewieścich: Cysterek, Norbertanek, Franciszkanek pod rozmaitem wezwaniem, Dominikanek, Benedyktynek i t. p. Rozpoczyna



111. Kościół OO. Franciszkanów w Nowym Sączu z XIII. wieku.

się i u nas cześć oddawana Maryi, co w tak wysokim stopniu rozpowszechniła się w całej Europie.

Po Bolesławie Krzywoustym, krzyżowcu, który przejął się do gruntu duszy ruchem religijnym na zachodzie, następuje Bolesław Pobożnym zwany, dalej Bolesław Wstydliwy, dochowujący ślubu czystości z małżonką, i Leszek Czarny nie mniej o zasady religijne dbały. To samo odnosi się do polskich księżniczek. Jadwiga, małżonka księcia wrocławskiego Henryka Brodatego, Salomea, córka Leszka Białego i Kinga, żona Bolesława I., wszystkie one odczuwają bardzo żywo nowe wyobrażenia i pojęcia. Duch religijny przenika je zarówno jak i małżonków. Skromność i pokora, ofiarność w tworzeniu klasztorów i domów Bożych, umartwianie ciała, gorliwość w spełnianiu wszelkich praktyk kościelnych, miłosierdzie dla ubogich, oto rysy naszej kobiety z tego okresu. Klasztory garną w swych murach niewiasty z najznakomitszych pochodzące domów. Przebywa tu prócz Salomei, Kingi i siostra ich Jolanta, żona Bolesława Wielkopolskiego, które po skonie swych małżonków zamykają się w celi klasztornej.

Nad grobem Jadwigi, która jeszcze za życia zdradzała dar proroczy, dzieją się «cuda». Wogóle wiele niewiast i zawsze prawie znakomitych, rzuca progi rodzinne, wdziewa habit i szuka osłody w życiu klasztornem. Wpływ atoli i stanowisko, jakie zajęły klasztory żeńskie, nie doszły do tego znaczenia, jak zakony obsadzone mężczyznami. Zasada prawa kościelnego wymagająca, aby «kobiety milczały w kościele», posuniętą była do ostateczności w tworzeniu reguł dla klasztorów niewieścich. Na pierwszym planie wymagano od zakonnic ścisłego przestrzegania klauzury. Życie miały prowadzić jak najbardziej ciche i odludne. Stosunki z płcią drugą ograniczały się jedynie przyjmowaniem posług niezbędnych. Warunki te, jakby się na pierwszy rzut oka zdawać mogło, usuwały je zupełnie od życia publicznego, skazując na ciągłe ofiary w imię Boga, na modlitwy i dozgonne zamknięcie w celi. W istocie jednak rzecz przedstawiała się inaczej. Każdy niemal konwikt niewieści miał w swem gronie jakąś z księżniczek, które w ścisłym z możnymi domami zostawały związku. Oczywiście klasztor cały wzniósł się przez to w świetność i znaczenie. W tym względzie odnoszą klasztory kobiece nawet pewną nad męskimi wyższość. W tych bowiem mógł wyjątkowo tylko znajdować się mnich należący do rodziny książęcej. Oczywiście męski przedstawiciel, z książęcego pochodzący domu, był ozdobą i podporą zakonu. Większe atoli miał znaczenie pobyt w celi klasztornej księżniczki. Możny dom żywił od tej chwili dla zakonu pewnego rodzaju przywiązanie rodzinne, jako dla miejsca, w którem znalazła dozgonne mieszkanie istota bliska ich sercu, wymagająca opieki, miękkiego i dobrotliwego uczucia.

Hojność, zlewana na klasztory męskie, miała swe źródło w troskliwości o dobro kraju, konwikty niewieście, zakładane jedynie w celach duchownych, otaczane były czcią i wspierane pomocą z pobudek natury wewnętrznej.

Korzyści, jakie niosły krajowi zakony, były większe od duchowieństwa świeckiego, zrazu rekrutującego się z ludzi obcych, nie objętych ścisłą organizacyą, I ono jednak ma jasne, promienne karty w dziejach naszej oświaty. Zasługa to papiestwa, że dźwignęło księży na wyżyny wysokiego ich powołania: pasterzy dusz ludzkich. Papiestwu należy się zasługa ocalenia całych narodów przed powodzią ludów barbarzyńskich. Ono dzierżyło w swej dłoni nić dziejów, snującą się z mroków średniowiecza w światlejsze sfery okresu nowożytnego. Widzimy je potem w upadku i gnuśnieniu. Odradza się atoli na nowo w osobie Grzegorza VII. Z oparzelisk

ogólnego zepsucia i deprawacyi, jawi się władza papieska jako arka zbawienia. Idea jednego pasterza, sterującego jednej owczarni ma w sobie coś apokaliptycznego. Potężnie się odbija na skłębionem tle dążeń pogańskich. Ale przewodniczenie ludzkości wymaga niezmiernej wysokości etycznej, na którą szczebluje powoli duchowieństwo. Myśl ta, w tak doniosłe brzemienna skutki, przyszła na świat w zaciszu klasztornem. Kluniacka metropolia Benedyktynów była miejscem jej urodzin. Do rozwoju jej przykładali ręce króle i cesarze, dokąd nie spostrzegli niebezpieczeństwa, jakie gotowali dla siebie. To też dzięki znakomitej opiece rozrasta się szybko, aż wreszcie dojrzewa w żelaznych dłoniach wielkiego papieża, Grzegorza VII. Żeby przygotować duchowieństwo do wielkiej dziejowej misyi, wydaje Ojciec św. przepisy wzorowane na mniejszej arenie, która była jej źródłem, kruszy więc na duchowieństwie pęta świeckości. Pierwszy krok, który uczyniono na tej drodze, zawierał się w dwu nader ważnych postanowieniach: niedozwolono duchownym wstępować w związki małżeńskie, które odbierały czas i myśli do rzeczy poza obrębem zadań duchownych stojących i usuniętą została symonia, polegająca na sprzedaży godności i urzędów kościelnych, które w ten sposób często w niegodne dostawały się ręce. Później trzeba było dokonać reformy, bardziej jeszcze zasadniczej: niezależności kościoła od państwa, episkopatu od władzy państwowej. Trzeba było nasamprzód zrzucić z siebie patronat cesarzy, którzy często obdarzali godnościami kościelnemi swoich faworytów lub krewnych. Wytworzył się był w stolicy apostolskiej senat, który wziął sobie za zadanie owych reform przeprowadzenie. W jego ręku spoczywał także wybór głowy kościoła. Od chwili utworzenia tej rady duchownej, składającej się z najświetniejszych przedstawicieli władzy kościelnej, papież odważniej występuje z żądaniem zmiany stosunku między kościołem a państwem. Po długiej i zaciekłej z obu stron walce stopniała niezależność kościoła od korony, runęła również lenna inwestytura biskupów. Odtąd pasterze dyecezyi słuchają tylko rozkazów stolicy apostolskiej. Nie mogło się to podobać monarchom, którzy spostrzegli, że poczynają się chwiać podwaliny ich władzy. Rozpoczyna się zacięty spór między kościołem a państwem. Świat średniowieczny dzieli się na dwa wrogie sobie obozy, a kością niezgody jest oczywiście inwestytura. Cały zachód, wzruszony w swych głębiach, rozbrzmiewał od odgłosów doniosłego starcia. Do naszej atoli ziemi dochodziły jedynie słabe i dalekie echa. I owe czarodziejskie blaski ideałów, które skupiają w jedną zbitą masę miliony istot w celu wydarcia niewiernym grobu Zbawiciela, nie działają tak magicznie na naród polski. Nie spotykamy też u nas tego ożywienia literatury i sztuki, którym na zachodzie ascetyzm rozwinął skrzydła i powołał do archanielskich lotów. Tłumy nie budzą się do nowego życia. Jedynie wyjątkowe umysły zdradzają niewyraźnie piętno wpływu owego szumu niebieskich rozmodleń. Po fali życia narodowego prześliznęły się lekko, zaledwie dotykając powierzchni, taksamo zresztą jak romantyzm rycerski, jak teologia uczucia Bernarda z Clairvau, jak mistycyzm Joachima de Flore, wreszcie jak duch reakcyi przeciw gwałtom i nadużyciom świata, który wydał świętego z Asyżu. Wprawdzie biskup krakowski Mateusz napisał był około 1150 roku list do świętego Bernarda, w celu nawiązania bliższych z nim stosunków, ale bez pożądanego skutku. Ta niewrażliwość społeczeństwa naszego na żywe życia zachodniego poematy, białe jak suknia nabożnej mniszki, a czyste gdyby lazur ozłocony słońcem, nie powinna nas dziwić. Żeby cały ten zasób wirujących nad Europą idei pochłonąć, trzeba było odpowiedniego przygotowania. Winna była Polska przejść wszystkie szczeble społecznej drabiny rozwojowej, jeżeli chciała dostąpić wyżyn

religijnych, na których świetną, promienną gloryą królowała Europa. Oczywiście naród za swą mistrzynią szybko dążyć nie mógł. Kiedy zachód drży w różanych blaskach wschodzącej jutrzenki, Polska nie wydobyła się z opon, przypominających dawno złożoną do grobu monarchię frankońską. Godności biskupie, pastorał i pierścień — jak to wykazuje St. Smolka — spoczywają w ręku panującego, jak gdyby nawet wieść tu nie doszła o zaszłych w Europie zmianach. Zdawało się, że nikogo tu nie obchodzi walka o inwestyturę. Do króla należy również obsada kanonii, wykonywanie prawa zwierzchniczego nad kościołem, do niego spadki po umarłych dostojnikach kościelnych, na podstawie tak zwanej ius spolii i pobieranie danin. On nakłada ciężary na dobra kościelne, stosuje do winnych ze sfer duchownych prawo świeckie w całej rozciągłości. Kiedy Grzegorz pomyślał o tym upokarzającym stanie duchowieństwa w Polsce i wysłał w tę odległą krainę swoich legatów, jakiż się ich oczom opłakany przedstawił widok. Była to rzadka zresztą chwila, w której Rzym czynił starania zbliżenia się do ziemi polskiej, w czasach następnych próby te nie były ponawiane. Kiedy Paschalis II. przysłał paliusz Marcinowi, arcybiskupowi gnieźnieńskiemu, a wysłannicy papiescy zażądali od niego złożenia przysięgi, podług przyjętej roty, odmówił był biskup, albowiem Krzywousty zabronił im wiązać się czemkolwiek z stolicą apostolską. Innym razem głos podniósł arcybiskup magdeburski, żądając przywrócenia rzekomych praw. Papież zażądał więc przybycia biskupów polskich do Rzymu, aby całą sprawę wyjaśnili. Ci jednak nietylko nakazu nie usłuchali, ale nawet zostawili bez odpowiedzi dwukrotne listy Innocentego. Dochodząc przyczyn takiego do kuryi stosunku naszego kościoła, znajduje Smolka przyczyny w dwóch czynnikch; przedewszystkiem podkreśla absolutną władzę monarchy, który gotów był wszelki opór udaremnić i ukrócić, a następnie znajduje donioślejszej natury przyczynę w ogólnem rozprężeniu i niedorozwoju naszego duchowieństwa, które wtedy nie dorosło jeszcze do zadań władzy kościelnej na zachodzie. Nasi biskupi z XII. wieku rekrutowali się przeważnie z warstwy wyższej. Byli tam synowie, bracia, krewni możnych domów, przyzwyczajeni obracać się w wąskiem kole interesów swego stanu, na inne sprawy obojętni, lub nie wiele ducha dający. Oczywiście znajdowało się w ich gronie wiele ludzi pobożnych, z prostem, szlachetnem sercem, ale rozleglejszych widnokręgów napróżnoby tam szukać. Szczupła liczba cudzoziemców, zasiadających w niektórych stolicach, nie była w stanie rzeczy odmienić na lepsze. Zresztą tyle było do zdziałania w samym kraju. Ciągła troska o zakładanie klasztorów, budowę domów bożych, praca w powierzonej owczarni — wszystko to odciągało umysły od szerzej pojętej polityki, o której wobec potrzeb wewnętrznych myśleć było niepodobna. To też przez długie lata prąd reform nie tknął kościoła polskiego. Kler nasz, mało oświecony, po większej części wstępował publicznie w związki małżeńskie. W połowie XII. wieku biskupi i kanonicy żenili się często, a nawet niższe duchowieństwo, mimo odbytych soborów laterańskich i uzyskania święceń, bierze sobie małżonki. Jeszcze w XIII. wieku zasiada na stolicy w Wrocławiu biskup żonaty. W kalendarzu kapituły krakowskiej (pewnego rodzaju pismie urzędowem), czytamy wiadomość: «że umarła Burna, żona biskupa wrocławskiego». W liczbie dobrodziejów klasztoru znajdujemy w albumie krakowskim «księdza Radulfa wraz z jego małżonką i córką». I nawet nie przypuszczano, żeby w tem mogło być coś złego. Uważali sobie za niemałą godność synowie prałatów tak wysokie pochodzenie. Jeśli wypadło, że który z nich miał stanąć jako świadek, notaryusz zawsze poprzedzał jego nazwisko dodatkiem filius decani (syn dziekana),



ANTYFONARZ POLSKI.

Podobizna z muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie.

lub nawet filius archiepiscopi (syn arcybiskupa). Urzędy przy kościołach katedralnych często nie wychodziły poza obręb rodziny, ojciec starał się zatrzymać dla syna piastowaną przez siebie godność. W Rzymie szczególniej uderzała ta jawność małżeństwa. «W kościołach waszych — pisze papież do polskich biskupów — kanonicy, którzy według słów ewanielii, winni mieć biodra przepasane, a w ręku dzierżyć jeszcze pochodnię dobrych uczynków, w kale zmysłów zanurzeni, dochodzą do tego stopnia rozwiązłości i zgnilizny, że nawet hańby swej i szkarady nie starają się ukrywać i synów swoich, w ohydnym związku spłodzonych, używają bezwstydnie do służby ołtarza, której sami są niegodni». A zdarzało się i gorzej, bo kanonicy jedną żoną nie syci, żyli w jawnej bigamii. Oczywiście życie takie wymagało zwiększonych środków. I oto duchowieństwo wyzyskuje stanowisko i nadużywa mienia kościelnego na sprawy, w najmniejszym z potrzebami dyecezyi nie będące związku.

A niższe warstwy ludności, zaledwie dotknięte cywilizacyą, żyją w dawnych praktykach pogańskich. Zrywano małżeństwa, zawierając związki bez pomocy kościoła; było to chrześcijaństwo raczej z imienia, niż w rzeczywistości. Nie pomogły nic zakazy, wychodzące z Rzymu, stan ten trwa aż do końca XII. wieku. Ksiądz prof. Fijałek odtwarzając życie i obyczaje ówczesne kleru, na podstawie ustawodawstwa synodalnego, dochodzi do wniosków nader niekorzystnych. W statutach kilku dyecezyi znajdujemy wiadomości o nadużyciach duchowieństwa, które «zabawiało się w niedzielę i dni świąteczne hałaśliwie i rozwiąźle, nie samą tylko grą, hulatyką i napitkami, ale jeszcze kłótnią i bójką ze świeckimi w szynkarniach». Nawet powierzchownością nie bardzo odbijało duchowieństwo od szarej masy tłumów świeckich. Również w życiu i obyczajach chętnie wstępowało w jej ślady. Nieraz pleban, mający w swych posiadłościach karczmę, nie wypuszczał jej w dzierzawę, ale sam, albo przez swych scholarów, zajmował się wyszynkiem, jak o tem świadczy instrukcya dla świadków synodalnych dyecezyi kujawskiej, pochodząca z XIV. wieku. Winni byli biskupi czuwać nie tylko nad wstrzemięźliwością duchownych, ale i nakazywać, aby przy kieliszku nie odprawiano sądów kościelnych. Nie należy atoli o tym stanie duchowieństwa sądzić z punktu widzenia stosunków dzisiejszych.

Wogóle społeczeństwo ówczesne — od którego duchowni nie bardzo się różnili — bardziej krewkie i młode, nie mogło w sobie znaleść tyle siły odpornej, aby powściągnąć naturalne instynkty. Nauka i ustawy kościoła nie zakorzeniły się jeszcze na tyle w sercach, żeby tamte krępować i mieć nad niemi przewagę. Nie tylko u ludów romańskich, ale owszem i na ponurej północy krew burzy się i pieni. Może dałoby się tu zastosować przysłowie o pokrewieństwie ostateczności, bo na równi z wygórowaną pobożnością widzimy napięte struny żądz i pochopów.

Duchowieństwo przodowało w powszechnej wesołości dworów książęcych i miast. Między uciechami polskich biskupów szczególnie miłą była wszystkim muzyka, śpiewki światowe, co również znajdujemy na zachodzie. W gronie trubadurów francuskich liczono nie jednego księdza, a i śpiewacy światowi mogli się nim czasem poszczycić. Jan Łodzia, biskup poznański, nie miał chwil szczęśliwszych, nad owe «gdy sobie doma gwoli wesołości przygrywał na cytarze». Do gustu arcybiskupa Mikołaja, lubo cytarą nie gardził, przypadały lepiej głośny «luteń, trąb, piszczałek i reszty gędziebnych narzędzi chór». Godnością opata ozdobiony kantor klasztoru Żegańskiego «wracał rad do pulpitu na chórze i na organach sobie przygrywając wesołe często piosnki śpiewał w kole zebranych mnichów. Żeby jednak i przerwy nie wydawały się bardzo nudnemi, opowiadano sobie facecye i dykteryjki. Kropidło,

biskup kujawski, a później zasiadający na stolicy arcybiskupiej w Gnieźnie, gromadził często dokoła siebie duchownych towarzyszy, a na ucztach budził śmiech serdeczny dokoła, kiedy weselił ich opowiadaniem różnych dykteryjek. A czasem młody biskup nie bronił sobie i pląsów. Magdeburski arcybiskup z tej racyi «skoczkiem» go przezwał. Jan zaś, biskup warmiński, że używał w tańcu kusej, pstrej kurtki, otrzymał przydomek «pstrokatego».

W ślad za strojami i pląsem szło zalotnictwo. Wyróżniał się z grona światowców w tym względzie kanclerz Elżbiety, Zawisza, o czem opowiada szczegółowo kronika Janka. Uciechy wszelkiego rodzaju śród duchowieństwa, zwłaszcza te, któremi weselono się w dni świąteczne, uświetniały zwyczaje i widowiska ludowe, zagnieżdżone po kościołach.

Już nie tyle działały wybryki żaków pod wodzą przełożeństwa, luboć ich nieprzystojne zabawy i piosnki źle oddziaływały na obyczajność. Ale jakie zgorszenie musiały krzewić śród ludu lubieżne orgie i rozrywki, wyprawiane w samym katedralnym kościele, w obliczu ołtarza. Biskupi nie kładli temu tamy — bo, lubo pamiętali wiele z ewanielii, przypowieść o źdźble w oku bliźniego powstrzymywała ich od napomnień i surowości. Bo czyż miał czoło ukrócać te nieobyczajne wybryki duchowieństwa biskup, który zaledwie kilka razy przemawiał do ludu, a dochody z dziesięcin używał na utrzymanie licznego zastępu służby łowieckiej i oddawał się namiętnie rozrywkom myśliwskim. Ale zmieniła się niebawem postać rzeczy. Występują biskupi, którzy poczynają wglądać w «nadużycia», nawet je wykorzeniać. Reforma, która tyle zmian poczyniła w Europie, doczekała się i u nas obywatelstwa. Duchowieństwo coraz częściej zwraca oczy na stolicę apostolską, związek między kościołem a kuryą staje się z biegiem czasu bardziej ścisły. Odbijają się silnie o ziemię polską dążności hierarchiczne, które wzięły początek w Rzymie. Wreszcie program duchowieństwa polskiego, zmierzający do stanowczej zmiany i poprawy, znajduje wyraziciela w surowym papieżu Innocencie III. Wątłe zarodki tych reform wybłysły już podczas zjazdu łęczyckiego. Duchowieństwo polskie przez przywileje i nadania poczuło się na sile i odtąd poczyna iść śladem kleru zachodniego, uwalnia się z jarzma władzy świeckiej.

Nie stało się to przecież odrazu. Całe duchowieństwo rozdzieliło się na dwa wrogie obozy. Pod sztandar jednego garnęli się biskupi i księża, sprzyjający nowemu kierunkowi, w drugim znaleźli się ci, którzy od dawnych zasad odstąpić nie chcieli. Wybitnym przedstawicielem pierwszego kierunku był Iwo, wnuk Prandoty, biskup krakowski, pasterz o surowych zasadach kapłańskich, gorliwy zwolennik pojęć Innocentego, któremi się przejął w Paryżu, podczas swych studyów teologicznych. Rola atoli reformatora czynnego przypadła w udziele Henrykowi Kietliczowi, arcybiskupowi gnieźnieńskiemu. Zadziwiającej siły i odwagi kapłan ten podjął się olbrzymiego zadania: reformy duchowieństwa polskiego i walki z panującym systemem rządowym Piastów. Stanowczy, nieugięty, żądny władzy i rozkazywania, dumny, a czujący swą wyższość kapłan ten był nadto wytrawnym politykiem. Kiedy dostąpił godności kierownika kościoła, ustępował z tronu polskiego Mieszko Stary, monarcha wychowany w dawnych tradycyach, zwolennik samowładzy i bezwzględności. Z całą potęgą gwałtownego swego charakteru stawał w obronie absolutnej władzy książęcej i jedności państwa. Po nim zasiadł na stolicy książę Władysław Laskonogi, podobny z charakteru do ojca, ale nie tak gwałtowny i energiczny.

Młody książę nie chciał wcale w niczem ustąpić żądaniom, stawianym ze strony duchowieństwa, ale zmieniły się czasy, a kościołowi sterował arcybiskup

Henryk. Przyszło do starcia. Walka nie buchnęła odrazu wielkim płomieniem; z początku ogień niezadowolenia tlił się z stron obu, ale w miarę jak gromadziły się nadużycia władzy świeckiej, zatarg zaogniał się, przybierał coraz większe rozmiary, aż wreszcie w roku 1206 nastąpiła katastrofa.

Władysław nie dawał najmniejszego posłuchu prawom nadanym na zjeździe łęczyckim. Po śmierci pewnego biskupa zabrał jego majątek, obciążał duchowieństwo daninami, rozdawał samowolnie kanonie i beneficya kościelne, wypędzał mnichów. Arcybiskup Henryk oparł się energicznie takiemu postępowaniu księcia. Upominał go, że łamie przepisy prawa kanonicznego i żądał zadośćuczynienia. Posunął się nawet tak daleko, że począł grozić karami. Ale nie bardzo to snać wzruszyło butnego księcia, bardziej się rozjątrzył, zapalał, a z charakteru gwałtowny, w celu złamania przeciwnika, nie robił wyboru w środkach. Skarb katedralny został z jego rozkazu obłożony sekwestrem, a dobra nieprzyjaznych mu księży zajęte. Wobec tego, oczywiście, zgoda stała się niemożliwą. Arcybiskup widząc, że inaczej poradzić będzie trudno, użył najsurowszego środka i wyklął księcia. Władysław wywdzięczył się wyrokiem banicyi arcybiskupa, a w sprawie klątwy zwrócił się do papieża.

W ten sposób rozwinął się pierwszy spór między kościołem a państwem, wprawdzie spóźniony, ale nie mniej niż na zachodzie groźny. Stanęły naprzeciw siebie dwa obozy, a walka rozstrzygnąć miała, który z nich wyjdzie z palmą przewagi i będzie odtąd kierował losami społeczeństwa. Nie stał samotnie Laskonogi w tym powszechnym zamęcie. Liczył spore grono zwolenników śród duchowieństwa, byli tam bowiem tacy, którzy niechętnem okiem patrzyli na nowe porządki, a karność nie bardzo przypadała im do gustu. Rozumieli, że kiedy w życiu znajdzie urzeczywistnienie, będą zmuszeni zaprzestać zabaw i rozrywek, skupić siły do zadań duchownych, których albo nie rozumieli, albo nieuznawali. Z wyższych dostojników kościoła stanął po stronie księcia biskup poznański i pociągnął za sobą liczny zastęp innych członków kapituły i niższego kleru. Walczono już o zasadę; ruch Wielkopolski, który dał początek zatargowi, rozszerzył swój wpływ na inne dzielnice. Cała Polska powoli dzieliła się na dwa nieprzyjazne stronnictwa, a spór natury kościelnej pociągnął w swe nurty inne sprawy. Władza kościelna rozumiała doskonale czemby trzeba było opłacić w wypadku zwycięstwa księcia.

Przeto w celu narad nad położeniem, a może i dla zakreślenia planu walki zwołał Kietlicz synod prowincyonalny. Na synodzie tym rzucono klątwę na Wincentego, zausznika księcia i postanowiono pomocy szukać w Rzymie, gdzie korzyły się fiolety i cesarskie szkarłaty, gdzie szafowano tronami — skargę zaniesiono przed tron Innocentego. Papież przystąpił do rozwiązania sporu, na korzyść kościoła, z właściwą sobie sprężystością i energią. W krótkim czasie, od 4 do 12 stycznia 1237 wygotowano w kuryi do 20 listów. Władysław Laskonogi otrzymał pismo w tonie surowym i bezwzględnym. Na wstępie listu znajdujemy nie błogosławieństwo, ale życzenie lepszego rozumu i wezwanie do upamiętania: «Czy na to dał ci Bóg tron, abyś w niewolę obrócił swobodę kościoła? Czy na to poruczono ci miecz władzy świeckiej, abyś go ostrzył w wnętrznościach matki swojej? Czy na to dano ci lud, abyś go zbroił przeciw sługom Bożym? Zbierz zmysły i wejdź w siebie, bo upadek twój nieuchronny». Wyliczywszy «winy» Laskonogiego, wzywa go papież, aby się poprawił i do zgody nawrócił. Klątwę przez biskupa rzuconą zatwierdza i zwraca się do księży, aby ją wedle przyjętego zwyczaju głosili w niedzielę i święta przy zapalonych świecach i odgłosie dzwonów. — W walce tej była w grze sprawa o wiele

większej wagi, szło tu bowiem o zasadniczą reformę stosunków kościelno-politycznych w całej Polsce. Oprócz karności kościelnej, dwa należy rozróżnić kierunki w żądanych przez władzę duchowną zmianach. Przedewszystkiem chodziło o uwolnienie kościoła z pod opieki władzy świeckiej. Druga reforma była natury ekonomicznej, chciano majątki kościelne wyzwolić z danin i ciężarów państwowych. Oczywiście nikt pewnie z dostojników kościoła nie myślał, żeby wszystkie reformy mogły być odrazu urzeczywistnione. Walka podjęta w celu ich dostąpienia poruszyłaby tyle namiętności i interesów, że wynik byłby bardzo wątpliwy. Stan ten rzeczy dobrze rozumiał Kietlicz. Nie poruczając na razie spraw innych, dążył jedynie do tego, żeby usunąć przewagę państwa w sprawach dotyczących wewnętrznych rządów kościoła. Działalność i zabiegi w tym kierunku uwieńczone zostały dodatnim rezultatem. Trzej książęta polscy wydali ustawę, na której jak na fundamencie wzniósł się później gmach niezależności kościelnej. Zostały usunięte prawa książąt wobec kościoła, wybór biskupów miał się odtąd odbywać najzupełniej swobodnie, to samo dotyczyło obsady innych urzędów kościelnych.

Spór więc z Laskonogim skończył się zwycięstwem kościoła, który niebawem miał zająć w Polsce takie stanowisko jak na zachodzie. Palma zasługi należała się oczywiście Kietliczowi. Później, dzięki nieustannym jego zabiegom, zdobyto znowu dwa przywileje pierwszorzędnej wagi. Pierwszy stanowił, że ludzie na dobrach kościelnych osiedli, nie podlegają nadal rządom księcia lub jego urzędników, lecz przełożonego kościoła. Drugi przywilej uwalnia ich od ciężarów państwowych.

Sądownictwo kościoła w dobrach swych uznane w całej rozciągłości, uzupełnia niepodległość duchowieństwa. Zadatkiem dalszych przywilei były tak zwane immunitety, czyli uwolnienia od wszelkich powinności publicznych. Przywileje te zwiększały dochody z dobrowolnych ofiar składanych kościołowi. Odtąd dostojnicy duchowni rozporządzali ogromnym majątkiem, że wspomniemy na tem miejscu o uposażeniu najstarszego arcybiskupa.

Bulla papieża Innocentego II. mieści wiadomość najdawniejszą, jaką nam wieki przekazały, o rozległości dóbr archidyecezyi gnieźnieńskiej. W obawie, aby te obszerne majątki nie znęciły którego z książąt i nie zostały jej wydarte, arcybiskup Jakób ze Żnina przesłał do papieża wykaz owych dóbr, prosząc o zatwierdzenie ich swą powagą, czemu Innocenty zadość uczynił. O ile z aktu tego, przechowywanego w kapitule gnieźnieńskiej sądzić można, źródła dochodowe archidyecezyi przedstawiały się już wówczas, w roku 1136, pokaźnie. Płacono jej bowiem dziesięciny w zbożu, miodzie, żelazie, trzodach i skórach, do niej należało ściąganie opłat i ceł w okolicach Gniezna, i zamków czyli grodów. Nadto dzierżyła w swem ręku liczne wsi i miasteczka. Później posiadłości owe, dzięki ofiarom, zakupnom i zamianom, znacznie się zwiększyły. Przywilej Kazimierza Wielkiego, wydany 1 marca roku 1357, wykazuje dobitnie rozległość tych obszarów, obejmujących wówczas kilka odrębnych kluczów. Na schyłku wieków średnich znajdowały się w posiadłościach owego biskupstwa 13 miast, wyżej 100 folwarków pańskich, tyleż młynów, przeszło 300 wsi czynszowych i zaciężnych, ogromne lasy i knieje, rzeki, stawy. Całość tych rozległych obszarów ziemi przekracza krocie tysięcy morgów, a dochody z nich liczono na miliony złotych. Majątek ten jednak nie był odpowiednio gospodarowany. Rozległe dobra, będące tylko w dożywociu u arcybiskupa, ulegały zniszczeniom po jego śmierci. Nadto ciągłe zaburzenia wewnątrz kraju nie mało przyniosły szkody. Stanowiły zresztą szachownicę, która przy najenergiczniejszej gospodarce, nie mogła wydawać pożądanych owoców.



MATYLDA WRĘCZA KSIĘGĘ LITURGICZNĄ MIESZKOWI II

Wielkie w tym kierunku zasługi należą się pierwszym arcybiskupom. Fulko, Świnka, Jarosław, a szczególnie ten ostatni — wszyscy oni starali się dobra kościelne zaokrąglić zmianami, powiększać i skupiać, stosować lepszą gospodarkę. Arcybiskup gnieźnieński, głowa kościoła polskiego, był w powszechnej czci i poważaniu, nawet na dworze księcia, który go w aktach publicznych nazywa ojcem swoim i panem. Z biegiem czasu powaga i władza arcybiskupa ciągle rośnie.

Polityczne stanowisko i płynące z niego zajęcia publiczne wychowały biskupów na mężów stanu, usuwając na plan dalszy dusz pasterstwo. Wyjątkowo tylko który z nich mógł obu zadaniom, duchownemu i politycznemu podołać. Kształcili się i oświecali biskupi w XIII. i XIV. wieku w Padwie, Bononii, lub Paryżu. Tam przygotowywali się do wielkich misyi, jaka ich w kraju czekała, poznając pojęcia panujące wówczas na zachodzie i południu.

Gedeon uczęszczał do szkół razem z późniejszym papieżem Lucyuszem III., Iwon siedział na ławie szkolnej z Grzegorzem IX. Związki te podnosiły znaczenie ich w kraju, oddając niemniejsze usługi za granicą. Taką ufność mieli papieży do biskupów krakowskich, że ich uwolnili z pod jurysdykcyi swoich delegatów w Polsce przebywających. Posyłano im zaproszenia na sobory, raczono godnościami w samym Rzymie. Ci jednak wzbraniali się opuszczenia granic Polski, tłumacząc się nieodzowną potrzebą swej obecności w kraju. Że niebyła to prosta tylko wymówka, dowodzi zdumiewająca ogromem działalność Iwona.

W ciągu jedynastu lat swoich rządów zbudował kościół św. Trójcy, rozpoczął budowę Maryackiego, pozakładał szkoły w Krakowie, dał początek czternastu kościołom i czterem klasztorom w różnych stronach swojej dyecezyi, a były to wspaniałe świątynie. Hojnością swoją budził Iwon powszechny podziw, chodziła o nim przypowieść, że posiada dar mnożenia chleba. Położył również zasługi wielkie na ołtarzu życia politycznego. Działalności takim biskupom zawdzięczać trzeba supremacyę i niepodległość kościoła.

Śladem kadr episkopatu polskiego, wypełnionych gorliwymi szermierzami hierarchii, poszła szlachta, która poczyna odtąd upominać się o prawa dla siebie. Stara twierdza władzy absolutnej widziała się ze wszech stron oblężoną, na murach państwa, ręką Bolesławów wzniesionego, tu i ówdzie ukazują się rysy. Rządy królewskie zaprowadzone przez Łokietka musiały się oprzeć na innych zasadach.

Zanim jednak wszystko ułożyło się do równowagi, powstał niepokój wewnętrzny, nieodłączny od wszelkich politycznych przewrotów, a w dodatku najazd obczyzny zagarnął jeden z najpiękniejszych klejnotów korony piastowskiej: Śląsk. Państwo, skoro raz się zgodziło na reformę stosunków kościoła do siebie, popłynęło ogólnem łożyskiem dziejów świata, szybko wzrastał postęp we wszystkich dziedzinach. Czy to przez łączność z samą kuryą, czy też pośrednio z zachodem, dochodziły do nas teraz częściej i donośniej zdobycze cywilizacyjne Europy, obudziły się sztuki, nauka, oświata, a kapituły katedralne w Krakowie i w Gnieźnie świecą jako prawdziwe latarnie wyższej kultury.

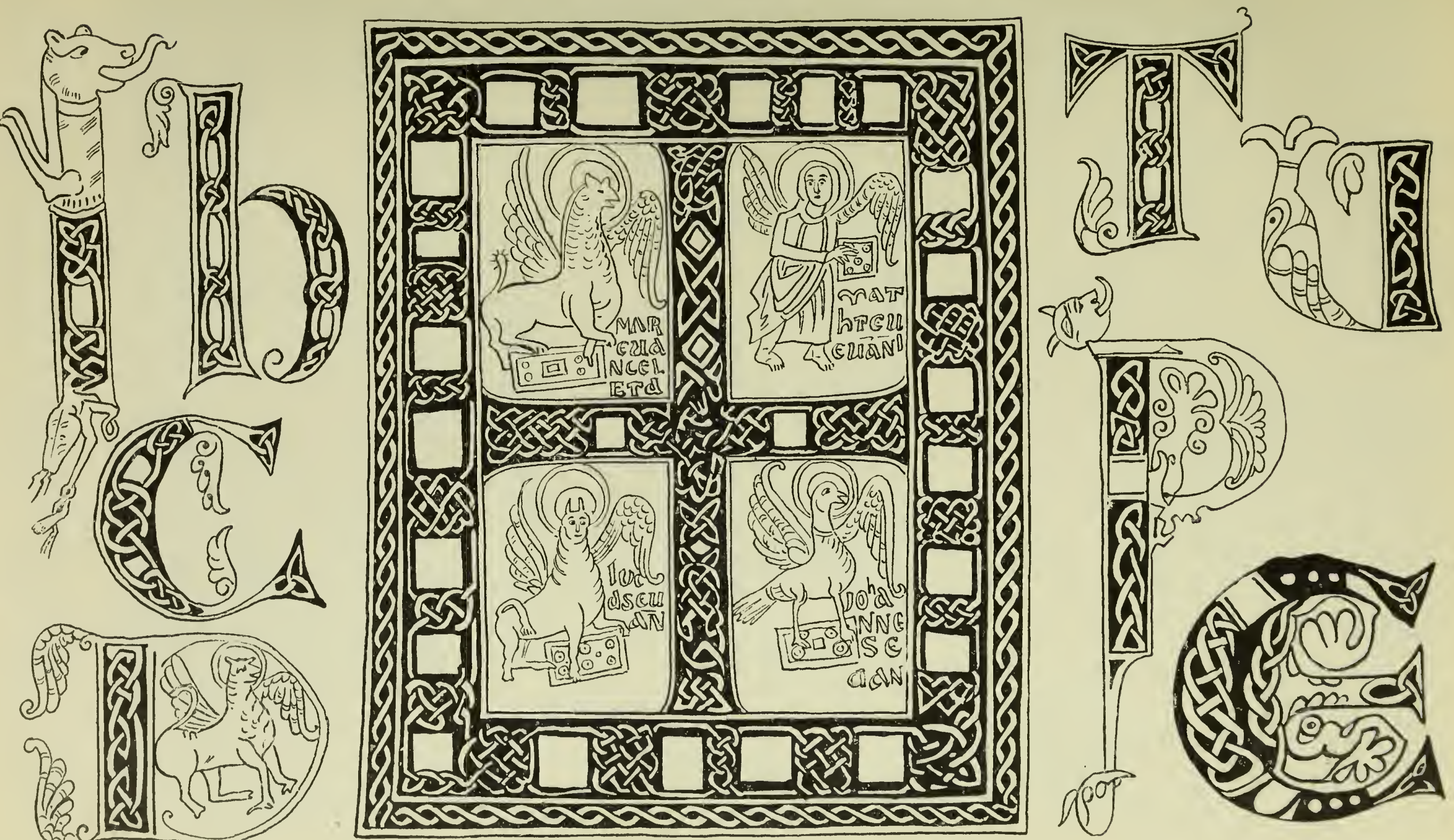
Powoli wytwarzająca się organizacya kapituł przechodziła te same koleje co za granicą. Z początku widzimy u nich wspólne życie kanoniczne według reguły św. Chrodega, następnie zakładają oddzielne korporacye. Z prałatów w skład kapituły wchodzących zajmuje nas bliżej kantor. Obowiązek jego, jak nauczało prawo kanoniczne polega na udzielaniu nauki śpiewu kościelnego dyakonom, subdyakonom

i klerykom mniejszych święceń. On również rozdzielał księgi do śpiewu, jakoto: brewiarze, antyfonarze, graduały, kierował chórem, nauczał młodszy kler liturgii i pieśni kościelnych. W wieku XIV., w obrębie kapituły gnieźnieńskiej, znaczenie to kantorów bardzo zostało uszczuplone. A z początkiem XV. wieku wszelkie obowiązki wchodzące w zakres ich działalności (nauczanie śpiewu i liturgii) przypadły w udziale profesorom szkoły katedralnej. Szkołami zaś temi kierowali scholastycy, rekrutowani z oświeceńszego duchowieństwa. Obowiązani byli nie tylko czuwać nad nauką powierzonych sobie pupilów, obsadzać szkoły nauczycielami, płacić magistrowi lub rektorowi, których kapitułom przedstawiali, do nich należały również czynności administracyjne. Winni byli utrzymywać w należytym porządku budynki szkolne i przedmioty potrzebne do nauki, na co środków dostarczały osobne fundusze. — Pod okiem kanclerza załatwiano rozległą korespondencyę kapituły. Przeglądał on wszystkie dokumenta i pisma urzędowe, wygotowywane przez odnośnych pisarzów, a w razie potrzeby poprawiał je, albo zmieniał, co prawdopodobnie w tym celu czyniono, żeby przez błąd jakiś lub niejasność nie wynikły zobowiązania lub uszczerbki dla kapituły. Czasem trzeba było nawet rzecz na nowo opracować. Kanclerz miał sobie prawdopodobnie powierzone i akty kapitulne czyli metryki, gdzie zapisywano wszelkie uchwały i postanowienia, wychodzące z łona kapituły. Później używano do pomocy notaryusza. Liczny poczet duchowieństwa, zatrudnionego przy katedrach, wyróżniał się z pośród reszty sług kościoła wyższym poziomem kultury. Dla zapoznawania się z zdobyczami wiedzy, sprowadzano z zagranicy książki, które były zresztą niezbędne dla znajdujących się przy katedrach szkół.

W ten sposób gromadził się powoli zasób książek, które były podwaliną bibliotek katedralnych, rozwijających się w miarę wzrostu oświaty. Pomniki piśmiennictwa zachowały wiadomość o jednej z najstarszych książek teologicznych, z początku XI. wieku. Matylda, córka księcia szwabskiego, kazała przygotować rękopis treści liturgicznej i złożyła go w dani Mieszkowi II. Wiedziano o nim bowiem powszechnie, że mimo wojen prowadzonych z cesarzem, nie odwracał się od życia cywilizacyjnego zachodu, ale owszem szczerze się niem interesował. List dedykacyjny księżny będzie służył jako świadectwo wykazujące, jak niesłusznie nadano mu przydomek Gnuśnego. Nazwanym tam jest Mieszko czcicielem cnoty i królem niezwyciężonym. «Któż bowiem z poprzedników twoich — pisze Matylda w owym liście — tylu świątyniom fundament położył? któż dla chwały Bożej tyle połączył języków? Nie dość, że wielbisz Boga w mowie ojczystej, oraz po łacinie, dodałeś jeszcze i grecki. Wdowy widzą w tobie męża, sieroty ojca, ubodzy obrońcę, wszystkim bowiem zarówno wymierzasz sprawiedliwość.

Zajmujesz się szczególnie sprawami duchownemi, bo idziesz za przykładem ojca, który na tym świecie był jakby źródłem wiary katolicko-apostolskiej, albowiem różne dzikie i barbarzyńskie ludy, których święci apostołowie nie mogli poprawić słowem, on je skłonił orężem do wiary pańskiej». «Książkę tę — pisze w dalszym ciągu Matylda — posyłam w tym celu, aby Waszej królewskiej mości nie było nieznanem to wszystko, co służby Bożej dotyczy, a wiem dobrze, że w twej nadzwyczajnej pobożności przyjmiesz ją chętnie. W niej znajdzie łatwo chciwy wiedzy czytelnik, co oznaczać mają rozmaite ceremonie i jakie spełniają w różnych czasach przy służbie Bożej».

List ten, pisany około 1027 roku, był dołączony do daru, jaki księżniczka złożyła Mieszkowi. Darem owym była książka liturgiczna «Ordo Romanorum», znana



112. Godła czterech ewangelistów oraz inicyały w jednym z najstarszych kodeksów teologicznych. Z archiwum kapituły krakowskiej.

dziś pod imieniem Pseudo-Alkuina. Załączona podobizna przedstawia wizerunek księcia i księżniczki, ręką artysty wykonany, z tym u góry dwuwierszem:

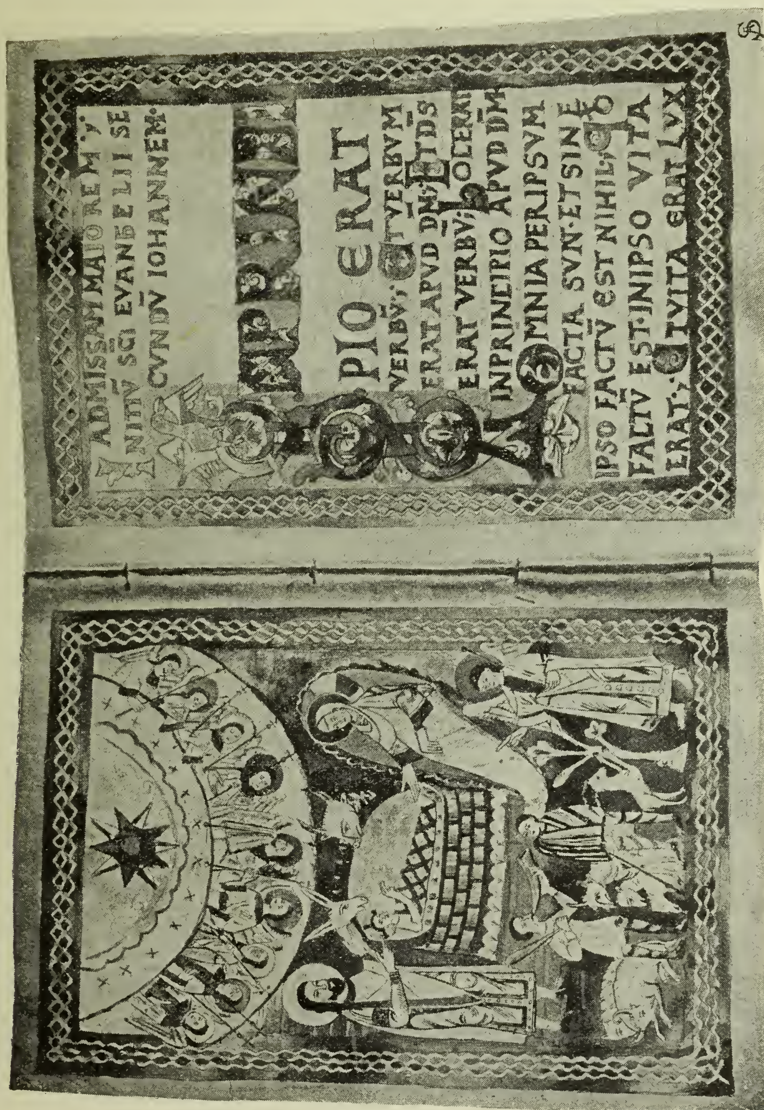
Hunc librum regina Mathilda donat Misegoni,
Quam genuit clarus Suevorum dux Herimannus.
Tę księgę ofiaruje Mieszkowi królowa Matylda,
Która pochodzi od sławnego wodza Swewów Hermana.

Oryginał tej najstarszej u nas księgi, liczącej 83 kart pergaminowych in quarto, przez pewien czas był przechowywany w klasztorze Cystersów w Łużycach, obecnie jednak ma się znajdować w bibliotece kościoła św. Zofii w Berlinie. Jeden z kodeksów pergaminowych z początku XII. wieku, dzięki pobożnej jakiejś ręce, przechował wiadomość o całej bibliotece kapituły krakowskiej do 1110 roku. Ostatnia stronica owej księgi, mieszczącej dekrety papieskie i niektóre pisma ojców kościoła, a mianowicie: Izydora, Augustyna, Grzegorza, Hieronima, Bedy, zapisaną jest tytułami 50 rękopisów. Są to przeważnie rzeczy treści teologicznej. Jeden z tych kodeksów przechowany dotąd w archiwum kapituły krakowskiej, do najstarszych zresztą książek należący, ma następujący wygląd. Pergaminowy kwartant o 103 kartach nieliczbowanych, zapisany w dwie kolumny charakterem romańskim. Strona pierwsza uszkodzona; na niej próbował pisarz pióra i inkaustu, druga i trzecia zapisana modlitwami i exorcyzmami przeciw burzy, słocie, wylewom i piorunom, na czwartej znajdujemy sposób rozpoznawania prawdziwych klejnotów (pierwszy jest szmaragd, drugi jaspis, dalsze szafir, ametyst i t. d.). Piąta mieściła pono wzmiankę o biskupie krakowskim Aronie. Cała ta stronica jest zupełnie zaczerniona; prawdopodobnie ktoś pragnący pismo odczytać, użył niewłaściwych środków chemicznych. Obecnie widoczne są tylko wyrazy: «Aron episcopus». Karty dalsze zajęte są kazaniami czyli homiliami na ewanielie; mamy ich w kodeksie 22. Kazanie pierwsze na temat z ewanielii: «W on dzień przybył Jan Chrzciciel, głosząc słowo Boże w opuszczonej Judei» zawiera objaśnienie powyższego tekstu przy pomocy słów ojców kościoła i drogą paralel wziętych z innych ewangelistów. Setna stronica w kształcie relikwiarza, mieści godła czterech ewangelistów, w ramach ozdobionych kamieniami, które tu w wiernym dołączamy przerysie. Ostatnie kartki zawierają krótką egzegezę kilkunastu tekstów, wziętych z ewangelistów. Pierwsze takie objaśnienie dotyczy słów ewanielii: «Na początku było słowo, a słowo było u Boga». Ostatnie komentuje owo pamiętne zdanie: «Oto ja szlę was między wilki, bądźcie więc roztropni jak węże, a prości jak gołębie». Na ostatniej karcie podany spis sześciu soborów powszechnych. Kodeks niniejszy przechował pisownię starożytną, wyrazy często jeszcze nie rozdzielone, pisarz razi często nieznajomością łaciny, co niektórzy uważają za dowód, iż jest pochodzenia polskiego. Z pośród innych średniowiecznych kodeksów, ozdobionych miniaturami, a w naszych bibliotekach katedralnych przechowanych, wymieniam najstarsze, opisane przez M. Sokołowskiego. 1. Ewangeliarz emeramski biblioteki kapitulnej krakowskiej, z końca XI. wieku, wykonany prawdopodobnie w południowych Niemczech. Na wstępie znajdujemy w kilka kolumn zestawione teksty ewanielii, odnoszące się do tych samych zdarzeń. Oprócz obramowania kanonów, tudzież inicyałów, mamy tu kilkanaście wielkich miniatur figuralnych. 2. Ewangeliarz złoty katedry gnieźnieńskiej, zwany mszałem św. Wojciecha, lubo bez najmniejszego do niego stosunku, pochodzi z tegoż czasu. «Ewangelarium» to, w odróżnieniu od «Ewangelisterium», pisane złotemi literami na dużym foliancie, zawiera, krom licznych inicyałów, 21 miniatur. Charakterem i stylem często przy-



T. Z. ZŁOTY EWANGELIARZ Z 12. WIEKU.

Podobizna miniatury przedstawiającej Boże Narodzenie z archiwum kapituły katedr. gnieźnieńskiej.



113. Ewangeliarz złoty z XI. wieku (z archiwum katedry gnieźnieńskiej).

pomina kodeks wyszehradzki, pochodzący z tegoż czasu, bo z drugiej połowy XI. wieku. Oba kodeksy mieszczą miniatury, przedstawiające powieszenie Judasza i zmartwychwstanie umarłych podług ewanielii Mateusza. Pierwszą scenę kreślą już kodeksy syryjskie z VI. wieku, spotkać je można także na wyrobach z kości słoniowej, drugą zdobi kość i bronz w głębokich wiekach średnich, rzadziej w malarstwie. Za pokrewieństwem naszego kodeksu z pomnikiem wyszehradzkim, przemawia inna jeszcze okoliczność. Najznaczniejsza część ewangelisteriów niemieckich z X. i XI. wieku zachowuje w perykopach 25 niedziel po Zielonych świętach, z których trzy wypada przed Bożem Narodzeniem, nasze zaś, podobnie jak wyszehradzkie, liczy ich tylko 24 i 4 na czas Boże Narodzenie poprzedzający. 3. Złoty kodeks muzeum książąt Czartoryskich w Krakowie. Wspaniale illustrowany, z stylu i charakteru podobny do rękopiśmiennej księgi gnieźnieńskiej i wyszehradzkiej. Trzy te pomniki pochodzą ze szkoły miniaturowej i piśmienniczej, która w XI. wieku miała swe ognisko w praskiej kapitule. W kodeksie Czartoryskich zwraca uwagę miniatura: Mojżesz przed krzakiem ognistym, a pod nim Izajasz i Jesse. Między nimi wyrasta gałąź o siedmiu łodygach, na których siedzi siedm gołębi, jako symbol siedmiokrotnie na Mojżeszu spoczywającego ducha bożego. 4. Ewangeliarz kruszwicki, z biblioteki kapitulnej gnieźnieńskiej, z pierwszych lat XII. wieku, ma kanony w trojako ornamentowanych ramach i kilkanaście wspaniałych miniatur o podwójnych scenach, w znacznej części zaczerpniętych z ewanielii. Inicyały złote na tłach niebieskich i charakter figur, tudzież rysunek inicyałów, razem z ramami ujmującemi dokoła malowane herby — wszystko to nasuwa na pamięć ową szkołę miniaturową, która stworzyła sławny ewangeliarz Ottona III. Szkoła ta istniała przez X. i XI. wiek.

Wymieniamy na tem miejscu jako przykład «Kuszenie Chrystusa», «Powołanie Mateusza na apostoła», i scenę z niewiernym Tomaszem. Kodeksy te powstały w jakiejś miejscowości nad Renem, na linii granicznej między szczepem germańskim i romańskim. 5. Mszał tyniecki, a raczej Sakramentarium, z biblioteki hr. Zamojskich w Warszawie, zawiera spisaną na purpurze całą mszę i mnogą liczbę prześlicznych miniatur. Pierwsza przedstawia Chrystusa w mandorli na tęczy, z księgą otwartą w ręku, w otoczeniu cherubów; druga wyobraża inicyał V. rozpoczynający mszę «Vere dignum est»; trzecia symbolizuje kanon mszy jako ukrzyżowanie, w którem forma krzyża składa się na litery T (do: Te igitur) i tym podobne. Owe litagory ksiąg liturgicznych miały w wiekach średnich szczególniejsze znaczenie. Trudno rozstrzygnąć, czy kodeks nasz zaliczyć do tak zwanego «Missale» czyli «Sacramentarium». Bo między jednem a drugiem zachodzi pewna różnica. Sakramentarya mieszczą różne modlitwy odnoszące się jedynie do sakramentu właściwego, to jest do mszy i to na rozmaite święta, tu i ówdzie rytuały innych sakramentów, tudzież benedykcye i egzorcyzmy. Ponieważ kapłan potrzebował do nabożeństwa jeszcze innych ksiąg jak antyfonarzy, lekcyonaryj i ewangeliarzy, przeto z biegiem czasu wszystko to połączono w całość i powstał tak zwany mszał zupełny. Na soborze trydenckim został ustalony tekst owych mszałów, po dziś dzień dla duchowieństwa obowiązujący. W XII. i XIII. wieku ustępują im miejsca dawniejsze sakramentarya. Nasz więc kodeks, lubo się nie zaczyna od zwykłych wyrazów Incipit liber sacramentorum, jest jedyną znaną u nas księgą: sacramentarium. Strona ornamentacyjna, styl, motywa, charakter, obfite użycie purpury, wszystko to przypomina szkołę miniaturową z X. lub XI. wieku, która wiąże się z Kolonią.

Wymienione powyżej książki dowodzą bezsprzecznie, że można było znaleść u nas w odległym okresie chrześcijaństwa wszystkie rodzaje dzieł liturgicznych. Znajdujemy między niemi calendaria średniowieczne, całkowite, jak tyniecki, lub tylko



114. Okładka ewangeliarza tynieckiego z XII. wieku.

w skróceniu, jak w mszałach gnieźnieńskich, gdzie mieści się tak zwana conues, to jest streszczenie dat perykopów, ewangeliarz emeramski mieści kanony, w ewangeliarzu połtuskim lub kruszwickim są benedykcye i egzorcyzmy rzucające jaskrawe

światło na głębokie wieki średnie, nakoniec miniatury z wspaniałą ikonografią owych czasów. Księgi te z czasów narodzin chrześcijaństwa w Polsce są niejako ogniskiem zbierającem promienie wpływów, które oddziaływały na kulturę naszą. Najwybitniejsza rola przypada wpływowi czeskiemu, nadreńskiemu i leodyjskiemu, mniejszą odgrywa niemiecki.
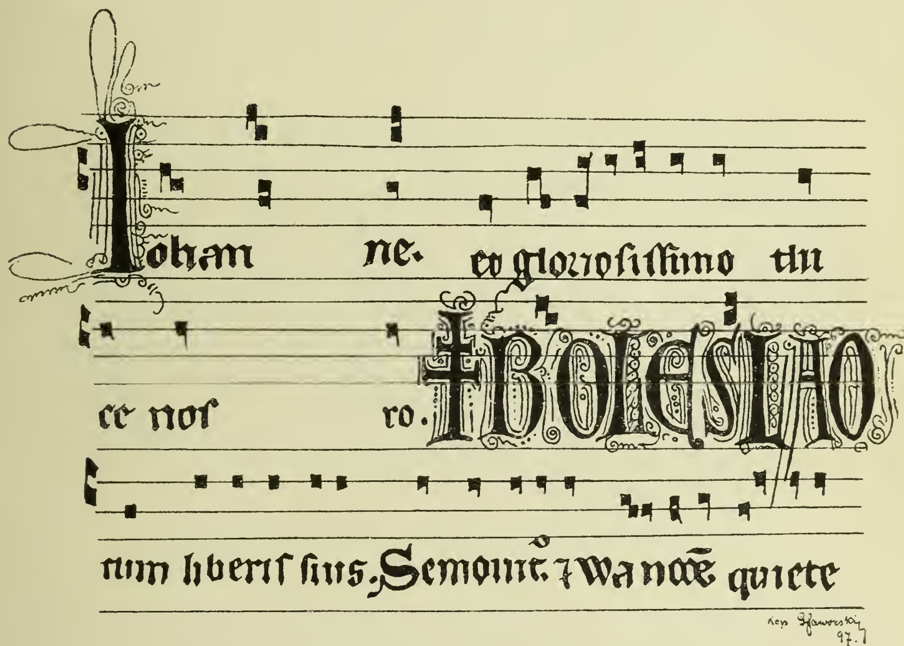
Inwentarz katedry krakowskiej z roku 1110 wspomina o trzech plenaryach; w 9 lat później za biskupa Balduina czy Maurusa, liczba ich dochodzi do 8. Takie plenarya, zawierające całkowite teksty ewanielii, rozłożone na pojedyncze święta i dni roku, były otaczane szczególnem poszanowaniem. Okładki tych ksiąg częściej jeszcze niż ewangeliarzy, dawały schronienie relikwiom, od czego nazwa dawna plenaryów jeszcze w XIV. wieku zachowała się dla wszelkich ksiąg z relikwiami. Inne rodzaje dzieł wymienionych w inwentarzu katedry krakowskiej z początku XII. wieku są następujące: omelia (homiliarze), służące za podstawę do kazań, ordinales czyli portoforia, zawierające wskazówki rytualne do nabożeństwa, nocturnales z nabożeństwem kanonicznem nocnem, capitulare — coś w rodzaju księgi praw i przepisów kościelnych, wreszcie psałterze. Wszystkie te księgi w znacznej części wygotowywali miejscowi mnisi, tu i ówdzie kładąc piękne miniatury. System, wybór i rodzaj tych ostatnich był stosowany zwykle do treści, podobnie jak sceny zdobiące oprawę. Na psałterzach wyobrażany był Dawid, jako poeta i pieśniarz psalmów, ewangeliarze czy ewangelistarya były ozdobione scenami z życia Chrystusa (Ukrzyżowanie lub Zmartwychwstanie). Na sakramentaryach wyobrażano ofiarę mszy, biskupa błogosławiącego w otoczeniu duchowieństwa i t. p. Nasza rycina wyobrażająca starożytną rzeźbę na kości słoniowej jest prawdopodobnie fragmentem ozdobnej okładki ewangeliarza z XII. wieku, ze starego opactwa Benedyktynów w Tyńcu, pod Krakowem. Przedstawia ukrzyżowanie Chrystusa i obramowana jest bordiurą z liści romańskich strzępatych, ustawionych symetrycznie. U stóp Chrystusa spoczywa wąż w pierścienie zwinięty, na lewej stronie znajdujemy popiersie męskie z koroną promienistą, prawą zajmuje kobieta z księżycem na głowie. Miało to oznaczać Apolla i Dianę, wcielających słońce i księżyc, w pobliżu Najśw. Panna i św. Jan, później następują symbole morza i ziemi, jakiś potwór oceanu i kobieta, dzierżąca w dłoni róg obfitości z wężem, którego karmi swą piersią. Ten ostatni wyraz symboliczny ma budzić w widzu pojęcie odrodzenia świata przez odkupienie: ziemia jest żywicielką wszelkich istot. Z liczby innych mszałów na szczególniejszą uwagę zasługuje mszał z epoki rządów księcia Mazowieckiego, Bolesława II, co przypada na koniec XIII. wieku. Znajdujemy w nim pobożne pienia, kirie elejson, hymn do Najśw. Panny i t. p. Pod względem piękności artystycznej, wyższy szczebel zajmują miniatury tego kodeksu, zdradzające styl romański. Wykonane były w Polsce, czego dowodzi podobizna, na której między nutami wymalowane jest złotem i różnemi farbami imię księcia Bolesława i jego synów Ziemowita i Wanka. Należy również podnieść znajdujący się tam wizerunek piekła. I tutaj idzie artysta gościńcem stylu romańskiego, czy to w arabeskach, w tak zwanych motywach meandra, czy znowu w starożytnym sukni fałdów układzie. Również piętno romanizmu odciśnięto na przedstawieniu Chrystusa, któremu brak tu brody.

Szczupła historya sztuki tego okresu dowodzi naocznie, ile w tego rodzaju rzeczy wkładano i poczucia estetycznego i staranności, a nawet pewnego rodzaju przepychu. Z powodu burz politycznych, jakie kraj nasz od czasów piastowskich nawiedzały, skarby te niszczyły się lub rozpraszały. Mieszczą ich wiele jeszcze katedry gnieźnieńska i krakowska, muzeum Czartoryskich i biblioteka w Petersburgu.

Znajdujemy tam księgi liturgiczne z tej epoki, zachowane niemal w dziewiczej świeżości, świecące emaliami, bogate w rzeźby z srebra lub kości słoniowej, wysadzone drogimi kamieniami, a zdobne w przepyszne miniatury. Czytelnik znajdzie tu podobiznę takiej księgi w stylu romańskim. Z szczególniejszym kunsztem gotowano oprawy mszałów i ewanielii, które używano w służbie bożej albo dla ozdoby ołtarzy.

W najdawniejszych czasach oprawiano książki w okładki sztywne na wzór tak zwanych dyptychonów. Wygotowane były zazwyczaj z drzewa, słoniowej kości lub metalu, na zewnątrz niemal z przepychem rzeźbione i bogate w różnego rodzaju ozdoby. Takie dyptychony szły w owym czasie na oprawy rozmaitych ksiąg rytualnych.

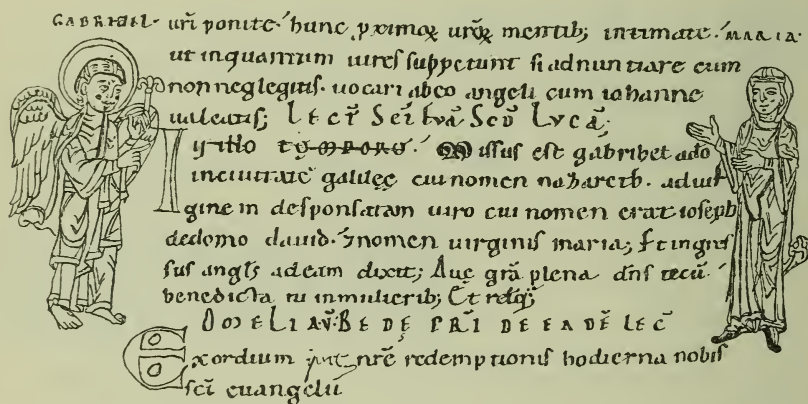
Okres stylu romańskiego może się już poszczycić oprawami niezwykłej wartości artystycznej. Świadczą o tem poniekąd ozdobne na rogach guzy, mające ubezpieczyć



115. Podobizna mszału księcia Bolesława II. mazowieckiego z XIII. wieku.

okładki od niszczących wpływów. W tym celu zaopatrywano je w grzbiety zdobne okuciami ze srebra, brązu lub żelaza. Z porządku czasu na pierwszem miejscu należy położyć okładki rzeźbione z drzewa lub słoniowej kości, które później ustąpiły miejsca blasze metalowej, złotej, srebrnej, brązowej, później następują oprawy jedwabne lub aksamitne, zawsze bogato haftowane, w końcu widzimy już skórę wyciskaną lub gładką. Bardziej jeszcze artystycznie przedstawiają się ozdoby i miniatury tekstu. Techniczni owych kodeksów twórcy i illustratorowie, posiadali swoje pracownie, gdzie wykonywano i sprzedawano owe księgi z miniaturami; można tam było również nabyć same obrazy do rękopisów gdzieindziej wykończonych. Owe pracownie dostarczały roboty rubrykantom oraz illustratorom. Tytuły albo ustępy rękopisów były zazwyczaj liniowane m i n i ą, potem znaczone c y n o b r e m albo r u b r y k ą. Samo malowanie nazywało się illuminowaniem, wykonawca zaś owych malowideł mienił

się illuminatorem. Nazwy te — illuministy i rubrykatora — spotykamy już w pomnikach z XIII. wieku. Cała praca prowadzona była w następującym porządku: najpierw kreślono zarys konturowy, a potem uzupełniano go i wypuklano farbami. Praca nie odrazu była do końca prowadzoną, malarz zapewne w celu zaoszczędzenia czasu, nakładał jedną farbę na różne karty pergaminowe. Tą drogą mistrz i jego towarzysz wykończali odrazu kilka miniatur. Inaczej jednak wyglądała praca miniaturzysty, który w pracowni ani pracowników nie posiadał, zwłaszcza kiedy nabywcy stawiali mu wymagania większego kunsztu, nie dozwalając na illuminowanie fabryczne. W takich wypadkach zmuszonym był sam wszystko wykonać, mając do pomocy jedynie tekę, obfitującą w mnogą liczbę kopii, wzorów i patronów. Jakaż była treść, jaki pokarm duchowy, który w tak kunsztownem podawano naczyniu? Możną i w zasoby obfitującą była średniowieczna literatura teologiczna, kupiąca się około katedr. Dobitne tego świadectwa wyczytać można w katalogach rękopisów kapitulnych. Weźmy jako wzór katedrę krakowską. Znajdujemy tu w archiwum ogromną liczbę kodeksów,



116. Podobizna homilii z archiwum kapituły krakowskiej.

dotąd drukiem nieogłoszonych, świadczących o niezwykłem bogactwie tego rodzaju rękopisów, zwłaszcza jeżeli się weźmie pod uwagę ile zginąć musiało, ile zagarnął nieprzyjaciel, ile zniszczyła dzika pogromcy ręka. Pierwszy dział liturgiczny obejmuje dziesięć mszałów, siedm pontyfików i tyleż ceremoniarzy, cztery psałterze i takąż liczbę ksiąg liturgicznych, dziewięć brewiarzy, dwadzieścia graduałów, antyfonarzy, kancyonałów i śpiewników. Dział ten tem bardziej zasługuje na uwagę, że zawiera rękopisy, z niedużymi wyjątkami najstarsze, z wielką różnicą w porównaniu do ksiąg liturgicznych, które światło dzienne ujrzały po ogólnej reformie, zapadłej na synodzie trydenckim. Dział drugi, mianowicie biblijny, mieści dwadzieścia kodeksów niezwykłego kunsztu i piękna. Pod względem twórczości, pierwsze miejsce należy się Pateryuszowi, jest to kodeks pergaminowy, pochodzący z końca XI. wieku, w spółczesnej oprawie, w deski i białą jerchę. Pismo posiada romańskie, tekst pisany czarnym inkaustem, do tytułów i inicyałów użyto cynobru, a niektóre majuskuły oddane zieloną i niebieską farbą. Tytuł tego kodeksu brzmi w najdawniejszym spisie kapituły krakowskiej — Moralia Joba. Powodu tej nazwy należałoby szukać w tej okoliczności, że pomieszczono tam przeważnie wyjątki z komentarzy na księgę

Joba, dokonanych przez papieża Grzegorza. W rzeczy atoli jest to dzieło Pateryusza, ucznia papieżowego.

Szczegół, który poniżej przytaczamy, dowodzi, że pisanym był w Polsce. U dołu przedostatniej karty, gdzie znajduje się rozbiór dziwną rzewność budzącego wiersza z księgi cantica canticorum, dopisano po polsku: tu płacz!...

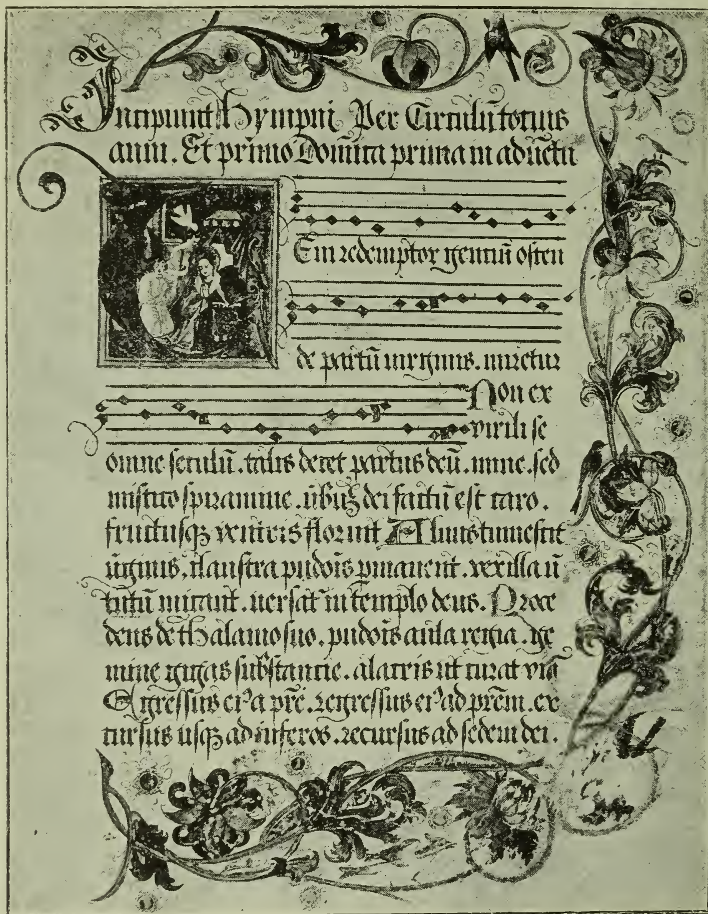
Podajemy obrazek miniaturowy w stylu romańskim, zdobiący jedną z homilij, pisanych prawdopodobnie w Polsce. Że nie była ona wykonaną za granicą, wiele świadczy dowodów. Znajdujemy tu przedewszystkiem pergamin gruby, ciężki, niejednostajny, pismo niezdradzające wyrobionego smaku, nie bardzo kunsztowne skrócenia i pisownię, jaką używano u nas, naprzykład patres carissimi — «prs kmi», a także próbę pióra słowami «Cracovie, ave Maria».

Dział trzeci, mieszczący prawo kanoniczne, ongi ilością najpokaźniejszy i w treść najbardziej bogaty, ogranicza się dziś do skromnej liczby dwudziestu jednej księgi, ale niektóre posiadają wartość pierwszorzędną. Jedna z nich nosząca tytuł «Decreta romanorum pontificum», przechowywana w archiwum katedry krakowskiej, winna być z pośród wszystkich wyszczególniona, jest to bowiem najdawniejszy podręcznik prawa kanonicznego, jakiego się uczono w Polsce (w początkach wieku XII.). Znajdujemy tu między innemi treściwe dekreta papieży, tudzież kanony z najstarszych koncyliów i wypisy wyjęte z ksiąg ojców kościoła, na poziom obowiązującego prawa kościelnego wyniesione.

W czwartym dziale, teologicznym, znajduje się ksiąg 34, przeważnie dzieła św. Tomasza. Piąty, na 35 woluminach, mieści mowy, kazania, homilie, żywoty świętych. Szósty w 13 kodeksach zawiera księgi ojców kościoła i tak dalej. Krótki ten wyciąg stanowi jedną dopiero grupę rękopisów — w jednej kapitule! A jakież ich bogactwo w innych katedrach, rozprószonych po ziemiach dawnej Rzeczypospolitej; a ile uległo zniszczeniu! Pierwsze ewanielie i mszały pochodziły z zagranicy. Były one wzorami dla naszych pisarzy. O późniejszych niemal na pewno twierdzić można, że powstały w kraju. Przemawia za tem i sposób pisania i ozdoby marginesowe, inicyały, miniatury. Kodeksy zawierające kalendarze, bezsprzecznie w Polsce były wykonywane. Świadczą o tem nieodbicie imiona polskich patronów w kalendarzach zaznaczone — św. Wojciech, Stanisław, Jadwiga i tym podobne, których napróżno szukać w obcych mszałach. Porównane z mszałami dzisiejszymi, zdradzają wielkie różnice. Nie ma w nich naprzykład poematów religijnych «prozami» zwanych. I archiwum kapituły gnieźnieńskiej przechowuje cenne skarby kodeksów średniowiecznych. Prócz wspomnianego wyżej mszału, ogólnie św. Wojciechowi przypisywanego, wymieniam na tem miejscu Missale et ordo Romanus, rękopis pergaminowy z czterech części złożony. Pierwsza obejmuje antyfonarz albo graduał zaopatrzony nutami. W drugiej znajdujemy Sequentiale z kanonem mszy św. Trzecia mieści Sacramentarium inaczej Oracye. Czwarta wreszcie zawiera Lectionarium. Ponieważ w księdze tej znajduje się msza św. Wojciecha, możemy z zupełną pewnością twierdzić, że została w Polsce napisaną.

W dziale literatury kanonicznej zasługują na uwagę: Gregorii IX. Decretalia cum glossis, pomnik wielkiej ceny, pergaminowy, dobrze zachowany, z dopiskiem łacińskim: Dał owe dekrety świętego kościoła gnieźnieńskiego Jan II. († 1298), biskup na stolicy Gniezna. — Summa de casibus, quam compilavit Fr. Bartolomeus, ordinis fratrum predicatorum, anno 1338, księga ręką Alberta de Liseczky odpisana. Śród ksiąg biblijnych wymieniam na tem miejscu: Biblia sacra, to jest pismo święte,

noszące na czele następujące wyrazy: «Niniejszą część biblii (od początku do rozdziału 3, księgi II) porównał wielebny ojciec Jarosław de Bogoryja, arcybiskup gnieźnieński. Ktobykolwiek biblię tę z kościoła gnieźnieńskiego sobie przywłaszczył (alienaverit), niech będzie wyklęty. Księga ta skorygowana z wielkim mozołem przez brata Piotra Chomery, lektora, a niegdyś przeora Dominikanów prowincyi polskiej w roku 1373».



117. Podobizna antyfonarza z miniaturą Piotra Postawy z Proszowic. (Z archiwum kapituły krakowskiej.)

Pobieżny rzut oka na katalog księgozbioru, będącego ongi w posiadaniu kantora płockiego Andrzeja, z 1354 roku, przekonywa, że w bibliotece swej zacny kapłan gromadził obok dzieł z prawa kościelnego, również odnoszące się do prawa świeckiego. Jest tu między innemi głośne «Zwierciadło praw» (Zwierciadłem sądów nazwane) Wilhelma Durantis. Czwarta księga de libellorum concepcione zawierała wzory formuł dla obrońców sądowych i notaryuszy, była więc w naszem sądownictwie stosowaną. Znalazły się w bibliotece ks. Andrzeja i Justyna Nowe insty-

tucye. Spis tytułów dzieł owych korzystnie przemawia za poziomem wykształcenia duchowieństwa w połowie XIII. wieku. Pełno w katedrach i klasztorach ksiąg treści religijnej, jako to graduały, antyfonarze, kancyonały i śpiewniki kościelne. To też wiele z tych skarbów czerpać mogą historycy sztuki i muzyki, również badacze dawnych obrzędów kościelnych. W tekscie znajdzie czytelnik wierną podobiznę pięknych obrazków z graduału tynieckiego, który wygotowali nasi mnisi w połowie XIV. wieku. Świadczy o tem wzmianka kopisty: Explicit liber de tempore per manus Przivislai kathedralis, compilatus per reverendum in Christo patrem divina providencia Mstislaum abbatem Tiniciensem. Orate pro eis. Kończy się księga katedralna własnoręcznie napisana przez Wielebnego w Chrystusie Przybysława, przepisana z łaski Bożej przez ojca opata Mścisława z Tyńca.

Jeden z antyfonarzy Nr. 321 kapituły krakowskiej, ozdobiony jest podobizną pisarza kodeksu. Ubrany w komżę i almucyę z popielic, klęczy, trzymając w ręku biret. U dołu napis: Piotr Postawa de Proszowice, szlachcic herbu Nałęcz, wikary katedry krakowskiej. Napróżno szukać w herbarzach szlacheckich tego nazwiska, trudno przecież przypuścić, aby było zmyślone. Nie mógł i nie śmiał umieścić zmyślonego herbu na książce pisarz, który ją do użytku codziennego w chórze przeznaczał. Łatwo bowiem odezwałby się głos protestu ze strony szlachty. Ze względu na pismo należy ów kodeks odnieść do końca wieków średnich, takim bowiem wspaniałym, ozdobnym gotykiem, jaki tu widzimy, pisano przeważnie w tym okresie.

Na bliższą uwagę zasługuje miniatura tak zwanej Piety, zdobiąca jeden z mszałów kapitulnych. Wyraz twarzy u Matki Boskiej uderza niezwykłym urokiem i pięknością, z oblicza Chrystusa bije boleść, a na twarzy św. Jana wiele charakteru. Nie duże to arcydzieło, odbijające wyraźnie od całej galeryi w mszale pomieszczonej, każe się domyślać, że je wykonał jakiś nieznany całkiem mistrz, który w dzieło swoje wlał cały zasób sztuki, uczucia, niemal pobożności. Niestety, wilgoć tę perłę nieco nadpsuła. Ceremoniarze biskupie czyli pontyfikały, które są tu dość licznie zachowane, mieszczą porządek i modlitwy przed mszą św., przy ubieraniu się, benedykcye i t. p. biskupów, w porównaniu z dzisiejszymi, przedstawiają się zupełnie odmiennie. Lubo do niczego służyć już w obecnych praktykach nie mogą, cennym za to są materyałem dla badaczów historyi porządku liturgicznego. Podług zwyczaju, jaki dziś w kościele obowiązuje, biskup po benedykcyi i katechumenorum odchodzi od ołtarza w zupełnem milczeniu, w starych zaś ceremoniach owszem, benedykcyą oddziela się w długiej, rzewnej modlitwie.

Wiele ciekawych szczegółów mieści ceremoniarz koronacyi Władysława Łokietka i Jagiełły. Skoro król wykonał już krótką przysięgę, pasterz dokonywający koronacyi, odwraca się do ludu i mówi po łacinie: «Czy chcecie obecnemu tu księciu i panu podlegać, rozkazów jego słuchać?» Lud wraz z duchowieństwem winien odpowiedzieć: «Radzi, radzi».

W brewiarzach viatici zwanych, a do chóru katedralnego przeznaczonych, znajdujemy psalmy, hymny, antyfony, responsorya, wykłady żywotów swiętych, lub ewanielie i oracye. Dziś jużby żaden kapłan z podobnych brewiarzy nie mógł odmawiać godzin kanonicznych, atoli w epoce Piastowskiej używano ich powszechnie.

W ogromnych zasobach rękopisów, nagromadzonych w bibliotekach kapitulnych, pokaźne miejsce zajmują zbiory kazań łacińskich. Kiedy systemat Arystotelesa został wprowadzony do filozofii, miano służebnicy teologii, mającej najszczytniejsze śród nauk miejsce, zajęła scholastyka, której berłu uległy wszystkie dziedziny życia

umysłowego. Piętno swego wpływu udzieliła ona także kaznodziejstwu. Księża zaprawiali się na niej w ścisłym wykładzie wiary, w dowodzeniu jej nauk na podstawie wniosków, wyciąganych dyalektycznie ze źródeł powagi, to jest pisma św. i z Ojców kościoła. Przepisywała ona także stosowną formę kazania. Każący kapłan winien był prócz rozkładu syntetycznego, poszczególne części kazania wiązać i w logicznym ustawiać szyku. Wymagania atoli przez nią stawiane, ile że zalecała gromadzenie cytatów, mnóstwo działów i poddziałów, więziły umysł i wyobraźnię kapłana, tłumiły wylew wierzącego serca. Okres Piastowski nie wiele nam przekazał pomników tego rodzaju, że przytoczymy na tem miejscu: Sermones Marcina Polaka, Henryka, kantora przemyskiego, Peregryna i Stanisława Stójkonia, miechowity. Długie kazania między niemi należą do wyjątku, po większej części są krótkie z oddzielonym wstępem, z tekstem, założeniem, podziałem i wezwaniem do modlitwy. Zdradzają zamiłowanie w alegoryach, bajkach, dykteryjkach, na ślad sądu krytycznego natrafić trudno. Forma zawikłana, rozczłonkowanie i szematyzm rozwinięte w całej pełni, wykład abstrakcyjny, niezajmujący, rozwlekły.

Przyjrzyjmy się z bliska kazaniu Marcina Polaka o miłości bliźniego. Z początku mamy tekst: «Będziesz miłował bliźniego swego, jak siebie samego». W tych słowach objaśnia kaznodzieja: 1. przykazanie miłowania bliźniego, 2. sposób tej miłości. Z trzech źródeł płynie skłonność ku pierwszemu: *a*) natura, *b*) przykazanie, *c*) przykłady. Ad *a*) przytoczone są przykłady zwierząt i słów parę objaśnień. Ad *b*) wymienione same teksty. Ad *c*) wzór Chrystusa Pana, św. Pawła, Mojżesza, w króciutkich tekstach. Z tego wszystkiego wypływa konkluzya o potrzebie kochania bliźniego, które winno być przestrzegane trzema sposobami: 1. sercem: 2. ustami, 3. uczynkami. Miłowanie sercem rozszczepia się na sześć sposobów: 1. nie gardzić, co udowadnia tekst przytoczony, 2. litować się, darować krzywdę — również zaświadczone tekstem, 3. nie gniewać się, 4. nie sądzić bliźniego w sercu, 5. nie pożądać jego rzeczy, 6. nie nienawidzieć — wszystko to uświęcone tekstami. Do miłowania ustami dochodzi się zarówno sześcioma sposobami: *a*) nie uwłaczać, *b*) nie pochlebiać, *c*) nie świadczyć fałszywie, *d*) przestrzegać miłości, *e*) nie zdradzać tajemnicy, *f*) nie wierzyć łatwo w złe bliźniego i nie obmawiać — wszystko znowu oparte na tekstach. Takaż liczba sposobów prowadzi ku miłowaniu uczynkami: 1. pomagać w potrzebach ciała, 2. znosić niedostatki bliźniego, 3. nie odstępować w nieszczęściu, 4. nie obrażać, 5. łagodnie się obchodzić w poszukiwaniach swego, 6. wszelkim sposobem starać się o zbawienie bliźnich. I tutaj punkt każdy wsparty odnośnym tekstem. Cały ten szkielet kazania Marcina, na scholastycznem rozgatunkowaniu rzeczy oparty, nie jest jednakże pozbawiony ustępów większej żywości, tu i ówdzie wpleciona złota nitka wyobraźni, a czasem nawet błyśnie iskierka dowcipu. W kazaniu, mianem na jednym z synodów, w ten sposób odzywa się o złych dusz pasterzach: «Pasterz zły, nie będący z pozyskanego ludu, ale z zatraconego, nie udziela żadnej pomocy słabym i biednym owieczkom swoim, ale wszystko, co posiada, ohydnie traci, nie pomnąc na to, że będzie musiał zdać liczbę, aż do szelążka, z dziedzictwa ukrzyżowanego. Modlitwa i nabożeństwa są u niego szczuplutkie, bo serce jego w tem jedynie zanurzone, gdzie kogo zarwać i wymodleniem odrwić. Tym przykładem i rozmową gorszy mnóstwo ludzi. Nawet trzody on na pastwisko słowa Bożego nie prowadzi, bo sam nie wiele w nauce wiary rozumie. I nic w tem dziwnego, więcej bowiem tacy wałęsają się po dworach królewskich, niżeli w królewskie księgi zazierają, łacniej słuchają Dawiska niż

Dawida, chętniej się szachem i matem zabawią, niż Mateuszem, częściej mówią o Markach niż o Marku, więcej polowaniem i łukiem zajęci, niż Łukaszem i t. p.

Peregryn, rodem z śląskiej Lignicy, przeor Dominikanów w Wrocławiu i Raciborzu, a roku 1305 prowincyał Dominikanów polskich, został — z polecenia Jana XXII. wraz z Mikołajem, Franciszkaninem, jednym z pierwszych inkwizytorów w Polsce — wysłany w celu pognębienia sekty Dulcyna, która puściła korzenie w dyecezyi krakowskiej i wrocławskiej. Kazania Peregryna, w liczbie 113, znane ogólnie pod tytułem Sermones de tempore et de sanctis, szybko się w wiekach średnich rozpowszechniły i były w XV. wieku kilkakrotnie wydane. Zalecają się prostotą, popularnym i zrozumiałym wykładem, nadto w nich wpleciono anegdot i obrazków z życia, czasem śmiesznych i już zupełnie gminnych, ale obok tego znajdują się porównania i przykłady wyjęte z dzieł uczonych, mianowicie z «Złotej legendy» Jakóba de Voragine.

Oto próbka o miłości męża dla żony, w kazaniu na drugą niedzielę po Trzech królach, wyłożona przez X. Peregryna: Wiele jest takich, co upiwszy się pod wierzbą, wracają do domu, aby całą swą krzywdę, którą tam ponieśli, oddać swym żonom w szaleństwie. Wtedy, porwawszy je za włosy, wloką z kąta do kąta i biją niemiłosiernie. Wielu znajdziesz takich, co żadnej zgoła swobody nie chcą małżonkom użyczyć, wszystko przed niemi trzymają pod kluczem, a one co potrzeba dać dziatkom nie mogą, nie mają za co iść do łaźni, tak, że nie wiem jaką im dać radę. Toż powiem wam o szczególniejszej naturze zwierzątka, co się zwie wiewiórką... O! teraz rzekną, niech będzie zdrów ksiądz dobrodziej, że tak dobrze za nami mówił przeciwko mężom, otóż powiem i inne rzeczy. Zdarza się czasem, że żony zasługują od męża na jeden policzek, bo o czemś większem nie wspomnę. Odziewają się one w płaszcz, który się wojną kobiecą zowie. Trwalszy on niż szkarłat, a co dziwniejsza, kiedy się nim już jaka pani przysłoni, wtedy choć się w nim co dnia ukazuje, nigdy go nie zdzieje, przez wiele lat w nim chodząc, choć się przez ten czas wiele płaszczów w szkołach zedrze. A tak się na wszystkie guzy w owym płaszczu zapnie, że kiedy on zagadnie: Ta rzecz jest jak śnieg biała, wtedy ona: raczej jak węgiel czarna, albo odwrotnie. W ten sposób niektóre często się pokazują, czego się o przytomnych bynajmniej nie mówi. Opowiadają o jednym filozofie, że przyszedł pewnego czasu do przyjaciela i mówił popłakując: Jestem z najnieszczęśliwszych ludzi, mam bowiem w ogrodzie drzewo, na którem się ot trzecia żona obwiesiła. Poradź co mam czynić. A przyjaciel: Nie rozumiem, czemu miałbyś płakać, ile że w tak wielkiem szczęściu aż na trzy żony zdobyć się umiałeś. Przestań łzy ronić, lecz się raczej raduj, boś złe żony utracił. Udziel mi, kochanku, latorośli z twego drzewa, to ją w moim ogrodzie posadzę, a może moja połowica na nią się skusi i w ślady twoich pójdzie.

Z wielu naraz źródeł korzystało kaznodziejstwo nasze. Czerpali każący kapłanie z zasobów piśmiennych i ustnych, brali podania pogańskie i chrześcijańskie, w mowy swe naprzemian to poważne, to lekkie przytoczenia kładąc, to ascetyczne, to znowu nieskromne. Źródło oczywiście rzadko podawane było, tym sposobem zacierały się nazwy osób, ich wiek i ojczyzna, a na ich miejscu wszystko przybierało kształty do warunków miejsca stosowane. Działo się tu podobnie jak z dykteryjkami, które w wieku XVI. odnoszono do Stańczyka lub Twardowskiego, a które właściwie już dawno były zachodowi znane, tam bowiem powstały. Dopiero później do kraju importowane, kupiły się koło jednej jakiejś popularnej, zwłaszcza dowcipnej osoby. Wedle twierdzenia profesora Brücknera, kazania były też źródłem, skąd lud czerpał

przesądy teologii, któremi swoje pogańskie zdobił wierzenia, stamtąd brał przezwiska nadawane swym demonicznym postaciom.

Przypominamy na tem miejscu po całej Polsce ongi krążącą wiarę w Boginki czyli duchy niewieście. Wiara ta przybrała później kształty chrześcijańskiej a raczej biblijnej Mamony, dzięki wpływom naszych księży.

Liczne kazania z XV. stulecia mieszczą gromy rzucane przeciw Mamunie, duchowi skąpstwa. W podobny do tej zmiany sposób tworzyła się niższa demonologia, gdzie owe postacie przeradzają się z biegiem czasu, a często kilka z nich zlewa się w jedną istotę. Granice tu oczywiście wykreślić trudno. W podobny sposób kościół wierzenia pogańskie odmieniał i przetwarzał. Kapłan u stóp swej ambony miał zazwyczaj tłuszczę ciemną, ospałą, która samo słuchanie kazania uważała sobie za zasługę. Trzeba ją było ożywić, zaciekawić, do siebie przywiązać. Oczywiście najlepszy sposób polegał na wplątaniu w naukę wiary dykteryjek i anegdot, zastosowanych do smaku słuchaczy. Już Chrystus dla prostszego rzeczy wyłożenia używał przypowieści, a papież Grzegorz w swych homiliach często przykłady z żywotów świętych przywodzi. Później i kaznodzieje poszli tą drogą i używali dla przykładu opowieści moralnych. W ten sposób podniecano uwagę słuchaczy, któraby się suchym nauk religii wykładem nużyła i słabła; sama nauka lepiej się w pamięci utrzymywała, skoro ją potrafiono związać z rzeczą, łatwo na tępą wrażliwość słuchacza działającą. Nie wiele z początku wygłaszano kazań, a i te rozwlekłością nie odznaczały się wcale, owszem raczej krótkością dziwiły. Dopiero kiedy się u nas zakon kaznodziejski zorganizował i siecią swego wpływu w głąb kraju sięgnął, coraz częściej dawali się słyszeć księża z ambony świątyń pańskich, aż wreszcie przemówienia kapłańskie i do kościołów wiejskich dotarły. Z biegiem czasu stają się dłuższe i bardziej w treść bogate, aż w końcu do tego stopnia swobodnie są wypowiadane, że wprost obrażają przybytek kościelny. Niewyczerpaną studnią przypowieści, któremi kazania urozmaicano, były tak zwane «Gesta romanorum», to jest «Dzieje rzymskie», które nic z dziejami wspólnego nie mają.

Dużo też materyału dostarczały przypowieści wschodnie, naprzykład «Historye o mędrcach» i inne, korzystano także z tak zwanych «bajek Ezopa» i średniowiecznych apologów, z fizyologów, to jest zbiorów przymiotów — najczęściej fantastycznych — różnych zwierząt, w końcu wiele przykładów dostarczało osobiste doświadczenie kapłana. Dla przykładu przytaczamy tu kilka takich przemówień. Któż z was nie zna owej przypowieści o występnym synie, który stojąc na rusztowaniu, gdzie miał być straconym, niby dla pożegnania zbliżył usta do ucha swej matki i ukąsił ją w małżowinę, skarżąc się, że ona w jego nieszczęściu zawiniła, nie hamowała bowiem dostatecznie jego zapędów, kiedy był młodym. Opowieścią tą, z dzieła Pseudo-Boecyusza o karności uczniów wyjętą, naucza w początku XIII. wieku kaznodzieja Jakób. Inna przypowieść mieści wiadomość o synie, który widząc jak ojciec dziadka swego w zniszczoną odziewa płaszczynę, prosi o takąż, żeby mógł mu ją na starość podarować. Znajdujemy ją u Marcina Polaka «Sermones de tempore et de sanctis». Jeden z owych wyżej przytoczonych zbiorów kazań, żywotów świętych i nauk duchownych, zawiera dość ciekawe legendy.

Jedna z nich, dotycząca św. Jana apostaty i ewangelisty, opiewa jak następuje. Pewnego razu trzymał św. Jan w ręku kuropatwę, co widząc jeden z młodzieńców, szepnął ukradkiem do towarzyszy: Pojrzcie jeno, jako starzec święty figluje z ptaszyną jakby chłopię. Usłyszał te słowa św. Jan, a zawoławszy owego młodzieńca,

zapytał: Cóż to masz w ręku? — Łuk — była odpowiedź. — Natężże go, rzecze starzec, i ciągnij. Młodzieniec uczynił co mu rozkazanem było, a długi łuk natężywszy, strunę trzymał, wreszcie spuścił. A czemuż to dłużej go nie trzymasz? — zagadnie święty. — Ów zaś odrzecze: gdybym go był dłużej trzymał, stałby się słabszy do strzelania ptaków. — Otóż widzisz — pouczył apostoł — taka jest słabość umysłu ludzkiego: musi niekiedy natężenie zwolnić, żeby był sposobniejszy do strzałów swoich, którymi musi po rzeczy wysoko leżące sięgnąć.

Dawno już leżą w gruzach ściany, o które się opowieść ta i tym podobne, często powtarzane, odbijała, spoczęły w grobach pokolenia słuchaczy, baśń jednak przechowała niejedno do dziś dnia, co też czasem tu i ówdzie wybiegnie na usta ludu w wolnej od pracy chwili.





ROZDZIAŁ PIĄTY.

SZKOŁY.



W głębokiej pomroce giną początki wychowania, które nie będzie młodszem od rodzaju ludzkiego. Zawsze zaś i wszędzie jest ono zawarunkowane stosunkami społecznymi. Wskutek zależności jednostki od państwa była pedagogia w świecie starożytnym despotyczna, służyła za środek do celów politycznych — miała dostarczyć państwu żołnierzy i retorów. Chrześcijaństwo przynosi zarodki nowego na wychowanie poglądu, uczy: kochać dzieci. Uświeca też godność wychowawcy: «Ktoby przyjął jedno dzieciątko w imię moje — powiada Chrystus — mnie przyjmuje». Kościół spełniał misyę wychowawczą, przetapiając surową rudę barbarzyńskich żywiołów na czyste złoto cnót chrześcijańskich. Uświęcał je krwią męczenników i utwierdzał ofiarami miłości bliźniego. A w tej iście apostolskiej pracy zajmuje szkoła, pod skrzydłami kościoła znajdująca przytułek, nie ostatnie zadanie. Już w pierwszych wiekach po narodzeniu Chrystusa występują na widownię szkółki, najczęściej przy klasztorach lub w parafiach. Fala najazdów nieprzyjacielskich pochłania to, ale po przejściu jej znów się odradzają. Literatura ojców kościoła rzuca pierwsze ziarna teoryi pedagogicznej. Czem św. Bazyli był dla klasztornego wychowania, tem się stał św. Jan Złotousty i św. Hieronim dla wychowania rodzinnego. Słynny zaś doktor kościoła, ów wielki filozof, który «ochrzcił Platona», św. Augustyn, doprowadza pedagogię chrześcijańską do rozkwitu. Lubo nie ujęta w system, przeszła ona świat cały i puściła spóźnione swe korzenie w Polsce.

Myśl wieków średnich krążyła chętnie w zaczarowanem kole tajemnic wiary, zostawiając na uboczu naturę ludzką, jej funkcye życiowe i potrzeby społeczne. Ideał był z góry, a priori, objawiony, podany w postaci dogmatu. Droga do urzeczywistnienia jego była również dedukcyjną. Po tych relsach posuwała się zwolna pedagogia teoretyczna, wszędzie tym samym prawie torem. Nacisk okoliczności

życia zrodził pedagogię praktyczną czyli właściwie dydaktykę. Kościół potrzebował do swej obsługi kapłanów, a tych trzeba było sobie wychować. Taki jest początek szkół katedralnych i klasztornych, mających wyłącznie na oku praktyczne cele duchowieństwa. Ksiądz miał się w nich nauczyć mszę odprawiać i wyrozumieć elementa wiary, które zaszczepiać będzie w duszy owieczek. Ponieważ jedynie duchowni posiadali tyle wiadomości, aby je mogli drugim udzielać, mieli więc faktycznie monopol wychowania, którego nie dali sobie potem z rąk wyrwać i strzegli, jak oka w głowie. Cały zarząd szkoły był kościelny. Parafia była jednostką administracyjną szkolnictwa, kapituła z kanonikiem, zwanym od czynności tej, scholastykiem, przedstawiała władzę szkolną, proboszcz był z urzędu swego kierownikiem szkoły. Trzymano się bowiem tej zasady, że duchowny jest tem samem i nauczycielem. Jak całe duchowieństwo miała nauka szkolna jednakową organizacyę. Wszędzie uczono tych samych przedmiotów. Plan ówczesny zawierał siedm tak zwanych sztuk wyzwolonych, obejmujących dwa kursy: w trywium uczono gramatyki, dyalektyki i retoryki; w kwadrywium wykładano muzykę, arytmetykę, geometryę i astronomię. Wogóle jednak wymienione tu nazwy przedmiotów nie dają właściwie wyobrażenia ani o treści ówczesnej nauki szkolnej, ani o jej zakresie. Są to raczej pierwsze próby klasyfikacyi nauk, sięgające jeszcze neoplatońskich czasów. Ojcem kwadrywium był Jamblichius — z czwartego stulecia po Chrystusie. — On to wyrzekł owo dziwnie dla nas brzmiące zdanie, że «arytmetyka jest podstawą muzyki a geometrya astronomii». Jeden z glosatorów czyli przypiśników alegorycznej eklogi Teodula, broniącej w surowej i niekształtnej łacinie prawd wiary chrześcijańskiej, w ten sposób określa ówczesny program szkolny: Cztery są przeszkody wstrzymujące dzielność natury ludzkiej. Z tych najważniejsze są: niewiadomość i milczenie. Przeciw niewiadomości wynaleziono kwadrywium, to jest cztery sztuki wyzwolone, jako to: muzykę, arytmetykę, geometryę i astronomię. Przeciw milczeniu postawiono trywium, to jest trzy sztuki wyzwolone: gramatykę, dyalektykę i retorykę.

Najcięższym grzechem ówczesnego wychowania była skostniała formalistyka. W nauce posługiwano się książkami kilkaset lat przedtem pisanemi. Oto naprzykład uczono z gramatyki Aeliusa Donata — u nas przez całe wieki średnie, aż do XVI. stulecia — napisanej jeszcze w IV. wieku po Chrystusie. Nauczyciel ten św. Hieronima napisał dwie gramatyki, z których mniejsza «Ars minor», ułożona w popularnej na owe czasy formie pytań i odpowiedzi, używaną była najczęściej jako podręcznik w naszych szkołach. Zachował się jeszcze w bibliotece Jagiellońskiej taki «Donatus» z XIV. wieku, zwany theologicalis, zapewne dla tego, że przykłady przytoczone z autorów «pogańskich», celem objaśnienia reguł, czerpane są z pism kościelnych. Boecyusza książki, również powszechnie używanej w wyższym oddziale, należą do końca V., czy do początku VI. stulecia. Oprócz tych książek podawano uczniom, jako zwyczajny pokarm, tak zwane «Doctrinalia», których i u nas znajdziesz w bibliotekach, między rękopisami z XIII. i XIV. wieku. Wymieniam tu słynne Doctrinale pueorum Aleksandra de Ville-dieu, zwanego także Dolensis († 1250), który cieszył się u nas i za granicą niemałą wziętością. Książka ta, pisana dla lepszego spamiętania reguł — leoninami — to jest wierszowanym heksametrem, składała się z dwunastu rozdziałów w 2645 heksametrach, prawiła zaś o deklinacyi, kompozycyi, konstrukcyi, akcentowaniu i t. p., a musiał się tego każdy uczyć na pamięć. Do podręczników szkolnych, któreśmy przyjęli z zagranicy, bo na własne nie mogliśmy się jeszcze zdobyć, należą: Disticha moralia Dyonizego Katona. Był to wybór zdań,

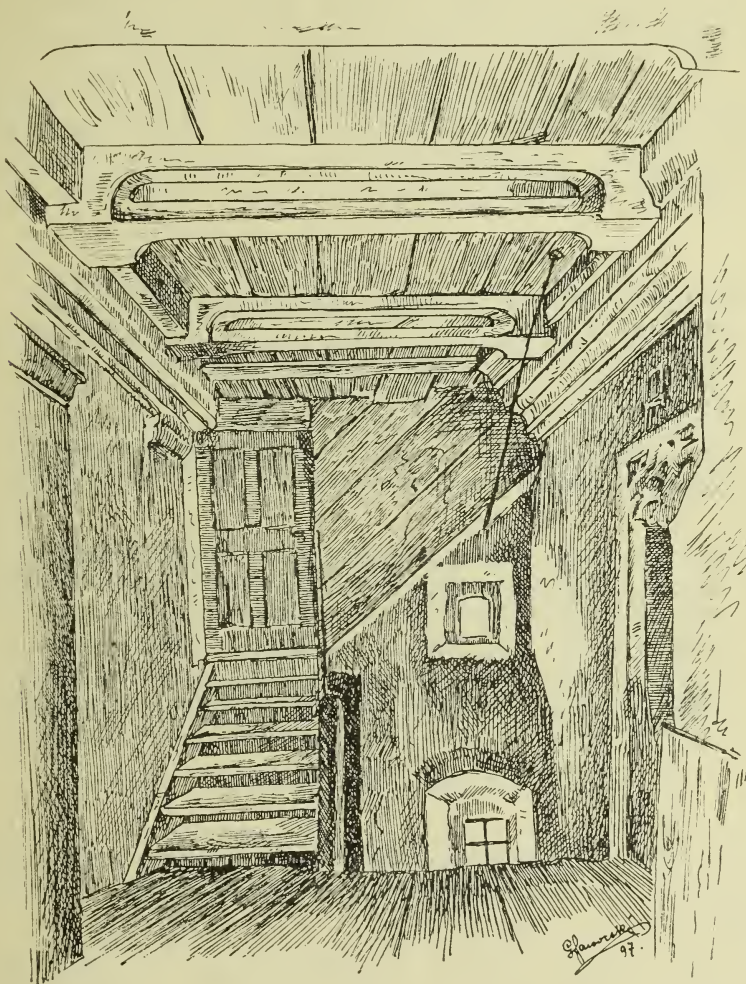
czyli sentencyj obyczajowych, pisany również wierszem, formę tę bowiem uważano za najodpowiedniejszą do celów wychowawczych.

W rękopisach biblioteki Jagiellońskiej mamy jeden kodeks z dystychami Katona z roku 1383, a przedruki i tłumaczenia ich spotykamy jeszcze w XVI. wieku. Wypisuję kilka przykładów z tych dwuwierszowych sentencyj: «Deo supplica» (Proś Boga), «Pugna pro patria» (Walcz za ojczyznę), «Libros lege» (Czytaj książki) i t. p. Z licznych przeróbek tego dzieła znany jest tak zwany, «Cato novus», pisany leoninami, «Cato christianus interpolatus» i t. p. Trafiają się w nich czasem trafne rady pokochania nauki, pracy i wcale praktyczne przepisy, jak postępować w rozmaitych okolicznościach życia. Znajdujemy jednak więcej rzeczy zupełnie dla wieku chłopięcego nieodpowiednich.

Z poematu Teodula o 352 wierszach — leoninach — uczono się zasad religii. Autor tej książki, włoch — nazwisko jego zmyślone, oznacza sługę Bożego — oddając się nauce w Atenach — w X. jeszcze stuleciu — ułożył, na podstawie sporu chrześcijan z poganami, któremu się przysłuchiwał, allegoryczną ową eklogę. Spierają się tu z sobą pasterz Beustin, uosobienie fałszu, z pasterką Alicyą, opowiadającą boskie prawdy, tamten wielbi pogaństwo, ta staje w obronie wiary chrześcijańskiej. Rozstrzyga tę uczoną waśń Fronensis, wcielenie rozstropności. W tej szermierce, odbywającej się podług wzoru Wergilego, na czterowiersze, mieszają się bajki mitologiczne z zdarzeniami starego testamentu. Książki te — jak widzimy — nie nadawały się wcale do nauki szkolnej, służyły jednak w tym celu z braku dzieł innych. Nie odczuwano może potrzeby lepszych do nauki podręczników. Druk nie był jeszcze znany, odpisywanie kodeksów drogie i utrudnione, uczono więc z jednego rękopisu całą klasę, albo dyktowano lekcye i odpytywano z pamięci. Naukę w szkole, zwanej dziś ludową, rozpoczynano — powiada prof. Karbowiak — od machinalnej recytacyi psalmów pokutnych, albo pacierza w języku łacińskim. Nauczyciel mówił słowo po słowie, a uczniowie powtarzali je tak długo za nim, aż je spamiętali. Następowała potem właściwa nauka: najpierw czytanie. Zaczynało się poznawaniem głosek, które powoli układano w zgłoski i słowa, a z nich tworzono zdania. Czytanie odbywało się zazwyczaj na gramatyce Donata, albo na psalmach Dawidowych. Trwało to czasem około trzech lat! Gdy chłopcy nabyli już wprawy w czytaniu, przystępowali do pisania, do czego się używało tabliczek, powleczonych woskiem, na których pisano rylcem. Poczem następowało pisanie na pergaminie, piórem i atramentem.

Na naukę tę kładła szkoła średniowieczna wielki nacisk i osięgała znakomite wyniki, o czem świadczą manuskrypty XIII. i XIV. wieku, niekiedy wielce starannie pisane. Naukę śpiewu rozpoczynano od pierwszej chwili wstąpienia ucznia do szkoły, a to w tym celu, aby mógł jak najprędzej brać udział w nabożeństwie kościelnem, co było jednym z głównych celów szkół ówczesnych. Nauka języka łacińskiego zaczynała się od czytania, przechodziła potem do «czytania przypadków», to jest do deklinacyi, za nią szła konjugacya, poczem przystępywano do składni i stylistyki. Nauczyciele używali do praktycznych ćwiczeń różnych zbiorów listów i dokumentów, jako podręczników do nauki dyplomatyki, korespondencyi i t. p. Świadczą o tem przechowane w bibliotece Jagiellońskiej, »Exempla instrumentorum» z XIV. wieku, albo «Regulae cancellarieae». — Co powinien był umieć przeciętny uczeń średniowieczny po ukończeniu szkoły? Z gramatyki łacińskiej: fleksyę i metrykę, z dyalektyki: figury syllogizmów, z retoryki: definicye rodzajów mowy, jej podział i zasady zwrotów

krasomówczych, z arytmetyki: pisanie liczb, łatwiejsze wypadki czterech działań całkowitemi liczbami i niektórych liczb cudowne, tajemnicze własności, z geometryi: pojęcia linii, figur i brył, z astronomii: obliczenia kalendarza, z geografii: kilkadziesiąt nazw i wiele cudownych bajeczek, z muzyki: śpiew choralny w kościele. Bezwzględna surowość, obok bezkarności, cechuje postępowanie nauczycieli. I nic naturalniejszego.



118. Wnętrze sionki szkoły średniowiecznej w Tarnowie.

Nauka nie budziła zajęcia, zrażała do reszty iście rzemieślnicza metoda, stąd bunty i buta uczniów, a jedyne na to lekarstwo: boćkowski. Językiem wykładowym od szkół początkowych był język łaciński, co wydaje się dziś «krzyczącym błędem». W owych czasach jednak miał znaczenie języka powszechnego i był najdogodniejszym środkiem porozumienia się najodleglejszych narodów. Nauka jego mordowała wprawdzie ucznia w dzieciństwie, a do późnej starości nauczającego, ale raz nabyta.

odpowiadała potrzebom życia praktycznego. Używano go bowiem w sądzie, w dyplomacyi, w kościele, w prywatnej nawet korespondencyi — i może więcej zbliżał do siebie ludzi, niż to dziś czynią wiekopomne wynalazki kolei, telegrafów, telefonów i t. p.

Jedną z głównych wad średniowiecznej nauki jest tak zwane memorowanie czyli zbyt mechaniczne ćwiczenie pamięci ucznia. Usprawiedliwia się to drożyzną i rzadkością rękopisów, używanych do nauki, których brak dotkliwie odczuwały zwłaszcza biedniejsze szkółki. Z konieczności więc przestrzegano w szkole zasady rzymskiej: «Tyle wiemy, ile pamiętamy». Nie było bibliotek, gabinetów, przyrządów, w ogóle brak było wszelkich środków pomocniczych — wszystko to zastąpić miała pamięć, która winna była stać się i rozległą, i wierną i trwałą. Należało przeto rozwijać tę «władzę duszy», uważaną za złoty klucz, otwierający skarbnicę wiedzy ludzkiej. Po wprowadzeniu w życie książek drukowanych i tym podobnych środków,

k. 249.

k. 249!

119. Najstarszy spis dzieł w archiwum kapituły krakowskiej.

ułatwiających nabycie wiadomości, wyglądała niemiłosiernie ćwiczona pamięć jak klacz wyścigowa, wracająca po przegranej do domu — stała się dla potomnych straszydłem.

Opłakanym był stan budynku szkolnego w średnich wiekach. Izba służyć musiała za salę szkolną i mieszkanie nauczyciela zarazem. W lecie siedzieli uczniowie na ziemi, w zimie na słomie — ławki należały do zbytkowego urządzenia, mogły się niemi poszczycić jedynie wyższe szkoły. W tych zaś uczyło równocześnie po kilku nauczycieli naraz uczniów o różnych stopniach wykształcenia. Przy boku mistrza ze stopniem akademickim, w najwyższej szkole za granicą zdobytym, widziałeś jak locatus, ledwie czytać i pisać umiejący, mordował biednych żaków. I kiedy tamten wysilał się, aby zaszczepić w mózgach dyscypułów swoich zarazki dyalektyki, owej «kłutni o kocią wełnę» lub mozolił się odczytywaniem rebusów kalendarzowych, z których wyciągał trafem sprawdzające się przepowiednie, ten przemocą wtłaczał w głowę wąsalów — bo i tacy nie byli rzadkim zjawiskiem — początki

lichej łaciny lub śpiewu kościelnego, co powtarzali uczniowie niezliczone razy, dopóki do pamięci ich nie przylepło.

W ten sposób uczono naprzykład cyzyojanów, to jest kalendarza, składającego się z 24. wierszy łacińskich. Pierwsze dwa brzmiały tak: Cisio-Janus Epi. sibi vendicat Oc. Feli. Mar. An. Prisca Tab. Ag. Vincenti Pan. Pol. Car. nobile lumen. Każdy wyraz lub zgłoska oznaczały skróconą nazwę święta, a z liczby zgłosek, liczonych od początku wiersza, aż do owej nazwy, poznawano, w którym dniu, miesiącu, święto to przypadało. Cóż to był za trud niesłychany wyuczyć się na pamięć takich brzmień bez związku i treści!

Zajrzmy do ówczesnej biblioteki, co nam do pewnego stopnia zastąpić może nieznany bliżej plan nauki szkolnej z jej podręcznikami. Biblioteka katedralna w Krakowie — jak wykazuje spis z XII. wieku, podany tu w podobiznie — zawierała 46 książek. Wyłączając psałterze, mszały, brewiarze i tym podobne księgi, do użytku kościelnego przeznaczone, mamy tu pięć dzieł teologicznych i jedno filozoficzne — Boecyusza, o pociechach filozofii. — Sallustyusz dźwiga wszystkie działy historyi. — Na barkach «Longobardów» spoczywa gmach nauk prawnych. Natomiast znajdujemy tu aż czterech poetów: Komedye Terencyusza, dla pięknego języka a płaskich konceptów wielce ulubione i dla tego często w średnich wiekach przepisywane. Z utworów Owidyusza mamy tylko Listy z Pontu, może dla tego, że miejsce wygnania poety, skąd były pisane, uważano za kraj sarmacki. Wreszcie ciemna i naperzona epopea Stacyusza: Tebaida i satyry Persyusza w dwu egzemplarzach. Wymieniam tu jeszcze księgi etymologiczne Izydora z Sewilli, coś w rodzaju encyclopedyi scholastycznej. Katalog późniejszy, co do liczby dzieł nie o wiele bogatszy, ma już odmienny charakter. Poeci ustępują miejsca prawnikom i historykom. A było to znamiennym rysem czasu, króry za Kazimierza Wielkiego, króla gospodarza, staje się praktyczniejszym i nabiera głębszej świadomości narodowej.

Życie szkolne żaka nie było za wesołe ani zajmujące. Nauczanie na pamięć rzeczy, których nie rozumieli, trudziło chłopców. Do reszty zniechęcał kij albo rózga. Jako urozmaicenie nauki uważano udział w nabożeństwie, procesyach, pogrzebie i weselu. Bójki z żydami były na porządku dziennym.

Jeżeli Mieszko Stary, szczery przyjaciel żydów — który pozwolił im na bicie osobnej monety — kazał żakom wymierzać plagi, za poturbowanie starozakonnego, to następcy jego nie zawsze trzymali się tej polityki. Młodzież polska była w ogóle hulaszcza i skłonna do wybryków. Niezapominajmy bowiem, że żacy, to nie dzieci. Uczniowie szkół katedralnych pełnią już obowiązki wikarych i powoływani są na świadków, przy czynnościach prawnych.

Szkolarze, wraz z swywi nauczycielami, brali też udział w widowiskach, profanując świątynie w sposób niepojęty dla naszych wyobrażeń o przyzwoitości. «Nieraz w kościołach — powiada spółczesny świadek — odbywają się igrzyska błazeńskie, a nie dość, że wprowadzają do kościołów potworne larwy, ale co gorsza, dyakoni, kapelani i subdyakoni, poniżają powagę kleru, gdy wobec ludu, niby trefnisie szalone, wyprawiają sprośne gestykulacye.» Był to głos wołającego na puszczy i trzeba było surowych zakazów, aby kościół od tych «bezeceństw» uwolnić. Wtedy «rozpasane» żaki krakowskie innego poszukają miejsca i niedaleko od miasta leżący klasztor tyniecki poturbują «burząc braciszkom spokój i serca ich wielce gorsząc».

Idąc za obmierzłym zwyczajem tego wieku, są słowa St. Łaguny, święto Bożego Narodzenia i dnie następne spędzają na pijatyce, śpiewkach bezwstydnych, igraszkach i innych obrzydliwościach, biją się aż do rozlania krwi, a zapasy klasztorne rozszarpują. W tych warunkach, za natchnieniem Bachusa, mógł się urodzić ów makaroniczny wierszyk zapisany w rękopisie XIV. wieku:

Est bona lex nalej,
Melior pij,
Optima wypij!

Nie był to zresztą zwyczaj polski, lecz spólny całej Europie. — Brali też czynny udział nauczyciele, wraz z młodzieżą szkolną, w t. z. «Gregoryance», t. j. uroczystości obchodzonej 12 marca, ku czci św. Grzegorza, przyjaciela i opiekuna szkół. Przybrani w dziwaczny strój i potworną maskę, wyprawiając pocieszne ruchy przed łaknącym śmiechu tłumem, osładzali sobie biedni nauczyciele w takiej dobie gorzką dolę całego roku. Podobne chwile nie często się zdarzały, ale były bardzo wesołe. Nawet młodzieży szkolnej dozwalano wtedy trzech uciech t. j. wina, łaźni i zabaw. Przeważny udział w tych publicznych igrzyskach brali nauczyciele wędrowni.

Początki szkół w Polsce odnieść można do czasów pierwszych Piastów. Doszła nas wieść niepewna o szkole kuryalnej na dworze Bolesława Śmiałego, a miała istnieć jeszcze za Mieszka Starego. Poźniej chętnie garnie się młodzież na dwory. W zaraniu dziejów jest to jeszcze wyjątkiem. Roczniki zapisują to jako niezwykłe zdarzenie, jeżeli następca tronu — jak naprzykład Kazimierz, syn Mieszka II, — oddany zostanie na naukę. Ma dwór znaczenie raczej towarzyskie niż naukowe. Tu zbierała się drużyna księcia, kapelani, urzędnicy ziemscy, na tem miejscu zetknęły się po raz pierwszy różne stany, a okoliczność ta jest wielkiej doniosłości, doświadczenie bowiem, jakiego się na tej drodze nabywa, przewyższa każdą inną szkołę. Kazimierz Sprawiedliwy otacza się gronem ludzi uczonych, z którymi rozważa przykłady ojców świętych i czyny sławnych mężów, ćwicząc się w dyalektyce, «podwójną stronę kwestyi naprzemian popierając». Z podniesieniem się duchowieństwa rozpoczynają kapituły swą działalność w kierunku oświecenia. Powstają szkoły przy katedrach, biorąc bezpośredni pokarm duchowy z zagranicy (naprzykład z Clairveaux). Jak kronika Galla była czytanką w szkołach kuryalnych, tak kronika mistrza Wincentego w szkole katedralnej. Duch scholastyki dotarł był już i do progów szkoły polskiej, jak tego dowodzi lubowanie się w Kadłubku, w jego argumentowaniu moralizującem i napuszonem, w determinacyach i konkluzyach.

W XIII. wieku wychodzi pierwszy zastęp naszej inteligencyi ze szkół katedralnych, owi magistrowie i scholastycy, których tak często napotykasz w ówczesnych dokumentach. Najznakomitsi ze szkoły przy katedrze krakowskiej, dalej po nich idą z gnieźnieńskiej i wrocławskiej. Możnaby koło nich ugrupować szczupłą zresztą garstkę naszych pomników. Oto naprzykład ze szkoły krakowskiej wyjdzie Wysz pierwszy z Polaków kapelan papieski, mąż znany z nauki i uczciwości, domniemany autor prologu do rocznika kapitulnego. Niebawem nie wystarczą już chciwym nauki scholarzom szkoły krajowe, podąża więc za granicę, na zachód i południe, aby u źródła zaczerpnąć zasobów wyższego wykształcenia i zasiąć przy wspólnej biesiadzie duchowej.

Nastąpiła wreszcie chwila, kiedy poczęto coraz bardziej wypierać obce duchowieństwo z wyższych godności i wysunęła się potrzeba bardziej oświeconych księży

polskich. I oto scholarowie udają się na zagraniczne uniwersytety po wiadomości i ogładę. W XIII. stuleciu pielgrzymki w obce kraje były na porządku dziennym. Miejscem, najbardziej przez Polaków uczęszczanem, była Bolonia, tam bowiem znajdował się uniwersytet, który usunął w cień wszystkie prawnicze wszechnice europejskie. Tutaj zajaśniało prawdziwe słońce glosatorów. Olśniewające blaski nauk prawnych rozchodziły się z Bolonii po całym cywilizowanym świecie. Tłumy uczniów i ludzi pragnących wiedzy ciągnęły do tych Aten średniowiecznych. Podają, że znakomity Asso, profesor prawa cywilnego, wykładał przed audytoryum, składającem się z bajecznej liczby 10.000 słuchaczy. Około tego czasu przybywają do Bolonii pierwsi Polacy, a już w 1265 r. w liczbie 14 nacyi zaalpejskich, znajdujemy i naszą. Do podniesienia się uniwersytetu przyczyniły się władze świeckie i duchowne. Napływ cudzoziemców niemałe przynosił korzyści miastu, nadawano więc scholarom liczne prawa i przywileje. Papież, świadom podpory, jaką mieć może w rozwoju prawa kanonicznego, znosi partykularne studyum w Bolonii, podnosząc je na wyższy szczebel studyum generalnego. Stało się to z niemałą korzyścią dla uniwersytetu, któremu od tej chwili przysługiwało prawo nadawania stopni naukowych, powszechnie uznawanych. Nadto poleca kurya papieska kapitułom wysyłanie księży do Bolonii i na czas studyów, które trwać miały pięć lat, uwalnia ich od obowiązków duchownych, żeby tym sposobem mogli się zupełnie nauce poświęcić. Hasło to przyjęto z zapałem. Z wszystkich krajów, nie wyłączając Polski, płyną tysiące pielgrzymów po wiedzę na znakomitą wszechnicę. — Organizacya wszechnicy bolońskiej bardzo się różniła od naszych uniwersytetów, opierała się bowiem na zasadach prawdziwie demokratycznych. Istniały tu obok kolegiów profesorów, uniwersytet uczniów, podzielony na kilkadziesiąt nacyj, mamy tu obok pięć kolegiów profesorów prawa, artystów, medyków i teologów, pięć uniwersytetów uczniów prawa, medycyny i sztuk wyzwolonych. Nadto akademicy pokrewnej narodowości składali kilka nacyj, gwoli wzajemnej pomocy towarzyskiej; istniały też bursy, konwikty i t. p. Cały uniwersytet, w ten sposób, tworzył istną rzeczpospolitę, hołdującą swobodzie i powszechności wiedzy. Na ołtarzu tych ideałów złożyli scholarze ogromny zasób sił duchowych. Jako środka ich obrony używali tak zwanej secesyi, to jest gromadnego przenoszenia się na inne uniwersytety. Na tej drodze zdobywali coraz szersze prawa i przywileje, albowiem mieszczanie nie chcieli być narażeni na nowe straty, z któremi zawsze sprzężone były owe tłumne emigracye. Największe przywileje przyniosła im secesya z r. 1321, którą zorganizował Jarosław Skotnicki, późniejszy arcybiskup gnieźnieński, a ówczesny rektor ultramontan w Bolonii. Nastąpiła ona skutkiem uwięzienia i potajemnego stracenia jednego z uczniów uniwersytetu.

Opowiada kronikarz nasz, Janko, że stało się to za fałszywem oskarżeniem pewnego mieszczanina bolońskiego, który za pieniądze odstąpił żonę swą prawnikow z nacyi angielskiej. Studenta pojmano i ścięto. Podług innej wersyi, opowiadanej przez Bolończyków, miał jakiś student hiszpański zakochać się w wnuczce słynnego profesora prawa, Jana Andreae. Idąc za głosem serca uwiódł ją z domu rodzicielskiego, co utratą życia przepłacił. «Infamia — krzyknęła młodzież — spadła na nasz stan; prawo nasze o nienaruszalności ucznia, przez cesarzów i papieży nam nadane, zgwałcono niecnie, nie możemy pozostać dłużej w mieście, które nie umie nas uszanować». Szybko więc wzięto się do wykonania zamiaru, pomyślanego w słusznem rozdrażnieniu. Studenci, za przewodem Skotnickiego, emigrują z Bolonii do Imoli; Niemcy udali się do Sienny. Miasto widząc, na jakie straty może być narażone

z powodu tego gromadnego przesiedlenia, rozpoczyna rokowania. Za pośrednika uproszono papieża Jana XXII. Bolończycy postawili za warunek wybudowanie kaplicy, w którejby się odprawiały modły za duszę straconego studenta. W muzeum bolońskiem do dziś dnia oglądać można tablicę fundacyjną tej kaplicy. Rzeźba prostokątna wyobraża dwie grupy osób klęczących. Strój ich długi, ruchy poważne. Po prawej stronie stanął Skotnicki, mając obok siebie dwu rajców bolońskich. Zewsząd wznoszą się nabożnie dłonie do góry, gdzie śród obłoków unosi się postać Królowej nieba.

Obiór rektora należał do studentów. Polacy kilkakrotnie dostępowali tej godności. W 1289 roku był Polak rektorem medycyny, w 1321 roku na fakultecie prawniczym, w 1348 roku powtórnie na medycznym. Dowodzi to, jak ważne stanowisko musiała zajmować, śród innych, nacya polska. Najwyższej tej godności mógł dostąpić jedynie ten, kto godnie potrafił reprezentować cały uniwersytet. Winną mu była głos swój oddać większa część nacyi. Długo trwał bój o wybór rektora. Silniejsze nacye spychały w cień słabsze. Dopiero w 1265 roku postanowiono, aby każda nacya miała swoje pięciolecie, w ciągu którego przysługiwało jej prawo obioru.

Studenci ówcześni nie oddawali się wyłącznie nauce. Miały do nich dostęp i prądy polityczne. W XIII. wieku ścierały się na wszechnicy bolońskiej stronnictwa Welfów — do których należeli Polacy — z Gibelinami, którym hołdowali Niemcy. W zaraniu XIV. wieku duża nawet chmura zawisła nad uniwersytetem; gotowała się walka między nacyami. Rektor miał być wybrany z nacyi polskiej, czemu się stanowczo Niemcy sprzeciwiali. Sprawę wytoczono przed trybunał sądu akademickiego; ci ostatni mieli na Polaków oskarżenie o podstęp. Wspomniany wyżej profesor prawa, Jan Andreae, zrazu obojętny na te waśnie, stanął teraz po stronie Niemców. Zwycięstwa im jednak nie przysporzył, albowiem audytor i zastępca podesty bolońskiego oczyścił Polaków od winy i przyznał im słuszność. Nie ulega wątpliwości, że te spory studenckie były odgłosem waśni domowych. Polacy, wychodząc z ustawy zasadniczej, orzekającej, iż «należenie do pewnej nacyi opiera się na zasadzie poddaństwa, a nie języka», żądali, żeby «synowie kolonistów niemieckich, w ich ojczyźnie osiadłych, zapisywali się do nacyi polskiej». Ale Krzyżacy, mimo, że w ziemi chełmskiej mieszkali, tudzież Ślązacy, łączyli się z Niemcami, w ten sposób bogacąc liczebnie ich grono. Nareszcie tu i ówdzie połyskujące płomyki niezadowolenia wybuchły w świętokradzkiej bójce. Stało się to w sam dzień koronacyi Łokietka. Roczniki niemieckie zachowały ten krwawy, w dziejach bolońskiego uniwersytetu, wypadek w symbolicznym znaku szpady. Walka odbyła się w kościele. Rozjątrzeni scholarze rzucali na siebie lichtarze, porywając je z ołtarzy. Zwycięstwo zostało przy Polakach, co pociągnęło za sobą pewną odmianę odnośnego paragrafu ustawy: «odtąd — bowiem — brano za podstawę zapisu do nacyi miejsce urodzenia scholara a nie zamieszkania».

Zresztą scholarzy nie brali bardzo do serca tych waśni, a nauka nie czyniła z nich ludzi obojętnych na świat i uciechy życiowe. Życie płynęło śród nich wartkiem korytem. Szelest togi mieszał się z dźwiękiem szklanki i odgłosem namiętnych pocałunków. Oto jeden obrazek, cechujący tych «przedsłanników odrodzenia»: Władysław Piastowicz, bawiący się wesoło na wszechnicy padewskiej, był pewnego razu zapytany przez mieszczanina, czyby nie chciał zakosztować innego rodzaju roskoszy. Książę oczywiście przystał. I oto nazajutrz zjawia się w mieszkaniu księcia

śliczna dziewczyna i ze łzami w oczach prosi o litość. Wysłał ją ojciec. Przyszły arcybiskup zdjęty litością odesłał dziewczynę do domu i zajął się jej losem.

Polacy przyjmowali czynny udział w rozwoju akademii bolońskiej; przez długi czas jedno z pierwszych miejsc należało się nacyi polskiej. Po raz pierwszy znajdujemy nazwisko polskie w spisie nacyi ultramontańskiej z roku 1265. Pierwszy raz zawitali Polacy w Bolonii na początku XIII. stulecia, a pierwszymi uczniami byli św. Jacek i św. Czesław. Wysłał ich do Bolonii Iwon, biskup krakowski, który ongi kształcił się w Wicency i zajmował tam stanowisko prokuratora nacyi ultramontańskiej. Od tej chwili płyną ciągle do Bolonii gromady żądnych wiedzy Polaków. Najwięcej wyrusza ze Śląska i Małopolski. Świadczy to bezwątpienia, że ziemie te nie ustępowały bynajmniej miejsca innym kraju dzielnicom w ruchu umysłowym. Szybko zresztą przebiegał prąd cywilizacyjny przez Polskę. Nie małą odgrywało tu rolę przeświadczenie o ważności wykształcenia zagranicznego i bujny wzrost zakonu Dominikanów, których stolicą była Bolonia. Tutaj bowiem przdewszystkiem przyszedł św. Dominik i począł głosić swą naukę, podobnie jak w dwa stulecia później zawitał do Krakowa Jan Kapistran, aby sobie zjednać zwolenników śród uczniów Almae matris. W Bolonii zapoznał się św. Dominik i z naszymi Odrowążycami i nakłonił do wstąpienia w szeregi swoich wyznawców. Święty Jacek, który łatwo mógł zostać biskupem, odbył krótki nowicyat, poczem go św. Dominik wysłał na północ, którą podniósł blaskiem swej misyi apostolskiej. Cuda, dokonywane przez pośrednictwo św. Dominika, były nie małą zachętą dla Polaków do osiadania w Bolonii. Po Jacku zawitał na wszechnicę bolońską Piotr, kanonik krakowski, który r. 1234 był uczniem mistrza Wilhelma w Padwie, skąd przyniósł notatki z czterech ksiąg sentencyi Piotra Lombarda. Znajdują się one dotąd w archiwum kapituły krakowskiej. W rocznikach tejże kapituły czytamy pochlebną wzmiankę o Jakóbie, kanoniku krakowskim († 1267), który był niezwykle wykształcony w prawie kanonicznem. Ukończywszy studya filozoficzne, słuchał prawa cywilnego w Bolonii (pod Accurziuszem) i został doktorem dekretów (pod Bernardem z Bostonu).

Potrzeba wyższego wykształcenia nie obejmowała jedynie kół duchownych. Powoli począł się podnosić umysłowy poziom ludzi świeckich. Wielu Polaków uczęszcza w Bolonii na medycynę i filozofię. Spotkać ich można również w Padwie i na znakomitym fakultecie medycyny w Montpellieur.

A wówczas były warunki zdobywania wiedzy o wiele trudniejsze, niż obecnie. Na kupno książek, które w niewielu kursowały egzemplarzach, niestać było każdego. Toteż zazwyczaj przechodziły one dziedzicznie z ojca na syna, który z kodeksem odziedziczał niejako i naukę. Zasadniczą cechą wiedzy średnich wieków nie jest samodzielne badanie, ale objaśnienie, nie źródło, ale komentarz jest kanonem. Medycyna takiej pochodni, któraby oświecała jej labirynt tajemnic, nie miała zupełnie. Dopiero Tadeusz z Florencyi dokonał pierwszego wyłomu. Za podstawę wiedzy leczniczej uznał naukę Hipparcha, którą w sposób scholastyczny objaśnił. Szkoła jego wydała kilku Polaków, tak zwanych gracystów, a w roku 1289 jeden z nich został podniesiony na zaszczytne stanowisko rektora medyków zaalpejskich.

Ten pobyt Polaków na południowych uniwersytetach miał ogromne dla kraju znaczenie. Przedewszystkiem przekonali się Polacy, jak nie wysoki jest ich poziom umysłowy i nie wielką wiedza wobec tego, co widzieli we Włoszech lub Florencyi. Pięknie to wyrażone u jednego z autorów naszych, który pracę swoją wszechnicy bolońskiej poświęcając, przypomina ową przypowieść św. ewanielii o niewieście,

rzucającej dwa miedziaki do skarbonki Pańskiej. Po powrocie do kraju widzimy byłych słuchaczy uniwersytetu, zajmujących wysokie stanowiska urzędowe. Niektórzy zasiadają na stolicach biskupich, inni w charakterze mistrzów i doktorów, żyją na dworach książęcych, a nie jeden dostępuje najwyższej godności kanclerza. Jan Radlica, słynny medyk ze szkoły monteperulańskiej, który roku 1348 piastował godność rektora bolońskiego, po ustąpieniu Zawiszy z Korozwęk, zajął jego stanowisko kanclerza. Potem objął godność biskupią, a w końcu zamianował go Ludwik węgierski nadwornym lekarzem. Również Tadeusz Ślązak, Monteperulańczyk, biskup Sarepty († 1338), zasłynął jako sławny lekarz. Literatura medyczna zawdzięcza mu dzieło z zakresu terapeutyki pod tytułem: «Mihi competit» (Mnie przystoi) i słownik medyczny. Oba te dzieła przechowuje w rękopisie biblioteka wrocławska. Znakomity fizyk i filozof, Witelion, kształcił się w Padwie, Marcin Polak, historyk i prawnik — w Bolonii i t. d.

Studya na obcych uniwersytetach nie mało przyczyniają się do zadzierżgnięcia łańcucha, łączącego kulturalną Europę z Polską, okazują czynny udział Polaków w pracy cywilizacyjnej, podnoszą do poziomu energicznych i zdolnych pracowników. Z drugiej strony, ponieważ z początku wyłącznie, a później przeważnie duchowieństwo kształciło się za granicą, zdobyta wiedza dopomogła mu do otrzymania przewagi nad nieświadomem możnowładztwem. Odtąd przez długi czas duchowieństwo wyłącznie dzierzyło w swej dłoni pochodnię oświaty i władzy.

Z początku XIII. wieku zaczynają się te wędrówki magistrów i scholarzy a liczba ich z każdym rokiem rośnie, pomnażając zastęp zwolenników reformy kościelnej. Wzmaga się ilość ksiąg przywożonych z zagranicy i podnosi poziom naukowego wykształcenia. W drugiej połowie XIII. wieku ruch Polaków na uniwersytetach w Bolonii i Padwie jest tak wielki, że tworzy tam osobne nacye polskie. Widzimy naszych na uniwersytetach w Paryżu i Montpellier, w następnem zaś stuleciu po całej środkowej Europie, a nawet w Oksfordzie. Dr. Windakiewicz naliczył 166 imion Polaków, którzy przed założeniem uniwersytetu krakowskiego pobierali wykształcenie za granicą — wyłaczając Pragę, najliczniej zastąpioną. — Dodawszy do tego 56 doktorów prawa i 38 medycyny, którzy żyli i działali w kraju, otrzymuje około 260 Polaków wykształconych na wszechnicach zagranicznych. W tym pokaźnym szeregu spotykamy imiona wybitnych osobistości. Biblioteka Erfurcka przechowuje dotychczas dziełka Mikołaja Polaka, lekarza Monpellierskiego z XIII. wieku. O praktyce jego lekarskiej, na dworze Leszka Czarnego, podaje ciekawą wiadomość rocznik t. z. Traski. Tomasz, biskup Sarepty, napisał dwa obszerne kompendya lekarskie. Jak uniwersytet w Montpellier wydawał lekarzy, tak Bolonia wychowywała prawników. Zjawiają się doktorowie dekretów, profesorowie prawa, z których jeden, mistrz Salomon z XIII. wieku, weźmie prym Włochom. Za granicą kształcą się znakomici kanonicy polscy, Stefan Polak, Wawrzyniec Polak, i najgłośniejszy z naszych Bolończyków Marcin Polak, którego poznamy bliżej. Jeden z Gryfitow pojedzie na naukę do Padwy, gdzie się wykształcił nasz wiekopomny optyk Witelio, a gdy zabraknie środków dalszego kształcenia, stryj sprzeda wioskę za 100 grzywien, aby mu dostarczyć pieniędzy na utrzymanie. W tej gorączkowej pogoni za nauką biorą udział — jak to wykazał St. Łaguna — obok synów pańskich, obok ziemian i «księżyców», dzieci ubogiego i służebnego ludu. Ileż tytułów zdobył sobie już w XIII. wieku syn gminu, mistrz Jakób ze Skarzeszowa: Dziekan krakowski, scholastyk bamberski, kantor kujawski, kanonik wrocławski, kapelan

Ojca świętego, oraz króla Czechów i t. p. Nabrawszy biegłości w nauce filozofii, oddał się studyom prawnym, kanonicznym i cywilnym, na których cztery lata w Bolonii spędził, co większa, «wyborny doktor dekretów», «wielki obojga prawa doktor», jaśniał cnotami. A głos powszechny zarzucał ówczesnym jurystom skłonność do serwilizmu względem możnych tego świata. Mistrz Jakób nie znał lisich przebiegów, czciciel sprawiedliwości nieugięty, ani się dał ująć pochlebstwy, ani zastraszyć groźbą.

Szkoły krajowe spoczywały w rękach przeważnie świeckiego duchowieństwa. Klasztory zajmują tu drugie miejsce. Do pierwszych zakonników utrzymujących szkółki należeli Benedyktyni tynieccy. Wszelako skutek ich działalności nie mógł być z początku zbyt znaczny, nie znali bowiem języka krajowego. Nie wykluczony jest natomiast wpływ moralny. Ideał Alkuina, który za przewodnią gwiazdę wychowania obrał sobie charakter, może tkwił jeszcze w pamięci Benedyktynów. To pewna, że za naukę nie pobierali zapłatę prócz dobrowolnych datków, zapewne z razu bardzo szczupłych. Z wzrostem zakonu w dostatki i mienie zmniejsza się chęć i zamiłowanie do nauki. Zakonnicy — powiada St. Zaleski — porobili się panami. Opat tyniecki tytułuje się abbas centum villarum, ma licznych wasalów. między nimi książąt.

Za przykładem braci zagranicznych, zajęci zarządem licznych dóbr swoich, uwolnili się u nas wcześnie mnisi od mozołu uczenia dzieci. W rubryce «Zasługi zakonów około wychowania» — oprócz wzmianki o Benedyktynach tynieckich i trzemeszeńskich kanonikach regularnych — świecą puste karty.... Zastępują ich księża świeccy.

Pierwsze szkoły katedralne znajdowały się pierwotnie w mieszkaniach biskupów, którzy byli pierwszymi ich nauczycielami. Przy mnożących się coraz więcej czynnościach, biskupi nie mogli długo zajmować się nauczaniem szkolnem i zdali ten obowiązek na jednego z kanoników, zwanego scholastykiem, albo magistrem (to jest mistrzem). W miarę zwiększającej się liczby uczniów przybierał on drugiego nauczyciela do pomocy, submagistra. Zazwyczaj uczył starszy pisma św. i śpiewu, i dla tego tytułowano go teologiem, drugi uczył niższych przedmiotów i zwał się gramatykiem. Z biegiem czasu uwalniają się zupełnie scholastycy od żmudnych obowiązków nauczycielskich, aby doglądać tylko podwładnych w charakterze dzisiejszych kierowników lub inspektorów. Ale nie pozbywają się dochodów, przeznaczonych wyraźnie tylko za naukę. Lepsi wynagradzali to utrzymywaniem przy katedrach biednych żaków.

Z usunięciem się z areny szkolnej scholastyków, traci społeczeństwo polskie drugą po zakonnikach warstwę nauczycieli. A strata ta była nie mała dla oświaty powoli i z trudem przez ciemności się przedzierającej. Z wzrostem i rozkrzewieniem się kolonizacyi niemieckiej, z napływem wędrownych nauczycieli, nastaje nowy okres w szkolnictwie naszem, zaczyna się powoli sekularyzować czyli staje się świeckiem.

Szkoły nasze wszelkiej kategoryi miały na celu kształcenie na kapłanów. Usiłowania — co prawda bardzo słabe — aby szerzyć oświatę wsród szerszych kół, natrafiały na trudności i obojętność ludu, obawa bowiem ciężarów utrzymania szkół przewyższała nadzieję korzyści, jakieby z nich odnieść mogli. Przyczyną zakładania nawet szkółek parafialnych — otwierają je u nas od XIII. wieku — nie było: krzewienie oświaty ludu, ale potrzeby kościoła, jak to udowodnił prof. Karbowiak. Zbyt szczupłe i rzadkie szkoły katedralne i kolegiackie nie mogły pomieścić wzmagającej

się z czasem liczby uczniów, trzeba więc było zakładać szkółki przy parafiach. Ale w miastach, gdzie istniała szkoła katedralna, sam biskup, z obawy o jej byt, lub o ubytek scholarzy, nie pozwalał na otwarcie pod bokiem nowej szkoły.

Skoro przez kolonizacyę niemiecką wzmożony ruch przemysłowy spowodował potrzebę oświaty, zaczęto zakładać szkoły miejskie, i z nich to wyszedł pierwszy zastęp młodzieży mieszczańskiej. Szkołę taką utrzymywali rodzice uczęszczających do niej synów. W większych miastach, jak naprzykład w Krakowie, kierownik szkoły miał w XIV. wieku takie pobory dzienne, że mógł sobie za nie kupić dwie duże kury i kilka jaj, a czasem starczyło na zakupno małego prosięcia. Pomocnicy jego, zwani po prostu czeladnikami, pobierali naturalnie mniejsze dochody. Uczniowie mieli nadto obowiązek w zimie dostarczać po wiązce drzewa na opał szkoły. W mniejszych szkołach nauczyciele, nie mogąc wyżyć z takowych danin, trudnili się ubocznie pisarką, byli notaryuszami, utrzymywali bursy dla uczniów i t. p. Władza kościelna miała — jak wiadomo — prawo nominacyi nauczycieli. Otóż rady miejskie, ponoszące ciężar utrzymania swych szkół, dążyły do emancypacyi z pod tej władzy. Nie zależało im na wydobyciu się z objęć wiary katolickiej, której praktyk sami przestrzegali; nie o religię tu chodziło, ale o prawo głosu w sprawach, za ciężko zapracowany grosz powołanych do życia. Przychodziło więc z powodu tego do zatargów między kapitułą i jej w tych rzeczach zastępcą, scholastykiem katedralnym z jednej, a zarządem miejskim i radnymi miasta z drugiej strony. Kończyło się zaś zwykle zwycięstwem tych ostatnich. W szkole parafialnej Najśw. Panny w Krakowie miał już w XIV. wieku prawo mianowania nauczycieli magistrat.

Szkoły parafialne nie różniły się zresztą w niczem od klasztornych, lub katedralnych niższego stopnia. Punkt ciężkości leżał i tutaj w łacinie. Dla objaśnienia tylko posługiwano się językiem polskim, a jeżeli nauczyciel był Niemcem, gwarą niemiecką, której dzieci nie rozumiały.

Szkoły miejskie stanowią ważną kartę w dziejach oświecenia. Zakładali je u nas osadnicy niemieccy, w czem popierali ich książęta śląscy, stojący najbliżej światła zachodu, ale najbardziej oddaleni od ognisk życia narodowego. Nauczyciele, Niemcy, szerzyli tu mowę i ducha swojej ojczyzny i tem szkodzili sprawie narodowej. Trudno jednak zaprzeczyć, że od nich zaczyna się postęp w naszem szkolnictwie. Emancypujemy się powoli z pod władzy administracyjnej kościoła, zaczynamy uwzględniać potrzeby innych stanów, po za duchownym. Na schyłku tego okresu występują już świeccy nauczyciele, kiedy na jego początku nikt nawet pomyśleć nie mógł, aby nie duchowna osoba była nauczycielem. — Pytanie, czy wolno nauczać po za kościołem, poruszono już dawno za granicą. Jestto zasługą mieszczaństwa (hanzy), przedstawicieli kapitału ruchomego, że berło monopolu wyrzucono z ręki duchowieństwa. A jak trudnem było to zadanie, tego dowodzi okoliczność, że miasta stały już u stóp tronu, jako doradcy korony, doszli już do potęgi wojskowej, a nie mogły się zdobyć na założenie — wbrew duchowieństwu — choćby jednej szkółki. Dopiero w XIV. stuleciu zaczynają swój żywot stałe szkoły miejskie. Za przykładem bogatych Holendrów i Szwabów zdąża w tym czasie i Śląsk, a mianowicie Wrocław, Szczecin i inne miasta, w końcu i ziemie rdzennie polskie. Nauczanie stało się rzeczą wolnego przemysłu. A przyczynili się do tego głównie wędrowni nauczyciele. Z kijem w ręku przebiegali oni od miasta do miasta, szukając zatrudnienia. Nie znalazłszy umieszczenia przy szkole katedralnej, ton nadającej, zaciągał się biedak w służbę miejską, szedł na czeladnika rektora miejskiego, po którym oddziedziczał w spadku

berło zarządu szkoły. Niejednokrotnie jednak, najęty przez miasto na rok jeden tylko, rozkładał tu swój warsztat szkolarski, brał na własną rękę pomocników, rajcy bowiem układali się z samym tylko majstrem, tak samo, jak przy każdem innem przedsiębiorstwie, naprzykład przy budowie ratusza. Wszystko szło po miejsku, po cechowemu, a stan nauczycielski, nawet artyści, kroczyć musieli po tym ubitym gościńcu. Uczeni zwykli wylewać swe brudy na te kadry wędrownych bakałarzy. Zapewne zakres ich wiadomości nie przechodził czasem nizin umysłowych żaka, ledwie co rozpowitego z pieluch łaciny. Nie byli oczywiście śmietanką inteligencyi, mają jednak tę dużą w pedagogii zasługę, że w sporze o monopol szkolnictwa z duchowieństwem, szalę zwycięstwa przychylili na stronę wyzwalających się. Wolni, niezależni, nie mający nic do stracenia — nadawali się za narzędzie do opozycyi. Nie walili oni taranem w twierdzę szkoły oficyalnej, ale nieznacznie, cichaczem wkradali się w sferę jej działania. Kościół opierał się otwieraniu bram szkoły po za swymi murami, ale zgadzał się na to, że ubogi przybysz nauczał przez rok jeden lub więcej na śmieciskach miejskich. Zasada monopolu nie była przez to naruszoną. Zrazu bowiem był to zazwyczaj jakiś kleryk, lub przynajmniej scholarz, który uczył, nie zakładając właściwej szkoły. Z czasem jednak zamieniły się te uczelnie w stałe szkoły miejskie, pod samoistnym zarządem miasta. Nauczyciel taki wyrównywał przepaść między oboma stanami, miejskim a duchownym, zacierał drażliwe pytanie, tkwiące na dnie sprawy, był niejako pośrednikiem między szkołą a kościołem, spełniał bowiem obowiązki nauczyciela i organisty, rektora i śpiewaka kościelnego.

Od dzisiejszych nauczycieli, urodzonych w szkole i ginących na tym posterunku, odbija jaskrawo rzesza owych wędrownych bakałarzy, co to nigdzie nie zagrzali dłużej miejsca. Gniazdem ich rodzinnem są Niemcy, gdzie się nazywają: Fahrende Schulgesellen. Ojcem ich stan mieszczański, matką przeludnienie. Wskutek hiperprodukcyi bakałarzy po ludnych miastach niemieckich, które ich już pomieścić nie mogły, byli zniewoleni opuścić ojczyznę i szukać na obczyźnie zatrudnienia. Po drodze zbierali towarzyszy, znajdujących się w podobnem położeniu. W tej wędrówce przymierali czasem z głodu, częściej doznawali gościnnego przyjęcia na plebanii lub w klasztorze, gdzie ich używano — zwłaszcza podczas odpustów — do posług duchownych. Prowadziło to zresztą wolne, próżniacze, a nieraz i hulaszcze życie, co ściągało do wesołego cechu osoby nie mające bliższych z zawodem nauczycielskim stosunków, jak naprzykład grajków, komedyantów, cyganów i tym podobnych biednych «okpigroszów». Za przykładem nauczycieli poszła wreszcie i młodzież sama, rzuciwszy w kąt obmierzłą łacinę i psałterze. Potworzyły się tym sposobem całe bandy koczujących szkolarzy, które wyszedłszy z Niemiec wstępowały najpierw do Śląska lub na Pomorze, a stamtąd wyruszały w głąb Polski, gdzie z braku sił nauczycielskich otwierały się lepsze widoki. Wielu z tych nauczycieli wędrownych, oderwawszy się od swoich towarzyszy, uwiesiło się przy naszych szkołach parafialnych, miejskich, a nawet katedralnych, gdzie otrzymywali miejsce pomocników nauczycielskich, kantorów lub podobne pełnili posługi. Zastępujących rektora szkółki, nazywano l o c a t i, a że się zajmowali początkowo nauką, zowią się także s t a m p u a l e s. Służyli za psie pieniądze, żywili się ochłapami lub niedojadkami ze stołu rektorskiego, a zdarzało się nawet, że szli po domach żebrać. Przykarmiwszy się lub naskładawszy nieco grosza, przyłączali się do nadchodzącej kompanii nauczycielskiej, szli dalej szukać szczęścia i — wiatru po świecie. Wytrwalsi czekali cierpliwie na opróżnienie się jakiejś posady, kręcili się koło rajców, schle-

biając i prosząc, aż zabiegi ich uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem. Polaków bowiem ubiegających się o korzystniejsze i wyższe stanowiska nie nęciły twarde stołki katedr rektorskich. Na tej drodze więc zdobywali Niemcy coraz więcej posad nauczycielskich, aż groziło, że zagarną w swe ręce szkolnictwo miejskie. A były to szumowiny duchowieństwa i bakałarstwa niemieckiego, nie mogące pokonać konkurencyi na ojczystym łonie, prawdziwi Kulturtregerzy z dodatniemi i ujemnemi właściwościami zwolenników prądu «Drang nach Osten».

Spowodowało to biskupów do wydania ustawy, wzbraniającej przyjmowania obcokrajowców na nauczycieli. Kościół często ponawiał w tym duchu rozporządzenia, snać mocno zakorzenili się w szkołach Niemcy, a kierowały nim względy praktyczne, przedewszystkiem potrzeba duchowieństwa, umiejącego w ojczystym języku przemawiać do ludu. Chodziło o to, aby owieczki swe nauczyć najgłówniejszych zasad wiary, po prostu pacierza, bo jeszcze w XIII., a nawet XIV. stuleciu całej masie ludu polskiego obcem były główne artykuły wiary. Ustawy te językowe duchowieństwa przyczyniły się pośrednio do ochrony języka krajowego i do powolnej polonizacyi mieszczaństwa niemieckiego, miały więc społeczno-narodowe znaczenie. Z tego też względu zasługują na wyszczególnienie.

Do pierwszych biskupów, którzy zrozumieli grożące z tej strony narodowi niebezpieczeństwo, był arcybiskup gnieźnieński, Pełka. Przypominając plebanom w statucie z roku 1237 obowiązek utrzymywania szkół, zakazuje równocześnie «aby nie brali do nich Niemców, chyba w polskim języku biegłych, którzyby mogli tłumaczyć młodzieży autorów po polsku». Podobny zakaz wydano na synodach łęczyckim i kamieńskim w drugiej połowie XIII. stulecia. W roku 1285 zebrał się wielki synod pod pastorałem arcybiskupa, Jakuba Świnki, postanawiając między innemi: «aby nie przypuszczać cudzoziemców do beneficyów, ani też nie brać nauczycieli szkolnych, tylko dobrze język polski umiejących». Mimo tych zakazów, niemieczczyzna szerzy się w Polsce jak zaraza i to nietylko w szkołach mieszczańskich, ale nawet katedralnych i zakonnych. Dlatego też w statucie synodalnym z roku 1313 przypomniano z naciskiem dawniejsze w tej mierze uchwały, stanowiąc: «aby dla ochrony i rozkrzewienia języka polskiego przy kościołach katedralnych i zakonnych, trzymano nauczycieli takich tylko, którzyby dobrze po polsku umieli i mogli dzieciom wykładać autorów na język polski». Gdy i te zakazy puszczono mimo ucha, synod prowincyonalny uniejowski w roku 1326 ponowiwszy dawne uchwały, zagroził karą interdyktu tym wszystkim, którzyby obsadzili szkoły cudzoziemcami. Widać jednak, że nie bardzo przestraszono się tej groźby, skoro Jarosław Skotnicki, arcybiskup gnieźnieński, zniewolony był ponowić ją na synodzie kaliskim w roku 1357.

Stanowisko zajęte przez duchowieństwo polskie wobec tych przybyszów, jeżeli nie przeszkodziło ich napływowi, to przynajmniej zniewalało ich do uczenia się i tolerowania w szkole języka polskiego. Zaczęto go używać potem do wykładu w innych szkołach i na tej drodze zrobiono bodaj czy nie pierwszy wyłom w twierdzy łacińskiej, której ruiny do dziś jeszcze otaczają czcią w szkolnictwie średniem. Nauczyciel przemawiał już wówczas tylko do młodzieży doroślejszej po łacinie, język ojczysty jednak nie stanowił jeszcze samodzielnego przedmiotu nauki. Długo bowiem nie mogliśmy się pozbyć uprzedzenia — snać mocno zakorzenionego — do tej nauki, skoro i dziś jeszcze odzywają się głosy, że języka macierzystego nie potrzeba uczyć, skoro go każdy od dziecka rozumie. Jak mało dbano u nas o język ojczysty, dowodzi stan jego w następnych stuleciach, w których powoli dopiero wyrabia się,

łamiąc zapory i trudności, dowodzi zamęt w pisowni, aż do czasu zaprowadzenia druku w Polsce. Były to skutki lekceważenia nauki języka ojczystego w szkołach. Doszło do tego, że nauczyciel lub uczeń gotując się na lekcye, a nawet ksiądz wstępując na ambonę, układał sobie brulion w języku łacińskim, a dopisywał u góry nad łacińskimi wyrazy polskie. O czem przekonać się można z rękopisów kronik, które weszły w liczbę dzieł, przeznaczonych do nauki szkolnej. W regule były i te objaśnienia w języku łacińskim i wyglądają jak scholia rzymskie, tekst zasypany znaczkiem glos po marginesach i między liniami.

W wiekach średnich oświata nie szerzyła się z dołu, przez szkoły niższe — średnich prawie, że nie znano — ale z góry, przez akademie. Jeszcze prawa indukcyi i ewolucyi nie znane w teoryi, nie znalazły zastosowania w praktyce szkolnej. Postępowano dedukcyjnie, chciano od razu posiąść sam kwiat nauki. Szkół było za mało, ale stanowczo za wiele uniwersytetów. Naliczono ich w Europie, u schyłku XIV. stulecia, dwadzieścia i siedm. Jak całe szkolnictwo, spoczywały i one w ręku duchownych. Cesarz i książęta panujący, którym przysługiwało prawo ich zakładania, odnosili się mimo to do papieża z prośbą o zatwierdzenie swej fundacyi. Przyznawano głowie kościoła niejako zwierzchnictwo duchowe. Dodawała sankcya papieża pewnej powagi nowo otworzonej instytucyi. Z miejscowej stawała się przez to powszechna, nabierała międzynarodowego znaczenia. W murach uniwersytetów średniowiecznych gromadzili się studenci różnych narodowości, a stopnie, jakie otrzymywali na jednym uniwersytecie, miały walor na wszystkich. Kościół rzymsko-katolicki wycisnął swe znamię i na tej instytucyi. Miał w niej przedewszystkiem swego zastępcę w osobie kanclerza uniwersytetu, zazwyczaj biskupa. Dostarczał w ogóle sił nauczycielskich i uposażał je w beneficya. Nic więc naturalniejszego, że i te najwyższe szkoły miały charakter duchowny. W tym duchu kształcono też u nas i za granicą młodzież wieków średnich. Stąd poszło, że tak profesorów, jak studentów zaliczano do stanu duchownego. Ustawy naszego uniwersytetu, podobnie jak innych, polecają zarówno pierwszym, jak i drugim, ubiór duchowny, albo do niego przynamniej zbliżony.

Uniwersytet średniowieczny nie był wszechnicą nauk, jaką szczycić się mogą naprzykład dzisiejsi Niemcy. Był to instytut, podobny raczej do naszych szkół średnich, z korporacyą nauczycieli i uczniów, urządzoną na wzór internatów i cechów zarazem. Znamionowała tę szkołę pewna swoboda, do dziś w objawach szczątkowych przechowana na naszych uniwersytetach: posiadała rozległy samorząd, własne sądownictwo, zarząd beneficyów i t. p. Do najstarszych należy, słynny z wydziału medycznego, uniwersytet w Salernie (w XI. wieku), z wydziału prawniczego bo loński, a teologiczno-filozoficznego paryski. Były one tłumnie odwiedzane przez młodzież, a nawet ludzie starsi opuszczali swe stanowiska i spieszyli zaczerpnąć światła i nauki z tej skarbnicy wiedzy. Dla braku środków wyższego wykształcenia zastępowały ówczesne uniwersytety: biblioteki, księgarnie, czasopisma, odczyty i t. p. Powstanie uniwersytetów, ich szybki wzrost i tłumna frekwencya, są chlubnem świadectwem dla owych «ciemnych» wieków średnich, odczuwających potrzebę i pragnienie wiedzy, bardziej od dzisiejszego. Obecne pokolenie straciło wiarę w naukę, a ufność do jej przedstawicieli. Ówcześni ludzie, nie skosztowawszy jeszcze jej zatrutych owoców, wyciągali dłonie do owych twierdz duchowych, i mimo, że przystęp do nauk wielce był utrudniony, szturmem je zdobywają. Ogarnęła świat formalna gorączka wiedzy. Porzucano dom, rodzinę, zajęcia zawodowe, — ojczyznę, aby podążyć na jakiś sławny

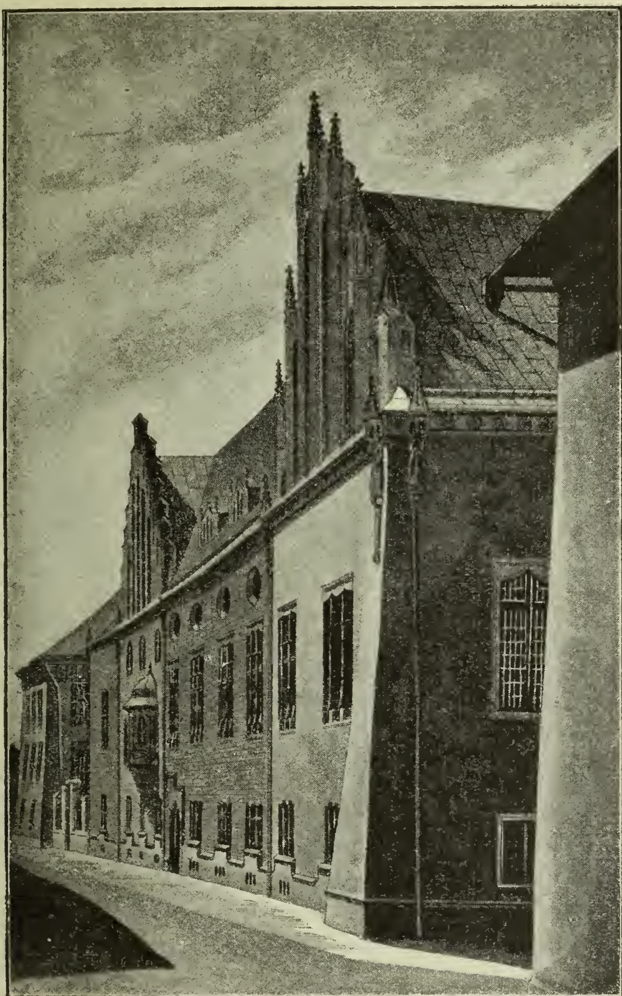
uniwersytet. Nie znalazłszy szukanego kamienia mądrości na jednym, podążano na drugi. A działał tu także niespokojny duch wieków średnich.

Po wędrówkach ludów, nastały wędrówki rycerzy, trubadurów, rzemieślników, kupców, wreszcie przyszedł czas na wędrówkę uczniów i nauczycieli. Jak w Niemczech mamy typ wiecznych uczniów, zwanych bemooste Häupter, tak w średnich wiekach istniał typ wędrującego kleryka (clericus vagans) i tym podobnych scholarów. Nęcił też stan akademicki licznymi przywilejami, ręsztę policzyć można na karb próżniactwa, fantazyi lub nałogu. Mniejsza jednak o pobudki psychologiczne — faktem społecznej doniosłości pozostanie ruch do światła, który w XIV. stuleciu garnął w tym kierunku rządy i ludy, berła i tyary. Monarchowie spółzawodniczyli z sobą, zakładając uniwersytety, a kurya papieska, prześladująca niemiłosiernie nadrobniejsze «grzechy», przeciwko wierze, z radością witała każdą nową fundacyę.

Obie władze, tak świecka, jak duchowna, ręka w rękę postępując w tej sprawie, utrzymywały własnym kosztem biednych scholarzy, zakładały bursy, lub otwierały nowe katedry. Miasta wspierają ten prąd ze względów dobrze zrozumianego interesu. Przez napływ bowiem studentów z różnych stron świata, podnosiły się nadzwyczajnie miasta, szczycące się sławnymi profesorami. Oto naprzykład uboga mieścina Oxford, od czasów założenia tam uniwersytetu, wzrosła w dwójnasób w znaczenie i bogactwa. Stąd poszło, że założyciele akademii, w akcie fundacyjnym, zapewniać musieli, że nie czynią tego z chciwości zysków, ani dla przymnożenia dochodu, że zrzekają się chętnie podatków i opłat od studentów, magistrów, doktorów, bakałarzów, tudzież ich sług i bedelów, mając niepłonne przekonanie, iż co tym sposobem ubędzie skarbowi, to wielokrotnie wynagrodzi księciu i miastu pożytek duchowy, stąd płynący. Te i tym podobne pobudki parły wiek XIV. do zakładania i uposażenia szkół wyższych. Uległy im w końcu i ludy słowiańskie, a stolica Czech, odznaczająca się «namiętną uprawą nauk», słynęła w świecie naukowym i z uniwersytetu, kiedy u nas nie pomyślano jeszcze o wzniesieniu własnego przybytku nauk. Założony w Pradze 1348 r., za wpływem Karola IV., obejmował uniwersytet ten, wśród składających go czterech nacyj, i polską. Należała do niej, prócz Polaków, Litwa, Śląsk, Łużyce i t. p. Widocznie cecha i pochodzenie słowiańskie — Litwinów zaliczają dziś jeszcze starsi historycy do Słowian — nie były jeszcze w owych czasach zupełnie zatarte. Z łona tego zakładu wychodzi pierwszy zastęp profesorów polskich, z przesławnym teologiem ówczesnym, Mateuszem z Krakowa na czele, który z pomiędzy młodszych uczonych polskich, ze względu na postępowe idee o stosunku kościoła do państwa, wybitne zajmuje stanowisko. Na tym uniwersytecie kształci się pierwsza, dość szeroka warstwa akademickiej inteligencyi polskiej, do której wchodzą już jednostki stanu świeckiego. Nacya polska w Pradze, w latach 1370 do 1400, liczyła 790 scholarów i tworzyła w stolicy czeskiej, jak wykazuje Dr. Windakiewicz, niby samodzielny uniwersytet polski, który w najbliższym czasie przenieść należało do Krakowa. Jakoż z najstarszych nauczycieli w akademii Jagiellońskiej 37 uczyło lub wykształciło się w Pradze. Organizacya i statuty nowo otworzonego uniwersytetu krakowskiego są reprodukcyą pragskich, utworzonych na wzór bolońskich. Wogóle genezę naszego uniwersytetu pojmować należy, jako ewolucyjny skutek powstania nacyi polskiej w Bolonii, Pradze, Padwie i t. p.

Powszechny bowiem ruch uniwersytecki ogarnął wcześnie Polaków, bo już w XII. stuleciu, a wzmógł się w następnem do niezwykłych rozmiarów. Ale piel-

grzymki te w odległe kraje, połączone były ze znacznymi kosztami, stratą czasu i niejednokrotnie z niebezpieczeństwem. Przytem w kraju, świeżo zagospodarowanym i obdarzonym konstytucyą, okazała się potrzeba sędziów i prawników. Względy te skłoniły Kazimierza Wielkiego do założenia 1364 r. w kraju własnego uniwersytetu, który tego samego roku potwierdził papież Urban V., jako najwyższy zwierzchnik wszystkich zakładów naukowych, nawskróś duchownych.



120. Biblioteka Jagiellońska

«Przejęci gorącem pragnieniem — powiada król w akcie erekcyjnym — szerzenia korzyści i szczęścia pomiędzy ludźmi, troskliwi o ich poprawę, nie wątpiąc, że pożyteczna będzie dla duchownych i świeckich poddanych naszego królestwa posiadać w Krakowie miejsce, gdzie nabyć można wszelkiego wyższego uzdolnienia, postanowiliśmy — urządzić studyum generale. Oby ono stało się perłą w koronie potężnych umiejętności, którąby wydawała ludzi przezornych i dojrzałego sądu, mężów bogatych w cnotę i zdolności, oby była zasobną w źródła wiedzy, z której czerpią ci wszyscy, co pragną zaopatrzyć się w dowody uczoności.» W roku 1364 miało się zaroić od nauczycieli i uczniów puste podówczas miasto a dzisiejsze przedmieście Kazimierz. Tegoż samego roku obowiązali się mieszczanie kazimierzowscy osobnym dokumentem do czuwania nad całością swobód i praw udzielonych akademii przez króla, co wprowadzało młodą instytucyę w styczność z mieszczaństwem i sądownictwem. W ogóle zostaje założenie jej w związku z przewodnią myślą wielkiego organizatora Polski. Wewnętrzny ład, porządek i spokój zawarunkowane były opieką prawa, to zaś warunkowało prawników, których dostarczyć miał własny uniwersytet. Stąd tłumaczy się dlaczego nowy zakład ma charakter

prawniczy i dla czego wzorowany jest na słynnym uniwersytecie w Bolonii. Znaną jest organizacya autonomiczna akademii Bolońskiej i wysokie jej w nauce znaczenie. Scholarzy Bolońscy, to już ludzie dorośli, a są między nimi świeccy i duchowni, przybywający z odległych stron, w gronie ich zasiadają nawet najwyższi dostojnicy i książęta. Dzierżą w swej dłoni część władzy szkolnej, wybierają z szeregów swoich rektora, karzą profesorów za opuszczanie lekcyi, tworzą zwarte korporacye tak zwanych nacyj, czego nie należy mieszać z dzisiejszem pojęciem narodowości. Przy tym demokratycznym ustroju występuje tu i ówdzie średniowieczna kastowość. Dotkliwa czeka kara obywatela, któryby się zapisał na inny uniwersytet, gdyby się odważył opuścić Bolonię. Szkoła ta zaopatruje Europę w prawników, a w literaturze prawniczej tworzy epokę. Z niej wyszedł arcybiskup Skotnicki, były rektor scholarów w Bolonii, o którym obszerniej pomówimy, w niej kształcił się cały szereg uczonych, tworzących tu nacyę polską, ją obrał sobie Kazimierz Wielki za wzór akademii krakowskiej, na co się sam w akcie fundacyjnym powołuje. Czyni więc wszelkie ułatwienia przybywającym na naukę do Krakowa, uwalnia ich od ceł i opłat wszelkich, nagradza ewentualne szkody w podróży, stara się o tanie dla nich mieszkania. Uczniowie sami wybierają sobie rektora, do niego należy sąd uczniów w sprawach cywilnych, a nawet pomniejszych karnych, sami wybierają sobie profesorów — wszystko, niemal dosłownie, jak w uniwersytecie Bolońskim. Nawet sprawa mieszkań — a gra ona w dziejach wyższego wykształcenia wieków średnich nie małą rolę — przedstawia się w tem samem świetle. Scholarze ówcześni zajmowali, albo hospicya, albo kolegia, a oko-



121. Dziedziniec biblioteki Jagiellońskiej.

liczność ta cechowała dwa typy wychowania. Kolebką pierwszego były Włochy (Bolonia), system kolegialny rozwinął uniwersytet paryski. Hospicya, jako prywatne mieszkania uczniów, nie podlegały ściślejszemu nadzorowi władzy uniwersyteckiej, jak dzisiejsze stancye lub pokoje kawalerskie studentów, kolegia należały do uniwersytetu i tworzyły z nim nierozdzielną całość. System hospicyalny rozwinął się w tych zakładach, gdzie ton nadawał wydział prawniczy lub medyczny, przeważali tu bowiem uczniowie dojrzalsi, nie potrzebujący kontroli, albo nie należący do stanu duchownego. Typ kolegialny wytworzył się pod czujnem okiem teologii i rygoru, jaki do dziś panuje wśród alumnów. Akademia krakowska, która z woli monarchy miała na celu podniesienie stanu prawniczego, urządzając się na wzór bolońskiej, przyjęła system hospicyalny. W tym celu przeznaczono pewną ilość kamienic na lektorya (sale do nauki) i hospicya (czyli mieszkania uczniów). A przywileje, jakimi w tym względzie obdarzył król polski scholarów, żaków i innych «poddanych» uniwersytetu, przekraczały ciasne granice pojęć o własności. Oto «przysługuje im prawo zajęcia na swoje mieszkanie każdego domu, według upodobania». Wysokość czynszu ocenia komisya, złożona do połowy z mieszczan i studentów. Zarząd domów należy do ostatnich, którzy też potrzebne reparacye potrącają od czynszu. Przywileje te naruszały błogi stan posiadania mieszczan krakowskich, nie słychać jednak o skargach ich; snać szczupła garstka młodzieży, zapisanej w początkach na uniwersytet, znajdując łatwe pomieszczenie nie mąciła spokoju. Akty erekcyjne naszego i w ogóle ówczesnych uniwersytetów, pełne szumnych przyrzeczeń i widoków, dadzą się sprowadzić do skromnego mia-



122. Dziedziniec biblioteki Jagiellońskiej (z drugiej strony).

nownika, gdy się je otrząśnie z obcych naleciałości i wyłuszczy z obsłonek retoryki scholastycznej.

Wedle panującego podówczas zwyczaju, a może i stosując się do miejscowych potrzeb, wykluczył papież z akademii krakowskiej nauki teologiczne, któremi się dopiero później uzupełnić miała. Powtórzyło się to przy fundacyi akademii wiedeńskiej i pięciukościelnej na Węgrzech. Mimo to miał uniwersytet krakowski wszelkie cechy tak zwanego studyum generale. Ośmiu profesorów wykładało nauki prawnicze — pięciu prawo rzymskie, trzech kanoniczne — z tych było sześciu wcale dobrze uposażonych. Bo kiedy naprzykład magistrowie fizyki pobierali tylko po 10 grzywien, płaca profesorów prawa wynosiła 40 grzywien. Mimo braku nauk teologicznych miał uniwersytet duchowny charakter. Kanclerzem jego był każdorazowy biskup krakowski, a otwierał go arcybiskup gnieźnieński, Jarosław Bogorya Skotnicki — znamienny to na przyszłość czynnik.

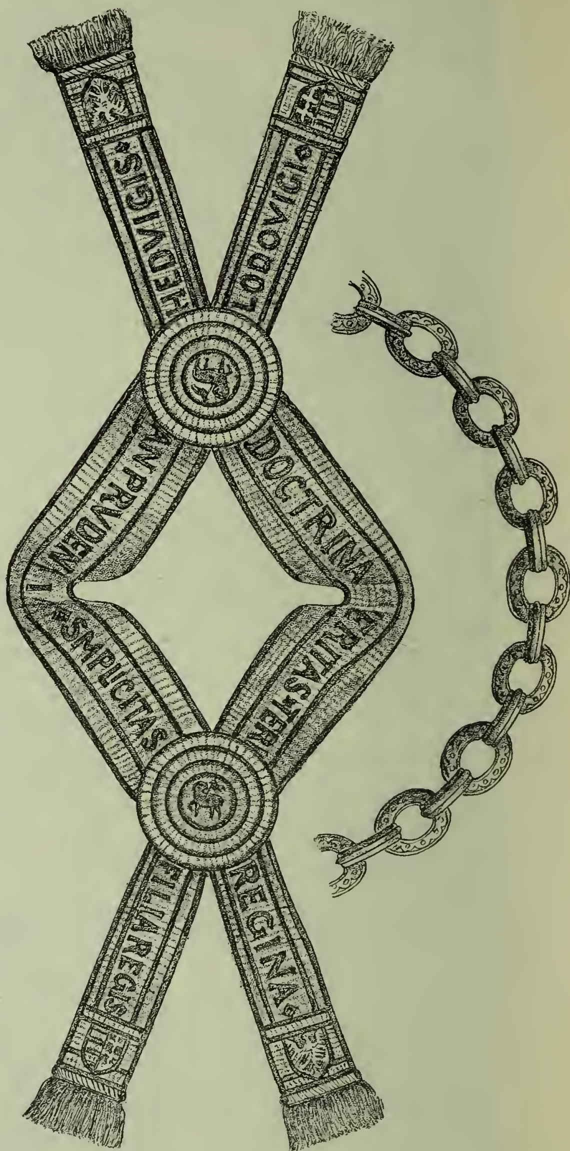
Młodej instytucyi brakło osobnego budynku, tuliła się po wynajętych kamienicach. Braki te postanowił usunąć Kazimierz, wystawieniem własnego domu. W tym celu wybrał już nawet miejsce na przedmieściu, zwanem dziś Kazimierzem, i rozpocząć miał budowę. Bliska atoli śmierć przerwała jego dzieło. Rządy Ludwika węgierskiego i małoletniej jego córki, pełne zaburzeń i niepokojów, nie posunęły naprzód sprawy organizacyi wszechnicy, lecz owszem byt jej zachwiały. W takich warunkach wlokła ona swój wątły żywot, nie wywierając większego wpływu na oświatę. Jeszcze w latach 1368—73 natrafiamy tu na ślad promocyi kilku bakałarzy, kiedy do końca tego stulecia odbywają się promocye już w akademii pragskiej. Snać nie spełniała należycie swego zadania krakowska jej siostrzyca, skoro królowa Jadwiga utworzyła 1397 r. przy uniwersytecie pragskim tak zwane kolegium jerozolimskie, przeznaczone dla nowonawróconych Litwinów. Ale że nie upadła zupełnie, na to można przytoczyć dowody. Oto bulla papieska, z wyżej przytoczonego roku, dozwalając na wprowadzenie wydziału teologicznego, stwierdza tem samem jej istnienie. Przemawia za tem ilość uczniów — dwieście kilkadziesiąt — zapisanych w roku odnowienia wszechnicy krakowskiej (1400) — widocznie byli między nimi i uczniowie dawniejsi — kiedy w następnych latach liczba przybyłych wyniesie tylko około 100.

Zbliżamy się ku końcowi tego okresu, złotemi głoskami zapisanego w dziejach naszej macierzy duchowej. Reforma, a raczej jej reorganizacya, należy już do epoki Jagiellońskiej. Przyświecała jej inna gwiazda. Polsce Jagiellonów, zbratanej z Litwą, chodziło — nie o sędziów i prawników, ale o kapłanów, którym otwierało się szerokie pole do działania na świeżo nawróconych ziemiach «pogaństwa». Za przykład posłużył już Paryż — nie Bolonia — owa ponura organizacya zamkniętych, jak cele klasztorne, mieszkań uczniów i surowego życia profesorów. Odmłodzona instytucya zawdzięcza swój rozwój królowej, której imię na wieki z nią związane. Oto Jadwiga, zawsze gotowa do dzieł prawdziwie humanitarnych, może nie wnikając tak w potrzeby czasu, jak z uległości przemożnym wpływom duchownych, zakłada w Pradze bursę Litwinów, uposażając ją 200 grzywnami, stara się o wyjednanie u papieża wydziału teologii, a przed samym zgonem zapisuje swoje klejnoty na uposażenie akademii, zobowiązawszy męża do opieki zakładu. Serce jej, jak stos ofiarny, zapaliło się ku wielkiemu zadaniu cywilizacyi narodów, którym przez swe zaparcie się stworzyła nowe warunki rozwoju. «Spędziliśmy wiele nocy bezsennych — powiada królowa — myśląc, jakby ciemności pogaństwa litewskiego rozprószyć słońcem sprawiedliwości bożej, jakby winnicę pańską zaszczepić na tym nowym



123. Wnętrze sali biblioteki Jagiellońskiej.

gruncie». Zgasła ręka, co te słowa dyktowała, ale myśl w nich złożona kiełkować będzie, aż nie oblecze się w ciało. Niebawem, bo 26go lipca 1400, wydaje Jagiełło przywilej, nadający przy ulicy św. Anny, tam, gdzie dziś stoi gmach biblioteki uniwersytetu, dom na kollegium. I nie przestaje się nim już odtąd po ojcowsku opiekować. Snać odczuwał «pogański» książę, barbarzyniec prawie, bo nie umiejący nawet imienia swego napisać, doniosłość pisma i oświaty. Nie zapominał o nowej fundacyi na pobojowiskach, skąd jej zasyłał pierwsze wieści zwycięstwa, a najpiękniejszą zdobycz polowania, któremu się tak namiętnie oddawał, ofiarowywał profesorom na znak swej życzliwości. W porównaniu jednak z Kazimierzowem, było uposażenie Jagiellonów ubogie, powiększają je fundacye kilku księży i kilkunastu profesorów, a biorą w fundacyach udział i kobiety. Powstają bursy dla żaków i biednych uczniów, mnożą się katedry, ale przeważnie z ofiar duchownych. Szlachta w nich słabo zastąpiona. Nieznaczna też jej liczba odwiedza kolegia i wykłady. Przewyższa ją pod tym względem mieszczaństwo, a może nawet i synowie włościańscy. Nie spełniła się również nadzieja, pokładana przez szlachetną fundatorkę, aby akademia Jagiellońska stała się macierzą Litwy pogańskiej. Najmniej w niej słychać o Litwinach, największy zastęp uczniów dostarcza Śląsk.



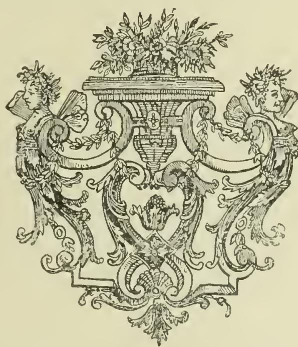
124. Racyonał i łańcuch złoty królowej Jadwigi (darowane Akademii krakowskiej).

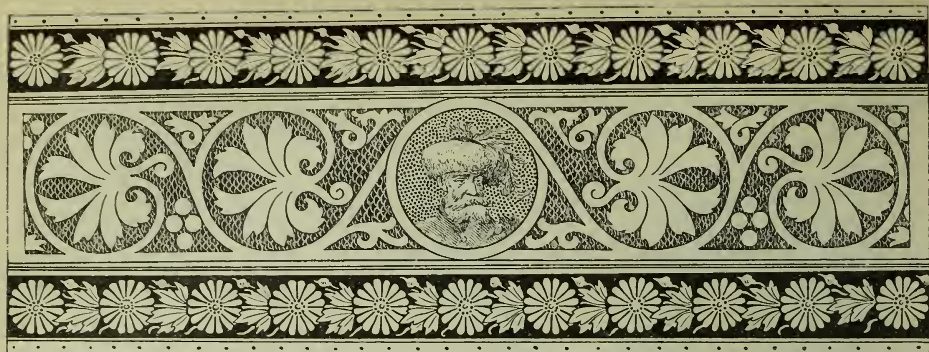
Przybudzona na nowo do życia wszechnica, zorganizowana według wzoru kolegium paryskiego, mieściła uczniów pospołu z profesorami w *kolegiach*; z rozrostem jednak akademii, nie mogąc ich pomieścić, pozwalano na mieszkania uczniów w *hospicyach*, czyli tak zwanych konwiktach, pod ścisłym nadzorem władzy uni-

wersyteckiej. Kollegium zaś posiadało własny zarząd, przełożonymi byli najmłodsi kolegiaci czyli profesorzy. Urząd ten bowiem był nieco kłopotliwy, trzeba było znać się i radzić o kuchni, rachować się z kucharką, jedyną niewiastą mającą przystęp do kolegium, i tym podobne spełniać obowiązki. Najstarsi kolegiaci nie paraliby się takiemi posługami. Oni, profesorowie wydziału teologicznego, zajmowali w hierarchii uniwersyteckiej najwyższy szczebel, dochodzili do niego dopiero po zdobyciu wszystkich stopni akademickich, po kilku latach profesury na wydziale filozofii, czyli tak zwanych sztuk wyzwolonych. Wydział ten bowiem zajmował — jak to ma miejsce do dziś — drugorzędne stanowisko.

Uczony wieków średnich rozpoczynał, jak Faust Goethego, od nauk wyzwolonych, a po przebyciu długiej drogi, po której z każdej nauki po trosze kosztował, sięgał po wawrzyny św. teologii. Filozofia była podnóżkiem nawet dla medyków, którzy tracili na niej aż pięć lat drogiego czasu.

Wstrzymujemy się od oceny wpływu i znaczenia akademii Jagiellońskiej, należy ona bowiem do następnego już okresu.





ROZDZIAŁ SZÓSTY.

POMNIKI JĘZYKA POLSKIEGO.

Pośród zdobyczy naszego stulecia na polu lingwistyki za najdonioślejsze dla wiedzy ludzkiej trzeba uważać wykrycie tudzież udowodnienie wspólnego początku wszystkich aryo-europejskich plemion. Ów jednolity w przedhistorycznej dobie pień wybujał w długim szeregu wieków w rozgałęzione konary odrębnych gromad etnicznych, w zależności od odmiennej przyrody, różnorodnych potrzeb i warunków bytu. Owe gromady czyli grupy różnią się przedewszystkiem odrębnemi znamionami języka.

W ten sposób jedna wspólna mowa, nosząca miano prasłowiańskiej, w ciągłej ewolucyi wytworzyła liczne narzecza słowiańskie, do dziś dnia rozwijające się samodzielnie. Żadnych niestety nie posiadamy zabytków owej prarodzicielki licznej dziś rodziny. Atoli język starobułgarski, również starosłowiańskim zwany, którym pisane są dawniejsze pomniki cerkiewne, ile że jest najstarszym ze znanych narzeczy słowiańskich, może być uważany za najdzielniejszego przedstawiciela zmarłej rodzicielki. Jest przeto prawdziwym zastępcą owej pierwotnej mowy, którą posługiwali się nasi praojcowie. Pomniki języka polskiego należą do doby nam bliższej. Niewiele można tu odnaleść znamion, mówiących o wpływie na nasz język mowy starosłowiańskiej.

Język polski nie święcił narodzin swoich w zabytkach piśmienniczych, należących do późnej stosunkowo doby historycznej. W tej epoce oglądamy go już w szacie świątecznej, niepierwotnej, nawet względnie wytwornej. Przeszłością swoją sięga głęboko wstecz, w wieki bieżące po za linią dla wiedzy historycznej dostępną. Pomniki piśmienne świadczą już o zaszłych zmianach językowych, nie są ich spraw-

cami. To niejako słupy graniczne w rozwoju dziejowym. A porządek chronologiczny, w jakim się pojawiają, nie wykazuje bynajmniej stopniowej ewolucyi języka, bo ta nie odbywa się w ramach ściśle ograniczonych. Owszem to raczej wypadkowa różnorodnych czynników. Zresztą są to częstokroć odpisy wzorów dawniejszych. Dla względów ubocznych lub najczęściej z pobudek natury religijnej, przywiązywano pewne znaczenie do pierwotnej formy oryginału i w ten sposób zachowaną została miazga prototypu.

W ogóle stosunki w kościele panujące wywarły wpływ przeważny na losy rozwoju języka polskiego. Przyjęcie religii chrześcijańskiej za pośrednictwem Czech w uroczystej szacie łacińskiej, odbiło się na naszym języku dotkliwym ciosem. Łacina używaną w praktykach kościelnych usunęła w głąb język polski i stała się urzędową. A jeżeli go czasem dopuszczała, to w formie zmienionej, z wyraźnem piętnem swego wpływu. Za przykładem kościoła poszedł i rząd, który dla swych praktyk używał również łaciny. Warunki te, wielce niekorzystne, nie zmieniły się na lepsze, gdy z biegiem czasu poczęto się posługiwać niemczyzną. Lubo działo się to z uszczerbkiem dla rozwoju języka, z drugiej jednak strony nie mógł on być w takim stopniu zależnym od wpływów obcych, żeby żywotności własnej nie przejawiać. Posiadał rodzimą odporność, która ocaliła go od zaguby, posuwał się torem rozwojowym naprzód, a siły do tej walki o byt czerpał w źródle czystem, nie wysychającem — życiu ludu.

Po oderwaniu od macierzy słowiańskiej, stał się język polski własnością pewnej grupy, która rozdzielona, z biegiem czasu spoiła się w jeden mocny węzeł narodowej całości. Życie religijne i polityczne Polski, której kolebką jest dzielnica Wielkopolska, wciągnęły język polski w koło swego rozwoju. Przebył on tam różne koleje. Otrzymawszy stałą formę piśmienną, stał się językiem urzędowym. W długim czasie swojej ewolucyi, różnym ulegając zmianom, nie ustępuje raz zdobytego stanowiska. Kiedy z powodów i stosunków zewnętrznych, punkt ciężkości narodowego życia został przeniesiony do innej dzielnicy, język urzędowy ze swą dotychczasową formą ściśle związany, choćby dla rutyny został ten sam, mimo zmiany miejsca. Zresztą zasób dotychczasowych zdobyczy kulturalnych zanadto był się już wprzód wysunął i w formach utrwalił, żeby można było bez uszczerbku wytwarzać nowe formacye językowe, a dawne pomijać. Atoli po za murami kościoła, szkoły i kancelaryi miał język polski szeroki teren rozwoju na polu życia prywatnego, w rozległych granicach potrzeb codziennych. Tu, mimo stałej poniekąd formy, jakiej zażywał w piśmie, przybierał różne farby i wyrazy, jako środek porozumienia się ustnego. Z czasem wystąpił z wąskiego łożyska, w którem drzemał dotychczas, rozlewając się szeroko po barwnych łanach zjawisk i rzeczy. Nieskrępowany przepisami, od wzorów stałych niezależny, używał większej wolności, rozwijając się swobodnie i do potrzeb stosując. Dzięki takim czynnikom i wpływom nabierał różnej postaci w zależności od zewnętrznych warunków i otoczenia. Przeszłość historyczna języka polskiego, zachowana w skarbcu tradycyi piśmiennej, zdradza piętno owych różnic z narzeczami związanych, co daje się wyśledzić z większą lub mniejszą dokładnością.

Trudność w dochodzeniu owych cech, narzeczu każdemu właściwych, jest bezsprzecznie dużą, ile że trzeba ich się doszukiwać w formie języka pisanego, a wtedy zaś niepodobna nieraz orzec, czy mamy do czynienia z różnicą językową, czy też tylko z właściwością ortograficzną, co wobec chwiejności pod względem graficznym nie jest rzeczą wykluczoną.

Do XIV. stulecia nie ma żadnego utworu pisanego w języku polskim. Powodów tego stanu należy szukać nie tylko w ciągłych wojnach i zaburzeniach, które odwracały uwagę ogółu od piśmiennictwa, wpływając na nie krępująco. Działało tu silniej panowanie łaciny, tłumiące rozwój języka ojczystego, który po prostu nie miał sposobności do wydobycia się na wierzch, albowiem na wszystkich placówkach musiał z konieczności ustąpić miejsca wyższemu, doskonalszemu gatunkowi. We wszystkich dziedzinach ówczesnej kultury był język łaciński nieograniczonym panem, ile że kościół i sfery państwowe uciekały się pod jego skrzydła. To też okres Piastowski zostawił od XI. wieku począwszy, jedynie poszczególne wyrazy polskie, błąkające się luzem w łacińskich tekstach, w dyplomatach, w żywotach świętych, w kronikach i t. p., najczęściej jako imiona osób lub nazwy miejscowości, wyrazy prawnicze i wogóle techniczne. Ta nie duża garść kości, że użyjemy porównania Cuvierowskiego, stanowczo nie wystarcza do odbudowania organizmu staropolskiej mowy. Jeżeli mamy wierzyć dochodzeniom uczonych, do połowy XIII. wieku nie znano jeszcze spółgłosek miękkich ć, dź, ś, ź i rz, tylko t', d', n', a oprócz nowych głosek ę i ą, istniała jeszcze trzecia an, jak o tem świadczą do dziś zachowane nazwy Sandomierza, Kantego, Prandoty i t. p.

Wiek XIV. obfituje już w większe bogactwo zabytków języka polskiego. Z morza łaciny wynurzają się niby wyspy, całe zdania i zwroty polskie w postaci tak zwanych glos. Są to objaśnienia łacińskich wyrazów, lub tłumaczenia miejsc łacińskich. Zajmują zwykle marginesy, albo miejsca między wierszami, a tu i ówdzie idą już w samym tekscie. Pierwsze miejsce należy się glosom polskim w kazaniach pisanych po łacinie. Mają one odrębne od późniejszych właściwości językowe, że przytoczymy tu starożytną formę liczby podwójnej. Polskie nazwy miesięcy były następujące: Styczeń nazywał się lutym, ten zaś strompaczem, listopad oznaczał dzisiejszy październik i odwrotnie, grudzień nazywał się prosień, letnie miesiące zaś mienią się: kwiecień — czy kwiat, czerwiec, ugornik także czerwień i następny miesiąc lipień. Końcówka ta zachowała się w nazwie miesiąca sierpień.

Znajdujemy również wyrazy polskie w dyplomatach, w aktach grodzkich, ziemskich, psalmach i t. p. Tutaj wartość językowa tkwi głównie w materyale leksykalnym, mniej zaś dotyczy poznania praw głosowni. Dokumenty te były spisywane nieraz przez lichych pisarzy, lub nieobeznanych z językiem polskim, są przeto trudne do odczytania, a czasem nawet bez użytku.

Imiona włościan, tudzież nazwy wsi, zachowane w dokumentach od lat tysiąca, mogą służyć za zwierciadła, w których odbiły się kształty ludności wieśniaczej, dzieje osiedlenia naszego kraju. W gospodarstwie średniowiecznem odgrywał nasz wieśniak rolę pierwszorzędną. Ilekroć o nim wspominają, zawsze notowanem jest również i imię. Działo się to zresztą dla powodów, ściśle z ówczesną gospodarką związanych. Byli oni bowiem do gleby przykuci. Wypisywanie więc imienia chłopa służyło dla kontroli, żeby ani on, ani jego potomkowie, nie mogli się z danej okolicy wydalić.

Całe bogactwo imion własnych polskich, rodzinnych i miejscowych, jeżeli polegać mamy na obliczaniu przybliżonem, dobiega sporej liczby sta tysięcy. Lubo jedna połowa posiada cechy wspólne ze słownikiem mowy potocznej, druga wyodrębnia się fizyonomią odmienną, do innych sfer języka naszego nie zbliżoną, owszem różną, przechowującą formy polszczyzny z odległej starożytności.

Przyjrzyjmy się bliżej imionom własnym, zachowanym w pomnikach łacińskich i polskich do wieku XIV. włącznie. Odnosi się do nich prawo językowe, które

zdradzają wyrazy, oddające pojęcia oderwane: pierwotnie wyrażały one rzeczy lub czynności jedynie zmysłom dostępne. I tutaj owe nazwy zrodziły się z pospolitych. Imiona chrzestne u nas wzięły początek w czterech źródłach: odnajdują w nich pochodzenie słowiańskie, biblijne, grecko rzymskie, lub germańskie. Nadto ogromna większość uległa zmianom przez skrócenie i zdrobnienie. Naprzykład sięgające w daleką przeszłość imię Bolesław, rozgałęzia się w naszych pomnikach do XIV. w. w następujące imiona: Bolesław, stąd nazwy miejscowości Bolesławice i Bolesławiec. Następuje imię skrócone Bolek, a stąd nazwa miejscowości: Bolkowice, Bolech daje początek Bolechowicom i Bolszczynowi. Boleha tworzy Boleścino. Później Bolino, Bolibór, Bolej, Bolisław i tak dalej.

A weźmy imię obcego pochodzenia, przeniesione do Polski wraz z chrześcijaństwem i przypatrzmy się rozległym krzewom, jakie zeń wybujały w nazwiskach rodowych i miejscowych. Oczywiście i tu mamy na myśli imiona do XIV. stulecia włącznie: Piotr, Piotrek, Piotrko-Pietr, Pietryk, Pietrko. Dalsze rozgałęzienia: Pietrków i Piotrków, Pietrowo i Piotrowce, Pietrkowice i Piotrkowice, Pietrowiec i Piotrowice. Dalej: Piotrowin i Pietramiła (zesłowieńszczona: Petronela), Piechno, Pechnik i tam dalej.

Niektóre imiona zmieniły się nie do poznania. Greckie Ambrosios, łacińskie Ambrosius, zrodziło następujące i przekształcone imiona ludowe, używane w najdawniejszych czasach: Jambroż, Brożek, Brozicz. Z łacińskiego Dominik urobił lud imię Dunin i Domin. Musiały być zresztą oba bardzo pospolite, skoro aż powstało przysłowie: «Co komin, to Domin».

Przenieśmy się myślą w zamierzchłą starożytność i wyobraźmy sobie człowieka, który po długich pielgrzymkach osiada na pustkowiu polskiem. Imię ma pojedyncze. Nazwa zaś jaką otrzyma jego osada, prawdopodobnie przez sąsiadów nadana, będzie zawierała w sobie odpowiedź na trzy następujące pytania: 1) Kto na niej osiadł? 2) Do kogo należy? 3) Jaką jest? Pierwsze pytanie znajdzie odpowiedź w imieniu przybysza, drugie — w przymiotniku, urobionym z jego imienia, odpowiedzi na trzecie dostarczą warunki fizyograficzne miejscowości, lub też imię własne, wytwarzające się powoli z dwu pierwszych kategoryj dla oznaczenia miejscowości w ogóle. Przypatrzmy się bliżej każdej z owych kategoryj na gruncie polskim.

Na pytanie: kto zamieszkał, odpowiedziało już imię gospodarza: Chwała lub jego rodzina Chwalęta, to jest dzieci Chwały. Drugi wypadek wyraża również słowiańska końcówka odojcowska — na ice. Wyraz Kostonowice oznacza pierwotnie (w dokumencie z roku 1136) synów Kostona czyli Kosta. Atoli z biegiem czasu pierwotne znaczenie znikło, nazwa zaś zostaje do oznaczenia osady lub miejscowości. W taki sposób powstało nazwisko Staszyca (od Stacha) i t. p.

Na pytanie czyja chata, osada, rola i t. d.? odpowiada przymiotnik dzierżawczy z zakończeniem owa lub ina, naprzykład Warszawa, Kozina. Na pytanie czyj dwór, ogród, łan i tak dalej, odpowiadają takież przymiotniki w rodzaju męskim: Boleszczyn lub Bolków. Jeżeli pytanie postawiono w rodzaju nijakim, naprzykład czyje pole, sioło, odpowiedź znajdziemy w nazwach: Falkowo.

Z biegiem czasu, znaczenie, przywiązywane pierwotnie do imienia, zaciera się, zapomina, prawie znika. Wyraz traci barwy i staje się oderwanym. Wierzbięta naprzykład już nie oznaczają dzieci jakiegoś Wierzby (jak ptak, ptaszę, ptaszęta), stają się owszem nazwą samoistną człowieka, przyczem ulega tu również zmianie rodzaj i liczba. W dalszym rozwoju otrzymujemy nazwy drugorzędne, pochodzące już nie

z prostej linii od imion ludzkich, ale z nazw miejscowych, końcówki bowiem nabierają znaczenia symbolu i mechanicznie łączą się z osnowami.

Lingwiści dowiedzieli się od historyków, że imiona własne przechowują piętna prastarych pojęć narodu i charakterów. W istocie zbiór najstarszych imion własnych uważać należy za skarbiec wypadków dziejowych, zaszłych na naszej ziemi w epoce, dla historyka skądinąd niedostępnej. Nazwy te wszelako, lubo czasem obok siebie leżące, należą do okresów, długim pasmem wieków oddalonych, jak to ma miejsce w geologicznych pokładach różnej formacyi.

W ten sposób nazwy wsi polskich, urabiane z imion pierwszych osadników czyli ojczyców, zawierają najstarsze wiadomości o ich założycielach. Piekosiński dzieli je na pięć grup.

Do pierwszej zalicza wspomniane nazwy o końcówkach dzierżawczych: ów, owa, owo, yn, ina, naprzykład Dalechów, Borowa, Bolęcin, mamy ich około 9000. Osada, którą zamieszkał naprzykład Dalecha, nazywa się odtąd Dalechowa lub Dalechów. Przyczem Dalechów każe się domyślać opuszczonego przymiotnika s t a n, Dalechowa — Dalechowo lub Dalechowe — wyrazu s i o ł o czyli osiedlenie, wreszcie Dalechowy — rzeczownika s y n y (synowie).

W grupie tej należy zwrócić uwagę na nazwy, którym dały początek imiona święte naprzykład Janów, Maciejów i tym podobne. Odnoszą się one co najwcześniej do XIII. wieku, lubo spotykamy i znacznie późniejsze. Ludność wiejska, w ciągu kilku wieków po przyjęciu chrześcijaństwa, używała dawniejszych swoich słowiańskich imion. Najdalej w przeszłość sięgający nasz dokument autentyczny — bulla papieska z roku 1136, ogłoszona w dwa wieki niemal po przyjęciu chrześcijaństwa — podaje nieledwie jedno imię chrześcijańskie na 334 włościańskich.

Druga grupa, przekraczająca liczbę 3000, obejmuje nazwy wsi o końcówkach patronimicznych: ice, isze, jak naprzykład Daleszyce. Większa część nazw tej kategoryi wzięła początek od synów czyli potomków starych ojczyców. Zresztą obu grupom dostarczali nazw założyciele osad, wolny lud wieśniaczy prastarej Polski, chrzcił je imieniem, jakiego sam używał w zamierzchłej, przedhistorycznej dobie.

Nazwy zaś z końcówkami dzierżawczemi na ów, owa, owo lub in (yn), ina, (yna), należące do okresu, oku historyka niedostępnego, najczęściej każą się domyślać istnienia własności indywidualnej, w przeciwnym bowiem razie nie mogłyby po prostu powstać. Nazwy zaś zakończone znakiem patronimicznym (na ice) zdradzają piętno własności spólnej, rodowej, gromadzkiej.

W trzeciej grupie znajdują się wsie narokowe. Liczba ich nie przenosi 400. Położone w pobliżu grodów, biorą nazwę od posług, świadczonych na rzecz załogi, jak Kuchary, Piekary, Koniary, Skotniki i tym podobne. Powstały podobno w wieku XI., kiedy Chrobry na krańcach swego kraju zakładał tak zwane stróże czyli grody strażnicze, zaludniając je wielkiemi załogami, których obsługa należała do włościan wsi okolicznych. Nazwa naroku powstała z terminu, zwanego w staropolskim języku rokiem, albowiem w ciągu określonego czasu sioła, leżące u stóp owych grodów, winny im były oddawać pewne posługi.

Załoga grodowa bywa opatrywaną przedewszystkiem w bydło, które trzeba było paść i hodować na rzeź. Do tej czynności zaciągano kolejno ludność osiadłą we wsiach okolicznych. Stąd nazwa Skotniki lub Stadniątka. Osady, zatrudnione obsługą lub wyżywieniem koni strażniczych, przezwano Koniarami. Sioła, dostarczające strawę i pieczywo, nazywały się Kucharami lub Piekarami. Łagiewniki wyrabiały

łagwie czyli naczynia drewniane, Grotniki, Szczytniki, Żerdziki — uzbrojenie. W tej grupie należy również położyć wsie zobowiązane do naroku kościelnego, jak Winiary, Kościelniki, Świątniki, osady zaopatrujące komorę książęcą, wreszcie sioła naroku miejskiego, jak Mydlniki, Dybniki i tym podobne.

Czwarta grupa obejmuje wsie, założone przez rycerstwo szeregowe czyli władycze, zwane także wojskowemi. I tutaj nazwy pochodzą od założycieli, używane są tylko w liczbie mnogiej, stanowiły bowiem własność rodu całego, jak Ćwiki, Czaple, Pobieklęski. Osady te powstawały zapewne na początku XII. wieku.

Mamy także nazwy pochodzące od jeńców uprowadzonych w czasie wojny. Zaludniano nimi i chrzczono osady. Stąd powstały Czechy, Połowce, Pomorzany, Prusy, Tatary, Węgry i tym podobne.

Ostatnią wreszcie kategoryę tworzą tak zwane folwarki czyli przysiołki. Otrzymują one nazwy w zależności od położenia typograficznego, jak Zimna-Woda, Krynica, Brzeziny, Rudy i tym podobne. Wsie te zakładano dopiero w dobie nowszej, kiedy to szlachta, pod wpływem nowopowstałych stosunków ekonomicznych, rzuciła się gromadnie do uprawy gospodarstw folwarcznych. Każdy wybitniejszy objaw w dziedzinie ekonomicznej wycisnął swe piętno na nazwach wsi lub osad, że uprzytomnimy przykład następujący: W połowie wieku XIII, pustkowia polskie poczęły się roić od licznie zakładanych wsi na prawie niemieckiem. Tu i ówdzie powstawały osady na tle dziewiczych gęstwin leśnych, wielkie, zaludnione z obszarem uprawnym, obejmującym niekiedy kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt łanów. Możnaby naliczyć do 600 ludzkich osad, które dzięki temu, otrzymały nazwiska: urla, aolka, lgota i tak dalej.

W dobie Piastów ludność włościańska rozpada się na trzy kategorye. W pierwszej znajdowali się tak zwani przypiśnicy, przywiązani do gleby (glebae ascripti), w drugiej ludność swobodna (liberi), trzecią zaś stanowi czeladź (familia), do której zaliczali się również brańcy i jeńcy wojenni. Mnogie i uciążliwe były daniny i posługi publiczne włościan tego okresu. Większe uiszczano zazwyczaj gromadą. Całe naprzykład obszerne opole składało się na jednego wołu. Sposób tak zwany poborowy, stosowany był do danin mniejszej wagi. Każdy dwór, każda chałupa wiejska winna była oddawać po sztuce, naprzykład, gęsi, kury i tym podobnie. Najgłówniejsza ze wszystkich, stróżą zwana, polegała na dostarczaniu dworowi książęcemu wołu lub krowy, w ogóle bydła. Ludność wiejska okresu Piastowskiego była zajętą wyłącznie pasterstwem; rolę uprawiano wyjątkowo tylko i przygodnie. Przez całą bowiem Polskę ciągnęły się ciemne wstęgi puszcz i lasów, tu i ówdzie świecące polanką. To też w ciągu całego wieku XIII. bydło stanowi główny składnik daniny, poczyna ustępować miejsca ziarnu dopiero w następnem stuleciu i otrzymuje wtedy nazwę sep. Do pobierania stróży przeznaczony był kasztelan zwany «panem stróży». Niektóre dokumenta XIII. i XIV. wieku każą przypuszczać, że stróża należała właściwie do posług publicznych, nie zaś do danin. Włościanie obowiązani byli dostarczać stróżów do strzeżenia w porze nocnej wsi, miast, grodów. Dwór książęcy utrzymywał się z danin, noszących równocześnie najrozmaitsze nazwy, a osobliwie od rodzaju daniny albo od sposobu jej pobierania. W pierwszym wypadku mamy — powołowe, krowe, wieprzowe, gęsiorowe, w drugim — podwodowe, dymowe. Nie były owe daniny zrazu uciążliwe, łagodni książęta, w potrzebach ograniczeni, za zbytkiem i wyzyskiem nie goniący, zadowalniali się ofiarami skromnemi, lubo bywali i tacy, którzy owszem lud cisnęli, żądając nad miarę i możność. Za czasów Kazi-

mierza Wielkiego forma danin ulega zmianie. Już nie bydło, ale zboże i niekiedy pieniądze składają się na ciężary państwowe. Nazwa poradlne, oznaczająca daninę w zbożu, pochodzi od radła, używanego pierwotnie jako narzędzia uprawy roli; odnosi się zaś do pierwszej doby. Dopiero w wieku XIII. ze Śląska, czy z Niemiec przywędrowały do nas pługi. Z wyparciem radła, wychodzi z użytku miara ziemi na radła, a z nią i danina osiągana na podstawie ostatnich. Pod nazwą łanowego pobieraną jest odtąd w podwójnej wysokości i podług łanów. Do tego czasu należy również odnieść podymne, zwane także podymowem, podymiem, dodymowiem i podymszczyzną.

Śród danin zapełniających komorę monarszą, spotykamy tak zwany stan. Książęta z domu Piastów, dawnym słowiańskim obyczajem objeżdżali ziemię polską dla czynienia sądów albo wieców. Na wypoczynek dostojnych podróżnych były wyznaczone w drodze stancye czyli stany (stanowiska). Ponieważ panujący wyruszał zazwyczaj z licznym dworem, składającym się z niezbędnych piekarzy, piwowarów i tym podobnych osób, bez których żadna w dawnych czasach nie mogła się obejść uroczystość lub uczta. Ciągnęła również drużyna łowiecka wraz z sokołami i sforą psów gończych, ciągnęli rycerze, ciągnęły pachołki. Danina, stanem zwana, szła w całości na utrzymanie tej pstrej gromady, trzymającej się poły podróżującego księcia. Wzorem panujących poczęli i dostojnicy, a nawet szlachta, wymuszać w czasie swych po kraju wędrówek na chłopie polskim ową daninę, która, pobierana przygodnie, przybrała później charakter stały. To też na synodzie łęczyckim, roku 1130, z tego powodu podniesiono wrzawę, żądając jej usunięcia, lub może złagodzenia. Danina ta, miała inną jeszcze nazwę (od drugiej połowy XII. wieku): dan. Jakim ciężarem kładła się na barki biednej ludności wieśniaczej, dowodzi przywilej nadany przez Leszka Czarnego. Z tytułu obiadu, zastrzeżonego sobie w czasie po ziemi polskiej przyjazdu, każe sobie ten książę dostarczyć następującej daniny: 2 krowy, 2 owce, 2 świnie, 30 kurcząt, 100 jaj, pół mierzycy grochu i tyleż prosa, jeden tercyan soli, tudzież podwody w miarę potrzeby. Za czasów Bolesława Śmiałego złote łany zasianego ręką pracowitych włościan zboża tratowały konie wielmożów, szlachta zaś niszczyła płoty okalające zagrody, używając ich na ogniska w czasie swej po kraju włóczędze. Owe przywileje, możnym przysługujące, zwały się wówczas prawem ziemskiem. Włościanin dawnej Polski dźwigał ciężary wielu innych danin. Narzaź lub naraz, co oznacza «na rzeź», domyślać się każe wieprza lub prosięcia, rzadziej skopa lub barana. Moneta czyli obraz (obrzaz), to danina składana z racyi bicia lżejszej monety, z czego chciwi książęta średniowieczni wielkie ciągnęli korzyści. Nie było w owych czasach mennic, jak to ma miejsce dzisiaj; nowa moneta była wybijana pod gołem niebem. Myncerz zaopatrzony w przyrządy mennicze, które składały się z młota i kowadła, zajeżdżał do grodu — zazwyczaj podczas jarmarków. Tu, skuszony gromadą przybyłej ze wsi ludności, odbierał od niej wywołane denary, dając w zamian nowe, cieńsze i gorsze, świeżo wybite. W dokumentach średniowiecznych tranzakcya ta, dążąca do wyzysku włościaństwa, zowie się pomotem. Oto co powiada Kadłubek, zgorszony postępowaniem dworu: Znaleziono u ciebie cudze bydło — pisze — nieś do skarbu książęcego karę siedmio-dziesięcia (zwana także «niemiłościwą», albo «siedmnadziesięć»). A i to dziękuj Bogu, że się bitą monetą zadowolą, albowiem srebrem winieneś płacić. Wieśniak biegnie czemprędzej z kwotą pieniężną, dolicza i prosi o uwolnienie. Przypatruje się skarbnik i podskarbi przyniesionej monecie: «Skądże — woła — wziął się nagle nowy błazen, który

chce nas oszukać i plewy a łuski starego kruszczu śmie przedkładać?» — «Żali nie mam w bieżącej monecie uiścić?» «Nie inaczej, ale monetę książęcą nieść winieneś, nie zaś plewę». «Wekslarzy to wina, nie moja». «Milcz, żebyś fałszywem posądzeniem wekslarzy siebie nie zgubił». «Cóż mam czynić?» «Oddaj coś winien». I pokazuje mu skarbnik monetę nowego stempla. Gdy zaś pokrzywdzony tłumaczy się, że jej nie ma, zostaje w ręce kata oddany i okutego wtrącają do ciemnicy. — Wsie, na prawie magdeburskiem założone, danin zupełnie nie niosły, ten bowiem był przywilej niemieckiego prawa. Był to, jak Piekosiński powiada, istny raj ziemski. Atoli chciwi wyzysku książęta raj ów doczesny zakłócili w rychle, wymyślając pobory, składki, albo pomocne, jedynie ze wsi, na prawie niemieckiem ściągane.

Tyle co do danin. Śród posług, jakie państwu winien był lud wiejski świadczyć, na pierwszem miejscu należy wymienić obowiązek służby wojskowej, zwany wojną, podwojną, lub pogonią. Polegała ta powinność na dostarczaniu zbrojnego żołnierza, albo na dostawie wozów w czasie wypraw bojowych.

Do posług publicznych należą również: przewód, podwody, powóz i przesieka. Rozległe obszary dawnej Polski, z powodu braku dróg prawidłowych, w niesłychany sposób utrudniały podróż. Gdy przeto dwór książęcy opuszczał fosy zamkowe, udając się w głąb kraju, czy to dla czynienia wieców, czy innych czynności państwowych, czy nawet tylko na łowy, trzeba było przedzierać się przez gęste i ręką ludzką nietknięte puszcze leśne, mijać bagniska i stawy, przesadzać wzgórza, wreszcie ciągnąć z drużyną przez niezaludnione pustkowia. Żeby tę podróż dworowi książęcemu umożliwić lub ułatwić, zobowiązana była ludność wiejska do świadczenia krom licznych danin, o czem wyżej, rozmaitych powinności i posług. A więc dworowi wozów dostarczyć (co nazywają podwodą), a więc przewodnika (przewód), lub ludzi do wycinania lasu (przesieka). Osobną grupę powinności publicznych stanowią posługi łowieckie to jest psarskie, tak zwane: bluz (dostarczanie żywności dla psów łowczych), przełaja (pilnowanie gonionej podczas łowów zwierzyny), ślad (poszukiwania za psami zbłąkanymi w polowaniu) i szron (danina owsa, zwana także sreżną lub pośrzesznem. I tu uciskano chłopa. Często tak zwani iskacze dręczyli lud wiejski karami za niepilnowanie gniazd sokolich. Jeżeli pisklę wyleciało z gniazda, zanim je sokolnik książęcy wybrał, wina padała na poddanego, który musiał opłacać karę, sokolem zwaną. Wszystkie te posługi i daniny, niszczące dobytek i siły wieśniaka, ustępują w XIV. wieku miejsca robociźnie. Stało się to w okresie, kiedy z obszarów lasami pokrytych, dzięki wsiom na prawie niemieckiem zakładanym, wynurzają się zwolna łany szumiące zbożem, kiedy nowa nad krajem zabłysła jutrznia — włościanin już nie pasterstwem, ale, wzorem przybysza, uprawą roli poczyna się trudnić.

Mnogie i wyraźne wycisnęła kolonizacya piętna na mowie staropolskiej. Niema w ogóle języka, którychby był wolny od wpływów obcych, w każdym znajduje się zasób pewien wyrazów niemiejscowych z obczyzny naniesionych. I nie jest to bynajmniej wstydem posiadać ich wiele, a również nie należy się chlubić, jeżeli skarbiec ich skąpy. Że obce wyrazy i słowa otrzymały prawo obywatelstwa na równi z językiem ojczystym, działo się to gwoli istotnych potrzeb, nie zaś gwoli kaprysu i zbytku. Zdobią one mowę niby sznur pereł zamorskich. Nieposiadanie ich stanowi o ubóstwie mowy, jest raczej oznaką apatyi i braku żywszej energii. Bo czegóż dowodzi istnienie słów obcych, jak nie wyższej umysłowości ludu, który radby szerzej odetchnąć, w zakątku oddalone widzieć światy, innym się widnokręgom przypatrzyć i dziwić.

Język polski ulegał kolejno rozmaitym wpływom. Z niemczyzną zapoznał się wcześniej i wiele z niej przejął, bo też była odeń bogatszą, wyżej ukształconą i więcej znamion kultury zdradzała. Oczywiście wpływało również przyjęcie za pośrednictwem Czech chrześcijaństwa, z którem wtargnęła do naszego języka gromada słów czeskich, czy to na oznaczenie pojęć zawartych w nauce chrześcijańskiej, czy też jako nazwy praktyk i czynności religijnych. Naprzykład kościół, msza, wielkanoc i t. p. Może mniej doniosłym na nasz język wpływem cieszyła się łacina. Sporo z niej jednak wyrazów żywcem wcielono w polszczyznę (naprzykład: koncept, honor, kolor, fundusz, gleba, testament, rudera, kolumna). I mnogie wyprawy i wojny przeciw Tatarom lub Turkom gotowane, po których rozbiegały się po kraju tysiące jeńców, odbiły swe piętno na języku. Stąd biorą wyrazy początek, jak żupan, kontusz, czamara, karabela, kord, buława, rumak, kajdany, warkocz, ułan. Język polski jeszcze w XIV. wieku posiadał na ogół 10% wyrazów pochodzenia wschodniego. Od czasu przyjazdu do Polski Bony, obyczajom i językowi polskiemu uciążliwej, rozpoczyna się potężny wpływ włoszczyzny, cieszącej się ze strony królowej znakomitą opieką. Ona dwór swój po włosku urządzonym mieć chciała, ona sprowadza z rodzinnej ziemi nauczycieli obcych, otacza się przepychem Italii i używa języka włoskiego w rozmowach z dworem, na ucztach z szlachtą i urzędnikami. To też i polszczyzna w tym okresie świeci od błyskotek włoskich. W wieku XVII. stan ów dobiega zenitu. Równocześnie szerzy się wpływ francuszczyzny. W żadnym jednak języku obcym nie czerpał nasz język tyle zasobów, żaden nie wzbogacił go takim materyałem dźwiękowym jak niemiecki. Przeważna część owych wyrazów, w okresie większej siły asymilacyjnej języka przejęta, nabrała nowego życia w ustach narodu, zaludniając mowę jego mnogością słów pochodnych. Wyrazy zaś pochodzenia łacińskiego, ani w postaci ani w brzmieniu zmienione, nie posiadały tej siły rozrodczej; na bogactwo i rozkwit języka nie wiele mogły wpływać, albowiem przywędrowały do nas w epoce, kiedy łacina, dostępna jedynie kościołowi i uczonym, rozwojowi dalszemu już nie ulegała. Jak dużym natomiast wpływem cieszył się język niemiecki, dowodzą obliczenia filologów, które wykazują, że na ogólną liczbę 5300 wyrazów obcych, przypada niemieckich przeszło 1500, to jest prawie 27%. Biorąc pod uwagę liczbę wyrazów potocznych, przeciętnie przez jednego człowieka używanych, najwyżej na 3000 do 5000 słów, wypadnie 16$^1/_5$ wyrazów pochodzenia niemieckiego. Znane są gościńce historyczne, którymi ów wpływ niemczyzny przeciskał się do Polski. Pod pozorem szerzenia chrześcijaństwa zagarniają Niemcy siedziby słowiańskie. Mieszko chcąc swej ziemi oszczędzić losu podbitych sąsiadów, przyjmuje chrzest z rąk Czechów; kościół wszakże polski aż do roku 1000 ulegać musiał arcybiskupstwu magdeburskiemu. Już w drugiej połowie XII. wieku poczynają się u nas osiedlać Niemcy. Książęta śląscy pierwsi wchodzą w bliższe stosunki z Niemcami, prowadzą do ołtarza księżniczki niemieckie, przejmują ich obyczaje i kulturę. Klasztory, rojące się od Niemców, do uprawy roli swych dóbr rozległych sprowadzają rodaków z Niemiec. Prawo magdeburskie i w ogóle kolonizacya niemiecka, pod względem ekonomicznym i kulturalnym bezsprzecznie w wysokim stopniu pożyteczne, były niebezpiecznem dla życia politycznego i narodowego. Toż Śląsk, z biegiem czasu zupełnie zniemczony, odpadł od Polski i został prowincyą niemiecką. W wiekach XIII. i XIV. Kraków czynił wrażenie miasta niemieckiego. Na ulicach i rynku słyszałeś gwarę niemiecką. W kościele Maryackim księża po niemiecku nauczali z ambony, lud nasz ich nie rozumiał, co dało początek przysłowiu: «siedzieć

jak na niemieckiem kazaniu». Polacy i później nie zeszli z drogi swego do Niemców zbliżenia. Ciągłe wyprawy przeciw butnym Krzyżakom na ziemię pruską, która w lennej do Polski zostawała zależności i w ogóle wszelkie stosunki, dzięki którym Polacy ciągle obcowali z Niemcami — czy to wojenne, czy polityczne, czy cywilizacyjne lub tylko handlowe — zostawiły niezatarte ślady na języku. Cała prawie terminologia miejska i rękodzielnicza pochodzi od Niemców z czasów pierwszej kolonizacyi. Na czele miasta stał wójt (voget, voigt). Uchwały administracyjne zwano wilkierzami (willekür), ortyle (urteil) oznaczały wyroki sądowe; sprawami osady wiejskiej czyli gminy (gemeinde) sterował sołtys (schultheiss) i t. p.

Niektóre z nazw onych, lubo w odmiennem nieco znaczeniu, przetrwały do dni naszych: rynek, ratusz, plac, buda, nazwy monet bitych w mennicy miejskiej (pieniądz, szeląg), wyrazy na oznaczenie przedmiotów i pojęć z zakresu handlu, rzemiosł i przemysłu, terminologia, używana w hutnictwie, również górnicza i ogrodnicza — cały ten ogromny słownik przyjęliśmy z mowy niemieckiej. Wyuczywszy się od Niemców gry w karty i kości, zapożyczyliśmy od nich nazwy figur i maści: czerwień (rot), dzwonka (schellen), żołądź (eichel), wyżnik (ober), niżnik (unter). Nadto winniśmy im nie małą ilość wyrazów treści abstrakcyjnej, jak: ratować, dziękować, szanować, tudzież: los, gwałt, kształt, warunek, rada. Wreszcie śród imion i nazwisk osób, czasu, krajów, miast i miejscowości znajdzie się wiele takich, które również są pochodzenia niemieckiego, naprzykład Jadwiga, Zygmunt, Fredro, Firlej (Fürleger). Wędrówka powyższych wyrazów niemieckich odbyła się przeważnie w okresie od XIII. stulecia począwszy. Z gockiego mamy: szkło (stikls), chorągiew (hrunga), chleb (hlaibs), gotować (gabanjan), kupić (kaufen), leczyć (lekeis), mleko (milko). Z starogermańskiego: ksiądz (kuniny), szkoda (xado), marchew (moraha), paw (pfawo), skiba (sciba) i tym podobne.

Podobne dochodzenia etymologów rzucają nieraz snopy światła w zamierzchłą kulturę, która nie wiele żywych zostawiła pomników. Zestawmy naprzykład wyraz p i e n i ą d z (pfenig) z ruskiem denga lub papier (papier) z bumagą. Słowa ruskie zapożyczonemi zostały z perskiego lub tatarskiego, przeważnie ze wschodu. Odpowiednie zaś wyrazy w języku naszym dobitnie świadczą, że Polska w częstej musiała być styczności z zachodem, mogła zatem czerpać pełną dłonią z ich zdobyczy cywilizacyjnych. Przemawia za tem i geograficzne położenie obu krajów, tudzież warunki komunikacyjne.

Klasztory i kapituły w Polsce przez dwa wieki od przyjęcia religii chrześcijańskiej roiły się od cudzoziemców, dla sprawy kultury i oświaty w kraju obojętnych, ze sobą w obcym porozumiewających się języku, nie wiele też mogły na lud oddziałać; po części mijały się z celem, w jakim zostały sprowadzone i hojną dłonią książąt przywilejami, tudzież mnogością dóbr ziemskich nadane. Nie można zresztą twierdzić, żeby nie wywarły wpływu na górne warstwy społeczności polskiej. Dopiero od czasu zaprowadzenia zakonów żebrzących, a zwłaszcza zgromadzeń świętych Dominika i Franciszka, rzeczy przyjmują postać całkiem odmienną. Bo też klasztory owe, wyłącznie prawie Polakami obsadzone, spełniły świetnie swe zadanie kulturalne. Potulni i pełni serca braciszkowie gromadzili dokoła lud włościański, wpajając weń zasady nauki Chrystusowej, przykładem osobistym do pracy i szlachetności zachęcając. Udawali się nawet w głąb Rusi i Litwy, gdzie podobnie jak na ziemi ojczystej, niestrudzoną dłonią ciskali ziarna nowej wiary, krzewiąc zdobycze

kultury zachodniej. Kiedy gromady osadników niemieckich, napływających do Polski coraz obfitszą falą, zagrażały narodowości, a chmura tatarskiej szarańczy, ciągnąca ze wschodu, nawet zagubą imienia polskiego, duchowieństwo chwyciło w swe ręce sprawę zachowania ojczystego języka, nie szczędząc ofiar i trudów, żeby kraj od groźnych zalewów ocalić. I zaiste, bez przesady powiedzieć można, że jedność narodowa bardziej wdzięczną być winna stolicy arcybiskupiej w Gnieźnie, niżeli rozbitej władzy królewskiej.

Synod łęczycki, za arcybiskupstwa Fulkona roku 1257 zwołany, polecił, ażeby szkoły znajdujące się w parafiach nie dawać Niemcom pod zarząd, jeno Polakom, którzyby potrafili ludowi pisarzy łacińskich dobrze w mowie ojczystej wykładać. Edykt wydany na synodzie w roku 1285, również w Łęczycy, pod przewodnictwem Jakóba Świnki, arcybiskupa gnieźnieńskiego, głosił, że jedynie Polak rodowity, z językiem swego kraju dobrze obeznany, może posiadać beneficium, to jest być wyniesiony do godności proboszcza. Że zaś szło tu głównie o zachowanie i kształcenie języka polskiego (conversatio et promotio linquae polonicae), wydane było polecenie, aby szkoły katedralne i klasztorne oddawano jedynie takim klerykom, którzy znają dokładnie język polski i mogą w tym języku wykładać uczniom autorów łacińskich. Dalej rozporządził synod, żeby zakonnicy, którzy do tej chwili Polaków do siebie nie dopuszczali, byli owszem zniewoleni garnąć ich do siebie. Synody uniejowski w roku 1320 i następne, dla języka ojczystego i narodowości polskiej w wysokim stopniu pożyteczne, rozporządzenia te ponawiały, wyznaczając nawet w tym względzie kary kościelne. Oczywiście wpływ ten kościoła, lubo powolny i nieznaczy, był ochronną tarczą dla słabej, bo dopiero pączkującej latorośli mowy ojczystej.

W pierwszych wiekach chrześcijaństwa nie przygniatała jeszcze ludności dłoń duchowna. Ażeby dzieło apostolskie tem obfitsze niosło owoce, żeby tem większe zastępy do siebie przyciągnąć, nie wymagał kościół wielkich ofiar od nowonawróconych. Obowiązki, jakie na nich nakładano, były bardzo nieznaczne. W niedzielę wstrzymywał się lud od pracy ręcznej, uczęszczał do kościoła i słuchał mszy świętej, zachowywał posty i dawał jałmużny, a nadto w Wielką sobotę przed Zielonemi świętami przyprowadzał do chrztu świętego dzieci w białych szatach, ze świecami w ręku, w towarzystwie ojców chrzestnych, nie wchodził w związki małżeńskie do siódmego stopnia pokrewieństwa — oto przepisy religijne, które pełnili młodzi chrześcijanie. Aż do wieku XIII. wykład nauki chrześcijańskiej zostawał w zupełnem zaniedbaniu, albowiem duchowni nie władali językiem krajowym i tem samem przystepu do ludności mieć nie mogli. To też kiedy legat papieski Jakób, piastujący wówczas godność arcybiskupią w Leodyum, odwiedził był Polskę, za powrotem swym opowiadał, że spotykał starców, którzy, lubo formalnie chrześcijanie, o rzeczach tyczących się wiary nic zgoła nie wiedzieli. Żeby temu stanowi rzeczy zaradzić, postanowił był synod, zwołany w Wrocławiu pod przewodnictwem Jakóba, polecić duchownym, iżby z ludem, w każdą niedzielę i święta, modlitwę i skład apostolski odmawiano po polsku, a przynajmniej jeżeli już ma być dla modlitwy zatrzymana łacina, choćby skład apostolski. Te i tym podobne rozporządzenia zagrzewały serca duchowieństwa dla sprawy narodowej. Toż wiele w tym kierunku zdziałali braciszkowie i księża, miewając kazania i artykuły wiary ludowi w języku ojczystym tłumacząc, ile że w tym czasie poczęła szczupleć śród nich liczba cudzoziemców. Rzuciła się jednak na Polskę niebawem horda Mongołów, tratując nielitościwie dzieło z dobrym skutkiem

dla religii i języka podjęte. Poupadały klasztory i szkoły, zwłaszcza parafialne, światło wiary poczęło przygasać, rozkrzewiła się niewiadomość i ciemnota śród ludu, nawet duchowieństwo, które ongi z godnym zapałem ujęło za pług pracy nad ludem, upadało na duchu i niepomne zarania swych trudów apostolskich, zwolna wirowi ogólnego upadku ulegało. Dostojnicy duchowni, gromadzący się wówczas na synodach, ubolewają, że śród duchowieństwa znaleść można i takich, którzy nawet czytać nie umieją.

Ten stan apatyi nie dotyczy wszakże wyższego duchowieństwa. Biskupi ciągle radzą nad podniesieniem księży i zakonników. Jakób Świnka, który w tej sprawie szczególne położył zasługi, wydaje polecenie, nakazujące pasterzom, ile się razy na synodach zbiorą, tłumaczenie duchownym jakoteż świeckim naukę o sakramentach i artykułach wiary. W pierwszym artykule rozporządzeń synodu, odbytego za tegoż arcybiskupa w roku 1285, czytamy nakaz wykładania duchownym siedmiu sakramentów i Wierzę w Boga. Czynności sakramentalne wyrażano zwięźle w słowach: Abluo, firmo, cibo, luo, lino, prorito, augeo. Dwanaście zaś artykułów tudzież «Wierzę w Boga», za radą kanonistów do siedmiu sprowadzone, zostały zawarte w dwuwierszu:

Nascitur, abluitur, potitur, descendit ad yma,
Surgit et ascendit, veniet discernere cuncta.

Synod wskazuje dalej, żeby każdej niedzieli kapłani podczas mszy solennej zaraz po «Credo», wykładali ludowi «Wierzę w Boga», «Ojcze nasz» i «Zdrowaś Marya» po polsku, zarzucając kazania innej treści i żeby czynili zapowiedź — oczywiście w tymże języku — przypadających dni uroczystych. Jeżeli zaś duszpasterz dobrze przemawiać umie, może rozjaśniać pismo święte i przykładać zgromadzonym wzory postępowania chrześcijańskiego. Podczas mszy świętej, przed Podniesieniem, ma się odezwać dzwonek na znak, żeby lud uprzedzony o nastaniu chwili uroczystej, ukląkł i zanosił modły za papieża i wszystkie stany duchowne, za królów, książąt i lud chrześcijański, żeby prosił o spokój i pomyślność kraju, osobliwie ma błagać za dobrodziejów i patronów kościoła. W celu rozbudzenia pieczy i dbałości o świątynie pańskie, nakazuje synod zapisywanie darów i imion dobrodziejów w kościele, tudzież ich wobec zgromadzonego ludu odczytywanie, przy modlitwie za ich duszę. Następnie poleca, żeby dzień ich śmierci zapisywano na wmurowanej tablicy, przy miejscach ich spoczynku. W rocznicę śmierci mają być odprawiane egzekwie, przy których lud winien czynić spowiedź powszechną i «Kaję się Bogu». Nakazuje też synod, aby w każdym kościele katedralnym i w konwencie znajdował się żywot św. Wojciecha do użytku wszystkich. Edrisi, geograf arabski z XII. wieku, donosi, że w Polsce było wielu uczonych kapłanów. Odnosi się to oczywiście do wyższego duchowieństwa, które pod osłoną murów kapituły, lub w zaciszu celi klasztornej pielęgnowało później naukę dziejów, prawa i literaturę średniowieczną. Niższe atoli, przeważnie z ludem i szlachtą obcujące, nie odczuwało braku oświecenia, rozległa bowiem wiedza i osobliwe w rzeczach wiary wykształcenie były tu prawie zbyteczne. W XIII. wieku poziom duchowieństwa znacznie się podnosi i to samo spostrzegamy w naukach. W klasztorach i kapitułach święciła narodziny nasza literatura łacińska, tam również na świat przychodzi ojczysta. Daje jej początek chwała Boża, która w polskim głoszona języku, tem samem dźwiga język i literaturę naszą. Z ambon rozlegają się kazania w mowie ojczystej, psałterze, modlitwy, pieśni religijne, dzię-

sięcioro przykazania, — wszystko to w szacie ojczystej. W końcu całe nabożeństwo kościelne lud słyszy w języku, którego używa od kolebki do trumny. Szkoda tylko, że pomniki te zachowały się z stosunkowo późnego czasu i uszpecone zostały nieudolnością pisarzy.

Owa jednak pstra rozmaitość w sposobie ekspresyi w pisaniu żywych mowy staropolskiej dźwięków, poczyna zdradzać cechy regularne, jeżeli się ugrupuje pomniki wedle czasu, z którego pochodzą. Prof. Kalina całą tę mozaikę ortograficzną dzieli na trzy okresy, odróżniając trzy odrębne doby dziejowego rozwoju.

W okresie pierwszym oddają zabytki dźwięki żywej mowy sposobem znaków łacińskich, prostych, przyczem jeden znak piśmienny służy czasem do oznaczenia kilku dźwięków. Ma to swoje źródło w tej okoliczności, że polska pisownia oparła się na alfabecie łacińskim, który nie zdolen jest wyrazić wszystkich dźwięków naszego języka. Przestrzeganą zaś była zasada, że dźwięki, z naturą fizyologicznie pokrewną, pisano jednym znakiem graficznym, jak to widzimy w łacińskich zabytkach naszego piśmiennictwa, a po części i w najstarszych polskich.

W drugim okresie używano znaków piśmiennych złożonych, na oddanie jednego dźwięku, przyczem dobór odpowiednich był regulowany na podstawie ich natury fizyologicznej. Odnosiło się to jedynie do tych dźwięków, dla których brakowało znaków i w dobie poprzedniej. Wprawdzie pod względem wyrażenia pojedynczych dźwięków, osiągniętą została większa dokładność, ale z drugiej strony, mianowicie praktycznej, powstała niedogodność, czasem nawet w wysokim stopniu uciążliwa. Nie było stałej normy, obowiązującej łączenie pojedynczych znaków graficznych. Owszem, pisarzowi zostawiano na tem polu wiele swobody. Żeby dowolność ową skrępować, zaprowadzono na miejsce kombinowanych, znaki proste, z pewną odmianą, weszły w użycie znaczki diaktryczne.

Pisownia tego okresu, sięgająca daleko w przeszłość, otrzymała pewien system stały dopiero w zabytkach drukowanych.

Zresztą okresy powyżej opisane nie zdradzają przejść nagłych, gwałtownych, brak im również ram ściśle zakreślonych i wyraźnych, a zabytki nasze piśmienne odnieść należy do chwili przejściowej, kiedy pisownia jednego okresu przechodziła w drugi. Okoliczność ta była głównym powodem, że wytworzył się sąd niekorzystny o naturze staropolskiej ortografii, w której nowsi badacze naszego języka nie mogą się dopatrzeć ani stopniowości ani prawideł.

Trudno się również zgodzić lingwistom w kwestyi iloczasu. Podzieliła ona gramatyków na dwa odrębne obozy. Jedni przyznają iloczas samogłoskom w dobie historycznej, drudzy twierdzą wręcz przeciwnie. Jest rzeczą prawdopodobną, że samogłoski długie były w używaniu jeszcze w wieku XII. i poprzednich, a dopiero w XIII. stuleciu zaczęto je pochylać. Istnienia iloczasu dowodzi najstarszy gramatyk, Parkosz. Samogłoski długie były w używaniu jeszcze w wieku XIV. Dopiero Zaborowski mówi o nich, jako o zabytku historycznym, uważa je za anachronizm.

Nie bardzo z drogi wytkniętej zboczymy, poświęcając słów parę tradycyjnej genezie owych modlitw, w których jakby w kielichach świętych, podawano ludowi napój wiary i nauki. One były pierwszym dla ludów północy promieniem cywilizacyi, one jej wonnym porankiem, one kluczem, którym otwierano duszy podwoje, aby wejść mogła w światłość Chrystusową. Istnieją po dziś dzień, żywot swój licząc na kilkanaście wieków, a tak są potężne, tak na wpływy otoczenia odporne, że jak owe obeliski z granitu, przeniesione z puszcz libijskich na forum w Rzymie,

w kantach tylko wpływowi powietrza nadpsute, ostały się mimo burz i wichrów niezmienione. Kamiennym węgłem wiary i niejako wstępnym w katechizm krokiem jest modlitwa pańska: Ojcze nasz. Spisali ją podobno ewangeliści z ust Chrystusa z dodatkiem «Amen», którego sam Zbawiciel używał, w znaczeniu przysięgi, albo raczej dla wpojenia wiary w serca swych słuchaczy, że słowa Jego nieodmiennie w ciało się obleką. Pozdrowienie anielskie, do tej modlitwy dodane, zawiera słowa archanioła Gabryela zwrócone do Maryi, dalej pozdrowienie Anny i w końcu ustęp: «Święta Maryo, Matko Boża» i tam dalej. To ostatnie zakończenie dodane było na licznym, bo w asystencyi 200 biskupów odbytym soborze, który został zwołany do Efezu r. 428, przeciwko Nestoryuszowi, biskupowi konstantynopolitańskiemu, przeczącemu bóstwa Maryi. Skład apostolski czyli tak zwany «Wierzę» ułożył kościół katolicki na pierwszym soborze, zwołanym roku 325 po narodzeniu Chrystusa. Artykułów podano 12, na pamiątkę dwunastu apostołów, wspierając się na podstawie ich nauki. Te naczelne wiary katolickiej modlitwy, spisane po grecku zostały przełożone na język łaciński i w tej formie obiegały cały świat chrześcijański. W szacie ojczystej ukazują się znacznie później. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa używany był język polski w kościele jedynie do najniższych posług. Nie inaczej działo się zagranicą. W Niemczech, naprzykład, długi czas modlitwy były odprawiane w języku łacińskim. U nas dopiero w XIII. stuleciu słyszałeś w kościele po polsku mówioną modlitwę pańską, pozdrowienie anielskie i skład apostołów. Jeżeli nas przypuszczenie nie myli, to i św. Sakramenta nie były wcześniej w tymże języku udzielane. Zaginęły atoli ówczesne teksty tych pierwszych na język ojczysty przełożonych modlitw. Ale i te, które nas doszły, winne zająć pierwsze miejsce w szeregu zabytków języka polskiego. Trudno oznaczyć dokładnie czas ich powstania. A lubo wiemy niekiedy czas narodzin rękopisów, które je podają, są one przecież tylko odpisami dawniejszych. Modlitwy, cieszące się taką powszechnością, z pietyzmem do dni naszych wszędzie i równie odmawiane, musiał nadkruszyć ząb czasu, bo inaczej byłyby może w pewnych wyrazach lub ustępach dla pokoleń późniejszych niejasne. Niektóre jednak staropolskie formy z XIV. wieku może umyślnie gwoli zostawienia jej kształtów od mowy pobocznej odmiennych — że wspomniemy na tem miejscu o starożytnej w modlitwie zachowanej formie «niebiesiech» — przetrwały niezmienione. Z tekstów, mieszczących najdawniejsze modlitwy: Ojcze nasz, pozdrowienie anielskie i skład apostolski, uważać należy za najdalej w przeszłość wysunięty tekst przechowany w bibliotece Jagiellońskiej; pochodzi rzekomo z roku 1375 a powstał zapewnie o kilkadziesiąt lat wstecz. Tekst tej modlitwy nie jest dokładny. Spisany podobno przez Niemca, zdradza wprost nieznajomość języka, jest zepsuty i błędny. Nie lepiej zalecają się późniejsze tych modlitw teksty w rękopisach spisanych około 1400 roku. Podaję tu tekst modlitwy pańskiej w języku z XIV. wieku, z pozostawieniem ówczesnej pisowni: Otcze nas, yenze yes na nebesich, osswin sche fthe ymi, bwncz thua wola tako na nebe, iako na zemi, schlib naschs poffseydni day nam czys, a odpwschy nam nasche vini, yako mi odpuscami naschim vinovaczschom, ne voczy nas na pokwssene, alle sbavy nas ode slego, Amen.

Na synodzie wrocławskim roku 1248, któremu przewodniczył wysłannik papieski Jakób leodyjski, późniejszy papież Urban IV., wraz z duchowieństwem archidyecezyi gnieźnieńskiej, wydobyto następujące rozporządzenie: w każde święto ma kapłan po ewanielii odmawiać z ludem po polsku «Wierzę» (ut singulis dominicis et festivis dicant symbolum in vulgari). A Jakób Świnka, arcybiskup gnieźnieński, poleca 1297 roku

powszechną spowiedź w tych słowach: Ut post exertationem generalem confessionem faciat (populus) in haec verba «Kayesse Bogu». Oto jak mniej więcej wygląda Credo w staropolskim języku: Wierzę w Boga occa wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemie i w Jezu Chrysta, syna jego jedynego, pana naszego, jen począł się jest z ducha świętego, narodził się z Marie dziewice, umęczon pod Pontskim Piłatem, ukrzyżowan umarł i pogrzebion zstąpił do piekła, trzeciego dnia wstał z martwych i wstąpił na niebiosa, siedzi na prawice Boga occa, wszechmogącego, odjądże przyjdzie sądzić żywych i martwych. Wierzę w świętego ducha, w świętą cyrkiew chrześcijańską, świętych pospólstwo, odpuszczenie grzechów, ciała zmartwychwstanie i żywot wieczny — Amen. Spowiedź powszechna z tego czasu (XIV. wieku) opiewa: Ja grzeszny człowiek, kaję się Occu i mile Marye, Matce Boże i wszem świętym i tobie Otcze duchowny, mych wszech grzechów, com się ich dopuścił od mego porodzenia, aż do dzisiejszego dnia mą pięcią rozumu: weźrzenim, słyszenim, ukuszenim, pomyślenim, przemówienim. Jakośm co często zgrzeszył, tego mi dzisia żal od mego prawego serca i tego się kaję. Kaję się teże, iżem się dopuścił siedm śmiertnych grzechów: w pyszności, w pijaństwie, w łakomstwie, w gniewie, w żarze, w zawiści, w nienawiści, nieczystotą mego żywota i we śnie i na jawie, w lenistwie, dopuszczenim złego, opuszczenim dobrego. Jakośm koli mego Twórca rozgniewał, tego mi dzisia żal od mego prawego serca.

125. Podobizna najstarszego tekstu Modlitwy Pańskiej (z kodeksu biblioteki Jagiellońskiej).

Kaję się teże, iżeśm nie popełniał sześciora miłosierdzia Twórca mego: ubogiego łaknego nie nakarmił, ani napoił, pustego nie obłożył, nagiego nie przyodział, martwego do grobu nie przyprowadził. Jakośm to często omudził, tego mi żal. Kaję się teże, iżeśm przestąpił dziesięciorą Bożą kaźń, te jeśm nigdy nie popełnił, jako mi mój Tworzec kazał: mego miłego gospodzina, od mego serca nie miłował, Jego święte męki nie opłakał, Jego świętych pięci ran nie opłakał, świętego wiernego Bożego Ciała dostojnie nie przyjmował, mego otca i me macierze nie czcił, częstom się nie gniewał mych grzechów, cośm się ich dopuścił. Tego mi żal i tego się kaję i proszę Twórca wszechmogącego w Trójcy jedynego i miły Matki Boże i wszech świętych i ciebie oćcze duchowny, by mię raczył rozgrzeszyć mych wszech grzechów wiadomych i niewiadomych — Amen.

Dziesięcioro przykazania czyli dekalog, który w XIII. wieku stał się główną katechizmu katolickiego podstawą, zjawia się u nas dopiero w XV. wieku, najczęściej w formie krótkich dwuwierszach rymowanych.

W dziejach rozwoju duchowego w Polsce, czas panowania ostatniego Piastowicza rozpoczyna kartę. Zakończył się za Kazimierza Wielkiego zastój, w jaki kraj nasz pogrążony był przez całe wieki. Ruch obudzony na polu sztuki i umiejętności, wciągnął w swój wir i język narodowy, który po raz pierwszy około połowy XIV. wieku święci szersze piśmienne zastosowanie. Pojawiają się przekłady psałterza, kazań, pieśni. Wprawdzie spotykałeś je już pierwej, ale były to jedynie tłumaczenia modlitw główniejszych, formuły spowiedzi i t. p. Wszakże literatura narodowa, lubo bezsprzecznie w tym czasie ożywiona, nie wykracza ciasnych granic, w jakie ją kościół i religia katolicka oddawna zamknęły. Poziom podnosi się zwolna jedynie w tych brzegach. Mamy już wszakże słowniczek nazw roślinnych i stosowne do potrzeb życia praktycznego zbiory praw ziemskich i grodzkich — oto rzeczy, które już w narodowej szacie bogacą skarbiec ojczystego piśmiennictwa. Przekłady, zazwyczaj z języka czeskiego lub łaciny, dokonano jeszcze niewolniczo niemal słowo za słowem. Pisarz bowiem, głównie treść oryginału mając na względzie z wymaganiami języka niewiele się liczył. W dwu atoli rodzajach dzieł, pewna odrębna, językowi naszemu właściwa samodzielność utrzymaną być musiała. Kaznodzieja, chcąc być zrozumiałym, winien się był stosować do właściwości języka, znanego ludowi, u stóp ambony zgromadzonemu. A także autor pieśni religijnych, które miały obiegać wsie i osady, bez liczenia się z wymaganiami mowy ojczystej obejść się nie mógł, ile że używając rymu i rytmu polskiego, musiał je ciągle mieć na widoku, inaczej nie byłyby przez nabożnych śpiewane, chybiłyby więc celu, w jakim je podjęto. — Troskliwie szukamy tych szczątków starożytnego języka. A lubo to, co się odkryć udało, bynajmniej się doskonałością nie zaleca, ceni się wszakże wysoce. Są to bowiem żywi świadkowie stopniowego rozwoju naszej rodzimej umysłowości. Należy im się w piśmiennictwie naczelne miejsce, podobne temu, jakie ma w nauce biologii — komórka. — W jaki sposób nauczano pierwszych prawd religijnych za Piastów, dla braku świadectw spółczesnych, nie wiele można powiedzieć. Nie ulega jednak wątpliwości, że w wieku XIII., a może i wcześniej odbywały się kazania w języku polskim, czego dowodzi dyplom erekcyi kościoła Panny Maryi w Krakowie. Były to albo postylle, w których kaznodzieja zapożyczał się z ewanielii (post illa verba), wykładając je ludowi w formie przystępnej, albo też właściwe kazania. Pierwotnie miewano kazania w języku łacińskim. Później, pisane po łacinie wygłaszał kapłan po polsku; w końcu pisano je i mówiono w mowie ojczystej. Z kazań po

łacinie pisanych, należy się miejsce zaszczytne kazaniom przygodnym i odświętnym, które Marcin Polak, dominikanin, późniejszy nominat na arcybiskupa gnieźnieńskiego, pisał dla użytku kościelnego. Musiały się cieszyć powodzeniem, skoro w Strassburgu trzykrotnie drukowane były. Również Peregrinus rodem ze Śląska, przeor Dominikanów w Wrocławiu i Raciborzu, a roku 1305 prowincyał polski, pisał kazania pod powszechnie używanym tytułem: Sermones de tempore et de sanctis. I Stanisław Stoikoń, przełożony Miechowitów, zmarły roku 1395, miał zostawić kazania po łacinie. Równocześnie z łacińskiemi pojawiają się kazania polskie po łacinie spisywane. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa, kapłan wchodzący na ambonę nie więcej pewnie mówił do ludu w kościele zgromadzonego, krom pacierzy. Później stan ten rzeczy ulega zwolna przemianie. Już konstytucya Jakóba Świnki, w rzeczach kościoła wielce zasłużonego, opiewa, że w XIII. wieku księża, odczytywali homilie po łacinie, objaśniając je nabożnym w języku ojczystym. Dotąd do nauczania ludu stosowaną była zasada bardziej praktyczna; rozwijano katechizm, teraz zaczęto wykładać ewanielię. Uczyniono krok naprzód. Obecni w kościele winni byli wznosić modły za dobrodziejów kościoła i odbywać spowiedź generalną: «kaję się Bogu». U schyłku XIV. wieku, widzimy w nauczaniu kościelnem stałą modłę. Obejmując objaśnienie ewanielii, poprzedzone wstępem, modlitwę pańską, konfesyę, spowiedź i dekalog, kończyła się nauka wiary, upomnieniami i zapowiedzią — wszystko w języku polskim.

Kazania mówione po polsku, a łaciną spisane, przechowują jedynie późniejsze rękopisy. Starsze teksty zaginęły w zawierusze dziejowej. Przypominam na tem miejscu kazanie z roku 1399, nad grobem królowej Jadwigi, w języku łacińskim spisane, wypowiedział je kapłan po polsku. Ten podwójny język w kazaniach pochodził z zwyczaju, który opiewał, że ten, kto uczenie pisze (do rzędu uczonych należał kapłan, umiejący kazanie napisać i powiedzieć), nie inaczej, jeno łacińskiej mowy używać winien. Podają ówczesne dzieje imało wiadomości o kazaniach po polsku mówionych.

Kiedy Władysław Jagiełło ciągnąc z wojskiem przeciw Krzyżakom, zatrzymał się w Płocku, przemówił doń po polsku Jakób, biskup tameczny, bo król łaciny nie znał, objaśniając różnicę między wojną sprawiedliwą, a Bogu i sprawiedliwości przeciwną. Również na pogrzebie tego króla przemawiał po polsku Paweł z Zatora, profesor wszechnicy krakowskiej, ile że Zofia, wdowa po Jagielle, języka łacińskiego nie rozumiała. Atoli jeżeli do Polski zjeżdżał kaznodzieja obcy, lub nawet kiedy kapłan polski nauczał z ambony wobec zgromadzonego na ławach kościelnych dostojeństwa i szlachty, kazania były głoszone po łacinie. Ówczesne bowiem warstwy wyższe w tym języku chętniej ich słuchały, niż w polskim, w którym przemawiano do gminu. Kazania te były potem na język ojczysty przekładane, a czasem tłumaczenia dokonywał sam kaznodzieja i powtarzał już następnie po polsku. Kiedy św. Jan Kapistran kazał po łacinie w Wrocławiu (Włochem będąc, nie znał polskiego języka), toż obok niego stojący ksiądz śląski, powtarzał ludowi kazanie po polsku. Sam nawet Samuel Maciejowski, biskup, kazanie swoje na pogrzebie Zygmunta Starego, po łacinie miane, powtórzył ludowi w katedrze po polsku.

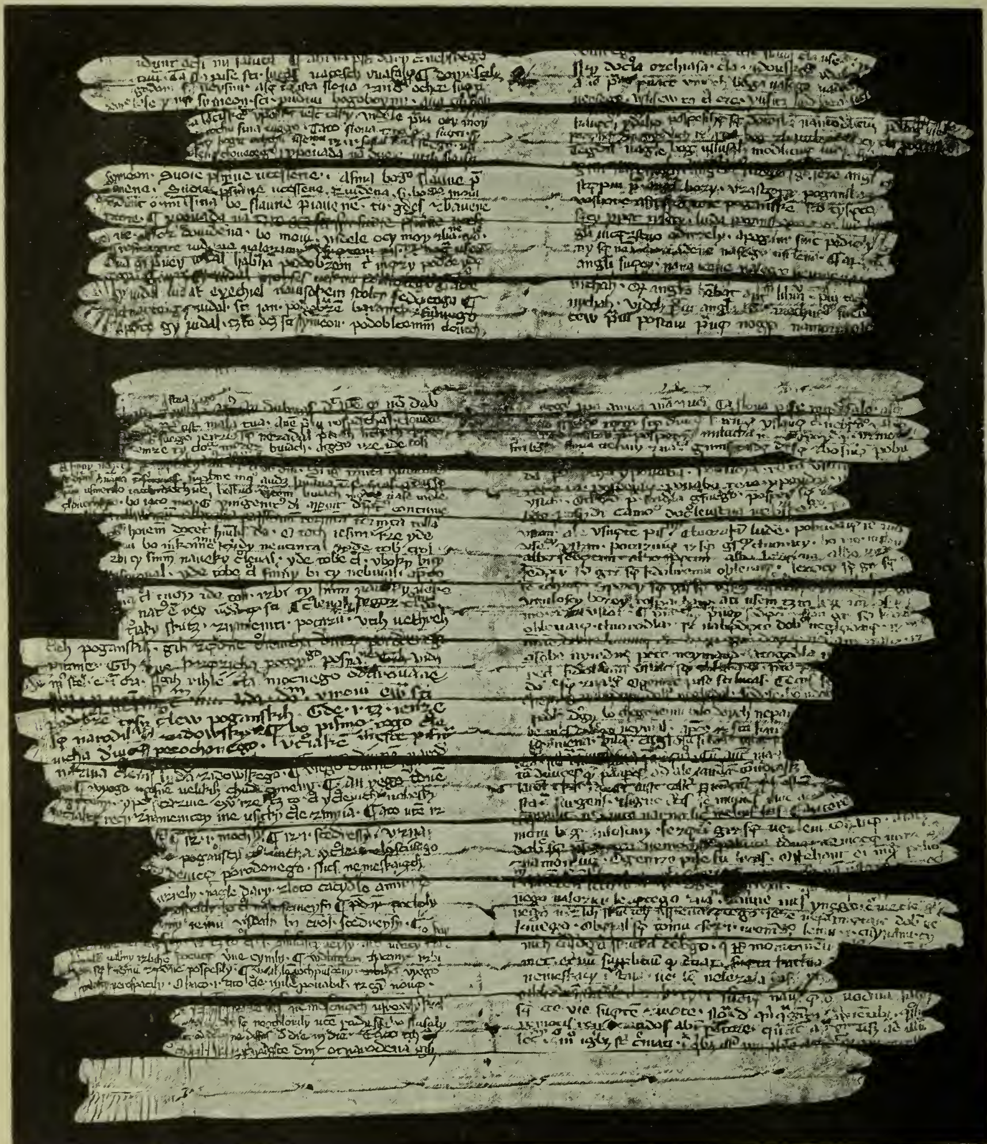
Nasza literatura średniowieczna w porównaniu z czeską uboga, nie w jednym kierunku wiele od niej odstępuje. Na polu piśmiennictwa świeckiego, ogromna przewaga należy się Czechom, którzy je i dawniej rozpoczęli i ozdobili rozmaitszą mnogością barw. Natomiast pewne działy literatury kościelnej, kwitnącej pod kopułami

kościołów i w klasztornem zaciszu, rozwinęły się u nas dość bujnie. Nie odnosi się to oczywiście do przekładów pisma świętego, w Czechach wcześniejszych i liczbą obfitszych, u nas późniejszych i rzadszych. I w zakresie pieśni duchownych Czesi stoją od nas wyżej, lubo pierwszeństwo to nie jest już tak znaczne i w oczy bijące. Dotrzymujemy im jednak kroku. Z XIII. wieku mają Czesi tylko trzy zbiory kazań, my się już dziś dwoma poszczycić możemy.

Do najstarszych pomników języka polskiego należy zbiór kazań t. z. świętokrzyskich, odkrytych i objaśnionych przez prof. Brücknera. Przechował się szczęśliwie ułamek tego zbioru, zawierający kazanie o aniołach w dzień św. Michała, o świętej Katarzynie, urywki kazań o św. Mikołaju, w dzień Bożego narodzenia, na Trzech króli i na Gromniczną. Były one ręką księdza pisane i głoszone przezeń w sposób następujący: Kiedy się już przeżegnał, odczytał i przetłumaczył odnośną lekcyę z ewanielii, wymienił po łacinie tekst, czyli jak go w średnich wiekach nazywano temat kazania, cytując po polsku źródło z którego korzystał. Następnie tłumaczył i króciutko omawiał tekst, rozwijając zarazem dyspozycyę całego kazania. Po owym wstępie (eksordium lub inwokacya), następuje tenor kazania, w którym kapłan obrany temat starał się dostępnie wyłożyć i objaśnić. Lubo kazanie było pisane sucho i oddzielne w nim punkty krótko i pobieżnie zaznaczone, należy przypuścić, że kapłan mówiący z kazalnicy, oparł na tym szkielecie przemówienie żywe i zajmujące, inaczej aniby zgromadzonych zajął, ani poruszył ich serca, ile że ma się tu na względzie okres, kiedy krzewiciele wiary głęboko i najszczerzej byli chrześcijańscy. Duch scholastyczny przebija się w tych kazaniach dwukrotnie, to jako przywiązanie do działów i poddziałów, to znowu jako tłumaczenie pisma świętego przy pomocy alegoryi. Oto mniej więcej rozkład kazania na Trzy króle. Temat czyli tekst jego: «Rex Judeorum»: W trzech miejscach pismo tak nazywa Chrystusa, w trzech rzeczach król ten inne króle przewyższa, jest najmiłościwszy, a to w rzeczy trojakiej, najszczodrzejszy, a to w rzeczy trojakiej i t. p.

Tenor kazania mieści cytaty z pisma świętego, najpierw po łacinie, potem po polsku. Następują wyliczenia i opowiadania z pism innych «autoritates». W zakończeniu znajdujemy peroratio, prośbę o «dowiedzenie» do królestwa niebieskiego. Jest to formułka króciutka w tekście, rozszerzona na kazalnicy. Po kazaniu wygłaszał kapłan t. z. confessio generalis, modlitwy za kościół i wiernych, czy to umarłych, czy zostających przy życiu, czynił zapowiedzi świąt przyszłego tygodnia i t. p. — Dyspozycya kazania o św. Mikołaju ogniskowała się koło «dwojakiego skutku», w pierwszym była mowa o miłości świętego ku Bogu, w drugim — o miłowaniu ludzi. Wcześnie poczęła się o św. Mikołaju objawiać miłość ku Bogu. Będąc jeszcze niemowlęciem, dwa razy w tygodniu, gwoli dwom postom, piersi nie ssał, a z kąpieli pierwszej wyszedłszy, zaraz Bogu chwałę oddał. Ludzi zaś całą duszą i jestestwem kochał, świadczy o tem niezwyczajna jego dla ubogich hojność i osobliwe miłosierdzie. — Język tych kazań zaleca się prostotą, jest przejrzysty i płynny, do pewnego stopnia już wyrobiony i giętki. Ale kaznodzieja, pod względem stylu niezbyt wybredny i o ozdoby językowe niewiele troskliwy, często się powtarzał, używając nieraz tych samych zwrotów. Oczywiście forma przemowy cierpiała na tem niemało, lubo pobożni słuchacze przez powtarzanie łatwiej mogli sobie zapamiętać nauki z ambony dawane. W zakończeniu kazań niektórych znajdujemy wiersze rymowane. Nie powinny nas bynajmniej dziwić, ile że już wtedy dekalog był ułożony w mowie wiązanej i w tej go formie w kazalnicy uczono. We Francyi całe kazania znajdujesz w rymach,

a w dni uroczyste słyszałeś z ambon nawet legendy, jak nasza o św. Aleksym w rymie ułożone. Niemcy posiadają całe zbiory kazań średniowiecznych z partycyą zawsze rymowaną, jak w naszem kazaniu na św. Katarzynę. Często można tam



126. Kazania świętokrzyskie (z fotografii ręk. biblioteki petersburskiej, udzielonej przez prof. S. Ptaszyckiego.

napotkać kazania z rymowaną prozą, co zresztą ma miejsce i w naszem kazaniu gromnicznem. Oto próbka tego koszlawego rymu: «widzenie.... Boga wszechmocnego... pod obrazem.... idącego.... we krzu pałającego... na stolicy siedzą-

cego.... barańca śnieżnego». Uderza na pierwsze wejrzenie w naszym zbiorku kazań brak przemowy do owieczek. Nie są tam nazywani słuchacze ani «fratres carissimi» (najdrożsi bracia), jak we wszystkich prawie zbiorach średniowiecznych, ani w zbiorze gnieźnieńskim napotykane «dziatki miłe», którem sędziwy proboszcz witał lud zgromadzony.

Kazania świętokrzyskie są oryginalne, nie odszukano przynajmniej dotychczas ich łacińskiego wzoru. Nie idzie zatem, żeby się nigdzie nie zapożyczały; owszem wiele w nich i zdań i ustępów przejętych z kazań innych, co zresztą ma miejsce w całem kaznodziejstwie średniowiecza, a nawet zdarza się i dziś jeszcze. I tak naprzykład za wzór do przemówienia na Trzy króle, posłużyło kazanie Jakóba de Voragine, autora znanej legendy złotej, bardzo w wiekach średnich powszechnej i cenionej. W innych słyszy się wyraźnie echa kazań de sanctis Marcina Opawczyka (Polaka rodem) i przemówień kościelnych Dominikanina Peregryna. Niektóre wykłady mają tak zwane miejsca wspólne, powtarzające się stale bez względu na czas i sposobność. Naprzykład wezwanie kaznodziei, aby «obdarowywać Chrystusa złotem, to jest skutkiem miłosiernym, kadzidłem, to jest nabożnem modleniem, mirą, to jest ciała udręczeniem» — znajdujemy w wielu kazaniach. Kaznodzieja nasz znać musiał pismo święte dokładnie, ma bowiem zawsze na zawołanie sporo cytat, jeno niestety, nie zawsze je przytaczał dosłownie, za bardzo widać ufając pamięci. Takie zresztą korzystanie z pisma św. w wiekach średnich nie należy do wyjątków. W naukach moralnych nie wychodzi nasz kapłan z założeń ogólnych, nie wysypuje z nich, jak z rogu obfitości, swych wywodów, ogranicza się jeno nawoływaniem grzesznika do pokuty, starając się go odwieść od rozpaczy i pychy. Przed oczy pobożnego kładzie w prostych wyrazach obraz Chrystusa, jako wzór odwieczny sprawiedliwości, pokory i cierpliwego znoszenia ubóstwa. Napróżnobyśmy w tych kazaniach szukali zdań i ustępów, któreby nas naprowadzały na domysły o stanie i usposobieniach ówczesnego społeczeństwa. Osobistych wycieczek brak w nich zupełny, czego nie można powiedzieć o kazaniach gnieźnieńskich, gdzie hojną dłonią rozrzucono docinki dotyczące osób spółczesnych. Rękopis kazań świętokrzyskich pożółkły ze starości, nie jest pisany gotykiem, tak częstym w naszych pomnikach, naprzykład w psałterzu, biblii i innych. Zwykła to minuskuła cienka i prostopadła, wzkazująca już pierwszą ćwierć wieku XV. Niektóre miejsca, mianowicie teksty łacińskie legendy o św. Katarzynie, zdradzają pismo innej ręki, litery tu grube i krzywo stawiane. Pismo nadto niezwykle zbite, pisarz widocznie skąpił pergaminu. Słów łacińskich w całości nie pisał, ograniczając się notowaniem liter początkowych, a i polskie wyrazy silnie skracał. Gwoli tejże oszczędności nie uczynił żadnych między kazaniami przestanków. Nie ma śladu użycia minii, nie znajdziesz nawet większej litery na początku. Nie dziw też, że rękopis tak niepokaźny i może jedynie dla piszącego dostępny, użyto na paski do oprawy innych manuskryptów. Tej tylko okoliczności zawdzięczamy ocalenie choć w skrawkach rękopisu tak wielkiej dla języka doniosłości. Podaję tu w oryginale urywek kazania, na dzień gromniczny, w transskrypcyi prof. Staszyckiego:

[u]i*de*runt o*cu*li m*e*i saluta*re* & abina[*m*] p[*rz*e]s dary *crola* neb*e*skego tuu*m*.
Ta slo*ua* pise *swi*eti lveas na cesch y na falφ & domescily godom nynejsim.
a sφ ta ista sloua zmo*wiona* ochce*m* suφti*m* iem*us* bese ymφ symeon. swieti.
pr*ie*nd bogoboyney. a na tih slou . . . na lacinsk*ego* vpol*sky* iest taky, videte
pr*a*ni ocy moy . . . tochu sina tuego. Taco sloua t*en*to occe suφti. sy . . .

mę bogu ochehu n*a*semu iz *iest* seslal sina suego na . . . colena clouecego, y pouada na*m* duvie u tih slo*wiech swieti* symeon. S*v*oie pr*zes*mi*e*rne ucessene, a sina boz*ego* slaune p*rze* iauene. Suoie prz*es*mi*er*ne ucessene i t. p.

Pisownia tego zabytku sięga w bardzo odległą przeszłość. Obie głoski nosowe, które podobnie jak dziś, były w użyciu w XIV. wieku, wyrażały się przy pomocy jednej litery «o» z haczykiem. W ogóle duże jest pod względem pisma ubóstwo. Najciekawszą atoli cechą w tej zabytku naszego grafice jest nader częste stosowanie systemu skróceń. Wytłumaczyć to można oszczędnością pisarza, ile że pergamin był wówczas bardzo drogi, ale zaważyły tu i wpływy postronne, zwłaszcza łacińskie, a zapewne i szkoła ortograficzna. Szczególnie ulegały skróceniu słowa często powtarzające się w kazaniu. W podobnych wypadkach, jedna lub kilka początkowych liter każą się domyślać całego wyrazu, naprzykład «co» oznacza: królestwo, «i» wystarcza dla wyrażenia czasownika: jest. Wogóle kazania świętokrzyskie zachowały dawniejszą języka naszego pisownię, lubo spisano je później. Główna jej zasada, podobna, czy naśladowana z czeskiego, na tem polega, że głoski polskie wyrażane są za pomocą znaków alfabetu łacińskiego. W wypadku, gdy podobna metoda, z powodu braku odpowiednika w łacinie, nie mogła być dokładnie stosowaną, wówczas pisarz używa innej jakiej głoski, fonetycznie najbliższej i najpodobniejszej. Przy takiej praktyce nie oznaczano ni zmiękczenia głosek wargowych, ni pochodnego miękczenia gardłowych. Mamy tu jednak przykłady, gdzie słowiańskie głoski oddawane są przez kombinacyę dwu, lub jeżeli potrzeba zachodziła, nawet większej liczby znaków łacińskich. Widocznie poczęto już myśleć o rozróżnianiu brzmień mowy ojczystej. Nasuwa się pytanie, w jakim stosunku zostaje ten niedawno odkryty pomnik z dotychczas znanymi. Prócz zapisek sądowych, zostawił wiek XIV. nie wiele pomników, bo właściwie tylko psałterz floryański i gnieźnieńskie kazania. (Modlitwy i spowiedzi rzekomo z roku 1375, spisano prawdopodobnie w Krakowie między rokiem 1410 a 1420.) Że zabytek swiętokrzyski w żadnym nie stoi związku z floryańskim psałterzem, dowodzi choćby pisownia, w tym ostatnim, może na nowszych oparta zasadach. Zamiast bowiem liter pojedynczych, na oznaczenie zmiękczeń, znajdujemy już złożone, skróceń zaś, brak tu zupełny. Zdaje się jednak, że psałterz floryański, pomnik małopolski, może krakowski, powstał w dziedzinie hołdującej odmiennej tradycyi ortograficznej.

Duże natomiast zachodzi podobieństwo między naszemi, a gnieźnieńskiemi kazaniami, pomniki te mają pisownię zupełnie podobną. Zachodzące zaś w nich różnice, należy objaśnić odstępem czasu i osób. Język świętokrzyskich kazań zdradza właściwości mowy staropolskiej. Spotykamy tu jeszcze formy, które dopiero później uległy skróceniu, jak: imają, imiał i t. d. zamiast: mają, miał; wieliki (wielki), *f* zastępuje *ch* w słowach: fała, falić (chwała, chwalić). Skupienie głosek syczących jest wprawdzie niezmiennie utrzymane, ale przebija się tu i ówdzie dążność ku uproszczeniu tych grup. Mamy więc równocześnie pisownie: świad*eczs*two i bóstwo. Rzeczowniki odmieniają się na podstawie starych prawideł, miejscownik liczby pojedynczej tematów jotowanych męskich i nijakich kończy się na prastare *i*, nie na późniejsze, już w psałterzu floryańskim przeważające *u*, a więc: na stolcy, na morzy. Dopełniacz zaimka ten, urobiony jest, jak w czeskim: togo, celownik tomu, forma: ta dla nijakiego, ty dla biernika męskiego, naprzykład ty króle, ta słowa i t. d. Biernik ji z partykułą że, jest zawsze zaimkiem względnym, raz tylko spełnia tę funkcyę który. Znajdujemy tu starożytną formę czasu przeszłego,

naprzykład siedziesze (imperf.) widziech (aoryst). Obok tych czasów pierwotnych zaczyna przeważać czas przeszły złożony. Z przyimków napotykamy dla, po słowie rządzonym, naprzykład: togo dla (dla tego). Inne przyimki powtarzają się, naprzykład: pokazuje *w* tym *we* trzech królech. Gwoli bliższego określenia wyrazów używanym jest zwrot: to je, a dwa razy owo tocu. Ta ostatnia forma zjawia się tu po raz pierwszy w literaturze, potem zanika, spotykamy ją atoli znów w pomnikach późniejszych. W składni zasługuje na uwagę użycie samego narzędnika przy formie biernej, konstrukcyę prawdziwie słowiańską, po dziśdzień w języku ruskim spotykaną naprzykład: dziewicą porodzony. Sto tysięcy ośmdziesiąt tysięcy i pięć tysięcy, znaczy dzisiejsze sto ośmdziesięt tysięcy. Trzynaście używano w formie trzynadzieście. Nie znaliśmy dotąd form cztworodla, dzińsia, moja mnie i t. p. W ogóle, jeżeli się weźmie pod uwagę, że zabytek liczy nie więcej nad cztery stronnice w ósemce, spora to zaiste wiązanka archaizmów.

Fonetyka języka kazań świętokrzyskich, wielce jest zbliżoną do współczesnej. Bardziej tu tylko jednolite i stałe prawidła, które później pod wpływem analogii ulegały zboczeniom. Morfologia naszego zabytku najzupełniej odpowiada duchowi owych czasów, kiedy formy pierwotne dążyły do pewnego ujednostajnienia, w jakim oglądamy dzisiejszy język. W całym pomniku uderza ogromny wpływ języka czeskiego. Pisownia nosi wyraźne ślady zależności od czesczyzny. To samo daje się powiedzieć o innych stronach języka, do doboru słów włącznie. W rozwoju czeskiej grafiki widzimy te same koleje, co w polskiej. Zacząwszy bowiem, jak to miało miejsce w zaraniu naszej pisowni, od wyrażania brzmień przy pomocy pojedynczych liter łacińskich, używała później sposobu ich kombinacyi. Linię graniczną między obiema metodami zajmują zabytki czeskie z drugiej połowy XIII. wieku i z temi pomnik świętokrzyski ma często najbliższe podobieństwo.

Z czeskich form językowych wymieniam: celownik nikomemu, to jest nikomu, częsty imiesłów czasu teraźniejszego: rzeka (mówiąc) czeskie řka, dobór zaś słów zdradza niejeden ślad wpływu czeskiego. Wszystko to atoli bynajmniej nie dowodzi, że kazania świętokrzyskie zostały z czeskich przełożone. Raczej przypuścić należy, co jest zresztą rzeczą prawdopodobniejszą, że autor musiał się pilnie w czeskich rozczytywać, ile że w mowie ojczystej wzorów w tym kierunku brak był zupełny.

Ten sędziwy zabytek naszego piśmiennictwa, który podaliśmy tu z reprodukcyi fotograficznej, nie doszedł nas niestety w oryginale, mamy go jedynie w odpisie, inaczej trudnoby było sobie objaśnić grube, a suto rozrzucone błędy, jak naprzykład opuszczanie wyrazów. Jeżeli zaś zważymy stałe zasady w pisowni zachowane i wyrobiony już poniekąd język, musimy przyjść do wniosku, że zabytek ów, lubo za najstarszy uważany, musiał mieć poprzedników, głębiej w przeszłość sięgających, a zniszczonych, lub dotąd nie odkrytych. Duchowieństwo nasze tego okresu, dbałe o nauczanie ludu i z prawdziwym pietyzmem oddane szerzeniu prawd chrześcijańskich, musiało prawdopodobnie z początku korzystać z tłumaczeń, ale z owych ślad żaden nie został. Zbiorek świętokrzyski, to jeno fragment owych licznych kazań z XIV. wieku, któremi tak poruszał serce i wyobraźnię ludu znakomity zakon świętego Dominika.

Z tych przechowały się do naszych czasów jeszcze tylko kazania gnieźnieńskie. Pomnik ten podzielony na trzy części; w pierwszej — obejmującej 14 kart początkowych — zawiera cztery kazania polskie i dwa łacińskie; w drugiej, środ-

kowej — około 100 kazań łacińskich, w trzeciej i ostatniej znów kazania polskie. Kaznodzieja, autor pierwszej i trzeciej części, do tekstu łacińskiego, który niejednokrotnie poprawiał, tu i ówdzie dorabiał glosy polskie. On to zapewne dokonał złożenia owych kazań w jedną całość, do czego mu był wzorem dawny zbiór łaciński z końca XIV. wieku. Autorem tych łacińskich kazań był mnich zakonu kaznodziejskiego, Polak, który wszakże bardzo mało potrąca o sprawy polskie. Nie ulega już dziś wątpliwości, że były w mowie ojczystej głoszone, dowodzą tego i liczne glosy polskie i przykład kaznodziei z XIV. i XV. wieku. Autor kazań łacińskich z roku 1342 (Speculum ecclesiae) w bibliotece wrocławskiej, wypowiada to wprost w języku łacińskim: «Do wszystkich kazań masz pierwszy wiersz wygłosić w języku łacińskim, poczem wyłożyć w ojczystym języku kazanie» i t. d. I następuje owo kazanie w języku łacińskim. Na końcu podpisany autor Jan z Żórawia (per manum Johannis de Zorav).

Kazania polskie, znajdujące się w zabytku gnieźnieńskim, zostały niebawem po łacińskich skreślone. Ten sam je na początku XV. wieku pisarz ułożył. Są jednak kopią sumiennie i najdokładniej oddaną wzoru z XIV. wieku; trzeba je zatem uważać za zabytek z tego czasu. Nie są też bynajmniej płodem oryginalnym; przekłady to kazań łacińskich, tymże zbiorem gnieźnieńskim objętych. Lecz z drugiej strony należy podnieść, że tłumacz był tu dość swobodnym. Nie trzymał się niewolniczo oryginału, ale owszem, raczej go omawiał, tu i ówdzie gwoli dokładniejszego wykładu od siebie wiele rzeczy dodając. Nie jest to zatem przekład dosłowny, ale raczej rodzaj omówienia, czyli parafrazy tekstu łacińskiego. Przekonywa nas o tem następujące zestawienie:

Puer natus est nobis. Hodie dicuntur rumores boni hys qui xrum expectaverunt in isto advento et desideraverunt ipsum venire et qui semper se preparaverunt ad ipsum recipiendum.

Puer natus est nobis. Dziathki mile ysze gakocz dzysza dobre vestczy y dobre nouiny szǫcz bily ony thimto verum xpianom przyneszony, chorsczy ony tegotho adventu milego xpa szǫ xobe prigǫcz bily poszǫdaly.

Do innych ustępów zaczerpnięto wątku z wspomnianej już wyżej Złotej legendy Jakóba de Veragine, która była skarbcem nieprzebranym dla kaznodziejów średniowiecznych. Na wstępie kazania o narodzeniu Chrystusa znajdujemy odmalowanie wesołej nowiny od aniołów przyniesionej; przyczem chcący do wyobraźni słuchacza przemówić kapłan porównywa ją do radośnej wieści o narodzinach młodego księcia. Dalej poucza nas kaznodzieja, że Chrystus przyszedł na świat u schyłku starego, a na początku nowego roku, w czasie przesilenia dnia z nocą, co winno przekonać słuchacza, że i człowiek ma również zwracać źrenice ku światłu niebieskiemu. Wesele godów świątecznych omawia w czterech kierunkach: w wyż, w głąb, w szerz i wzdłuż, unosząc się podziwem nad cudownem dziecięciem. I znowu ciągnie się szereg nauk, gęsto nasadzonych cytatami z pisma świętego i opowiadań świeckich o cudowności wpływów Chrystusa, jako wysoki stał się niskim, a potężny słabym, bogaty ubogim, przedwieczny młodym i t. p. W kazaniu o świętym Janie Ewangeliście zastanawia się autor wielokrotnie w czemby szukać przyczyny, że ów święty nie odstąpił, jak św. Piotr, męczeństwa. Po długich dochodzeniach przychodzi do wniosku, że najulubieńszemu uczniowi Zbawiciela sądzonem było już za życia wychylić czarę zaziemską, że już tutaj danem mu było czoło uwieńczyć w męczeńską koronę. Opowieść o życiu św. Jana stanowi główny wątek kazania, a cel moralny, do którego jako rzeka do morza zmierza, zawiera się w ucieleśnieniu prawdziwem nauk Chry-

stusowych. Oba kazania, suche i bez blasków poetycznych, zalecają się trzeźwością wysłowienia i scholastyczną jednolitością budowy, dość równomiernie rozczłonkowanej. Z dalszych epizodów zasługuje na uwagę zestawienie Boga, jak Go stary testament wyobraża, z miłosierdziem Chrystusa w ewanielii. Ten ostatni« młody» Bóg, urodził się ubogi i skromny. Dobiegłszy do końca kazania, wytyka kapłan duchownym i ludziom świeckiego stanu gonitwę za godnościami, wskazując na obowiązek wyższy — odkupienie grzechów w drodze dobrych, miłosiernych uczynków. Owe dążenie moralne w połączeniu z symbolicznem rozwijaniem słowa Bożego znajdujemy również w przechowanych urywkach. Forma tych kazań uczona, jakbyśmy ją dziś nazwali, naładowana cytatami, że tu wymienię tylko jeden z Bedy, iż «Bóg wybranym daje mało dzieci,» dźwigająca cały kram wiadomości historycnych i przyrodniczych, zaczerpniętych z fizyologów średniowiecznych, obarczona nadto balastem dowodzeń scholastyki, posuwa się ciężko i wskazuje wyraźnie na towar obcy, importowany z zagranicy.

Zabytek gnieźnieński mieści w swej części polskiej siedm kazań, z których tylko pierwsze i ostatnie mają zaokrągloną całość. Pięć środkowych, to raczej wstępne progi do właściwych kazań. Mamy tu zaś kazania na święta (Boże Narodzenie) i świętych (Jana Chrzciciela, Maryi Magdaleny, Wawrzyńca, Bartłomieja, Jana Ewangelisty). Pod względem języka, w zestawieniu z psałterzem floryańskim, noszą znamiona bliższej nam doby. Staropolski aoryst ani razu nie użyty, tryb rozkazujący z charakterystyczną końcówką *i*, zastąpiony nowszemi formami. Jest natomiast jeszcze poczucie liczby podwójnej. W ogóle dałoby się o tej fleksyi powiedzieć, że znakomicie uzmysławia obraz rozwoju naszego języka w XIV. stuleciu. Odpis kazań gnieźnieńskich, oryginał bowiem dotąd nie odkryty, przechowany w tumie gnieźnieńskim, zapełnił się mnogością glos na marginesie i między wierszami. Stąd poniekąd owa zawiłość i ciężkość stylu. Niektóre tylko kazania, wolne od tych dodatków, odznaczają się prostotą wyrażenia. Pisownię ich odnieść zatem należy do jednego z niższych stopni drabiny rozwojowej; bardzo jest jeszcze pierwotna i w środki uboga. Niema tu odrębnego znaku dla samogłosek pochylonych, to samo tyczy się głosek miękkich. Spółgłoska «j» oddawaną jest zawsze literą «g». W ogóle starożytna ta pisownia, niby przez przeźroczystą tkankę ukazuje kształt stanu języka z odległej doby. Głoska *i* stale tu znika, szczególnie w wyrazach złożonych (namuje, zamiast najmuje); przysłówki urabiają stopień wyższy, bez przesuniętego *j* (więce, zamiast więcej). Liczba podwójna tak wygląda: Marya i Józef przyszła — między dwiema domoma. Ze zdań starożytnej składni wymieniam: Osła wiedli, iżbyć je oni byli przedali. — Przy zestawieniu kazań gnieźnieńskich z świętokrzyskiemi, wyższość należy się bezsprzecznie ostatnim. Zalecają się bowiem większą systematycznością i lepszym doborem wyrazów, a nawet jakimś poważniejszym nastrojem, więcej do przemówień kościelnych stosownym. Nadto niema tu owej rubasznej naiwności, która tak niemile uderza w gnieźnieńskim. Jeżeli zaś zważymy, że zabytek świętokrzyski odnosi się do wieku XIV., kiedy forma kaznodziejska psuć się na dobre poczynała, trzeba mu przyznać ogromną zaletę i stanowczą nad gnieźnieńskim wyższość. Cytaty czerpie ten ostatni nietylko z pisma świętego, ale jak to ma miejsce u współczesnych, z rozmaitych apokryfów, dyalogów, ze zbioru «Historiae Romanorum» i t. p. Nie brak tu również parabol i baśni, dostarczanych przez bestyaryuszów i fizyologów. Cała ta chaotyczna pstrokacizna czyniła uszczerbek kaznodziejstwu, które traciło przez to szlachetną formę. Posiada atoli i zabytek gnieźnieński zaletę,

którą nie może się poszczycić świętokrzyski. Linie tu bardziej krągłe, czuć większą w pewnym stopniu serdeczność, jakby zażyłość kaznodziei ze słuchaczami. — Ponieważ kapłan, dla zbudowania wiernych, musiał tu i ówdzie przytoczyć pismo święte, stary lub nowy testament, możemy na pewno twierdzić, że już w XIII. wieku było ono fragmentami na język polski tłumaczone. Odnosi się to zwłaszcza do psalmów Dawida. Oczywiście przekładów owych nie dokonywał kapłan z oryginału; miał zawsze pod ręką tłumaczenia czeskie, które były tem łatwiejsze do oddania w mowie ojczystej, ile że czeszczyzna owej epoki bardzo do naszego języka była zbliżoną.

Śród wszystkich ksiąg starego testamentu, psalmom należy się osobliwe miejsce. Rozpowszechniły się szybko w świecie chrześcijańskim, złoty to bowiem skarbiec myśli, prawd moralnych, a dziwnych ukojeń. Od najdawniejszych też czasów żyły na ustach pobożnych, a w książkach do nauki dla młodzieży są jakby ołtarzem. Przepisy reguły zakonnej zalecały częste odczytywanie i śpiewy psalmów. W ciężkich chwilach zaglądano do nich, jak do księgi wróżb i przepowiedni. Od pierwszej doby naszego piśmiennictwa tłumaczono je, przerabiano i objaśniano. Były one dla narodów tem, czem cysterny śród piasków stepowych. Tu oskrzydlała się wyobraźnia, płomieniło natchnienie, dusza nabierała hartu w chaosie niepowodzeń i burz światowych... Najpierw korzystano z przekładów łacińskich. O Bolesławie Krzywoustym opowiada ówczesny kronikarz, że rozczytywał się w psalmach Dawidowych. Musiał to być psałterz łaciński. Że już w XIII. wieku istniał, na polski język przełożony psałterz Dawidowy, dowodzi następujące oświadczenie, zaczerpnięte z życiorysu św. Kingi. «Święta — powiada jej biograf — miała zwyczaj, że, opuszczając kościół, odmawiała dziesięć psalmów w języku ojczystym (in vulgari), z westchnieniem do Boga: Wszechmogący, który panujesz nad żywymi i umarłymi — i tak cały psałterz po porządku odmawiała na chwałę Bożą». Niestety psałterz ten zaginął. Zachował się atoli do dziś inny, nie tak daleko w przeszłość sięgający, ale w każdym razie jeden z najdawniejszych. Jest nim Psałterz floryański. Nie bez boleści wydobyto go z pyłu zapomnienia. U kolebki jego toczył się bój zacięty, między Borkowskim, a uczonym slawistą Kopitarem, kto z nich właściwie odkrył zabytek, komu należy się zasługa, że sławny ten pomnik ujrzał światło dzienne. A lubo walka odbyła się bez krwi rozlewu, albowiem terenem jej była bibuła, a orężem — pióro, nie obeszło się też bez podrażnienia ambicyjek osobistych, a całe zajście miało charakter dość cierpki. Dziś, kiedy echa tej potyczki umilkły, a zapaśnicy w wiecznej spoczywają zgodzie, można bez obawy ran wznowienia, wypowiedzieć prawdę. Spór ten przypomina mi pewną bajkę arabską: Oto trzech podróżnych, w celu odpędzenia nudów, wzięli się do spólnego dzieła. Jeden dostarczył marmuru, drugi wykuł z niego posąg kobiety, trzeci zaś, tchnął weń życie. Oczywiście, kiedy nudząca się trójka dostała kobietę, nikt już wtedy nie narzekał, owszem wszystkim czas spływał mile i wesoło. Ale że fortuna na kole się toczy, zawrzała wkrótce śród spokojnych wędrowców kłótnia. Każdy chciał sobie przywłaszczyć dzieło tak doskonałe, twierdząc, że ma do niego najsłuszniejsze prawo. Jeden więc przypominał, że dostarczył marmuru, drugi, że zeń wykuł kształty, trzeci zaś, iż głaz ożywił. Nie będąc w możności sprawy rozstrzygnąć, udali się niezgodni wspólnicy do sędziego. Ów zaś rozstrzygnął sprawę po słuszności, przyznając wszystkim trzem prawo posiadania. Stosując tę bajeczkę do naszej sprawy, winniśmy oddać papieżowi, co jest papieskiego, a cesarzowi, co cesarskie, to jest, Kapitara uznać za pierwszego wydawcę, Borkowskiemu przyznać zasługę nakładcy.

Psałterz floryański mieści, pominąwszy garść dodatków, całkowity zbiór psalmów w łacińskim, polskim i niemieckim języku. Spisany gotyką na pergaminie, zdradza potrójny charakter pisma. Pierwsze zeszyty kodeksu mają pismo bardzo staranne, niemal piękne, w dalszym atoli znać już zaniedbanie. Podobna różnica odczuwa się i w illuminacyach, któremi cały kodeks ozdobiono. Sąć to najdziwaczniejsze kombinacye gałęzi, odrośli i kwiatów, figur fantastycznych, potwornych naczyń i floresów, wszystko w niezwykłych połączeniach, śmiałych zwrotach i żywych kolorach.

Z suto rozmieszczonych miniatur wyszczególniam w podobiźnie dekoracyę, poniżej tekstu, w narożnikach, przedstawiającą dwóch aniołów. Odnieść ją można do Maryi, niedoszłej królowej polskiej, córki Ludwika, króla węgierskiego i polskiego. Wskazuje na to herb Andegaweński, litera *m* w splecionym kształcie (trzy razy się tu powtarzająca) i postać kobieca z koroną na głowie. Przypomina to kielich królowej Jadwigi, na którym się znajduje ten sam monogram i w tej samej formie, obok herbu węgiersko-andegaweńskiego. Widocznie psałterz floryański należał do Maryi, siostry Jadwigi, a przynajmniej dla niej był pisany i miniaturami zdobiony. Stanowił on własność, nielicznej w tych czasach, biblioteki młodej królowej, i dla tego był opatrzony jej herbem i monogramem. Królowa Elżbieta, siostra Kazimierza Wielkiego, babka Maryi, w testamencie swym wymienia kilka rękopisów, do których przywiązuje wagę i które były bezwątpienia miniaturami zdobne. Synowej swej, żonie Ludwika, zapisuje swój własny brewiarz, być więc może, że po polsku pisany («unum breviarium in quo legimus»). Słudze wiernej daje drugi brewiarz, aby z niego czytała modlitwy, a po śmierci przekazała go klasztorowi N. Panny w Budzie. M. Sokołowski domyśla się, że pisane były w trzech językach. Albowiem dwór królowej, o którym Elżbieta w testamencie swym pamiętała, składały zarówno panie i panny Węgierki, jak Polki, a językiem dworskim był modny podówczas język niemiecki. Prawdopodobnie miały się tak samo rzeczy na dworze jej wnuczki Maryi. Psałterz floryański, pisany w trzech językach, nie służył do użytku osobistego żony Zygmunta, ale raczej jej służby dworskiej. Kodeks taki, ogromnych rozmiarów, kładziono na pulpicie, jedna osoba czytała lub śpiewała głośno pewien z niego ustęp, co drugie powtarzały.

Powoli i stopniowo powstawał psałterz floryański. Przeważna część była dokonaną na początku siódmego dziesiątka XIV. wieku, ostatnia zaś, w zaraniu XV. wieku, druga zaś, środkowa, przypada zatem na ostatnią ćwiartkę wieku XIV. Tekst łaciński psałterza trzyma się z drobnemi odmianami wulgaty. Po nim następuje przekład w języku średnio-niemieckim, w szczególności w narzeczu śląskim. Za bezpośrednią podstawę dla tekstu polskiego nie posłużył, ani tekst łaciński, ani niemiecki. Został tu skopiowany, oddawna już istniejący, psałterz polski o układzie nieco odmiennym. Istnienie takiego psałterza dowodzą suto po floryańskim zabytku rozrzucone formy staropolskie, już w czasie, kiedy ten ostatni powstał, nie będące w użytku. Czynią one raczej wrażenie szczątków dawnej, a z ewolucyą języka zarzuconej polszczyzny. Wogóle pod względem językowym stanowi pomnik floryański obraz przesilenia, okres zaniku form dawnych, a powstawania nowych, co w szczególności postrzega się w deklinacyi i konjugacyi. Formy przymiotników zdradzają już pewną emancypacyę, niezależność od reguł ścisłych, dotąd obowiązujących. Spotykasz w tej dziedzinie formy pełniejsze, a lubo stosują się jeszcze często formy rzeczownikowe, dotyczy to przecież z niedużymi wyjątkami, jeno jednego przypadku.

Poczucie ścisłej między formami różnicy, nie jest już tak subtelne. Formy skrzystalizowane, jakby topnieją, ustępując miejsca fazie wyższej. Potrzeby, wpływem kultury wyłonione, naginają dawne kształty, stosując je do zmienionych warunków. Już nie rządzi tu, z całą bezwzględnością, dawny i w prawach swych surowy kodeks. A lubo jeszcze nie wykłuły się nowe formy, a stare nie zupełnie ustąpiły, działanie wiosennego słońca widoczne. Niebawem święcić będziemy kwietniowe gody języka ojczystego. Nie posiadamy niestety pomników dawniejszej polszczyzny, jeżeli za taki nie będziemy uważali oddzielne wyrazy, jest przeto rzeczą prawie niemożliwą oznaczyć czas, kiedy powstał tekst polski psalmów, który zabytkowi naszemu był oryginałem. Możemy atoli twierdzić na pewno, że był wedle wzoru czeskiego ułożony, co mogło mieć miejsce za krótkich dni panowania Wacławów w Polsce. Musiał odpisywacz floryańskiego zabytku korzystać z psałterza staroczeskiego, skąd obficie i wyrazy i formy przejmował, jeżeli ich nie czerpał pośrednio w dawniejszym wzorze polskim. Kodeks nasz, zwłaszcza w części pierwszej, był odpisany przez człowieka dość wykształconego. Nie kopiował on niewolniczo wzoru. Owszem do potrzeb odmiennego ducha czasu się stosując, oryginał zmieniał, poprawiał, starał się swój przekład ująć w formę jednolitą, któraby z warunkami nowymi nie stała w sprzeczności. Oczyścił go jednym słowem z anachronicznego kurzu i, jakby o nim dziś powiedziano, tekst zmodernizował. Tem należy sobie tłumaczyć, dlaczego z podwójnego sposobu wyrażenia wybierał lepszy i stosowniejszy. Nie idzie zatem, żeby pod jego ręką oryginał został nie do poznania zmieniony. Owszem, niekiedy żywcem go nawet przepisywał, z czego wynikły znowu zboczenia, które przypisać należy mylnemu odczytywaniu wzoru.

Przekład nie należy do doskonałych, ale też trudno w owych czasach wymagać perfekcyi od tłumacza. Widoczne tu jest i łamanie się z językiem i szukanie pomocy w gwarze polskiej, to w czeszczyźnie. Wyrazy ojczyste spotykasz tuż obok czeskich, co zresztą dość często zdarza się u naszych pisarzy aż do czasu pojawienia się pierwszych druków. I sztuka pisania (ortografia i grafika) nabawiała go niemałego kłopotu. Ten sam wyraz tu i ówdzie z różną pisownią oddany, niektóre słowa z czeska kreślone, inne raz w dobrej, raz w lichej polszczyźnie pisane. Znaleść nawet można błędy pisowni, wynikłe prawdopodbnie z pośpiechu, a może i z niewiadomości; zwłaszcza przy końcu kodeksu czuć się daje wielkie zaniedbanie.

Psalmy Dawidowe, które były pierwszym szczebiotem naszego piśmiennictwa, doczekały się sporej liczby tłumaczeń i przeróbek, przyczem otrzymują coraz świetniejszą i bardziej wytworną formę. Dla uzmysłowienia surowej, ale pełnej prostoty postaci naszego najstarszego psałterza, przytaczam zeń słynny psalm 137: «Super flumina Babilonis».

Na rzekach babilońskich tamo siedzieli jeśmy i płakali, gdy wspominali Syon.
Na wirzbach w pośrzodku jej zawieszeli jeśmy organy nasze,
Bo tamo pytali nas, jiż to jeńce wiodli nas, słowa pieśni,
A jiż to odwiedli nas: pienie pojcie nam z pieśni Syon.
Kakoć piać będziemy pienie panowe w ziemie cudzej?
Acz zapomniały ciebie Jeruzalem, zapomnieniu dana bądź prawica moja!
Przylni język mój krtanu memu, acz nie spomienę Ciebie,
Acz nie położę Cię, Jeruzalem, na początku wesela mego.
Pamiętaj, panu, syny Edom w dzień Jeruzalem,

Już to mowa: Zinaczycie, zinaczycie, aż do założenia w niej
Córka babilońska mężna! Błogosławiony, jenże opłaci tobie opłatę twoję, jąż
opłacił jeś nam.
Błogosławiony, jen trzymać będzie i przymcze malutkie swoje ku opoce.

Lud Izraela, zgromadzony po zburzeniu stolicy, nad rzeką Babilonu, biada w tej pieśni nad uciskiem niewoli Babilońskiej i grozi pomstą «okrutnikom, którzy lud boży ciążą». Pełen żywotności i wsparty na opoce wiary w sprawiedliwość Bożą, nie traci nadziei, «iż się ono więzienie z czasem swym skończyć ma». Komentator, z czasów Zygmunta Starego, dodaje: «A może to tak każdi lud uciśniyony też mówić».

Polska, długo jeszcze po przyjęciu chrześcijaństwa, nie mogła dostąpić tego szczebla kultury europejskiej, na jakiej stanęły inne narody. Nie było u nas wtedy zastępu ludzi uczonych, a tem mniej umysłów samodzielnych, któreby religię, od obcych przyjętą, chciały przerabiać i kształtować. To też, ani sekta, ani herezya śród Polaków powstać nie mogła. Inne narody odmieniały często stare dogmaty na nowe, żądały zmian w liturgii, obrządkach hierarchii, u nas zaś wszystko wedle modły pierwotnej było ściśle przestrzegane. To samo dotyczy śpiewu kościelnego. Przez pasmo wieków panował w kościele jedynie śpiew łaciński, a inny, jeżeli niekiedy był już w użytku, to tylko poza murami kościoła.

Pierwsze płonki rodzimego śpiewu odnajdujemy w Niemczech w X. wieku. Do tego czasu, wszelkie wzruszenia religijne ludu, kiedy chciały znaleść ujście na zewnątrz, wylewały się w prostem: «Kyrie elejson, Chryste elejson», powtarzanem po sto, trzysta, a nawet więcej razy. Atoli z rozwojem i uświadomieniem uczuć chrześcijańskich, dwa te wyrazy obce i hałaśliwie wykrzykiwane nie mogły już wystarczyć. Trzeba było wymyśleć formę, bardziej dla ogółu wiernych zrozumiałą. I zaczęto dodawać do «Kyrie elejson», jego parafrazę (w Niemczech: «Christi uns genade»). Za tem poszły już i inne myśli pobożne, wyrażające, czy to krótką modlitwę, czy wogóle westchnienie do Boga. Oczywiście nie były to jeszcze pieśni religijne, ani treścią bowiem, ani formą do nich się nie zbliżają. Były wszelako poczwarką, z której później wykłuł się wspaniały motyl kościelnego śpiewu. Nazywano go powszechnie sekwencyami. Następnym stopniem rozwojowej drabiny, na wyżyny pieśni religijnej wiodącej, były tak zwane laisy, to jest pieśni z odśpiewem «Kyrie elejson», który ostał się, jako jądro pierwotne. Ale i one nie były jeszcze śpiewane po kościołach. Wszakże w domostwach, na tłumnych pielgrzymkach, w bitwach, towarzyszyły bogobojnym. Od połowy XIII. wieku powoli i gościńcem ubocznym dostają się wreszcie w nawy kościelne. Głównie zaś, dzięki igrzyskom religijnym, które się odbywały na dziedzińcu kościelnym, a niekiedy w samym kościele, stosowane były przez lud w procesyach, a potem i w nabożeństwie.

We Francyi sekta Albigensów i Waldensów usiłowała zastąpić niemi śpiew łaciński, atoli po krwawej łaźni, którą jej zgotowano, nikt już w tej sprawie głosu nie podnosił. Wprawdzie powstały później, tak zwane Noels, przypominające nasze kolendy, ale w nich złożył lud zbyt wiele zwrotów rubasznych i okrasił nadto sporą dozą satyry, żeby się mogły na wyżyny śpiewu kościelnego podnieść. Nie masz w nich owego majestatu, ani ciszy, a pusta swawola z przybytkiem świętego sakramentu licować nie mogła. I w Czechach daje się poniekąd wyśledzić ta sama linia rozwojowa, jaką postępował śpiew kościelny w Niemczech. Miejsce pierwotnego

okrzyku «Kyrie elejson», zajmuje i tutaj «Hospodine, pomiluj mi». Ale należy to raczej do wyjątków, bo i w Czechach, aż do wystąpienia Husa, panuje śpiew łaciński. Dopiero Hus i jego zwolennicy wywalczają pieśni, w języku ojczystym, prawo obywatelstwa w kościołach. Był im wprost nienawistny śpiew łaciński, mówili o nim, że jest «wyciem i szczekaniem psów». Za to pienia ojczyste cieszyły się z ich strony najgorliwszą opieką. Husyci sami ułożyli mnóstwo pieśni czeskich. Katolikom ta innowacya podobać się nie mogła. To też obsypywali kpinkami dążenia reformatów, lubo naśladować ich byli zniewoleni.

W Polsce, która przyjmowała dopiero chrześcijaństwo, kiedy w Czechach było ono już niemal zakorzenione, pieśni religijne polskie powstają znacznie później. Pierwszą, o jakiej donoszą nam zabytki historyczne, jest lejs Bogarodzica. W walce na polach Morawy, w roku 1278, Polacy podnosili jeszcze do Boga sławne Kierlesz («Kyrie elejson»), w onczas u Czechów i Niemców już zaniechane. Kiedy bowiem hufce czeskiego rycerstwa miały rozpocząć bitwę, odezwała się na skrzydłach wojska ich ojczysta lejs «Hospodine, pomiluj mi». W zastępach zaś niemieckich rozległo się gromkie «Sanct Marie muoter». Bogarodzica, jako śpiew bojowy, wspomnianą jest po raz pierwszy dopiero w wieku XV. Swiadek naoczny bitwy pod Grunwaldem, który łaciński jej odpis zachował, donosi, że Polacy, przygotowawszy się do walki, wszyscy jednozgodnie śpiewając Bogarodzicę, kroczyli na nieprzyjaciela. Dziwnem zaiste wydać się może, że pieśń ta, zupełnie rytmu i ducha wojowniczego pozbawiona, stała się pieniem bojowem. Mamy w niej bowiem rzecz czysto religijną, bez jakiegokolwiek stosowania do walki lub walczących. Wiarę w orędownictwo Najśw. Panny Maryi, oraz w zasługi Chrystusa dla grzesznego człowieka przez mękę i zmartwychwstanie, oto wszystko, co zawiera. Nie tu zatem należy szukać jej charakteru wojennego. Tkwił on jedynie w przyśpiewie: «Kyrie elejson», który w wiekach średnich na całym zachodzie był używany, jako okrzyk bojowy, zagrzewający do męstwa. W bitwie, stoczonej między Węgrami a Henrykiem II., zastępy niemieckie, jak opowiada Dytmar merseburgski, rzucały się w ogień z donośnie grzmiącem: «Kyrie elejson», a nie należy zapominać, że w tej walce, po stronie Niemców, znajdowali się Polacy. Kiedy Kijewlanie — opowiada kronikarz czeski — poznali w bitwie ranionego księcia, podnieśli go i zaśpiewali: «Kyrie elejson». Podobny zwyczaj istniał i w Polsce.

Ipatiewskaja litopyś, pisana u schyłku XIII. wieku, donosi pod rokiem 1249, to jest, według ich rachuby czasu, pod rokiem 6757: «I ujrzał Daniel, kniaź halicki, Lachów, śmiało idących przeciw Bazylemu, a całe ich wojsko śpiewało potężnym głosem: Kerlesz».

Z tego zawiązku, niby z komórki zarodkowej, rozwinął się nasz śpiew kościelny. Podobnie, jak w Niemczech i Czechach, był on zapewne aż do końca wieku XIV. łaciński. Z początku lud pieśni nabożnych nie śpiewał, jedynie duchowieństwo, klerycy i uczniowie szkół. Uprawiano bowiem śpiew w szkołach katedralnych, gdzie naukę tego przedmiotu prowadził jeden z kanoników, zwany kantorem. Przy kościołach parafialnych śpiewał ksiądz, nauczyciel, pełniący służbę kościelną, tudzież uczniowie. Nie jest wykluczonem, że już przed wiekiem XIV. były w użyciu pieśni religijne w mowie ojczystej, ale do kościołów przystępu nie miały, tam bowiem, jak to zwyczaj uświęcił, rozlegała się jedynie pieśń łacińska. Zaledwie głuche, a niewyraźne wzmianki każą się domyślać, że już w XIV. wieku istniały pienia religijne polskie. Dały im początek, podobnie jak to miało miejsce w Niemczech i Czechach,

tak zwane lejsy. Znajdujemy je w dwóch pierwszych zwrotkach Bogarodzicy. Droga, jaką się rozwijały i tworzyły lejsy polskie, jest ta sama, co na zachodzie. Powstały z polskiej parafrazy «Kyrie elejson» lub innej jakiej glosy religijnej. Pieśń Bogarodzicy, która przez tak długie wieki zagrzewała zastępy polskiego rycerstwa, jest najstarszym utworem polskim. Odnosi się to atoli jedynie do głównej części, do owego pąkowia, które się dopiero później rozwinęło w wspaniały kielich. Oddawna narody chrześcijańskie oddawały hołd Bogarodzicy. Od wieku XIV. Matka Boska i u nas poczyna być otaczaną czcią i aureolą, ile że się zwiększyła niepomiernie liczba dni uroczystych Jej poświęconych. W liczbie kilkunastu świąt większego lub mniejszego znaczenia, zaledwie pięć powstało w czasach dawniejszych od królowej Jadwigi. W przeciągu czasu od drugiej połowy XIV. wieku do końca XV., kalendarz pomnożył się o 6 świąt nowych, mianowicie: ofiarowanie, święto patrocinii, zaślubin, siedmiu boleści i N. Panny Maryi śnieżnej. Nadto narodzenie poprzedzone zostało postem i wiglią, a święto poczęcia, które obchodzono jedynie w pewnych prowincyach, zostało upowszechnione. Taką świąt mnogością hołdowana Bogarodzica, tysiącem praktyk kościelnych na wyżyny świętości religijne postawiona, stała się i w życiu naszego narodu przedmiotem uwielbień i modłów. Wszystko, tyczące się czci Matki Bożej, poczęło odtąd ciągnąć ku sobie magicznie bogobojne tłumy. Już oddawna istniejąca modlitwa pozdrowienia anielskiego, dzięki indulgencyi powszechnej, zapewnionej przez papieża w roku 1327, każdemu, ktoby ją na kolanach odmówił, stała się teraz jedną z najczęściej w kościele wznoszonych. Z początkiem XIV. wieku wchodzi w obyczaj dzwonienie pod wieczór, na Anioł Pański. Nadto, krom powyższych modlitw, nie należy zapominać o dużej liczbie pochwał wierszem i prozą, ułożonych zagranicą, ku czci Bogarodzicy. Tam w XIII. wieku przez wszystkich niemal był używany psałterz Naj. Panny; wszystko, co nabożny śpiewak królewski ułożył na cześć Pana Boga, odnoszono teraz do Najśw. Panny.

W ogóle śpiew kościelny, w tym okresie, wyłącznie był poświęcony uwielbieniu Bogarodzicy. Wszystkie stany walczyły o pierwszeństwo w oddawaniu hołdu kościelnego Królowej niebios, w czem oczywiście zakonom przypadła rola przewodnika. Karmelici w drugiej połowie XIII. wieku uczcili Najświętszą Pannę Maryę szkaplerzem, co dało początek założonemu później bractwu szkaplerzowemu. Nadto zaprowadzili święto Matki Boskiej szkaplerznej. Dominikanie prowadzą w użycie różaniec, z czego się później wytworzy Bractwo różańcowe i święto Matki Boskiej rożańcowej. Braciszkowie, pod wezwaniem św. Franciszka, przysłużyli się kościołowi i chwałę niepowszednią na siebie ściągnęli, zwycięską walką o wiarę w niepokalane poczęcie. Ale nie tylko duchowieństwo, lecz także i rycerstwo świeckie zaciąga się pod znaki orężne zakonów Maryi Panny, jakimi naprzykład byli rycerze Bogarodzicy francuscy, tak zwani rycerze gwiazdy czyli Matki Boskiej.

Chwałą Najświętszej Panny rozbrzmiewa również panteon ówczesnej poezyi. Powstają mnogie hymny i całe poematy, że wymienimy na tem miejscu słynne Pozdrowienie Najśw. Panny. Owo opiewanie chwały Matki Boskiej w hymnach musiało się przejawiać i u nas. Że zaś zazwyczaj łączono z ich odmawianiem odpusty, musiały się szybko rozpowszechniać i być często na ustach ludu. Jak wiele takich hymnów znać musieli bogobojni tego okresu budzenia się czci dla Najśw. Panny Maryi, dowodzi sen córki Otokara II., opowiedziany w rocznikach, tak zwanych «Traski». Księżna czeska ujrzała, w widzeniu sennem, płynącą do niej Matkę Boską w płaszczu, który, z wyjątkiem jednej faldy, zapisany był cały siedmiu radościami

Najśw. Panny. A kiedy księżniczka spytała, dlaczego ów jeden fałd nie zapisany pismem, odrzekła Matka Boska, iż z tego powodu, że księżna zaniedbała odmówienia siedmiu radości. Tekst owego hymnu o siedmiu radościach zaginął, można go sobie atoli odtworzyć na podstawie wzorów średniowiecznych. — Do rzędu takich pieśni, poświęconych czci Najświętszej Panny, należy nasza prastara Bogarodzica. Musi jej powstanie sięgać daleko wstecz, skoro na początku XV. wieku, kiedy ją śpiewano, był już jej język dla spółczesnych niedostępny i niezrozumiały. Oto brzmienie dwu jej najstarszych zwrotek, w nowoczesnej pisowni:

Bogrodzica dziewica,
Bogiem sławiena Marya,
Twego syna gospodyna,
Matko zwolena Marya.
Żyszcz nam, spuszcz nam. Kyrie elejson.

Twego dzieła krwie i ciele Bożycze.
(Twego dla Chrzciciela Boże Ojcze.)
Usłysz głosy, napełń myśli człowiecze,
Słysz modlitwę, jąż nosimy,
To dać racz, jegoż prosimy,
Daj na świecie zbożny pobyt.
Po żywocie rajski przebyt. Kyrie elejson.

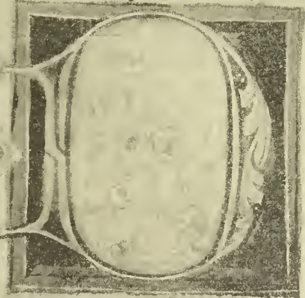
Pierwsza część tej pieśni, poświęcona Maryi Pannie, luźnie jest tylko związana z drugą, opiewającą chwałę Jezusa Chrystusa. Przyśpiew w pierwszej części Kyrie elejson (Panie wysłuchaj), jest również dodatkiem do całości jedynie przyczepionym. Niema bowiem związku między nim, a treścią modlitwy, gdzie się opiewa tę błogosławioną chwilę w życiu doczesnem Najśw. Panny Maryi, kiedy wydała na świat Odkupiciela.

Przyjrzyjmy się bliżej formie naczelnej zwrotki. Na pierwszy rzut oka uderza wielka rozmaitość rymów misternie poprzerzucanych. Prócz zwykłych, kończących wiersze, znajdujemy środkowe, które łączą środek wiersza z końcem (Bogarodzica — dziewica, syna — gospodyna i wewnętrzne, kojarzące słowa wewnątrz dwóch rozmaitych wierszy: sławiena — zwolena). Dalsze zwrotki nie posiadają już rymowania tak misternego i bogatego, a nawet napróżno go szukać w innym utworze polskiej literatury czasów najdawniejszych.

Duże jest bogactwo tekstów Bogarodzicy, mamy ich bowiem przeszło trzydzieści. W tej liczbie znajduje się dziewięć głównych, do których należy jeden z młodszych, tak zwany gnieźnieński autentyk. Ale niestety tekst pierwotny zaginął i oczywiście ta mnoga liczba odpisów zastąpić go nie może. Błędy, wynikłe z odpisywania, znajdujemy w każdym, a oczyszczenie z nich tekstu należy do operacyi wcale uciążliwej. Dotyczy to przedewszystkiem zwrotki drugiej, której wiersz początkowy do dziś nie jest ustalony.

Długi czas przypisywano autorstwo naszej pieśni św. Wojciechowi. Mniemanie to atoli, niema wiarygodności. Przypatrzmy się bowiem stanowisku, jaki ten wielki męczennik chrześcijański zajmował w Czechach. Nigdy nie był za popieraniem

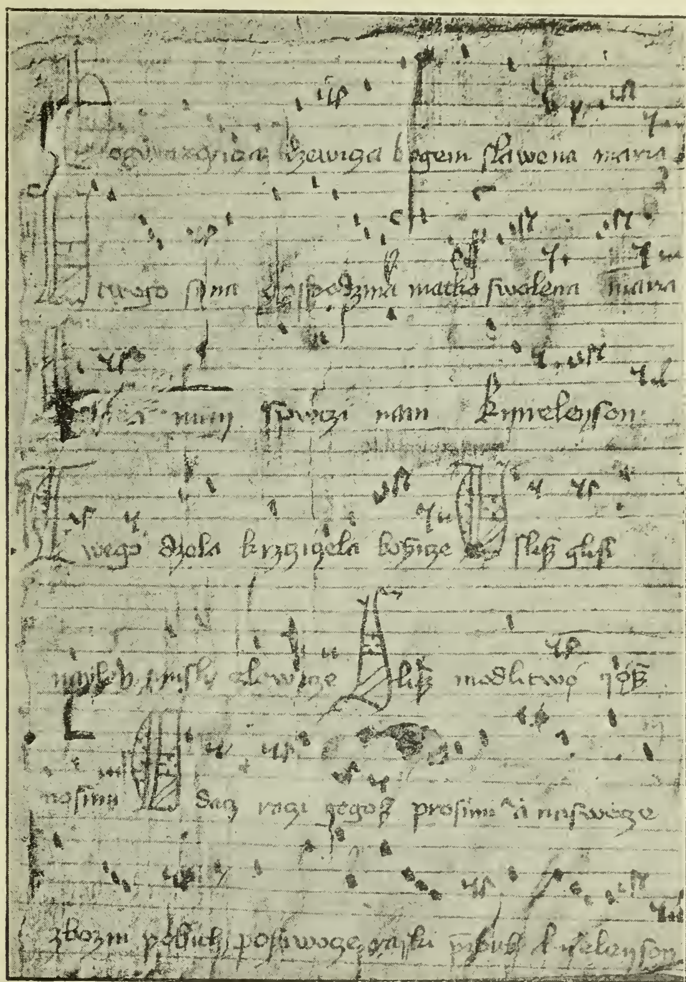
tabo nomen tuum quo
niam bonum est in con
spectu sanctorum tuorum
powadacz cie se bodo
tobe nawyeki isze vczinil
ies · yczakacz bodo ymena
twego bo dobre iest wo
besrzeniu swoytych twych
Ich bekenne dir mew
in wen du tetist · unde her
te dines namen wen gut
ist · in dem angesichte dy
ner heiligen



ixit insipiens insipiens
in corde suo · non est deus
zekl iest glupy naswo
iem serczu · nie boga
Gesprochin hot der un
wisse in sinem herczin in
dir ist got
orrupti sunt et abho
minabiles facti sunt in in
quitatibus suis · non est q
qui faciat bonum
kazili so se y ohydzeni
szo se w lichotach
swogich · nie iensz by vczi
nil dobre
zubrochin sint sy unde
unmenschlich worden sint
sy in iren misseteten nicht
ist der do tu das gute
Deus de celo prospexit
super filios hominum ut
videat si est intelligens
aut requirens deum
og sz nyeba weszrzal iest
na syny ludzske · by vidzal
yesly rozumnij albo szu
kaiocy boga
Got von dem hymel
sach uf dy sone der men
schin · das her sehe ab ys
sy ein vornemender odir

Psałterz Floryański,
z biblioteki opactwa św. Floryana pod Lincem.

języka narodowego w kościele, owszem najgorliwiej i najchętniej służył stronnictwu nienarodowemu, co go zresztą zniewoliło do złożenia infuły biskupiej. To usposobienie św. Wojciecha, tem mniej przemawia za jego autorstwem pieśni w języku polskim, szczególnie, jeżeli się weźmie pod uwagę krótką bytność apostoła na ziemi naszej. Należy przeto powyższą tradycyę pochodzenia «Bogarodzicy» zaliczyć



127. Podobizna pieśni «Bogarodzica» (z rękopisu biblioteki Jagiellońskiej).

do rzędu tych, które wszelkie większej wagi zjawiska niewiadomego początku odnoszą do spółczesnych bohaterów. W końcu zaznaczyć winniśmy, że zostając w zgodzie z powyższem przypuszczeniem, stalibyśmy w sprzeczności z dziejami śpiewu religijnego w Polsce i w ogóle na zachodzie. Przeczyłaby zresztą temu i historya samej pieśni. Cały bowiem zachód, który jak wiadomo, o wiele wcześniej przyjął chrześcijaństwo, przez długie stulecia obchodził się bez pieśni religijnych

w języku ojczystym, nie było ich jeszcze za czasów św. Wojciecha. A gdy się już tu i ówdzie pojawiały, kościół nie dbał o ich rozpowszechnienie lub poparcie. Przeciwnie, zachowywał wobec nich chłodną obojętność, jeżeli już nie był wprost wrogi. Trudno przypuścić, aby w Polsce działo się inaczej. Św. Wojciech w swej działalności apostolskiej zapatrywał się na wzory zagraniczne. Czyżby się był podjął utworzenia pieśni religijnej w Polsce, kiedy cały zachód niemiał do tego czasu śpiewu kościelnego. Na próżnobyśmy szukali jakiejkolwiek wzmianki o pieśni polskiej w spółczesnych biografiach św. Wojciecha. Niema jej w tak zwanej Passio st. Adalberti martyris z XI. wieku. Nie wspomina o tem, ani słowem Długosz, ni w historyi, ni w «Żywocie św. Wojciecha», daje jej jeno nazwę «pieśni ojczystej». A już wprost przeczy autorstwu św. Wojciecha forma poetyczna naszej pra-pieśni.

Rymy tak bogate i pełne, układ dotyla misterny i rozwoju języka wymagający, nie może być w ogóle przypisany XI. wiekowi. Nie mógł w owym czasie powstać podobny utwór nawet na zachodzie, cóż dopiero mówić o Polsce, gdzie brzask cywilizacyi zaledwie się przedzierał przez mroki bałwochwalstwa. Musimy jednak przyznać że nie jest bez słuszności tradycya, szukająca początku «Bogarodzicy» na ziemi czeskiej. Należy bowiem pamiętać, że Czesi i Polacy od najdawniejszych czasów byli ze sobą w stosunkach bardzo bliskich. Da się to powiedzieć nie tylko pod względem religijnym, ale i politycznym i umysłowym, w ogóle związek ten przetrwał długie pasmo stuleci. Tutaj więc przedewszystkiem, należałoby szukać źródła opinii, po raz pierwszy wygłoszonej przez Łaskiego, na początku XVI. wieku, że twórcą pieśni Bogarodzicy był św. Wojciech. Twierdzenie podobne mogło powstać na gruncie warunków, jakie znajdujemy w Polsce. Cieszył się w owym czasie język czeski wielką popularnością w gronie ludzi oświeconych, używanym był nawet w kołach rządzących. Biblia królowej Zofii wzorowaną była na czeskim układzie, również przełożono z tego języka na polski wiele pieśni religijnych, niektóre aż nadto wyraźnie trącą czeszczyzną. Wpływ naszych pobratymców znajdujemy zresztą w niejednym zabytku piśmiennictwa polskiego. Nie wyjmując nawet najstarszej modlitwy pańskiej, wielu pisarzy polskich korzysta jeszcze później z literatury czeskiej, lub co najmniej czerpie w niej zachętę, że przypomniemy na tem miejscu Marcina Bielskiego, Reja, Klonowicza. Były wypadki, że sporządzano w tym języku zapisy, umowy, kontrakty. Górnicki wspomina, że język czeski był narzeczem ukształconych, uchodził niejako za wyższy, może literacki, polski zaś był «gruby».

Wobec ścisłych stosunków łączących dwa narody, trudno się dziwić, że niektóre zwrotki «Bogarodzicy» noszą piętno czeszczyzny. Sam wyraz «gospodin» należał u nas do rzędu słów zestarzałych, w użyciu już niebędących, u Czechów zaś był powszechnym. Formy sławiena, zwolena, zatrącały czeszczyzną. Św. Wojciecha wyobrażano sobie w owych czasach arcybiskupem gnieźnieńskim, a katedra w Krakowie poświęconą była św. Wacławowi, patronowi Czech. Było zresztą rzeczą wiadomą, że chrześcijaństwo przyjęte zostało od Czechów. Najbardziej może naprowadzała na domysł czeskiego pochodzenia naszej pieśni pewna zgodność z pieśnią czeską: Hospodine pomiluj. Te i tym podobne względy skłoniły naszych przodków do ogłoszenia św. Wojciecha za twórcę najstarszej pieśni polskiej. Nadto pamiętać należy, że oba śpiewy wyżej wymienione, czeska i Bogarodzica, są charakteru bojowego. Kilka dalszych zwrotek Bogarodzicy, będących pierwotnie

pieśnią wielkanocną, przypomina żywo odnośne ustępy pieśni wielkanocnych staroczeskich, naprzykład:

«Wszyscy święci proście,
Nam grzesznym spomożcie,
Byśmy z wami bydlili,
Wiecznie Boga chwalili.

jest przykładem pieśni staroczeskiej:

Vsichní světe proste,
Nam toho spomožte,
Bych (om) z wami bydlili,
Jesi Christa chwalili. Kyrie elejson.

Trudno zaiste nie przyznać, że twórcy pieśni Bogarodzicy czerpali pełną dłonią z skarbca staroczeskich pieśni kościelnych. Przemawiają za tem i rymy zepsute jak głosy — myśli, miły — byli, radują — siłą, kmieciu — wiecu i t. d., które stają się normalnymi, jeżeli polskie słowa zastąpimy czeskiemi.

Pomnik nasz zachowany w ciągu stuleci, świadectwo i spuścizna zamierzchłej przeszłości, posiada wiele rysów odpowiadających wielkiemu zadaniu hymnu religijnego. Więc przedewszystkiem granitowa twardość słów, rzeźbionych w monumentalnie starożytne formy, prostota wysłowienia, duch pełen powagi, a przedewszystkiem wiara i ufność do najwyższego posunięte stopnia. Czujesz jak gdyby rozszlochanie tłumów pod kopułą katedry gotyckiej.

Bogarodzica często zmieniała swe kształty w zależności od warunków czasu. W wiekach średnich, kopista widząc niezupełną zgodność wyrazów pieśni z swojem uczuciem pobożności, odmieniał formy, stosując je niekiedy do potrzeb okolicznościowych, czasem czynił to w prostocie ducha, nieświadomy rzeczy. Późniejsi zmieniali z formą i treść, mając estetyczne względy na oku. Ale w rekonstrukcyi naukowej, musimy brać pod uwagę tekst pierwotny, nie zaś większą piękność lub skończoność. Poznawszy stosunek pokrewieństwa, zachodzący między odpisami, możemy powoli zbliżać się niejako do rdzenia, z którego rozgałęziła się taka mnogość odpisów i odmian. Wszakże zbytnim pietyzmem przejęci do rzeczy odległej starożytności, nie zapominajmy, że i tam mogły powstać błędy, jak to dziś ma miejsce, tembardziej, że mamy do czynienia z wiekiem młodocianym, niekrytycznym, czerpiącym wiele rzeczy na podstawie ślepej wiary. W odniesieniu tekstów do tej lub owej epoki, niepoślednie usługi oddaje język, ten bowiem zmieniając się stopniowo, w każdym okresie posiada, jeżeli już nie swój charakter, to przynajmniej odrębne wyrazy, właściwe formy i modłę zajmującą pewien określony stopień na drabinie cywilizacyi językowej.

Była «Bogarodzica» w ogromnem poszanowaniu u naszych przodków. Mówiąca do uczucia religijnego, otaczaną była czcią i pietyzmem. Świadczy o tem nietylko mnoga liczba odpisów, ale i sposób, w jaki ich dokonywano.

W tekście Bogarodzicy — jaki doszedł do nas już w odpisach najdawniejszych — znajdujemy trzy części, luźnie z sobą powiązane. Pierwsza, obejmująca początek, aż do refrenu Kyrie elejson, jest pieśnią błagalną do Najśw. Panny, druga odnosi się do Chrystusa, zakończona również przyśpiewem: Kyrie elejson, trzecia, zapewne pieśń wielkanocna, rozpoczyna się zwrotką: Nas dla wstał

zmarłych. Dalsza jest pieśnią postną o męce Pańskiej. Ostatnia zaczyna się od zwrotki: Ni srebrem, ni złotem. Podaję tu tekst pieśni od zwrotki trzeciej począwszy (poprzednie przytoczyłem powyżej).

Nas dla wstał zmarłych Syn Boży,
Wierzysz w to człowiecze zbożny,
Iż przez trud, Bóg swój lud
Odjął djablej stróżej,
Przydał nam zdrowia wiecznego,
Starostę skował piekielnego,
Śmierć podjął, wspomionął
Człowieka pirwego.

Adamie, ty boży kmieciu,
Ty siedzisz u Boga w wiecu,
Domieściż twe dzieci,
Gdzież królują anieli.

Pieśń postna o męce Pańskiej.

Ciebie dla człowiecze
Dał Bóg przekłuć sobie
Ręce, nogi obie,
Kry święta szła z boku.
Na zbawienie tobie.

Wierzyż w to człowiecze,
Iż Jezu Kryst prawy,
Cirpiał za nas rany,
Swą świętą krew przelał
Za nas Krześcijany.

O duszy, o grzesznie,
Sam Bóg pieczą ima,
Djabłu ją odima,
Gdzie to sam króluje,
K sobie ją przyima.

Porównanie zwrotki trzeciej z pierwszą, każdego, nawet nie badacza, doprowadzi do wniosku, że w jednym czasie i z pod jednej ręki powstać nie mogły. Różnią się bowiem nietylko kształtem wiersza, złożeniem rymów, ale w ogóle całą formą zewnętrzną. Kłąbkiem, z którego rozwinęły się dolne nici pieśni, była owa pierwsza zwrotka, zawierająca króciutką prośbę do Najśw. Panny o odpuszczenie grzechów. Dalsze zwrotki, różniące się między sobą treścią i formą, zostały sztucznie złożone. Głównego materyału dostarczyły prócz: lejsu do Matki Boskiej i do Chrystusa, pieśń wielkanocna (zwrotka 3 i 4) i pieśń postna (zwrotka 5—14). Ale i zwrotki 6 i 7, zanim znalazły pomieszczenie w «Bogarodzicy», były składowemi częściami innych pieśni, może kolendowych. Już w pierwszych zwrotkach trudno się dopatrzeć związku organicznego, dalsze dodatki począwszy od strofy ósmej, są jeszcze luźniej powiązane. W zwrotce dziesiątej znajdujemy skrawki rozmaitych utworów. Początek

PSAŁTERZ FLORYANSKI

Pomnik języka polskiego z 14. wieku

przywodzi na pamięć słynne podówczas pieśni kościelne, w drugiej zaś części, poczynającej się od słów: «Ciebie dla człowieka» do końca, żywcem przejęto z czeskiej pieśni wielkanocnej. Zwrotka jedenasta zawiera określenie celu męki Chrystusowej, i już przezto samo łączy się z poprzednią. Defilują tu przed okiem czytelnika obrazy cierpień Zbawiciela, ale kiedy tam autor był tłumaczem wzorów obcych, obecnie opowiada je od siebie, wcale od owych odmiennie. Następna zwrotka opiewa pieczę boską nad duszą człowieka, czego dowodzi męka Jezusowa. Tutaj znowu powtórzono myśl początkową strofy dziesiątej.

Dowodzi to bezprzecznie niedużych uzdolnień poetyckich ostatniego autora, obracającego się ciągle, jak w zaczarowanem kole, w granicach danego obrazu, z którego zapożycza farby do oddania swej kopii, ale z drugiej strony łatwo wywnioskować, że całość ta, bez kształtów wyraźnych, nakreśloną została ręką jednego. Oczywiście winić go trudno, jeżeli weźmie się pod uwagę okres, który nie utworzył był jeszcze warunków dla twórczości poetyckiej. W uskutecznieniu swego zadania, szedł autor utartym gościńcem, który dziś jeszcze przyświeca w poezyi ludowej. Mamy na myśli haftowanie wciąż nowych zwrotek na kanwie tych samych obrazów i pomysłów. Z biegiem czasu, ten sposób tworzenia wyrodził się w prawidło.

Zwrotka trzynasta: «Marya, dziewice, prośmy syna twego» i t. d. bardzo luźno z poprzednią związana, bo tylko o tyle, że kończy pieśń całą wezwaniem do Matki Boskiej, pochodzeniem przypomina podobną zwrotkę pieśni czeskiej. Na motywach czeskich wzorowaną jest również miara wiersza «Bogarodzicy».

Jaką drogą owe różnorodne pierwiastki złożyły się na utworzenie jednej pieśni? Pierwsza zwrotka stanowiła — jak wspomniano — oddzielną pieśń z błaganiem do Matki Boskiej o odpuszczenie grzechów. Dzięki zaś odpowiedniej przeróbce czeskiej: «Hospodine pomiluj», otrzymano podobną modlitwę do Chrystusa. Oczywiście łatwo można było dwa te śpiewy połączyć, ile, że w części pierwszej wspomniany jest syn Boży (Bożyc). Na podstawie takiego to kojarzenia wyobrażeń powstawały następujące zwrotki. W trzeciej zwrotce znajdujemy wzmiankę o męce Pańskiej. Można więc było ten fragment rozszerzyć i dokończyć, uzupełniając go odmalowaniem świetnego kresu owej męki, czemu w zupełności odpowiadała dodana pieśń wielkanocna.

Cały śpiew Bogarodzicy jest jakby kancyonałem na różne święta i do różnych świętych. Znaczniejsza ich część została w XIV. wieku zebraną w jedną całość, przyczem, gwoli zaokrągleniu, dodawano wiele nowych ustępów i zwrotek. W ten sposób powstał ów hymn najdawniejszy, któremu nadano, ze względu na treść zawartą w pierwszej części, nazwę «Bogarodzicy». Po tej nitce możemy się zbliżyć do oddzielnych, luźnie, bo jedynie podobieństwem myśli ze sobą spojonych ułamków. Kompozycya bowiem nie może ujść wpływom warunków, wśród których powstała. Trudniej jednak oznaczyć czas powstania naszej pieśni. Zwróciliśmy powyżej uwagę na bogactwo w «Bogarodzicy» rymów, które nietylko wiążą, ale roją się nawet wśród wierszy. Oczywista, wygrywa na tem wdzięk samej pieśni, mają tu bowiem rymy takie znaczenie, jak modulacye tonów w utworze muzycznym. Dowodzą one już znacznego postępu w technice, oraz pewnego ukształcenia poetyckiego. Nie pozwalają zaś posunąć pieśni naszej poza wiek XIV., w tym bowiem dopiero czasie mowa wiązana ledwie poczęła ożywiać u nas nader skąpo uprawianą niwę poetycką. Literatury rozwijają się wedle praw stałych, podobnych do tych, jakie znajdujemy w obrębie państwa roślinnego. Drzewo rozłożyste uważane jest za starsze od mniej

rozgałęzionego. Tak samo literatura zasobniejsza sięga w bardziej zbliżoną przeszłość, niżeli uboga, posiadająca skarb nieduży. Czeska poezya religijna, której pomniki zachowały się z XIII. stulecia, co do ilości, a nawet jakości utworów, przewyższa znacznie polską. Ta więc powstać mogła przynajmniej o stulecie później. I z tego przeto względu należałoby pieśń o «Bogarodzicy» odnieść do wieku XIV. Przemawia za tem i dokument z 1396 roku, uważany za falsyfikat, w którym zachowała się historycznie najstarsza o naszej pieśni wiadomość — jak to wykaże Dr. Wł. Wisłocki na podstawie archiwalnych badań aktów grodzkich i ziemskich w Krakowie.

Jakim rodzajem poematów obejmowano nasz utwór? Kopista, który przepisał «autentyczny» tekst, przechowujący się w katedrze gnieźnieńskiej, nazywa go — idąc prawdopodobnie za tradycyą — prosa decantanda. Pod mianem prozy rozumiano wówczas śpiewy kościelne, ułożone z sekwencyi, po dziś dzień w mszale używanych. Oba wyrazy: proza i sekwencya oznaczają, że tekst toczy się bez przerw, bez powtarzań, płynie ciągle naprzód. Niema tu przestanków w hymnach lub pieśniach spotykanych. Owa proza ma więc rzeczywiście pewne do spółczesnej prozy podobieństwo. Ta ciągłość w coraz to odmiennem wiązaniu się części tekstu ze sobą, tłumaczy się tem, że w zaraniu kościoła katolickiego wyrazy pieśni łacińskiej, a potem i ojczystej, stosowano do modulacyi wykrzykników Alleluja! i Kyrie elejson. Tok zaś tekstu mownego otrzymywał rytm muzyczny. Później przez dodanie rymów i przyśpiewów, przez odpowiednie następstwo przycisku głównego, wreszcie przez zgodność liczby głosek, poczęto tekst ów wiązać w wiersze i zwrotki. W dalszym rozwoju stawała się forma coraz bardziej sztuczną i misterną, jak to widzimy w «Bogarodzicy». Ów tor rozwojowy przebiegała nietylko poezya polska, ale i obca. Za granicą już w XII. stuleciu spotykamy na tej drodze rozwinięty i doskonale ukształcony śpiew kościelny, tak zwany modus albo cantio, jak to nazywa «Bogarodzicę» nasz Łaski, który ją w statutach swych po raz pierwszy wydrukował. Pieśni zaś z refrenem Kyrie elejson chrzczono po francusku lais, po niemiecku leich. Pienie kościelne, lejsem tu zwane, jest poniekąd śpiewem bez sztywnych reguł, zostawia bowiem śpiewającemu swobodę i dowolność. Duże mają z niem podobieństwo hymny z modulacyą stosowaną do wyrazu Alleluja.

Mijające pokolenia ciągle odmieniały swe pieśni, stosując je do potrzeb i gustów swego czasu. Jakaż to zaiste różnica między owym pierwotnym śpiewem, a artystycznie zbudowaną, na prawach niezłomnych opartą, pieśnią? «Bogarodzica» zajmuje jeszcze środkowe ogniwa tego długiego łańcucha, którego początek ginie w tajemniczej pomroce, a koniec da się odszukać w nurtach poezyi spółczesnej. Pieśń nieduża, ale jak fale morskie ruchliwa, ulegała ciągłym zmianom, przybierając coraz to nowe myśli, jak to widzimy w trzeciej i dalszych zwrotkach «Bogarodzicy», którym dwa pierwsze za wzór posłużyły. W treść nie bogate, formą nęcące, pobudzały lud do dalszego snucia wątku, należycie nie wyzyskanego. Rdzeń pieśni spoczywała w początkowych zwrotkach, niby w pąkowiu i rozbłysła się, jak kielich lilii, pod działaniem ożywczego światła wiary. Ale owe zwrotki dodawane, układają się tak niezgrabnie, w takiem poplątaniu, że czynią raczej wrażenie stalaktytów, formowanych w ciągu dłuższego czasu, niż żeby były odrazu trysnęły ze skały, jak źródło bijące. Niektóre z nich dopełniają treści zawartej na początku. A rytm ich jest, jakby dalszym ciągiem pierwotnej zwrotki. Za to językiem różnią się od swej rodzicielki, nie mają bowiem, ani form starożytnej polszczyzny, ani wyrazów i zwrotów języka czeskiego, na którym się ona wykarmiła. W dalszym ciągu nabiera pieśń sama

odrębnego charakteru. Pierwotnie ogólno-katolicka, przedzierzga się tutaj w narodową, z religijnej staje się patryotyczną. I dlatego nie był w błędzie nasz sędziwy historyk, nazywając «Bogarodzicę»: patrium carmen. Na wzór westchnienia do Najświętszej Panny i jej syna o «przyczynę» za nami, powstają dokoła błagania prośby do patronów i opiekunów Polski, do św. Wojciecha, do św. Stanisława i innych. Przyczem wznoszą się modlitwy za króla polskiego i rodzinę jego, oraz za nami, dziećmi królestwa polskiego. Twórczemu pochodowi pieśni zapiera drogę druk. Od tej pory bowiem, poza nieznacznymi waryantami, nie ulega już zmianie, ani dodatkom. Konto jej zamknięte. Nie odrazu więc, ani z jednego pióra — jak chcą niektórzy — wyszła «Bogarodzica», układały ją pokolenia i stulecia. Stąd brak jej owej organicznej kompozycyi, jaka bywa szczęśliwym udziałem dzieła, które jedna tworzy ręka.

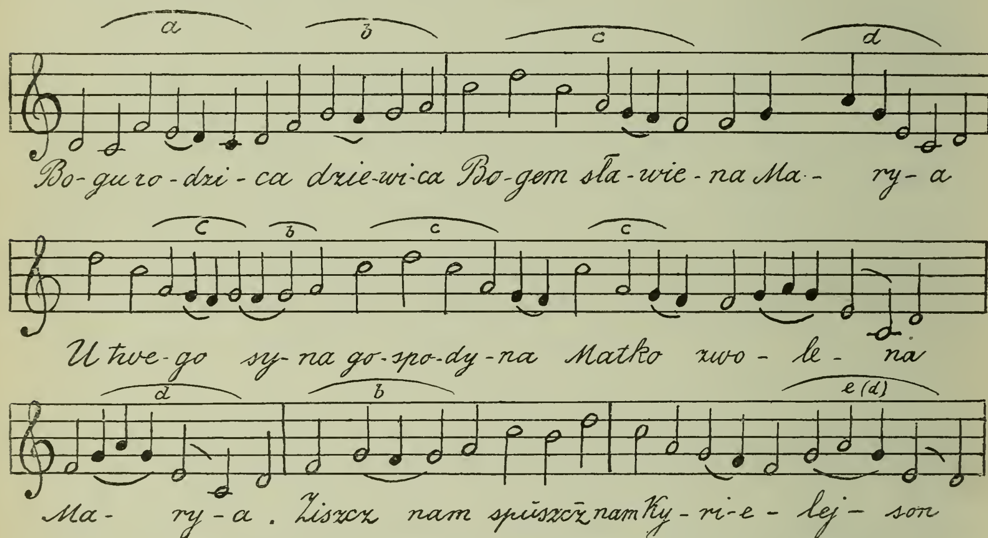
Pierwotnie była to pieśń do Matki Boskiej, prosta, ale rzewna. Z czasem prośby w niej stają się gorętsze, prawie natarczywe, jak modły dziecka upartego; zwrotki jej nabrzmiewają, pędzą w górę, aż z pączka rozwinęła się w różę. Pierwotna lejs przeobraziła się w kantatę religijno-narodową, przybrała kształty litanii patryotyzmu — peanu wojennego. — I spełniła godnie swe zadanie. Bo kiedy od zachodu napierające fale groziły plemienia polskiego zagładą, kiedy na polach Grunwaldzkich przyszło do stanowczej z wrogiem krzyżackim rozprawy — ona, niby zbawcze palladium narodowe na czele rycerstwa polskiego niesiona, zagrzewa serca bojowników, podnosi ducha, prze naprzód — do zwycięstwa. Nastały potem świetne dla narodu polskiego czasy, pieśń więc naszą złożono do skarbca pamiątek, gdzie razem z innemi pieśniami kilka przeleżała wieków. Ale nie zamarła. Znalazłszy oddźwięk w sercach pobożnych chrześcijan odbrzmiewa do dziś u grobu świętego patrona, w prastarej katedrze gnieźnieńskiej.

Pieśń ta — jak to zauważył Rymarkiewicz — służyła nie tylko za miecz do odparcia krzywd i napaści nieprzyjaciela, a skutek jej podówczas, jak okazały dzieje, był niechybny, osłaniała ona również puklerzem swym ważniejsze sprawy krajowe. Śpiewali tę pieśń wieśniacy przy zmianie rządów i witali nią nowo na stolicę wstępujących królów. Historycy, jak Bielski, kładli ją na sam początek dziejów; poeci, jak Niemcewicz, zdobili nią swoje śpiewy historyczne, nawet prawnicy — pierwszy Łaski w swym Statucie, ostatni Konarski w Woluminach legum — stawiali je na czoło ustaw, niby jakąś świętość narodową. A taką w niej powszechnie pokładano ufność, że się spodziewali przez nią odwrócić nieszczęście, a ściągnąć na kraj błogosławieństwo niebios. W tym celu czyniono wieczyste fundacye w kościołach, aby ją w dnie świąteczne odśpiewywać.

Naród polski kochał albo nienawidził gorąco, ale mało rozumował. To też szczupło zostawił po sobie dzieł reflektującego umysłu. Tworzył i śpiewał pieśni, ale ich nie objaśniał. Wyjątek uczynił dla tej swojej pieśni nad pieśniami. Już Mateusz z Kościana, teolog nadworny ks. arcybiskupa Gamrata, napisał o niej ascetyczny komentarz, po nim objaśniali ją Skarga, Birkowski i wielu innych, Sarbiewski tłumaczył ją na język Horacego, parafrazował twórca «Ojca zadżumionych», a jeszcze pióro jednego z ostatnich krytyków widzi w niej talizman chwały narodowej — najświętsze arkanum . . .

Kilka słów tylko o jej muzyce, niestety słabo jeszcze rozjaśnionej. W owym czasie, kiedy sztuka, jak literatura i oświata cała, były na usługach kościoła, kiedy zagranicą narodowych dążeń pierwsze dopiero świtały brzaski — i muzyka roz-

wijać się mogła tylko pod opiekuńczemi skrzydłami kościoła. Z chrześcijaństwem przybyła do nas muzyka kościelna z całą pompą ceremoniału rozwiniętego na zachodzie. Duszą jej był śpiew gregoryański, żyjący jeszcze tradycyami muzyki Greków i Rzymian. Tłem czyli zasadą pieśni Bogarodzicy ma być, zdaniem O. Kolberga, system tonalności starożytnej, opierający się na pięciu tonach w obrębie naszej oktawy zawartych. Brak mu kwarty i septymy czyli charakterystycznych tonów naszej gamy dyatonicznej, nie ma w nim też półtonów. Średniowieczni muzycy harmonizowali powszechnie śpiewy swoje w kwintach (bez tercyi) i oktawach. Harmonizacyę tę usłyszysz jeszcze tu i ówdzie w kościołach wiejskich podczas śpiewu ludu w towarzystwie organisty. I w figurach muzycznych, melizmach i tym podobnych formach, w które obfitują nasze najstarsze pieśni nabożne — jak naprzykład Święty Boże — rozpoznać można ślady tej średniowiecznej harmonii. Nie wolną od niej jest nasza pieśń o Bogarodzicy.



Pieśń «Bogarodzica» w nowożytnej transskrypcyi z najstarszego rękopisu.

Charakter muzyki tej oddycha w pierwszych zwrotkach pokorną modlitwą, melodya jej gregoryańska płynie szeroko i poważnie, a frazesy muzyczne roztaczają sie swobodnie tonami dowolnej długości. Śpiew bowiem gregoryański nie był martwym, nieruchomym, lecz zmieniał się wedle uroczystości, w której rozbrzmiewał, naginał się wedle znaczenia tekstu, stosował się do natchnienia śpiewającącego. Dalsze zwrotki mają już charakter uroczysty. Melodya ich rosła z wiekiem coraz śmielej. Coraz nowe dodatki i ozdoby oplatały słój melodyi, z której zapomocą wiążących tony appogiatur zrobiono już kompletną gamę dyatoniczną — krok dalej — a będzie z niej i chromatyczna. Na owe ozdoby, będące wynikiem rosnącego poczucia piękna, składały się stulecia całe, obrzucając pieśń kwieciem, które nie miało nigdy zwiędnąć. Różnice te w architektonicznej budowie Bogarodzicy tłumaczy ksiądz Surzycki prawami ówczesnej kompozycyi. Najlepsze sekwencye średniowieczne powstawały w podobny sposób. Oto chcąc uniknąć jednostajności śpiewu, nakładano kilka melodyi do tej samej pieśni, które kolejno po

sobie następowały. Nieraz zdarzało się, że owe melodye różniły się znacznie, a nawet sprzeciwiały się sobie, jedna była smutniejsza, a druga weselsza. Celem zaś powiązania tych różnorodnych kwiatów melodyi jedną nicią «powtarzano piękniejsze motywa jednej melodyi w drugiej». Zauważyć to można w słynnej sekwencyi «Dies irae», w wielkanocnej, «Victimae paschali laudes» a wreszcie i w odkrytej przez ks. Polkowskiego sekwencyi biskupa poznańskiego, Jana z Łodzi († 1346), zaczynającej się od słów: «Salve salutis». I w naszym kancyonale powtarzają się niektóre motywa pierwszej melodyi kilkakrotnie w następnej — cały układ wewnętrzny obu części jest podobny.

Melodya Bogarodzicy przechowała się w kilku redakcyach, z których najstarsza jest podana w rękopisie krakowskim (z początku XV. wieku). Melodya autentyku gnieźnieńskiego jest znacznie młodszego pochodzenia.

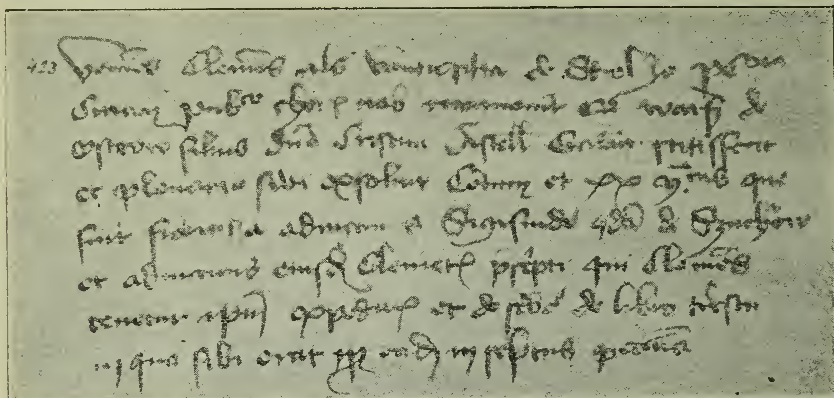
Obok pomników językowych treści religijnej, zajmują poczesne miejsce wyrazy, zdania, ustępy całe, zabytki mowy ojczystej, rozsiane na kartach sądownictwa polskiego. Ważne są one przedewszystkiem, jako pomniki prawa średniowiecznego. Nie może ich jednak pominąć i historyk, dla którego ważniejsze od genealogii rodzin królewskich mają znaczenie dzieje rozwoju klas społecznych. Dla badania starożytności bogate tu żniwo szczegółów, dotyczących ubioru, zbroi, sprzętów i t. p. Heraldyka znajdzie opisy herbów i genealogiczne dzewa rodzin, topograf nazwy wsi, miast i rzek, skądinąd mu nieznanych. — Przedeszystkiem jednak rozmiłuje się w nich języka staropolskiego znawca.

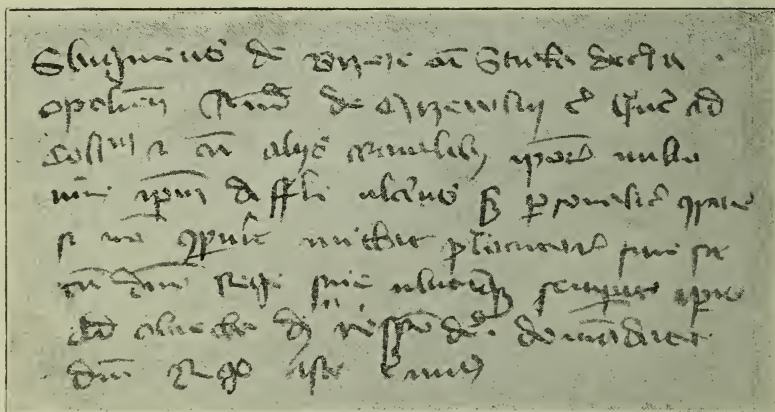
Z poszczególnych często dla wyjaśnienia przywiedzionych tu wyrazów, z nazw technicznych prawa polskiego, a zwłaszcza z całkowitych rot przysiąg, składanych w ojczystym języku przed sądem, da się ułożyć mozaika wiadomości, rzucająca snop światła na owe zamierzchłe czasy, grubą niepamięci warstwą przygniecione.

Za pierwszych Piastów książę sam, a później przez swych urzędników, sędziów, podsędków i pisarzy, rozsądzał drobniejsze spory, na tak zwanych «roczkach», a ważniejsze na «wielkich rokach». Wyroki sądu ziemskiego wydane na roczkach można było «naganić» przed sąd wiecowy lub nadworny. Sporne te sprawy, spisywane w osobnych księgach, zawierają nader ważny i zajmujący materyał. Cały zasób tych zapisek sądowych, złożony w archiwach polskich, wypełniłby w okresie średniowiecznym do 500 olbrzymich tomów. Nie zawierają one utworów literackich, ani nawet rzeczy mającą jakikolwiek osobisty charakter, ale są zbiorem notat zaciąganych do protokółu w celach urzędowych. Osobliwy wygląd mają te księgi, zachowane jeszcze w tej dawnej postaci, jaką im nadał pierwszy ich układacz, zwany notaryuszem sądowym. Karty ich złożone we dwoje, w tak zwane języczki czyli dutki, tworzą zwitek nicią przymocowany do pergaminowej okładki. Aby zaś nitka nie przedzierała papieru, podkładano w szwach skrawki pergaminowe pociętych dokumentów sądowych. Jako najsędziwszemu owych źródeł świadkowi dałem w podobiźnie pierwszeństwo księdze, z lat 1374—1385, zawierającej głównie: 1. roki wiecowe i powiatowe krakowskie; 2. roki proszowickie i 3. roki księskie i włodzisławskie. Księgę tę, pisaną na lichym papierze bawełnianym, w formacie arkusza przez szerokość na pół przełamanego, przechowują jako cenną pamiątkę w archiwum aktów ziemskich i grodzkich. Niewtajemniczony w arkana średniowiecznego sposobu pisania nie odczyta jej z łatwością. Pisarz, zapisujący tu owe roki, kładł zazwyczaj na boku pewne znaczki, po których poznają prawnicy kategoryę zapiski, szybko się oryentując. Znak no̅, skrócenie wyrazu: nota, wyznaczał rok dla stron spor-

nych lub zapis prawa nabytego; pẽ, oznaczało «pena», czyli zapiskę, w której wyznaczano karę sądową; p'm, wykazuje przywilej; lrã, skrócenie «litery», gdzie list lub dokument okazano; T, gdzie występowali świadkowie (testes) i t. p.

Księgi sądowe nie miały z początku stałej nazwy. Mianują je po prostu liber albo nawet regestrum. Dopiero na schyłku XIV. stulecia odróżniano księgi przez sąd ziemski utrzymywane (liber terrestris) od założonych przez sądy grodzkie (liber castrensis). W owym czasie obejmowały one w porządku terminów orzeczenia





128, 129. Podobizna najstarszej księgi sądowej (z archiwum aktów grodzkich i ziemskich w Krakowie).

w sprawach spornych, relacye woźnych, służące do instrukcyi, wnioski stron, akta dobrej woli przed sądem dopełnione, polecenia króla lub starosty, korespondencye sądów i t. p.

Rozsądzając przedstawione sobie sprawy wygłaszali sędziowie już w XIII. wieku pewne ogólne zasady, wedle których miały one być i na przyszłość sądzone. Podobne postanowienia wydawały tak zwane koncylia czyli zebrania szlachty oddzielnych ziem. Zachowały się niektóre do naszych czasów w księdze sieradzkiej z XIV. stulecia. Rozwinęły się zaś w statuta, od których różnią się tem, że obo-

wiązywały jedynie w granicach tej ziemi, w której je ogłoszono, nie obejmowały zaś kraju całego, jak ustawy właściwe.

Odmienne przeznaczenie mają tak zwane formularze, służące za wzór pisarzom przy układaniu różnych aktów. A miały je nie tylko sądy, ale także kancelarye książęce, notaryusze i inni. Nadawały zaś dokumentom, tak publicznym, jak prywatnym, im właściwy, ale jednostajny charakter. Lubo ograniczały samodzielność pióra, przyczyniły się jednak do prawidłowego toku sprawy. Jeden z najdawniejszych tego rodzaju zbiorów znany jest prawnikom pod mianem formuł sirmondskich. Zapewne pojawiały się u nas od dawna, wywołane nieudolnością pierwszych pisarzy.

Poziom wykształcenia ówczesnych sędziów i w ogóle urzędników ziemskich był naturalnie bardzo niski. Cały zapas wiedzy odbierali oni w szkółce parafialnej — resztę zastępowało doświadczenie. Dopiero zaprowadzenie sądów wiecowych, rozstrzyganie wyroków niższej instancyi, zaostrzyło sąd tak zwany starszych ziemi albo panów wyższych, ludzi z pewnem wykształceniem, jakimi byli wojewodzi, kasztelani i podkomorzowie. Sąd cały nazywa się żupą, a osoby, w skład jego wchodzący żupnikami. Zajmowali też notaryusze poczesne miejsce. Oni to utrzymywali księgi, redagowali pozwy i wyroki, oni byli sternikami procesu. Przy ich boku zasiadali pisarze, a niżej jeszcze stali woźni. Obowiązkiem tych ostatnich było — prócz czynności do dziś spełnianych — dokonywać wszelkiego rodzaju wizye czyli ukazania, dopełniać zajęcia (tak zwana ciąża) i t. p. Dopiero ku końcowi XVI. stulecia ustalił się zwyczaj pozywania pismem czyli literą. Pozywający szlachcica ustnie, podpadał karze sześciu grzywien, albo nawet przegrywał sprawę. Osoby niewiadome z miejsca zamieszkania, albo przybywające gdzieś w odległych stronach, wywoływano u słupa. Dopełniał tej czynności woźny po trzykroć — co sześć tygodni — przy wystawionej na rynku kolumnie.

Dochodzący praw swych winien był stronę przciwną uwiadomić o zbliżającym się naprzykład terminie, co w Wielkopolsce zwano obesłać przeciwnika. W każdej sprawie udzielano aż cztery terminy, pierwszy zwał się rokiem obżałowanym, ostatni zawiłym albo przysiężnym, a wszystkie były: obesłane. Niestawienie się w oznaczonym czasie pociągało karę tak zwaną niestane. Ksiądz, spowiadający chorego, usprawiedliwiał przed sądem niestawającego w terminie zawiłym, a wyrobiwszy mu drugi termin, musiał przysięgać, że choroba niebyła udaną.

Z chwilą, kiedy powód i pozwany zjawia się w sądzie, rozpoczyna się rozprawa. Ten ostatni może odmówić w danej sprawie odpowiedzi, skoro ma zachodźcę, to jest osobę, która go broni lub odpowiada za niego.

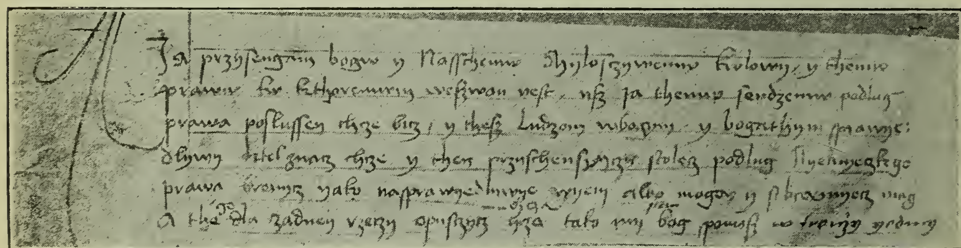
Z uznanych w praktyce sądowej dowodów wymieniam.

Zeznanie woźnego z roku 1390, z ksiąg ziemskich poznańskich: «Dobrogost Ludomski z dziedzicami Siedlec przybyli z opolem na wzjazd; tedy woźny z opolem miał jest iść strugą, i poszedł pośród strugi z opolem. Tedy drudzy opolnicy niechcieli iść strugą, ale podle strugi. Tedy Wawrzyniec Łodzki wstrącił tych, co szli podle strugi. Tedy Jarosław z Przecławem oświadczył woźnym to wstrącenie. Tedy Dobrogost puscił na Jarosława a na Przecława. Kędy pojedziecie, tędy przysiążycie. Tedy oni przyjechawszy na uroczysko ku przysiędze, usuli dwa kopce nie przysięgawszy.»

Niektóre wyrazy staropolskie tego wyjątku, mające znaczenie terminów prawnych, wymagają objaśnienia. Wzjazd oznacza wprowadzenie w stan posiadania.

W owym czasie, kiedy prawo zasadzało się na formach i słowach, mających jeszcze pierwotne znaczenie, trzeba było przy pewnych aktach prawnych dopełniać czynności, robić pewne poruszenia, jakie wyrażał dokument lub umowa. Tutaj naprzykład wskazując granicę, trzeba było trzymać się pewnej linii, iść rzeką graniczną. Nie przyjmujący tej miedzy oponowali przez wstrącenie czyli zepchnięcie woźnego z miedzy. Podobny przykład mamy w spółczesnym opisie najazdu. Na dowód, że najazd miał miejsce w posiadłości duchownej, staje kanonik obok oskarzonego, występuje polem kilka kroków naprzód, zachodzi go i zasłania. Zwało to się: zachodzić, a świadek taki zachojcą. W całym akcie zaś mamy rodowód pojęcia: zajście. Wyrażenie «obręcył panem Wojtkiem i Miecławem» lub «obruczyli pięćdziesiąt grzywien» nasuwają domysł, że pierwotni ci, co ręczyli, obejmowali przedmiot poręczenia, ująwszy się za ręce z dłużnikiem.

Najdawniejsze księgi sądowe nie zawierały przebiegu całej sprawy, nie obejmowały nawet zapadłych wyroków, ale były jeno wykazami terminów, świadków, kar i t. p. rzeczy. Sędzia był zobowiązany zachować w pamięci wydany przez siebie wyrok, za co pobierał opłatę, zwaną pamiętne. W celu dowiedzenia się jak sprawę rozsądził, uciekała się strona interesowana do tak zwanej wsteczy, to



130. Rota przysięgi z rękopisu biblioteki Jagielońskiej Nr. 169.

jest, stawała przed sądem, prosząc o laskę sądowa, z którą szła do sędziego po owe zeznanie, a jak mówiono w Wielkopolsce «brała powieści». Poźniej, aby nie szukać sędziego, przybywającego w dalekich stronach, brano wstecz wprost z księgi sądowej, w której orzeczenie sądu było zapisane. Strona, której księga nie poparła, podlegała karze wstawną zwanej.

Ostatecznym wynikiem przewodu było, że pozywający dobił się swego żądania, albo pozwany zwalniał się od tego, co odeń żądano, mówiono wtedy, że odbił się lub zbił. Obaj zaś ostali się czyli otrzymali to, co twierdzili.

Na udowodnienie faktu, że coś się stało, albo nie miało miejsca, składano przysięgę. Po wyłuszczeniu sprawy przez strony, układał sąd tak zwaną rotę czyli formułę (arengę), podług której mieli świadkowie lub strony przysięgać. Roty te, zawierające już całe zdania w staropolskim pisane języku, zasługują, aby się nad niemi nieco dłużej zatrzymać. Rota przez sąd przyjęta — niejednokrotnie swadzili się o to strony — była niewzruszoną. Można ją było tylko zmienić na mniejsze, jak naprzykład gdy miano przysięgać, że najeźdzca we dwudziestu jachał, a powód zezwalał na zeznanie świadka, że najazdu dokonała mniejsza liczba spólników. Przy stawieniu świadków i wykonaniu przysięgi zdarzały się pewne watpliwości, załatwiali je prawiedlnicy, czuwający nad tem, aby akt przysięgi odbył się w sposób nale-

żyty. Przysięgę składano przed krzyżem (kościołem). Skład roty był bardzo prosty. Najpierw wzywano Boga na świadka: Tako mi pomoży Bóg i święty krzyż, albo Tako nam Bóg pomagaj. Następowało odwołanie się świadków do ich wiedzy w słowach: jako niemy albo jakośmy przytem byli. Potem zaręczenie, że tak, jak wiedzą, świadczą, nareszcie wyłożenie sprawy w krótkich zawyczaj słowach. Duchowni, wykonywający przysięgę, powoływali się na świętą ewanielię. Krom podobizny przytaczam tu, dla przykładu, jedną rotę przysięgi z komparacyą w oryginale, tak jak jest zapisaną w księdze grodzkiej poznańskiej, tudzież w przekładzie tekstu łacińskiego i w transskrypcyi polskiej.

Nota iudicium regale Poznanie feria tercia post dominicam Oculi a. d. 1387.

Testes ducit Nicolaus Dambrowsky contra Mathiem, subiudicem poznaniensem: primus Bartholomeus Chomantsky, item Albertus Radwankowsky, item Sul Wytkowsky, item Gothardus Baworowsky, item Zegotha de Czeradze. Sic iurabunt: iaco to swatczimi: iaco Micolay placzil Maczeyewy an ot nego nechczal wsszǫcz zaplaczono.

Nota: Sąd królewski w Poznaniu, dnia 12 marca 1387 r.

Mikołaj Dąbrowski przywodzi świadków przeciw Maciejowi, podsędkowi poznańskiemu: pierwszy (świadek) Bartłomiej Chomącki, drugi Wojciech Radwankowski, trzeci Sulima Witkowski, czwarty Gotard Baworowski, piąty Żegota z Czeradzi, którzy tak przysięgają: Jako to świadczymy: jako Mikołaj płacił Maciejowi, a on od niego nie chciał wziąć zapłacono (zapłaty).

Przytoczone w tej komparacyi imiona i nazwiska, nie dają wyobrażenia o obfitym a niewyzyskanym zasobie językowym i krajoznawczym, jaki się mieści w księgach sądowych. Zwyczajem powszechnie przyjętym używano jeszcze w XIV. wieku imion zdrobniałych, przeważnie słowiańskiego pochodzenia, naprzykład Dobek (Dobiesław), Pasek lub Pasko (Pakosław), Boguchna (Bogusława), co się do dziś w imionach dzieci zachowało, naprzykład Bronek (Bronisław). Imiona łacińskie, kalendarzowe są spolszczone: Jakusz, zamiast Jakób, Krzon, zamiast Krystyn. Ciekawe są przydomki, często jeszcze przychodzące. I tak, z powołanych na świadka Stanisław zowie się Baran, drugi Jelitko, ten Mikołaj Kłos, tamten Wątroba i t. p.

Roty przysiąg, spisane w XIV. wieku w księgach ziemskich i grodzkich, stanowią dziś, przy nader szczupłym zasobie innych pomników, jeden z najważniejszych skarbów mowy staropolskiej. Podnosi ich wartość ściśle określony czas i miejsce pochodzenia zapisek, język nie książkowy, ale potoczny, z wszelkiemi gwary ludowej właściwościami — szkoda tylko, że tak mało ich dotychczas ogłoszono. Znamy około dwustu rot z niektórych okolic Polski.

Kiedy praktyki religijne, przy opisywaniu pomników religijnych, warunkowały pewną niezmienność słowa, przekazywanego przez kościół, ulegało żywe słowo w życiu codziennem prawu nieustannej zmiany, a charakter ten odbijają właśnie nasze roty przysiąg, dający możność poznania historycznego rozwoju języka, nietylko zewnętrznych jego znamion. Narzucanie jednolitej formy językowi staropolskiemu byłoby błędem wobec stanu ówczesnej inteligencyi pisarzy, wnoszących swoją gwarę miejscową bezpośrednio do książki. Przeciwnie zaś wlecze swój nikły żywot język książkowy w uroczystościach kościelnych, skrzepły w formie pieśni i kazania.

Z form językowych, które nam przekazały roty, przytaczam rzadki okaz aorystu w swej okazałej, myszką starożytności opruszonej postaci:

Liczba pojedyńcza.	Liczba mnoga.
2. Wynidziech. 3. Wynidzie.	1. Wynidziechom. 2. Wynidzieście. 3. Wynidziechą.

Zachowały się tu również liczne przykłady starodawnej — dziś już zatraconej — składni. Naprzykład: przyjdę na gospodę nagabał, to znaczy: przyszedłszy na gospodę, pytałem. Powtarzano często przyimek przed rzeczownikami — co się zachowało jeszcze w pieśni ludowej — naprzykład: za plebana za Sulimirskiego. Czuć się już daje wpływ składni łacińskiej, zwłaszcza w użyciu czwartego przypadku, zamiast drugiego, przy przeczeniach.

Najsłabszą stroną zapisek sądowych jest ich pisownia nieustalona i niedokładna. Różnią się tu nietylko pisarze między sobą, ale nawet jeden i ten sam pisarz nie dochodzi do względnej jednostajności. Wogóle nie oznaczają jeszcze miękkości samogłosek. Piszą więc ne, zamiast nie, kmeszu, zamiast kmieciu i t. p. Dopiero pod koniec XIV. wieku spotykamy: wyedzø, to jest wiedzą, mają bowiem jeden znak dla *i* i *y*, co niestety bardzo myli. O wiele większy nieład panuje w spółzgłoskach. Znak *c* wyraża jeszcze często *k*, z łacińska naprzykład: wcradł. Brzmień *c* (ć) i *cz* nie rozróżniają, naprzykład: czebe (ciebie). Niektórzy pisarze mają brzydką nawyczkę przestawiać głoski, naprzykład: uscheld (uszedł), szrecz (rzecz). Niezręczność pisowni objawia się najsilniej w takich wyrazach, jak «wziąć», które iście po barbarzyńsku przekręcają: vøcz, vzondz, vucz, woszonl i t. p.; «wziął» piszą: wszen, wsøl, swal, wønl, zwanl; «ksiądz» tak wygląda: csanc, czansz i t. d. Uważać należy, aby wybryków tej pisowni nie narzucać językowi samemu, czego nie tak łatwo uniknąć.

Z okruchów języka staropolskiego, przechowanych w księgach sądowych, dałby się ułożyć żywy obraz naszego społeczeństwa w przejściowej dobie z okresu Piastów do Jagiellonów. Występuje ono tu jeszcze mało zorganizowane, rolnicze, złożone z panów i ich poddanych. Interes prywatny bierze już górę nad publicznym. Panuje niepohamowana dążność wymierzenia sobie samemu sprawiedliwości. Snać zakorzenione jeszcze były starosłowiańskie wyobrażenia o odwecie, a mało uregulowaną powaga sądów książęcych. Stąd potrzeba nakładania na zwaśnionych tak zwanych zakładów, celem utrzymania wśród nich bodaj czasowego pokoju.

Władza centralna słabła coraz bardziej, a ekonomiczny i polityczny wzrost szlachty uniemożebniał wykonanie sprawiedliwości równej dla wszystkich stanów. Znanym jest ogół praw, służących pełnemu rycerstwu, nadające mu przednie, wyższe od innych, stanowisko. Przywileje te wytworzyły w XIV. wieku pojęcie osobistego honoru, którego obraza pociągała za sobą surową karę winnego. Podlegał jej nietylko ten, kto «przyganił» rycerzowi, że nim nie jest, ale i ten, kto go nazwał kmieciem lub wieśniakiem, lub zarzucił mu tylko, że obcował z ludźmi niższego stanu. «Naganiony» przedkładał przed sądem swój przywilej szlachecki, albo też stawiał sześciu świadków, zeznających pod przysięgą, «jako jest nasz brat, naszego zawołania, naszego klejnota i naszej krwie — jako jest z tej postaci i z ich szczytu — jako jest prawy szlachcic».

Druga klasa rycerstwa, tak zwani włodycy, mieli tylko skrawki praw szlacheckich. Byli, jako osobiście swobodni, dopuszczani do piastowania niższych urzędów,

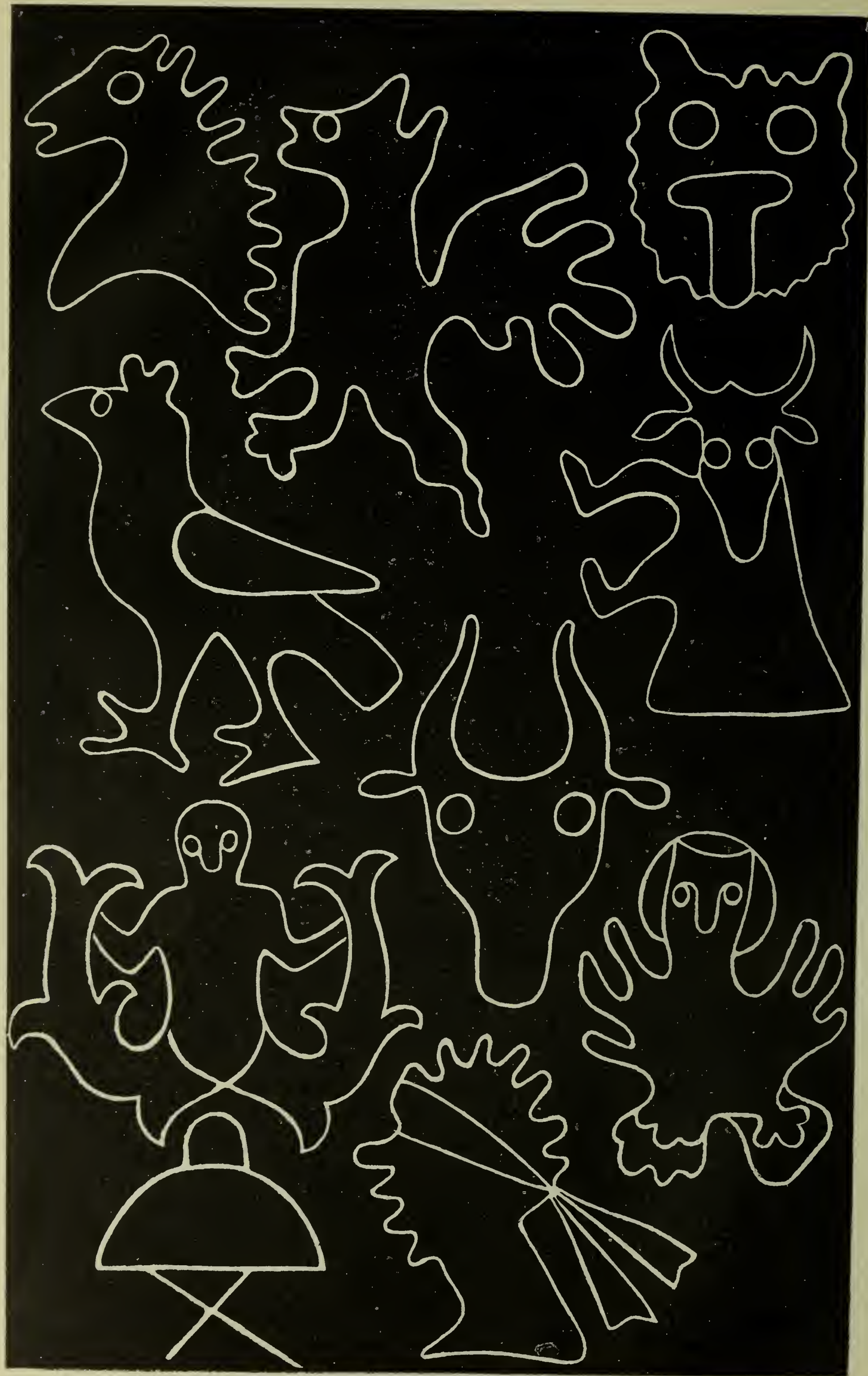
ale za głowę ich i za zadane im rany postanowiony był okup o połowę niższy, niż za zabicie i rany pełnego rycerza. W księgach sądowych wspomina się, że włodycy posiadali dziedziny, które sami uprawiali, składając «dziesięcinę niewolną». Nie mieli oni herbów, o czem poucza wykonana w 1386 roku, na wiecach w Piotrkowie, przysięga, «jako Aleksy z Ostrołęki jest ubogi włodyka, ale nie klejnotnik».

Ludzie na wsi osiadli, zwani «kmieciami», «chłopami», lub po prostu «ludźmi», płacili swemu «panu» roczny «czynsz», czyli «płat» i byli obowiązani do robocizny, która jeszcze zbytnio na nich nie ciążyła, bo nie przekraczała, na schyłku XIV. stulecia, ilości czterech dni na rok. Tak samo i daniny nie były wielkie, ani przenoszące zamożności kmiecia. Już wtedy jednak był obowiązany pić wódkę w karczmie pana i mleć zboże w jego młynie. Inwentarz żywy i martwy, oraz cały «dobytek», lub «mienie», czyli «zboże», jest jego własnością, podobnie, jak «rola», którą posiada i cały «zagrodnik», czyli zabudowania.

Kmieć rządny przychodził do znacznego mienia, wypożyczał nawet pieniądze na zastaw, z których pobierał czynsz i bronił dzielnie swoich spraw przed sądem. Zdarzają się najczęściej skargi na panów o bezprawny zabór dobytku i zniszczenie budynków. Chłop poznański, składając rotę przysięgi w 1393 roku, «świadczy, iż Domarat, kasztelan, uczynił Januszewim ludziom szkody na dziesięć grzywien», a czytając opisane sprawy kmiecia Zdziska z Kłobi królewskiej — zachowane w księdze brzeskiej pod 1400 rokiem — przeciw rządcy dóbr, za to, że mu nieprawnie, bez sądu, zagrabił jego mienie, aż serce rośnie. Zdzisko otrzymał żądane wynagrodzenie szkody, wyłącznie dzięki właściwemu sobie przedstawieniu całego zatargu.

Zwyczajem w kraju przyjętym kmieć z własnej woli mógł siedzibę swą opuścić, czyli «panu pokłonić się», wszakże pod warunkiem, aby mu «uczynił uprawiznę», to jest, aby całe gospodarstwo oddał i zapłacił czynsz. Nawzajem służyło i panom prawo nakazywać im, aby «szli precz» z gospodarstwa. Do wydania jednak podobnego nakazu, pan powinien był mieć sprawiedliwe powody. Jeśli ich nie było, uciążony kmieć zanosił przed sądem skargę: «jako mnie, Marcinowi, pan Mikołaj, przez prawa (bezprawnie) kazał z dziedziny precz i z tego grzywnę szkody mam». (1399). Inny skarży się: «jako Mikosz (imię pana) nie dał Wojciechowi (imię kmiecia) wole», to jest uwolnienia z zajmowanej przez niego siedziby. (1397).

Pewną samodzielnością cieszyły się w okresie Piastowskim i kobiety, a to głównie jako panie i właścicielki oddzielnego majątku. W księgach sądowych występują ze znacznym «posagiem». Oprócz tego dostawały od rodziców «wyprawę», to jest wszelkie przedmioty ruchome (tak zwany «ruch»), dla własnego użytku, jako to: odzienie, kosztowności (perły okowane, srebro i t. p.), bydło i inne rzeczy. Mąż, otrzymawszy za żoną posag, obowiązany był ustanowić, tak zwane «wiano», to jest zabezpieczyć na swej «dziedzinie» na rzecz żony pewną sumę, mniej więcej wyrównywającą wysokości «pieniędzy posażnych». Prócz posagu, wiana i wyprawy otrzymywały kobiety spuściznę po rodzicach lub krewnych, darowizny i t. p. Tym oddzielnym majątkiem rozporządzały zupełnie swobodnie, bez udziału męża. Przez stosunki swe z różnemi osobami w sprawach majątkowych wyradzają się wieloliczne spory, które powołują je przed sądy. Tu stają same bez upoważnienia i udziału mężów: wyrabiają sobie terminy, przedstawiają świadków i pokonywają przeciwników, którzy wytoczyli przeciw nim pozwy, a nawet bronią spraw swych mężów. Jako przykład zręcznego i rozważnego prowadzenia sprawy, niedającej się odwrócić słodkiem słówkiem przeciwnika («tako mi twa dusza luba»), posłużyć może proces z roku



131 Znaki wodne rękopisów polskich z XIV. wieku.

ŻYWOT MĘCZEŃSKI ŚW. WOJCIECHA.

z biblioteki panstwowej w Monachium.

1400 w sprawie granicznej, między «łowczyną» Niemojewską, a kasztelanem brzeskim, Wojciechem.

Siedząc na wsi i zarządzając gospodarstwem, pozwalały sobie kobiety, a nawet panny «letnie», dawać ludziom swoim nakazy do spełnienia różnych gwałtów, same pobierały czynsze od swoich kmieci, brały w zastaw dziedziny, udzielając pożyczki z własnych funduszów.

Księgi sądowe rzucają nieco jaśniejsze światło na dzieje własnosci ziemskiej, zwanej tu «dziedziną», lub «occzyzną». Zachowały się obok niej tak zwana niepłodna rola, pastwiska nie wzięte pod kosę, lasy nie wyłączone pod gaj i bór. Użytek z nich mieli spólnicy, byle nie na sprzedaż lub wywóz. Były też wspólną własnością rzeki, jeziora z prawem łowienia ryb, wyder i bobrów, nazywano to «pospólną dziedziną», a spólników «czastnikami». Z rozwojem stosunków ekonomicznych, kiedy gospodarstwo coraz więcej zabierało niepłodnej roli i lasu, nadając im nietylko wartość użytkową, ale i handlową, kiedy w interesie mieszkańców było dzielić się i wyodrębniać swoją dziedzinę, następowała zmiana stosunków — nie bez uporu i walki. Posłańca, zwanego «selcę», uczestnika, który wypowiadał spólność czyli «objachał», spotykał przeciwnik «z samostrzałem i mieczem obnażonym», jak to postąpił «uczestnik, Marcin z Gośniewic, pod Warką». Sąd skarcił Jana Braneckiego za to, że ten w dwudziestu kilku ludzi zajechał bór, który Braneccy i Suscy «trzymali spólnie, podług zwyczaju ziemskiego». Sprawa inhibicyi czyli wypowiadania spółkowinie, natrafiała na silny opór zwolenników dawnego porządku. Wypowiadano więc najpierw spólność kmieciom, zachowując ją dla dworów — w XV. wieku znika i między szlachtą.

Pozostałością z dawnych czasów są prawa, wypływające z mocy «bliskości» pokrewieństwa. Im kto «bliższy» krewny, tem większe przysługują mu prawa; że tu wymienię tylko: prawo do opieki nad nieletniemi, prawo do spadku po zmarłym krewnym, prawo do wykupu sprzedanej lub zastawionej przez krewnego dziedziny. Krewni pod każdym względem znaczną odgrywali rolę. Znajdujemy ich mianowicie czynnymi przy załatwianiu sporów sposobem polubownym. W razach takich mówiono, że sprawa «puszczała się na przyjaciół», że strony szły «przed przyjaciół», tak bowiem nazywano bliższych krewnych. Poruczano im ułożenie działów w przypadkach zawikłanych, powoływano do sprzedaży dziedzin przy darowiznach.

Spadek po zmarłym, czyli, jak się wyrażano, «po zmarłej ręce», zwał się po staropolsku: «puściną», albo «spuścizną». Dziedzinę, spadkiem nabytą, mianowano «przyrodzoną». W zapisce z 1397 roku podano: «prawem przyrodzonem Bogunów przyszła ta dziedzina». Dziecko po śmierci ojca miało prawo do połowy «ojczyzny», drugą połowę dostawała wdowa. Po śmierci matki otrzymywały dzieci «macierzyznę», na wypadek zaś, gdy ojciec zawierał nowe związki małżeńskie, wydzielał im połowę własnego majątku.

Pożyczkę, zwaną w polskich tekstach «zajmem», zaciągało się — zwłaszcza mniejszą — bez zachowania formalności; na sumy większe brały się od dłużnika «listy», opatrzone jego pieczęcią. Od spłaty w gotówce odróżniano spłatę «składem», najczęściej zbożem. Kto nie uiszczał «długu» w terminie oznaczonym, obowiązany był prócz spłaty sumy kapitału, co się zwało językiem technicznym «iściną», ponieść jeszcze dodatkowe uciążenie czyli «szkodę». Opłata procentu, zwanego «płatem», wynosiła przeciętnie 10 od sta. Kara za nieuiszczenie zapłaty przedstawiała się w dwu formach: w postaci «załogi» i uwięzienia dłużnika. Nie płacący ciężącego na nim długu zobowiązywał się sam «leżeć w załodze», czyli zostawać w oznaczonem miejscu, dopóki nie zaspokoi wierzyciela. Zjeżdżający na załogę stawał najwięcej

w trzech koni na gościńcu i ponosił tam koszta na swe utrzymanie. Biednych i nieszlachciców więziono u wierzyciela lub w grodzie. Statut wiślicki, chcąc uchronić dłużników od «lichwy», którą się trudnili żydzi, przepisał, że wolno tylko ściągać dwuletni procent zaległy czyli narosły. Praktyka jednak nie stosowała się do tego przepisu. Żydzi pobierali procenta za lat kilkadziesiąt, a prowizya za rok wynosiła jeszcze raz tyle, co zaciągnięty dług. Dający porękę, zwaną «rękowstwem», na przypadek, gdyby jej nie spełnił, poddaje się utracie czci i wiary. Do zjawisk wyjątkowych należy oświadczenie z 1391 roku: «jako Dorotea nie ręczyła Janowi swą wolą (to jest własnowolnie), ale przymuszona». Niekiedy wierzyciel, niezaspokojony «rękojmią», może zaciągnąć dla wynagrodzenia siebie pożyczkę u żyda, albo ściągnąć od poręczyciela większą sumę. Dający porękę zobowiązywał się również, że w oznaczonym terminie zapłaci poręczoną sumę, a jeśliby tego nie uczynił, poddawał się pod umówioną karę. Łukasz naprzykład poręcza trzy grzywny za Staśka i poddaje się pod drugie trzy grzywny, jeśli nie uiści się Michałkowi na terminie. Dawano porękę i za to, że ktoś «zobowiązał się» był czegoś nie uczynić. Wanch naprzykład ręczy za żonę Mikołajowi, że «nie będzie go gabać (pozywać) o czynsz».

Staropolskie prawo karne rozróżnia «winy» wielkie od małych, do pierwszych należała kara «siedmnadzieście» i «pięćnadzieście» i kara sześć grzywien czyli «skojców», Główszczyzna czyli «pokup» za głowę zabitego stosunkowała się do stanu, nie do osoby. Za głowę pełnego rycerza płaciło się sześćdziesiąt grzywien mającej w kraju kurs monety, za głowę włodyki połowę tyle. Za głowę kmiecia zaś płacono tylko dziesięć grzywien, a były i niższe spłaty. Na Kujawach kmieć, ojciec, dostaje za głowę syna od rycerza zabójcy — trzy grzywny. O główszczyznę wolno się było godzić, a spłacano ją zazwyczaj najbliższym krewnym. Jest to pozostałością z czasów przedhistorycznych, o czem wspomnielismy poprzednio.

Obelgi słowne w rodzaju: «łżesz jak pies, idź do czarta» i t. p. «łajania» podlegają karze piętnastu grzywien na rzecz obrażonego, i drugich piętnaście na rzecz sądu. Osobny gatunek zelżeń stanowią tak zwane przygany, za nazwanie szlachcica człowiekiem kondycyi wiejskiej lub podlejszej. «Policzek» był surowo karany, to jest takim okupem, jaki postanowiony był za zabójstwo.

W rotach przysiąg i wpisach spotykamy między czynami dopełnianymi «gwałtem», albo «siłą i mocą», także «najazd» lub «najścia», stosownie do tego czy dokonane zostały przez ludzi konno lub pieszo. Urządzała je szlachta w celach poparcia roszczeń bezprawnych lub dokonania aktów zemsty. W rzędzie pomocników stawali «panicze» spokrewnieni z najeżdzającymi i własni kmiecie. Bywało nieraz przy najeździe po kilkadziesiąt paniczów i po kilka set kmieci, a zabójstwa, ranienia, porywania i t. p. gwałty były na porządku dziennym. Sam zajazd dla objęcia naprzykład przysądzonej dziedziny nie uważał się nawet za karygodny. Zdarzały się też często jawne grabieże na drodze publicznej («dobrowolnie»), zwane dawniej «zbojem» później «łupem» i gwałtowny opór przeciw dokonywającej się na skaranym «ciąży». W przeciwstawieniu do tych zaborów i gwałtów, dokonywanych jawnie, roją się księgi sądowe «chążbą», tak bowiem nazywano w starym języku kradzież. Że zamiar przyswojenia sobie «chążebnej rzeczy», wchodził w pojęcie kradzieży, tego dowodzą roty przysiąg w których czytamy: «jako Mikołaj nie ukradł woła paniej, ani jego użytka ima».



ROZDZIAŁ SIÓDMY.

ŻYWOTY ŚWIĘTYCH.



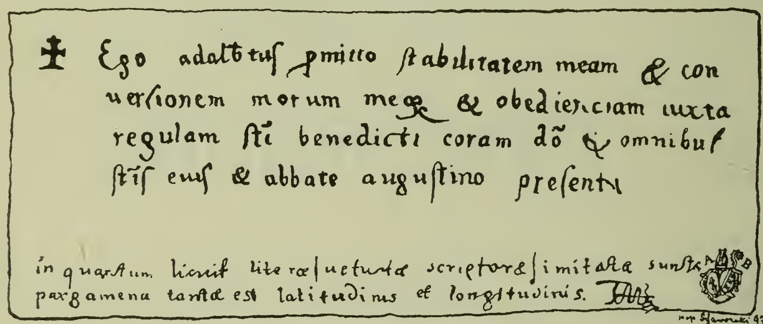
W żadnym okresie nie wybujała do tego stopnia wiara i ascetyzm, jak w wiekach średnich. Wydarcie niewiernym grobu Zbawiciela staje się marzeniem papieży i cesarzy. Świątobliwość spotykamy wszędzie, zdumiewa w walecznych rycerzach i w cichych, domowy żywot pędzących niewiastach, co świecą, jako wzory nieskalanego żywota. Możni książęta zrzekają się życia światowego, pełno ich po klasztorach, na drogach w kraje nieoświecone, dokąd ciągną w celu rozsiewania ziarn nauki Chrystusowej. Na całej przestrzeni zachodu błyszczą jeno krzyże; bujnie unoszą się piersi wiarą chrześcijańską. Pełno wierzących koło tronu — kupią się koło warsztatów — gromadzą w zamkach książęcych, a wszyscy pragną nietylko spełniać pobożnie praktyki, ale swe oddanie Chrystusowi okazać czynem. Świat cały zaludniony sługami Bożymi, spragnionymi żądzę wiary przyoblec w kształty cielesne.

Śród takich warunków żył i poniósł śmierć męczeńską św. Wojciech. Nosi on wyraźne piętno tej epoki, której jest niejako wychowańcem i przedstawicielem. Należy do garstki ludzi rzeczywiście idealnych, natchnionych. Nieskończenie szlachetny i czysty w zamiarach i czynach, zasługuje ze wszechmiar, aby mu kart kilka poświęcić.

Ojcem św. Wojciecha był możnowładca czeski, Sławnik. Nie tyle jednak zawdzięcza on swym rodakom, co Niemcom. Żył pod bezpośrednim i długo trwającym wpływem swej matki, księżniczki bawarskiej, a nadto zbliżył się do łacinsko-niemieckiego duchowieństwa, którego wyobrażeniami głęboko się przejął. Okoliczność ta wykopała przepaść nie do przebycia między nim, a społeczeństwem czeskiem.

Nie zrażało to jednak świątobliwego męża. Gorąco miłował kraj swój i naród, gotów mu był poświęcić wszystko, nawet życie złożyć w ofierze. Osadzony na stolicy biskupiej 982 roku, wyrzekł się zupełnie uciech światowych, dochody swe przeznaczył na utrzymanie ubogich księży, budowę kościołów i wykup niewolników, osobliwie z rąk żydowskich. Kilkuletnia atoli praca nie przyniosła pożądanych owoców. Kiedy św. Wojciech przekonał się, że usiłowania jego w sprawie reformy duchowieństwa i wcielenia idei zachodniego kościoła spełzły bezowocnie, zrzekł się godności biskupiej, wynosząc na to zaszczytne stanowisko brata panującego księcia Bolesława II. Czynił to w myśli, iż ów, jako bliski tronowi, większym może będzie się cieszyć wpływem, łacniej obowiązkom arcypasterza podoła. Sam zaś udał się na górę awentyńską i wstąpił do znajdującego się tam klasztoru pod wezwaniem św. Bonifacyusza i Aleksego (około 990 r.).

Do dziś dnia w klasztorze Benedyktynów św. Małgorzaty pod Pragą pokazują wyznanie ślubów zakonnych przez św. Wojciecha, kreślone własną jego ręką. (Podajemy je poniżej w podobiźnie). Czytamy tam, co następuje: «Ja, Wojciech, przyrzekam wytrwanie i posłuszeństwo podług reguły św. Benedykta wobec Boga i wszystkich


✠ Ego adaltbtus pmitto stabilitatem meam & conversionem morum meo& & obediemciam iuxta regulam sti benedicti coram do & omnibus stis eius & abbate augustino presenti

132. Konfesya ślubów zakonnych św. Wojciecha.

świętych i wobec opata Augustyna». Nie danem mu było jednak cieszyć się długo życiem zakonnem. Czesi wysłali doń poselstwo, które zdołało na nim wymóc powrót do Pragi. Jedynie o szerzenie światła Chrystusowego dbając, śmiało uderzał św. Wojciech w «przesądy pogańskie», a targając się na obyczaje narodowe, głęboko w sercach ludu zakorzenione, nie przewidział, że napotka energiczny opór. Zdala od pragnień ziemskich — zapatrzony w Golgotę — zbawienia i ojczyzny szukał na łonie kościoła powszechnego i w tej myśli pragnął pogodzić Czechów z Niemcami. Nie było to jednak rzeczą łatwą. Nie zabliźniły się jeszcze rany, zadane przez Niemców, żyły jeszcze w pamięci Czechów niedawne klęski i krzywdy. Nic też dziwnego, że niechętnem patrzyli okiem na obce w narodowym kościele porządki. Duch niemczyzny nie mógł być im miły; szerzeniu się idei zachodniej spokojnie się przyglądać nie mogli. Powoli horyzont zaciemniał się coraz grubszą chmur powłoką. Już oddawna tlała iskra nienawiści między dwoma możnymi domami Sławnikami a Wrszowcami; nienawiść narodu czeskiego do Niemców rozdmuchiwała ją w niebezpieczny płomień. Św. Wojciech zniewolony opuszcza znowu Pragę, a późniejsze wypadki przecinają mu na zawsze powrót do ojczyzny. Ognistą myślą dążył na wyżyny ideałów chrześcijańskich. Wziął się więc gorąco do pracy misyonarskiej. Dusza jego, zawsze

rosy niebieskiej spragniona, rwała się już do lotu na szczyty, opromienione męczeństwem apostołów, rozbrzmiewające archanielskim chórem. Chciał ludy barbarzyńskie oświecać w wierze Chrystusowej, a oświecone prowadzić wyżej, na owe cyple zaludnione ofiarami miłości bliźniego. Widzimy go naprzód na dworze Bolesława Chrobrego w Gnieźnie. Po upływie kilku miesięcy, a ustąpieniem zimy, udaje się do kraju dzikich Prusaków w towarzystwie brata Radyma czyli Gaudendego i Benedykta czy Bogusza. Tutaj ponosi śmierć męczeńską 23go kwietnia 997 roku. Całe chrześcijaństwo rozbrzmiało sławą jego imienia, kościół go zaliczył w poczet świętych, a Polska uczyniła swoim patronem.

Właściwie mówiąc, św. Wojciech kanonizowanym nie był. Nie przysługiwał jeszcze wówczas stolicy apostolskiej przywilej kanonizacyi, uznanie za świętego wychodziło z woli i zapatrywań ludu, który w ten sposób czcił ludzi wielce zasłużonych. Skoro się rozeszła wieść o śmierci męczeńskiej św. Wojciecha, cały świat chrześcijański uznał w nim świętego. W Polsce począł się ów kult na dworze Chrobrego, który ciało świętego wykupił i uroczyście w bazylice gnieźnieńskiej pochował. Wielką była doniosłość tego aktu, od tej chwili pozyskała Polska niezawisłość kościelną. Na stolicy rzymskiej zasiadał wtedy Sylwester, a na tronie niemieckim — Otton, którzy w ten sposób dali urzędową sankcyę potędze, stworzonej przez Chrobrego. Główną w tej sprawie rolę odegrał wspomniany wyżej Gaudenty, brat Wojciecha i towarzysz w trudach apostolskich, a późniejszy arcybiskup gnieźnieński.

Wiadomość o skonie męczeńskim św. Wojciecha rozeszła się szybko po całym świecie chrześcijańskim. Wybitniejsi pisarze poczęli kreślić jego żywot. Zanim jednak ukazał się obszerny życiorys, w celach duchownych podjęty, towarzysze św. Wojciecha z klasztoru św. Benedykta, skwapliwie spisywali wszystko, co o nim wiedzieli, lub co o nim naoczni opowiadali świadkowie. Do takich pierwotnych opisów żywota świętego należy: «Męczeństwo św. Wojciecha» (Passio St. Adalberti martyris). Później, kiedy wyszły na świat inne życiorysy, ten coraz bardziej ulegał zapomnieniu. Posiada jednak wartość pierwszorzędną, nie dla wiadomości, jakie zawiera, ale przez to, że znakomicie odbija ówczesne wrażenia i sądy. W Międzyrzeczu nad Obrą znajdował się klasztor, w czasie wojny Bolesława z Henrykiem II. zupełnię wyludniony. Z napadem tym wiąże się najdawniejszy, po dziś dzień zachowany, pomnik literatury w Polsce, nasz żywot męczeński św. Wojciecha. Trudno teraz orzec, gdzie i kiedy był pisany. Charakter jednak pisma, które podajemy w podobiźnie, zdradza pochodzenie, z samego schyłku X. lub początku XI. wieku. Możnaby nawet z pewnem prawdopodobieństwem przypuścić, że został skreślony przez Polaka. Znajdujemy tam bowiem nietylko czysto słowiańskie formy imion własnych: Gniezno (od kniez, kniaź), Radym, w łacińskim przekładzie Gaudentius, Wojtek i t. p., ale nawet dokładną znajomość spraw i wypadków polskich. Może to mnich z klasztoru międzyrzeckiego, albo kleryk z Gniezna.

Historycy dzielą ten pomnik na trzy części składowe: 1) żywot św. Wojciecha przed jego do Prus podróżą, 2) śmierć męczeńska i 3) przeniesienie relikwij do Gniezna. Wiadomości w pierwszej części jest szczupła garść, ale zalecają się większem prawdopodobieństwem. Barwnie i z uwzględnieniem szczegółów opisaną jest śmierć św. Wojciecha. Musiała być ta opowieść z pierwszej ręki czerpaną. W ogóle tę ma wyższość nad późniejszemi biografiami św. Wojciecha, że bardziej od nich zbliżoną jest do prawdy. Dla przykładu przytaczam tu wyjątek z tego pierwszego żywota, opisujący śmierć męczeńską świętego:

«Gdy (w 996 r.) cesarz Otton III. przybył do Rzymu i ujrzał tam św. Wojciecha, byłego biskupa, upraszał go, aby udał się do Saksonii nauczać lud. Św. Wojciech dał się nakłonić przez cesarza, poczem z Saksonii ruszył wprost do Polski i w miejscowości Mestr (Trzemesznie?) założył klasztor, gdzie zebrawszy wiele mnichów, przełożył nad nimi opata. Nie długo jednak tutaj zabawił. Wziąwszy w dłoń kij pielgrzymi, z niewielu towarzyszami, chyłkiem, jakby uciekając, udał się do ziemi pruskiej. Zbliżając się do miasta Cholin, wszedł do gaju pobliskiego miasta, a dość pięknego, w którym znajdowała się rozkoszna polanka. Stało się to w wigilię dnia św. Jerzego, męczennika (22go kwietnia 997 roku). Na tej zielonej murawie siadłszy, rzekł do swych współwędrowców Radyma i Bogusza: «Zda mi się stosownem przenocować tu na tej pięknej trawie, aby odbyć wieczorne i nocne modły na cześć Stwórcy. Z wejściem słońca, z bożą łaską, odprawiwszy mszę świętą, wejdziemy do miasta tak, jakośmy przyszli». Brat jego Radym, ten sam, co potem został arcybiskupem, tak na to odpowiedział: «Co mamy począć, gdy nęka nas głód?» «Zamilknij bracie — odparł biskup — nie trap się i Bóg opatrzy swoje sługi, chuć twą wnet nasyci boża opatrzność». Skończywszy wieczorne modlitwy, odszedł od nich nieco na bok i pochodziwszy po leśnych gruntach, taką im moc grzybów i ziół przyjemnych dostarczył, że obecni rozweselili się, mając nadmiar rozmaitych pokarmów do jedzenia. Nazajutrz, po mszy świętej, wstąpili do Cholina. Do miasta tego prowadził długi, ciemny korytarz. Straż miejska, ujrzawszy obcych przybyszy, zatrzymała ich. Zbiegli się mężczyźni i kobiety. Jeden ze straży zawołał i cudzoziemiec dziwacznie ubrany przyszedł do nich, aby im zgotować zgubę. Wnet posypały się na Wojciecha kamienie. Zabito go i ucięto mu głowę. Towarzysze jego uciekli i schronili się do lasu. Mieszkańcy głowę na pal zatknęli, a ciało rzucili do rzeki. Pewnego pątnika kroki zaniosły wzdłuż rzeki, gdzie to męczeństwo się stało. Widząc sterczącą głowę, zdjął ją z pala, włożył do torby i do grodu Bolesławowego, zwanego Gnieznem, przyspieszonym zdąża krokiem. Stanąwszy przed panującym, całą przygodę męczennika, jako widział, porządkiem wyłożył i dobytą z worka głowę wobec wszystkich przytomnych ukazał. Ktoś, obwiniony bezwątpienia o spełnioną zbrodnię i gwoli temu żelazem spętany, a nazajutrz rano mający być ścięty, gdy spojrzał na głowę męczennika u Boga, uwolniony został od wskazanej kary. To jak twierdzą, było pierwszym znakiem świętości męczennika. Podczas gdy uwielbiano moc osobliwego znaku, przybyli ci, w których obecności spełniono katusze błogosławionego i potwierdzili świadectwem swem to, co pątnik był doniósł. Bolesław żądny takiej świętości, dawszy pieniądze wędrowcowi, odkupił samą głowę świętego i posłał swych gońców z uczniami św. Wojciecha po odkup reszty ciała, zabrawszy wielką moc skarbu. Rzecz stała się dziwna i niesłychana. Sześć dni błogosławione ciało spoczywało w rzece, w którą je wrzucili. Siódmego zaś dnia, rybim obyczajem, wypłynęło na brzeg, kędy je znaleziono. Następnie przez trzy dni strzegł orzeł głowy, na palu tkwiącej, by nie tknęło jej żadne ptactwo. — Wspomniany książę Bolesław, gdy od obecnych dowiedział się o przybyciu świętego ciała, na jego spotkanie z licznym pocztem towarzyszy wyszedłszy, z należną czcią kazał je zanieść do swego miasta i w kościele, który świętej pamięci Mieszko wzniósł Panu, złożył z poszanowaniem, gdzie pod bożą opieką słynie po wieki stałemi cnót znakami».

Opis ten życia świątobliwego kapłana rozszedł się w krótkim stosunkowo czasie po Włoszech i Niemczech, a w niewiele lat później posłużył Gaudendemu za osnowę do żywota, który po raz pierwszy uświetnił skroń apostoła aureolą męczeń-

stwa. Oto mniej więcej zarys drugiego życiorysu, zdradzającego już wyraźne piętna idealizowania osoby pasterza. Św. Wojciech już w dzieciństwie, z wyjątkowej łaski Bożej, doznał cudu. Opis tego niemowlęcego okresu przypomina ustęp z inwokacyi w Panu Tadeuszu. Św. Wojciech w dzieciństwie był mizerny i chorowity. Rodzice bardzo nad złym stanem zdrowia swego ulubieńca rozpaczali i czasem łzy szczere a obfite ronili. Chcąc swego ulubieńca przy życiu zachować, ponieśli go do świątyni Pańskiej, a złożywszy na ołtarzu Matki Zbawiciela, poświęcili służbie Bożej. Po tym czynie nastąpiło uzdrowienie. Chłopiec żadnym już dolegliwościom nie ulegał, rósł na pociechę rodziców, rokując świetne na przyszłość nadzieje. Kiedy rówieśnicy jego wesoło czas spędzali w rozlicznych zabawach, mały Wojciech spędzał chwile w samotności, odwiedzał groby męczenników, gdzie długo a gorąco się modlił, a skoro godzina nauki wybiła, pierwszy się znajdował w komnacie mistrza. Był miłosiernym od lat najmłodszych, co tem bardziej na pochwałę i podziw zasługuje, że nie szukał w tem rozgłosu u ludzi, lecz owszem, żeby się wieść o jego czynach śród pospólstwa nie szerzyła, niósł pomoc i opiekę biednym w porze nocnej. Powoli w ten sposób wspinał się przyszły kapłan na szczyty cnót chrześcijańskich, po szczeblach pobożności i nauki. Kiedy go na stolicy biskupiej osadzono, dochody swoje na cztery podzielił części: z tych jedną przeznaczył na ozdoby i sprzęty kościelne, drugą dzielił między księży, trzecią rozdawał ubogim, jedynie czwartą własne skromne potrzeby opędzał. Codziennie u stołu swego miewał po dwunastu ubogich, na pamiątkę dwunastu apostołów. Do tyla o sobie nie pamiętał, że często głodny udawał się na spoczynek. Niedługo snu pokrzepiającego używał; sypiał zaś we włosiennicy, kładąc pod głowę kamień zamiast poduszki. Kiedy z godności biskupiej ustąpił, zamknął się w celi klasztornej i odtąd rozpoczyna się pełna w skutki, bogata jego działalność. Życie płynęło mu spokojnie, zdala od świata i jego uciech. Zawsze trudom około zasiewu wiary Chrystusowej oddany, nie ulegał, ani burzom pokus rozlicznych, ani pragnieniom cielesnym. Z podziwem opowiadano o biskupie ze znakomitego rodu, który się nie wstydził skrzętnej w kuchni klasztornej posługi; nosił wodę w wiaderku lub obmywał ręce i nogi braciszkom.

Zbawiciel chcąc okazać, jak mu miłe były uczynki Wojciecha, ukazał mu we śnie dwa rzędy świętych — jeden przybrany w purpurę, drugi szatami śnieżnemi świecący — obu pokarmem i wiecznym napojem była nieustająca chwała niebieska. Podczas tego widzenia doszły do uszu świętego wyrazy: w obydwu tych szykach będziesz miał uczestnictwo stołu. Bogobojny kapłan opowiedział ten sen opatowi, nie odnosząc go do siebie, podobnie, jak to przez skromnnść pojmował w podobnym wypadku św. Paweł.

Kiedy mury klasztorne opuścił, rozżarzał w sercu Ottona III., który go wielce kochał i szanował, miłość dla poddanych, ofiarność w imię świętej wiary, dowodząc mu i wykazując, jak nietrwałe i kruche są uciechy ziemskie, które na kształt dymu kłębią się przed oczyma człowieka i szybko znikają. Podczas swego na dworze ceserskim pobytu, czynił najgrubsze posługi, sam buty wodą obmywał i do komnat zanosił. Mając odcięty powrót do ojczyzny, udał się do Polski na zamek Bolesława Chrobrego, gdzie bawił wówczas jeden z jego braci. Tu z miłością przez króla przyjęty, powziął myśl udania się w celach apostolskich w głąb Prus pogańskich, gdzie wszystko jeszcze leżało w mrokach barbarzyństwa. W niebezpiecznej tej wycieczce towarzyszył mu brat jego przyrodni Radym, nadto przydał mu książę zbrojny orszak. Przepłynąwszy Wisłę stanął św. Wojciech z swoją drużyną w Gdańsku, skąd

udał się do Prus. W obawie, żeby ludzie zbrojni nie budzili podejrzenia, odesłał ich św. Wojciech do domu. Straży obronnej pozbawiony, jedynie silny ufnością w Zbawiciela, dotarł świątobliwy kapłan do małej wysepki, krętą oblanej rzeką i z wejrzenia kulistej. Na wiadomość o zamiarach przybyszów, zbiegli się tłumnie mieszkańcy, by ich odpędzić. Nie przeląkł się jednak św. Wojciech krzyków i pogróżek gromady i spokojnie psalm do Boga śpiewał. Ale w tej samej chwili jakiś z Prusaków przybliżył się doń i wiosłem w pierś go uderzył. Psałterz wypadł z dłoni kapłana, który jak nieżywy padł na piasek. Wnet jednak podniósł się z ziemi i spokojnie te wyrzekł słowa: «Dzięki Ci, Panie, że dla Ukrzyżowanego ten jeden cios odnieść zasłużyłem». Potem przeprawił się na drugą stronę rzeki. Było to w sobotę. Pod wieczór nadszedł jeden z okolicznych kmieci i zaprowadził Wojciecha do swej lepianki. I tutaj zbiegli się tłumnie mieszkańcy. Zadano przybyszom pytania, co są za jedni, skąd przyszli i w jakim celu kraj ich odwiedzają. Na to św. Wojciech: «Jestem z pochodzenia Słowianinem, na imię mi Wojciech, z powołania mnich, niegdyś biskup, obecnie wasz apostoł. Powodem naszej podróży jest zbawienie wasze, abyście porzuciwszy głuche i nieme bałwany, poznali Stwórcę, który sam tylko jest jedynym Bogiem, a krom niego niemasz innego Boga, abyście uwierzywszy w imię jego, dostąpili wiecznego żywota i zasłużyli sobie na nagrodę w niezmiernym niebieskich rozkoszy przybytku». Zaledwie słowa te skończył, tłuszcza jęła bluźnierstwa nań ciskać, a wywijając pałkami nad głową groziła mu śmiercią, krzycząc: «Twoje szczęście, żeś uszedł aż dotąd bezkarnie, ale jeżeli stąd spiesznie nie odjedziesz, wnet tu zginiesz. Nad nami i nad całym tu krajem, na którego krańcu mieszkamy, wspólne panuje prawo, jednym obyczajem wszyscy żyjemy. Wy zatem, co wedle innego, dla nas obcego żyjecie prawa, jeżeli jeszcze tej nocy miejsca tego nie opuścicie, jutro zginiecie». Takie groźby słysząc, pospieszyli jeszcze przed nastaniem nocy, aby wsiąść do czółna i udali się rzeką do pobliskiej wioski, gdzie pięć dni zabawili. Tej samej nocy, kiedy zażywali wypoczynku po dziennych trudach i niebezpieczeństwach, ujrzał Radym rzecz dziwną. Oto widział na ołtarzu złoty kielich, do połowy winem nalany i nikt nad nim straży nie miał. Skoro się do ołtarza zbliżył, chcąc kielich ów dotknąć, zauważył sługa kościelny, że kielich ten i to wino dla św. Wojciecha na dzień jutrzejszy wyznaczone. Na to św. Wojciech: «Niech Bóg — rzecze — według świętej woli spełni to widzenie, ale zawodnym snom wierzyć nie należy». Skoro świt widnokręg ubielił, puścili się w drogę, śpiewając psalmy Dawidowe. Mijali lasy i knieje



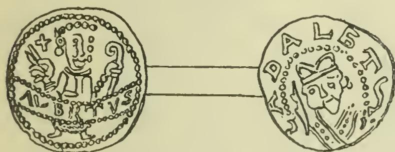
133, Obraz św. Wojciecha w katedrze na Wawelu.



RZEŹBA NA DRZWIACH KATEDRY GNIEŹNIEŃSKIEJ Z 12. WIEKU.

Podobizna jednej połaci przedstawiającej złożenie do trumny ciała św. Wojciecha.

i wreszcie koło południa znaleźli się na otwartem i rozległem polu. Radym ustawił na ziemi nakrycie do służby bożej i św. Wojciechowi komunii świętej udzielił. Poczem zasiliwszy się nieco, udali się na spoczynek. Św. Wojciech układł się w niejakiem od brata oddaleniu, gdy nagle napadł ich tłum pogan i obu ręce skrępował. Wtedy św. Wojciech, nie tracąc bynajmniej spokoju dusznego, w te ich słowa pocieszał: «Nie smućcie się bracia, wszak wiecie, że to ponosimy dla imienia Pańskiego, którego moc przewyższa wszelką siłę, którego piękność cudniejszą jest nad wszelkie ozdoby. Cóż może być wznioślejszego, co piękniejszego, jak umierać z rozkoszą za słodkiego Jezusa». Kiedy w ten sposób pociesza św. Wojciech swych współtowarzyszy, dopada go jeden z ofiarników (Sicco) i dziko w pierś włócznią uderza; ośmieleni jego przykładem, dopadają inni i w ten sposób siedm włóczni w ciele św. Wojciecha utkwiło. Trysnęła krew z ran nielitościwie zadanych, ale dusza nie uleciała jeszcze i św. Wojciech wzniósł oczy do nieba z korną modlitwą o swoje i swych zabójców zbawienie. Dopiero teraz krzyżem pada na ziemię i ducha Bogu oddaje. Tak to na ziemi dzikich Prusaków dusza św. Wojciecha, włóczniami pogan z więzów ciała wypuszczona, dostąpiła korony męczeńskiej. Wieść o strasznym tym wypadku lotem błyskawicy obiegła wsi okoliczne. Dzikie gromady bałwochwalców zbiegły się koło trupa, pastwią się nad nim, odcinają od zwłok głowę i na pośmiewisko na żerdź zatykają, zostawiając szczątki pod gołem niebem. Wierni towarzysze świętego, umknąwszy z siedzib zabójców, udali się do Polski, donosząc Bolesławowi o okropnem zdarzeniu. Książę postanowił wydostać zwłoki św. Wojciecha z rąk niewiernych, którzy zażądali za nie tyle srebra, ile ciało świętego zaważy. Ale kiedy złożono święte szczątki na wagi, stały się całkiem lekkie.



134. Pieniądze z wyobrażeniem św. Wojciecha.

Poświęciliśmy temu opisowi żywota św. Wojciecha dłuższą uwagę. Różni się on wyraźnie od poprzedniego: życie Bogu poświęcone zakwita tu cudami męczeństwa, misyonarz występuje w aureoli apostoła. Kiedy wreszcie zwłoki jego zostały do kraju przewiezione, szybko rósł i rozszerzał się kult świętego, który znalazł wyraz w cudach, przypisywanych szczątkom. Toczy się krwawa walka, a nawet zagorzali chrześcijanie popełniają grzech świętokradztwa, żeby tylko przywłaszczyć sobie zwłoki męczennika. Liczne w kraju powstają swiątynie, w obiegu znajdujesz monety z jego bite wizerunkiem, królowie składają ofiary na jego grobie, sztuka i poezya zgodnie opiewają czyny nieodżałowanego kapłana, wieńcząc mu skroń kwiatami męczeństwa. Tradycya czyni go autorem prastarej naszej pieśni «Bogarodzicy» (a Czesi widzą w nim twórcę swojej «Gospodynie lituj nas»). «Z pieśnią tą na ustach szli nasi — powiada Skarga — na ostre żelaza pogańskie i włócznie tak ochoczo, jako święci boscy na męczeństwo». Autorstwo «Bogarodzicy», przypisywane św. Wojciechowi, nie zostało stwierdzone, dowodzi jednak już bardzo szerokiej czci i kultu, że podobne mniemanie powstać mogło i tak długo w opinii żyło. I tradycya kościelna, w tem ogólnem dla św. Wojciecha uwielbieniu, nie zostaje na uboczu. Ogólnie uważano u nas za najstarszą księgę liturgiczną ewanielię, złotemi głoskami na pergaminie pisaną, a przechowaną w kościele metropolitalnym w Gnieźnie. Miał ją przynieść z sobą do Polski św. Wojciech, a brat jego Radym, ofiarować matce kościołów naszych: katedrze gnieźnieńskiej. Kościół trzemeszeński, przez św. Wojciecha

założony, miał przechowywać prócz kielicha i ornatu, także księgę ewanielii, którą ten święty używał. Znajdujemy o tem wiadomość w najdawniejszym, jaki się zachował, spisie ksiąg, czyli inwentarzu zakrystyi katedry gnieźnieńskiej w roku 1318. W tym właśnie roku arcybiskup Janisław, w obawie przed grabieżą Krzyżaków, wywiózł liczne cenne dzieła, a między niemi: «złoty ewangeliarz św. Wojciecha».

Już o wiele wcześniej dokoła osoby świętego wyrastały legendy, czego dowodem powieść o cudzie św. Wojciecha, którą czytamy w tak zwanej kronice Galla. Pomorzanie, jak opiewa owa kronika, czyhali na zgubę śpiących Polaków, ale św. Wojciech ostrzegł ich przed niebezpieczeństwem. «Ukazał się im bowiem na białym koniu mąż jakiś zbrojny, który groził Pomorzanom dobytym z pochwy mieczem i odpędził ich z grodu».



135. Rzeźba w katedrze gnieźnieńskiej, którą odnoszą do św. Wojciecha.

Jaką czcią otaczana była postać św. Wojciecha, dowodzi zresztą nakaz arcybiskupa gnieźnieńskiego Pełki, który polecił, aby we wszystkich katedrach i klasztorach znajdowały się żywoty świętego, których już wtenczas kilka można było naliczyć. Pisane były najczęściej na podstawie zatwierdzonego przez kuryę rzymską żywota Gaudendego i stanowią piękne z owych czasów świadectwo, że się duchowni trudnili w klasztorach pracami literackiemi, lubo nie przekraczającemi interesów kościoła. Atoli burze wewnętrzne i wojny, które stronice dziejów naszych po skonie Chrobrego wypełniają, zniszczyły owe najdawniejsze literatury naszej pomniki.

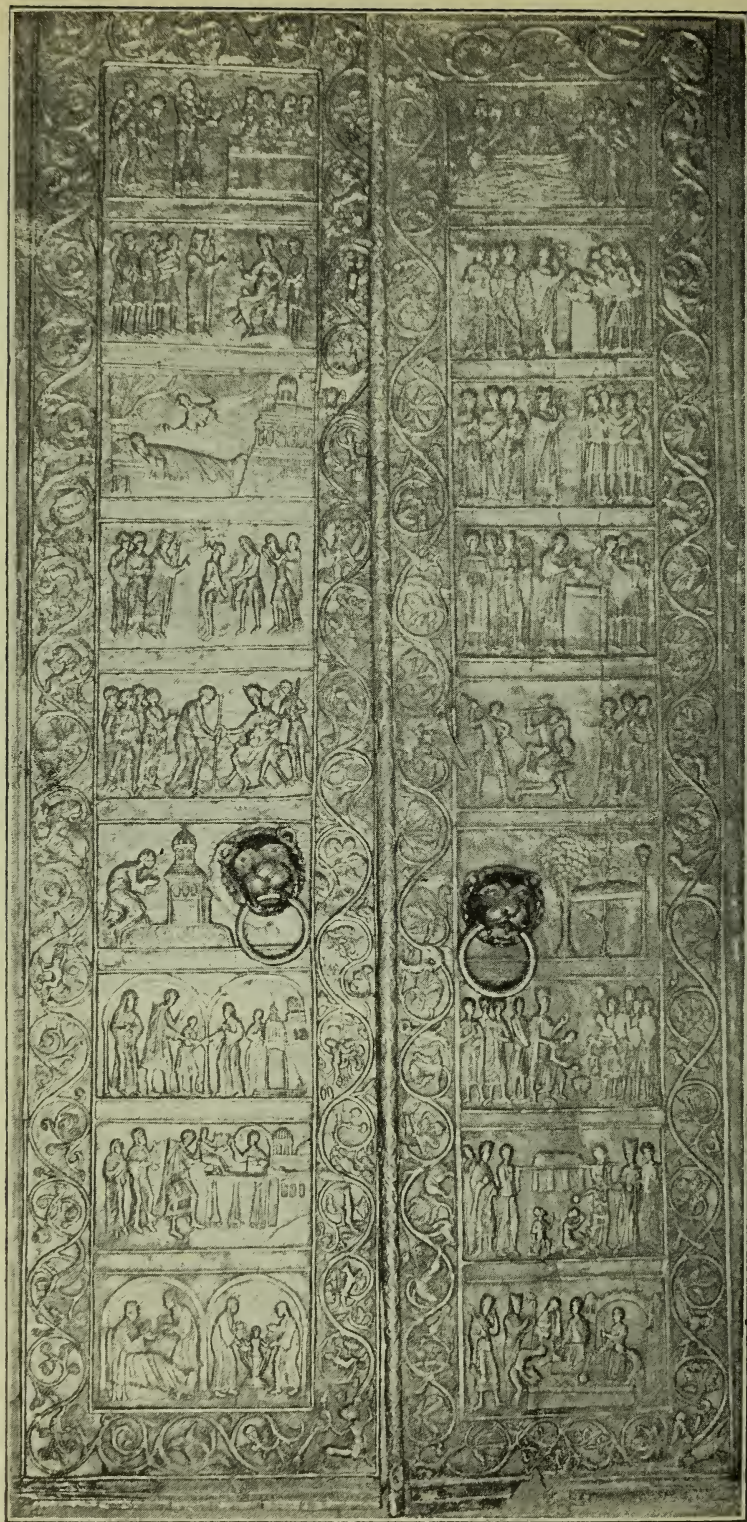
W rękopisach mnogie można odszukać legendy i opowieści, które mają za przedmiot cnoty św. Wojciecha, bo ten apostoł przez długie lata był najpopularniejszym ze wszystkich świętych i dziwnie zawsze pobudzał umysły i wyobraźnię naszych przodków. Z nich duże dla nas znaczenie mają tak zwane «Miracula s. Adalberti», czyli cuda św. Wojciecha, noszące wybitne piętno podań z XIII., a nawet

XII. wieku. Pierwszy w Polsce apostoł i pierwszy za wiarę Chrystusową męczennik stał się podstawą, na której spiętrzył się później kościół polski, on też pierwszy odebrał cześć należną od nowonawróconego ludu, w pierwszej na ziemi polskiej zbudowanej bazylice. Grobowiec i trumna św. Wojciecha — to najdawniejsze pamiątki kościoła gnieźnieńskiego. Opowiada kronikarz czeski Kosmas, że grób ten naszego patrona zdobił krzyż szczero-złoty i takież trzy blachy ciężkie, drogiemi wysadzane kamieniami, nadto mnogie i kosztowne wota złote, dary królów polskich, cesarza niemieckiego i t. p. Żadnego śladu nie zostało po tym pierwszym grobowcu. Zachowała się jedynie płaskorzeźba, którą podajemy w podobiźnie, pochodząca ze znacznie późniejszego czasu i wątpliwej autentyczności. Znajdujemy tu następujący napis łaciński, pięknym kreślony gotykiem, pochodzący z XV. wieku. Wiersz ten podaję w przekładzie polskim: «Ten, co w Węgrzech, Prusiech, Polsce wiarę świętą krzewił, wpierw nawróciwszy Czechów, Wojciech św., gdy w nieodpowiednim dla tak wielkich zasług spoczywał grobie, nie zniosła tego pobożność Jakóba Sienna dlatego świętym szczątkom wystawił to dzieło».

Grobowiec św. Wojciecha znajduje się dziś w środku katedry. Na srebrnej trumnie spoczywa ulana postać apostoła prawie naturalnej wielkości, a na ścianach trumny widnieje dziesięć płaskorzeźb, malujących ważniejsze wypadki z życia męczennika. Na kilka wieków przedtem, bo 1113 r., w sam dzień Zmartwychwstania Pańskiego — opowiada Gall w swej kronice — Bolesław Krzywousty, dopełniając nałożonej nań pokuty za zabicie swego przyrodniego brata Zbigniewa, przybył do grobu św. Wojciecha w Gnieźnie. I tu na pamiątkę swej bytności i dla przebłagania Boga za winy swoje, ofiarował złotą trumienkę, ważącą 30 grzywien czystego złota, ozdobioną drogiemi kamieniami i perłami, zalecając, aby w niej pomieszczono relikwie św. Wojciecha. W tym zapewne czasie świątynię tę po królewsku obdarzył, ofiarowując jej sławne spiżowe podwoje. Na nich artysta rzeźbą przedstawił najważniejsze chwile z życia świętego, a jeżeli mamy wierzyć podaniu dotąd zachowanemu, rzeźby owe zostały wykonane podług planu i pomysłu ofiarodawcy.

Na drzwiach bronzowych katedry gnieźnieńskiej, których podobiznę podajemy, znajduje się ośmnaście pól w reliefie z XII. wieku. Przedstawiają one następujące sceny z życia świętego: 1) urodzenie św. Wojciecha (pod jednym łękiem matka siedzi na łożu, usługiwana przez dziewkę, pod drugim kąpią dwie niewiasty św. Wojciecha; 2) ofiarowanie chorego dziecka na ołtarzu Matki Boskiej (ojciec św. Wojciecha, Sławnik, składa dziecko przed sługą kościoła; w tyle stoi zasmucona matka z darami dla kościoła, a za nią zapłakana piastunka; 3) oddanie syna do szkoły; 4) modły św. Wojciecha przed kościołem; 5) wyniesienie przyszłego apostoła na biskupstwo praskie, co ma wyrażać wręczenie pastorału; 6) szatan na widok biskupa opuszcza opętanego w kościele; 7) widzenie św. Wojciecha (Chrystus wychylony z obłoków objawia sennemu, że został powtórnie zaprzedany żydom w niewolę); 8) św. Wojciech wykupuje niewolników chrześcijańskich z rąk żydowskich; 9) po ustąpieniu ze stolicy biskupiej, usunąwszy się w zacisze klasztorne, usługuje św. Wojciech zakonnikom przy stole.

Drugą połać zdobią następujące rzeźby, z kolei: 10) przedstawia przybycie apostoła z towarzyszami na ziemię pruską; 11) chrzest Gdańszczan przez zanurzenie po pas w beczkę z wodą; 12) św. Wojciech przemawia do Prusaków; 13) odprawia mszę ostatnią; 14) śmierć męczeńska apostoła; 15) rzeźba przedstawia ściętą głowę św. Wojciecha, zatkniętą na palu, obok: drzewo z ptakiem; 16) wyobraża wykupienie



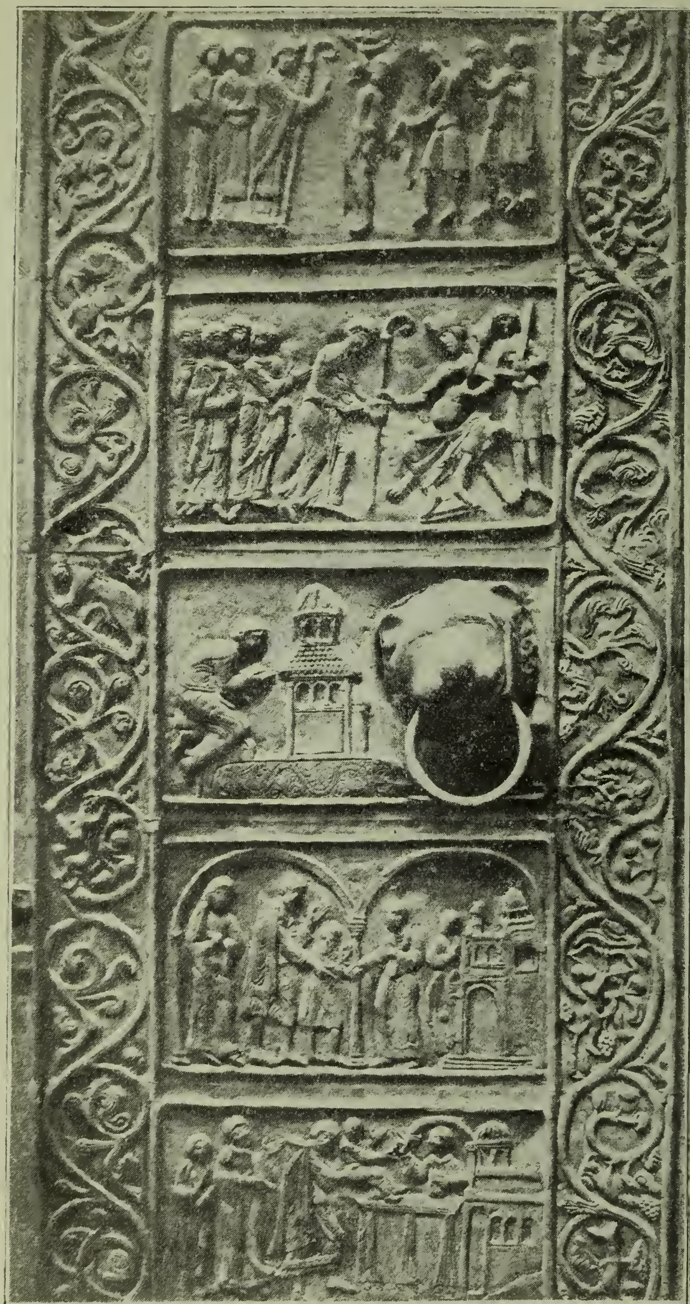
136. Drzwi spiżowe katedry gnieźnieńskiej, przedstawiające żywot św. Wojciecha.

zwłok męczennika. A mianowicie przed Bolesławem Chrobrym, który je wykupuje, stoi ogromne naczynie ze złotem. Prusak trzyma wagę i kładzie na nią głowę męczennika, o której podanie mówi, że nic prawie nie zaważyła; 17) sprowadzenie zwłok męczennika do Polski; 18) uroczyste złożenie ciała w grobie katedry gnieźnieńskiej.

Wiele jest życia i harmonii w układzie całej kompozycyi. Łatwo z niej ideę główną wyczytać. Pierwsza połać — z góry do dołu — symbolizuje wznoszenie się ducha apostoła coraz wyżej, druga zaś — z góry na dół — powolne staczanie się w śmierć męczeńską. W trzech pierwszych obrazach mamy wstęp, czyli przygotowanie do życia bogobojnego. Trzy ostatnie, tamtym odpowiadające, głoszą dzieje pozagrobowe apostoła. Wszystkie 18 obrazów obwiedzione są arabeskami. Jestto niby łodyga, wijąca się wężykiem, idąca to w górę, to na dół, strojna fantastycznie gałązkami, liśćmi, kwieciem lub piórami, między te ozdoby plączą się postacie ludzkie, centaury, zwierzęta i ptactwo. Tu i ówdzie błyśnie polowanie na zająca, to rzucają się w oczy strzelcy z łukami, gdzieindziej znowu świeci winobranie. Symetrya tu niewielka, a nawet trudno dopatrzeć się w ozdobach dodatkowych powtórzenia tych samych motywów; brak jestestw w jednym ornamencie, nagradza ich obfitość w drugim. W wykonaniu dałyby się wyśledzić wady: szorstkie a nawet nie staranne wykończenie dłutem. Wszystko to jednak nie może być pod ścisłą brane uwagę, wobec znakomitej całości. Jeżeli mamy wierzyć znawcom sztuki średniowiecznej, jedno skrzydło tych podwoi zostało później dorobione, jest bowiem nierównej wielkości i ma być odmiennej roboty.

Silnie się przyjęła w fantazyi naszego ludu postać św. Wojciecha. Świadczą o tem mnogie, powszechnie śród ludu znane legendy, z których tu jedną przytaczam, nadmieniając, że ta, jak następne podania ludowe, są nowszem, może ostatnim wyrazem kultu świętych, pośrednie zaś ogniwa musiały być z braku miejsca opuszczone. Pospolitym jest przesąd u naszego ludu, sięgający może jeszcze czasów starosłowiańskich, że każde zaklęcie, w złą godzinę wyrzeczone, ziścić się natychmiast musi. Takie zaklęcie ciąży nad starodawnem miastem Gnieznem. Zaklął je św. Wojciech na dwadzieścia dwa pokolenia. Mieszkańcy bowiem Gniezna — kiedy się św. Wojciech po ulicach miasta w infule i z pastorałem w ręku przechadzał, naśmiewali się z apostoła i wtedy zostali przez niego wyklęci. Stąd to pochodzi, że żaden z biedaków tam urodzonych niczego się nigdy dorobić nie może. W okolicy Gniezna, w lesie, ma się znajdować kamień z odciskiem stóp św. Wojciecha. Podanie niesie, że kamień ten próbowano przenieść do miasta, ale żadna siła ludzka unieść go nie mogła. W cudownem tem miejscu wzniesiono kościółek, gdzie się odbywa odpust na św. Wojciecha. I we wsi Ruda, niegdyś stolicy ziemi rudzkiej, znajduje się kościół (pod wezwaniem św. Wojciecha), gdzie zwykł był św. kapłan kazania mawiać i mszę św. odprawiać. Ponieważ było tu wiele wężów, które apostołowi w odprawieniu nabożeństwa przeszkadzały, przeklął je św. Wojciech i odtąd wolną jest od nich okolica, a tamte przeklęte w kamień się obróciły. Takich i podobnych podań nowszej daty krąży wiele między ludem.

Drugie chronologicznie miejsce po św. Wojciechu zajmuje św. Bruno, ze znakomitego pochodzący rodu, spokrewniony z cesarzami niemieckimi. Ukończywszy znakomitą wówczas szkołę katedralną w Magdeburgu, gdzie się św. Wojciech kształcił, poświęcił się stanowi duchownemu, nie dla wielkich zaszczytów, jak to wówczas



137. Rzeźby na drzwiach gnieźnieńskich, wyobrażające młode lata św. Wojciecha.

było w zwyczaju, ale jedynie z głębokiego przekonania i z chęcią służenia kościołowi. Idąc wzorem ówczesnych panów i książąt, którzy wiele klasztorów i świątyń fundowali, wzniósł św. Bruno wspaniały kościół w rodzinnem swem mieście Kwerforcie. Był szczerym przyjacielem i nieodstępnym towarzyszem fantastycznego Ottona III., który powszechnie zyskał sobie przydomek «cudu świata». Odbył z nim podróż do Rzymu, która stanowczo wpłynęła na dalsze losy kapłana. Klasztor awentyński był naówczas ucieczką wszelkich uniesień i ekstaz ascetycznych. Gościł tu św. Wojciech, poświęcając czas bogobojnym westchnieniom i myślom, bawił tu brat jego Gaudendy, był czas niejaki Jan Kanaparyusz, tu przybył i Bruno. Poważny i rozległy widok wiecznego miasta, ulice krwią niegdyś męczenników skropione, potem góra awentyńska, miejsce nabożnych rozmyślań i ucieczki od świata, wreszcie sława śś. Nilusa i Romualda, wszystko to odezwało się w duszy wrażliwego młodzieńca. W owej właśnie chwili św. Wojciech, ulegając woli Grzegorza V., krewnego Brunona, opuszczał mury klasztorne, udając się do Pragi, aby na nowo zasiąść na stolicy biskupiej. Wielką tę stratę wynagrodził braciszkom na Awentynie Bruno. Zrzekłszy się godności duchownych i świeckich widoków, zamknął się w celi klasztoru, gdzie w niczem nie odstępował od życia mniszego, krwawił ciało pokrzywą i cierniem, dni całe na modlitwie spędzał. Św. Wojciech nie znalazłszy posłuszeństwa i należnego wpływu w swojej ojczyźnie, udał się do Polski, skąd przedsięwziął podróż do Prus, gdzie, jak wiemy, śmierć męczeńską poniósł. Towarzysze ostatnich chwil jego zanieśli smutną wieść o zgonie apostoła na górę Awentyn. Cały klasztor pokrył się żałobą, żal był powszechny i każdy odtąd starał się iść tą samą drogą poświęceń i czystej dla sprawy kościoła pracy, choćby go u kresu, jak owego świętego, śmierć męczeńska czekała. Jednym z najzagorzalszych wielbicieli św. Wojciecha był Bruno i wtedy już pewnie zbudziła się w jego duszy żądza apostolstwa. Żegna się tedy z braciszkami klasztornymi i wraz z Janem Benedyktem i synem Bolesława Chrobrego udaje się na wysepkę Perem, w pobliżu Rawenny, gdzie św. Romuald pędził żywot pustelniczy. Śmierć męczeńska św. Wojciecha i tutaj zbudziła pochop apostolski, i tutaj pragnęli go naśladować. Kiedy Bolesław Chrobry udał się do św. Romualda z prośbą o przysłanie misyonarzy, Benedykt i Jan dobrowolnie ofiarowali się pójść nawracać pogan. Nasamprzód przybyli do Polski, aby się tu zapoznać z słowiańskiem narzeczem. I Bruno postanowił pójść ich torem. Zanim jednak puścił się w tę niebezpieczną podróż, udał się po błogosławieństwo do Rzymu. Niesienie idei chrześcijańskiej w głąb ziemi, przez pogan zamieszkiwanych, dodawało więcej blasku stolicy apostolskiej. Z otwartemi przeto rękami przyjął Brunona Sylwester II., udzielił swego błogosławieństwa i mianował arcybiskupem krajów, które jego pracą apostolską przejść miały na łono kościoła. Opuszczając Rzym, podążył Bruno do ojczyzny, skąd już miał się udać do Polski. Całą niemal drogę, mimo pory zimowej, odbył boso, żywiąc się jedynie chlebem i wodą, a w niedzielę korzonkami. Podczas jazdy konnej nogi mu zwykle do strzemienia przymarzały, tak, iż chcąc zsiąść, musiał ciepłej używać wody. Ciągle miał przed oczyma postać św. Wojciecha, często się w żywot jego wczytywał, ale im głębiej w opis męczeństwa wnikał, tem mniej go on zadowalniał. W końcu postanowił osobiście się dowiedzieć o czynach św. Wojciecha. Odwiedzał liczne miejsca, w których święty przebywał, wypytywał się o szczegóły jego życia od wszystkich, kto tylko jakąkolwiek w tym kierunku dać mógł odpowiedź, a wreszcie spory zapas różnych wieści uzbierawszy, jął uzupełniać żywot swego poprzednika. Tym sposobem powstał nowy opis żywota św. Wojciecha, od dawniej-

szych obszerniejszy, w większą liczbę szczegółów zasobny i nieco odmiennie ostatnie chwile kapłana malujący. Razi tu pewna napuszystość i styl zbyt kwiecisty, ale pominąwszy stronę zewnętrzną, stanowi ten żywot cenny materyał do dziejów kultury. Mamy w nim znakomite świadectwo, do jakiego stopnia posuwano umartwienie ciała i jakie składano na ołtarzu religii ofiary, żeby tylko zbawienia duszy dostąpić.

Miał również wedle dawnej tradycyi św. Bruno opisać skon męczeński pięciu braciszków zakonnych.

Żył on w serdecznej przyjaźni z pustelnikami Benedyktem i Janem, którzy ulegając jego namowie, udali się w celach apostolskich do Polski. Było to na początku XI. wieku. Miał im towarzyszyć św. Bruno, otrzymawszy od papieża pozwolenie głoszenia ewanielii poganom. Kiedy się był dostatecznie języka słowiańskiego nauczył, stanął w Pradze, skąd miał ruszyć dalej, dał mu już król Bolesław srebra dziesięć funtów i chciał go na drogę opatrzyć. Ale nieszczęściem wybuchła wojna w Niemczech, a nadto zima była niebywale ostra. Musiał Benedykt wracać do klasztoru, gdzie wówczas znajdowali się prócz niego i Jana, zakonnicy: Izak «Słowianin» i Mateusz. Rozeszła się wieść po kraju o bogatem mnichów wyposażeniu przez księcia. Kilku złoczyńców, kiedy ich wieść ta dobiegła, napadli klasztor samotnie w lesie stojący i wymordowali mnichów. Zginęli z rąk zabójczych Mateusz, który próbował ratunku ucieczką i Krystyn, wracający ze wsi. Oczywiście mordercy złota w klasztorze nie znaleźli. Szybko doniesiono o okropnym wypadku biskupowi dyecezyi Ungerowi, który przybył na miejsce zbrodni, ciała zamordowanych mnichów kazał włożyć w trumnę drewnianą i wystawić w kościele. Pochowani zostali dnia 13go listopada 1003 r. Dla uwiadomienia papieża o morderstwie, posłano do Rzymu osobnego posłańca, który został w drodze schwytany — był bowiem w Niemczech czas wojenny — i osadzony w więzieniu ledwie życia nie utracił. Papież dowiedziawszy się o dokonanej zbrodni, zaliczył zamordowanych mnichów w poczet męczenników. W ten sposób opowiada św. Bruno o męczeństwie pięciu owych mnichów w żywocie, w lat kilka po ich śmierci napisanym, a noszącym tytuł: «Vita quinque fratrum» (Życie pięciu braci). Jestto dla nieszczęśliwych kapłanów wieczny pomnik, a dla nas świadectwo kultury tych mglistych i tak oddalonych od nas czasów, tem droższe, że w liczbie męczenników znajdowało się trzech Polaków. Rzecz ta stylem ani wykończeniem bynajmniej się nie zaleca. Na usprawiedliwienie autora tę można przytoczyć okoliczność, że pisał prędko, gotując się w drogę do Prus, gdzie niezadługo dostąpił celu swych życzeń — korony męczeńskiej. Żywot pięciu braci zdradza wysoce idealne usposobienie autora, ale jest nie mniej w szczegółach prawdziwy i z najlepszego pochodzący źródła. Św. Bruno dokładnie z biblią i pismem świętem zaznajomiony, tu i ówdzie przeplata wątek opowiadania odnośnemi cytatami, miało to być zaletą ówczesnej frazeologii szkolnej.

Dzieła, przez św. Wojciecha poczęte, chciał św. Bruno dokończyć. Mimo, że między cesarzem niemieckim a Bolesławem pokoju wtedy nie było, przybywa na dwór polski. Chrobry wiele czynił zabiegów, żeby chrześcijaństwo w nowym kraju rozszerzyć i trwalszą dać mu podstawę. Było ono dlań nietylko środkiem oświaty, ale zarazem narzędziem politycznem do zjednania ludów, zostających pod jego berłem, a zarazem węzłem, któryby go ściślej z zachodnią Europą powiązał. Dźwigając ideę chrześcijańską w głąb ziemi pogańskiej, przysparzał sobie sprzymierzeńców, łączył wschód cały w wielki związek, który w chwilach niepomyślnych miał stawić czoło

cantici laus et auctoritas ex quatu
or colligitur· Primo ex eo quod angelus
illud docuit· Secundo ex eo quod ad eius
placamen illa tribulacio quieve-
uit· Tercio ex eo quod calcedonensis
synodus illud approbavit· Quarto
ex eo quod demones adeo illud timent



De s. Stanislao
martire et pontifice
Beatus igitur
Stanislaus ut
annales prin-
cipum polonie et gestorum tangunt
hystorie, nacione polonus· ex provin
cia cracoviensi processit oriundus·
De cuius progenitoribus vel eorum nominibus
ideo in hoc opere non fit mencio·
quia antiquitas temporis negli-
gencie nutrix mater ingratitu-
dinis hanc delevit oblivio· Sunt

ŻYWOT MNIEJSZY ŚW. STANISŁAWA.

z archiwum Kapituły krakowskiej.

zachodowi. Nie obdarzał przeto względami żywiołu niemieckiego, a natomiast gorącą żywił miłość dla św. Wojciecha, który będąc pochodzenia słowiańskiego, krew własną w Prusiech przelawszy, stał się spójnią łączącą kościół z państwem. Nie małą to aureolą skroń Bolesława otoczyło, że św. Bruno więcej chrześcijańskiego ducha przyznawał królowi polskiemu, lubo cesarz niemiecki przez cały zachód był uznany za puklerz i tarczę całego chrześcijaństwa. Wiedział bowiem dobrze św. Bruno, jak niecnych środków używali Niemcy w swej pracy apostolskiej, ziarna religii chrześcijańskiej sypali po krajach pogańskich z obnażonym mieczem, a szerząc i utrwalając nową religię, nielitościwie tępili narodowe obyczaje i życie. Potępiał Bruno ten sposób apostołowania, będąc bowiem z duszy chrześcijaninem, chciał rozlewać światło wiary chrześcijańskiej jedynie łagodnymi środkami, narodowość każdą szanował, nazywając ją «przyrodzonem człowieka prawem». Jak sądził o stosunku cesarza niemieckiego do Bolesława, wyraźnie to widać z własnych słów jego, z których wygląda szlachetna i piękna dusza apostoła. Czyniono mu mianowicie zarzuty w ojczyźnie, że się własnemu sprzeniewierza krajowi. Oto jego na te zarzuty odpowiedź: «Jeżeli kto twierdzi — pisze w liście do Henryka II. w zimie 1003 r. — że okazuję księciu polskiemu wierność i bardzo wielką przyjaźń, prawdę mówi. Tak jest, kocham go, jako własną duszę, a więcej niż życie własne, i staram się nakłonić go ku sobie. Niechaj jednak bez naruszenia łaski cesarskiej będzie wolno zapytać, czy dobrze jest prześladować chrześcijanina, a żyć w przyjaźni z pogańskim ludem (cesarz połączył się był właśnie z pogańskimi Lutykami przeciw chrześcijańskiej Polsce). Jakże mogą być z sobą złączone święta włócznia i chorągwie dyabelskie, nasycone krwią chrześcijańską. Azaliż nie lepiej byłoby mieć sprzymierzeńcem takiego męża, za którego pomocą i radą mógłbyś lud pogański nawrócić do chrześcijaństwa. O, jakbym sobie życzył, abyś chciał mieć nie wrogiem, lecz przyjacielem księcia Bolesława. Chcesz wszystkiego dokazać przemocą, nie łagodnością, którą miłuje każdy prawy człowiek. Ale strzeż się królu, by się nie zagniewał ten, który Ci teraz pomaga. Napadłeś z poganami ziemię polską. Lecz cóż? Czy nie wspomagali Bolesława św. Wojciech i św. Piotr, którego się on zwie lennikiem. Czyż nie spoczywa na jego ziemi pięciu męczenników, którzy krew swą przelali i mnóstwo czynią cudów.»

List ten wszelako, wbrew oczekiwaniu Brunona, nie wywarł na cesarzu pożądanego wpływu. Szlachetny kapłan mając ciągle przed oczyma postać św. Wojciecha, postanowił iść jego śladem i dokonać nawrócenia Prusaków. «Spodziewał się — jak powiada jego biograf — nieurodzajne pola zapłodnić błogosławieństwem, lecz ciernie z nich powyrastały, a twarda ziemia nie dała się zmiękczyć». Dotarł aż do wschodniej granicy Prus, ale tu wzbroniono mu przedewszystkiem kazać i nauczać. O niebezpieczeństwie życia, na jakie narażał się, dają pewne wyobrażenie własne jego słowa: »Przez dwa dni szliśmy bez żadnej zgoła przeszkody, trzeciego dnia rano pochwycili nas poganie i w dniu tym — rano, w południe i wieczór — prowadzono nas z szyjami obnażonemi pod topór katowski. Przecież od śmierci niechybnej ocaleliśmy za łaską cudowną Boga i św. Piotra, naszego obrońcy. Była niedziela, gdy nas do wielkiej przyprowadzono hordy. Wyznaczono nam stanowisko i pozwolono żyć, pokąd lud wszystek przez rozesłanych gońców uwiadomiony, nie zbierze się na obrady. Owóż na drugi tydzień wiodą nas w środek obradujących, smagają biczem i nas i nasze konie, tłum ludu rzuca się na nas z iskrzącemi od wściekłości oczyma i toporami wzniesionemi nad głowami naszymi grożą nam rozsiekaniem w kawałki.»

Święty Bruno zginął okropną śmiercią. Odcięto mu ręce i nogi, a potem głowę, a działo się to dnia św. Marcina 1009 roku. «Łagodny jak baranek — dodaje kronikarz — szedł na śmierć męczeńską, z chrześcijańską rezygnacyą». Podobny los spotkał ośmiu towarzyszy Brunona, którzy go nie odstąpili do ostatniej chwili. Bolesław bardzo żałował śmierci przyjaciela. Ciało jego leżące długo bez pogrzebu wykupił i godnie pochował, czem, «zjednał domowi swemu duszną pociechę na przyszłość».

Życie Brunona minęło bez echa; działalność jego, jak utrzymują, nie przyniosła żadnych prawie owoców dla Polski. Długo jeszcze po śmierci Brunona paliły się stosy w lasach pruskich na cześć bogów pogańskich wznoszone. Dopiero później uledz musieli przemożnej sile Krzyżaków. Nie pozbawia to jednak wielkiego kapłana aureoli męczeńskiej. Religia była myślą przewodnią jego życia, gwiazdą, z której nigdy oka nie spuszczał, wszystko dla niej poświęcił i w końcu życie w ofierze położył. Żadne przeciwieństwa w drodze go powstrzymać nie mogły, przeszedł rozległą przestrzeń od morza Adryatyckiego do brzegów bałtyckich, a wszędzie z tymże zamiarem, w tejże pobożnej myśli i żądzy. Zawsze świętej prawdzie służąc, którą odważnie, nawet głowom koronowanym głosił, dał świetny wzór poświęcenia i ofiarności. Zajmuje też pierwsze miejsce wśród szczupłego zresztą grona cudzoziemców, którzy z najczystszych pobudek ziemię naszą zorawszy, dali dowód przywiązania słowem i czynem — życiem samem.

Jeden z późniejszych, ale nie mniej ojczyźnie naszej zasłużonych apostołów jest Otto, biskup bamberski. Urodził się w Szwabii nad Renem. W Polsce dostąpił świetnej godności. Potem, to do Niemiec, to do Polski powoływany, stał się niejako ogniwem, dwa te narody wiążącym, wreszcie zabłysnął najwyższą w świecie chrześcijańskim zasługą. Do Polski po raz pierwszy zawitał około 1080 r. Tu wziął się pilnie do poznania języka polskiego i w krótkim czasie o tyle już nim władał, że nietylko potrafił mówić, ale i pisać po polsku, co w owe czasy zdarzało się nader rzadko. Sprawował różne poselstwa i uczył młodzież polską. W ten sposób nabierał coraz większej wziętości i rozgłosu. Był kapelanem Władysława Hermana, a po niejakim czasie powiernikiem jego żony Judyty. Bolesław Krzywousty podnosi go do godności biskupa, a piastując urząd ten wysoki, zostaje apostołem Pomorza. Osobie jego zawdzięczamy bardzo wiele, bo że pomijamy własne jego na polu naszej oświaty zabiegi, to pisarze jego żywota wiele stron dziejów naszych z tych czasów oświetlili, wypełniając wątek historyczny u Galla przerwany. Dużo jeszcze czasu upłynęło, zanim religia chrześcijańska stała się przedmiotem wierzeń w dzikich okolicach Prus Pomorza, Litwy i t. d. Ani władza książęca nie posiadała tyle siły, żeby lud, w dawnych przesądach żyjący, do chrztu świętego nakłonić, ani duchowieństwo polskie sprawą nawrócenia pogan mało się zajmując, nie wydało z grona swego jednego, któryby się podjął apostolstwa w te knieje barbarzyńskie. Szlachetny miał zamiar pewien biskup rzymski Bernard, ale nieumiejętnie wziął się do rzeczy. Kiedy bosy, w nędznej odzieży, pewnego rana począł rąbać kolumnę, obili go Pomorzanie niemal na śmierć. Niepomyślna ta próba nie zraziła bynajmniej Bolesława. Zawezwał na trud apostolski biskupa bamberskiego Ottona, który w godności kapelana na dworze jego ojca przebywał. Z głęboką religijnością łączył Otton znajomość ludzi, osobliwie dobrze się przyglądał Słowianom, znał ich charakter i upodobania. Udając się na Pomorze postąpił sobie inaczej, niż jego poprzednik Bernard. Wyruszył z ogromnym orszakiem, wziął ze sobą tłumaczy i pomocników duchownych. Przed Pomorzanami wy-

stąpił z całym przepychem księcia kościoła. Zakupił kosztowne szaty kościelne, kielichy, mszały, ozdoby, ołtarze, nadto zabrał ze sobą cieńkie chusty, bieliznę i różnego rodzaju odzież, którą miał między lud rozdawać. Postanowił bowiem przekonać ich naocznie, że więcej odeń otrzymają, niż sami mu dadzą. Lecz posłuchajmy, jak się przedstawia spółczesne opowiadanie o tej misyi:

Przez sześć dni musiano z wielkim trudem przebierać się przez dziewicze lasy pomorskie; wozy grzęzły w bagnistym gruncie, dziki zwierz, węże i żurawie utrudniały pochód. Nad pograniczną rzeką pomorską oczekiwał już ich przybycia książę pomorski w orszaku 500 ludzi, z kilkoma z nich przeprawił się przez rzekę, aby złożyć biskupowi uszanowanie. Gdy za pośrednictwem tłumacza rozmawiał z biskupem, świta jego żartowała sobie z księży. Wyciągali oni z pochew ostre swe noże, grożąc duchownym, że złupią z nich skórę, wkopią w ziemię po samą głowę, wytną nożami tonsurę i t. d. Bardzo rozumnie i oględnie postępował Otto nawracając Pomorzan. Z jednej strony unikał wszystkiego, coby źle było widzianem u tubylców, starając się nie wywoływać starć i rozdrażnienia, z drugiej strony, otaczając się niebywałym dla nich przepychem, chciał im zaimponować bogactwem i blaskiem. W przemowach używał prostoty, odwoływał się do serca, starając się ich przekonać, że nie dla osobistych widoków do nich przybył, ale jedynie dla ich dobra i zbawienia. Kiedy krajowcy objawili chęć przyjęcia chrześcijaństwa, nakazany był post wielodniowy, lud nauczono zasad religii, w czem sam biskup czynny przyjmował udział, poczem neofici, przybrani odświętnie w białą odzież, do chrztu przystępowali. Obrzęd ten święty odbywał się w ten spósob, że chrzczelnicę zakopywano w ziemię, otaczając ją zasłonami, tak że chrzczony nie był widzianym. Podobna opona zakrywała nawet duchownego, który obrzęd chrztu spełniał. W porze zimowej odbywał się chrzest w izbie okadzonej bursztynem, przyczem używano ciepłej wody. Kiedy w ten sposób kościół chrześcijański nową zyskiwał owieczkę, pasterz starał się, aby w ochrzczonych nową wiarę utrwalić. Szybko więc i na prędce nowe kościoły z drzewa budować rozkazał, dostarczając rzeczy dla ozdoby ołtarza potrzebnych, jako to kielichy, mszały i t. d. W końcu ustanowiony był kapłan, któremu powierzoną była piecza nad duszami nowych chrześcijan. Nie zawsze jednak udawało się Ottonowi siejbę chrześcijaństwa tak spokojnie prowadzić. Kiedy się był w celach apostolskich udał do Julina, miasta w Pomorzu, i umyślnie w porze nocnej, żeby rozruchu niebudzić, zajechał, wybuchło między mieszkańcami formalne powstanie. Kiedy zaś Otton, bynajmniej tumultem nie zrażony, wystąpił przed lud i na pomostku, po nad błotem położonym, stanął, ktoś z tłumu uderzył go tak silnie w ramię, że stracił równowagę i z mostu upadł. Nic jednak nie mogło powstrzymać biskupa w gorliwości apostolskiej. Szedł od osady do osady, z miasteczka do miasteczka i dotąd prawił, dotąd nauczał, aż pogan dla nowej wiary nie zyskał. Skoro się już powszechnie za przyjęciem chrześcijaństwa oświadczono, kazał wtedy Otton dawne bożyszcze i świątynie niszczyć; osobiście nawet, brał czynny udział, uzbroiwszy się w buki i topory, szedł na tę robotę wraz z duchowieństwem. Pomorzanie w obronie swych bałwanów nie występowali, oczekując, ażali który z bogów dawnych sam się nie podniesie i zemstę wywrze. Ale skoro widzieli bierność z ich strony, sami w niszczeniu pomagali, mówiąc: «jeżeli bogowie nasi nie są w stanie siebie ochronić, jakże my ich bronić mamy». Oczywiście nowa wiara nie odrazu zakorzeniła się w sercach Pomorzan. I tutaj, jak to zresztą wszędzie miało miejsce, trwał czas niejaki stan pośredni, odbywała się

w wnętrznej głębi walka dwóch żywiołów, potężna, lubo znaków życia niedająca. Dzięki jednak zapałowi apostoła i pomocy króla polskiego, tudzież księcia, berło nad krajem dzierżącego, powoli całe Pomorze stawało się chrześcijańskiem. Z dumą mógł później spoglądać Otto na zadanie, świetnie śród niebywałych trudności i niebezpieczeństw spełnione.

Obraz ten nawrócenia Pomorzan uzupełnia skąpy zasób wiadomości w tym kierunku o właściwej Polsce. Tak zwana kronika węgiersko-polska, spisana u schyłku XI. wieku, w części tylko zaliczoną być może w poczet żywotów naszych świętych, opisuje bowiem żywot św. Szczepana. Szczupła ta nad wyraz praca, dwanaście zawierająca rozdziałów, rozpoczyna się przedmową, w której pomnąc, że wszystko co dobre od Boga pochodzi, i nawrócenie Węgrów Jemu przypisuje. Opowiada potem o Atylli, pierwszym królu węgierskim, o wojnach, jakie prowadził, o rzezi 11.000 dziewic! Następuje krótka historya potomków aż do św. Szczepana. Siedm rozdziałów zawierają dzieje panowania tego króla, ostatnie trzy mieszczą historyę Węgier, aż do św. Władysława. Rzecz dotyczy głównie dziejów Węgier, na Polaków o tyle tylko zwrócona uwaga, o ile czynny biorą udział w historyi Arpadów. Sympatya autora dla Polski płynie jeno z przeświadczenia, że dwór Bolesławów występuje zawsze w sprzymierzeniu z Węgrami. W ogóle cechuje przekonania polityczne autora wiara w «wieczny» mir między dwoma państwami. Właściwy tytuł żywota brzmi: «Incipit Cronica Ungarorum iuncta et mixta cum cronicis Polonorum et vita sancti Stephani» (zaczyna się kronika węgierska, złączona z kroniką polską i żywotem św. Stefana). Zawartość jednak dzieła bynajmniej tytułu nie usprawiedliwia. Jestto właściwie tylko legenda o św. Szczepanie. Już w XIV. wieku uważano ów tekst, z odpisu klasztornego pochodzący, za legendę o św. królu, często za stołem w klasztorze czytywaną. Na końcu wstępu, lektor dodawał zwykle: Tu autem domine miserere nostri. (Ty zaś Panie, zlituj się nad nami). Dopiero późniejsze ustępy udzieliły legendzie charakteru kroniki, którego w pierwotnym utworze doszukać się trudno. Autor rzesztą bynajmniej nie rości sobie pretensyi do dzieła, mającego wartość źródłową. Nie o samej rzeczy zbadanie chodziło mu tu bowiem, ale jedynie o podniesienie ducha religijnego i zbudowanie czytelników. Żadnej zupełnie pewnej wiadomości przytoczyć nie można o autorze. Musimy się przeto zadowolnić jedynie domysłami, które z dzieła Kętrzyńskiego czerpiemy: Autor nasz — naturalnie duchowny — pochodził niewątpliwie z Węgier; może nawet był rodem z Słowacyi węgierskiej. Nie jest to bynajmniej dowodem, żeby rzecz swoją na Węgrzech pisał. Owszem, to, co o Polsce podaje, przemawia za tem raczej, że rzecz swoją kreślił na naszej ziemi. Przybył do nas wskutek jednej z wypraw Bolesława Śmiałego do Węgier, albo raczej, co jest rzeczą bardziej do prawdy zbliżoną, towarzyszył z rozkazu króla węgierskiego roku 1086 młodemu księciu Mieszkowi, który wówczas do kraju ciągnął. Musiał się przez czas dłuższy zatrzymać w Krakowie, bo wszystko, co nam o Polsce opowiada, wiąże się z tem miastem. Tutaj, gdy się dowiedzieli, że jest Słowakiem, starali się go zapewne przekonać, że Słowaczyzna należała ongi do dyecezyi krakowskiej i że Dunaj stanowił granicę Polski, na dowód czego pokazano mu dawny opis jej granic i może pismo o zjeździe księcia polskiego z świeżo ukoronowanym królem węgierskim. Wiadomości te wciągnął więc do swego dzieła.

Kiedy Mieszko do Polski zawitał, musiała z nim razem przyjść wieść o kanonizacyi św. Stefana, o którym powszechnie wiedziano, że siostra Mieszka I. była mu

ympnus de s. Stanislao

Gaude mater polo nia prole fecunda prole
nobili summi regis magnalia laude frequenta vi gili
Cuius benigna gratia Stanislai pontificis passionis in
signia signis fulgent mirificis Hic certus pro iusticia regis
non cedit furie. stat pro plebis miseria. Christi miles in acie
Tyranni truculentiam qui dum constanter arguit martirii victo
riam membratim cesus meruit Novum pandit miraculum
splendor in sancto celitus. redintegrat corpusculum sparsum celes
tis medicus. Sic Stanislaus pontifex transit ad celi curiam
ut apud deum opifex nobis impetret veniam Poscentes
egris vite salutis dona deferunt. mortui pueri subita porcio
ad vite redditur Eius ad tactum anuli morbi fugantur tur
gidi. ad locum sanctum tumuli multi curantur languidi Surdis
auditus redditur. claudis gressus officium. mutorum lingwa sol
vitur et fugatur demonium Ergo felix cracovia sacrato
tata corpore. deum qui fecit omnia benedic omni tempore.
Sit trinitati gloria. laus. honor iubilacio. de martiris victoria sit
nobis exultacio Amen

Hymn o św. Stanisławie z XIII. wieku (z rękopisu biblioteki nadwornej w Wiedniu).

matką. Oczywiście okoliczność ta, nie małej wagi, powszechny obudziła interes. I duchowieństwo, którego sprawa ta bliżej dotyczyła, pragnęło dowiedzieć się o świętym coś pewnego i dlatego uprosiło autora naszego, który naocznym był kanonizacyi świadkiem, żeby żywot świętego napisał. Prośba duchowieństwa przychylnie była przyjętą. Nieznajomy skreślił żywot, przyczem podstawą była mu «Vita major sancti Stephani» (Życie większe św. Stefana). Z książką tą nie rozstawał się jadąc do Polski, w ogóle bowiem kanonizacya św. Stefana zajmowała wszystkie podówczas umysły. Chcąc zaś dać Polakom niejakie wiadomości o pochodzeniu króla Stefana, poprzedził opowiadanie swoje wstępem z dziejów Węgier, podług powszechnie znanej tradycyi, a życiorys swobodnie z powyższego dzieła odpisał. Będąc w Polsce i stosunkom się miejscowym przyglądając, nie mógł pojąć, czemby się to działo, że król Stefan, jako pierwszy król chrześcijański na Węgrzech, od papieża otrzymał koronę, Mieszko zaś, lubo pierwszy w kraju książę-chrześcijanin, nie był przez papieża koronowany. I oto ułożył sobie opowieść, która czytelników pouczyć miała, że lubo obaj królowie jednakowe mieli do ubiegania się o koronę prawa, to św. Stefanowi anieli Pańscy przyszli w pomoc, Polacy zaś i ich książę zaszczytu tego dostąpić nie byli godni. W ostatniej części, dzieje po św. Stefanie opowiadającej, dowolność autora i zamęt przybierają niezwykłe rozmiary. Stąd tak nieżyczliwie odzywają się o tem dziele uczeni. Niektóre miejsca zdradzają wprost krańcową nieznajomość geografii, chronologii, brak zdrowego rozumu. Książka ta naoczny stanowi dowód, że o źródle dziejowem bynajmniej nie wyrokuje spółczesność wypadków — pod tym względem żywot św. Stefana winien zająć poczesne miejsce — ale wiarygodność, dokładność informacyi i uzdolnienie autora. Żadnej jednak z tych zalet autor nasz nie posiada. Należąc do stanu duchownego (w tych czasach piśmiennictwo było jedynie przez kapłanów uprawiane), posługiwał się pismami kościelnemi. Znajomość liturgii atoli i wiedzy teologicznej wyradza się tu w popisywanie się z wiadomości z tego zakresu; zwłaszcza czuć to się daje w opisach obrzędów kościelnych. Autorowie łacińscy byli mu całkiem obcy, z historyi wie tylko o Aleksandrze Wielkim — jedynie biblię zna dokładniej. Ona przewodnią gwiazdą jego dzieła, całą swoją historyę do niej stosuje. Styl ma bez zalet, w łacinie popełnia liczne błędy, ale sposób wyłożenia jasny i prosty, zwłaszcza, jeżeli się z nim porówna zawiłości naprzykład Wincentego.



138. Św. Stanisław, malowidło na szkle klasztoru Dominikanów w Krakowie (z XIII. wieku).

Książka ta o św. Stefanie, po powrocie autora do kraju, wpadła w ręce biskupa Hartwika, który żywcem ją przepisał, wplatając jedynie tu i ówdzie ozdoby

stylistyczne. Na początku XIII. wieku czerpią z niej pełną dłonią nasi rocznikarze. I mistrz Wincenty musiał ją znać dobrze. Mieli o niej dokładną wiadomość w klasztorze na Łysej górze, gdzie już oddawna przechowywała się tradycya o bliskich stosunkach, wiążących ongi ten klasztor z Węgrami. Mianowicie w roczniku świętokrzyskim (nowszym) znajdujemy nietylko z niej wyjątek, ale także wiadomość o cząstce świętego Krzyża, którą miał podarować klasztorowi Emeryk, syn św. Stefana. Tutaj to zapewne pewien zakonnik, czas dłuższy bawiący na Węgrzech, uzupełnił żywot owem zakończeniem, gdzie opowiada bez związku wiele rzeczy, o których zasłyszał lub czytał. Długo łamali sobie głowę uczeni, żeby tę gmatwaninę wyświetlić.

Z biegiem czasu poczynają występować na arenę dziejową święci i apostołowie polscy, a między nimi poczesne miejsce należy się św. Stanisławowi. Dziwną i w oczy bijącą jest owa cześć, karność i ufność, jaką żywił dla swych patronów naród cały i najwięksi nawet ludzie. Żaden atoli ze świętych nie zażywał tak wielkiego zachowania i miłości, jak św. Stanisław. «On ojcem świętych — powiada jeden ze znakomitych historyków polskich — on założycielem naszej cywilizacyi katolickiej, jemu naród winien, że jest społecznością zachodnią, przez wieki też tę zasługę wyznawał, za nią go wielbił. Jego opiekę nad sobą przeczuwał i przy każdej zmianie monarchy na nowo się jej polecał, jemu przypisywał najpomyślniejsze w swem życiu wypadki, jemu po każdym tryumfie hołd wdzięczności składał».

Cała potęga i urok tradycyi na tem się właśnie zasadza, że ze szczególniejszą lubością opowiada wypadki, o których historya niemal milczy i coraz bardziej się oddalając od chwili, kiedy miały miejsce, tem jaskrawsze i bogatsze na ich obraz rzuca kolory. To samo dzieje się z wiadomościami o św. Stanisławie. Spółcześni o nim nie wspominają, ale za to później tem chętniej coraz obszerniejsze snują o nim opowieści, wieńcząc skroń jego męczeństwa koroną.



139. Św. Stanisław na obrazie w katedrze krakowskiej.

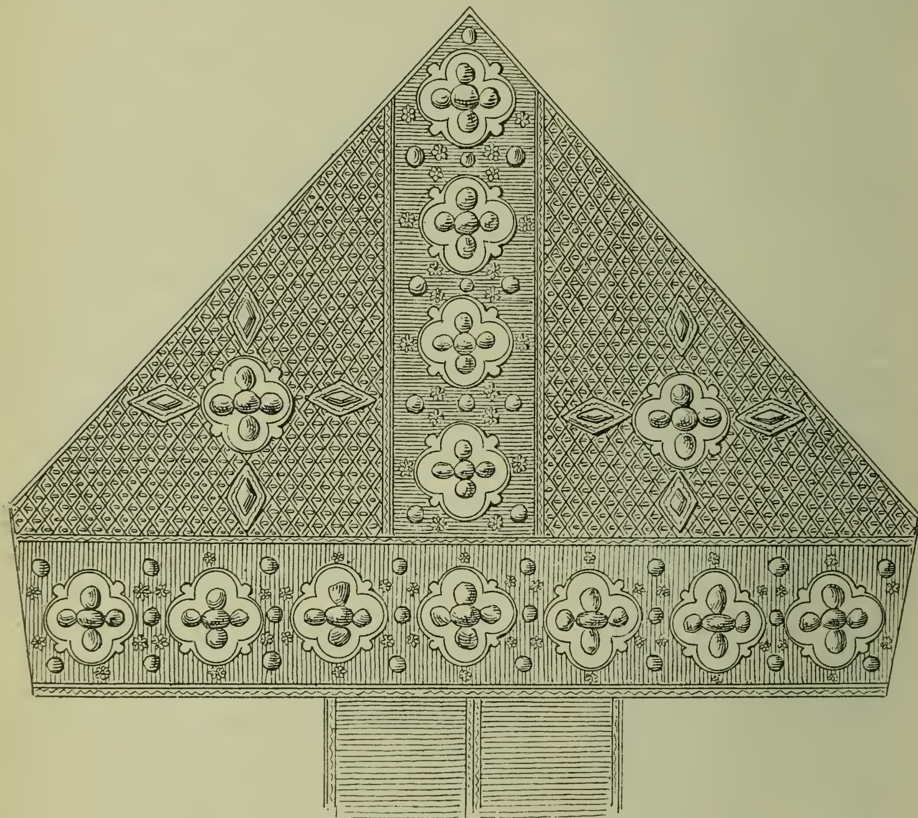
Najdawniejszy kronikarz polski, tak zwany Gall, pospiesznie i z pewnem nawet zakłopotaniem pozbywa się kilkoma słowy opowiadania o skonie świętego i płynących stąd następstwach. «W jaki sposób — pisze on — król Bolesław z Polski został wypędzony, byłoby za szeroko opowiadać, to tylko powiedzieć można, że chrześcijanin na chrześcijaninie nie powinienby za żadną winę wymierzać kary cielesnej. Gdyż wielką mu ujmę to przynosiło, że przeciw występkowi użył występku, skazawszy biskupa za zdradę na ścięcie. Nie chcemy jednak bronić biskupa zdrajcy. . . .» Późniejszy

kronikarz Wincenty przedstawia już Bolesława, jako tyrana, św. Stanisław natomiast świeci w aureoli męczeństwa. W ogóle kronika Wincentego stanowi ważne, ale pośrednie w rozwoju legendy ogniwo. Kiedy współcześni, sądząc zajście biskupa z królem, brali stronę jednego lub drugiego, to siedziba biskupa dąży do podniesienia jego chwały. Jeszcze za panowania Bolesława Sprawiedliwego nie wiele wiedziano o św. Stanisławie. Król ten udał się z prośbą do Rzymu o relikwie św. Floryana, brak było bowiem podówczas w Polsce własnego świętego. Inną już mają rzeczy postać po upływie dwóch wieków. Cześć dla św. Stanisława niebywale urosła i rozpowszechniła się między ludem. Wiele się do tego przyczynili żywotopisarze, liczne o nim cuda opowiadający.

Pierwszy fundament kultu św. Stanisława położyło dzieło Dominikanina. Zakon kaznodziejski, pod wezwaniem Dominika sprowadzony do Polski, wywarł wpływ niepośledni i na oświatę i na rozwój piśmiennictwa. Zaraz po przybyciu na miejsce rozwinął był działalność, która wobec zmienionych kościoła potrzeb, była na szerszą prowadzona skalę, w porównaniu z działalnością klasztorów poprzednich, Benedyktynów i Cystersów. Dominikanie piastują godności spowiedników książąt i ludu, a równocześnie zajmują się historyografią. Inkwizycya, dając im w ręce straszny oręż, podnosi niebywale ich potęgę, daje stanowisko wyższe od innych zakonów, a osobliwie w Polsce, tem jeszcze blasku dodaje, że skuteczny stawia opór sektom, które tu i ówdzie z Czech poczynają już wkraczać i głos, lubo nieśmiały, zabierać. W klasztorze wyznawców św. Dominika powstał słynny żywot św. Stanisława, znany powszechnie pod tytułem: «Vita minor st. Stanislai.» Należy zaś do owej doby, kiedy biskup krakowski niedostąpił był jeszcze kanonizacyi, lubo poczęła się już żywo między ludem budzić cześć dla jego osoby. Autor był oczywiście duchownym. Nie ulega też wątpliwości, że należał do zakonu Dominikańskiego i żył przy kościele Szczepanowskim, który wystawił i poświęcił św. Stanisław. Pracę swą czytał w klasztorze braciszkom zakonnym, albo w tym przeważnie celu pisał, układem bowiem zdradza charakter legend, które zazwyczaj dla zbudowania w klasztorach czytywano. Dowodzi tego również początkowa etymologia imienia. Dobrze włada wymową, co u Dominikanina dziwić nas nie powinno, ma łatwe pióro, objawia duże w piśmie świętem oczytanie, nie są mu obce dzieła ojców kościoła, gesta sanctorum ecclesiasticae historiae. Wszystko jednak, co z pism tych przywodzi, ma jedynie retoryczne znaczenie, bynajmniej nie podnoszące wartości wewnętrznej utworu. Autor pisał dzieło około roku 1220, to jest w półtora zaledwie wieku po skonie św. Stanisława, mógł zatem korzystać z legend rozpowszechnionych między ludem, w pełni jeszcze tradycyi żyjących. Do takich należy przytoczona przezeń opowieść o komesie Piotrze z Piotrowina. Lubo nie wiele znajdzie się ciekawych z życia biskupa wiadomości, ani przyczyny zabójstwa nie są tak wyświetlone, żeby umysł badacza zadowolić mogły, tem nie mniej rzecz sama nabiera wartości, jeżeli się weźmie pod uwagę hojną dłonią rozsypane uwagi o życiu społecznem i domowem tego czasu. Osobliwie zastanowienia godną jest tu okoliczność, że osoba Bolesława Śmiałego, już w okresie, kiedy został «zabójcą męczennika», występuje, mimo mnogich cieni, miejscami w dodatniem świetle, czegoby napróżno szukać w późniejszem dziele Wincentego Dominikanina. Żywot ten długo cieszył się popytem, w XV. wieku liczne z niego czyniono odpisy i między duchownymi szerzono, którzy go chętniej czytywali, niż książkę Wincentego. Przyjemniejszy był zresztą w czytaniu przez styl barwny i żywe przedstawienie wypadków. Napisany głównie w celu

obeznania duchowieństwa z faktem doniosłego znaczenia, zadanie swe w tym względzie, jeżeli nie spełnił dokładnie, to potrzebie ówczesnej bezwarunkowo odpowiedział.

Oto jaki znajdujemy tam wizerunek kapłana: «Święty Stanisław, jako mąż sprawiedliwy, choć surowy, grzeszników wracających do pokuty przyjmował na łono miłosierdzia i spowiedzi ich często sam słuchał. W rozbiorze spraw małżeńskich był bardzo przemyślny i sprawę, której nie znał, pilnie badał. Na krzyki biednych uszu swoich nie zatwardzał; wdowy i sieroty jałmużną wspierał, dla strapionych miał duszę litościwą. Stół jego był wspaniały i wspólny, zwłaszcza z obcymi



140. Infuła, rzekomo św. Stanisława, w skarbcu katedry krakowskiej.

i duchownymi. Nie miał zwyczaju długo przesiadywać u biesiady, do nocnych zaś pijatyk, że był mężem trzeźwym, wstręt miał jak do czary z jadem. A wprowadził je dawny błąd pogański i nadużycie przewrotnego zwyczaju. Z tegoż źródła na biesiadach Słowian zachowują do dziś dnia śpiewki pogańskie, klaskanie w ręce i zwyczaje powitania».

Nie zupełnie tu jeszcze rysów czysto ludzkich pozbawiona postać biskupa. Chwała i cześć dlań żywiona rośnie jednak bezustannie — święty coraz więcej działa cudów.

Z biegiem przeto czasu okazała się potrzeba postawienia go na wyższym piedestale, trzeba było opuścić krwi nieco jego wizerunkowi, przedstawić go więcej

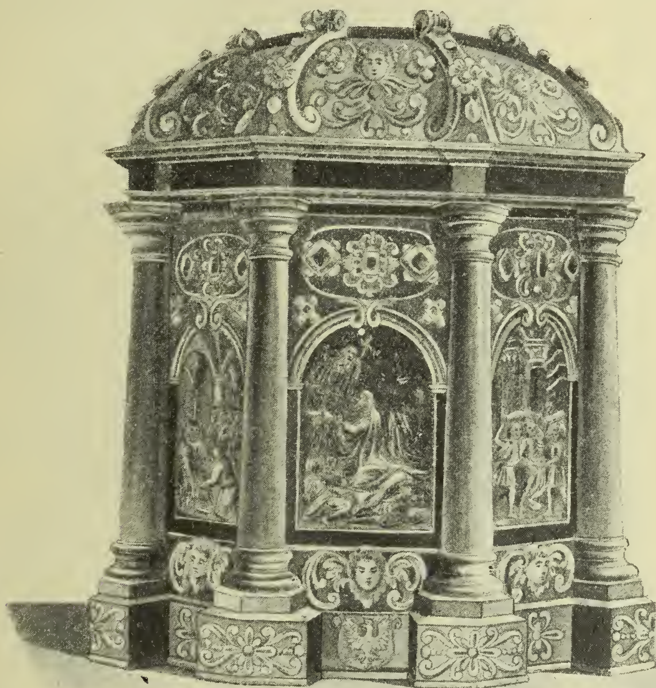
Rycina z «Żywota św. Stanisława», przedstawiająca rozsiekanie ciała świętego.

Vita beatissimi Sta-
nislai Craconiensis episcopi. Necnō legende sanctorum
Polonie Hungarie Bohemie Morauie Prussie et
Slesie patronorum. In lombardica historia non contente.



Karta tytułowa «Żywota św. Stanisława», przedstawiająca wskrzeszenie Piotrowina.

niebiańskim, a działalności jego nadać rysy niezwykłe, święte. Winien być nietylko przez Polskę, ale przez cały kościół za patrona uznany. Atoli zasługi jego na polu miłosierdzia i działalności w imię kościoła podjęte, choć w owoce bogate, do kanonizacyi bynajmniej nie wystarczały. Trzeba było znaków niejakiego z niebem pokrewieństwa, widocznych świadectw zlewanej nań łaski bożej, t. j. cudów. Kiedy więc godność biskupią sprawował Prędota, ukazał się mu we śnie poprzednik jego, Wisław, bez odzienia biskupiego. Zapytany od Prędoty, czem to się stać miało, odpowiedział, że karę nań w niebie nałożono, za to, że tak długo kościołem rządząc, zezwolił zwłokom św. Stanisława tyle czasu w prochu ziemskim leżeć. Począł więc



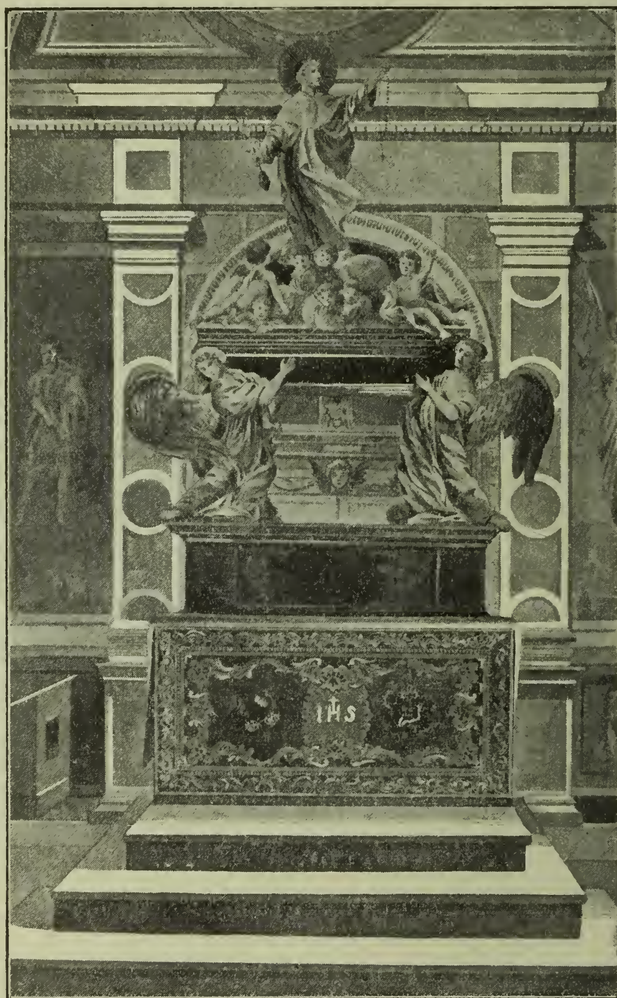
141. Relikwiarz św. Jacka (wedle fotografii Kriegera w Krakowie).

Prędota czynić starania około kanonizacyi św. Stanisława «dla wielu i wielkich przezeń okazywanych cudów». Z łona Innocentego IV. wyszła komisya, która miała zbadać i ocenić owe cuda biskupa krakowskiego. Nic jednak pożądanego na tem polu nie zdziałała. Papież z początku nie dowierzał relacyom, przez dostojników kościoła spisywanym, dużo zresztą już czasu upłynęło od śmierci kapłana. Dopiero później, po ponownem sprawy całej zbadaniu, nastąpiła kanonizacya w Assyżu dnia 17go września 1252 r.

Ściśle się z nią wiążą tak zwane «Miracula sancti Stanislai» (cuda św. Stanisława), które jako cenny przeszłości zabytek przechowuje archiwum kapituły krakowskiej. Ogromny to, na półczwarta metra długi a ćwierć szeroki, zwój pergaminowy

z XIII. wieku, jedną ręką od początku do końca zapisany. Pergamin cienki, biały, wypełniony pięknem ozdobnem pismem; inicyały kunsztownie podmalowane. Z treści łatwo się domyśleć, że mamy przed sobą protokół urzędowy, spisany około roku 1252 przez minorytę Jakóba z Velletri, którego rzymska stolica dla sprawy cudów św. Stanisława zbadania do Polski wysłała.

Zawdzięczamy kanonizacyi inny jeszcze patrona naszego żywot. Wspominają o tem roczniki kapituły krakowskiej pod r. 1254 w sposób następujący: «Umarł Gedko, starzec przeszło stuletni. Ten wiernie opowiedział wiele cudów św. Stanisława mistrzowi Piotrowi, proboszczowi kieleckiemu, który je spisał». Jest to bez wątpienia ten sam Piotr, który się na nauki do Bolonii udał, a jadąc morzem, doświadczył cudu, dzięki bowiem relikwiom św. Stanisława, które miał przy sobie, uszedł z życiem w czasie silnej morskiej nawalnicy. Sam żywot mistrza Piotra zaginął, ale musiał być użyty do żywota, przez jego krewniaka skreślonego. Mówimy o Wincentym Dominikaninie, którego dziełu należy słów kilka poświęcić.

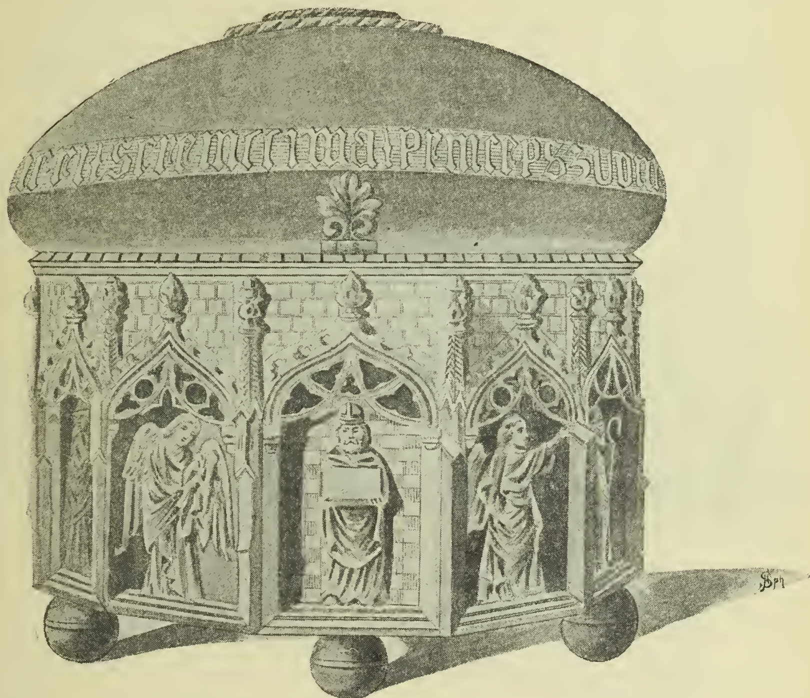


142. Grobowiec św. Jacka.

Z opowiadań starców, którzy sami naocznymi byli świadkami życia św. Stanisława, opowiada, co sam widział lub słyszał, czerpie z kronik i roczników, ale najcenniejszem źródłem, które do swego dzieła wcielił, są akta kanonizacyi. Żywot ten powstał niedługo po tym wypadku, najpóźniej w początkach 1255 roku. Niema jednak dla nas doniosłej wartości historycznej, to bowiem, czego nie zaczerpnął ze znanych nam źródeł, mało ma z prawdą wspólnego, a historyę życia — które opowiada — pominął nawet Wincenty Kadłubek. Nie można jednak tego powiedzieć o ustępach, w których rozwija cuda, zaszłe po śmierci

biskupa; ta część ma znaczenie nawet dla historyi oświaty. Dwie w tym żywocie świętego Stanisława znajdujemy części, co zresztą spotyka się we wszystkich żywotach w średnich wiekach pisanych. W jednej przekazuje autor potomności życie biskupa, druga — zawiera cuda, które w życiu pośmiertnem, za wpływem świętego, zostały dokonane. Autor bynajmniej wyższych uzdolnień dziejopisarskich nie zdradza i gdyby to miało być względem decydującym, nie zasługiwałby nawet na wzmiankę. Ale po sześciu wiekach rzeczy inną przybierają postać; staje się nam wtedy drogą każda drobnostka, każdy szczegół biograficzny, choćby najmniej okrzesanem piórem opowiedziany.

O życiu Wincentego nie wiadomo nic bliższego, Dr. Wojciechowski, który go nazywa Kieleckim, przypuszcza, że był księżym synem, albo pochodził z rodziny



143. Relikwiarz św. Floryana.

poddańczej biskupów krakowskich. Miał się, podług niego, urodzić około 1200 r., a w 30 lat później zostać kanonikiem katedry krakowskiej. Niewiadomo, kiedy i gdzie złożył profesyę zakonną; jest wszakże rzeczą prawdy bliską, że podróż po zwłoki Iwona obudziła w nim chęć wstąpienia do klasztoru, dla którego ten ostatni gorącą żywił życzliwość. Było to w ogóle w wiekach średnich rzeczą dość często widywaną, że kanonicy, biskupi nawet, opuszczali swoje wysokie stanowiska, szukając schronienia za murami klasztorów. W ten sam sposób postąpił Kadłubek. I św. Jacek, zanim Dominikaninem został, piastował godność kanonika krakowskiego. Dopiero, towarzysząc Iwonowi w kilku do Włoch podróżach, poznał św. Dominika i poślubił jego regułę. Wincenty około 1246 roku, wstąpiwszy do klasztoru dominikańskiego w Raciborzu, został przeorem. Musiał brać udział w sprawie kanonizacyi (1247—1253)

św. Stanisława w Rzymie, trudno bowiem przypuścić, żeby kapituła nie wyzyskała jego znajomości dróg włoskich i biografii świętego. Napewno atoli powiedzieć można, że w pracach przygotowawczych do kanonizacyi czynną odegrał rolę, inaczejby go biskup Prędota i kapituła krakowska o napisanie żywota św. Stanisława nie prosili, o czem zresztą sam autor w żywocie swoim wspomina.

Obok dawniejszego żywota św. Stanisława (Vita minor), żywot skreślony przez Wincentego (Vita major) wpływ niepośledni wywarł na późniejszych dziejopisarzy, których zapoznał z baśniami o Kazimierzu Mnichu i Bolesławie Śmiałym. Rzecz przez Wincentego spisana, doniosłości dzieła historycznego nie posiada. Większą część swej pracy zaczerpnął z wspomnianej Vita minor i innych źródeł, które miał

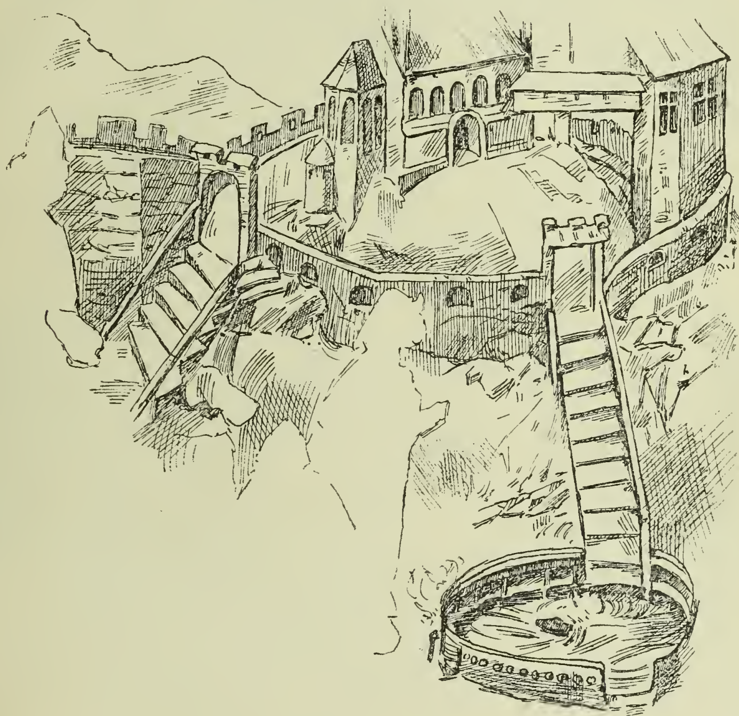


144. Widok kościoła na Skałce, gdzie miał być św. Stanisław zabity.

pod ręką. Można go jednak usprawiedliwić, jeżeli się weźmie pod uwagę, że następcy jego w podobny sposób korzystali z pierwowzoru, lubo należało się im być więcej odeń samodzielnymi. W XIII. wieku nieraz podejmowano próby napisania historycznego dzieła, któreby zająć mogło poczesne miejsce obok kroniki t. z. Galla, opracowywano jednak tylko parę wstępnych rozdziałów, wypisując resztę od poprzedników. W ten sposób Kadłubek korzysta z Galla, Dzierżwa z Kadłubka, a w Kronice wielkopolskiej znajdujemy ustępy z Dzierżwy, Kadłubka i t. p. To samo powtarza się z żywotopisarzami św. Stanisława. Wincenty wciela do swego dzieła Vita minor, a późniejszy autor w ten sam sposób korzysta z Wincentego, kilka rozdziałów od siebie dodając i t. p. Między źródłami, z których pełną dłonią czerpał Wincenty i kładł do swego żywota, na największą uwagę zasługuje Chronica

Polonorum. Charakterystyczny to w XIII. wieku pomnik. Podjęto w nim po raz pierwszy próbę ujęcia w syntezę dziejów ojczystych, oczywiście synteza ta mocno mistycyzmem przesiąkła. Dostaje się ona później za pośrednictwem żywota św. Stanisława do dziejopisarstwa najbliższych wieków, a najwyraźniejsze piętno odbije na historyi Długosza.

Nasz Wincenty, lubo dzieła znakomitego nie napisał, przekazał jednak potomności typowy na tem polu przykład. To też późniejsi pisarze, aż do Długosza, ciągle go mają przed oczyma. W porównaniu jednak do pierwszego opisu męczeństwa św. Wojciecha traci wiele, lubo między powstaniem dwóch tych biografij upłynęło półtrzecia stulecia. Tamta nęci nas i życzliwość naszą zdobywa przez naiwne,



145. Widok na dziedziniec i studnię powyższego kościoła.

proste opowiadanie, czego napróżno szukać w pracy Wincentego, gdzie panuje cel i tendencyjność, przystrojone w zwroty retoryczne. Kiedy żywot św. Wojciecha ma jeszcze wiele rysów ludzkich, pełnych prostoty prastarych czasów, żywot św. Stanisława był podjęty w celach religijnych, dla zbudowania czytelników, czego dowodem w ten sposób podzielone rozdziały, żeby się łatwo przydać mogły do godzin klasztornych (horae), jako przedmiot lektury. Stąd też tyle miejsca poświęcono cudom.

Autor żywota św. Stanisława, jak opowiada w swojej historyi Długosz, miał napisać wiele pieśni na cześć świętego, oraz legend w celach kościelnych, o czem nestor historyków z uwielbieniem wspomina. Nie jest zupełnie nieprawdopodobną wiadomość przez Długosza podana. Pieśni owe oparte są w każdym razie na żywocie Wincentego i posiadają wartość literacką, gdyż były układane wtedy, gdy biskup

był w świeżej u wszystkich pamięci i gorącą dlań cześć żywiono. Podaję tu podobiznę pieśni wraz z legendą i nutami, nosi ona napis: Historia glorissimi Stanislai



146. Grobowiec św. Stanisława, biskupa krakowskiego, w katedrze na Wawelu.

cantu permixta (Dzieje najsławniejszego Stanisława, przeplatane śpiewem). Jestto harmonia na dwa głosy, tenor i kontra-tenor, a nuty pisane już w pięciu liniach. Rękopis obejmuje tylko trzy pierwsze zwrotki tekstu (pisarz kodeksu wyraźnie

oświadcza: ultra non habeo — więcej nie mam). Pieśni, w języku łacińskim pisane, później dopiero powstać musiały, muzykę należy odnieść do czasów wcześniejszych,



147. Zwłoki św. Stanisława złożone w grobowcu.

nie jest bowiem do prawdy podobne, aby silono się na nową muzykę, kiedy już jedną przekazały wieki.

Późniejsza tradycya nosiła na grób świętego coraz nowe kwiaty. Podnoszono go do nieba, jako niewinną ofiarę, nad którą się znęcał okrutnie tyran. Oto mniej więcej osnowa tych legend, na których tle występują rzeczy przedstawione w obrazach, podanych tu po raz pierwszy z fotograficzną wiernością. Bolesław, pan energiczny, całe panowanie spędził na bojach, ciągnął zaś ze sobą liczne rycerstwo na odległe wyprawy, które podejmował, nie w imię ogólnego dobra, ale — jak podanie opiewa — dla nadmiaru pychy i próżności. Ciągłe przebywanie króla po za granicami Polski, dzikiej jeszcze i zwierzchnika ustawicznie potrzebującej, musiała wywołać nierząd. Niewiastom, niemając doma mężów, bardzo się przykrzyło i szukały u sług swoich rozrywki. . .

Działo się podczas drugiej Bolesława do Kijowa podróży. Rycerstwo, zaciągnąwszy języka o stanie rzeczy w ojczyźnie, spieszy czemprędzej do domów. Król, zostawszy niemal bez wojska, zmuszony był również Kijów opuścić i podążyć do Polski. Kiedy był już do kraju wrócił, wziął go wstyd ogromny i mścił się okrutnie, wielu jawnie karząc gardłem, innych zaś polecając podstępnie mordować. Srogość tę dziką łączył z rozpustą, którą z Kijowa wywiózł. Jął się więc podnosić zewsząd szmer oburzenia. Natenczas powstał biskup krakowski Stanisław, wiele razy głos do króla zabierał, prosząc o statek i błagając, żeby kres samowoli i uciskom położył. Jeżeli weźmiemy pod uwagę zapalność i zuchwalstwo króla, dziwić się zaiste trzeba odwadze bogobojnego biskupa. Kiedy atoli nawoływania żadnego nie odnosiły skutku, rzucił nieustraszony kapłan klątwę na króla, czem się na ogromne naraził niebezpieczeństwo. Do najwyższego stopnia tym postępkiem biskupa oburzony, wydaje król rozkaz zamordowania kapłana, a kiedy wojsko posłuszeństwa odmawia, sam w czasie modłów wpada do kościoła i biskupa, mszę św. sprawującego, własną ręką życia pozbawia. Jakie się musiały po tym niemym czynie głosy podnosić dokoła, wnioskować można z tego, że król w krótkim czasie zniewolony był z kraju uchodzić i tron na zawsze utracił.

W ten sposób mniej więcej opowiada o śmierci Stanisława Kadłubek, który swoją kronikę napisał o jakie 130 lat po skonie biskupa. Nasze obrazy illustrują wiernie tę stronę legendy. Pierwszy z nich wyobraża, jak mąż święty karci Bolesława Śmiałego, za zbyt okrutne karanie cudzołożnych matek, kazał im bowiem król do piersi szczenięta przystawiać, a dzieci ich sukom dał w opiekę. Na drugim namalowano rozsiekanie świętego przez dwóch katów. Trzeci odtwarza pogrzeb, czwarty zaś — kanonizacyę biskupa. Obrazy te znajdują się w bibliotece Pawlikowskich we Lwowie, malowano je z obu stron na kredzianym gruncie, na drzewie, a lubo tradycya odnosi ich powstanie do XIV. wieku, pochodzą one — jak wykazał M. Sokołowski — z czasów Zygmuntowskich.

Jan Długosz pisze w żywocie św. Stanisława, że zwłoki biskupa zostały w roku 1088 przeniosione z kościoła św. Michała na Skałce do katedry św. Wacława na Wawelu, gdzie je złożono w środku kościoła w sarkofagu zbudowanym z kamienia, z zewnątrz blachą złotą pokrytym, na którym wyryte były obrazy męczeńskiej śmierci biskupa; napis łacinski podaje te słowa:

Tumba Stanislai cineres tegit ista beati,
Regis Beleslai, quia non favet impietati,
Martyrio meritas coeli migrabit ad aedes,
Felix, cui Deitas merces, cui sidera sedes.



ŚW. STANISŁAW UPOMINA BOLESŁAWA ŚMIAŁEGO.

Z obrazu znajdującego się w bibliotece Pawlikowskich we Lwowie.

W przekładzie polskim:

Stanisława świętego w tej trumnie są kości,
Który Bolesławowi wzbraniał bezbożności,
Zasłużył pójść do niebios męczeńskim uciskiem,
Szczęśliwy, komu Bóg nagrodą, a gwiazdy siedliskiem.

Z dzieł i kazalnic przeszła postać i dzieje św. Stanisława do ludu, który teraz o nim opowiada cudowne baśnie i legendy. Tradycya historyczna ludu jest najczęściej od danego miejsca zależną. Toteż i podania o św. Stanisławie przechowały się najpóźniej w kolebce swiętego, w Szczepanowie (powiat brzeski). Oto co o nim nasz lud z tamtych okolic opowiada: Św. Stanisław urodził się z Wielisławy i Bogny. Kiedy przez czas dłuższy nie mieli dziecka, zanosili modły do Boga, obiecując kościół wystawić, gdyby im potomka zesłał. I tak się stało.

Na środku rynku Szczepanowskiego wznosi się lipa, która ma «przegnane ośmset roków» i dobrze Szczepana, jako żaka pamięta, bo się na nią, chłopcem będąc wspinał. Razu pewnego zanieśli koledzy Stanisława na niego skargę, bo mu bardzo zazdrościli, że ich w naukach przesadził. Już mu miał nauczyciel wymierzyć karę cielesną, kiedy dobry chłopczyna wyprosił sobie chwilę zwłoki, żeby módz zdjąć ubranie, bo matka, powiedział, jest biedna i nowego kupić nie może. Zdjął zatem odzież i zawiesił ją na promyku od słońca, co się oknem do komnaty wśliznął. Nauczyciel upokorzony w te się odezwał słowa: «Oj! Stasiu, nie ja ciebie mam karać, ale ty mnie.»

Święty Stanisław — opowiadają w Brzezowem — pewnego razu szedł z ojcem do Krakowa, gdzie miał nauki odbyć, przez puszczę niepołomską. Przechodząc miejsca błotniste, rzucał kamyki przed siebie i tym sposobem tworzyła mu się bita kamieniami droga. Ale jeno jemu ścieżka ta służyła, ojciec bowiem błotem przechodził. Nad Wisłą grochu sobie nieco urwał, za co go chłopi obili. Tak ich później Bóg wszystkowidzący skarał, że przez trzy miesiące nie rosił im niwy deszczem. Widząc co się dzieje, poszli chłopi przeprosić świętego, on zaś tak ich przyjął, jakby do nich urazy nijakiej nie miał. Kiedy do domu wrócili, chmura wielka nad ich gumnami zawisła, z której deszcz obfity na ziemię strapioną lunął.

We wsi Piotrowinie, w Lubelskiem, do dziś dnia opowiadają o zmartwychstaniu Piotra. Św. Stanisław fałszywie oskarżony, miał wskrzeszonego przeprowadzić przez Wisłę do króla Bolesława Śmiałego, który wówczas w Solcu roki sprawował. Do dziś dnia pokazują w tem miejscu ślad na Wiśle — jakby cieniutką srebrną nitkę wyciągniętą — jest to ścieżka, którą św. Stanisław wraz z swym świadkiem do króla dążył. Przy kościele piotrowińskim pokazują dotąd lipę z zieleniejącą koroną, korzeniami do góry wsadzoną. Ma to być kij, który w tem miejscu przez św. Stanisława zatknięty rozrósł się później w piękną, do dni naszych żyjącą lipę. Opodal kościółka świeci się źwierciadło jeziora, które posiada moc leczenia wszelkich chorób i niedomagań, w niem bowiem złowiono rybę, która połknęła jeden palec świętego, na 72 częsci przez okrutnych siepaczy pociętego. Tradycya opiewa, że kaci po trzykroć rzucali się na biskupa i po trzykroć byli przez potęgę niewidzialną odpierani. Dopiero, kiedy go król mieczem w głowę ugodził, nadbiegła tłuszcza i jęła ciało siekać. Członki, które na polu zostawiono, orły przed żarłocznem ptactwem strzegli, po trzech dniach zrosły się wszystkie w jedno ciało, a w nocy widziano dokoła

świece jarzące, które same zapłonęły. Ciało świętego złożono później w katedrze, tego bowiem życzył sobie święty, jak to we śnie, w dziewięć lat po śmierci, mieszczce Kazimierskiej objawił. Jeden z zbrodniarzy, Radwan imieniem, dla przebłagania Boga, wystawił kościół w Radwanie. Sądząc, że trzeba niebu większą złożyć ofiarę, uszlachcił on chłopów do wsi jego należących, dopuściwszy do swego herbu, a majątek swój Radwanowice, między wszystkich rozdzielił. Szlachta tu i po dziś dzień istnieje i łatwo ją od reszty tego stanu odróżnić. Uboga, jak zwyczajni chłopi, nosi sukmanę z waszecia, dość obdartą; przytem miny bardzo butnej, co ją szczególnie cechuje.

Żyje między ludem wiara, że w Białej Górze spoczywa Bolesław Śmiały i białe jego wojsko. Ale przyjdzie czas, kiedy się król butny z towarzyszami zbudzi, wtedy właśnie, gdy grzech swój ciężki odpokutuje i Bóg z niego zdejmie przekleństwo, przez św. Stanisława rzucone. Już się podobno wojsko razu jednego poruszyło, skutkiem czego pootwierało się kilka dołów, co spowodowało zagubę paru morgów lasu i pola. Pewien gazda za koniem szukając, natrafił na pieczarę, w której hussarza konnego ujrzał Zapytał go rycerz: «Czy już czas». — «Nie», odrzekł gazda, strach go bowiem na ten widok i na te słowa zdjął ogromny. «Bo my, mówił dalej hussarz, wojsko Bolesława, króla polskiego, co to był św. Stanisława porąbał, tutaj leżymy, przypatrz się. I wskazał gaździe mnóstwo żołnierza leżącego i konie, co przy żłobach stojąc, owies chrupały».



148. Wskrzeszenie Piotrowina przez św. Stanisława.

«Kiedy król za grzech swój pokutę spłaci — ciągnął rycerz dalej — to wyruszymy z tego leżyska ku wam».

Wspomnienie czynów ubiegłej przeszłości przekazuje potomkom pamięć, pędzel przykuwa do płótna, śpiew w dźwięki czarodziejskie zaklnie, rylec w marmur zakuje, ale może najwyraźniej do wyobrażeń pokoleń przemawia świątynia. Idąc prawym brzegiem Wisły, gdy miniesz Solec, ujrzysz przed sobą piękne, malownicze budowle, ocienione drzew zielonością. Pośród nich wznosi się skromnie nie wielki kościółek szary, w budowie gotyckiej. Wystawiony został roku 1440 na miejsce dawnego, zabiegami Zbigniewa Oleśnickiego, który młodym będąc, ślub uczynił, że jeśli dostąpi godności biskupa, miejsce to, cudami słynące, ozdobi murem. Kościółek to nad wyraz ubogi, ściany, nie pokryte tynkiem, przybrały ciemną barwę, a tu i ówdzie kępy mchu czarnego wystąpiły. Są to ślady sędziwego wieku, który go z lat upływem w szaty niemej powagi i surowości przyodział. Ale żyje ów przybytek, ku niemu zwracają się pobożnych oczy. Myśl, że to miejsce żywotem męczeńskim św. Stanisława ożywione, umysły przejmuje i wzrusza. Równocześnie z kościółkiem stanęła kaplica na grobie Piotra z Piotrowina, gdzie pierwej wznosił się kościółek z drzewa modrzewiowego. Jest ona co do budowy stylu i ozdób do kościółka zupełnie podobną, tak że domyśleć się łatwo, że musiała stanąć staraniem tegoż fundatora, a nawet podług planu jednego budowniczego. Smutek z niej wieje i powaga, podobna raczej do grobowca, zdaje się w tym celu być zbudowaną, żeby przekazać potomkom pamięć spełnionego czynu. Wnętrze kaplicy, posiadające sześć niskich sklepień krzyżowych, mieści wielką płytę marmurową na sześciu ozdobnie wyrzeźbionych podstawach spoczywającą. Jest to kamień grobowy, poświęcony pamięci Piotra, położony tam napis głosi: Hic jacet Petrus bis mortuus i t. d. Tu leży Piotr dwa razy zmarły. Ściany pokryte są malowidłami, większe z nich opowiadają cud dokonany, na mniejszych pobożna ręka wierzących zawiesiła wota.

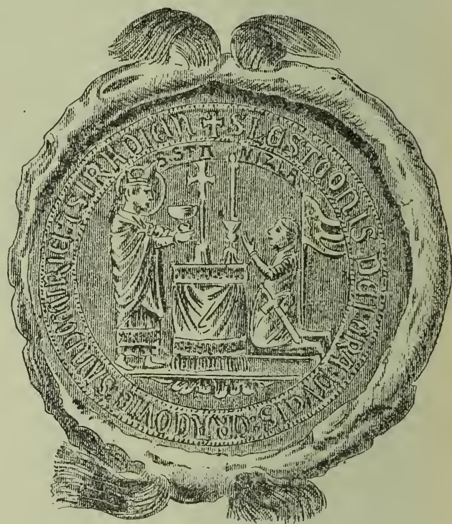


149. Relikwiarz św. Stanisława w kształcie ręki (w skarbcu katedry krakowskiej).

Począwszy od pierwszych wieków chrześcijaństwa dużą odgrywają rolę relikwie po świętych, nietylko w religii, ale i w sztuce. Prócz tych, które mieszczą się u ołtarza dla konsekracyi tegoż, inne — w celu zbudowania wiernych — stawiano w czasie nabożeństwa na ołtarzach, lub zawieszano na drążku. Czasem znajdowały pomieszczenia w naczyniach misternych, najrozmaitszych kształtów. Miejsce naczyń zajmują w czasie wojen krzyżowych skrzyneczki, najczęściej z kości słoniowej, potem z metalu, często widnieją na nich napisy, a nawet obrazy świeckie, na tle utworów poety osnute. Przepisy

synodalne z wieku XIII., wymagając koniecznie dla relikwi oprawy, otwierały dla rękodzieł i sztuki rozległe pole pomysłów. Powstają relikwiarze najrozmaitszej formy, jak skrzynki, puszki, wieżyczki, woreczki haftowane, popiersie, ręce i nogi, rzeźbione często z najdroższego materyału. Takie relikwiarze przechowywano zazwyczaj w skarbcach kościelnych, spotykamy się z nimi w zakrystyi lub na ołtarzach, umyślnie w tym celu budowanych. Wygląd relikwiarza stosowany był zazwyczaj do kształtu umieszczonych w nim szczątków. Po największej części miały formę krzyża, jeżeli zawierały ułamek krzyża świętego, co jeszcze i podziśdzień ma miejsce.

W skarbcu katedry krakowskiej przechowuje się relikwiarz srebrny, wschodniego pochodzenia, sięgający odległej starożytności, przeznaczony dla ziemi krwią męczenika biskupa skropionej, można tam również oglądać infułę, rzekomo przez św. Stanisława noszoną. Ozdobiona mnogością pereł (było ich około 200) i klejnotów, kształtem zdradza późniejsze pochodzenie. Jedną z najbardziej cennych pamiątek jest srebrny relikwiarz, ręką Zofii, żony Władysława Jagiełły oprawiony z napisem: Caput St. Stanislai, martiris gloriosi et episcopi cracoviensis (głowa św. Stanisława, męczennika słynnego i biskupa krakowskiego). Później ozdobiony został ten relikwiarz koroną emaliowaną, darem Anny Jagiellonki. Największej jednak doniosłości i najdroższą pamiątką jest relikwiarz złoty, drogimi wysadzany kamieniami, mieszczący głowę św. Stanisława. Ofiarowała go kościołowi królowa wdowa, Elżbieta, żona Kazimierza Jagiellończyka, oraz jej synowie, Jan Olbracht, który ze skarbca tak zwanego kollegium artystów dał na ten cel złota za półosma tysiąca (waga relikwiarza wynosi 35 funtów) i kardynał Fryderyk, który przyniosł w darze perły i klejnoty (wielkie, cudowne szafiry i czarne dyamenty). Nad drogi jednak materyał i ozdoby podnosi relikwiarz sama robota złotnicza, pochodząca ze schyłku gotycyzmu; arcydzieło to nadwornego złotnika Marcina Marcinka, jak o tem opiewa wyrzeźbiony poniżej podpis własnoręczny. Odkuwane i odlewane w płaskorzeźbie, ornamenty baldachimowe pokryte są ośmiu obrazami, przedstawiającymi żywot święty Stanisława, a mianowicie: 1) kupno wsi Piotrowina; 2) wskrzeszenie Piotrowina; 3) stawienie go przed sądem Bolesława Śmiałego; 4) zamordowanie św. Stanisława; 5) rozsiekanie ciała; 6) strzeżenie zwłok przez orły; 7) pogrzeb; 8) niesienie zwłok biskupa. W tym samym roku (1504) kiedy Elżbieta dar swój hojny ofiarowała kościołowi, Piotr Kmita, marszałek wielki koronny, złożył w ofierze ornat czerwony z historyą życia św. Stanisława. Osobliwie w oczy się na nim rzuca krzyż środkowy z ośmiu kwadratowych obrazków na lamie złotej wyszyty. Robota ta tak misterna, że czyni wrażenie płaskorzeźby dłutem lub rylcem wykonanej. Błyszczą się od jedwabiu i pereł ornamenty gotyckie i stroje osób przedstawionych. Obrazy same



150. Książę Leszek klęczy przed ołtarzem, przy którym św. Stanisław mszę odprawia.

są treści następującej: 1) umowa biskupa Szczepanowskiego z Piotrem, dziedzicem wsi Piotrowin o kupno wsi; 2) wskrzeszenie z grobu Piotrowiny; 3) stawienie Piotrowiny przed sąd królewski na świadectwo prawdy; 4) zabicie św. Stanisława podczas mszy św. na Skałce; 5) rozsiekanie ciała św. męczennika, dla pilnowania zwłok zlatują się orły; 6) pochowanie w sarkofagu zwłok św. Stanisława; 7) kanonizacya w Assyżu. A na ósmym obrazku wizerunek ofiarodawcy, herb jego i napis.

Relikwiarz złocony, zapisany w inwentarzu skarbca krakowskiego pod r. 1563, przedstawiający rękę św. Stanisława z jego pierścieniem naturalnej wielkości, daje początek nowemu szeregowi pamiątek, świętemu poświęconych, a odnoszący się już do okresu baroka. Z pamiątek owych czasów wymienić należy jeszcze grób św. Stanisława na Wawelu z czwartą z rzędu trumną wartości około 150.000 złr. Stawiony został przez biskupa Gembickiego roku 1671 i jest przyozdobiony dziesięciu obrazami scen z życia św. Stanisława, pięknie na trumnie wykutemi. Nie została głuchą na cześć powszechnie żywioną sztuka średniowieczna polska. Uwieczniła ona żywot patrona malowaniem i rzeźbieniem tryptyków, opiewających chwile bogobojne kapłana i skon jego męczeński. Podobnie złotnictwo i hafciarstwo, dotrzymują kroku sztuce, zdobiąc najcenniejsze i najbardziej misterne wyroby w epizody z życia męczennika. Winniśmy nadto zwrócić uwagę na liczne ilustracye, napotykane w najstarszych żywota św. Stanisława edycyach. Wymieniamy tu drzeworyt w wydaniu żywota Stanisława przez Długosza, drukowanem roku 1511 w Krakowie i fragmenta tryptyku, rzeźbionego na początku XVI. wieku w kościele N. Panny w Krakowie. Jeden z tych zabytków przedstawia kościółek na Skałce, podany tu w przerysie z pierwotnej swej budowy. Ubogo maluje się świątynia na ponurem tle zbrodniczej rzekomo napaści na świętego.

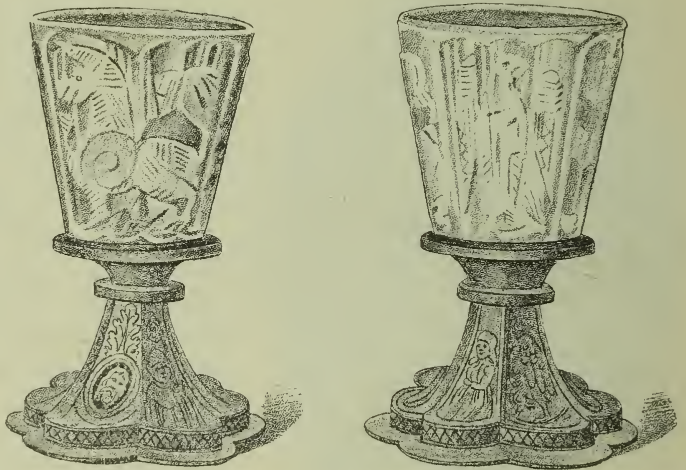


151. Pieczęć Jadwigi, księżny śląskiej i polskiej.

Leszko Czarny kazał sobie wykuć pieczęć majestatyczną, na której monarcha siebie i państwo sobie polecone oddaje pod opiekę św. Stanisława, jest ona zresztą wyrazem tego, co się później niezmienione przez łańcuch wieków powtarzało. Było bowiem we zwyczaju, że król dniem przed koronacyą szedł uroczyście na Skałkę oddać cześć należną miejscu, gdzie biskup w skonie męczeńskim oddał Bogu ducha. Potem wraz z orszakiem szedł do katedry i tam przed grobem św. biskupa siebie i rządy swoje opiece jego polecał. Kiedy król Jagiełło wracał zwycięsko z grunwaldzkiego pola, w znak wdzięczności kazał do Krakowa zawieść chorągwie i złożyć je na grobie św. Stanisława. U stóp tegoż grobu leżały później chorągwie Obertyńskie, które Tarnowski zdobył i do kraju przywiózł, a nawet znoszono łupy na Tatarach zabrane, a Sobieski ozdobił je trofeami z pod Wiednia.

Czci i chwale świętego Stanisława nie może dorównać kult św. Jadwigi, księżniczki śląskiej. Ale żywot jej, to jeden z najpiękniejszych pomników naszej

średniowiecznej literatury. Wedle prawdobodobieństwa autor żywota był mnichem, Polakiem i znał bliżej życie św. Jadwigi. W ciągłej będąc z dworem księżniczki styczności, a chcąc się za doświadczone dobrodziejstwa wywdzięczyć, postanowił jej czyny potomności przekazać. Kroniczkę swą, napisaną około roku 1300, oparł na dwóch kategoryach źródeł: 1) akta procesu kanonicznego, spisane przez komisarzy papieskich dla udowodnienia cudów świętej; 2) ustne podania osób, które znały świętą i bliższą miały o jej życiu i czynach wiadomość, albo też były świadome cudów, za jej pośrednictwem doznanych. W skład tego św. Jadwigi żywotu wchodzą też legendy większa i mniejsza oraz wywody genealogiczne. Na początku czytamy słowo wstępne, w końcu umieszczono bullę kanonizacyjną, wydaną 26go marca roku 1267. Pomnik ten przez Dr. Semkowicza wydany, nie wiele zawiera wiadomości odnoszących się do dziejów politycznych, nie było bowiem celem ówczesnych pisarzy tworzyć jakieś źródła, z którychby późniejsi historycy mogli wnioskować o warunkach jego wieku. Autorem kierowały jedynie cele moralne, chciał czytelnikowi pokazać cnoty św. Jadwigi, żeby go zbudować i zawieść na drogę bogobojności.



152. Kielich św. Jadwigi.

Bohaterka legendy spędza żywot nabożny w celi klasztornej, której nigdy nie opuszcza, ale odwiedzają ją ciągle nabożni, to żeby się nauczyć od świętej jak dostąpić zbawienia, to żeby słów jej słodziutkich zasłyszeć i w ciężkich chwilach wynieść pociechę. Kiedy święta Jadwiga umarła, grób jej był celem nieustannych pielgrzymek, a nie jeden, który w niemocy przywlókł się do mogiły, często z stron odległych, odchodził pokrzepiony na duchu i na ciele. Te właśnie postacie, po pomoc lub pociechę idące na grób świętej, znakomicie, z niezwyczajną plastyką odźwierciadlają stosunki Śląska, który wtedy był jeszcze całkowicie polskim. Przyjrzeć się tu można i ówczesnemu życiu duchownemu i obyczajom szlachty i zwyczajom ludu. Autor często wciska się do domów, barwnie maluje ich mieszkańców, chwyta w locie myśli i zdania. Najwyższą też u artystów wartość posiada pod tym względem «Żywot św. Jadwigi». Dzięki niezwykłej plastyce i wypukłości, pobudziła ta praca wielu malarzy do odtworzenia epizodów z życia księżniczki, a i niejeden poeta szukał natchnienia w tych obrazach pobożności, pokory, miłosierdzia.

Wielekroć odpisywana legenda o św. Jadwidze krążyła po licznych dworach książęcych, w kościołach, domach mieszczańskich na Śląsku i w całej Polsce. Przerabiano, ją tłumaczono i objaśniano, a razem z tem wzrastała i szerzyła się cześć dla świętej niewiasty daleko po za granicami kraju. Korzystał z legendy nieznany

autor kroniki książąt polskich, żyjący w drugiej połowie XIV. wieku, zużytkował ją Długosz w swej historyi, a jedną z najpierwszych książek drukowanych w Wrocławiu był niemiecki przekład tego pomnika.

Czoło żywota świętej zajmuje rodowód, stawiający na świeczniku Jadwigę, jakby gorejącą pochodnię, aby przykładem najpiękniejszych cnót, zasług i świętobliwych postępków, przyświecała wszystkim dzieciom świętej Matki, to jest Kościoła. Koleje jej żywota są typowym wyrazem średniowiecznych ideałów: «Służebnica boża» w dwunastym roku życia swego, dostała się w małżeństwo Henrykowi, książęciu śląskiemu i polskiemu, w czem spełniła raczej wolę rodzicielską. Małżonkowie zobowiązali się do czystości dozgonnej, otrzymawszy na to biskupie błogosławieństwo. Żyli z sobą 30 lat, jakby nie małżonkowie, przez cały ten czas księżna unikała tak dalece zetknięcia się z mężem, iż zbliżała się do niego, lub przemawiała tylko wtedy, gdy jej przyszło popierać jakie pobożne sprawy i to nie inaczej, jak w kościele lub miejscu publicznem, wobec wielu ludzi, a nawet złożonego chorobą małżonka odwiedzała jedynie w towarzystwie. Udręczała ciało swoje dla zabicia złych skłonności i powściągnięcia zwierzęcych jego popędów. Przez lat blisko czterdzieści wstrzymywała się od mięsa. Pościła o chlebie i wodzie, spożywała też częstokroć potrawy z popiołem zmieszane. Po długiem na modlitwie czuwaniu wypoczywała na gołych deskach, albo na tapczanie skórą okrytym, a biczowała się do tego stopnia, że nieraz, sączyła się krew kroplami z jej ciała. Widywano ją w tak silnym pobożnej myśli zachwycie, że bywała zupełnie nieczułą na zewnętrzne wrażenia.

Żarliwość religijną księżnej opiewa też autor leoninami, powszechnie w wiekach średnich używanemi. Idąc za mechaniczną takiego wiersza budową, możnaby jeden z tych epigramów w ten sposób przełożyć po polsku:

«Na mszy, na jednej, nie dosyć jest księżnie biednej,
Ilu sług nieba, tyle jej mszy mieć potrzeba.»

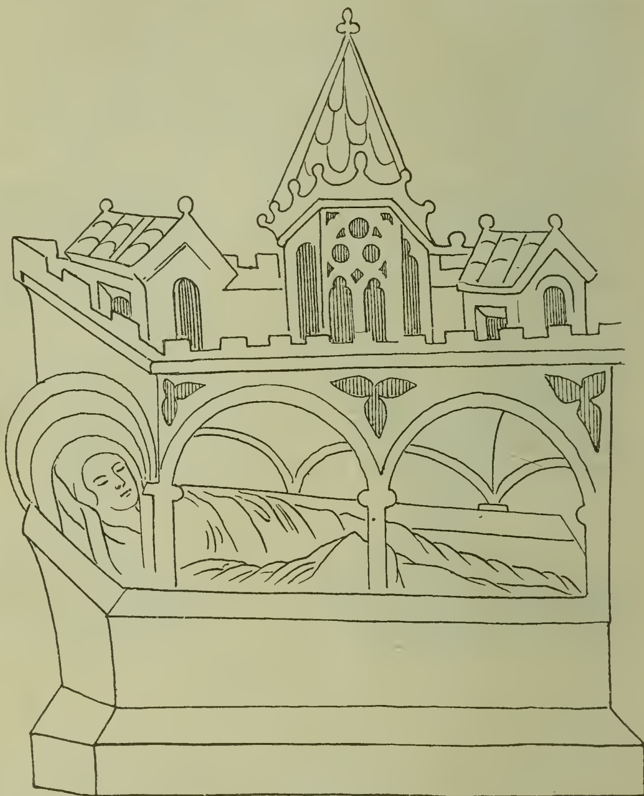
Posiadała liczne obrazy i relikwie świętych, które w wielkiem były u niej poszanowaniu. Kiedy szła do kościoła, niesiono je przed nią i stawiano w miejscu, gdzie się zwykle modliła. Szczególniej zaś umiłowała Bogarodzicę i dlatego często brała do rąk Jej statuetkę w słoniowej kości rzeźbioną. Posążkiem tym błogosławiła też chorych błagających o uzdrowienie.

Po takim opisie życia bogobojnej, autor podaje poczet cudów, zdziałanych przez nią za życia i po śmierci.

Legenda o św. Jadwidze była dziełem bardzo w wiekach średnich upowszechnionem; każdy niemal zamożniejszy klasztor posiadał jej odpis. Pobudziła też wcześnie i fantazyę ilustratorów, którzy nie odstępując od tekstu legendy, nie szli przecież ślepo za literą oryginału, ale stosowali ilustracye swe do pojęć i osób, jakich żywy mieli przed sobą przykład. Pozwala to nam wielostronnie poznać ówczesne stosunki społeczne. Pierwotny (z końca XIII. wieku) szereg obrazów, odnoszących się do życia św. Jadwigi zaginął. Najdawniejszemi ze znanych ilustracyi są rysunki, które zdobią rękopis biblioteki w czeskim Ostrowie, wykonane w roku 1353, z rozkazu Ludwika, książęcia lignickiego. Drugi z porządku, o cały wiek późniejszy, jest cykl obrazów w tak zwanym rękopisie Hornigowskim. Jest jeszcze trzeci szereg ilustracyi pochodzący, jak się zdaje, z końca XV. wieku, a to w tryptyku, zamieszczonym w kaplicy przy kościele niegdyś Bernardynów w Wrocławiu. O tych późniejszych nie wspominam, ale zatrzymam się przy najstarszym. W siedmdziesięciu i pięciu oddzielnych scenach, jakie przedstawia ta obrazowa

legenda, występuje wielkie bogactwo figur po większej części kształtnych, o ile wykazanie jakiejś potworności nie leżało w zamiarze rysownika. Zbytnia ich wysmukłość nie jest błędem artysty, ale cechą wszystkich postaci XII. i XIII. stulecia. W oderwaniu od świata materyalnego starono się nie tylko w sztuce, ale i w życiu umartwić i zniszczyć ciało, aby dostać się do nieba. Stronczyński, oceniając je, nie zdaje się również poczytywać za wadę obrazów stosunek wielkości figur. Był to w owych czasach sposób, używany powszechnie przez artystów, wykazujący różnice stanów i godności. Widzimy to jeszcze na tak zwanych wotywnych obrazach, gdzie obok świętych, niekiedy naturalnej wielkości, umieszczano maluczkie figury ofiarodawców. To też i w obrazach naszej legendy, obok wspaniałych rycerzy, walczy wojsko najemne z drobnych złożone figur. W ogóle brak tu zupełny perspektywy, ale też pojęcie to nie prędko się rozwinęło w średniowiecznem malarstwie i brak onego można nieraz zauważyć na bardzo starannych miniaturach obrazów z późniejszej nawet doby.

Na 39tym obrazie legendy naszej widzimy zupełne ubranie rycerskie, używane w końcu XIII. w. w Polsce. Kolcza zbroja, całe ciało okrywająca, na niej krótka, bez rękawów tunika, a na wszystkiem płaszcz długi, spięty na przodzie taśmą szeroką. Polacy, stanu wolnego, nosili na obcisłych nogawicach wysokie, sznurowane obuwie i tem ich wyróżnić było można od klasy poddańczej. Nadto szlachta krótko się strzygła; na szyję w ważnych okolicznościach kładła szerokie białe chusty, z prawej strony węzłem zakończone, co było znakiem czołobitnego poddania się stolicy apostolskiej. Na 36tej illustracyi legendy znajdujemy scenę sądową z XIII. wieku; między dwoma ławnikami zasiada sędzia, czy wójt. Jako znamię urzędowe nosi czerwony mucet z kapturem i wysoką, czerwonego koloru czapkę, a w ręku trzyma rodzaj ozdobnej, krótkiej laski, niby wójtowskiego berła. U pasa ma kaletkę czyli kieszonkę, przeznaczoną dla grzywien, pobieranych od podsądnych. Obok wójta siedzą po obu stronach ławnicy, starsi i władcy, a za nimi, w innej już ławie, znowu



153. Grobowiec św. Jadwigi (podobizna rysunku z r. 1353).



ŚW. JADWIGA, KS. ŚLĄSKA
(z pierwszej karty Legendy obrazowej)

urzędnik, prawdopodobnie pisarz. Gesta wszystkich zdradzają deliberacyę nad sprawą, osobiście przez św. Jadwigę przedstawioną. Prosta ławka oddaje tu usługę dzisiejszych, suknem nakrytych stołów i stąd niewątpliwie wywodzi się nazwa ławników. Między wieśniakami, których sprawy sama księżna broni, widać włościanina polskiego w długich butach i białej czapce — będących po dziś dzień w używaniu przez wieśniaków z okolic Szkalmierza — a w krótkiej, po kolana spływającej, sukmanie. Obraz 60ty wyobraża procesyę z świętemi relikwiami. Pochód ten uświetnia opat, niosący głowę, drugi — statuę Bogarodzicy, ze słoniowej rzeźbionej kości; kardynał niesie kości w rękach, za nimi postępują książęta.

Obrazy legendy św. Jadwigi dają pionowy przekrój społeczeństwa i jego zwyczajów na Śląsku z końca XIII. wieku. Tem większe cykl ten dla nas posiada znaczenie, że uplastycznia wypadki, które miały miejsce na ziemi, w ścisłych z Polską zostającą granicach, że przewodnią w tem wszystkiem rolę odgrywają książęta polscy, a cała niemal ludność polska szczery przyjmowała udział, że wreszcie i autor legendy i artysta byli prawdopodobnie Polakami.

Od chwili, kiedy Polska po raz pierwszy wystąpiła w szranki dziejowe, aż do roku 1164 Śląsk stanowił część nieodłączną tego państwa. Te same widzimy tam instytucye, nie inne (w główniejszych przynajmniej zarysach) zwyczaje, podobne, jak w Polsce, obowiązuje prawo. Dopiero później, kiedy Śląsk otrzymali w lenne dziedzictwo synowie wygnanego z kraju Władysława, który w przyjaznych z Niemcami zostawał stosunkach, poczyna tracić charakter rodzimy. W księstwach wrocławskiem i lignickiem, w których się najbardziej wpływ niemiecki rozpanoszył, stosunek ludności polskiej do niemieckiej ma się, jak trzy do jednego. Niemcy kolonizowali przeważnie osady miejskie. Jakoż w liczbie dwunastu mieszczan, przedstawionych w naszej legendzie, dwaj tylko znajdują się Polacy. W ogóle jednak Śląsk i wówczas, to jest aż do schyłku XIII. wieku, uważany był powszechnie za kraj polski, dowodem czego słowa ks. Pomorskiego, w legendzie przytoczone, wyrażające żal, że «wielokrotnie Polskę odwiedzając, nie poznał św. Jadwigi».

Skarbiec katedry krakowskiej przechowuje kielich po św. Jadwidze, zmarłej w roku 1243; wyrżnięty na szkle smok i orzeł świadczą, że pochodzi z pierwszej połowy XIII. wieku. Piedestał późniejszy, z czasów odrodzenia, ma w medalionie wyrytą postać św. Jadwigi, jak ją zwykle malują z kościółkiem i u stóp klęczącym opatem.

Zaiste, dalekiem jest od prawdy mniemanie, jakoby wiadomości historyczne ludu ograniczały się ostatnim głodem i wojną. Lud przechowuje w skarbcu swej pamięci wiele wypadków z odległych wieków, ale je po swojemu objaśnia i grupuje dokoła osób, które więcej od innych wyobraźnię jego przodków zajęły. Imię bohatera, który sławą swych czynów zachwycił lub zainteresował umysły ludu, szybko rośnie, chwała jego zakwita wieńcem cudownych opowieści. Na taki piedestał postawił lud polski księżniczkę śląską. W miasteczku Trzebnicy, o trzy mile od Wrocławia odległem, wznosi się kościółek, sławny grobem św. Jadwigi, opowiadają sobie tam wieśniacy, że pewnego razu dotarła do bram miasta chmura tatarskiego wojska. Polacy wyszli przeciw wrogom, a było ich tak niewiele, że naprzeciw dziesięciu Turków stawał jeden chrześcijanin. Zwycięstwo jednak odnieśli Polacy, pobiwszy wszystkich wyznawców półksiężyca, ale i z polskich hufców jeden tylko dowódzca pozostał przy życiu, odniósłszy ciężką ranę. Św. Jadwiga wzniosła wtedy modły do Matki Boskiej i wyprosiła, że wódz z rany się wyleczył, a wszystkim

Polakom, w walce poległym, śmierć była na sen odmienioną. Leżą owe hufce uzbrojone w jaskini, pod kościołem trzebnickim, rany im się pozamykały i lubo pozornie umarli, żyją, jedynie snem twardym zdjęci. Sam jeno dowódzca nad swem wojskiem czuwa, siedzi w podziemiach i na pałaszu wsparty, odmawia różaniec.

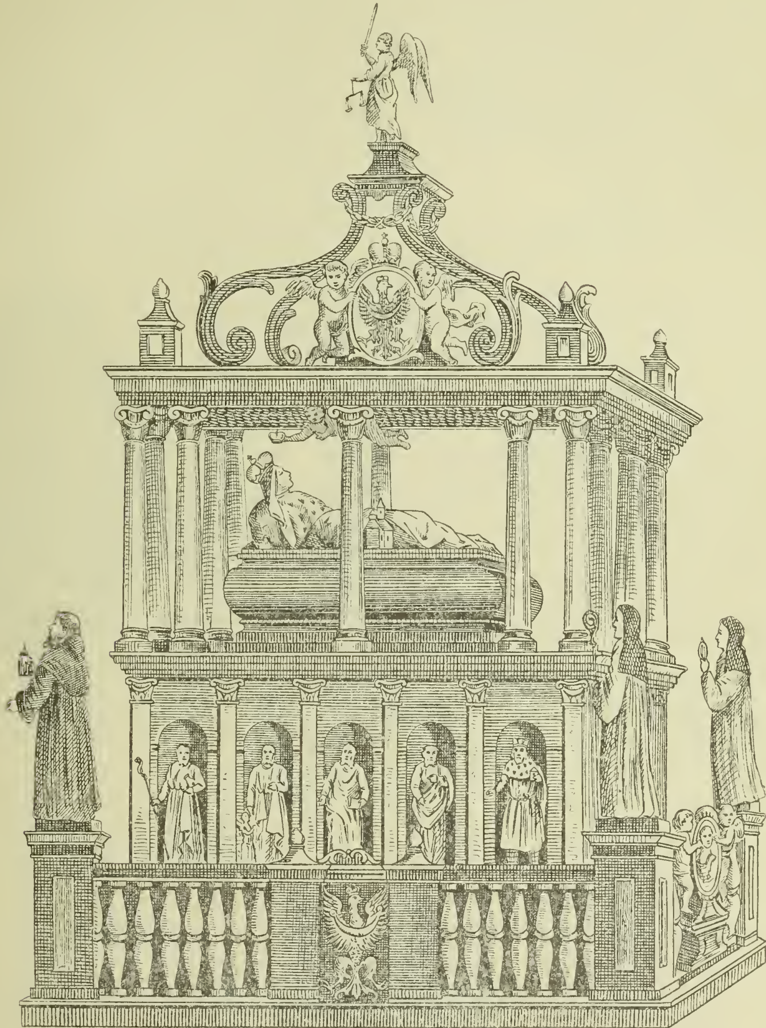
Z kolei wypada nam mówić o św. Jacku. Zajmuje on w sercach ludu miejsce zaraz po św. Stanisławie i św. Jadwidze. Największy to cudotwórca, najgłośniejszy z świętych, Polaków, w Europie, najgorliwszy apostoł Polski. Urodził się św. Jacek w rodzinie, bardzo podówczas potężnej, Odrowążów. Przyszedł na świat w drugiej połowie XII. wieku w księstwie opolskiem; kształcił się w Pradze czeskiej, a później w Bolonii. Jeżeli się w owym czasie pojawił nowy jaki zakon, wysunięty na widownię przez nową, odmiennymi warunkami zrodzoną potrzebę, pierwszymi mnichami, wiele w sprawy nowej reguły ognia i poświęcenia kładącymi, byli zazwyczaj księża świeccy, prałaci i kanonicy, którzy nie wahali się porzucić swe dostatnie prebendy, aby się całkowicie nowemu zakonowi oddać i podług jego reguł pędzić odtąd bogobojny żywot. Tak się działo u Cystersów i Premonstrantów, nie inaczej w XII. wieku w klasztorach pod wezwaniem śś. Dominika i Franciszka. Podobnie św. Jacek, ongi znakomity i jeden z najdzielniejszych w Polsce, zanim się w murach klasztornych zamknął, był, jak niesie tradycya, kanonikiem krakowskim i towarzyszył biskupowi Iwonowi w jego do Włoch podróży. Tutaj poznał św. Dominika, a wielce sobie jego reguły upodobawszy, poślubił ją i życia się świeckiego wyrzekł. Po powrocie do ojczyzny poświęcił się wraz z Czesławem misyi apostolskiej, jeden sobie obrał za siedzibę zachód, drugi udał się na wschód. Olbrzymi wpływ wywierał św. Jacek, gdziekolwiek się ukazał. Mowy jego, ogniem świętym natchnione, nawracały nabożnych, spragnionych słowa bożego, a i przykładem osobistym od grzechu odwodził. To też w krótkim czasie skupił dokoła siebie chętnych do przyjęcia nowej reguły św. Dominika. Zakłada klasztor w Krakowie, wnet potem w Sandomierzu, gdzie później zginęło czterdziestu zakonników pod nożami dziczy mongolskiej. Udaje się w ciągu dalszym na Mazowsze i buduje klasztor w Płocku, skąd puszcza się dalej na wschód między pogaństwo pruskie. Musiał się tam zaiste niepoślednim cieszyć wpływem, w krótkim bowiem czasie powstają klasztory w Chełmie, Toruniu, Elblągu i Gdańsku. Od brzegów Bałtyku zwraca kroki na Ruś, zawsze idąc pieszo, okazując cuda i nawracając. Za jego staraniem stają klasztory w Przemyślu, we Lwowie i w Haliczu, dokoła których gromadzą się koloniści polscy, kultywując i obyczaje swoje i narodowość. Potem widzimy go w Kijowie, bawi tam cztery lata i zostawia zbudowany kościół łaciński i klasztor.

Możeby utonęła w niepamięci płodna w owoce działalność apostolska św. Jacka, ale ją od zapomnienia ochronili zakonnicy. Lektor klasztoru dominikańskiego, Stanisław, chcąc pokazać pokoleniom sławę wielkiego życia św. Jacka, na podobieństwo Wincentego, który czyny św. Stanisława spisał, skreślił żywot żarliwego apostoła. (Od chwili kanonizacyi św. Stanisława upłynęło już wtedy całe stulecie).

Rzecz swą rozpoczyna porównaniem św. Jacka do błysków poranku, przy których chorzy doznają ulgi, ptactwo nuci, ludzie ze snu się budzą, a zwierz dziki z nory ucieka. O tem świetle — mówi autor — ja, brat Stanisław, lektor w Krakowie i najniższy z braci kaznodziejskiego zakonu, postanowiłem zwięźle i skromnie napisać ku chwale Boga w Trójcy jedynego, który wszystkich świętych stworzył

i niewysłowionym otoczył blaskiem, oraz ku zbudowaniu ludu, a opisałem wszystko, com znalazł w księgach i com słyszał od wiarygodnych ojców, którzy znali osobiście św. Jacka i z nim obcowali.

W istocie oparł swój żywot na źródłach bardzo nieprawdopodobnych. Opowiadając naprzykład o dwóch ślepych, którym św. Jacek zdrowie powrócił, wylicza



154. Grobowiec św. Jadwigi w Trzebnicy, na Śląsku.

między świadkami z roku 1242 Piotra, kasztelana krakowskiego, który w owym czasie nie istniał wcale. Na usprawiedliwienie atoli żywotopisarza można przytoczyć, że mu bynajmniej nie szło o przedstawienie w świetle bezstronnej prawdy wielkiej działalności św. Jacka, dążył on ku mecie wówczas wszystkim niemal pisarzom wspólnej. Miał głównie na celu zbudowanie czytelnika, prowadzenie go na drogę

pobożności religijnej. Zresztą w pracy tej chodziło raczej o użytek praktyczny; z układu widać, że ją autor pisał w celach kościelnych, żeby mogła służyć jako lektura na wieczorach klasztornych, tak zwanych horach.

Za króla Kazimierza Wielkiego — powiada Długosz — przyszło do sporu między Dominikanami i Franciszkanami krakowskimi o to, w którym z klasztorów mają wprzód dzwonić na prymaryę. Dominikanie rościli sobie do tego prawo na zasadzie starszeństwa. Franciszkanie powoływali się na założenie swego klasztoru przez księcia Bolesława Wstydliwego. Kazimierz spór w ten sposób rozstrzygnął, że ci mają pierwsi dzwonić na prymaryę, co wcześniej wstaną. Opowiadanie powyższe, lubo trudno przypuścić, żeby było na prawdzie historycznej oparte, dosadne rzuca światło na współzawodników dwóch pokrewnych zakonów. Odbicie jego widzimy w dziedzinie literackiej. Dominikanie wielce sobie pochlebiali, że posiadają życiorys wielkiego apostoła Jacka. Otóż i zakon braci niniejszych nie dał się wyścignąć Dominikanom; niebawem mnich franciszkański, Stanisław, spisuje żywot św. Kunegundy.



155. Pieczęć Kingi, królowej polskiej.

Piękny jej wizerunek, o liniach ostrych, głębokie czyniący wrażenie, zostawiła nam tradycya historyczna. Zaiste, nie wiemy co w tej królowej bardziej podziwu godne, czy chrześcijańskie miłosierdzie, czy miłowanie ojczyzny, czy twardy żywot pokutnicy, czy hart i rozum męski. Olbrzymi majątek wniesła księżniczka węgierska poślubiając Bolesława Wstydliwego; wynosił on, podług dzisiejszej obliczając monety, do czterech milionów. Zaraz po przybyciu do okolicy polskiej, część tej fortuny składa na ołtarzu potrzeb publicznych, wyprawia wojsko przeciw dziczy mongolskiej, dowództwo oddając Henrykowi Pobożnemu. Skoro tłumy tatarskie ustąpiły, królowa opatruje ofiary. Osobiście objeżdża okolice, zubożały lud od śmierci głodowej ratuje, wyprowadza z głębi lasów rannych, kładzie na wozy i prowadzi ze sobą. To też lud najgłębszą cześć dla niej żywi, korzy się przed nią na kolanach. Kiedy Bolesław Wstydliwy zeszedł do grobu, panowie krakowscy, oceniając cnoty i rozum królowej, proszą, żeby rządy w swym ręku zatrzymała. Kinga atoli zaszczytu nie przyjmuje i zostając Klarysą, pędzi odtąd twardy żywot pokutniczy. Postać królowej tyle ma powabów, iż zdawać się może, że ją poprostu fantazya poetycka powołała do życia.

Wiadomości nasze o św. Kunegundzie czerpiemy z żywotu, pisanego przez Stanisława, mnicha franciszkańskiego. Najstarsze to źródło historyczne w tym przedmiocie dzieli się na dwie części, w jednej znajdujemy opisane koleje życia królowej, druga wylicza sprawione przez nią cuda. Przepisy kościelne wymagały, żeby część ta ostatnia («Miracula») była spisywana w kościele. Zeznania świadków były czynione pod przysięgą w obecności komisyi z duchownych złożonej. Jak głęboko zakorzenioną była wiara w cuda św. Kingi, tego dowodzą liczne wota i ofiary pamiątkowe, gromnice i woskowe znaki, koło jej grobu zawieszone. W roku 1307, to jest w rok po jej śmierci, spis kościelny wykazywał tylko pięć cudów. Później liczba ich znacznie wzrosła. Spis z roku 1329 podaje o św. Kindze, że przywróciła 80 osób do życia, 60 niewidomych obdarzyła wzrokiem, 15 jeńców uwolniła z niewoli, a 300 chorych zostało przez nią uzdrowionych!



OBRAZKI Z ŻYWOTA ŚW. JADWIGI.

Istniał już przed opisaniem owych cudów właściwy żywot św. Kunegundy może około 1320 roku napisany. Domyślać się tego można z różnych szczegółowych wiadomości, dostarczonych przez świadków naocznych. Gdyby je była późniejsza opowiedziała tradycya, aniby przytaczała nazwisk, ani w tak nie wielką liczbę cudów skronie jej ukwieciła. Cały żywot św. Kingi wywiera wrażenie opowiadania starców, którzy dokładnie pamiętają sceny dawne. Klasztor starosądecki Klarysek posiadał skarbiec, mieszczący wiele po Kunegundzie pamiątek, zaginęły jednak, zdaje się, doszczętnie. Między innemi zasługiwał na szczególną uwagę żywot św. Kingi, z którego franciszkański mnich korzystał, a także przekład psałterza, który służył często królowej do modlitwy. Jak ten zabytek naszego języka, tak przepadła i «Kronika węgierska», spisana zapewne w XIII. wieku, z której także czerpał nasz pisarz.

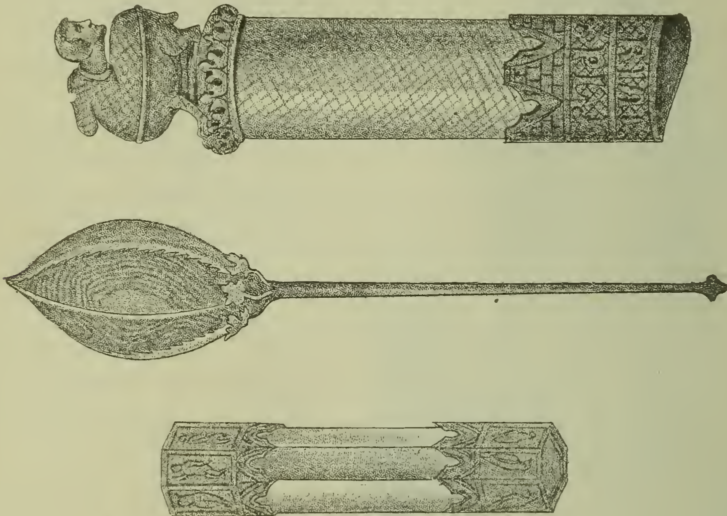


156. Statua św. Kunegundy w Starym Sączu.

Oto jakie motywa kierowały autorem, wedle słów jego własnych, kiedy zabierał się do swej pracy. «Od opisywania życia Kingi — mówi w przedmowie — niejedna mnie rzecz odwodziła; jej nadzwyczajna świątobliwość, krótkość mojego żywota, niepewność stylu i jawna moja ułomność cielesna. Jedynie dlatego tylko, że moje panie siostry w Sączu usilnie mnie o to proszą, biorę takie na swe ramiona brzemię».

W układzie zdradza autor nieudolność, i język sam często niepoprawny, co zresztą dziać się mogło przez liczne odpisy, które bez błędów i uchybień rzadko się obywały. Treść sama nieuporządkowana, brak jej nie tylko następstwa czasu, ale nawet częstokroć jedno zdarzenie po dwakroć opowiedziane. Z drugiej zaś strony dzięki tej prostocie i naiwności, należy ów żywot postawić wyżej od prac dominikańskich. Nie znajdujemy tu owego łańcucha cudów rozmaitych, w które obfitują żywoty św. Stanisława i Jacka; opowiadanie urywa się zaraz po skonie Kingi. Nie miało na celu otoczyć królowej aureolą świętości, żeby tym sposobem przyspieszyć kanonizacyę, widoczną jest jedynie chęć zbudowania czytelnika. Miał zapewne autor pod ręką i korzystał z wielu źródeł o założycielce klasztoru klarysek, to też sam swoje dzieło uważa jedynie za kompilacyę. To, co tam jest najlepszego, nie zostało zaczerpniętem z słowa pisanego, ale z żywej, tryskającej prawdą, tradycyi ustnej, z podań w pamięci ludu skrzętnie przechowanych.

Lud, zamieszkujący okolice Sącza, zgromadził dokoła postaci królowej nieprzebrane mnóstwo opowieści, legend i podań. W cudownej dolinie Popradu, niedaleko od wód Dunajca, wznosi się na tle dziewiczej natury zamek przymieszczony do skały, jak gniazdo jaskółcze. Tutaj w połowie XIII. wieku spieszyła królowa, kiedy nawalnica tatarska kraj cały zalała. Lud okoliczny po dziś dzień pamięta klęski i spustoszenia, poczynione przez dzikich wojowników. «Orda», niszcząc wszystko ogniem i mieczem, przeszła przez Sądeczyznę. Z okropnych tych wspomnień uplótł lud wieniec, którym ozdobił czoło cnotliwej Kingi. Z żalem i litością opowiadają górale, jak uwielbiona królowa szła boso po skał spadzistości. A że takiej pielgrzymki niezwyczajna, nieraz na nóżkach krwi kropla błysnęła — w ten sposób znaczyła swą drogę kraśnym ściegiem i łzami. Jeśli łza padła na ziemię, wnet gwoździk biały strzelił do góry, jeżeli krwi kropla, gwoździk czerwony. A kiedy u stóp



157. Łyżka i trzonek noża, pamiątki po św. Kindze.

Pienin, niedaleko Dunajca, wstąpiła na kamień, wnet głaz twardy zmiękł, i powstał ślad jej stopy, wyraźnie odbity, a z pod kamienia, na którym łzy gorzkie wylała, trysło źródło gorzkiej wody. Można i dziś oglądać w okolicach Starego Sącza kamienną płytę ze śladem stopy królowej, znajduje się ona pod ołtarzykiem, na piętrowym korytarzyku kościoła.

Mając siedzibę na zamku w starym Korczynie, kazała sobie królowa wykopać studzienkę na gruntach Nowego Miasta, dokąd w chwilach odpoczynku często lubiła chodzić po wodę do picia. Kiedy św. Kinga umarła, a kościół zaliczył ją w poczet świętych, przez długi czas cisnął się lud do tej studzienki, przypisując jej moce lecznicze. Długosz wylicza mnogie cuda, jakie woda z tej studzienki sprawiła i jeszcze za jego życia widziano wielu pielgrzymów, przybywających na to miejsce z wiarą w wyleczenie; a woda stamtąd rozwożoną była w dalekie strony. Do dziś dnia nie zakopano ulubionej św. Kingi studzienki, tak obfitującej w najczystszą wodę zdrojową, o jaką trudno w całej okolicy. Do osoby królowej odnoszą podanie, któ-

rego treść łączy się z odkryciem soli kamiennej w Polsce. Siedmdziesięcioletni starzec opowiadał niedawno jeszcze o Kindze; wprawdzie prostota opowieści jego upada pod brzmieniem ozdób stylu książkowego, ale mimo to stanowi ona dziś jeszcze doskonały typ współczesnej legendy o pierścieniu św. Kingi. Przed kilkuset laty żył na Węgrzech potężny król. Chełpił on się przed swym dworem, że muszą mu służyć nawet tajemnicze gór głębie, skąd wydobywa kruszec i sól. A miał ów król córkę cudownej piękności, o której w dalekich krajach rozbrzmiewało echo. To też wielu znakomitej młodzieży ubiegało się o rękę królewnej; jedni zwabieni jej urodą, drugich nęciły bogactwa. Żaden z nich atoli nie umiał w Kindze serca ku sobie nakłonić, a i król nie miał wcale zamiaru prędko się rozstać z córką. Pewnego razu zajechało na dwór króla dwóch posłów od króla polskiego, ci będąc wymowni, tak sprawę przedstawić umieli, że zgodzono się na oświadczyny. Uroczyście w całym kraju obchodzono ślub królewskiej pary. Kiedy nastąpiła wreszcie chwila rozłączenia, upadła pobożna Kinga do stóp ojca, prosząc o błogosławieństwo. Ojciec dał jej zamiast tego wiele złota i srebra, żeby miała czem zjednać sobie poddanych. Królowa atoli darów ofiarowanych nie przyjęła, tłumacząc ojcu, że bardziejby serca poddanych zjednała, gdyby im do kraju przywiozła, czego im brak — to jest soli. Prosiła więc ojca o jeden szyb soli z licznych kopalń w okolicy Marmaroszu. Król, prośbą wzruszony, uczynił zadość prośbie córki. Nic prócz pozwolenia ojca z domu nie wziąwszy, udała się Kinga w drogę do Marmaroszu, boso, z kijem w ręku, modłami u Boga prosząc pomocy. Kiedy na miejsce przyszła, zapytała górników, który z szybów najbardziej w sól obfituje. Robotnicy wskazali jej jeden z szybów, a ona, zdjąwszy pierścień z palca, rzuciła go w ziejącą otchłań i szyb ów zamknął się natychmiast. Wszyscy wypadkowi temu obecni padli na kolana, za cud to, co widzieli, uważając i za szczególną dla nich łaskę Boga. Potem królowa wraz z kilkoma towarzyszącymi jej górnikami marmoroskimi puściła się przez Karpaty ku Krakowowi, stolicy swego małżonka. Przed samym Krakowem, w oddaleniu sześciu mil od miasta, jakby natchnieniem z nieba wiedziona, kazała królowa kopać w tem samem miejscu, gdzie się obecnie znajdują szyby solne. Praca natychmiast okryła się w owoce, bo w niewielkiej głębokości górnicy natrafili rzeczywiście na bryłę soli, a w niej, o cudo! znaleziono pierścień ten sam, który św. Kinga rzuciła w szyb marmoroski. Od owej chwili ciągle są czynne kopalnie soli w Bochni. Mała wioszczyna wzrosła niebawem w miasto, zatrudniające rąk tysiące, a kraj cały żywi wdzięczność gorącą dla królowej, która obdarzyła naród niezbędną przyprawą i nie mało mu bogactwa przysporzyć zdołała.

Sama atoli królowa niedługo się cieszyła chwilami szczęścia. Po skonie małżonka zamknęła się w celi klasztornej, gdzie w lat parę dokonała żywota. Można i dziś oglądać w Starym Sączu, niedaleko klasztoru, lipy, które, jak niesie tradycya, wyrosły z kijów wędrownych, przez św. Kingę zasadzonych, a opodal miasta znajduje się źródło, z cierni przez królowę zaczarowane. Całe opowiadanie, nie bez kolorytu miejscowego, dość jest popularne między ludem; znajdziesz je w wielu książkach dla ludu przeznaczonych i w czytankach szkolnych, pisanych dla użytku młodzieży. Daleko odbiega ta opowieść od pierwotnego żywota św. Kingi, skreślonego przez spowiednika PP. Klarysek, jak to się łatwo przekonać można. Zarodkowa jednak forma opowieści mieści się w najstarszem źródle, to jest legendzie, którą potomności przekazał Franciszkanin, spowiednik zakonnic starosądeckich. W tej formie legenda owa, ozdób pozbawiona, z wyraźnym charakterem cudu, opowiadając wypadek z współ-

czesną prostotą, opiewa jak następuje: «Zdarzyło się zaś pewnego razu — brzmi dosłowne tłumaczenie z tekstu łacińskiego — że błogosławiona pani (królowa polska Kinga) wstąpiła na ziemię węgierską w celu odwiedzenia ojca swego (króla węgierskiego Beli IV.), gdzie łaska Boża, przez jej zasługi, okazała cuda. Pierwszy, godny jest obszerniejszego przytoczenia, albowiem, gdy od ojca swego króla Beli zażądała, by jej dano jedną kopalnię soli i za jego najłaskawszem zezwoleniem to uzyskała, stojąc nad wymienioną kopalnią, dla niej przeznaczoną, i wezwawszy łaski Bożej, błogosławiona Kinga rzuciła swój pierścień w ową kopalnię. Po dłuższym zaś czasie, gdy kopano w Bochni, dyecezyi krakowskiej, w pierwszym pokładzie (fovea) w jednej grudzie (banca) soli znaleziono wspomniany pierścień. Błogosławiona pani poznawszy go za swój własny, złożyła podziękowanie Bogu, który zawsze dla miłujących Go sprawia cuda».

Legenda ta przez starców opowiadana, na którą się żywotopisarz św. Kingi powołuje, zdradza rysy wyraźnie katolickie. Postać bogobojnej królowej jaśnieje w aureoli cnót chrześcijańskich i cudów, które następnie Długosz w swem opowiadaniu pomnożył. Ofiara okropnego męczeństwa wznosi się pod piórem historyka na wy-

158. Testament św. Salomei — strona zewnętrzna.
(Patrz odnośną tablicę.)

żyny cudownej róży męczeńskiej. Ten jej piękny, dla zbudowania pokoleń, ręką Długosza wzniesiony pomnik, powstał z materyału zebranego przez poprzedników. Jeno dłuto dziejopisarza martwy głaz zmieniło w klasyczny posąg, ziejący ogniem ascezy. Obrączka św. Kingi rozbłysła się w pierścień lśniących brylantów. Cała atoli postać w opowieściach poprzedników świecąca z obłoków, schodzi u Długosza na grunt realny, w rojowisko ludzkie, obleka szaty historyi, lecz to bynajmniej jej idealności nie umniejsza. Następcy Długosza rzadko czerpali z źródeł dawniejszych; wszystko niemal, co o św. Kindze pisali, spotkać można w dziele Długoszowem. Zmienia się nieznacznie treść podania w wieku XVI., historya z pierścieniem odniesiona jest nie do Bochni, lecz do Wieliczki, a kopalnia soli, w której królowa pierścień utopiła, podług tej odmiany, miała być jej, jako wiano, przez ojca ofiarowaną.

A teraz zobaczymy, co nam o tej całej sprawie powiedzą źródła, którym w tym względzie należy oddać pierwszeństwo. Najdawniejszą wiadomość o dobywaniu soli kamiennej w Polsce należy odnieść do połowy XIII. stulecia. Notatka w tak zwanym Roczniku krakowskim pod rokiem 1251 opiewa: «Sal dura in Bochnia est repertum, quod nunquam ante fuit». (Znaleziono w Bochni sól twardą, której pierwej nigdy nie było). Tyle tylko, wsparci na źródle dziejowem, powiedzieć

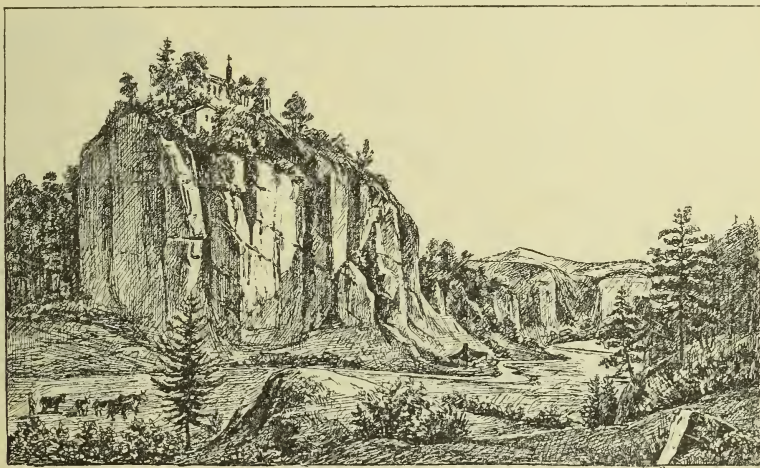
Testament św. Salomei z roku 1268 (w archiwum klasztoru św. Andrzeja w Krakowie).

(Strona wewnętrzna.)

możemy na pewno o tym wypadku ekonomicznej dla kraju doniosłości, który później dzięki współdziałaniu tradycyi ludu i kościoła, wraz z fantazyą i zmysłem kombinacyjnym dziejopisarzy, wyrósł w cudowną legendę, w której, jak w płaszczu anielskiej mocy i czystości, jaśnieje postać bogobojnej Kingi.

Po żywocie św. Kingi następuje w rękopisach «Życie św. Salomei». W formie do tamtego podobne, naprowadziło na myśl badaczy, że oba żywoty spisane zostały tem samem piórem. Można zresztą przypuścić, że zakonnice św. Andrzeja nie chcąc zostać w tyle za siostrami sandeckiemi, poleciły Franciszkaninowi napisanie żywota swej towarzyszki klasztornej. W ogóle nie bardzo jest wyraźnem źródłem «Vita Salomeae»; informacye tu zgoła błędne.

B. Ulaniecki odróżnia w «Żywocie św. Salomei», w dzisiejszej jego postaci, dwie części, z których jedna, zawierająca wykazy cudów, jest starszą i nosi na sobie wszelkie cechy powstania w najbliższym czasie po śmierci św. Salomei. Część ta dawniejsza posłużyła późniejszemu pisarzowi żywotu św. Salomei, jako ważne



159. Kaplica św. Salomei na Grodzisku.

i w szczegóły bogate źródło do nowych dodatków, czerpanych z tradycyi, a stanowiących drugą, młodszą część żywota. Jeżeli opisy cudów odznaczają się pewną dokładnością i pochodzą z wieku XIII., to dodane przez autora ustępy nie pozwalają wnosić, aby stał w bliższych z Salomeą stosunkach i sprawiają wrażenie, jak gdyby były spisane w lat kilkadziesiąt po śmierci królowej halickiej, a więc w XIV. wieku. Wiadomości o życiu Salomei znajdujemy w opowiadaniu nie wiele, spisane są w ogóle pobieżnie. Cała niemal praca wypełniona cudami, jakie za pośrednictwem jej welonu zostały dokonane; obejmują zaś przeciąg czasu od 1268—1273 i nagle się urywają.

Przeciw cudom istnieje w pewnych kołach uprzedzenie; trudno atoli zaprzeczyć, że rzucają one wiele światła na stan umysłów pewnej epoki i dużo mogą powiedzieć o poziomie oświaty, a nadto nie są bez znaczenia w badaniach nad życiem domowem danego stadyum ewolucyi dziejowej. W zamierzchłej dobie Piastowskiej stanowią nieraz jedyny materyał obyczajowy. Takie znaczenie posiada właściwe

podanie o św. Salomei. Z historyi wiadomo, że córka Leszka Białego, poślubiła króla halickiego Kolomana. Po skonie męża wstępuje do klasztoru Klarysek (1241), gdzie jako przeoryni roku 1268 w klasztorze w Skale Bogu ducha oddaje.

Przytoczony tu w podobiźnie testament św. Salomei, księżniczki polskiej opiewa: Wszystkim, którzy to pismo oglądać będą pozdrowienie! Pokorna sługa Chrystusa, siostra Salomea, ku wiadomości podpisanych: Znajome jest Wielebnościom waszym, że z Bożą pomocą, na ciele i umyśle zdrowa, w rzeczach i sprawach swoich, takowe czynię postanowienie. Chcę naprzód, aby wszystkie wsie należące do klasztoru mego na Skale św. Maryi (na Grodzisku przy Pieskowej Skale) ze wszystkiemi ruchomościami zostawały w mocy i zarządzeniu ksieni i zgromadzenia tego klasztoru. Inne zaś rzeczy, które na chwałę Boga i świętych Jego i na ozdobę domu bożego przysposobiłam, nie mają być pod zarządem ksieni i zgromadzenia klasztoru. Zakazuję najmocniej pod sądem bożym, aby rzeczy tych nie sprzedawały, ani nie zamieniały, lub pozbywały innym sposobem z klasztoru, lecz siostrze Salomei, którą uznawszy zdolną do strzeżenia pomienionych rzeczy, owe poruczam, niechaj je pilnie dozoruje i rzetelnie z pilnością strzeże i utrzymuje. Te zaś są: relikwie świętych pańskich, kielichy złote i srebrne, krzyże, kadzielnice, tablice i obrazy malowane, sprzęty kościelne rozmaite i kosztowne jako to: ornaty, dalmatyki, manipularze, alby i t. p. ubiory, których z osobna wyliczać nie można, dla ich mnogości. Wszystkie te rzeczy, siostra Salomea, którą jak wyżej za zdolną uznałam, niechaj strzeże i ochrania od zatraty. Ten jednak stanowię wyjątek, że gdyby najmilszym siostrom moim, wydarzyła się szkoda w budowli (klasztoru) przez ogień, lub najście nieprzyjaciół, wtedy nieco z wymienionych rzeczy, będą mogły sprzedać i oddzielić, zasiągnąwszy w tem rady Ojców Franciszkanów. Książki zaś tak kościelne, jak do nauki służące, tudzież te, które nabyłam dla brata Borysława, po zejściu jego, przekazuję do użytku braci, którzy zostawać będą przy pomienionych najmilszych siostrach moich i onym udzielać będą pociech religijnych. Zabraniam przeto najmocniej, aby książek tych, nikt nie ważył się unosić z mieszkania rzeczonych braci. Aby zaś postanowienie to, niewzruszenie zachowanem było, utwierdzone zostaje pieczęciami najukochańszego brata mego, księcia krakowskiego i sandomierskiego, także Wielebnego Ojca Pawła, biskupa krakowskiego, jako i naszą. Działo się na Skale św. Maryi, roku pańskiego 1268, dnia 28go sierpnia, w obecności braci zakonu św. Franciszka, Tomasza, kustosza krakowskiego, Wojciecha, naszego spowiednika, Justyna, gwardyana krakowskiego, Güntera ze Skały św. Maryi, Wawrzyńca z Bytomia, gwardyanów; Przybysława, Jakóba, Borysława, lektorów i Rinera.

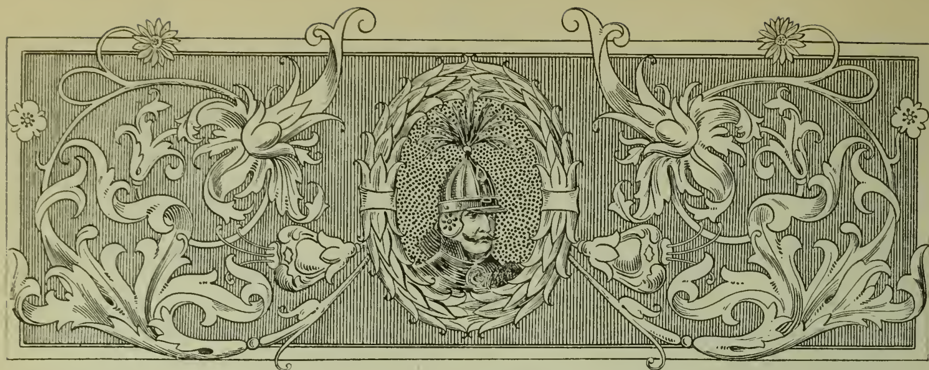
160. Pieczęć św. Salomei z roku 1268.

Podanie ludowe, które świeci wieńcem na czole św. Salomei, nie wiele się różni od opowieści, związanych z osobą królowej Kingi. Między wspomnieniami o mordzie zakonnic św. Klary przez Tatarów roku 1260 w Zawichościu, taką lud opowiada legendę: W klasztorze żyły pobożne dziewice, którym przewodziła Salomea, siostra księcia Bolesława. Napad dzikiej hordy tatarskiej spłoszył ciche dziewice z ich gniazda. Uchodząc przed sromotą raczej, niż przed śmiercią, ta bowiem nie

wiele ich straszyła, spieszyły do Krakowa. Przechodząc polem zatrzymuje się Salomea i w te zwraca się słowa do kmiotka, który w tej chwili zajęty był siejbą: «Nim słońce błyśnie z za góry, ujrzysz zbrojnych, którzy cię będą pytać: Ażali widziałeś księżnę z dziewicami tędy jadącą? Powiedz im, że widziałeś ją wtedy, kiedyś siał na tę niwę zboże». Poczem wraz z towarzyszkami pospieszyła dalej. Nazajutrz słońce krwawo błysnęło nad górami Zawichościa. Kmiotek wyszedł na niwę, ale, o wielki Boże, cóż widzi? Oto ziarno, które jeno wczoraj w ziemię rzucił, dziś przegina się kłosem, a cała skiba kołysze się zbożem obfitem, które tylko zbioru czeka. Jeszcze kmiotek z podziwu nie ochłonął, kiedy oto na widnokręgu widzi kurzu tumany; jedna chwila i staje przed nim gromada zbrojnych jeźdźców, z pytaniem, czy uciekających dziewic nie widział. «Widziałem» odrzekł. «A jak dawno?» pytają zbrojni. «Wtenczas, kiedym siał zboże». Po tej odpowiedzi, danej przez kmiotka, Tatarzy zaniechali próżnej pogoni za niewinnemi dziewicami i ich księżną Salomeą.

Przytoczyliśmy w grubych jeno zarysach postacie świętych, głównie w odbiciu «żywotów» i «cudów» spółczesnych — spieszymy zaś do własciwych źródeł historycznych, tej granitowej naszego dziejopisarstwa podwaliny.





ROZDZIAŁ ÓSMY.

ROCZNIKI I KRONIKI.

Mówiąc o pomnikach dziejów Polski średniowiecznej, nie podobna nie wspomnieć imienia uczonego, który w tym kierunku położył olbrzymie dla kraju zasługi. August Bielowski pierwszy powziął zamiar ogłoszenia naszych źródeł dziejowych, co też chlubnie po wielkim mozole wykonał. Jemu to zawdzięczamy «Monumenta Poloniae Historica» (Pomniki dziejowe polskie), gdzie zgromadzone zostało wszystko, cokolwiek udało się przywieść ze wszystkich niemal krańców Europy, ze wszystkich zakątków bliskich i dalekich, wydobyć na wierzch z pyłu klasztorów i bibliotek, dworów szlacheckich i mieszczańskich domów. Okazałe tomy, skarb prawdziwy materyałów do dziejów Polski, mogący śmiało rywalizować z podobnemi wydawnictwami, podejmowanemi z ramienia instytucyj państwowych, człowiek nie bogaty, własnym ogłosił kosztem. W zasłudze wydobycia na jaw i opracowania naszych średniowiecznych starożytności, poprzedza go Lelewel i przez to postacie ich umieszczam na czele tego rozdziału.

W dochodzeniu pierwszych brzasków swego istnienia narody spotykają takie same trudności, jak jednostki. Pamięć narodu i jednostki ma tu pewne podobieństwo do toni jeziora. Obrazy odbijają się wyraźnie, nie zostawiając trwalszych śladów. Tu i tam istnieją pewne wspomnienia, błąkające się luzem, niewyraźne, we mgle spowite. Żeby je do czasu określonego odnieść, wyjaśnić i wyprowadzić z nich wypadki rzeczywiste, potrzebna jest pomoc obca, starszych wiekiem, których pamięć była wtedy żywą. Jak człowiek, tak i społeczeństwo zawdzięcza pamięć swych narodzin nie życzliwemu otoczeniu, ale owszem ciemiężcom. Dziejowa świadomość budzi się przy kantacie zgrzytów i jęków.

Pierwszą wiadomość o naszych dziejach, że pominiemy pisarzy takich, jak Al-Bekri, Quasfini, otrzymaliśmy od Niemców, mianowicie w zgotowanej nam przez

nich klęsce. O obumierającem naszem pogaństwie dowiadujemy się od Ottona Widukinda, mnicha saskiego klasztoru w Korwei, lubo na ten zaczątek naszych dziejów kronikarz niemiecki dużego światła nie rzuca. Dalsze wypadki opowiada niechętny nam Dytmar, biskup merseburski. I później jeszcze ten i ów pisarz niemiecki lub czeski wydobywa z gruzów dziejowych jakąś cegiełkę, zachowaną szczęśliwie z przysypanego ziemią fundamentu. Zawdzięczamy również cudzoziemcom



161. Joachlm Lelewel.

pierwsze nasze zapiski historyczne; wzięli się do tej pracy z początku obcy duchowni, a dopiero później polscy kapłani idą w ich ślady, kreśląc swoje kroniki na wzór tamtych. Skąpo i tylko dorywczo przekazywano potomności wypadki w rocznikach, zapiskach, spominkach, lub w niedużych kronikach. Dopiero okres Jagiellonów wydał historyka, który usunął w cień wszystko, co w tej dziedzinie wiedzy wydało piśmiennictwo w Polsce. Nie można atoli, zachwycając się wiekopomnem dziełem Długoszowem, zapoznawać prace poprzedników, mają one niezaprzeczoną

dla historyka wartość, choć często są to jedynie nieudolne, mniej niż skromne opowiadania.

Smutnie przedstawia się obecnie stan tych zabytków. Wiele z nich zatracono; to, co przechowało się do naszych czasów, jest albo dorywczym odpisem, albo kompi-



162. August Bielowski.

lacyą urywków z najrozmaitszych epok. Kopiści lub kompilatorowie zacierali często znamiona miejsca i czasu, dodawali wiele od siebie, albo naodwrót pomijali ustępy, które im z jakichkolwiekbądź względów nie przypadły do gustu. Wynikło stąd wielkie w naszych źródłach historycznych zamieszanie, z którego trudno wybrnąć.

W tym odmęcie wydobywają się na jaw roczniki; jestto kategorya źródeł, sięgająca najdawniejszych czasów.

Rocznikiem nazywa się w dziejopisarstwie szereg zapisek, notowanych z pamięci jednego lub wielu autorów, celem utrwalenia w pamięci narodu ważniejszych wypadków. W zachodniej Europie trudnili się tą czynnością mnisi. Każdy wypadek donioślejszy, jak wojna, zgon lub nadzwyczajne zjawisko natury, było przez nich skrzętnie notowane. I u nas, skoro stanęły klasztory, przyjął się ten zwyczaj. Zrazu, nie znając ni ziemi, ni ludu, nie wiedzieli zakonnicy, czem owe zapiski zapełniać. Dopiero, kiedy się bardziej w nowej ojczyźnie rozejrzeli, a klasztory poczęły się roić od krajowców, powstawały liczne roczniki i wspominki, czyli, jak je z łacińska nazywali, kommemoracye. Z początku powstawały przygodnie, dopiero później zaciągano zdarzenia każdego roku. Pomniki te, im bardziej sięgają w przeszłość, tem większą zalecają się zwięzłością. I tu znowu przychodzi nam na pamięć dzisiejszy okres człowieka. Niemowlęciu wystarczy dźwięk nierozczłonkowany lub nawet ruch pewien, aby wyrazić to, co czasem ludzie dojrzali zamieszczają na całych stronicach. A nawet i później, choć bardziej słowami szafują, jednak rzecz samą wykładają prosto, bez sztucznych ozdób i retoryki. Zakonnikom szło w tych zapiskach przedewszystkiem o wypadki, będące w związku z ich kościołem lub klasztorem; notują więc fundacyę lub uposażenie domu Bożego, czyn znakomity dobrodzieja lub rok jego śmierci, a gdy zostawała wolna rubryka, umieszczają w niej wiadomości o jakiemś niebywałem zdarzeniu. Myśl ich nie przekracza granic prowincyi lub okresu; zazwyczaj tego tylko znają księcia, który ma nad nimi bezpośrednie zwierzchnictwo. Przeglądając szczupłą liczbę oryginalnych roczników, widzimy, jak nie trudno było dopełnić je różnymi dodatkami. Każdy rok miał przeznaczone jeden lub kilka wierszy, bez różnicy na to, czy się co wydarzyło godnego zapisania, czy nie. Pierwszy pamiętnikarz wnosił w rubrykę oznaczonego roku wiadomość o pewnym wypadku, zostawiając inne rubryki niezapełnione, dopiero w sto lub dwieście lat później zjawiał się ktoś, kto je uzupełnia, lub obok poprzednich umieszcza swoje zapiski. W roczniku oryginalnym można łatwo oddzielić to, co było ręką współczesnego zakonnika pisane, od naleciałości późniejszych. Takich atoli oryginałów nie wiele już dziś posiadamy. Zastąpiły je odpisy, w tych zaś jest prawie niepodobieństwem powziąć jasnego o ich powstaniu pojęcia, dotyla są tam zatarte znamiona danych osób, miejscowości i okresu.

Wszystkie narody rozpoczęły karyerę dziejopisarską od roczników. Wyprzedzają one wszędzie kronikę i historyę. A i dziś jeszcze istnieją narody, u których historyografia nie przekroczyła pierwotnych szrank rocznikarstwa. U narodów europejskich pierwotne to stadyum przypada na głębokie wieki średnie. Z tych niepozornych początków wyłaniają się później dzieła znakomitej wartości i sporych rozmiarów. Pierwsze zabytki analistyki polskiej pojawiają się w wieku XI., dochodzą do rozkwitu w XIII., a ciągną się jeszcze do XV. wieku, kiedy je Długosz raz na zawsze usunie z widowni. Z tych czasów zarodkowego dziejopisarstwa ocalało do trzydziestu kilku roczników. Wzorowane na podobnych pracach zachodniej Europy, nigdy nie stanęły na jednym z niem poziomie, ani pod względem formy, ani treści, niedorównywają im nawet rozmiarami. W najobszerniejszym roczniku, tak zwanym «Traski», nie znajdujemy więcej nad 15 kart folio; po nim największy, świętokrzyski, mieści kart dziesięć, inne ograniczone do skąpej objętości kilkunastu wierszy. Na palcachby w nich wyliczyć można miejsca, zdradzające zmysł dziejopisarski. Pisane ręką pospolitą, niezgrabnie, mechanicznie, bez krytyki — prawdziwa to zaiste poczwarka, z której dopiero później wyłoni się różnofarbny motyl — mają jednak niezmierne

163. Roczniki świętokrzyskie (z cesarskiej biblioteki w Petersburgu).

dla historyka znaczenie; każde zdanie, każdy zawarty w nich wyraz winien tu być ceniony, brak bowiem z owych czasów innych pomników nadaje im wagę jedynego źródła, a wobec tego wszelkie artystyczne i literackie względy usuwają się w głąb.

Dziejopisarstwo zawdzięcza rocznikom rachubę czasu, nasi kronikarze bowiem — do końca XIV. stulecia — nie znali chronologii. Pierwszy, a jeden z największych historyków, Długosz, budował gmach dziejów polskich na niekształtnych bryłach analistyki, a taki nawet rocznik «Traski», czytany przezeń w tym samym rękopisie, z którego tu podobiznę podajemy, był dlań dzielniejszą pomocą, niż kroniki Galla i Kadłubka. Cały układ, kierunek i duch jego dzieła nosi piętno ściśle rocznikarskie, gdzie każdy fakt opiera się na dacie, a tok dziejów płynie korytem lat i wieków. Dzięki rocznikom znajomość naszej przeszłości nie błąka się w labiryncie wypadków, ani nie wisi w powietrzu. Sędziwy ich wiek przewyższa, albo przynajmniej dorównywa wszystkim pomnikom. Rocznik wielkopolski starszy jest od pierwszego dokumentu, pisanego w Polsce, może nie ustępuje pod tym względem najstarszemu żywotowi św. Wojciecha, wyprzedza o wiek cały kronikarzy, oraz zabytki sztuki, a o trzy stulecia pomniki językowe. Warto zapisać w pamięci najdawniejsze, albo przynajmniej jedne z pierwszych wypadków, jakie kreśliła niewprawna dłoń rocznikarza na ziemi polskiej:

965 Dubrovca ad Mesconem venit (Dąbrówka przybyła do Mieszka).
966 Mesco, dux Poloniae, baptisatus (Mieszko, książę polski, ochrzczony).

Pierwsze roczniki pisane były na marginesach tak zwanych tablic paschalnych. Dla oznaczenia świąt Wielkanocnych «na wszystkie wieki» dokonali komputyści chrześcijańscy jedno z najważniejszych obliczeń na początku średnich wieków, znane pod imieniem wielkiego cyrkułu paschalnego. Przez pomnożenie cyklu księżycowego o 19 latach ze słonecznym o 28 latach, otrzymano okres 532 lat, po których upływie wszystkie święta ruchome przypadały w te same dnie, co przedtem. Zaczynano od 1go roku przed narodzeniem Chrystusa, aż do końca 531 roku, poczem następował drugi cyrkuł od 532 do 1063 roku i t. p. Taki wykaz chronologiczny, rodzaj kalendarza, miał postać tablicy, stąd nazwa: tabula paschalis. Otóż po bokach jej, na miejscach wolnych, zapisywano najważniejsze zdarzenia bieżące, a notatki te stanowiły pierwszy zawiązek rocznikarstwa. W literaturze włoskiej zachował się najstarszy, bo VI. wieku sięgający, zabytek tej kategoryi, którego pierwowzór pochodzi jeszcze z czasów rzymskich i znany jest pod nazwą fastów konsularnych. Anglicy chlubią się rocznikiem z VII. stulecia, annały niemieckie młodsze są o jeden wiek. Stąd rozeszły się po wszystkich krajach oświeconych kodeksy z owemi obliczeniami świąt, należały bowiem do najniezbędniejszych potrzeb kościelnych.

Każdy nowonawrócony naród zaopatrywano w taką tablicę paschalną. Przepisywano ją zazwyczaj razem z zapiskami na marginesach, a pierwsi misyonarze, którzy je do nowego zawieźli kraju, zapoczątkowali tu ten sam sposób zaciągania wiadomości spółczesnych. Na tej drodze poszukać należy zaczątków analistyki u nas, jak i zagranicą. Rocznik lubiński, którego podobiznę fotograficzną podaję, świadczy dowodnie o takiej genezie naszego rocznikarstwa.

Komórką zarodkową tej bujnie rozrosłej gałęzi naszej literatury jest rocznik wielkopolski, obejmujący wiadomości z lat 730—1034 i 1182—1191. Zaczyna się od zapisku o śmierci Bedy (Beda presbiter obiit), dalsze przejmuje żywcem z roczników niemieckich (augijskiego i hersfeldskiego) i dopiero wiadomościami o świętym

164. Rocznik tak zwany Traski (ze zbiorów Dr. Kętrzyńskiego).

Wojciechu i jego męczeńskiej śmierci schodzi na grunt polski. Ta ostatnia okoliczność daje powód do przypuszczenia, że autorem tego rocznika jest brat św. Wojciecha, arcybiskup gnieźnieński, Gaudenty. Jadąc z Niemiec do Polski przywiózł dla swej dyecezyi ową kompilacyę rocznikarską, spisaną na tablicy wielkanocnej a zawierającą także przepisy liturgiczne, i uzupełnił ją krajowemi wiadomościami. Jak najstarsze nasze roczniki w ogólności, tak i ten nie przechował się do naszych czasów w tekscie oryginalnym. Ząb czasu, nieświadomość ludzka, a przedewszystkiem nieustanne wojny i zaburzenia, panujące za Piastów, zniszczyły doszczętnie tę garść zabytków z XI. i XII. stulecia, jakieśmy posiadać mogli. Rocznik wielkopolski przechował się razem z swymi towarzyszami w tak zwanym najdawniejszym roczniku kapitulnym, wielkiej kompilacyi rocznikarskiej z XIII. wieku, będącej dla tej pierwszej odnogi naszego piśmiennictwa takiego znaczenia, jak pomnikowe dzieło Długosza dla dziejopisarstwa polskiego. Zachowały się też urywki roczników, sięgające dziesiątego stulecia, w rocznikach poznańskim i kamienieckim. Z przechowanych w oryginale roczników jest najstarszy świętokrzyski («dawny»), pochodzi z XII. wieku. Wprawdzie zapiski jego sięgają 948 roku, ale wciągnięte zostały ręką o dwa stulecia niemal starszą. O powolnym wzroście naszych annałów dają pewne wyobrażenie załączone tu w podobiźnie roczniki, z tych miechowski — z XIV. wieku — zdradza aż piętnaście rąk, które z kolei zapisywały godne pamięci zdarzenia. Nasze rocznikarstwo, jak inne pierwociny wiedzy, wyrabiało się powoli, wymagając pracy i mozołów, o jakich trudno dać pojęcie obecnemu pokoleniu. Powstawały one przy naszych kapitułach (gnieźnieńskiej, krakowskiej, płockiej i innych), tuliły się pod skrzydła klasztorów Wielkiej i Małej Polski. Autorowie ich, to naturalnie duchowni, ale nieznani z imienia. Właściwie nie można mówić o autorze tam, gdzie spółpracownikami są całe rzesze i pokolenia pisarzy. Wskutek późniejszych odpisów, kompilacyi i wstawek, zatarły się do reszty cechy oryginalności tych płodów, których żywot przypomina bytowanie niższych organizmów. O sposobie spisywania ich dają przykład roczniki lubińskie, obejmujące wypadki z lat 1143—1175 oraz 1247—1274. Najpierw oznaczano lata farbą czerwoną, cynobrem, następnie pod każdym rokiem zapisywano wiadomości najgodniejsze uwagi, miejsca zostawione przez pierwszego pisarza zapełniali jego następcy innemi zapiskami, naprzykład o biskupach poznańskich. Na odwrotnej stronie umieszczono kalendarz, czyli nekrolog i tym podobne rzeczy. Wszystko to powstało w gmachu opactwa Benedyktynów, w Lubiniu wielkopolskim, gdzie zakonnicy oddawali się jeszcze zajęciom literackim, kopiując dzieła rytualne i liturgiczne, roczniki i kroniki, prowadząc albumy osób do bractwa przyjęte, zakładając kalendarze zmarłych dobrodziejów i tym podobne księgi.

Roczniki spisywane w XIV. wieku przez Dominikanów — że tu wymienię tylko małopolskie, zawdzięczające swe powstanie minorycie zakonu kaznodziejskiego — wprowadzają zupełnie nowy żywioł do tej gałęzi produkcyi historycznej. Dawniejsi notowali sucho, bez okrasy, zdarzenia, dotyczące pewnej sfery, pod piórem pierwszych kaznodziei naszych, nabierają zapiski ciała i życia. Nie przywiązując wagi do miejscowości, w której żebrzący ten zakon nie miał żadnych dóbr ziemskich, czerpią barw do swej palety ze świata cudowności, z pisma św. i tym podobnych źródeł kaznodziejstwa.

W owym czasie powstał wielki zbiór roczników, kronik i innych źródeł, zwany Cronica magna lub longa Polonorum. Z licznych rękopisów tej kompilacyi

wydzielić można dwie rodziny czyli redakcye. Cechą pierwszej jest przechowanie całego zasobu materyałów w takim porządku, w jakim je wypisano z różnych kodeksów, w drugiej natomiast redakcyi widać już rękę porządkującą, lubo jeszcze bardzo nieudolną. W zbiorze tym mieszczą się także roczniki kapituły poznańskiej, podzielone na dwie części, z których pierwsza zaczyna się rokiem 965, a kończy na 1273, z dalszym ciągiem, sięgającym 1309 r., druga zaś obejmuje lata 1192—1247. Autorem głównego tych roczników zrębu był kustosz kapituły poznańskiej Godysław, czy Godzisław, zwany Baszkiem. Ojciec jego, kolonista niemiecki, nadał mu zapewne imię Gottschalk, które syn sobie spolszczył. Biorąc żywy udział w sprawach duchownych, świadkiem będąc wielu zdarzeń świeckich, korzystając nadto z różnych dokumentów — nadań książęcych, sądowych dekretów i t. p. — pisząc swoje roczniki spółczesnie, zostawił nam biskup poznański nie małej wagi historycznej pomnik. Dzieło jego przerwane w 1263 roku podjął następca, zapewne duchowny przy tej katedrze i doprowadził je do pierwszego dziesiątka XIV. wieku. Że był Polakiem, świadczy oburzenie, z jakiem wspomina o wzrastającym wpływie Niemców na Śląsku i o stosunkach książąt tej prastarej ziemicy polskiej do macierzy. Skąpszą w wiadomości jest druga część rocznika poznańskiego, której autorem był podobno Gerard, scholastyk a później dziekan poznański, zmarły 1275 r.

Z wiekiem rozwija się coraz bardziej nasze rocznikarstwo, ale nie rozradza się, jak drzewo potężne, im dalej od korzeni, tem bujniejsze, nie rozgałęzia się w coraz młodsze i drobniejsze potomstwo, ale rośnie niby strumyk lub potok górski, zasilany deszczem; z drobnych, lakonicznych zapisków powstają wielkie, potworne kompilacye przez wciąganie wyjątków z kronik, legend, katalogów opatów i biskupów, z aktów i ksiąg, przez łączenie różnorodnych roczników dawniejszych, wreszcie przez dodawanie nowych. Spotykamy tu już wtręty w interesie pewnych klas społecznych poczynione, jak naprzykład fałszywa bulla papieska z odpustami, wtrącona do młodszego rocznika świętokrzyskiego. Stało się modą klasztorów posiadać własny, najodleglejszej starożytności sięgający rocznik, układano więc i przepisywano różnorodne zapiski w jedną całość. Zwłaszcza zakony św. Dominika i Franciszka rozwinęły na tem polu gorliwą czynność, pod ich ręką rosły roczniki brzemiennie w obfity plon przedmiotów historycznych, aż z kruciuchnych, szkicowo rzuconych notatek, wyrobiły się potężne zbiory materyałów, wreszcie naukowe — w ówczesnem pojęciu — opracowania dziejowe. Na tym najwyższym szczeblu rozwoju zatracił się już prawie zupełnie pierwotny charakter rocznikarstwa. Nie wyłoniła się jednak indywidualność autora, nie zaświtała jeszcze świadomość subjektywnego pojmowania faktu, nie znano nawet pojęcia własności, jak nie podniecała ambicyi oryginalność. Nie tylko w dziedzinie historycznej, ale i w sztuce, w poezyi, naśladownictwo, kopiowanie, kompilacye były powszechnym zwyczajem. To też rocznikarze ostatniej doby przepisują dzieła swoich poprzedników całymi ustępami, bez najmniejszego skrupułu, tworzą kompleksy mozaikowe, mniej lub więcej zacierając składowe pierwiastki. Dla źródłowego badacza niepożyteczne, a nawet lekceważąco traktowane przez krytykę, mają kompilacye te wielką zasługę. Oto przeprowadzają dziejopisarstwo na wyższy szczebel ewolucyi, stanowią przejście od roczników do kronik.

Jak początki rocznikarstwa, tak i pierwsza kronika nasza jest obcego pochodzenia. Ale choć przez cudzoziemca nakreślona, nie przestaje być rodzicem polskiego dziejopisarstwa. Ze czcią bierzemy dziś do ręki ten pierwszy, mchem starości okryty pomnik literacki i radzibyśmy coś bliższego dowiedzieć się o jego autorze. Napróżno

VINCENTIUS KADLUBKO

ET

MARTINUS GALLUS

SCRIPTORES HISTORIÆ POLONÆ

VETUSTISSIMI

CUM DUOBUS ANONYMIS

EX MS.

BIBLIOTHECÆ EPISCOPALIS HEILSBERGENSIS

EDITI.

GEDANI MDCCXLIX.

Karta tytułowa Kroniki, tak zwanej Galla.

wydzielić można dw
całego zasobu mater
deksów, w drugiej r
bardzo nieudolną. V
podzielone na dwie
na 1273, z dalszym c
Autorem głównego t
czy Godzisław, zwan
imię Gottschalk, któ
wnych, świadkiem b
kumentów — nadań
spółczesnie, zostawił
Dzieło jego przerwa
katedrze i doprowad
świadczy oburzenie,
i o stosunkach książ
domości jest druga
rard, scholastyk a p

Z wiekiem ro
się, jak drzewo potę
w coraz młodsze i d
ski, zasilany deszcze
tworne kompilacye
i biskupów, z aktów
wreszcie przez doda
klas społecznych po
wtrącona do młodsz
siadać własny, najod
pisywano różnorodn
ciszka rozwinęły na t
w obfity plon przed
notatek, wyrobiły si
pojęciu — opracowa
już prawie zupełnie
indywidualność auto
faktu, nie znano naw
Nie tylko w dziedzi
piowanie, kompilacy
doby przepisują dzi
skrupułu, tworzą ko
wiastki. Dla źródło
przez krytykę, mają
stwo na wyższy sz

Jak początki r
dzenia. Ale choć pr
dziejopisarstwa. Ze
pomnik literacki i ra

jednak mozoli się myśl badawcza, aby dojrzeć w tej pomroce śladów jego życia. Przelał swą duszę w dzieło i znikł, jak nocy letniej senne marzenie. Nie zostało po nim nawet imienia. Pierwszy kroniki jego wydawca, również obcego pochodzenia, Gotfryd Lengnich, przypisał ją Marcinowi Gallowi, a zdanie jego, lubo pozbawione podstawy naukowej, utorowało sobie drogę do dziejów literatury. Jeden z najmłodszych historyków snuje następujące domysły o autorze naszej kroniki:

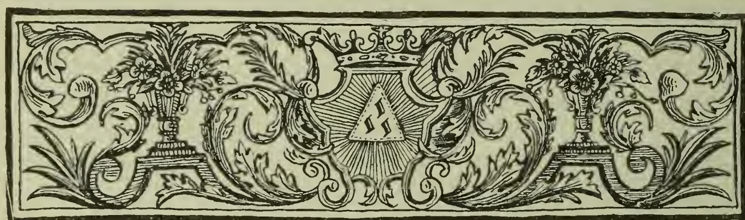
Nazywał się Balduin Gallus i był rodem z biskupstwa Leodyum, w dzisiejszej Belgii. W klasztorach tej dyecezyi miał pobierać początkowe nauki i odbyć studya teologiczne, poczem udał się do Polski, gdzie szukał karyery za przykładem swego krewniaka Balduina, biskupa krakowskiego (1103—1108). Bolesław III. rugował wtedy z klasztorów benedyktyńskich w Polsce mnichów słowiańskich, jako stronników Zbigniewa, a na ich miejsce sprowadzał Benedyktynów francuskich, którzy bronią tak zwanych «observationes Cluniacenses», tępili wszelkie pozostałości słowiańskie po klasztorach w Polsce. W owym czasie został nasz kronikarz, jako jeden z zaufanych kapelanów książęcych, przydzielony do klasztoru w Lubinie, którego był prawdopodobnie opatem. Później przeznaczony został Michałowi, kanclerzowi biskupstwa kruszwickiego, za pomocnika przy zaprowadzeniu «wiary» łacińskiej w Kruszwicy. Kiedy po śmierci Pawła, biskupa kruszwickiego, dyecezya ta się opróżniła, został za protekcyą Michała i księcia Bolesława III. biskupem kruszwickim (1113—1128).

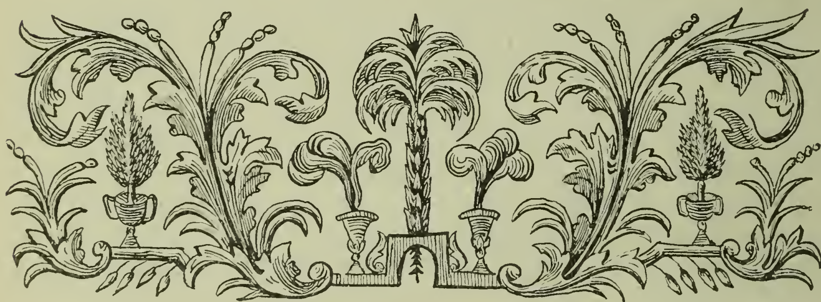
Niestety z samej kroniki o jej autorze niczego dowiedzieć się nie można na pewne. To tylko nie ulega wątpliwości, że nie był Polakiem. Sam bowiem mówi w liście, pisanym do kapelanów Bolesława: «Podjąłem się tego dzieła, nie dla tego, abym wychodźcem będąc między wami i obcym człowiekiem wynosił ojczyznę lub rodziców swoich, lecz, abym mógł wrócić do miejsca mych ślubów zakonnych z niejakim mej pracy owocem. Podjąłem się tego trudu, aby uniknąć próżniactwa i nie stracić wprawy w pisaniu, aby daremnie nie jeść chleba polskiego, to jest, żeby dać dowód wdzięczności za doznaną gościnność.» Zamilcza zupełnie swe imię, pragnie, aby dzieło jego, gdyby jakiekolwiek miało zalety, znane było jedynie pod imieniem pięciu prałatów polskich, którym je poświęca, zastrzegając tylko klasztorowi swemu względy królewskie i pożytek materyalny, o który się kilkakrotnie przymawia. «Gdybym — powiada w swej kronice — nie był wsparty powagą waszą ojcowie, dopiero z dostojeństw wymienieni, i waszą uczynnością nie był do tego skłoniony, daremniebym brał na barki ciężar takiej wagi, a w kruchej łodzi puszczał się na taką niezmierzoność groźnego żywiołu. Ale żeglarz zdoła bezpiecznie i na malutkim statku przerzynać się przez niebezpieczne tonie, gdy ma za sobą wprawnego sternika, świadomego zmian wiatrów i gwiazd na niebie wskazówki. Aby nas przeto nikt nie posądzał, iż strzępy próżności staramy się na popis rozwijać, książeczkę naszą postanowiliśmy nie własnem, lecz naszych biskupów imiony zatytułować. Dla tego też chwałę z tej pracy i zaszczyt przypisujemy tym książętom ojczyzny, to zaś, co na nas w udziale z tego względu spada, rzeczą będzie waszego sądu i względności przyznać nam lub odmówić.»

Kronika, tak zwana Galla, dzieli się na trzy księgi. W pierwszej, wstępnej, mamy pogląd na dzieje Polski od Ziemowita do Bolesława Krzywoustego, w drugiej, od czasów dzieciństwa ostatniego do wojny niemieckiej, trzecia opisuje panowanie księcia do poddania się Nakła, a właściwie do roku 1113. Całość krąży niby planeta do koła słonecznej postawy wielkiego księcia Bolesława III. Krzywoustego.

Z postawy bijącej ornamentyką świecidełek dworskich błyśnie czasem ostrze Temizy dziejowej. Przekazanie potomności świetnych czynów tego bohatera jest głównem zadaniem autora, jego gwiazdą przewodnią, opromieniejącą całe dzieło. Wzgląd na ten wytyczny cel, jakoteż niechęć duchownego zatapiania się w bajecznych dziejach bałwochwalstwa, skłaniają go do lakonicznego traktowania początkowych dziejów Polski. A i to służyć ma tylko, jak naprzykład panowanie Bolesława Chrobrego, za wzór podany swemu księciu do naśladowania. Natomiast zrąb dziejów panowania Bolesława Krzywoustego, szczegóły publicznego i prywatnego życia narodu z tego czasu, kreśli z całem przejęciem obowiązków historyka, z dokładnością i zamiłowaniem, które mu wyznaczają zaszczytne między kronikarzami miejsce w literaturze.

Autor nie pozbawiony jest świadomości zadania swego, wie, że jak malarza celem jest w ten sposób dobywać farb i cieni do obrazu, żeby się w nim rzeczy-





165. Winiety z powyższego wydania Kronik.

wistość odbijała, tak dążeniem historyka jest wydobycie z łona przeszłości prawdy i jej głównie szukać powienien na powierzchni spółczesnych wypadków. Jakoż, co się prawdziwości faktów dotyczy, należy kronika Galla do najcenniejszych źrodeł, na jakie się zdobyły wieki średnie. Nie należy jednak zapominać, że w onych czasach — a i dziś nie wiele się pod tym względem zmieniło — wszyscy kronikarze tak pisali, jak im interes ich książąt, biskupów lub zakonów dyktował. Temu wpływowi sfery, w której się obracał, ulegał i nasz kronikarz. Pochlebia więc przedewszystkiem swemu księciu i dla zaskarbienia sobie jego względów gotów nawet tłumaczyć duchowieństwu, oburzonemu na Bolesława III. za jego wiarołomne oślepienie Zbigniewa, słuszność tego okrutnego czynu. Przyznać jednak trzeba, że i tutaj wprost nie kłamie, nie przekręca faktów, jak to czynią spółczesni fabrykanci naszej opinii. Dla tego nie chcąc się przeniewierzyć prawdzie, a pomny losu pisarza idącego w tych czasach panowania autorytetu przeciw prądowi, zamilczał

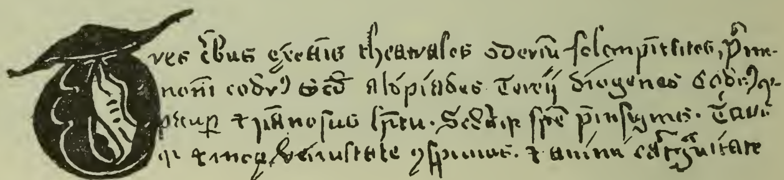
o niejednej krzywdzie i niesprawiedliwości, spraw drażliwych z lekka tylko dotykał. Ale nawet w takim wypadku zdobył się nieraz na wtrącenie bodaj kilku słów prawdy. Ona nad wszystkiem panuje i wszystko blaskiem niezwykłego ducha wyzłaca i podnosi. Przekonywa nas o tem stanowisko jego, zajęte wobec sporu księcia Bolesława Śmiałego z biskupem krakowskim Stanisławem. O pierwszym powiada tylko, że go kazał stracić, drugiego — lubo sam duchowny — nazywa wprost zdrajcą ojczyzny.

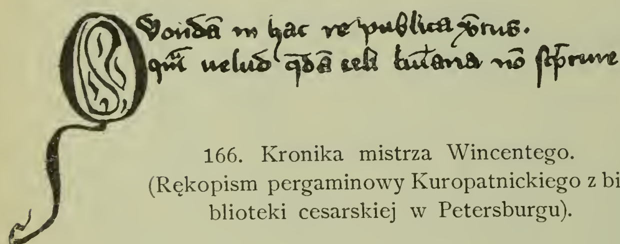
Jak wszyscy kronikarze średniowieczni, nie zdając sobie sprawy z powolnych przeobrażeń społecznych, przedstawiał Gallus dzieje dawno minione w świetle spółczesnych mu stosunków. Do obrazu, naprzykład, rządów Bolesława Chrobrego zapożyczał barw z czasów Krzywoustego. — Jako cudzoziemcowi brak mu w ogóle znajomości Polski i jej dziejów, a i stanowisko duchowne nie pozwalało na wszechstronne obejrzenie spraw publicznych. Z pokorą przyznaje się do tej swojej nieświadomości i dlatego zasięga rady u tych, którzy z danym przedmiotem dokładniej byli obznajomieni. Doradcami tymi byli prawdopodobnie owi biskupi, którym dzieło swe poświęcił, z wdzięcznością jednak wymienia, jako głównego pomocnika księdza kancelarza kapituły krakowskiej, Michała. Dalszem źrodłem były dlań podania ustne, wiele zaczerpnął z opowiadań naocznych świadków, wielu też zdarzeń był uczestnikiem lub widzem. Raz tylko powołuje się na dzieła obce (na żywot św. Wojciecha), z ustępów jednak, z których o dzieje starożytne potrąca, wnosić można, że posiadał odpowiednie wykształcenie, mniejsza o to, że nazywa Kleopatrę, królową Kartaginy.

Kronikarz nasz pisał językiem używanym powszechnie w wiekach średnich. Język ten przebiegł już był całą drabinę dziejowego rozwoju. Wyrugowany z życia, z piedestału literatury złotego wieku zepchnięty, wiódł pośmiertny swój żywot w murach średniowiecznych; zasilany barbarzyńskiemi zwrotami tak zwanej kuchennej łaciny.

W pomroce wieków średnich każdy naród obchodził się z językiem łacińskim tak, jak mu jego stopień wykształcenia na to pozwalał, naginał go do potrzeb i wyrażeń ojczystej mowy, przez co język ten stał się cudackim, niezrozumniałym, dziwolągiem prawie i przebierał tyle barw i odcieni, ile narodów pracowało nad jego skażeniem. Wspaniała waza Cyceronowej mowy okryła się dziwacznemi freskami najrozmaitszych kształtów, psujących wdzięk pierwotny. Znajomość języka łacińskiego szerzyła się po Europie wraz z chrześcijaństwem, z niem też zawitała i do Polski. Uzyskawszy tu prawo obywatelstwa w kościele, w sądownictwie i w całem życiu publicznem, podobnie jak w innych krajach, do których dotarły promienie światła rzymskiego, nie natrafił tu na lepsze warunki, lecz uledz musiał tym samym wpływom koszlawienia. Nie dbano u nas o czystość języka, życie nowe, od starożytności zupełnie odmienne, wymagało kucia nowych słów lub naginania starych. Chodziło zaś przedewszystkiem o zaokrąglenie mowy wierszami. W tym celu używano i nadużywano leoninów, rymowanych heksametrów, których nazwa pochodzić ma od mnicha paryskiego Leonina, znakomitego tych wierszy autora. I język Galla grzeszy łaciną barbarzyńską, napuszoną, a rytmy w rodzaju średniowiecznych leoninów nieraz kilka zajmują stronic. Wszakże styl jego jest dobitny, a bohaterowie są jakby dłutem rzeźbiarza wyciosane. Opisuje on tylko ich czyny, nie zapuszczając się w refleksye nad ich charakterem, ale postacie i wypadki mówią same za siebie.

Kronikarz nasz nie zaprawiał się na wzorach klasycznych, gorliwość bowiem chrześcijańska nie dozwalała, w owych czasach, zajmować się pogańskiemi dziełami. Czyż mogliby znieść prawowierni, żeby się nad ołtarzami Chrystusa paliły lampy, zasycane olejem, którym płonęły latarnie w świątyniach Romy? Śmieliżby, krzyż święty mając na piersach, zasiąść do uczty z wyznawcami Olimpu? Historycy średniowieczni odczuwali wstręt do wszystkiego, co było «pogańskiem», trzymając się zasady przyjętej przez mnichów, a sformułowanej przez Adama Bremeńskiego, że «bezużytecznem jest badać czyny niewiernych», zasady, którą i Gall powtarza w innych tylko słowach (Quos error et idolatria defedavit, memorare negligamus). Rzadko można było spotkać się po klasztorach i bibliotekach z pismami pogan, a jeżeli się gdzie znajdowały, to ich nie czytano. Znajdujemy jednak już i w Polsce Bolesławów ślady korzystania z dzieł klasyków rzymskich. Usiłowano dopatrzeć w nich aluzyj chrześcijańskich i w tym celu naginano je do swoich potrzeb. Najodpowiedniejszymi w tej mierze zdali się Seneka, Wergili, Cicero i Salustyusz. Na tym ostatnim pisarzu zaprawiał się też i Gallus. Przejął on się do tego stopnia





166. Kronika mistrza Wincentego. (Rękopism pergaminowy Kuropatnickiego z biblioteki cesarskiej w Petersburgu).

jego stylem, że piszącemu swą kronikę, co krok przypominały się mimowoli zwroty pisarza rzymskiego, którego sposób pisania, a nawet wyrażenie przyswoił sobie całkowicie. Opisy bitew w Gallu przymominają wojny Katyliny z wojskiem Rzeczypospolitej, lub walki w wojnie Jugurtyńskiej. Podobieństwo zdradza się stylem, wyrazami, całym układem. Z poetów starożytnych zna i naśladuje głównie Lukana.

Z kroniką Galla kończy się obce dziejopisarstwo w Polsce. Dzieło Kadłubka rozpoczyna kronikarstwo czysto polskie.

Na tle żyznych łanów ziemi sandomierskiej, w miejscu, gdzie rzeka Łukawa płynie wstęgą poprzez malowniczą okolicę Opatowa, znajduje się wieś Karzów. Miejscowość ta jest gniazdem naszego Wincentego. Przyszedł on na świat r. 1160 z ojca Bogusława i matki Boguny. Przydomek Kadłubek ma znaczenie patronimiczne (po ojcu) i dopiero w źródłach późniejszych w ten go sposób nazywają. Nic nie wiemy o jego latach młodzieńczych, ale dodatek «mistrz», bez którego nigdy o Wincentym nie piszą, każą przypuszczać, że wykształcenie odebrał w jednym z uniwersytetów zagranicznych, prawdopodobnie w słynnej Sorbonie. Mniemanie to potwierdza również złożona w dziele jego erudycya, zdradzająca znamiona oświaty romańskiej. Niektórzy nawet historycy liczą go do grupy, w której jaśnieją imiona Jana z Salisbury i Wincentego z Beuvais. Przejmował z zachodu teorye polityczno-prawne, gwałtem je w polskie wciskając stosunki. Kiedy był do kraju wrócił, został pro-

KRONIKA MISTRZA WINCENTEGO Z GLOSSAMI.

boszczem kolegiaty sandomierskiej. Po śmierci Pełki, biskupa krakowskiego, kapituła rozpadła się na dwie partye; jedna popierała na to stanowisko Gedeona, druga oddała głosy Wincentemu. Papież Innocenty III. rozstrzygnął sprawę na korzyść ostatniego, wychodził bowiem z tej zasady, że lepiej, jeżeli owczarnia wybiera sobie pasterza z pośród swego grona, aniżeli związanego z inną dyecezyą. Wincenty zasiadał na stolicy biskupiej od roku 1208 do 1218. Nie wiele wiemy o tych krótkich rządach biskupich naszego kronikarza. Zaledwie kilka wzmianek o darowiznach, garść dokumentów, gdzie Wincenty wymieniony jest jako świadek — oto wszystko, co nam dzieje w tym względzie przekazały. Na schyłku życia opuszcza stanowisko biskupa i zamyka się w celi klasztornej u Cystersów w Jędrzejowie, gdzie po pięciu latach, roku 1223, ducha wyzionął.

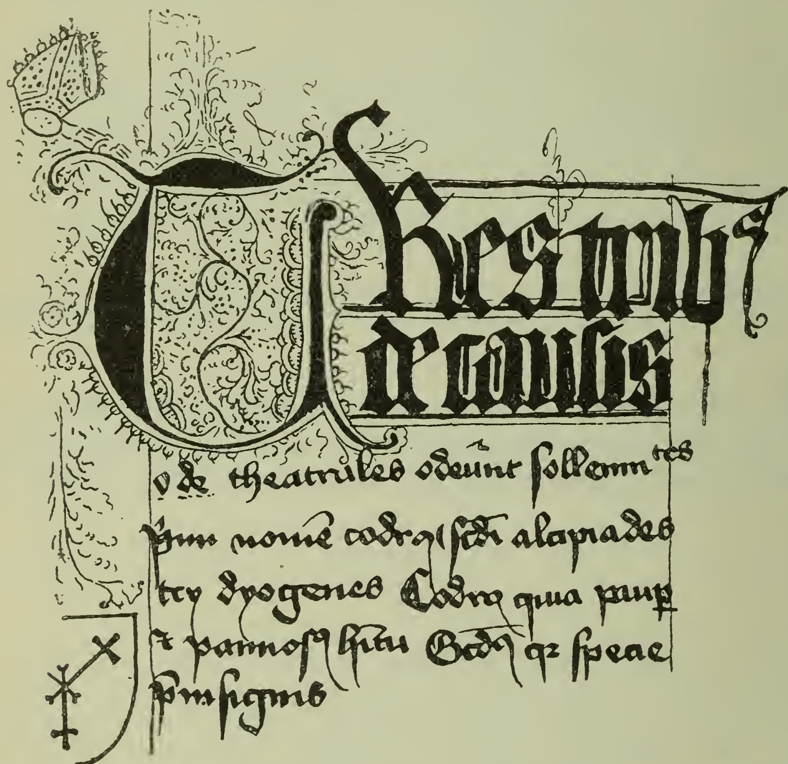
Kronikę swoją miał Wincenty rozpocząć dopiero w klasztorze, gdzie miał dość chwil swobodnych do pracy. We wstępie tak tłumaczy pobudki, jakie go do pisania skłoniły: «Nie owładnęła mną czcza chętka pisania, nie pobudza dążenie do prostego rozgłosu, nie chęć znikomego zysku ożywia, abym po tylekroć doświadczonych rozkoszach podróży morskiej, po często przebywanych niebezpieczeństwach rozbicia, miał uczuwać tęsknotę do tego, by w tych samych zatokach osiąść na mieliźnie».

167. Kronika mistrza Wincentego. (Rękopis pergaminowy Mikołaja w nadwornej bibliotece wiedeńskiej.)

Zeissberg twierdzi, że ową przystanią, do której zawinął po burzach żywota, był klasztor. Zanim się zdecydował zamknąć w celi i poświęcić życiu kontemplacyjnemu, musiał się wyrzec i pragnień i ambicyi i władzy. Przywdziewając habit należało u furtki klasztornej pożegnać się nietylko z różnofarbną odzieżą świecką, ale i z płomieniem żądz i namiętności. Trudno się jednak na podobne przypuszczenie zgodzić ze względu na styl ognisty, niespokojny, pełen spadków i wzlotów młodzieńczych. Skarży się autor, że grozi mu znowu burza wewnętrzna, że znów cisza dawna, jaką sobie był zdobył, zmąci się i zniknie, kiedy weźmie pióro do ręki, żeby opisywać dzieje. Wiele w nim wprawdzie dojrzało do życia klasztornego; rzuca gromy na żądzę zaszczytów, której się wyrzec musiał, «najzbytkowniejszą córą pożądliwości» ją mieni. A jednak tu i ówdzie wyśliźnie mu się słówko niebaczne, którem się zdradza z nadziei na infułę biskupią. — Najbardziej dojrzałą i jednolitą jest księga ostatnia. Możnaby rzeczywiście przypuścić, zwłaszcza, jeżeli przypomnimy sobie owe niebezpieczeństwa żeglugi morskiej, że tę część kroniki pisał w wieku późniejszym. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wziął Wincenty za pióro z polecenia Bolesława Sprawiedliwego i dopiero po jego śmierci ostatnie księgi dopisał. Trudno bowiem uwierzyć, aby zrzekłszy się biskupstwa i światowych godności,

w klasztorze przebywając, miał słuchać głosu Leszka i pisać tyrady na cześć jego ojca. Już prędzej na coś podobnego przystałby człowiek młody, żądny zaszczytów, a wrodzoną zdolnością i wykształceniem zwróciłby na siebie przychylnego naukom Kazimierza. Zresztą tak żywo defilują przed oczyma czytelnika szeregi obrazów w ostatnich rozdziałach, że nie trudno przypuścić, iż musiały być pisane niedługo po wypadkach, które w nich wyraz i zwierciadło znalazły. Oto w jaki sposób tłumaczy autor cel i zadanie swego dzieła:

«Mamy pośród muz nie płochy wyprawić chorowód, lecz zająć miejsce na wyżynach wobec świetnego senatu i opiewać nie cieniste trzciny po kępach, lecz



168. Kronika mistrza Wincentego. (Rękopis Jana mnicha w bibliotece Uniwersytetu krakowskiego.)

ojczyzny złote kolumny. Nie lalki z gliny, ale prawdziwe ojców wizerunki z łona niepamięci, z najstarszego trzona słoniowego wyrzeźbić nam kazano, bo i światło boskiego kagańca w zamku królewskim rozwiesić i wraz czoło wznieść w wojennych zapasach. Inna wszakże jest przedsiębrać co w nieoględnej skwapliwości, z chęci popisania się, z żądzy zysku, a inna spełniać wymogi wszechwładnej konieczności, niesłusznie bowiem jest opierać się słusznemu rozkazaniu. Zrozumiał to bardzo dobrze najwaleczniejszy z książąt (Kazimierz Sprawiedliwy), że wszelkie czyny bohaterstwa, wszelkie zacności oznaki, z przykładu przodków na jaw wychodzą, jakby z jakich zwierciadeł. Bezpieczniej puszcza się w drogę z przewodnikiem, gdy światło przed nami i wdzięczniejszy jest wizerunek obyczajów, mający za tło wzorową sta-

rożytność. Pragnąc tedy cnoty przodków zrobić udziałem potomnych, na mnie pisarza, na kruche me pióro ze trzciny, na pigmejskie me barki włożył brzemię Atlasa, nie inną zapewne kierowany pobudką, jak ta, że blask złota, że połysk pereł nie tracą swej ceny przez nieudolność artysty, podobnie jak nie kopcieją i gwiazdy, ukazane najczarniejszymi Etyopów palcami. Ani też wielkiego potrzeba u artysty dowcipu, iżby żelazo oczyścić ze rdzy, żużel wydzielić od złota. Ponieważ tedy byłoby niedorzecznością wahać się w podejmowaniu ciężaru, od którego uchylić się nie można, podejmę go więc wedle sił, byle mię ci nie odstępowali, którzy przychylnem sercem towarzyszą podróży przezemnie przedsięwziętej, których nie zdziwi się moje potknięcie lub upadek na gołoledzi, przy których uprzejmej życzliwości ciężar przestaje być trudem, wesołe bowiem w podróży towarzystwo jest niejako workiem podróży. To nakoniec wypraszam sobie u wszystkich, aby nie każdy o mnie wyrokował, lecz tylko ci, co umysłem wytwornym lub ogładą wyższą jaśnieją, aby nikt nas nie potępił pierwej, zanimby się w nas najpilniej nie rozpatrzył. Tylko bowiem rozgryziony imber daje poczuć swą siłę, a jest niegodziwa, nie rozpatrzywszy dzieła, wydawać o niem sąd. Skąpy tedy w pochwałach, niech będzie skąpszy jeszcze w naganie».

W kronice Wincentego, w tej oczywiście postaci, w jakiej do nas doszła, oryginał bowiem zaginął, znajdujemy cztery księgi z poprzedzającem je słowem wstępnem. W trzech pierwszych zachowaną jest forma dyalogu, który prowadzą dwaj «w wiek podeszli, rozsądni mężowie» Jan i Mateusz. Pierwszy, jako arcybiskup, steruje nawą kościoła gnieźnieńskiego, drugi, znany z gminnego przydomka Cholewa, od herbu, jakiego zwykł był używać — obleczony godnością biskupa krakowskiego. Obu arcypasterzy, Mateusza i Jana, serdeczna wiązała przyjaźń. Musieli nawet w jednym roku rozstać się z życiem (1165). I przez to księga czwarta jest już bez dyalogu opowiedziana, bo kronikarz nie chciał nowych wprowadzać osób. Niektórzy, biorąc tę okoliczność pod uwagę, odmawiali Kadłubkowi autorstwa trzech pierwszych ksiąg, przypisując je Mateuszowi. Trzeba by nam było w takim razie księgę «O starości» przypisać Katonowi Starszemu. Nie trudno zrozumieć wybór osób, które w zastępstwie autora myśli jego tłumaczą. Otrzymali oni role stosownie do piastowanej godności. Komentarz historyczny wykłada Mateusz, w którego osobie prawdopodobnie sam autor występuje, Jan zaś wziął na swe barki część etyczną, poglądy głębsze. W ten więc sposób toczy się dyalog, że do wypadków z dziejów ojczystych, opowiadanych przez Mateusza, dodaje Jan przykład z historyi starożytnej lub biblii: «Niechaj nie poczyta nam nikt — powiada Mateusz — za chełpliwość, iż do historyi naszych książąt wtrącamy nieco z dziejów innych książąt i narodów — polecenie nam dane nakazuje raczej wprost niepomijać tego, raz dla tej przyczyny, że similia similibus gaudent (podobne rzeczy cieszą się podobnemi), dalej, że podobieństwo matką jest towarzyskości i nakoniec, żeby człowiekowi nie zbywało ani na jednym przedmiocie ku ćwiczeniu umysłu. Któżby bowiem, widząc po obu stronach drogi wiszące winne grona lub figi, same do ust wpadające, przeszedł mimo, nie tknąwszy ich. Lecz godzi się jeno siły pokrzepić, nie zaś kieszenie niemi ładować. Życzymy tylko, by z nowej beczki twej piwnicy coś jeszcze przyjemniejszego zostawiono przed spragnioną duszą».

Na to daje Jan taką odpowiedź: «Nie jestem zdolen znaleść słów podzięki za to, iż nie pogardzasz mocnym jak ocet kwasem mojego wyroku. I mnieby przykrem nie było mówić, co potomności potrzebne, gdyby zazdrość nie zamykała mi ust na

kłódkę milczenia. Bo, jak mówią, trudno przekonać kogoś o kłamstwo w tem, czego nikt nie wie; trudno uniknąć fałszu temu, kto wiele rozprawia o rzeczach niewiadomych. Lecz dalekiem niech będzie od prawdy twierdzenie fałszu, by też trochę drożdży nie zepsuło wszystkiego ciasta».

Jużeśmy wyżej wspominali, że w Polsce otwarty wykład prawdy był sprzężony z niebezpieczeństwem; nieraz trzeba ją było ciężko odpokutować. Dzieje Długosza uległy zakazowi, wydawca i drukarz musieli się przed trybunałem sądu sejmowego tłumaczyć. Miechowita z rozkazu wyższej władzy zmuszony był poczynić odpowiednie zmiany w drugiem wydaniu. Jakiż gniew, ileż pytań i żalów obudziła dokoła książka Łubieńskiego. Nie inaczej działo się w wiekach poprzednich, to też historycy nie ganią ostrożności, z jaką się wyraża Wincenty, owszem podnoszą zręczność jego wymijania. Musiał atoli i tak poddać kronikę swą pewnym skróceniom i odmianom. W tej formie, w jakiej nas doszła, urywa się w ten sposób, że nie kończy zdania. Wydawcy, którzy poczynili w niej odpowiednie dodatki, zamykają zdanie punktem. Ale przez to nie został usunięty brak, który bije w oczy, nie tylko ze względu na język, ale i paleografię. Dr. Wojciechowski domyśla się, że Kadłubek napisał część dalszą, ale usunięto ją może ze względu, że zawierała sprawy, należące w owych

169. Kronika mistrza Wincentego z glosami. (Rękopis hr. Działyńskiego w Kurniku.)

czasach do drażliwych. Ostatni rozdział chciał zapewne poświęcić panowaniu Władysława Laskonogiego, który prawem majoratu, jako najstarszy wiekiem potomek Piastów, ujął w swe ręce ster państwa i stoczył zacięty bój z arcybiskupem gnieźnieńskim Kietliczem w obronie prawa inwestytury. Za broń świecką w obronie kościoła chwycił Leszek Biały, książę sandomierski, który zrzekł się inwestytury i został niejako w lennym od papieża stosunku.

Po upływie dwóch lat zasiada Kadłubek na stolicy biskupiej w Krakowie, jako pierwszy biskup, który został wyniesiony ne tę godność nie przez zatwierdzenie księcia, ale z kanonicznego wyboru kapituły, jak to przepisywał nowy rzeczy porządek, po ustąpieniu Laskonogiego w kościele zaprowadzony. O ile sądzić można z różnych wyrzeczeń Kadłubka, nie należał on do tej grupy duchownych, która prowadziła walkę z tronem. Owszem był jej poniekąd przeciwny. Ani upodobanie w duchowej równowadze, ani pewna doza wesołości i pogodnego na świat poglądu nie mogły go wtrącić w owe szranki, gdzie się ścierają potężne żądze, gdzie walczą o władzę i pierwszeństwo. Może wystąpił jako obrońca dziesięciny kościelnej, ale trudno w kronice nastąpić na poszlaki, przekonywające nas, że się prawu inwestytury książęcej przeciwił. Ostatni, niedokończony rozdział, panowaniu Laskonogiego poświęcony, otacza skroń książęcą takim wieńcem zalet i przymiotów duchowych;

KADLVBKONIS. 575.

Ludouicum Iagello ſupremus Dux Lithuan. quem Bodzanta Archiepiſcopus Gneſnenſis in Eccleſia Cracouien. baptizauit. Anno Domini, 1386. quo defuncto. Anno Domini, 1434. filius eius Wladiſlaus succeſſit, quem Reuerendus Pater dictus Iatrzebiec, Archiepiſcopus Gneſnenſis cum ſuis coepiſcopis, videlicet Sbigneo Cracouienſi, & Staniſlao Plocenſi, Wladiſlao Wratiſlauienſi, Ianuſſio Przemyſlienſi. Cunctisq; exultantibus in Regem Poloniæ, in Eccleſia Cracouien. coronarunt.



kop. [illegible] 95

Ostatnia karta Kroniki Wincentego.

Hiſtoria Polonica, VINCENTII KADŁVBKONIS EPISCOPI CRACOVIENSIS.



DOBROMILI

In Officina Ioannis Szeligæ. Anno Domini 1612.

Karta tytułowa Kroniki Wincentego Kadłubka.

że trudno przypuścić, aby autor, w ten sposób rozpocząwszy opis panowania Władysława, miał go w końcu potępić, za to, że go kościół wyklął i pozbawił tronu. Naprowadziło to prof. Wojciechowskiego na domysł, że owa opuszczona część kroniki mogła posiadać ustępy, kościołowi nieprzychylne, zdania i poglądy, których ani późniejsi książęta, ani duchowni puszczać nie chcieli między czytających. Podług innych uczonych miała być kronika niedokończoną z powodu śmierci autora.

Przeglądając liczne rękopisy Wincentego, dojść musimy do wniosku, że już od czasów najdawniejszych książka jego, ulegając przeróbkom i przekształceniom, była nietylko skarbem wiedzy historycznej, ale zarazem książką szkolną stylu i łaciny. Już w najstarszych odpisach natrafić można na nieliczne jeszcze glosy, czyli objaśnienia, których liczba później wzrasta. Oczywiście zasługuje to na chwałę pedagogów, którzy dzieje ojczyste wprowadzili w program nauk szkolnych, ale zapomnieć trudno, że nie umiejąc cenić wartości oryginałów, często popełniali nadużycia. Nieraz pióra komentatorów zmieniały formę i treść kroniki, co szczególniej odbijało się na ustępach, których z powodu niedostatecznych wiadomości nie mogli zrozumieć. W takich wypadkach dodawali wiele objaśnień od siebie, na któreby się pewnie sam autor nie zgodził, inne zupełnie zmieniali. Zwłaszcza odnosi się to do nazw, które wyradzały się w jakieś poczwarne wyrazy; często w miejscu, gdzie z toku treści winno się znajdować nazwisko człowieka lub kraju, stoi czasownik.



170. Pieczęć biskupia mistrza Wincentego (ze zbioru monet Piekosińsiego).

Kronika Wincentego nie płynie pogodnie, jak fale rzeki o zmroku, ale pędzi jak rumak spieniony. Pod koniec zmienia się w półurzędowy opis wypadków za Laskonogiego, pełen pochwał, dytyramb i prostych pochlebstw. Kronikarz nazywa go «ze złotego naczynia tryskającem źródłem, pełnem wonności, które, gdy inne cztery rzeki (dzielnice) naraz wysychają, łożysko ich napełnia brzegi drogiemi kamieniami», to jest najwyższemi cnotami księcia. On jest tym, którego «gasnący ojciec Piastowego Bolesława III. widzi wiecznym duchem». Nie ulega prawie wątpliwości, że wyrazy te nasunęła tu kronikarzowi przepowiednia, którą u Galla Bolesław I. wypowiada na śmiertelnem łożu, żegnając się z otaczającem go gronem panów: «I wyrośnie z lędźwi jego latorośl (Bolesław III.) i po długich latach klęsk, nakształt rubina w rękojeści jego miecza, napełni całą Polskę olśniewającym blaskiem.» Taką tu cnót aureolą błyszczy wizerunek Kazimierza, że na podstawie świadectwa autora otrzymał w historyi przydomek «Sprawiedliwego», lubo tytuł ten nie należał mu się wcale za czyn, któremu koronę zawdzięczał.

Księga pierwsza, stanowiąca dla siebie całość odrębną, poświęcona jest historyi Polski do czasów wprowadzenia chrześcijaństwa. Oczywiście część ta dla braku źródeł w dawniejsze czasy sięgających, nie łatwo może być poddaną krytycznej ocenie, tem nie mniej rzucili się na nią historycy z zaciętością, godną lepszej sprawy. W opowiadaniu jednak tej mglistej i zamierzchłej epoki tu i ówdzie przebija woń baśni ludowej. W niektórych miejscach wyraźnie wskazuje autor na źródło ludowe, naprzykład w legendzie o «Psiem polu». Bardzo być może, że w opowieści o klęsce, poniesionej przez Polaków w walce z Niemcami, znajdują się wskazówki o pieśniach, które mógł autor zasłyszeć w okolicy Sandomierza. Z takich ustnych źródeł zrodziły

się w kronice Kadłubka miejsca najbardziej w mgły spowite. A jednak autor nawet i w tych ustępach nie wychodzi po za szranki swego deptaku; i tutaj przegląda napuszystość, forma ciężka i nudna.

Wsparci dociekaniami Wojciechowskiego, możemy przyjąć, że mistrz Wincenty, będąc (około roku 1184) scholastykiem krakowskim, zajmował się rzeczywistem nauczaniem, a nawet, pilnie czytując kronikę, w którą złożył wiadomości z najrozmaitszych dziedzin zebrane, łatwo się przekonać można, które nauki były mu najbliższe i w których największą okazywał znajomość. Szkoły ówczesne katedralne składały się, jak wiadomo, z dwóch kursów: trivium i quadrivium. W pierwszym, noszącym także miano «gramatyki», wykładano uczniom naukę czytania i języka, również poetykę i retorykę, jako teoryę, a w praktyce uczono pieśni i śpiewów kościelnych, zwłaszcza psalmów i liturgii, a czasem i kilku poetów klasycznych. Słuchacze «dyalektyki» zapoznawali się z naukami filozoficznemi, a głównie z logiką podług zasad Arystotelesa. W quadrivium, odpowiadającem poniekąd dzisiejszemu wydziałowi nauk przyrodniczych, uczono: arytmetyki wraz z chronologią i kalendarzem, muzyki (według Boecyusza), geometryi i astronomii. Kadłubek w swojej kronice stosuje wielokrotnie niektóre z wyliczonych tu nauk, ale przeważnie objęte trivium, to jest gramatykę i retorykę. Studya gramatyczne zawierają miejsca kroniki, wyjęte z pisma świętego, a zwłaszcza z psalmów, ustępy z Owidyusza, Wergilego, Lukana, Juwenala, a w końcu i własne wiersze Kadłubka. Studyom retorycznym zawdzięczamy ustępy wzięte z dekretów Gracyana i Jus Civile, tudzież liczne mowy Kadłubka, treści prawniczej i retorycznej, któremi przemawiają Zbigniew, Gedko, Pełka i t. d. Natomiast napróżno szukać w kronice śladów nauk, objętych kursem quadrivium, ani jednego niema ustępu, w któremby Kadłubek zdradzał, że mu bardzo leżała na sercu dyalektyka lub logika Arystotelesa. Wszystko to naprowadza na domysł, że Kadłubek, jako scholastyk, wykładał gramatykę, poetykę i retorykę.

Najmniej sam Wincenty zawinił, że go najpierw historycy podnieśli na piedestał, a później, sprowadziwszy na poziom, zarzucili wiele dziwactw, nie licujących z godnością historyka. Bez wątpienia, przykładając do kroniki jego probierz zwykłych prac z dziedziny dziejopisarstwa, należałoby ją ogłosić za płód spaczonego umysłu. Jeżeli zaś będziemy ją uważali za to, czem istotnie była, za książkę szkolną, to należy się Kadłubkowi wielka zasługa. On bowiem po raz pierwszy wprowadził dzieje ojczyste w program nauk szkolnych, lubo z drugiej strony stosując się do potrzeb i upodobań spółczesnych, upstrzył książkę kwiatem anegdot, refleksyi i wierszydeł.

Z tego punktu widzenia należy sądzić kronikę Kadłubka, a zwłaszcza trzy jej pierwsze księgi. Dopiero czwarta ma kształty nieco odmienne. Tutaj już dążność bakałarska autora nie wynurza się tak wyraźnie, a bardziej czuć tu i widać historyka, który obrazy retoryczne prawie że zupełnie z opowiadania usunął. W ogóle w tej części występuje w poważniejszej szacie.

Często używa Kadłubek zwrotów biblijnych, lub cytuje ojców kościoła, co po części możnaby sobie objaśnić stanowiskiem duchownem autora. W dziwny jednak sposób podsuwa im za tło prawo rzymskie. Pominąwszy kodeks prawa kościelnego, nie wiele pierwiastków rzymskich dałoby się wyśledzić w naszem prawie. Kadłubek atoli w ten sposób i prawo polskie wykłada, jakgdyby ono najzupełniej spoczywało na rzymskiem. Czasem wprost opowiada rzeczy zmyślone, kiedy mianowicie pisze o procesach sądowych, wedle zasad procedury rzymskiej. Ślady tego nieprawidłowego rozumienia podstaw naszej praktyki prawniczej widzimy w mo-

wach oskarzających i obrończych księcia Zbigniewa przy końcu księgi drugiej, równie jak w opisie spraw sądowych na dworze Mieczysława III., otwierających księgę czwartą, a w pierwszym rzędzie w owym mglistym dyalogu na śmierć Kazimierza, w którym iucunditas (przyjemność), skarży się na moeror (smutek), że ją porwał, chcąc pojąć w małżeństwo. Z innych dzieł czerpał tak niezręcznie, że przez długi czas budził tylko sądy ośmieszające. Osobę naprzykład Justyna, który w ogóle w średnich wiekach należał do postaci ulubionych, w ten sposób upiększa i do wypadków stosuje, że z niego wyprowadza początek dziejów polskich, a z rzekomych listów Aleksandra Wielkiego prowadzi wniosek, jakoby ongi walczył z Polakami.

Owe bajki niedorzeczne i wnioski jak najdalej od prawdy dziejowej odbiegające, nie powinny nas zresztą dziwić. Najcharakterystyczniejszym rysem ówczesnego pojmowania wypadków dziejowych był brak historycznej krytyki, a stąd nieumiejętność korzystania z źródła i plątanina wypadków z najrozmaitszych czasów. To też, kiedy odzywamy się nagannie o jakiejś w owych czasach napisanej pracy, nie tyle to się odnosi do autora, jak do wieku całego, a zwłaszcza mamy na względzie mgliste pojęcie granic między rzeczywistością a zmyśleniem. Był tu czynny ten sam popęd twórczy, który wystrzelił barwnym kwiatem pieśni i podań ludowych. Jemu zarówno zawdzięczamy owe legendy i bajki, mające odźwierciedlać zaranie dziejów polskich.

Nie czynił tego nasz autor w złym zamiarze; była to prosta naiwność, nierozumienie, dobra wiara. W ogóle w ówczesnym poziomie naszej kultury rozum nie święcił jeszcze godów swej niezależności; fantazya towarzyszyła mu wszędzie i samodzielnie myśleć przeszkadzała. Toteż właściwe dziejopisarstwo rozpoczyna się dopiero później, na wyższym szczeblu dziejowego rozwoju.

Mistrz Wincenty, erudyt niepospolity, stanowi doskonały typ mędrca scholastycznego. Mając takiego ucznia, nie rumieniliby się ani Wilhelm z Champeaux, ani Abellard, ani późniejszy odeń Tomasz z Akwinu. W owych czasach wiedza poczęła już opuszczać ciasne szranki teologii i dyalektyki, zwracała się już do studyów klasycznych, w sferę prawa i nauk przyrodniczych. Wincenty liznął potrosze ze wszystkich tych nauk. Pełną garścią rozrzucił w swej kronice cytaty z prawa rzymskiego i kanonicznego, a pojmuje je «dokładnie», tak, jak tego pragnął Gracyan. Zaglądał nawet w bestyaryusze. Łamał sobie jak one głowę nad przeprowadzeniem linii granicznej między prawdą a wymysłem. Feniks naprzykład jest tam opisany zarówno dokładnie i z podobnem uwzględnieniem szczegółów, jak pies lub kot. Bestyaryusze dostarczyły mu wiadomości o «gryfie, który jest królem ptaków» i o bazyliszku, co «zabija wzrokiem». Ten skarbiec osobliwości zagranicznych zbogacił kraj rodzinny smokiem wawelskim. Ale obok tego nie jest dla Kadłubka rzeczą obcą, że słońce świeci antypodom, zna się na drogich kamieniach, wspomina zodyak. Śmiało rozwodzi się nad słabościami ducha, wykłada o wadach i namiętnościach, to je klasyfikuje, to bada różnice, a tu i ówdzie nawet spokrewnia, nie znać atoli żeby się rozczytywał pilnie w starych dokumentach, albo, żeby sam, na dworze będąc, obserwował ukryte sprężyny działalności politycznej. Teoretyk to raczej, a nie człowiek życiu praktycznemu oddany; spostrzegacz, nie mąż czynu; więcej zdradza zamiłowania do spokojnej pracy w gabinecie, niż do występów na arenie publicznej; z rzadka się tylko na widowni pokazuje, a i wtedy jest mu jakoś nieswojsko. Wychowanie wyrobiło w nim dążność postępową, za mało atoli ma namiętności, żeby się rzucał na rzeczy obyczajem uświęcone. Byłoby to może niegodnie nie uszanować

tego, co rozum przepisał, a tkliwa przyjaźń ku przodkom ze czcią przechowuje. Sądzi, że na fałszywej są drodze ci, którzy mniemają, że szlachectwo tkwi we krwi, a nie w zaletach duchowych. Bynajmniej go nie dziwi, że w innych pokładach znaleść można nieraz szczerozłotą cnotę, to go raczej w podziw wprawia, że częściej się ją tam znajduje, niż nagradza. Jeżeli często przebywa na dworze Kazimierza, i mu pochlebia, nie czyni tego wyłącznie z widoków na zaszczyty, ale także powo-



171. — Rzekomy portret Wincentego Kadłudbka.

dowany rzeczywistą miłością. Po śmierci króla funduje modły za jego duszę i na ten cel poświęca dwie wioski. Powiada, że «żądza wyniesienia się zwykła każdemu się lizać, przed każdym płaszczyć, dopóki nie osięgnie zamiaru». Pożądanie godności mianuje «córę niebiańskiego pochodzenia», ale tej niebiance oszukać się nie da, albowiem rozumie, że rozkosze, których dostarcza, to «węgle rozżarzone pod nogami, a miech wiszący nad karkiem».

Jeżeli będziemy kronikę Kadłubka sądzić podług wymagań dzisiejszych, wypadnie mu zarzucić nietylko pochlebstwa i sadzenie się na morały, ale także

KSIĘGA BRACTWA KLASZTORU LUBIŃSKIEGO.

Z ces. biblioteki w Petersburgu.

naposzystość i pstrociznę erudycyi. Te atoli przywary, któreby dzisiaj krytyka ostro zganiła, leżały w smaku ówczesnym. W prologu naprzykład, który cieszył się ogólnym poklaskiem, znajdujemy Juwenala, tuż potem Senekę, a w końcu wyjeżdżają pompatycznie Dygesta rzymskie. — Do napisania dziejów, które mu polecono, musiał Kadłubek czerpać ze źródeł, ale w wielu miejscach korzysta jedynie z własnych pomysłów. Toteż dzieło jego dzieli się na dwie główne części. W pierwszej nazywa siebie żniwiarzem, gdy dojrzałe już kłosy zbiera i w snopy układa, w drugiej zaś rolnikiem, który oczyszczając pole od głogów, do nowego je zasiewu gotuje. Nie równa praca czekała go na obu polach, nie równe też później przypadły mu zasługi. Opowiadając dzieje wieków dawnych, bardziej czerpie z wyobraźni. Zamiast gościńca prawdy historycznej widzimy tu łąkę wonnego i w barwy bogatego kwiecia. Uwaga autora skupia się przeważnie na stylu i formie. Różni w tem od Galla, który nigdy w gadulstwo nie wpada, ale owszem rzecz konsekwentnie rozwija i z różnych stron oświetla; Wincenty zamiast stosować wielostronność, bawi się dowcipnym słów układem, często jest nadęty i przesadny. W zapędzie krasomówczym często patrzy na wypadki przez szkło powiększające, mnoży wiele niepotrzebnych szczegółów, a tu i ówdzie sypie ogólnikami, które nie rzucają najmniejszego światła na istotę rzeczy. Pod koniec atoli księgi trzeciej, gdzie się rozpoczynają dzieje, na które patrzył, staje się naturalniejszym i bardziej potoczystym. Niema tu już cytatów z prawa rzymskiego i kanonów, brak również wypadków z dziejów obcych. Pracując nad poprzedniemi księgami, musiał w sobie rozwinąć nieco zmysłu historycznego. O Kazimierzu Sprawiedliwym opowiada serdecznie, zda się, że każde słowo odważa, dobiera starannie i gorętszem ogrzewa uczuciem. Pompatyczność ustępuje tu po części, wymowa płynie naturalniej, ale i tutaj znaleść można wiele śmiałych i jaskrawych porównań, na których ścisłość historyczna cierpi. W ogóle bardzo nie wielu mamy pisarzy historycznych, ktorzyby świadomość pzeszłości kojarzyli z prawdziwym kunsztem dziejopisarskim.

Duża leży przepaść między rocznikarzami poprzednimi a mistrzem Wincentym, który do pisania dziejów ojczystych wziął się z zasobem pokaźniejszym wiadomości z różnych dziedzin wiedzy. Poprzednie prace w tym kierunku zdradzają bardzo niewiele artyzmu, nieledwie wątłe zawiązki sztuki. Wincenty owszem wiele czynił wysiłku, aby dzieło swe ująć w formę powabną, rozrzucił mnóstwo ozdób stylistycznych, rozmieścił przykłady, ubarwił poezyą.

Celem jego było złożyć w ręce narodu księgę, z którejby się mogły uczyć późniejsze pokolenia nietylko rozumu, ale i rozgrzewać serca. A pełen szacunku dla samej rzeczy chciał ją oddać narodowi w należnej ozdobie, w oprawie ze złota i jedwabiu. Z rozkazu księcia Kazimierza, zamiłowanego w naukach, wziąwszy się do pracy, wytężył wszystkie swoje siły i zdolności, aby napisać książkę niepowszednią, czerpał z bogatej skarbnicy nauk wyzwolonych, w ogóle czynił wszystko, żeby godnie spełnić powierzone mu zaszczytne zadanie. I jeżeli się zniżymy do poziomu ówczesnych wymagań, trudno mu będzie nie przyznać wyjątkowej równomierności w traktowaniu przedmiotu, zręcznego układu faktów, obok wielu wad i braków w innych kierunkach. Stylem, nawet samym sposobem korzystania z autorów obcych stanowczo dorównywa, a może i przewyższa niektórych autorów zagranicznych. Kadłubek zna język grecki, czyta po francusku, łaciną włada doskonale. Jestto wprawdzie łacina «średnia», nie stosująca prawideł we wzorach klasycznych obowiązkowych, można byłoby nawet zebrać całe żniwo wyrazów, których napróżno

szukać u Cycerona. Był to atoli język, powszechnie wówczas w użytku będący u uczonych całej Europy. Zbyt jest Kadłubek zajęty żywem rzeczy przedstawieniem, żeby zważać na reguły. Często nagina język do zwrotów polskich, tu i ówdzie używa assonacyi i dwuznaczników. Czyni to nie tyle dla popisu, ale chce w ten sposób swobodnie rozwinąć cały zasób swej fantazyi i zapału pisarskiego. Słusznie jeden z jego wielbicieli nazwał go «Rhetor magnificus», bo chociaż dla nas nieraz napuszony, bardzo przypadał do upodobań współczesnych przez troskliwość o pełne, rozległe okresy i dla śmiałych porównań, świecących tęczą kolorów. Miał bezsprzecznie duszę w wysokim stopniu artystyczną. Potrafił wlać życia i ubarwić suchą formułę, która pod innem piórem, być może, przeszłaby bez wrażenia. Jeżeli naprzykład notaryusz spisaniem aktu «zaradza krótkiej pamięci ludzkiej», Wincenty w tym wypadku wyraża się: że «troskliwie czuwać i działać należy, aby przez niedbalstwo lub starość czasów nie wśliznęło się nic takiego, coby moc sprawy w inną zmieniło postać, lub ją w całości stłumiło, starość bowiem i marmurowe niszczy posągi i złoto pozbawia blasku».

Gall i Wincenty należą do jednego stulecia, jeno pierwszy pisał kronikę na początku, drugi zaś wziął się do swych dziejów u schyłku. Tamten przyglądał się i opisywał czyny ojców, ten zaś przedstawił synów i wnuków. A lubo tak niedalecy przedmiotem i czasem, wielka jest między nimi różnica. Burze społeczne, jakie w okresie podziałów przeciągnęły nad krajem, wiele z dawnych pojęć z korzeniem wyrwały, budząc i nowe życie i nowe wyobrażenia. Wincenty przedstawia już zasady tych, którzy z zapasów wyszli z palmą zwycięską. Gall oddaje hołdy książętom, Wincenty owszem wszędzie wykazuje moc panów, a nawet ich często ponad nich wywyższa. Kronika Galla sprzyja świetności i przepychowi dworu książęcego, Kadłubek przeciwnie, uważa je za przywary, a jedna z najgodniejszych zalet, o której pewien pan, zalecając Kazimierza do tronu, wspomina — to policzek, w pokorze odebrany od ubogiego szlachetki.

Musiała się ogromnem kiedyś powodzeniem cieszyć kronika Wincentego, skoro dochowało się do dni naszych czterdzieści kilka jej odpisów. Kronika Galla, której dotychczas nie mamy więcej nad trzy manuskrypta, została przez nią zupełnie w cień usuniętą, lubo posiada większą od niej wartość historyczną.

Wincenty Kadłubek był bardziej wzięty i lubiany. Zaważyła tu bezwątpienia gloryfikacya św. Stanisława, którego mistrz Wincenty otacza aureolą i na piedestał cnót niebieskich stawia, Gall zaś wyraża się o nim nieprzychylnie; nadto w kronice Kadłubka znajdujemy bajeczną historyę Polski, która zupełnie pominiętą została w kronice Galla. Z dzisiejszego sądząc stanowiska dzieło Wincentego w tych miejscach, które zaczerpnął u Galla, mniejszą ma doniosłość historyczną, brak tu również owej naturalności, prostoty i trzeźwości, czem się tak bardzo zaleca kronika Galla. Inny atoli probierz krytyczny stosowali spółcześni; przywiązali się oni więcej do tej strony dzieła Kadłubkowego, która mu zapewniła nieposlednie w literaturze stanowisko. Zresztą zdarzało się to niejednokrotnie, że więcej znaczenia przypisywano kronikom późniejszym, dają bowiem zupełniejszy od poprzednich obraz dziejów. Ujmując swoją księgę w całość, do owej chwili nienapotykaną, doznał Wincenty gorącego przyjęcia, do czego nie mało się przyczyniła godność, jaką za życia piastował i gloryfikacya po śmierci.

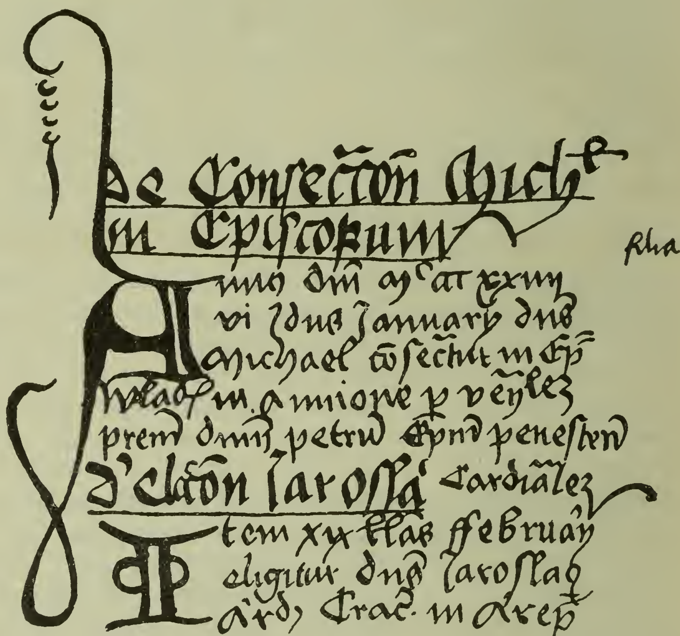
Skrzętnie przechowywano odpisy jego kroniki po klasztorach, a nawet spotkać się z niemi było można w niejednym dworku. Żaden zresztą późniejszy kronikarz

nie obszedł się bez Kadłubkowej książki. Wzorowane były na niej kompilacya, tak zwana Dzierżwy, kronika wielkopolska i wiele późniejszych dzieł. Rozwinął był Kadłubek swój wpływ nawet na Śląsk. Oceny, jakie się od Długosza do dni naszych o tej kronice pojawiają, stanowią znakomity probierz ewolucyi, którą nasza krytyka historyczna przebywa. Oczywiście nasz Kadłubek nie dorasta do kolan Jana Salizburego, który nad nim góruje i ogromem wiedzy i prawdziwym zmysłem historycznym, ale musi ustąpić pierwszeństwa polskiemu kronikarzowi pod względem formy i ogłady zewnętrznej.

Zakres źródeł historycznych nie wyczerpuje się kategoryą roczników i kronik. Istnieją inne jeszcze zapiski, posiadające wartość historyczną. Wymienić tu należy księgi zmarłych «Libri mortuorum». Wciągano do nich imiona zmarłych zakoników, oraz dobrodziejów klasztoru, duchownych i świeckich. Czyniono to w tym celu, żeby za wszystkich, którzy czemkolwiek przysłużyli się kościołowi, odprawiać modły. Liczne takie pośmiertne wspomnienia znajdują się w Pomnikach dziejowych Polski. Podobne do nich są księgi bractwa (Libri fraternitatis czyli album); w tych zapisywano żyjących dobrodziejów, tam dostawały się nazwiska ich dopiero po śmierci. Była bowiem różnica w modlitwach, wznoszonych za umarłych i za żywych. W tamtych błagano jedynie o zbawienie wieczne, w tych proszono nadto o zdrowie i powodzenie doczesne. Płynące stąd prawa i godności trzeba było drogo opłacać. Tutaj należało między innemi przyjęcie do celi, a po śmierci spoczynek w kryptach klasztornych. Jednem z tych praw członków bractwa, w czasach dawniejszych im wyłącznie przysługującem, był wpis do nekrologu, który robi raczej wrażenie wyciągu z albumu. Z biegiem czasu nie odgraniczano tak ściśle albumy od nekrologów i w księgach bractwa figurowali już żywi i umarli.

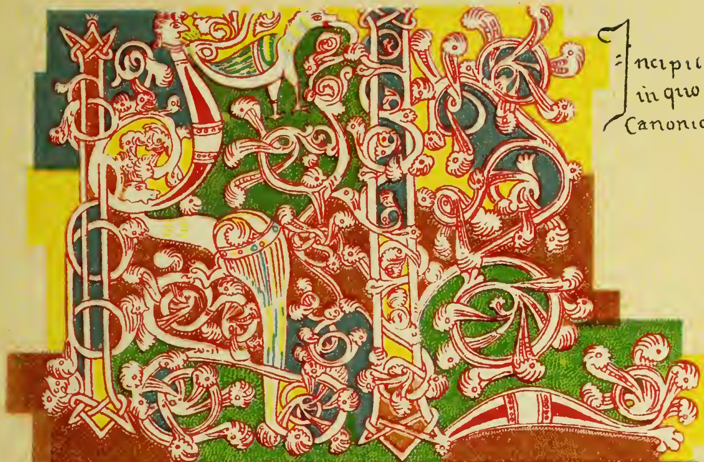
Jak mniej więcej powstają takie zapiski, wykazuje podobizna jednego z najbardziej w przeszłość sięgających tego rodzaju zabytków, tak zwany Liber fraternitatis Lubinensis. W XII. wieku założyli w Lubinie Dominikanie francuscy klasztor, który został wyłącznie przez nich obsadzony. Jeden z pobożnych braciszków, wierny tradycyi klasztornej, postanowił zestawić spis dobrodziejów klasztoru. Dokonywano tej czynności zwykle na wolnej kartce jakiej czcigodnej księgi liturgicznej, martyrologii i t. p. I oto na cel ten został wybrany cenny lekcyonarz, z Francyi przywieziony. Była nim leżąca na ołtarzu co dzień używana księga ewanielii, spisana na cienkim i białym pergaminie, jakiego używano we Włoszech, z przymieszką arkuszów grubszych i ciemniejszych, właściwych północno-wschodnim krajom Europy. Ze względu na wyraźną i piękną minuskułę romańską, nie bez archaicznych skróceń, z inicyałami, należy ją odnieść do XI. stulecia. Zawierała lekcye ewangeliczne na niedziele, święta i uroczystości kościelne, oraz niektóre modlitwy okolicznościowe. Nie jedną przytoczyć można różnicę między owymi lubińskiemi a dzisiejszemi «perikopami»; tam naprzykład nie jest jeszcze stale obchodzona św. Trójca, a brak zupełny święta Bożego Ciała. Była to oczywiście księga, przeznaczona do codziennego użytku, a tem samem najstosowniejsze miejsce dla przypomnienia braciszkom nazwisk dobrodziejów, za których należało słać modły do nieba. To też ów mnich bezimienny wymienił szereg nazwisk braci lubińskich, a we wstępie umieścił modlitwy pro suscipienda fraternitate. Prawdopodobnie znajduje się tam i imię samego pisarza, ale trudno je teraz w mnóstwie imion odgadnąć. Wobec czystości, z jaką są zapisane wszystkie nazwy polskie, domyśla się pierwszy jej wydawca, Dr. Papée, że był Polakiem. A więcej niestety powiedzieć o nim nie możemy, gdyż skrzętny i pracowity

braciszek, który tyle imion pamięci potomności przekazał, nie zostawił żadnej o sobie wzmianki, pragnął w falach zapomnienia zatonąć. Po nim wciągano imiona braciszków tym samym sposobem; jest tam do stu charakterów pisma, do wieku XIV. Zachodzi atoli pewna zmiana w notatkach. Znajdziesz tu później nietylko gołe imiona, ale i wzmianki o życiu i czynach każdego — wspomnienia o zmarłych przeplatają zapiski żywych — dość obszerne, zwłaszcza jeżeli się weźmie pod uwagę, zwykłą na owe czasy lakoniczność. Poczesną źródło to posiada wartość, bo obok wiadomości o samym Lubinie, znajdujemy wiele rzeczy, rzucających snopy światła na cywilizacyę i stan języka tej oddalonej epoki, gdzieś we mgłach majaczącej. Z nekrologów klasztornych, których przeznaczeniem było zostawić w pamięci dobrodziejów i braciszków klasztoru, wymienić należy znacznie późniejszą księgę zmarłych klasztoru w Strzelnie na Kujawach. Ułożyła ją po łacinie Regina Boskowska, Norbertanka, a potem prowadziła ją Urszula Siemiętkowska, która musiała lepiej od sióstr swoich znać łacinę, jak to widać z kształtnego i wyraźnego jej pisma. Wszystkie klasztory i katedry prowadziły u siebie podobne libri mortuum. Znajdujemy tam daty skonu najwybitniejszych w kraju ludzi, mianowicie królów, arcybiskupów, magnatów i t. d. W dodatku różne tu i ówdzie rozrzucone uwagi są jakby oknami, przez które wejrzeć możemy w gmach stosunków ludności do duchowieństwa.



172. Kalendarz władysławski.

Jedną z najbardziej pilnych i najważniejszych potrzeb kościoła było dokładne oznaczenie świąt wielkanocnych, gdyż podług nich obliczano inne dni świąteczne. Ale określenie dnia paschy wiele trudu i kłopotów przyczyniało duchowieństwu. Częstokroć wywiązywały się nawet z powodu tego między prałatami waśnie. Ucieczką w takich razach były wspomniane cykle, czyli wielkanocne tablice, na nowy sposób ustanowione przez Bedę, mnicha anglosaskiego, w końcu VII. czy na początku VIII. wieku, toteż szybko zaprowadzono je we wszystkich klasztorach i kościołach. Tekst, podzielony na dziewiętnaście rubryk, zajmował jedną lub dwie stronice w wąskiej kolumnie, a szerokie dokoła brzegi były zazwyczaj zapełnione opisami różnych znaczniejszych przygód i wypadków kraju lub kościoła, dla którego cykl taki był przysłany. Podobne cykle, do warunków kościoła zastosowane, rozpowszechniły się w Polsce, jak to wnosić można z pergaminowego kalendarza kra-



Incipit marturologium in quo p[re]scribi[tur] obit[us] Canonicor[um] Cracou[iensium]

Principium Jani sancit tropicus capricornu — §

Janu[arius] h[abe]t xxxi diem. l[una] xxx. Luna est media nocte accendit[ur]

iii. A Januarius Circumcisio domini Nox h[abe]t horas xvi Dies viii

B iiii. Octaua sancti stephani Anno domini M° cc° lx° sexto p[ri]ma die mensis Januarii Ecclipsis solis

xi. C. iii. Octaua sancti Johannis Petrus canonicus o[biit]. Petr[us] canonic[us] fili[us] Snieszko o[biit].

Anno d[omi]ni millesimo quadringentesimo quadragesimo tercio Reuerendissimus in xpo p[ate]r d[omi]n[u]s Sbigneus Cardinalis et Ep[iscop]us Cracouiensis emit pro Ecclesia Cracouiensi p[ro]prio ducatum Schyewyeriensem pro sex milibus [illegible] [illegible] grossorum pragensium ab illustri principe domino Wenczeslao duce Theschnen[si]

NAJSTARSZY KALENDARZ KRAKOWSKI, Z 13 WIEKU.

kowskiego, w obliczeniach wzorowanego najzupełniej na cyklach Bedy. Zresztą wszystkie kościoły i klasztory, które u siebie zaprowadzały różne dla praktyk religijnych niezbędne księgi, naśladowały gotowe już wzory zagraniczne. W archiwum kapituły krakowskiej przechowuje się ten okazały pomnik historyczny, założony czy uzupełniony z powodu kanonizacyi św. Stanisława, która odbyła się w Assyżu 12go września 1253 roku, jak tego dowodzi szczegółowy opis wszelkich związanych z nią okoliczności. Później zbogacono tę księgę jeszcze innemi zapiskami, najczęściej rocznikarskiemi, których liczba stukilkadziesiąt dochodzi, a które, wnosząc z charakteru pisma, do różnych należą czasów; najdawniejsze, ozdobione licznemi miniaturami, odnieść wypada do wieku XIII. Piękny i gładki pergamin ma w wielu miejscach plamy, które powstały albo z starości lub też nieumiejętnego stosowania środków chemicznych, do odczytania miejsc spłowiałych. Pierwszy, mniejszy dział, zawiera roczniki, drugi zaś większy, mieści kalendarz. Miejsce między rocznikami a kalendarzem zajmują przywileje i ustawy, dotyczące katedry krakowskiej, wpisane później, a po kalendarzu znajduje się jeszcze klucz do wynachodzenia złotej liczby epaktów, ułożony wierszem. Dalej następuje już cykl wielkanocny, poczynający się z rokiem 1254, odwrotna zaś strona tej karty zapisaną jest pocztem biskupów krakowskich. Każde święto zaopatrzone jest w kalendarzu datą śmierci członków kapituły i wszystkich jej dobrodziejów, za których należało w dni pewne odprawiać modlitwy. Z początku ograniczano się jedynie datą śmierci, był to więc rzeczywiście nekrolog, z biegiem czasu dodawano już niektóre wypadki. W ten sposób z nekrologu rozwinął się rocznik, zawierający wiadomości o donioślejszych w kraju wypadkach.

Wielkiej to dziś wartości księga i ze względu na czas powstania i poważną treść, mogocą szczerze zająć miłośnika dziejów ojczystych, obejmująca pokaźny przebieg 500 niemal lat.

W samym kalendarzu uderza na pierwszy rzut oka niezwykła staranność pisma. Musiał go dokonać niepospolity jakiś kaligraf. Dni powszednie starannie pisane; święta znaczone kolorowo, jakby w odświętne szaty; nadto pełno w całym kalendarzu ozdób, które mile pociągają czytelnika. Znajdujemy tu ciekawy dwuwiersz rymowy, mistycznie nieco ułożony z dwunastu słów, z których każde z osobna nad jednym miesiącem wypisane, stanowiło jakby godło każdego miesiąca, a wszystkie razem wzięte tworzyły zdanie, odnoszące się do jakiejś wybitnej osobistości:

Altitonans Dominus divina gerens bonus extat
Gratuito coeli fert aurea dona fideli.

Z wysokości piorunujący Pan okazuje swą dobroć, załatwiając sprawy w niebiesiech,
Podaje bowiem chętnie wiernemu złote dary boskie.

W liczbie poważniejszych źródeł naszej oświaty średniowiecznej, zachowanych niestety tylko w opracowaniu lub w odpisie, na bliższą uwagę zasługują katalogi biskupów i arcybiskupów polskich. W ogóle wziąwszy, bardzo niewiele posiadamy rękopisów oryginalnych z przed XV. wieku. Oczywiście mniej ich było zapewne, niż gdzieindziej, ale nie mogło być tyle tylko, ile zachowano do dni naszych. Byłyby może wszystkie przepadły, gdyby nie obudzona u nas w XV. wieku działalność na polu literackiem. Czyniono liczne z źródeł pierwotnych i odpisów przeróbki i kopie, które po kraju obiegały i dostarczyły Długoszowi materyału do wieko-

pomnego dzieła. Olśnił on wszystkich swemi dziejami Polski. Stanęły one obok innych, jak wspaniały obelisk, i wykazały całą niedostateczność i karłowatość prac poprzednich. To też dawniejsze zabytki nie ciągnęły już uwagi badaczów. Kto raz wszedł pod łukowe sklepienia arcydzieła Długoszowego, nie chciał oddychać ścieśnioną atmosferą kronik i roczników. Dotyczy to i katalogów, które doszły do nas w tekście znacznie zepsutym i przekręconym. Wyjątkowo tylko w pierwotnej swej kopii z wieku XIII. zachowany został katalog biskupów krakowskich, ułożony zapewne na podstawie dawniejszych zapisków z roku 1266.

W pierwotnych tych katalogach zapiski były bardzo suche, zaciągało się jedynie imię biskupa, a niekiedy pominięty był nawet rok konsekracyi i skonu. Dopiero później nabrzmiewały wiadomościami z innych źródeł czerpanemi, że tu wymienimy przywileje, nagrobki, roczniki. Tu i ówdzie dostał się do zapisków jakiś wymysł fantazyi zapisującego, a czasem, jak naprzykład w katalogu lubiąskim, znaleść można i wierszyk w guście następującego:

Quondam per monachum regem dictum Kasimirum
Est institutus Wratislaus pontificatus etc.
(Niegdyś przez Kazimierza, zwanego królem Mnichem,
Ustanowione było biskupstwo wrocławskie i t. d.

Dla przykładu cytujemy urywek z katalogu krakowskiego:

Oto są imiona biskupów krakowskich. Profor albo Prohort, który ordynowany na biskupa krakowskiego roku pańskiego od narodzenia 966 za czasów Jana XIII., papieża, siedział na stolicy lat 20 i umarł roku pańskiego 986. . . Gedeon albo Gedko, z rodu Gryfów roku pańskiego 1166, po śmierci Mateusza w Rzymie, ordynowany na biskupa krakowskiego w dzień św. Gerwazego i Protazego. Siedzi na stolicy lat 20 i pochowany w kościele krakowskim. Za jego czasów relikwie św. Floryana, męczennika, sprowadził Idzi, biskup Modeny, a przyjął je Gedeon z wielkiem nabożeństwem, bazylika na cześć jego fundowana przez tegoż biskupa. Założył kolegiatę w Kielcach z dóbr stołowych biskupstwa. Dokończył klasztoru w Wąchocku. Za jego czasów św. Tomasz, arcybiskup kantuareński, umęczony został, a mianowicie roku pańskiego 1170 i t. p.

Sztuka pisania mało była w owe czasy rozpowszechnioną; zdarzało się, że król sam porozumiewać się pisemnie nie mógł. Bywały atoli wyjątki, szczególniej wśród duchowieństwa, które najwięcej się wtedy literaturą przysługiwało i było jedynym stanem piśmiennym. Ono też zajmowało się korespondencyą. Z nielicznych tej kategoryi zabytków przytaczamy list biskupa krakowskiego, Mateusza (1143—65), pisany do św. Bernarda z Klerwo, w sprawie podjęcia apostolstwa wśród Rusinów: Do Bernarda, z Bożej łaski opata klarewaleńskiego, wielebnego, wszelkiej godnego pochwały, i odznaczającego się zasługą świętości, Mateusz, z tejże łaski biskup krakowski i komes Piotr, których praca niechaj będzie owocodajną. Dzięki składamy, dzięki nieskończone Bogu naszemu, który Ciebie, o opatów ozdobo i chwało, w naszym czasie do życia powołał, bo Ciebie nigdy i nigdzie nie opuści troska o wszystkie kościoły, Ciebie naczynie wybrane, Ciebie, którego niemoc innych przyprawia również o niemoc. Dla Twych zasług Bóg światu świadczy wszelkie dobrodziejstwa bez jego zasługi, Twoją prośbą łagodzi się sędzia rozjątrzony, wyrok odwołuje i, by zaraz grzeszników nie uderzył gniew, zawiesza go dla oszczędzenia. Ukochany wasz syn i mistrz pytał się nas w waszem imieniu, czyby kto nie mógł

173. Katalog biskupów krakowskich z genealogią książąt polskich (ze zbiorów Dr. W. Kętrzyńskiego.

bezbożnych Rusinów obrządki i zwyczaje wytępić? Mógłby, o panie, mógłby, lecz ten tylko człowiek, w którym wielka byłaby łaska. Ufamy jednak w Pana Jezusa, że gdyby opat klarewaleński tu był, owo dobrodziejstwo mogłoby być dokonanem. Naród ów rusinski mnogością niezliczoną, jakby gwiazdom się równał, prawdziwej wiary zasad i istotnej religii ustaw nie zachowuje, niepomny, że poza kościołem katolickim niema prawdziwego nabożeństwa. Nietylko w ofierze Ciała Pańskiego, lecz w rozwodach i powtórnem chrzczeniu i innych sakramentach kościoła szpetnie błądzą. Tak to błędami różnymi, co większa nawet niogodziwością kacerską napojeni są od samych zaczątków nawrócenia swego. Chrystusa tylko w samem nazwisku wyznają, lecz czynami zupełnie się wyrzekając. Ani bowiem z łacinskim ani z greckim nie chce się zgadzać, lecz od obu równo odłączony ten naród trzeciego rodzaju udział bierze we wspólności sakramentów. Toby wszystko panie, Twoje kaznodziejstwo, lepiej wnikające, niż miecz dwusieczny wykorzeniło, gdyby Duch św. natchnął Cię, byś ten naród odwiedził. Nietylko na Rusi, która jest jakby nowym światem, ale także w Polsce, w Czechach, lub ogólnie w tak zwanej Słowiańszczyznie, która wiele obejmuje krain, tyle owocu i tak Bogu miłego możesz naszczepić, że potem od Niego usłyszałbyś: Rad z Ciebie jestem, sługo dobry i wierny. Z pewnością wszyscy, jak się spodziewamy jeszcze usłyszyć, ulegliby.

Racz tedy, pobożny ojcze, racz nasze pomroki rozjaśnić, gdy inne rozpędzasz. Racz nieustatkowanych Słowian w życia zasadach ustalić. Racz nawiedzić swoją obecnością lodowatą strefę, aby za przybyciem naszego opata mróz straszliwy północy przez południa wdzięki i ognia płomień złagodniał, aby dzicz niesforna przez wasze nauki wykształciła się, by ludzie przez ludzką waszą erudycyę złagodnieli, pod jarzmem boskiem uglaskali się. Jeżeli zaś i tracki Orfeusz i tebański Amfion rozgłośną sławą zapisali się w niebie i między gwiazdy słyną przez dowcip poetów i po śmierci żyją w pieśniach za to, że obaj lasy i kamienie, to jest leśnych i kamiennych, górskich ludzi oswoili liry głosem, prawu ulegać zmusili — tembardziej spodziewamy się, że ludy dzikie i potworne święty opat z Chrystusem pojedna, gdyż jest heroldem ewangelii, kagańcem w bożym domu i boskiej woli tłumaczem, a lepszy nad Orfeja, bo głośny z wyższej nauki, niebiańskiem obdarzony przeniknięciem i darem, oraz łaską prawie wszystkich błogosławieństw odznaczony. — Z jakiem usposobieniem, z jakiem gorącem pragnieniem ja i komes Piotr, mąż w każdym razie bardzo dbały o chwałę Bożą, o kościoł i o wiarę, wyglądamy Twego przybycia, ten tylko jest świadkiem, który widzi tajnie serca. Ale nie my sami pragniemy opata klarewaleńskiego; jedno w drugie, bogacz i biedak, szlachta i prości, młodzieńcy i dziewice, starszy z młodszymi jednakowo pragną. Opata wszelki stan i wiek, opata wszelka płeć i wszelkie stanowisko, opata wszyscy Polacy i wszystkich marzenia roją.

Pomijając pomniki historyczne, odnoszące się do ziem ruskich i litewskich (od połączenia z Polską), wspomnę tu o źródłach, które krom znaczenia dla historyi polskiej, mają wielką wagę i przez to, że są niejako źwierciadłem, w którem znakomicie odbiły się przekształcenia ziemi polskiej, z biegiem czasu zupełnie zniemczałej. Mówimy tu o zabytkach piśmienniczych Śląska. Szybko postępowało niemczenie książąt śląskich, jak to widzieć możemy z tego, że śród niemieckich minnesengerów XIII. wieku znajdował się jeden z Piastowiczów śląskich. Kiedy się wpływ niemiecki tak wielkiem u dworu cieszył uznaniem, nic dziwnego, że cała prowincya poczęła się roić od kolonistów niemieckich, którzy tu przywozili swe war-

[illegible]

de exustione civitatis Culmensis 76

Anno

[illegible]

Qualiter Dux Przemysl castrum recuperavit 77

[illegible]

Rubrica de impulsione castri Santok

Qualiter milites Polonie insurrexerunt contra Poznaniense castrum 79

[illegible]

Anno

[illegible]

Qualiter concordiam castri Polonie Boleslao Duci Slesie accesserunt 80

Anno [illegible]

KRONIKA WIELKOPOLSKA.

sztaty rzemieślnicze, albo jako rolnicy osiadali po wsiach. To, co się tutaj działo na pokojowej drodze, bezkrwawą walką wyższej kultury zachodniej ze słowiańską, w ziemiach nadłabskich dokonywał miecz i ogień.

Śląsk, podobnie jak inne kraje, zbliżył się do ziem zachodnich dopiero po przyjęciu chrześcijaństwa. To też najdawniejsze zabytki piśmiennictwa przechowuje kapituła wrocławska albo tamtejsze cele klasztorne. Ufondowane w czasach odleglejszych piastowały one jeszcze tradycye polskie, albowiem duchownymi byli tu przeważnie Polacy lub Francuzi. Od drugiej połowy XII. wieku Śląsk cywilizuje się, ale zarazem niemczeje. Przyczynili się do tego głównie mnisi, powoływani z Niemiec. Oto w jaki sposób malują w poemacie łacińskim stan kraju, jaki zastali przybysze: «Z braku rąk roboczych leżała odłogiem, pokryta lasem ziemia, na której osiadły lud polski pogrążony był w ostatecznej nędzy, gdyż lenił się do pracy. Drewnianą sochą bez żelaza, ciągnioną przez dwie krowy lub woły, wzruszano z lekka piasczystą glebę. W całym kraju nie było ani jednego porządnego miasta, jeno grody, przy których znajdowała się karczma i kaplica, gdzie odbywały się targi dla zaspokojenia potrzeb wieśniaczych. Biedny lud nie posiadał ani soli, ani żelaza, ani monety, ani wygodnej odzieży, ani nawet obuwia, a zajmował się prawie wyłącznie chowem bydła i rolnictwem».

W skarbcu duchowej spuścizny na Śląsku, księga erekcyjna klasztoru w Henrykowie, należy do pereł pierwszej wody. Uderza w niej prosty, obfitujący w szczegóły opis ówczesnych stosunków na Śląsku, szczególnie w XIII. wieku. Żadne ze źródeł spółczesnych nie może wytrzymać porównania z tym cennym zabytkiem. Zatrzymamy się nad nim nieco dłużej, omawiając pomniki prawa polskiego.

Mają także niepoślednie dla historyografii znaczenie dwa źródła śląskie, łączone zazwyczaj z kolegijatą św. Jadwigi w Brzegu. Jedno z nich, tak zwana Chronica Polonorum, zawiera pierwszą próbę zwięzłej historyi polsko-śląskiej z końca XIII. lub początku XIV. wieku. Drugie, Chronica principuum Poloniae, powstało o wiele później i przedstawia kulminacyjny punkt rozwoju średniowiecznego dziejopisarstwa śląskiego, jakkolwiek nie pod względem sposobu przedstawienia wypadku, ale jedynie jako próba całokształtu historyi kraju. Napisał ją mnich klasztoru brzeskiego, czy lubąskiego, wedle prawdopodobieństwa Polak, około roku 1375. Trudno w niej dopatrzeć się śladów odrębności niemieckiej. Później nowych już książek nie rozpoczynano, mamy jedynie przeróbki, kontynuacye, przekłady i dopełnienia dawniejszych, a zawsze w języku niemieckim. Już Kunegunda, żona króla Przemyśla, czyniła wyrzuty swej siostrze Agnieszce, przeorysze w Trzebnicy, że lubo jest Polką z urodzenia, zapomniała o swojem pochodzeniu i zamiast nieść pomoc uciśnionym rodakom, ma na pieczy Niemców. Podobnie metropolici niemieccy patrzyli z ubolewaniem na rozpanoszenie się żywiołu niemieckiego. przeczuwali bowiem, że jeżeli stan rzeczy zmianie nie ulegnie, Śląsk się zupełnie od swej macierzy oddzieli, a nawet nie będzie się poczuwał do duchowej z nią łączności. W celu odżegnania niebezpieczeństwa zwołany był w XIII. wieku synod przez arcybiskupa gnieźnieńskiego; uchwalono na nim, aby w przyszłości nie dopuszczać Niemców do takich godności kościelnych, z któremi jest połączona piecza nad duszami. I kurya papieska, przez wzgląd na świętopietrze, życzliwie się odniosła do tej uchwały. Rzeczywiście w roku 1326 zasiadł na stolicy biskupiej we Wrocławiu gorliwy Polak Nanker, przedtem biskup krakowski, a legat papieski orzekł, że i na przyszłość stanowisko to będzie należeć wyłącznie do Polaków, gdyż «pomiędzy usposobieniem Polaków

a Niemców względem stolicy papieskiej taka zachodzi różnica, jak między światłem a ciemnością». Było to jednak za późno.

Dla wyczerpującego obrazu źródeł historycznych na Śląsku nie wystarczy opis tego, co powstało w klasztornem zaciszu i kapitułach; należałoby również wymienić płody piśmiennicze mieszczaństwa, o czem mogę zaledwie wspomnieć. W warunkach urzędów miejskich budziły się do życia zarodki nowego historyograficznego rozwoju. Jak w klasztorach na brzegach tablic wielkanocnych powstawały zawiązki późniejszych roczników, które oddzieliwszy się wiodły żywot odrębny, podobnie rozwijają się przy księgach miejskich i innych podobnych pismach kroniki miejskie. W tych warunkach należy szukać przyczyny, dla której najczęściej kronikarz piastuje godność pisarza miejskiego. Nasamprzód pod tym względem wysunął się Wrocław.

Donacyi księcia mazowieckiego, Konrada, zawdzięcza zakon krzyżacki swoją moc i stanowisko. To samo dałoby się powiedzieć o dziejopisarstwie pruskiem, któremu się nie mało przysłużyli kronikarze polscy. Wspomnę tu tylko o wielkiej rymowanej kronice niemieckiej z pierwszej połowy XIV. wieku, której autorem był ks. Mikołaj, syn mieszczański z Jarocina, a więc bez wątpienia Polak. Śród cennych zabytków dziejowych, odnoszących się do dziejów Prus i Pomorza, które dopiero w XVI. wieku zebrane zostały w jedną całość, najwybitniejsze miejsce należy się kronice oliwskiej (starszej), napisanej wedle przypuszczeń przez Stanisława, piastującego godność opata klasztoru w Oliwie od 1330—1356 roku. Musiał być Polakiem, z Pomorza, czego dowodzi i imię samo i poprawna polszczyzna w pisaniu polskich nazwisk. Oczywiście odbieglibyśmy bardzo daleko od ówczesnych warunków i kultury, gdybyśmy wymagali od autora, żeby żywsze dla Polski okazywał sympatye; wtedy w ogóle uczucie patryotyczne nie odgrywało jeszcze roli w życiu publicznem. Każdy rząd cieszy się u opata zachowaniem. Odzywa się życzliwie o księżach pomorskich i polskich, czeskich i niemieckich. Raz tylko jeden czyni wyrzuty Krzyżakom. Nazwisko swoje, jak to było zwyczajem w owych czasach, na książce nie położył, a wszędzie, gdzie w tekście mówi o sobie, zostawia wolne miejsce.

W kronice opata Stanisława znajdujemy krótko i dosadnie opowiedziane dzieje klasztoru oliwskiego od założenia aż do pożaru w roku 1350. Dodatek obejmuje historyę zakonu niemieckiego do roku 1256 pod tytułem «Exordium ordinis cruciferorum». O dzieło to toczą walkę bezkrwawą historycy polscy i niemieccy.

Okres więc piastowski posiadał już swoich dziejopisarzy i w tym kierunku zdobył się na prawdziwe pomniki dawnej swej kultury. A lubo był w kraju zupełny brak piśmiennictwa, śród duchowieństwa od czasu do czasu zjawiają się uczeni, którzy z pewnym zasobem wiedzy, mozolnie i z godną starannością spisują dzieje nietylko swoje, ale często i obce. Chorążym ostatniego kierunku jest bezwątpienia Marcin Polak. Długo toczył się spór w sprawie pochodzenia Marcina. Badania wykazały tylko niezbicie, że urodził się w Opawie. Miejscowość ta dopiero w połowie XIII. stulecia zagarniętą została przez Czechów, do owej zaś chwili należała do Śląska. Na tej podstawie historycy nasi uważają Marcina za Polaka. Był on mnichem w zakonie św. Dominika w Pradze, gdzie odbył nowicyat i wyświęcił się na kapłana. Do końca życia był pełen życzliwości i wdzięcznego uczucia dla klasztoru, w którym spędził lata młodzieńcze. Jako magister teologii piastował godność penitencyaryusza i kapelana papieskiego w Rzymie, pod ośmiu papieżami, od Aleksandra do Mikołaja III. Zdobył sobie tam wielkie poważanie i szacunek. Mikołaj III., przez wzgląd na zasługi i niezwykłe uzdolnienia, wyniósł Marcina na stanowisko arcybiskupa

gnieźnieńskiego (1278). Bulla konfirmacyjna z tego roku mieści chlubne o nowym arcybiskupie wyrazy. Nazwany jest w niej Marcin mężem głębokiej nauki, czystych obyczajów, mądrej rady i w rzeczach, tak duchownych, jak świeckich, niezwykłej biegłości. Z tem mianowaniem Marcina nie zgadzali się w duszy ani książęta wielkopolscy, ani kapituła, którym przysługiwało prawo wyboru arcybiskupa. Okoliczność ta wstrzymała przybycie Marcina do Gniezna. To też w przejeździe z Rzymu zaskoczyła go w Bolonii choroba i pasmo dni przecięła; umarł w roku 1278. Ulubieniec papieży, jest Marcin autorem wielu dzieł historycznej treści; pierwsze atoli śród nich miejsce należy się Kronice papieży i cesarzów, która była najbardziej rozpowszechnioną ze wszystkich kronik średniowiecznych. Powodem takiej wziętości Marcinowej książki była po części mieszcząca się w niej wiadomość o papieżycy Joannie. Mylnie potem przypisywano ją wymysłowi Marcina, bo nie on pierwszy wiadomość tę podał. Przytaczamy odnośny o tem ustęp u Marcina: «Po śmierci Leona IV. siedział na stolicy apostolskiej lat dwa, miesięcy pięć, dni cztery Jan Anglik. Twierdzą, jakoby miał być kobietą, którą jeszcze w młodym wieku sprowadzono do Aten. Ucząc potem w Rzymie, gramatyki, retoryki i dyalektyki, miała między uczniami zawołanych mistrzów. Zjednawszy najlepsze o sobie mniemanie, została obrana papieżem. Przez stosunek swój jednak z przyjacielem i następny poród na drodze do Lateranu, płeć swą zdradziła ku powszechnemu zgorszeniu». Na podobne bajki nieraz można w kronice Marcina natrafić. Znajdujemy tam naprzykład wiadomość o smoku św. Sylwestra, który codziennie po 6000 osób pożerał, albo o literach złotych, ważących po 100 funtów, miał je cesarz rozdzielać klasztorom i t. p. Każdą, choćby najmniej prawdopodobną wieść, tyczącą się papieży, kładł do swej kroniki, nie w złej oczywiście myśli, ale przez to, że sam nie potrafił odróżnić rzeczy prawdziwych od fałszywych. Układał Marcin podręcznik historyi powszechnej dla teologów i odpowiednio do tego ujął go w odnośne kształty. Bez wątpienia, zadanie swoje — jak na owe czasy — znakomicie wypełnił, książka ta bowiem w bardzo krótkim czasie nadzwyczajnego doznała powodzenia. Polecił mu ją napisać papież Klemens IV., a miała służyć jego dążeniom hierarchicznym. Chronicon pontificum et imperatorum, taki jest bowiem tytuł Marcinowej kroniki, jakkolwiek nie może być uważaną za pierwszorzędne źródło dziejowe, była dla teologów i kanonistów niewyczerpaną studnią wiadomości z najrozmaitszych dziedzin. Istnieją trzy kategorye wielce się od siebie różniących rękopisów, najstarszy z nich przechował kościół katedralny w Pradze. Dzieło swoje zaczął pisać Marcin przed samym skonem Klemensa IV., a ze śmiercią papieża dobiegło już końca. Drugie z kolei opracowanie przypada na rok 1268, trzecie pojawiło się w 1277 roku. Po śmierci autora dzieło Marcina Polaka uległo znacznym odmianom i poprawkom. Z biegiem czasu, kiedy coraz bardziej się rozpowszechniało, uzupełniano je, a często kładziono na prokrustowem łożu wymagań chwili i miejsca. Na jej wzór powstawały liczne historye powszechne, zagranicą najrozmaiciej chrzczone; takiem naprzykład jest dzieło Włocha Ptolomeusza pod szumnym tytułem: «Historia ecclesiastica». W XV. wieku stały się dość popularne pod nazwą «Flores temporum» lub «Fasciculus temporum». Znajdujemy je i w naszych zbiorach rękopisów, mieszczących kroniki i roczniki. Jedna z takich robót kompilacyjnych, licha praca, napisana przez Rolewinka, rozbiegła się po kraju od lat 1434—92 w trzydziestu wydaniach. Były bronią w rękach najrozmaitszych klas i stronnictw; w jednych papiści potępiali cesarzy, w drugich znowu zwolennicy cesarza rzucają gromy na kurye. Mam pod ręką kronikę Marcina,

ułożoną porządkiem lat od Chrystusa i Oktawiusza, mieszczącą po lewej stronie historyę papieży, a po prawej cesarzy. Na każdej karcie znajdujemy znów odpowiednie podziały dla każdego papieża wyliczono ilość pól, odpowiadającą latom jego panowania i w odnośnem polu zapisywano zdarzenia, zaszłe w danym roku. Z datą atoli wstąpienia na tron Innocentego V., zaszła pewna odmiana w układzie, zdarzały się bowiem wypadki, że w przeciągu jednego roku trzy razy zmieniali się papieże.

Dla wzoru przytaczamy życiorys uczonego papieża Sylwestra II.: «Był on z pochodzenia Gallem, imieniem Gilbert, który umarł pod krzyżem świętym w Jerozolimie. Ten najpierw, za młodu, był mnichem w klasztorze floryackim, w dyecezyi orleańskiej. Opuściwszy klasztor złożył hołd dyabłu, aby wszystko po myśli mu się działo, co dyabeł spełnić obiecał; korzystając z posług dyabła, często z nim o swych pragnieniach rozmawiał. Przybywszy do Sewilli, w Hiszpanii, dla nauki, tak dalece w niej postąpił, że podobał się i najpotężniejszym osobistościom swego wieku. Miał też uczniem Ottona, cesarza i Roberta, króla Francyi, który prócz innych sekwencyj ułożył: «Łaska Ducha świętego niech nam dopomaga» i Leoteryka, który był potem arcybiskupem senoneńskim. Lecz ponieważ temu Gilbertowi najwięcej o zaszczyty chodziło, dyabeł wedle układu, czego zapragnął, dopełniał. Był tedy najpierw arcybiskupem w Reims, potem w Rawennie, następnie papieżem, i wówczas spytał się dyabła, jak długo będzie żył na papiestwie. W odpowiedzi usłyszał: «Tak długo, dokąd nie będziesz celebrował w Jerozolimie.» Bardzo się ucieszył, mając nadzieję, że tak daleko mu od śmierci, jak dalekim jest od chęci podróżowania do Jerozolimy za morze. Gdy raz w post wielki, w kościele laterańskim celebrował, w niedzielę, która zowie się «Jeruzalem», poznał z tupotu dyabłów, że śmierć się zbliża. Wzdychając jęknął i chociaż był zbrodniarzem wielkim, nie wątpił o miłosierdziu Bożem i wyjawił grzech przed wszystkimi. Kazał odciąc sobie członki, któremi służył dyabłu i potem martwy tułów na korze złożyć i tam pochować, gdzie wszelkie zwierzęta wyrzucają, co się też stało. Został pochowany w kościele laterańskim i na znak dostąpionego miłosierdzia, grób jego tak ze stuku kości, jak potu bywa wróżbą śmierci papieży, jak to stoi wypisano na grobowcu.»

Oprócz kroniki wyszło z pod pióra Marcina wiele innych książek. Śród nich szczególną sobie zdobył powszechność zbiór praw i ustaw papieskich, ułożony w porządku alfabetycznym. Dzieło to wiążą zazwyczaj z wydaniem dekretów Gracyana i z dekretami Grzegorza; sam autor mianuje je «perłą dekretów» (margarita decreti). Już nie tyle popularnemi były jego kazania na niedziele i święta całego roku.

Obecnie po tej wycieczce w sferę literatury powszechnej wracamy do piśmiennictwa ojczystego, które przerwaliśmy na kronice Kadłubka.

W całej literaturze naszej żadne może dzieło tak długo nie zajmowało umysłów; żadne nie wywierało wpływu tak dominującego, jak kronika Wincentego. Było to prawdziwe słońce, ku któremu zwracały się oczy wszystkich; przez długi czas nie schodziło z nieba, ani go nawet żadna chmurka nie przesłoniła. Od XIII. pod koniec XV. wieku była skarbnicą jedyną, skąd historycy nasi i kronikarze czerpali wiadomości. Komplitatorom dostarczała obfitego materyału, a historycy uzupełniali ją komentarzami. Działo się to z powodu jednej, nieocenionej wagi zalety. Szczupła, bo mogąca się wygodnie pomieścić w jednym naszym tomiku, zamykała nietylko całość dziejów ojczystych, ale była też dla współczesnych źródłem wszelakiej wiedzy, encyklopedyą nauk. Znalazłeś tam zasób wiadomości z dziejów obcych, zapas uczoności prawniczej, a nadto wzory retoryczne, upstrzone sztucznemi ozdobami, co

SILESIACARUM
RERUM SCRIPTORES
ALIQUOT ADHUC INEDITI:
QUIBUS
HISTORIA AB ORIGINE GENTIS
AD OBITUMUSQUE
D. IMPERATORIS
RUDOLPHI II.
GERMANIÆ HUNGARIÆ BOHEMIÆ
QUE REGIS POTENTISSIMI
SPECIATIM RECENSETUR:
ACCEDUNT
TABULÆ GENEALOGICÆ
SERENISSIMÆ GENTIS LOTHARINGIGÆ:
QUÆ DUCATUM SUPERIORIS SILESIÆ
TESSINENSEM:
CELSISSIMÆ FAMILIÆ LICHTENSTEINENSIS:
QUÆ DUCATUS SUPERIORIS SILESIÆ OPPAVI
ENSEM ET CARNOVIENSEM
CELSISSIMÆ FAMILIÆ LOBKOWITZIÆ:
QUÆ DUCATUM SILESIÆ INFERIORIS SAGANENSEM:
ET
CELSISSIMÆ FAMILIÆ AUERSBERGICÆ:
QUÆ DUCATUM SILESIÆ INFERIORIS MON-
STERBERGENSEM HABET
EX MONUMENTIS FIDE DIGNISSIMIS:
CONFECIT TOMUM HUNC II. NON SILESIÆ MODO
SED ET VICINARUM GENTIUM RES
ILLUSTRANTEM
FRIDER. WILH. DE SOMMERSBERG
EQUES SILESIUS

LIPSIÆ:
SUMTIBUS MICHAELIS HUBERTI: BIBLIOPOLÆ WRATISLAVIENSIS
A.O.R. CIƆ IƆ CC XXX

Karta tytułowa zbioru, w którym drukowano po raz pierwszy «Kronikę wielkopolską».

podówczas większe miało znaczenie, niż wszelka prawda i dokładność historyczna, w prostych oddana wyrazach. Nie obeszło się nadto bez jakiejś nauki moralnej, choć mamy i wiele takich ustępów, których celem było jedynie zabawić czytelnika. To nagromadzenie różnych pierwiastków sprawiało, że ledwie trzecia część poświęcona była właściwej historyi. Atoli w kronice Galla jeszcze mniej wypadków historycznych, autor jej bowiem głównie zajmuje się osobą Bolesława Krzywoustego. Prawda, że pobożny czytelnik nietylko w niej nie znajdował pokrzepienia duchowego, ale musiał się gorszyć, skoro naprzykład przerzucał ustęp o św. Stanisławie, o którym się autor nie dwuznacznie wyraża. To też Gallus usunął się z widowni, nie wiele wiedziano o jego kronice, zarówno jak o wielu rocznikach i drobnych traktatach. Wszyscy cześć oddawali jedynie dziełu Wincentego. Na niem kształcono młodzież w szkołach, z niego czyniono odpisy, komentowano je, skracano, ekscerpowano bez końca. Niektóre kodeksy z powodu długich, każdemu rozdziałowi towarzyszących objaśnień, w dwójnasób urosły. Czasem, jak u Jana Dąbrówki, komentarz stanowi oddzielne dzieło, w innych znajdujemy wpisane między ustępy z kroniki — morały i zwroty krasomówcze. W końcu znajdujemy rękopisy, gdzie treść Kadłubkowej kroniki do tego stopnia jest pomieszaną z glosami, że niepodobna odróżnić, co właściwie z kroniki wyjęte, a co oddane ręką komentatora. Taką przeróbką z Kadłubka jest tak zwana kronika Mierżwy, większa część kroniki wielkopolskiej i obu kronik śląskich.

Kronika, tak zwana Mierżwy, ciężko ucierpiała pod nożem jej wydawcy, który słuchał próżnych swych domysłów i rojeń. Na trzy ją rozdarł części, każąc w trzech różnych miejscach drukować. Jedynie część ostatnia, zawierająca tak zwany Rocznik franciszkański, jest oryginalną pracą samego Mierżwy, dwie zaś pozostałe, z wyjątkiem wstępu, są jedynie odpisem z kroniki Wincentego. Również niekorzystnie wypadło dla kroniki, że ją wydawca pod nazwiskiem Mierżwy ogłosił. (Imię Dzierżwa znajdujemy tylko w jednym rękopisie). Prawdopodobnie bowiem kronika była bezimiennie napisaną. O czasie jej powstania nie możemy się nic pewnego dowiedzieć. W części, którą sam autor skreślił, znajduje się wiadomość o Kindze, żonie Bolesława Wstydliwego, która umarła w roku 1292, a w roku 1307 poczęła słynąć cudami. Mieni ją autor «Sanctissima» i widać, że pisze drżącą ręką, jak gdyby odurzony cudami. Powstała więc prawdopodobnie na początku XIV. wieku i jest przeważnie kompilacyą, na którą złożyły się trzy dzieła: kronika Wincentego, żywot św. Stanisława i roczniki polskie.

Na początku zeszłego stulecia ogłosił Sommersberg w drugim tomie «Pisarzy śląskich» kronikę, której autorstwo przypisują Boguchwałowi, bisk. poznańskiemu (†1257) i jego dopełniaczowi, Baszkowi, pełniącemu urząd kustosza poznańskiego. Od tej chwili błąka się ona pod ich imieniem w naszej literaturze, podobnie jak kronika Mierzwy czy Dierżwy. Nie trudno dziś dociec, na czem błąd ten polega. Nie zwykli byli nasi kronikarze dzieła swe podpisywać. Nie uczynił tego ani Gall, ani Wincenty, ani Jan z Czarnkowa, a tembardziej nie gonili za rozgłosem nasi rocznikarze. Kopiści, którzy pozbawieni pojęcia o własności literackiej, przepisując kroniki, dopełniając je, lub dzieł kilka w jedną zlewając całość, podpisywali te odpisy czy kompilacyę własnemi imionami, czem wprowadzali w zamęt słabe głowy naszych historyków. Oczywiście same źródła nie mało ucierpiały w tej piekielnej kuźni dodatków, zmian i kompilacyi. Dzieła historyków rzymskich traciły skutkiem nieporadnego współpracownictwa skrócicieli; mozolne zaś prace naszych kronikarzy

174. Kronika tak zwana Mierżwy. (Z rękopisu Kuropatnickiego, w cesarskiej bibliotece w Petersburgu.)

i dziejopisów często obniżali dopełniacze i kompilatorowie. Podobny los spotkał i kronikę wielkopolską.

W wieku trzynastym obudziło się żądanie wysnucia jednolitego obrazu życia narodowego z wiadomości, nagromadzonych w rocznikach, kronikach, dokumentach, urywkowych zapiskach ksiąg klasztornych i t. p. Silono się nadać temu formę ozdobną, obfitującą w ornamentykę retoryczyną, a w tej pogoni za wyszukanemi kształtami naczynia zapomniano o zawartości; odłogiem leżała chronologia i w ogóle nie wiele dokładano starań, aby w przebiegu opowiadania była zachowaną ciągłość i następstwo zdarzeń. Niejednokrotnie dla żywości w opowiadaniu wybierano te jedynie, które mogły zająć czytelnika, rozbudzić wyobraźnię, pomijając wypadki zalety tej pozbawione, tu i ówdzie dodawano w tym celu inne opowieści, nawet nieprawdziwe. W ten sposób zupełnie prawie tonęła prawda w powodzi kwiecia i kamyków. Później kronikarze i analiści ustępują ze sceny, oddając berło historyografom, których ojcem i wzorem był Długosz. Nie odrazu atoli zabłysła gwiazda Długosza na widnokręgu naszego dziejopisarstwa. Poprzedzili go liczni dziejopisowie, którzy gromadzili i poprawiali dawniejsze kroniki i roczniki, uzupełniając je wydarzeniami świeżemi, genealogią i podobnego rodzaju wywodami. Czasem zlewano w jedną całość kilka dzieł, z różnych pochodzących epok. Dawne, pierwotne źródła z powodu nieszczęść domowych lub najazdów ginęły, zostały zaś jedynie zlepki, powstałe w powyższy sposób. Zawartością swą i kształtami bardzo są podobne do owych wykopalisk, które oglądane z daleka wydają się jednorodnemi, a dopiero po bliższem zbadaniu poznać można różnolitość pierwiastków, jakie się złożyły na ich wytworzenie. Nie było rzeczą łatwą odszukiwanie i oddzielanie pierwotnych źródeł składowych w takiej kompilacyi. Kronikę Kadłubka gmatwał bezustannie jego komentator, to ją we mgły spowijał jakiś Dierżwa lub rocznikarz, i trzeba być bardzo ostrożnym, żeby z tej plątaniny i chaosu wydostać na jaw oryginały.

Kronika wielkopolska, to typ takiego pomieszania i kompilacyi. Znajdujemy tam wiadomości z różnych zebrane kronik i roczników, luźnie powiązanych, lub niedbale jedynie zestawionych. Staranności lub zmysłu krytycznego napróżnobyś szukał. Jeszcze w początku tu i ówdzie błyśnie iskra samodzielnej myśli, ale czem dalej postępujemy, tem mniej jasno, tem większy bezład i niedbalstwo. W dodatku nie wszystkie części posiadają jednakową wartość literacką; obok ustępów dobrym pisane językiem, obfitujących w ozdoby, kreślonych żywo i barwnie, sąsiadują opisy niezgrabne, sztywne, ubogie w wysłowienia.

We wstępie tak tłumaczy autor powody, które go do pracy skłoniły:

«Jakkolwiek wielu mamy historyków, którzy początek królów i książąt naszych i czyny ich zasobnie a prawdziwie opisali, (co zwłaszcza do Kadłubka się ściąga); to jednak rozważywszy, że ci pisarze w opowiadaniu swojem o niektórych książętach Wielkopolski, a mianowicie o królu Przemysławie dziś panującym, przebieg rodowych jego stosunków zdają się pomijać — uważam za potrzebne cofnąć się do tej przeszłości i o rodzicielach jego, tudzież o dalszych antenatach, tak Przemysława, jak i innych polskich książąt, według imion ich i dzielnic, nad któremi panowali, podać rzecz jak najdokładniej».

Co innego atoli miał autor na myśli, a co innego wyraził. Może chciał powiedzieć czytelnikowi, że sprawy rodowodowe, aż do Przemysława II., dziwnym losom w kronikach ulegające, nie zostały do tego króla doprowadzone w kronice Wincentego. Trudno przecież nie przyznać i tej pracy zasługi, jaką bezsprzecznie posiada.

Wiele wypadków dziejowych z powodzi słów w kronice Kadłubkowej na wierzch wydostała, chronologicznie je wiążąc między sobą. I lubo nigdzie nie jest samodzielną, wszędzie, w drobnych nawet szczegółach, krok w krok za Kadłubkiem postępuje, tak, że nawet wyrazy jego powtarza, niemniej jednak wykład tu wypadków jaśniejszy, pogodniej i przystępniej opowiedziany. Sprawy rodowodowe omawia z osobliwą dokładnością, również wiele starań dołoży, żeby dokładnie określić czas i miejsce panowania każdego z książąt. Pod tym względem łatwiej się tu zoryentować, niżeli w kronice Wincentego, gdzie wszystko scholastycznie poplątane, dużo gmatwaniny i jednoczesnego omawiania wielu kwestyi.

Wiele zdań wręcz sobie przeciwnych krążą o autorstwie tej kroniki i jej powstaniu. Jedni sądzą, że ją napisał Bogusław, inni mniemają, że był jej autorem wieloimieny Godysław, Gotszalk, Boguchwał, Baszko czyli Pasek. To znowu spotykamy się z twierdzeniem, że pisali ją obaj, wreszcie krąży również domniemanie, że ktoś interpolował pracę tamtych, lub nawet przerobił. W każdem tem twierdzeniu tkwi pewna cząstka prawdy, lubo jedna w żaden sposób nie daje się z drugą pogodzić. Powodem takiego zamętu jest bezsprzecznie niedokładne wydanie Kroniki wielkopolskiej oraz tekstów głównych jej źródeł. W tej formie, w jakiej je teraz posiadamy, są zawodne i trudno się na nich, jak na czemś zupełnie jasnem, oprzeć.

Zatracił się gdzieś autograf kroniki wielkopolskiej. Posiadamy tylko kopię w zbiorze kronik i roczników pod tytułem: «Magna vel longa cronica Polonorum» (Wielka lub długa kronika polska). Autor czerpał głównie z kroniki Mierzwy i polskiej, należących prawdopodobnie do początku XIV. wieku, tudzież z rocznika małopolskiego, który powstał w połowie tegoż stulecia. Nadto korzystał z kroniki Wincentego, z roczników kapituły poznańskiej (Gerarda dziekana i Godysława Baszka, kustosza) i z żywota św. Stanisława. Wreszcie część kroniki musiał autor czerpać na miejscu, w probostwie santockiem, które ze skonem Przemysława wcielone było do marchii brandenburskiej. Wedle domysłów Kętrzyńskiego, autor jej piastował godność proboszcza w Santoku, a kronikę swą układał w latach 1365—1370.

Kronika wielkopolska, to pierwszy kamień, położony pod gmach dziejów ojczystych, mający się wznieść z trwalszego, bo granitowego materyału. Zachodzi przedewszystkiem pytanie, jak autor ze źródeł korzystał? Niezawsze jednakowo. To przerabia je lub skraca, to znowu, co zresztą dzieje się najczęściej, oddaje je niemal dosłownie, powtarzając całe ustępy i zdania, rzadko też trzyma się odmiennego od źródeł układu. Do tego stopnia idzie niewolniczo za wzorami, że nietylko Boguchwał i Baszko, ale także Mierzwa, a nawet Wincenty przemawiają u niego w pierwszej osobie. Całość dzieła świadczy niezbicie, że autor, mieszkając niemal na samej granicy, zna doskonale całą Słowiańszczyznę północną. Podróżując po ziemiach słowiańskich musiał się dłużej w Czechach zatrzymać, gdzie poznał kronikę Dalimila, pisaną po roku 1314. Z niej to wprowadził do naszych dziejów protoplastów Lecha, Czecha i Rusa. Musiał również zahaczyć o Kraków, czego dowodzi jego opowieść o Walterze, hrabi na Tyńcu i o Wisławie, księciu wiślickim. Obie te legendy połączył autor kroniki w jedną. Jest rzeczą nie ulegającą prawie wątpliwości, że nie gdzieindziej, tylko na gruncie krakowskim, gdzieś w pobliżu Tyńca i Wiślicy, musiał je słyszeć. Do swojej historyi, w której poraz pierwszy starał się ład jakiś chronologiczny zastosować, zbierał skrzętnie i coraz to nowe źródła. Nie korzystał z nich jednak z zupełną swobodą, czasem jedynie brzegi rękopisu zapełniał dłuższymi lub krótszymi dopiskami. Kopiści częstokroć owe dopiski, później

czynione, nie zawsze w miejsce właściwe wciągali, przez co powstał zamęt. Wypadki nie następują tu już bez należytego związku, ostatecznie jednak mozolna praca autora, która miała być pierwszą próbą pragmatycznej historyi, nie bardzo odbiega od poziomu zwykłych roczników; posiada jedynie większe rozmiary i tem się od nich różni, że każda z zapisek ma własny nagłówek. We wstępie i w ogóle w miejscach, gdzie się sposobność nadarza, rozwodzi się autor o etymologicznem pochodzeniu wyrazów polskich i tłumaczy je lub objaśnia, naprzykład: nunc Poloni a polo aratico nominantur et alias Polanie a castro Polan. Xandz autem major est quam pon veluti princeps et superior rex. Omnes autem domini pan apellantur, duces vero exercitus wojewody nominantur.

Kronice wielkopolskiej nie należy się jedno z poczesnych miejsc w szeregu historycznych źródeł, to bowiem, co zawiera, poznać możemy dokładniej z późniejszej ręki. Zajmuje jednak wyższy szczebel na drabinie naszego dziejopisarstwa; posiada ogromne znaczenie — otwiera nowy okres. — Pierwsza to praca historyczna na źródłach oparta i pierwsza zawierająca przynajmniej szkielet chronologiczny. Innych atoli zalet ma niewiele. Gall przewyższa go ścisłością, w Wincentym jest więcej uczoności, a późniejszy Jan z Czarnkowa stoi odeń wyżej ze względu na szlachetną prostotę, w jaką ujął swe dzieło. Dla zobrazowania sposobu pisania autora kroniki wielkopolskiej, przytaczam na tem miejscu ustęp, opowiadający przygody Waltera i Helgundy, które przywędrowały do nas z Niemiec w XIV. wieku. Oto wyjątek z drugiej części podania; odczuwa się w nim samodzielniejsze pióro autora:

«Onego czasu było miasto przesławne w państwie Lechitów, nazwiskiem Wiślica, której władcą przed laty za pogaństwa był Wisław biały. Tego jakiś komes, tęgi w siłach, imieniem Walcerz· udały, mający zamek Tyniec blisko Krakowa, wziął w niewolę w buntowniczym zatargu; schwytanego w pęta ujął i w lochu wieży tynieckiej oddał w pieczę dziwnej stróży . . . Po upływie niejakiego czasu zwiedził odległe kraje dla czynów wojennych. A gdy już spełnił się krąg dwuletniej jego nieobecności, Helgunda z nieobecności męża zbyt cierpiąca, zwierza się, spuszczając oczy przed dziewczyną poufną, że nie są wdowami ani żonami . . Owa zaś powiernica, pragnąc ulżyć swej pani w tym opłakanym stanie, wyzuwa się ze wstydu zdradzieckiego i donosi, że Wisław, książę wiślicki, budowy smukłej i na twarzy gładki, siedzi w wieży; radzi więc, żeby go stamtąd kazała w ciszy nocnej dobyć i nasyciwszy się uściskami, w głąb wieży znów go ostrożnie odesłała . . . Skłania się Helgunda do tej rady, nie lękając się życia i dobrej sławy na szwank wystawić. Każe więc dobyć Wisława z głębi więzienia i uniósłszy się nad miarę jego krasy widokiem, wybucha namiętnością. Zamiast go odesłać w głąb wieży, z nim razem nierozerwanym miłości węzłem skuta, woli uciec do Wiślicy, wręcz porzuciwszy własnego męża, złączona związkiem małżeńskim z Wisławem. — Po upływie krótkiego czasu Walcerz, wracając do domu, pyta się służby zamkowej, czemu doń Helgunda nie wybiegła do bram zamku, weseląc się z jego przybycia? Dowiedziawszy się, jako Wisław uwiózł z sobą Helgundę, żarem wściekłości zapłonąwszy, spieszy do Wiślicy».

«Gdy go Helgunda spostrzegła w mieście, szybko wybiegła naprzeciw i padłszy na ziemię krzyżem, żałośnie się skarży, że Wisław przemocą ją porwał. Nakłania go, aby potajemnie wszedł do jej mieszkania, przyrzekając dostawić mu co rychle Wisława. Walcerz, złudzony tą namową, wchodzi do zamku wiślickiego, gdzie

schwytany przez zwodnicę, wydany zostaje Wisławowi. Cieszą się tedy Wisław i Helgunda z powodu szczęśliwego rozwiązania, nie zważając zgoła na koniec wesela. Walcerz znosił tymczasem męki srogiego więzienia. Kazał go bowiem Wisław przytwierdzić do ściany izby biesiadniczej żelaznemi obręczy, z rozłożonemi w krzyż rękoma, a przyrządziwszy sobie w tej samej izbie łoże, zatapiał się z Helgundą w miłosnych rozkoszach».

«Miał zaś Wisław siostrę, której dla brzydoty nikt za żonę nie pożądał. Jej więc powierzył bezpiecznie straż nad więźniem. Ta, współczując nad miarę utrapieniu Walcerza, pyta się, odłożywszy na bok srom dziewiczy, czyby jej nie chciał za żonę, gdyby niedoli jego zaradziła? Walcerz przysięga jej małżeńską miłość i przyrzeka, że przeciw bratu jej Wisławowi, nigdy, jak żądała, nie podniesie miecza. Nalega na nią, żeby go z pęt tych uwolniła, co ona wnet uskutecznia, przecinając mieczem brata ogniwa oków żelaznych».... Tu następuje opis strasznej zemsty małżonka.

Z kolei wypada nam przystąpić do kroniki Jana z Czarnkowa. Dzieło jego króluje nad całem przeddługoszowem dziejopisarstwem. Jest bezwątpienia najdojrzalszym w tym okresie płodem. O samym autorze dowiadujemy się jedynie z własnych jego opowiadań o zapasach z przeciwnikami. Był to czas, kiedy nad Polską groźna zawisła chmura. Ciągłe waśnie, pożary, krwawe walki; z jednej strony rej wodzą Nałęcze, z drugiej hetmanią Grzymalici. «Nikt — mówi Czarnkowski — od zniszczenia i rabunku ochronić się nie mógł; kto przystąpił do ziemian, zrabowali go Grzymalici, kto poszedł za Domaratem, Nałęcze go zniszczyli». Janko z Czarnkowa pochodził ze znakomitego rodu Nałęczów. Dom ten, wielce rozgałęziony, urósł do znakomitej potęgi i był postrachem całej Wielkopolski. Miał Janko wielką liczbę stryjców i braci herbowych, którzy niezmierne posiadali włości i osobliwe przywileje.

W okresie przedkazimierzowskim, kiedy rody stawały na polu walki pod swemi godłami, chorągwie Nałęczów były pełne. Żyła w nich jeszcze prastara solidarność. Obraza którego z członków, była ogólnym policzkiem, a wyniesienie się jednego, okrywało blaskiem ród cały. Mając w niektórych powiatach liczne swe majątki, nigdy nie byli Nałęczowie pomijani przy obsadzaniu urzędów. To też były godności, które niemal dziedzicznie trzymały się w ich rodzie. Stolicą Nałęczów był Czarnków, skąd też pochodzi nazwisko kronikarza. Cechująca ród ten zuchwałość, duma i uczucie wiecznego buntu, spłynęły dziedzicznie i na wicekanclerza królewskiego.

Za rządów Kazimierza Wielkiego składała się kancelarya królewska z kilku kanclerzy i z niemałej liczby sekretarzy, notaryuszów i pisarzów królewskich. Wchodzili oni w skład wielkiej rady samego króla. Do zakresu zaś ich czynności należało pieczętowanie nadań i przywilejów królewskich, podawanie próśb i przedstawień osób prywatnych, z czem wiązało się posuwanie na wyższe godności. Na barkach Czarnkowskiego leżało zastępstwo kanclerza w sprawach, dotyczących całego państwa lub dworu królewskiego. Dzierżył mniejszą pieczęć królewską, którą pieczętował instrukcye, mandaty, edykta, listy i rozkazy królewskie. Dotykał prawie wszystkich kół maszyny rządowej, co oczywiście podnosiło ogromnie jego wpływ i znaczenie w państwie. W tem nagła śmierć Kazimierza Wielkiego stan ten rzeczy niespodzianie zmienia. Nieprzyjaciele Jana, pomni krzywd, jakie im wyrządził, wszelkich sił dołożyli, aby go z siodła wysadzić.

Zaraz po śmierci Kazimierza, kiedy się przedstawił na zamku królowej regentce Elżbiecie, nie został należycie przyjęty. Stało się to wskutek stanowiska, jakie zajął wobec stronnictwa węgierskiego, które Ludwik jeszcze za życia Kazimierza zjednał sobie pieniędzmi i obiecankami. Obecnie chwyciło ono w swe ręce ster nawy państwowej. Królowa nie mogła w nim nie widzieć przeciwnika sukcesyi swego syna. Ludwik wiedział, że dziedzictwa tronu dla swych córek nie zdobędzie nawet największemi ofiarami, jeżeli sprzeciwi się temu Wielkopolska i odmówi płacenia podatków. Wpływ Janka Czarnkowskiego w tej dzielnicy Polski był ogromny; to też w stronnictwie węgierskiem budził niepłonne obawy, żeby nie rozwinął tu energicznej agitacyi przeciw uznaniu córek Ludwika. Król sądził, że wszelkie jego zabiegi w niwecz obrócone będą, póki się potężnego Nałęcza nie zbędzie. Pozbawiono go więc godności, a nadto pociągnięto przed trybunał o sprzeniewierzenie. Miejsce to zajęli: przeciwnik jego, Zawisza z Kurozwęk, archidyakon, przyszły biskup krakowski i Mikołaj z Kurnika, proboszcz przy kościele Panny Maryi w Krakowie, późniejszy biskup poznański, którzy wraz z garstką wpływowych Węgrów, przebywających na dworze, związali się wspólnie w zamiarze działania przeciwko Jankowi. W roku 1347 więżą go w Uniejowie, gdzie gościł na dworze arcybiskupa Jarosława i piętnują strasznem oskarżeniem. Donoszą, że skradł pieniądze i klejnoty ze skarbu Kazimierza. Janko — lubo doradzał mu arcybiskup uchylenia się z pod tego gwałtu ucieczką — ufny w swoją niewinność, wyrusza do Krakowa. W Miechowie jednak czekała nań straż, a choć szlachta, ucztująca z Jankiem, poręczyła za niego, odprowadzono go, jak więźnia, na zamek krakowski. Przeciwnicy Janka chcieli zrazu zmusić Floryana, biskupa krakowskiego, aby rozpoczął sąd nad obwinionym, ów zaś, przekonany o niesłuszności rzuconej nań winy, odmówił, tłumacząc się, że sądzić go nie może, bo należy do innej dyecezyi. Wtedy na rozkaz królowej został Janko uwolniony i całą sprawę wytoczono przed trybunał arcybiskupa Jarosława.

Wiadomość o odzyskanej przez Janka swobodzie przyjęła z wybuchami radości szlachta, zgromadzona w Krakowie na intencyę uroczystości św. Stanisława. Przez dziewięć dni nie ustawały wspólne z Jankiem biesiady i uczty. Dopiero za powrotem do Uniejowa otrzymał pozew Jarosława. Janko natychmiast przypozwał oskarżyciela Mikołaja z Kurnika o rzuconą na niego potwarz, dodając, że miał u siebie starą czarownicę i posiadał czarodziejski pierścień. Mikołaj, skoro pozew otrzymał, pospieszył na sąd do Żnina, ale kiedy Janko chciał się z nim razem zapisać na karę talionis, mającą dosięgnąć tę stronę, która winy swej nie dowiodła, cofnął się Mikołaj, a arcybiskup Jarosław zniósł oskarżenie Janka. Poszedł dalej i trzy razy kazał obwieszczać termina, wzywające oskarżycieli, a kiedy na nie nikt się nie stawił sześciu prałatów wraz z Jarosławem poprzysięgli niewinność Janka. Spisano odnośny dokument, z którym Janko miał udać się do Rzymu i sprawę na swych oskarżycieli wytoczyć przed kuryą. Ale i przeciwnicy nie spoczywali bezczynnie. Zawisza i Mikołaj namówili królowę do dalszych prześladowań. Tym razem użyto pewniejszej broni — politycznej. Janko został publicznie ogłoszony banitą, a tem samem ogołocony z dóbr dziedzicznych i duchownych. Krok ten był podjęty w zamiarze pozbawienia go środków do popierania sprawy w Rzymie. Janko się jednak tych przeciw niego wyroków nie uląkł. Ulegając jedynie namowom przyjaciół, udał się do Wrocławia, a stąd pospieszył do Pragi i Lubusza, gdzie go Piotr, biskup, bardzo serdecznie przyjął. Nie długo tam jednak bawił — niebawem wraca do kraju, a ze skonem

królowej regentki wchodzi w posiadanie swych dóbr i beneficyów. Nie obawiał się przeciwników, nie był mu nawet straszny Zawisza, kiedy zasiadł na stolicy biskupiej, albowiem wielka u szlachty popularność była mu spiżową tarczą, od której odbijały się wszelkie pociski nieprzyjaciół. Ale z areny politycznej zeszedł już z chwilą, kiedy składał pieczęć podkanclerską. Nieustanny towarzysz i doradca Kazimierza Wielkiego, wykonawca woli jego po skonie, traci nagle wszelki wpływ i znaczenie.

Działalność jego ogranicza się jedynie szczupłym zakresem spraw kapituły. Obrawszy sobie za stałe miejsce zamieszkania Gniezno, oddawał się jedynie obowiązkom, związanym z powołaniem duchownego. Zjazd biskupów do Uniejowa, dnia 7go września 1336 roku zwołany w celu złożenia na rzecz skarbu papieskiego dwuletniej od duchowieństwa polskiego daniny, wyznaczył Jankowi z Czarnkowa czynność obliczenia i ściągania należytości. Niebawem opodatkował Ludwik wszystkie dobra kościelne tak zwanem poradlnem. Arcybiskup naradziwszy się z kapitułą, wysłał Jana z Czarnkowa w poselstwie do księcia Władysława Opolskiego z żądaniem, aby nie rozpoczynał ściągania z duchownych tego podatku, póki na prośby do króla w tej sprawie zaniesione, nie nadejdzie odpowiedź.

Książę przychylił się do prośby, przedłożonej mu przez archidyakona, a król podatki na duchowieństwo nałożone zmniejszył. Kiedy umarł arcypasterz, Jan Suchywilk, z ramienia kapituły kierując administracyą dóbr arcybiskupich, wyklął krewnych zmarłego, albowiem nie opuszczali zamku i dobra arcybiskupie niszczyli niemiłosiernie. A gdy wyklęci lekce sobie ważyli miotane na nich gromy, zwrócił się o pomoc do króla Ludwika. — O ostatnich latach jego życia dzieje prawie żadnej nie przekazały nam wiadomości. Ducha wyzionął w roku 1387.

W dziele jego tu i ówdzie napotkać można miejsca, malujące jaskrawo temperament i usposobienie autora. Bije z całej kroniki energia i nieubłaganie. Rysy te rzeczywiście cechowały tego zaciętego wroga matactw i niesprawiedliwości, nie mającego względów dla zdrożnych czynów swoich przeciwników. Jakież to musiały być warunki i jaki stan biskupa, skoro mu archidyakon tak bolesny wymierzyć mógł policzek. Sam zresztą o sobie powiada, że fali gniewu oprzeć się nie jest zdolnym; ta sama niepowściągliwość i pędzel zbyt hojnie szafujący jaskrawemi barwami, kiedy mowa o przeciwnikach, przebijają z samego dzieła. Dziwić się zresztą trudno ogromnemu oburzeniu Czarnkowskiego. Kanclerz wielkopolski, Mikołaj z Kurnika, miał wszystko przeciw sobie: i przeszłość zbyt burzliwą i żywot splamiony występkami, i szkody kościołowi wyrządzone i proces, który go mógł hańbą sromotnie okryć, wreszcie był mu przeciwny i król i arcybiskup i cała kapituła, a jednak cała ta piramida przeszkód bynajmniej nie przecięła zamiarów ambitnego kanclerza. Nie pomogły zabiegi wszystkich jego nieprzyjaciół z Czarnkowskim na czele; Mikołaj z Kurnika został najzupełniej prawnie wyniesiony na godność arcybiskupią. To też cała ta sprawa, w której przebiegły kanclerz użył całej swej enegii i puścił w ruch wszelkie prawne i nieprawne sztuczki, wydaje się Czarnkowskiemu jakąś igraszką piekła.

U schyłku życia obaj nieprzyjaciele zeszli się w Głogowie. Spotkanie to opisuje nam Janko temi słowy: «Patrz, księże proboszczu gnieźnieński! my, których za czasów króla Kazimierza miano na dworze za ostatnich, jesteśmy dziś pierwszymi. Oto Zawisza, którego sobie zmarły król za nic ważył, jest dzisiaj wielkim biskupem w Krakowie, za co nikomu ino Panu Bogu i mnie może podziękować, ja

jestem biskupem poznańskim, ty proboszczem wielkiego kościoła gnieźnieńskiego. Jakim to się stało sposobem? zaiste tylko ręką Najwyższego!» Na to bluźnierstwo, odwrócił się Czarnkowski do reszty obecnych i rzekł głośno: «Dyabelska to ręka była, ale nie ręka Najwyższego!» I stało się — dodaje — jakby cudem, że tejże nocy zapadł biskup w chorobę i w kilka miesięcy później umarł. Zaciekłość, mściwość i zadowolenie, z jakiem Czarnkowski jego cierpienia i śmierć opisuje, dowodzi, że nie umiał przebaczać wrogom. «O grzechach jego — pisze w kronice — i niegodnych uczynkach, dużo i długo trzebaby opowiadać, gdyż żadnej wady mu nie brakło. Ale ponieważ dwoma członkami ciała swego najwięcej grzeszył, przeto na tychże dwóch członkach pomsta Boska tego nędzarza srodze ukarała. Nie wstydził się przestawać z nierządnicami, a cnotę dziewczętom odbierał, zato dotknięty został rakiem, a ponieważ był bardzo wymowny do złego, dostał na języku i w gardle takich wrzodów, że ani mówić, ani połykać, ani ust domknąć nie zdołał, tak po śmierci z otwartą szczęką pozostał. Długo się męczył, aby lepiej mógł odpokutować za swoje grzechy, prawy bok jego dziurami się już rozpadał, kiedy się wynosił z tego świata» i t. p.

Dzieło Janka wolne jest od balastu ciężkiej erudycyi, brak mu nawet nauki, ale za to, co za żywość, jaka w każdem zdaniu werwa. Opisał w niem wrażliwy kronikarz wypadki, których sam był świadkiem, to jest dzieje od śmierci Kazimierza Wielkiego aż do przybycia królowej Jadwigi do Polski. Czoło kroniki jednak i koniec przysiadły roczniki. U schyłku bowiem XIV. wieku kapituła poznańska i gnieźnieńska przechowywały bardzo wiele źródeł obcych i miejscowych. Nagromadził je w kilku foliałach nasz archidyakon gnieźnieński. Między niemi znajduje się i jego kronika. Ponowny układ zbioru musiał dopiero nastąpić znacznie później, kiedy już i kronika Jankowa uległa zniszczeniu, czem pewnie chętliwie współdziałali przeciwnicy byłego kanclerza, oburzeni na niego za mocne cienie, jakie na nich rzucił, w części przyczyniło się pewnie i niedbalstwo.

Nie ulega bowiem wątpliwości, że w kronice były spisane i lata kanclerstwa Janka, to jest, czasy od roku 1363. Prawdopodobnie nosił się z zamiarem napisania obszerniejszych swego czasu dziejów, ale proces, jaki mu wytoczono, zniechęcił go do tej pracy. Życiorysy swych przeciwników cierpko zakończa. «Liczne skutki, jakie z tego powodu dla duchowieństwa wynikną, mogą późniejsi opisać, jeśli zechcą»... Na tem urywa swój pamiętnik.

Janko z Czarnkowa pierwszy zastosował do swego dzieła wybitną obrazowość i żywość w opisie charakterów działających osób. Pisarzom poprzednim na tych zaletach zupełnie prawie zbywa. Układ dzieła i tok opowiadania prosty, ani przeciążony uczonością, jak u Wincentego, ani sam szkielet faktów jedynie mieszczący, jak w rocznikach. Wybitnie już zarysowują się u niego znamiona czasu; oddychamy atmosferą epoki. Życie polityczne, społeczne i religijne pieni się i szerokiem płynie łożyskiem. Nie ogranicza się podaniem suchem czynów, wykłada zarazem motywa. Niekiedy dla rzucenia jaśniejszego światła na wypadki, przywodzi na pomoc przeszłość; wiąże je i, lubo latami przedzielone, spokrewnia i łączy w całość. Bujnie oddaje walkę Grzymalitów z Nałęczami, w ostrych zarysach rzuca szkice protoplastów Tarnowskich, Kmitów, Tęczyńskich, lub pomniejszych rodzin małopolskich półpanków, którzy już wówczas wywierali na tok spraw politycznych wpływ donośny. Liczna i burzliwa szlachta nigdzie nie występuje z takiem życiem, w tak barwnych oddana kolorach, jak tutaj.

Atoli mimo tych zalet pierwszorzędnych dzieło Janka nie jest bez ciężkich wad i uchybień. Przedewszystkiem brak mu harmonii. Autor widocznie z góry nie obmyślił planu całości, nieodpowiednio rozmierzył części poszczególne, w pisaniu był dorywczym. Nadto nie wiele pracował nad wykończeniem, prawdopodobnie do raz napisanego powtórnie nie wracał; otrzymaliśmy przez to jakgdyby pierwszy rzut dzieła. Uczoność, jak to zresztą zaznaczyliśmy wyżej, nie była wielką u Janka. Łaciną włada słabo, styl jego miejscami kuleje i aż nadto zaniedbany, w ogóle można powiedzieć, że kronika więcej zdradza uzdolnień naturalnych, niż studyów i pracy. W niektórych miejscach składnia tak do języka polskiego zbliżona, że raczej wydaje się być przekładem z języka polskiego, niż oryginałem.

Autor nie jest ani artystą w rodzaju Froissarda, ani w nim nie ma żyłki dramatycznej, którą podziwiamy w Ayal'u. Zna zato dokładnie ludzi i wypadki; doświadczony minister Kazimierza Wielkiego mógł się dobrze ludziom, u steru rządów stojącym, przyjrzeć i wypadki dziejowe dokładnie poznać i zrozumieć. Wie co dla państwa złe, a co dobre, zna cenę sławy, wartość uczucia, brak mu jedynie równowagi — jest niewolnikiem swych namiętności — drży mu w ręku źwierciadło prawdy i przez to trudno go zaliczyć w poczet wytrawnych historyków. Nadto dbały o przyjaciół, niepohamowany w nienawiści dla wrogów, cierpienia ogółu słabo odczuwający, archidyakon nasz nie posiada wewnętrznych przymiotów, które każdy prawdziwy historyk mieć koniecznie powinien.

Brak mu spokoju i rezygnacyi. Zbyt często oburza się i rozczula, albo przemawia z goryczą zranionego. Takie usposobienie podyktowało mu opis bezkrólewia i wojny domowej po śmierci Kazimierza, opowiadanie czasów pierwszych sejmików i zjazdów, pierwszej konfederacyi, narodzin życia publicznego szlachty, państwowego odrodzenia Polski, poczętej w dzielnicy Wielkopolskiej. Był to czas burzliwy, nie bez chmur i zaćmienia, ale zarazem okres przygotowawczy, z którego wyłoniła się późniejsza świetność, promieniąca nad naszą historyą i literaturą stubarwną tęczą.

Pisarz to bezsprzecznie stronny, często przechodzący do porządku dziennego po nad wypadkami doniosłego znaczenia, ale pełen naiwności i odczucia rodzimego piękna, jedyny może pamiętnikarz, który potrafi barwnie oddać portret historycznej postaci, kilkoma rysami rzucić doskonały szkic budzącego się ducha czasu.

Z Jankiem z Czarnkowa kończy się epoka dziejów piastowskich. Mimo wad niektórych nie podobna w nim nie uznać znakomitego na swój czas historyka. Poprzednicy jego wszystkim niemal oddają pochwały. Janko niejednokrotnie pisze piórem, w żółci maczanem; nie pokrywa wad i zdrożności ukochanego króla, lubo go z nich usprawiedliwia, kładąc je na karb bujnej natury, to znowu poszeptom dyabła. Nieprzyjaciół swoich czarnemi maluje barwami, co zresztą objaśnić można samą chwilą dziejową. Czasy Elżbiety, w których się obraca jego historya, zaznaczyły się w dziejach krwawą smugą wojen domowych, łupiestw i zajazdów. Zmora zepsucia wpełzała na dwory panów swieckich i do komnat zamków biskupich. Lud był gnębiony coraz nowymi podatkami, dziesiątkował go głód, niszczył pożar. Wobec tych klęsk okropnych nie zachowuje się Janko obojętnie; nieraz wyrwie mu się jęk z przepełnionego bólem serca, zwłaszcza, jeżeli to się tyczy Wielkopolski, skąd jest rodem. Uważać go też można za historyka Wielkopolski, podobnie, jak mistrz Wincenty reprezentuje dziejopisarstwo małopolskie.

Ostatni ten kronikarz czasów piastowskich wyzionął ducha, kiedy się nowe słońce nad krajem poczęło rumienić. Wiele nawet promieni tej wschodowej doby dzieło jego musnęło. Nie bije zeń ów potężny prąd religijny, który się począł w kronice Wincentego, przebija w licznych opisach żywota i najszerszą falą płynie poprzez żywot św. Stanisława. Szlachta, w poczuciu sił własnych, podnosi już głowę i do szerszego życia publicznego się budzi, myśl jej innem płynie korytem. Wtargnęły gwałtownie do Polski wpływy z zachodu i południa. Nie przeczuł Janko z Czarnkowa, co się z tego rozbudzenia atmosfery wyłoni, ale walkę dwóch żywiołów — zachowawczego z postępowym — świetnie w swem dziele odtworzył.

Zbliżała się chwila nowego okresu. Świat stary schodził do grobu, ustępując miejsca nowemu. Polska wstępowała w okres czasów nowożytnych. Przejściową tę epokę maluje wiernie kronika Janka z Czarnkowa.





ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

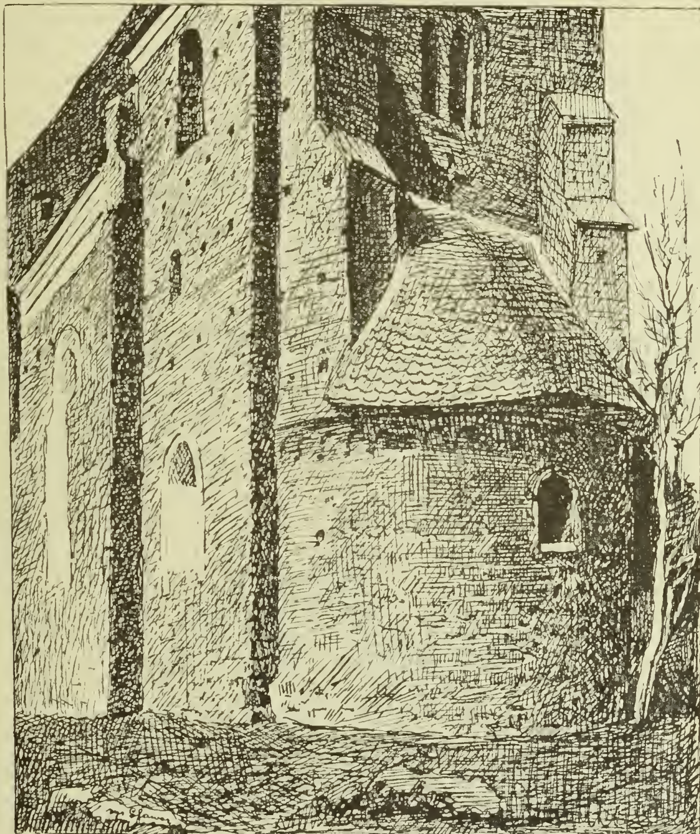
SZTUKA I POEZYA.

Rozmaite przyczyny składały się na to, że kultura i sztuka w Polsce Piastowskiej nie rozkwitła się tak bujnie, jak na zachodzie i południu. Do najpierwszych należą warunki geograficzne kraju. Większa część Polski jest równiną, której kształty proste, pozbawione rozmaitości, nie dopuszczały wyższego rozwoju poczucia form, jakiem odznaczał się Włoch, kształcący wzrok swój na fantastycznie zarysowanych liniach gór, odcinających się od tła południowego nieba. Piękniejsze okolice polskie, z właściwą im wspaniałą grą barw, obudziły później zmysł malowniczy, dlatego to miniatury średniowieczne w Polsce dorównywają świeżością i bogactwem kolorystyki sztuce ikonografii na zachodzie. Drugim czynnikiem, tamującym rozwój piękna, był ustrój społeczny państwa Piastowskiego. Obok wojowniczej, rycerskiej szlachty, nie parającej się sztuką ani nauką, była tylko ciemna, obojętna na postępy cywilizacyi masa ludu roboczego. Stan średni, mieszczański, pochodzenia polskiego, właściwie nie istniał w tych czasach. Uprawiane jedynie przez duchownych sztuka i literatura, noszą więc na sobie zrazu obcy i wyłącznie religijny charakter.

Najwspanialszym pomnikiem naszej przeszłości jest architektura. W jej rozwoju widzimy namacalny dowód, jak ważną cywilizacyjną rolę odgrywają silne mury, stanowią one o dojrzałości narodu. Trwałość budowli winna być uważana za miernik nietylko oświaty, ale i wewnętrznej spójni więzi społecznej. Do XII. wieku budowano u nas wyłącznie z drzewa; w wieku następnym pojawiają się już murowane, a dopiero w wieku XIV., kiedy się nasz ustrój polityczno-społeczny przeobrażać zaczyna — i w budownictwie ważna zachodzi zmiana: drzewo zastępują kamieniem. Najpóźniej do stołu narodów europejskich dopuszczeni, niższe zajmowaliśmy miejsce od Rusi i Czech, a nigdy zachodowi równać się nie mogli.

GROBOWIEC HENRYKA IV. KS. ŚLĄSKIEGO.

Sztuka polska święci swe narodzenie w kulcie chrześcijańskim, za jej kolebkę uważać należy kościoły. Cel a zarazem ustrój budowy najzupełniej dyktowały warunki. W pierwszych wiekach zaprowadzenia u nas chrześcijaństwa i kościół miał charakter obronny. Było to koniecznością ze względu na niewytępione jeszcze pogaństwo i nawały wrogich żywiołów, które czasem tłumnie cisnęły się do wrót kościoła. Kryje się pod okopami grodziszcza kościół na Ostrowie, za czasów Dąbrówki budowany; katedry: poznańska, gnieźnieńska, krakowska i płocka bronią się od możliwych napadów tarczą murów zamkowych i twierdz.



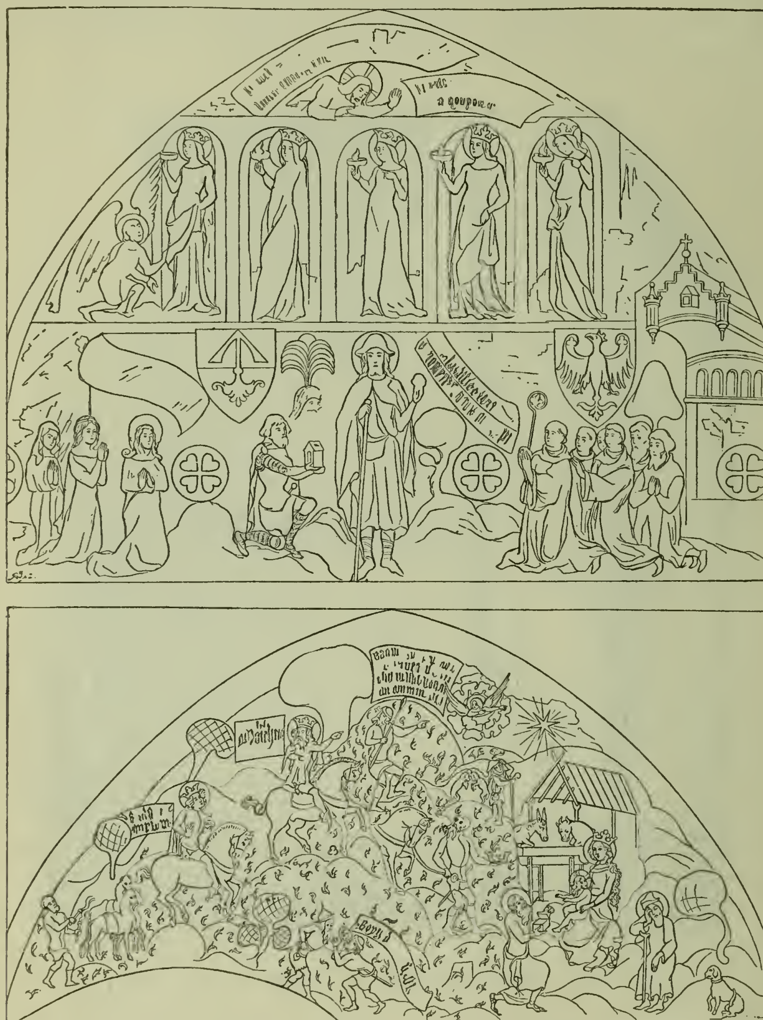
175. Kościół Benedyktynów w Lubinie z XII. wieku.

Najstarsze zabytki naszej sztuki sięgają XI. stulecia.

Był to czas rozkwitu romańszczyzny na zachodzie. Wzorowane na budowlach stylu tego, mają kościoły nasze wyraźny kształt i formę bazylik romańskich. Za główne sobie siedlisko obrawszy południe Europy, rosły tam na podstawie tradycyi świata starożytnego. Inne atoli były warunki u nas. Romanizm przyszedł do Polski, jako obcy przybysz, niezrozumiany i zrazu do wyobraźni narodu nie wiele mówiący, nie dziw przeto, że gorącego nie zaznał przyjęcia. To też napotykane kształty romańskie uważać raczej należy za roślinę egzotyczną, słabo na gruncie rodzimym

rozkwitłą. Echo to zaledwie pieśni donośnych, rozbrzmiewających daleko gdzieś za górami.

Pierwsza połowa XIII. wieku przynosi nowy pierwiastek ożywiający budowle, wzbogaca sklepienia świątyń ostrołukiem. Na stopniach architektury jest to polanka, wprawdzie jeszcze na pół romańska, prowadząca jednak stanowczo do wyższego



176. Obrazy w opactwie Cystersów w Lądzie, z XII. wieku.

rozwoju sztuki, na stopnie gotycyzmu. Wczesne to stosowanie ostrołuku wprowadzają Cystersi z Francyi. Zakon ten, zrodzony w kraju, gdzie architektura stała już wówczas na wysokim stopniu, przenosząc się do Polski, zabiera ze sobą zarodki stylu, który nawet w Niemczech ledwie pierwsze puszczał pąki.

Żadnej zresztą o tych pierwszych architektach nie znajdziesz wzmianki, ani w rocznikach, ani w nekrologach klasztornych, które skrzętnie przekazują pamięć

potomnych dobrodziejów, opatów, pokutników, organistów, iluminatorów lub przepisywaczy, napróżnobyś szukał śladów ich w innych źródłach. Jedynie dzieła głoszą chwałę tych pierwszych w naszym kraju pionierów gotyckiej architektury. Przenoszenie dobytków oświaty przy braku środków komunikacyi odbywały się w owych czasach z niemałemi trudnościami. Tem większa zasługa należy się Cystersom, którzy zaszczypili na gruncie naszym płonkę gotycyzmu zaraz po narodzeniu się jego w odległej od nas ziemi francuskiej. Stan ten rzeczy zawdzięczać należy stosunkom, w klasztorach cysterskich panującym, a działały tu krom wspomnianych związków rodzinnych, generacye macierzy i córek, obowiązkowe odwiedziny opatów ziem polskich, kapituły generalnej (Citeaux).

Cystersi nie znając krajowego języka, wędrowali z osobną klasą braciszków, przeznaczonych do posług budowniczych. Poczet ten rzemieślników w sukni zakonnej, tak zwanych komersów, zajęty przy budowie kościołów i klasztorów cysterskich, oddał wielkie usługi Polsce. Najpierwsza w ten sposób powstała u nas budowla stanęła w Jędrzejowie, owym małym Marymondzie. Zasiadał wtedy na stolicy biskupiej Wincenty Kadłubek, który zamieszkał w cichej celi tego klasztoru. Za ostatnią ich budowę uważać należy świątynię w Wąchocku. Musiało potem stowarzyszenie konwersów z kraju wywędrować, prawdopodobnie z obawy przed napadami Tatarów. Klasztory cysterskie były stawiane w zastosowaniu do potrzeb rolnictwa i przemysłu rolniczego. Wszystkie są wzorowane na opactwie cysterskim w St. Gallen we Francyi. Składają się zazwyczaj z dwóch części murem otoczonych. Jestto piętnem dwóch odrębnych celów, jakie sobie Cystersi zakładali: ascetyzm i praca koło roli lub gospodarstwo. W pierwszej dzielnicy znajdujemy kościół i cele klasztorne dla życia odosobnionego, dla myśli wiecznie ku Bogu kierowanej. Druga obejmuje zabudowania gościnne i gospodarcze, rzekłbyś, wzorowane na folwarku dziedzica olbrzymich włości. Pełno tu różnych zabudowań. Nieprzerwanym sznurem tulą się do muru śpichrze, stajnie, warsztaty, browary, środek podwórza ożywia bystry potok, poruszający koła wodnych tartaków i młynów. Jestto rzeczywiste ognisko kultury, której jeszcze śladu niema w miastach ówczesnych. Zakonnicy więc wzięli na siebie ciężki obowiązek karczunku dzikich puszcz i kniei. Oczywiście, kiedy gospodarstwem począł się lud cały trudnić, część ta klasztornego życia stała zupełnie zbyteczną; była ona jedynie koniecznością w wiekach XII. i XIII., kiedy wszystko dokoła drzemało jeszcze w mrokach barbarzyństwa. Później w gospodarstwach, należących do Cystersów, pracowały już ręce świeckie, a wyroby przemysłu dostać można było w mieście; warsztaty więc powoli poczęły znikać z dziedzińców klasztornych. Natomiast wieczna groza przed nieprzyjacielem, zwłaszcza Tatarami, zmuszała braciszków do wznoszenia coraz wyższych murów, opatrywania ich w baszty i wieże, co czyniło klasztor podobnym do fortecy, stawał się prawdziwym zamkiem obronnym.

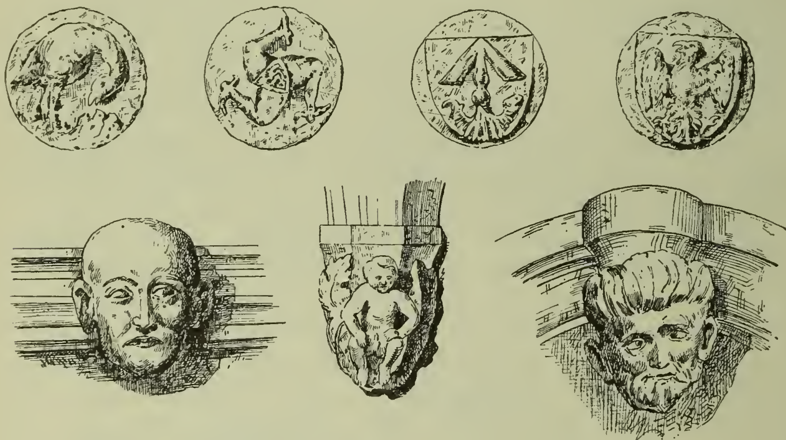
Ważna stronnica w dziejach naszej oświaty należy się fundacyom klasztornym. Z założeniem każdego klasztoru otwierano nowe okno na zachód. Z przybyciem nowego zakonu sztuka i oświata nowy święci okres. Cystersów — to dziwne stowarzyszenie mnichów, rolników i budowniczych — zmieniają Dominikanie. Zakon kaznodziejski z św. Jackiem — ojcem polskich klasztorów — na czele. Wielce się od swych poprzedników różnią. Nie kryją się, jak tamci za murami, gdzie albo oddani ascezie albo koło roli i przemysłu zajęci, żyją w zupełnem od świata oddaleniu. Owszem — mieszkaniem tych ulice przyszłego miasta, idą między lud, tam

ich najczęściej spotkasz, gdzie gromadka. Głoszą kazania budujące, uczą religii i bogobojnego życia. Cała przepaść leży między tymi Włochami a francuskim zakonem Cystersów.

Drugi zakon żebrzący, pod wezwaniem św. Franciszka, stoi na kresie epoki romańskiej, dając początek stylowi gotyckiemu, uświęcając ostrołuk. Najdawniejszy pomnik architektury franciszkańskiej, z wyraźnym piętnem romanizmu, to dawny kościół w Zawichoście, niedaleko Sandomierza, gdzie św. Salomea przybrała suknie zakonne. Klasztor w Nowym Sączu, wraz z należącym doń kościołem, świadczy już o rozwiniętym gotycyzmie.

Styl gotycki w ciągu wieku XIV. rozwija się i staje w następnym na szczycie, z którego powoli chylić się poczyna ku upadkowi.

Ornamentacya architektury gotyckiej, w porównaniu do romańskiej, zasobniejszą jest w różnego rodzaju ozdoby. Wiele zewsząd strzela wieżyczek i iglic; a doskonałe rozczłonkowanie znakomicie uwydatnia przeznaczenie i cel każdej części



177. Zwrotniki na sklepieniach klasztoru z XIII. wieku.

budowli. Tum katedralny jest typem gotyckiej architektury, jak kościół klasztorny stylu romańskiego. I ten nowy ideał sztuki przejęliśmy z zachodu. Warunki się atoli zmieniły. Podniósł się poziom oświaty i kultury; dawna dla sztuki obojętność znikła. Z zamiłowaniem już teraz stosują piękny i tak wzniosły, do uczuć religijnych mówiący ostrołuk, który niby ton przewodni rozbrzmiewa w symfonii kościoła Maryackiego. Oczywiście ma on z razu znaczenie obce, kosmopolityczne, ale nie mógł zostać obojętnym na wpływy miejscowe. To też gotyk przybiera u nas odmienne od zachodnich kształty; wycisnęliśmy na nim własne narodowe i plemienne piętno. Zasada w ostrołuku stosowana, powoli rozwijając się, skrystalizowała się w samodzielny organizm, czerpiący soki żywotne z warunków miejscowych; wreszcie dostąpiła godności uświęconej tradycyi artystycznej. Stosowne warunki klimatyczne nie dozwoliły zdobić wież gotyckich w zawiłe koronkowe ornamenty z kamienia, jak to widzimy na wieżach zachodniej Europy, okrywały się natomiast ozdobami z drzewa, czego przykładem służyć może słynna wieża Maryacka. Również bije swojskim powiewem z biblioteki Jagiellońskiej, z baszt i ronda bramy Floryańskiej.



Bolesław, książe śląski.

Dzieła architektury zajmują nas tu z tego jedynie względu, o ile w murach ich (w odrzwiach, tympanonach, na grobowcach i t. p.) zachowały się najdawniejsze nasze pomniki literatury. Z tych pierwsze miejsce zajmują napisy w kilku kościołach romańskich z XII. wieku: w Bytomiu, Wrocławiu i Strzelnie, tudzież na słupie drogowym w Koninie, układane w heksametrach, leoninach, lub w wierszu elegijnym,

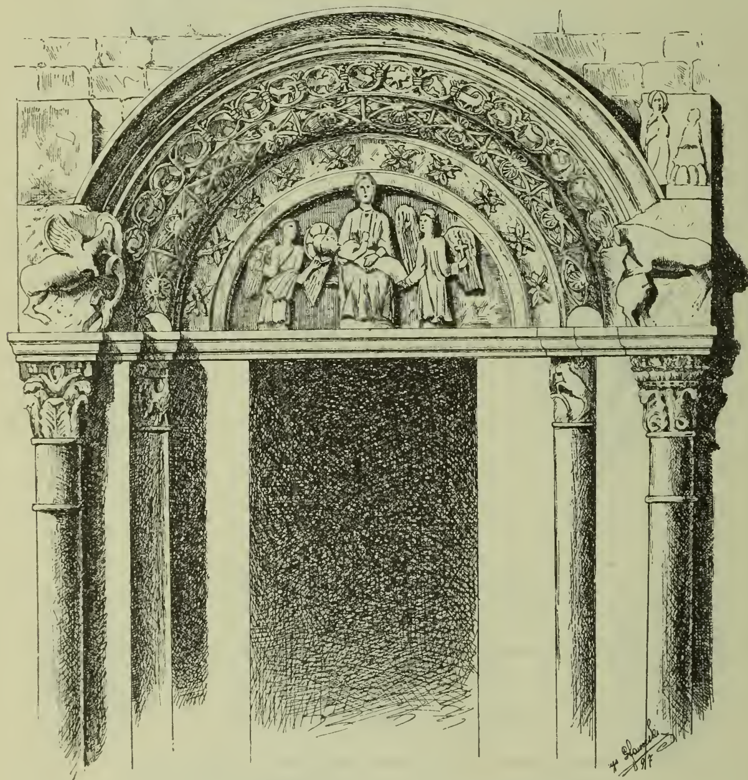


178. Ornamenty w opactwie Cystersów sulejowskich.

złożonym z heksa- i pentametrów. Wszystkie niemal odnosi tradycya do bohaterskiej postaci Piotra Własta.

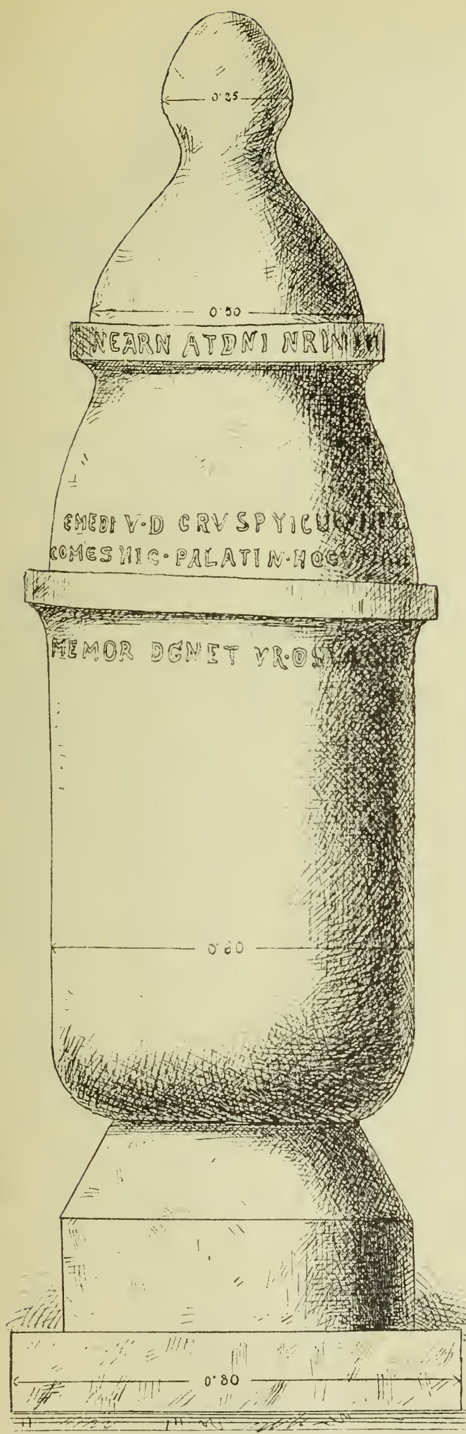
Istotne o potomkach szlacheckich wiadomości nie zadowalniały fałszywej dumy rodowej, która na tle niejasnych wieści, czy to z książek czerpanych, czy też zapożyczonych w skarbcu podań ludowych, roztaczała wspaniałe obrazy rodowodów. Przykładem tego genealogia Piotra Własta, któremu protoplastę sprowadzono aż z Danii. Z tych mgieł tradycyi rodzinnych wynurza się ten bogacz czasów dalekich,

jaśniejąc przepychem i okazałością skarbów, których żadne dłonie do dna wyczerpać nie mogły. Lud wyobrażał sobie, że pochodziły z krain zamorskich, kąpiących się w złocie, że powstały z łupu królewskiego skarbca, dokąd od wieków płynęły szerokiem korytem najkorzystniejsze zdobycze korsarzy. Opowiadają dotąd następującą o nim legendę: «Piotr Włast, człowiek miłosierny, stanął w obronie braci Władysława II., kiedy żona tego króla gotowała im krzywdę. Mszcząc się na nim, nasłał Władysław, za namową małżonki, Dobiesza, który go z rozkazu księcia oślepił. Włast udaje się do biskupa krakowskiego z prośbą pokorną o radę, co ma uczynić



179. Widok portalu kolegiaty łęczyckiej z XII. wieku.

dla odzyskania wzroku. Biskup kazał Włastowi wybudować siedm kościołów i trzy klasztory, co, gdy uczyni, u Boga wzroku napowrót wyprosi. Ale szatan pychy wśliznął się w duszę magnata i oto z rozkazu i zasobów Własta powstaje w kraju 70 kościołów i 30 klasztorów, że jednak tej ofiary nie z pokory serdecznej złożył, nie odzyskał wzroku. Udaje się tedy Piotr do biskupa i rzecz całą przedkłada, prosząc powtórnie o pomoc. Zganił go kapłan za pychę i znowu nakazuje zbudowanie siedmiu kościołów i trzech klasztorów.» — Ta to postać często ciągnęła uwagę sztuki i poezyi średniowiecznej, a literatura o Piotrze musiała być bardzo zasobną, skoro i dziś możemy dzieł parę — niestety tylko z tytułu — wymienić, zajmujących się owym polskim Krezusem. Między niemi znajduje się i poemat łaciński pod nazwą



180. Słup w Koninie z wierszem w otoku, z XII. wieku.

«Carmen Mauri», opiewający tragiczne przygody Własta; w zakończeniu czytamy o oślepieniu i ucięciu języka przez «tygrysicę,» to jest żonę księcia Władysława.

Kronika Piotra Własta z XVI. wieku zawiera prawdopodobnie wzmianki o tym spółczesnym prawie Własto wi pomniku literackim. Urodził się na Śląsku, gdzie posiadał olbrzymie włości dziedziczne, ciągnące się u stóp owej «świętej» góry, od wieków czcią otaczanej. Brał udział w walkach pomorskich Krzywoustego. Musiał się wyjątkową odznaczać dzielnością, skoro po upadku Skarbimira objął naczelne dowództwo nad całem wojskiem Bolesławowem. Z niepospolitą odwagą i przytomnością umysłu łączył niezwykłą zręczność, której zawdzięczał powodzenie. Widownią jego czynów, które taką go chwałą okryły, był przeważnie ruski dwór książęcy.

Marya Świętopełczanka, wnuczka cesarzy bizantyjskich, spokrewniła go z królem, który był odtąd jego szwagrem, a w Władysławie, dziedzicu tronu Bolesławowego, miał swego siostrzeńca. Pokrewieństwo to podstępnie wyzyskał w czasie wojny z kniaziem ruskim Wołodorem. — Do tej postaci na pół legendarnej odnoszą się pierwsze zawiązki poezyi łacińskiej w Polsce, z której tu kilka znaczniejszych podaję próbek.

Na rynku miasteczka Konina w Wielkopolsce — jak opisuje Wł. Łuszczkiewicz — stoi przy kościele parafialnym wśród trawników i klombów kwiatowych pomnik kształtu olbrzymiego kręgla, przypominając rozmiarami i układem starożytne znaki drogowe. Tworzy zaś pewną rozczłonkowaną całość, która występuje w stylu romańskim, co najpóźniej XII. wieku. Napis na słupie zawiera następujące cztery wiersze, jeden na powierzchni

trzonu, dwa wiersze nad obręczą, czwarty na pierścieniu. Cel i przeznaczenie tego słupa tłumaczy następujący napis:

Anno ab incarnatione domini nostri 1151.

De Calis hic medium in Crusvici fere punctum Indicat ista viac et justitiae formula 50.	Ten oto słup drogowy i sądowy wskazuje, Że tu punkt środkowy między Kaliszem i Kruszwicą.
Quam fieri iussit Petrus, comes hic palatinus, Hoc quoque sollertia dimidiavit iter.	Kazał go zbudować Piotr, komes, wojewoda, I rozdzielił drogę z przemyślnością.
Ejus, ut esse memor dignetur omnisque viator, Cum prece propitium sollicitando Deum.	Niech każdy podróżny wspomina go z wdzięcznością, I z prośbą o zjednanie łaski Najmiłosierniejszego.

Widocznie droga z Kalisza do Konina, a stąd do Kruszwicy, podzieloną była na pięćdziesiąt stacyj, czyli wiorst, oznaczonych mniejszymi kamieniami, a praca taka, pomierzenia drogi w XII. wieku, była rzeczywiście godną pamięci wojewody, który jej dokonał. Kamieniarz, co wykuwał napis, znaczył początek wiersza krzyżem, litery zaś łacińskiemi majuskułami, do pięciu centymetrów wysokości. Niektóre z liter są nakreślone bardzo swobodnie, zważywszy twardość materyału, Łuszczkiewicz domyśla się, że wiersz dyktował kamieniarzowi zapewne jakiś uczony, a sądząc z rytmu kulejącego tylko w jednym rządku, wątpi nawet, czy robotnik nasz był człowiekiem piśmiennym. Miesza on bowiem litery, bierze jednę za drugą, wypuszcza wyrazy i wprowadza je jako poprawki w nieodpowiednie miejsca, a czasem nawet dziwacznie je wykrzywia. Współczesne źródła mowią pod rokiem 1176 o Piotrze Wielkim, synu Wszebora, palatynie kujawskim i kasztelanie kruszwickim. Być więc może, że słup ten wiąże się z jego osobą. Lubo — wedle późniejszych źródeł — miał i Piotr Włast w tym czasie zarząd ziemi kaliskiej i kruszwickiej.

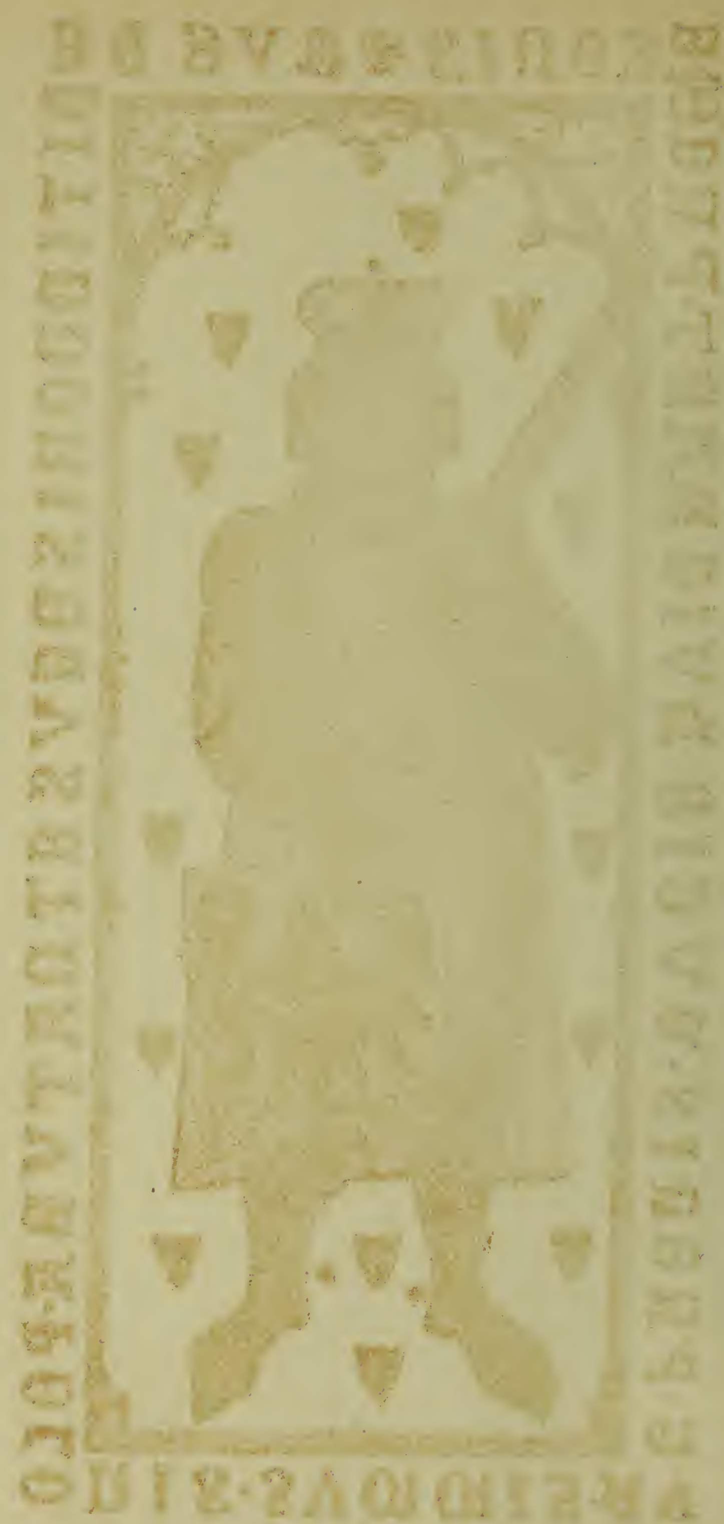
Po życiu pełnem sławy i przygód, Piotr Włast zmarł roku 1153 i pochowany został wraz z małżonką swą w fundowanym przez nich klasztorze św. Wincentego w Wrocławiu. Posiadamy wiadomości o kilku jego nagrobkach. Jeden z nich, to grobowiec marmurowy, położony przez opata Norbertanów, w XIV. wieku. Oto jak go opisują kronikarze: W środku chóru wznosi się wspaniały pomnik. Na wierzchu leżą obok siebie naturalnej wielkości posągi Piotra i małżonki jego. On z odkrytą głową, w stroju polskim, w prawicy trzyma miecz na dół spuszczony, w lewicy tarczę trójgraniastą, ona ma na głowie czapkę książęcą, w lewej trzyma kościół. Nad ich głowami wznosi się gotycki portyk; w rogach grobowca, zdobnych arkadami, stoją cztery lwy stróże. Na około wieka był napis:

Hic situs est Petrus Maria coniuge fretus,
Marmore splendente patre Wilhelmo peragente.

Tu leży Piotr z małżonką swą Maryą,
W błyszczączym marmurze wystawionym przez ojca Wilhelma.



Przemysław, książe głogowski.



W rękopisie kroniczki Benedykta z Poznania załączony obraz grobowca, zdjęty z samego pomnika, nie zupełnie zgodny z powyższym opisem. Wiersze, znacznie już późniejsze, zaczynają sie ową legendą, o założeniu przez Piotra 72 świątyń.

W kościele N. M. Panny na Piasku w Wrocławiu znajduje się, nadedrzwiami, kamień fundacyjny w kształcie łuku romańskiego. Po prawej stronie widzimy w długiej sukni i zawitce Maryę, żonę Własta, trzymającą w ręku kościół. Po lewej wygląda z nyży w napółklęczącej postawie syn fundatorki, Świętosław, z wzniesionemi do modlitwy dłońmi. W około łuku czytamy starożytny, choć odnowiony napis wierszem łacińskim:

«Swiątynię tę w ofierze składam Najśw. Matce Boskiej, ja Marya i syn mój Świętosław.» W kościele wrocławskim św. Michała miał się znajdować jeszcze około 1500 roku następujący napis:

Oto Jaksa był założycielem i twórcą tej świątyni,
Po jego śmierci dokończyła dzieła żona,



181. Rzeźba z wierszem okolnym na tablicy erekcyjnej klasztoru w Strzelnie.

Jaksa, ozdoba obyczajów, wzór prawości, obraz dobroci.
Pokój Chrystusowy z tobą, który do grobowca przybyłeś.

Z powodu, że Piotr Włast zostawił po sobie niezwykłą ilość świątyń własnym zbudowanych kosztem, poczęto wszelkie fundacye z XII. wieku, Piotra, jemu przypisywać. Tak było i w następującym wypadku, który przytaczam ze Studyów heraldycznych Małeckiego: W Strzelnie, na Kujawach, znalazł miejsce wiecznego spoczynku w kościele Norbertanek Piotr z przydomkiem Magnus. Epitafium jego obejmuje dziewięć lichych leoninów w barbarzyńskiej łacinie. Osnową pierwszych sześciu wierszy jest to tylko, że fundator tego klasztora, założyciel 72 świątyń, imieniem Piotr, umarł roku 1153. Dalsze, jak się Małecki domyśla, zapożyczone zostało z nagrobku w kościele św. Wincentego w Wrocławiu Norbertanów czyli Premonstrantów, w którym Piotr Włast, rzeczywisty jego fundator, leży pogrzebany. To pewna, że nagrobek strzeliński powstał w czasie, kiedy podania o Piotrze Wielkim i o Właście w jedną zlały się postać.

Z legendową postacią Dunina wiążą się w ogóle najdawniejsze zabytki stylu romańskiego w Polsce. Przypatrzmy się bliżej jednemu z zabytków sztuki rzeź-

182. Napis na rzeźbie w Strzelnie.

biarskiej tego typu. Na ścianie klasztoru w Strzelnie umieszczony jest kamień erekcyjny w tympanowej formie. Ze zagłębionego tła tej tablicy występują wydatnie w płaskorzeźbie trzy postacie, opisane przez Łuszczkiewicza.

W około napis wyżłobiony na półkolistym pasie obramowania, scholastycznemi literami, brzmi jak następuje: Te velut optaras hoc dono Petrus honorat. Virginis Anna pie mater reveranda Mariae. Tą ofiarą, Ciebie Anno, jakeś sobie życzyła, czci Piotr, jako matkę Najśw. Maryi. Więc jakiś Piotr — domyślają się Własta, albo syna Wszebora, znanego palatyna z czasów Bolesława Kędzierzawego — stawia ten kościół pod wezwaniem św. Anny dla zakonnic, z których jedna weszła dla tego do naszej grupy.

Rzeźba ta nie stoi na poziomie zagranicznych utworów dłuta średniowiecznej sztuki. Nie biją z niej uniesienia bogobojnej, pnącej się do nieba duszy. Surowy hymn rycerski, twardy, pozbawiony upojeń dusznych, nie obfituje w widzenia niebieskie; tajemnic wiary na wierzch nie wydobywa, ani im kształtów plastycznych nie daje. Rzeźbiarz nasz wysokich aspiracyj nie pieścił, zadowolony był, że treść powszednią może wypisać na głazie. Celem jego jest uwiecznić w kamieniu słowa, wypowiedziane przez fundatora. Nie masz polotu, ani w artyście, ani w fundatorze. Obaj żyją duszą na ziemi, w sfery ascezy nie lecą, ale owszem materyalizują święte pojęcia. Rzeźbiarz XII. wieku ma niejakie podobieństwo do wiejskiego snycerza, co dziś rzeźbi przydrożne figury.

Trochę życia i ruchu widać jeszcze w tak zwanych bestyaryach, będących charakterystycznym objawem rzeźby romańskiej. W słynnej kolegiacie łęczyckiej, w której murach odbywały się nasze synody, jak również w najstarszych częściach kościoła żarnowskiego z XII. wieku, dochowały się kapitele, należące do tej kategoryi. Przedstawiają one świat zwierzęcy i roślinny, oddany w sposób stylowy. Należą do literatury średniowiecznej, są traktatami poetycznymi, obejmującymi treścią rodzaj zoologii mistycznej. Cnoty i grzechy człowieka występują tu allegorycznie pod postacią zwierząt rzeczywistych lub bajecznych. Niepodobna, aby prości budownicy nasi znali rękopisy bestyaryi i mogli je rozumieć, raczej trzeba przypuścić wpływ naśladownictwa; źródłem zaś twórczości była panująca powszechnie wiara w stosunek natury zwierząt do duchowych własności człowieka.

Na tem kończymy pobieżny ten przegląd pomników sztuki, związanych napisami z historyą naszej literatury.

W tych skromnych zabytkach architektury romańskiej w Polsce, leży ważny do dziejów oświaty materyał. Odgrywają one wprawdzie rolę podrzędną wobec wielkich pomników romańszczyzny w Europie, ale trzeba patrzeć na nie, jako na

pierwsze zawiązki sztuki w Polsce. Ani pożółkłe karty kronik, ani pergamin z przywieszoną doń pieczęcią, nie zdołają przenieść nas w tę odległą przeszłość tak żywo i trwale, jak widok pomnika sztuki spółczesnej. Zębem czasu nie nadkruszone, urągające wichurze wiekowej, stoją owe skamieniałe świadki najdawniejszej kultury naszej na płaszczyznach Wielkopolski i Mazowsza, spozierając z góry otworem strzelnic na mrowiska zmieniających się pokoleń ludzkich...

Niemniej sędziwi, a równie prawi i niewzruszeni świadkowie, pouczający nas o stosunkach kulturnych dawnej Polski, są nasze monety średniowieczne. Rodzaj kruszczu, jego waga, jakość i wartość odsłaniają zakryte oku historyka ekonomiczne warunki rozwoju — napisy i znaki, cała symbolika numizmatyczna odtwarza ducha czasu, wierzenia religijne i polityczne aspiracye — w końcu rysunek, rzeźba, styl monety świadczą o stanie ówczesnych pojęć estetycznych.

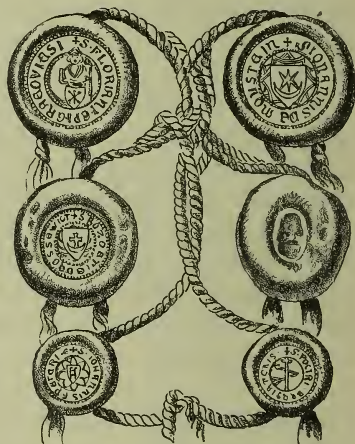
Było jej bardzo niewiele w kraju, pozbawionym jeszcze kopalń szlachetnych kruszczów, używano przeto aż do XIII. stulecia, jako monety zdawkowej, futer i skórek. Dostarczały ich w mnogiej ilości dziewicze bory. Używano w tym celu również kruszyn soli i płatek płótna, jak tego dowodzi słoworód wyrazu: płacić. — Czoło naszej numizmatyki obsiadły pokaźne, srebrne denary, te zaś — coraz lżejszej wagi — ustępują miejsca brakteatom, jak drobna blaszka cienkiej monecie obiegowej, której ledwie, że nie skruszyła twarda, spracowana dłoń ziemianina. Większe sumy brano na wagę lub używano sztabek kruszczu. Przytem przebijano ciągle starą monetę na nową, z czego skarb książęcy bezpośrednio lub pośrednio niemałe ciągnął korzyści na szkodę najuboższej ludności. Nie zaradziły złemu srebrne grosze — a wreszcie pół i ćwierć groszówki — które bardziej jeszcze obniżyły stopę menniczą. Mniej nas jednak zajmuje tu ekonomiczna strona monety — chodzi nam o wydobycie z niej śladów naszej sztuki i kultury.

W sztuce monetarnej napróżnobyś szukał dokładnego rysunku, miękich linij, kształtów klasycznych; mamy tu jedynie barbarzyńskie wyobrażenia figur lub niewyraźny znak krzyża. Na monecie naszej znajdują się ślady potęgującej się z dnia na dzień idei chrześcijańskiej, która poczucie narodowości tłumiąc, była sprawczynią tak ogromnych zjawisk, świat cały obchodzących, jak wyprawy krzyżowe. Obrządki religii chrześcijańskiej więziły poniekąd wyobraźnię ludu; nie mógł on wierzeń swych rozwinąć ani ich oddać w formie plastycznej. To też na monetach pierwszych Piastów nie widać tematów podaniowych. Brak tam również motywów historycznych. Nie powinno to bynajmniej dziwić. Naród powoli wychylał się ze skorupy przeddziejowej, przechodził okres przygotowawczy, w którym znaczono dopiero drogi, jakiemi miał dążyć do bytu samodzielnego.

Na monetach z czasów Mieszkowych widzimy obok znaku krzyża, godła wiary panującej, jeszcze wyobrażenia, odnoszące się do wiary słowiańskiej, swastykę — mieszczą się tu obok siebie znaki religii chrześcijańskiej i wierzeń pogańskich. Nie inaczej dziać się musiało w duszach ówczesnych ludzi, a nawet w sercu Mieszka. Stare tradycye, wyobrażenia, pojęcia, nie mogły odrazu być zupełnie zniszczone. Przez długi jeszcze przeciąg czasu walczą z nowemi pojęciami, mieszają się razem i dopiero później zwycięża chrześcijanizm. Na fundamencie, rzuconym dłonią Mieszka, wznosi Bolesław Chrobry wspaniały gmach. Nie spuszcza oka z krajów zachodnich, które ciągle wpływ swój na Polskę wywierają. Tam również szuka wzorów do swych monet, stąd podobieństwo denara do pieniędzy zachodnich. Zazwyczaj znajdujemy krzyż, jako godło wiary, miecz, to znak potęgi i władzy, ręka umieszczona między

dwiema greckiemi literami A i Ω oznacza wszechmoc Bożą. Denary Bolesława Krzywoustego mają następujący motyw: rycerz przebija gardło smokowi; w czterech kątach krzyża umieszczono po jednem słońcu. Zrodził się ten temat po zwycięstwie Bolesława, odniesionem nad Niemcami i Pomorzanami, którzy niebawem chrzest przyjęli. Archeologowie czytają zeń: «Nieprzyjaciele pokonani, a krzyż jako słońce zajaśniał nad pogańską ziemią». Kiedy zachód opuścił ciasne szranki tej symboliki i na szerszą wystąpił widownię, poczęto używać napisów, legendami zwanych. Państwo polskie, mające więcej skarbowe względy na celu, nie wiele dba o doskonałe wykonanie symbolu, nie bardzo się również przykłada do wybijania legend, których pierwszy ślad dochował się w tak zwanych brakteatach. Spotykamy na nich wyrazy hebrajskie; braha (błogosławieństwo czy zbawienie), simcha (radość), na innych: Mieszka niech pomnaża (Pan Bóg). Te i tym podobne napisy, to zwyczajem wschodnim składane życzenia monarchom.

Większe znaczenie od monet mają dla literatury pieczęcie. W średnich wiekach, kiedy znajomość pisania uważano za rzecz niemal ubliżającą rycerstwu, a niewielu było nawet książąt, którzyby się podpisać umieli, posługiwano się pieczęcią, jako jedynem świadectwem woli.



183. Pieczęcie duchownych, szlachty i mieszczan z czasów piastowskich.

Nas tu zajmują wiersze w napisach polskich pieczęci. Niestety możemy tylko parę przytoczyć przykładów. Pierwszy na małej pieczątce Leszka Czarnego, stanowiącej kontrasigillacyę wielkiej krakowskiej, a drugi na odwrotnej stronie pieczęci majestatycznej króla Przemysła. Podaję ją w podobiznie. Godło napieczętne Leszka wymaga wyjaśnienia. Już książę Kazimierz kujawski, od czasu oddzielenia swej ziemi od Mazowsza, pierwszy używał na tarczy orła herbowego, ale obok tego wyobrażał się, jako rycerz mieczem przeszywający lwa. Najstarszy z jego synów Leszek, książę krakowski, zatrzymując oba godła ojcowskie, wyszywał na chorągwi swej pół orła a pół lwa. Na pieczęci mamy orła i lwa grzbietami ku sobie zwrócone, z napisem okolnym: «Sig. Du. Lestconis: Pars Aquilae Pars Leonis». (Pieczęć księcia Leszka — pół orła, pół lwa). Jest to pierwszy znany mi wiersz na pieczęciach polskich, powstał zaś około 1280 r., a drugi przykład właściwej herbowej pieczęci, to jest takiej, gdzie godło samo wypełnia całe pole.

Starożytnicy nasi dowiedli, że herbowego orła nie widać jeszcze na pieczęciach w końcu XII. stulecia, a i w XIII. pojawia się, nie jako godło państwa lub dynastyi Piastowskiej, ale jako osobiste książąt znamię, które niekoniecznie przechodziło dziedzicznie z ojca na syna, ale często ustępowało miejsca imiennemu godłu. Dopiero Przemysław drugi, przez dłuższy czas ojcowskiej używając pieczęci, wprowadził na swą tarczę orła, ktorego później ukoronował. O znaczeniu tego orła przekonywa pieczęć Przemysława z wierszem w otoku. Jest to tylko wznowienie herbu ojca. Pieczęci tej dwustronej jeden znany jest okaz i to mocno uszkodzony z napisem:

Reddidit ipse pronis — Victricia signa Polonis.



Bolesław II, książe lignicki.

Kwestyonowany wyraz p r o n i s w ówczesnej łacinie lapidarnej nieraz był używany, zwłaszcza dla oznaczenia przymiotów, właściwych Polakom. Tak naprzykład na grobowcu jednego z Przemysławów śląskich, położonym w Lubiążu, na samym początku XIV. wieku, czytamy:

Que dedit in donis Deus et natura Polonis
Summis aut p r o n i s ducis huius erant Premeconis.

Takie samo więc wyrażenie mogłoby i na pieczęci króla Przemysława właściwe znaleść miejsce. Co do samej budowy wiersza, to Moszyński uważa go za formalny heksametr sześciomiarowy, zwany dlatego bohaterskim (carmen heroicum), używano go w epopejach — naprzykład w Eneidzie — w innych zaś poematach naprzemian z pentamentrem, jak naprzykład w Elegiach i listach Owidego. Otóż wiersz nasz według tego skandowania miałby cztery daktyle i dwa spondeje, a więc sześć stóp. Słusznie zauważył na to Stronczyński, że wiersz leoninowy zawsze jest heksametrem i tem się tylko różni od klasycznego, że ma w mniejszej połowie średniówkę z rymującą końcówką wiersza. Jakoż miary heksametru ma i leoninowy napis na grobowcu Bolesława Chrobrego. Zresztą ścisłych daktylów i spondeów nie zawsze przestrzegano w leoninach, dosyć było, aby się wiersz dał podzielić na sześć miar, odpowiednich miarom heksametru, choćby nawet zamieszczone w nich wyrazy mijały się z właściwą prozodyą. W obszernych napisach, które z tego powodu w całości nie dały się w taką ująć formę, wyrazy te ucinano, aby tym sposobem przykroić napis do miar heksametru. Manipulacyę taką poznamy w napisie kilku grobowców śląskich, naprzykład Henryka Probusa, do których się zbliżamy.



184. Pieczęć majestatyczna króla Przemysława z wierszem w otoku.

Ziemia śląska, ta wraz z Wielkopolską i Mazowszem najdawniejsza dzierżawa Polan, była przez dwa wieki nierozdzielnym państwa polskiego składnikiem. Ślązacy miłość swą stwierdzali mrówczą pracą organiczną i bohaterskimi czyny. Ówczesne zatem śląskie pomniki uważane być mogą za krajowe. Odpadła wprawdzie wcześnie od wspólnego pnia jedna gałęź śląska, mimo to, aż do ostatnich czasów nie zespoliła się do tego stopnia z Niemcami, aby w niej zatonęło poczucie dawnej odrębności. Literatura i sztuka rozwijały się tu w nierównie dogodniejszych, niż inne

dzielnice Polski warunkach, były bowiem w bliższem zetknięciu z ucywilizowanym zachodem Europy i nie wystawione na tak częste nieprzyjaciół napady. Dla tego kraj ten nietylko ozdabiał się piękniejszymi pomnikami, ale mógł je łatwiej od zniszczenia zachować. To też do najstarszych zabytków sztuki, o ile dotyczą literatury, należą grobowce książąt śląskich.

Przedstawiają one książąt panujących w całej postaci i w naturalnej wielkości, a to bądź w pełnej rzeźbie, bądź w rytych na płycie obrysach. Przechowują zaś obok fizyognomii zmarłych, także ciekawe szczegóły ich uzbrojenia i ubioru, a w napisach swych mieszczą wiersze łacińskie. Do drugiej połowy XIV. wieku naliczono tylko w dolnym Śląsku kilkanaście pomników grobowych, kiedy w reszcie dawnej Polski zaledwie ich kilka z tego czasu się zachowało.

Przejdziemy tu pomniki książąt śląskich z wierszowanemi napisami. W dziejach Sląska jedną z najświetniejszych kart zajmuje Bolesław Wysoki, zmarły w 1201 roku i pochowany w Lubiążu w kościele Cysterskim, który sam fundował. Grobowiec jego w chórze kościelnym, wpuszczony w posadzkę, przedstawia książęcia w kolczudze, z mitrą na głowie, z włócznią w prawicy, a tarczą w lewej ręce. Na tarczy śląski orzeł, na zbroi książęca dalmatyka, przepasana pasem, u którego wisi kindżał i miecz. Dzieło to zdaje się pochodzić z pierwszych lat XIV. wieku. W kościele lubiąskim znajdowała się również tablica z pogrobowym napisem tego księcia w słowach łacińskich:

Wódz Bolesław, chluba ojczyzny, książe, któremu
Nikt w cnocie nie dorównał w królestwie polskiem;
Spoczywa w tem miejscu, a miejsce, gdzie jest złożony —
Pierwej ołtarz pogański — zamieniło się na przedsionek Chrystusa.

Ostatni wiersz tego napisu odnosi się do wiarogodnego podania, jakoby kościół w Lubiążu stał na miejscu dawnej pogańskiej bożnicy.

Syn i następca Bolesława Wysokiego, Henryk I. Brodaty, pochowany w kościele Trzebnickim, ma również starożytny pomnik z następującym napisem:

Książę Henryk, chluba Śląska, którego muszę opłakiwać,
Tu leży — założyciel tego kościoła, pełen cnót
Obrońca biednych, wzór obyczajów i bicz grzesznych.
Módl się za spokój jego duszy i wieczne odpoczywanie.

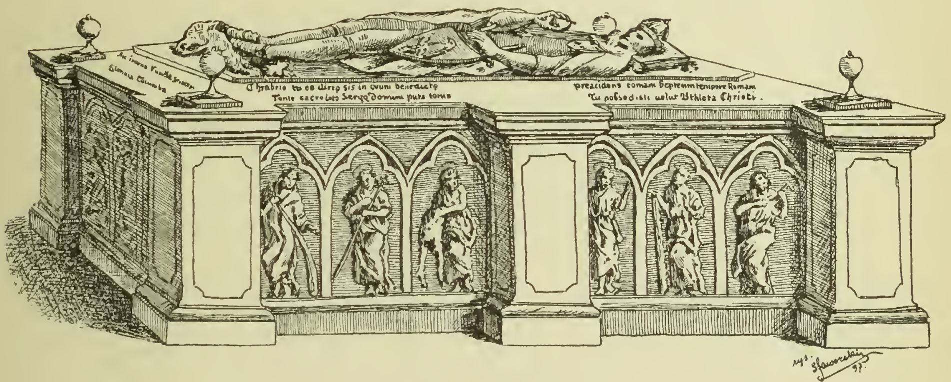
Wiersze te mają pochodzić z pierwotnego, dziś już zaginionego pomnika. W oryginale przebija z nich scholastyczny duch XIII. wieku.

W cieniu północnej ściany kościoła św. Krzyża w Wrocławiu, widać w murze płytę kamienną, zapisaną dziewięciu wierszami staro-gockiego napisu w języku łacińskim. Jestto spółczesne wspomnienie księcia wrocławskiego Henryka IV. zwanego «der milde Fürste». Jak powszechną była podówczas na Śląsku niemczyzna, dowodzi tego owo przezwisko potomka Piastów, niemieckiego śpiewaka. Dochowane dotąd niektóre płody jego poetycznego talentu, jak naprzykład «Rozkosz miłości» — «Sąd miłosny« — tchną roztkliwionem uczuciem. Oto próbka śpiewu zniemczałego potomka Chrobrego w przekładzie K. Szajnochy:

«Usłysz mej skargi rozkoszny maju,
Usłysz mej skargi kwitnąca łąko,
Usłyszcie lato i zielony gaju,
I blaskiem wiosny promieniące słonko,

I pstrobarwista koniczyno w polu,
I ty bogini krasy i miłości,
Usłyszcie wszystkie — bo mi od srogości
Mojej kochanki serce pęka z bolu.

Pomnik ks. Henryka IV. stanowi najcelniejszą pamiątkę, jaką się Śląsk średniowieczny poszczycić może. Podaję ją w kolorowanej tablicy. Na wierzchnim kamieniu wyrobiona jest w rzeźbie całkowitej kolosalna postać książęcia. Brzegi tego kamienia są skośnie ścięte, na czerwonem tle widnieje białemi literami scholastycznemi wypukło wyrzezany napis: od strony głowy «Henr. Quartus», dalej z prawej strony «Mill.-e. Tria. C. Minus. X. Obit. Ille. Eg», od strony nóg: «Regiis. Annis», od strony zaś lewej «Sle. Cra. San. Dux Nocte Johannis».—Jest to tak zwany leoninowy heksametr, który do skandowania czytać należy dosłownie w podanem tu skróceniu, a w przekładzie daje myśl następującą: «Henryk IV. zmarł w kwiecie wieku 1290 roku w wilię św. Jana, jako książę śląski, krakowski i sandomierski».



185. Grobowiec Bolesława Chrobrego.

Pomnik Bolesława, brata wspomnianego księcia, zwanego Rozrzutnym, a zmarłego z obżarstwa czy opilstwa, przedstawia w rzeźbie zupełnej całą postać książęcia w zbroi. Napis po czterech stronach figury gotycką minuskułą, wypukło rzeźbiony, opiewa w trzech leoninowych heksametrach jak następuje:

No Kal (novem calendas) majus dux Vra (tislaviae)
Leg (niciae) Brig (ensis) Boleslaus,
Zelator veri, largus, promtus misereri,
fit cum defunctis M. C. tribus L
duo junctis, hi Heynrichs hant quhirt

Tekst barbarzyńskiego napisu tego, o ile się odnosi do księcia, w ten sposób wyrazić się daje: «Dnia 21go kwietnia książę wrocławski, lignicki i Brzegu, Bolesław, gorliwy o prawdę, szczodry, pochopny do litości, przeniósł się do umarłych, gdy się złączyły cyfry: jedno M. 3. C jedno L. i 2, to jest rok 1352». Reszta napisu w starej niemczyźnie wyraża, że grobowiec jest dziełem ręki Henryka, pastucha.

Pochowany wcześniej w tym samym kościele na chórze, Konrad, książę śląski, proboszcz przy kościele św. Jana w Wrocławiu, znany z wystąpienia przeciw swemu

biskupowi (zmarły 11 października 1304 roku), ma na swoim grobowcu taki napis wierszem leoninowym:

«Patrz, ja, książę Konrád, który miał pieczę nad probostwem św. Jana, leżę pod tym marmurem».

I właściwa Polska poszczycić się może pomnikami sztuki, co bluszczem wspomnień pokryły doczesny pobyt dostojnych osób. Z grobowców królów i książąt wyczytać można niby z księgi dzieje oświaty naszej, a karty jej kamienne, to wymowne świadectwa nietylko dziejów, ale także sztuki i literatury. Szkoda tylko, że je tak nielitościwie ząb czasu nadszczerbił.

Pierwsi królowie polscy, nie mając podobno stałej rezydencyi, kładli się na wieczny spoczynek w różnych stronach swego rozległego państwa. Książąt z okresu podziału po śmierci Bolesława Krzywoustego, chowano w ich dzielnicach. Dodajmy do tego zaburzenia domowe i polityczne, klęski zadane żelazem i ogniem przez ciągłe nieprzyjaciół napady, a zrozumiemy, dlaczego tak mało dochowało się u nas pamiątek z tej burzliwej doby. Dopiero z połączeniem rozbitej monarchii Piastów za Władysława Łokietka, kiedy Kraków został stolicą państwa i domu królewskiego, a Wawel miejscem koronacyi, pomyślano o stałem zogniskowaniu prochów monarszych. Wielki restaurator państwa, Kazimierz Wielki, zajął się też budową nadwerężonych grobowców swoich przodków.

Założycielowi Rzeczypospolitej polskiej należał się przedewszystkiem zaszczyt dźwignięcia pomnika na miejscu zapadającego się w ziemię grobowca. To też dzięki troskliwej pieczy Kazimierza stanął w Poznaniu okazały pomnik Bolesława Chrobrego. Ale ten przywaliły gruzy czasu, a rumowiska użyto do budowy mostu. . . . Ocalał tylko ułamek jednej ze ścian bocznych sarkofagu, do którego później dorobiono kilka figur, pomieszczając je w tumie poznańskim, tam, gdzie dziś stoi wspaniały posąg bronzowy Raucha. Daję tu w podobiznie znacznie późniejszą rycinę tego zniszczonego pomnika, na który powołuje się już świadek w procesie z zakonem krzyżackim w roku 1422. Wiersze napisu, dokoła rozmieszczone, opiewają w przekładzie polskim:

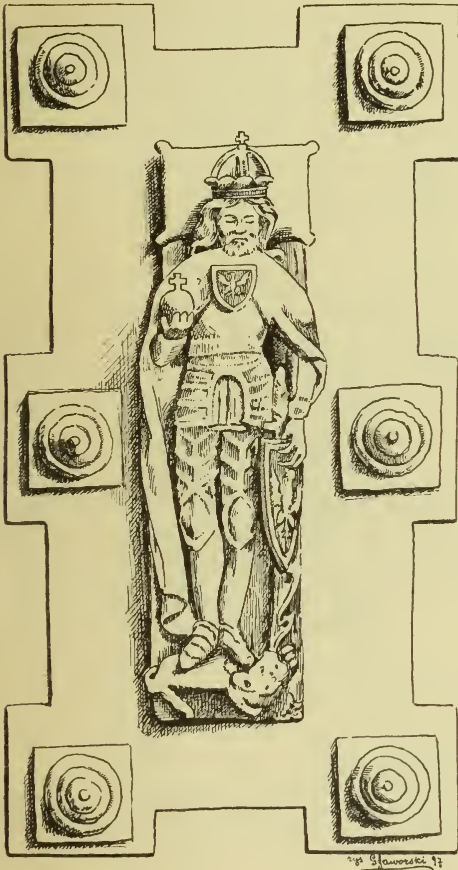
Tu leżysz w grobie książę, szlachetny gołębiu,
Otrzymałeś miano Chrobrego, bądźże na wieki błogosławiony,
W źródle świętem obmyty. Uważając się za sługę Bożego
Wysłałeś w siódmym roku ucięte włosy do Rzymu,
Dzierżyłeś jak prawdziwy szermierz Chrystusa
Berło, w kraju Słowian, Gotów i Polaków.
Kiedy wszechwładny cesarz uwolnił cię od zależności,
Ofiarowałeś mu hojne dary, wybrane do woli z twej bogatej skarbnicy.
Sławny książę: niezwyciężony Bolesławie, cześć ci!
Pochodzisz z ojca niewiernego, ale matki prawowiernej,
Ujarzmiłeś kraje, wszczynając wojnę, którą mężnie kierowałeś.
Dla dobrej sławy i przymierza ofiarował ci Otton koronę.
Zamiast łez — cześć ci! Amen.

Sam napis nagrobka, skopiowany w końcu XV. wieku, zawiera czternaście podwójnie rymowanych leoninskich heksametrów, przeplatanych pentametrami (na ośm heksametrów trzy pentametry). Na rycinie mieszczą się tylko pięć leoninów. Liczne licencye tego wiersza, zwłaszcza w szóstym, jedenastym i dwunastym, przy-

+ANNO AB INCARNAT DNI NRI
MCØL. P R I M O
+ IN CAUS HIE MEDIUU CRUSPYICI· FERE
& IUSTITIE
PUNETU·IDI(A)T·ISTAUE:FORUUULA C+
+QUÂFIERI9ETB COMES HIC PALATINS·HOC
IUSSIT
Q SOLERTDNIDAVIT·IT·
+EIUSUT ESSE MEMOR DGNETUR·OSQUAT OR· QU
·PRECEPPCA SOLLICITANO DEU

Napis na słupie w Koninie.

bierają takie rozmiary, że trudno w nich dopatrzyć jakiegokolwiek rytmu. Może to leoniny akcentowane, jakie spotykamy za granicą już w X. stuleciu. Poznamy taki sam, co do formy napis — tylko nieco poprawniejszy — dla Ditharda, opata oliwskiego z XIII. wieku. Zdradza on podobieństwo z przytoczonym wierszem nagrobkowym Bolesława Wysokiego z 1201 roku i z napisem Leszka Czarnego w końcu XIII. stulecia. Wszystkie zaś cztery przypominają pod względem miary, a nawet i wyrażenia, wiersze nagrobku hrabiego Ewerharda z XI. wieku. Osnowa wiersza, wykazująca najwięcej analogii z Gallem, zawiera szczegóły nieznane żadnemu z kronikarzy przed wiekiem XV. o urodzeniu i postrzyżynach Bolesława. Wszyscy bowiem — jak to wykazał Potkański — kładą epokę urodzenia Bolesława już po przyjęciu wiary św. przez jego ojca. Tymczasem Mieszko jeszcze, jako poganin, zaślubił czeską księżniczkę, Dąbrowę i miał z nią syna. Że długo nad nim pracowała żona, zanim go do nowej skłoniła wiary, to widać z samego opowiadania Dytmara. A kronikarz ten, jako biskup, silił się przedstawić błogi skutek przyjęcia chrztu św. w pożyciu małżeńskiem nowoochrzczonego, zatarł więc ślady pogańskiego pochodzenia Bolesława. Poszli za nim w tym względzie i nasi kronikarze. Autor zaś nagrobka pisał na podstawie spółczesnych jeszcze wiadomości, że Bolesław urodził się poganinem, że w siedm lat potem, ojciec jego zwyczajem słowiańskim sprawił synowi postrzyżyny. Dopiero po przyjęciu chrztu odesłał włosy jego do stolicy apostolskiej jako zakład przyjętego względem niej poddaństwa. To też niektórzy badacze nasi uważają za najdawniejszą część grobowego pomnika wyryty na nim napis, zawierający ów, odległej starożytności sięgający szczegół.



186. Postać Bolesława Chrobrego z powyższego grobowca.

Co do samego sarkofagu, to nie ulega wątpliwości, że ten stanął dopiero w XIV. wieku za panowania Kazimierza Wielkiego. Trudność zachodzi tylko w oznaczeniu dawności wierzchniej płyty, przedstawiającej postać monarszą, a tem samem czasu, w którym został wyrytym ów napis w wierszach leoninowych.

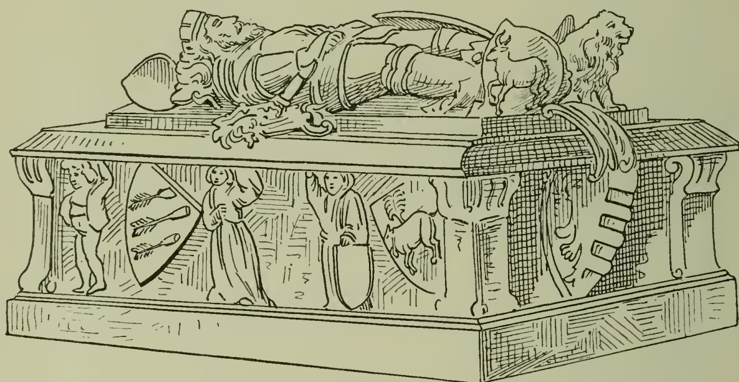
Wspomniany powyżej grobowiec Dytharda, opata klasztoru w Oliwie, odnowiony w XVII. wieku, znajduje się do dziś w kościele oliwskim. Wyryty na nim napis przypomina układem wiersze o Świętopełku, historycy czas ich napi-

sania odnoszą do XIII. wieku. Przytaczam tu próbkę tej koszlawej poezyi scholastycznej:

«Ja zaś jak oliwa owocodajna w domu Bożym».

Tu leży Opat Dythard, pierwszy przełożony, którego żywot wonny, jak nard kwiecisty, przewyższający bystrością zmysłów Argusa. Szczodry a trzeźwy odznaczał się czystością ciała; unikał zasadzek szatana, nawrócił się na dobrą drogę, a drugich, którzy z niej zboczyli sprowadził napowrót, wskazując dobrymi obyczajami lepszą przyszłość.

Z nielicznych wierszy polsko-łacińskich z epoki Piastowskiej, wymieniam jeszcze napis w starożytnym kościele koprzywnickim Cystersów, założonym za Kazimierza Sprawiedliwego, gdzie na wschodniej bramie czytamy następujące wiersze: «Haec domus alma Dei veniam spondet venienti sub titulo fidei veniam parat ingredienti». — Po przeniesieniu ciała św. Stanisława ze Skałki do katedralnego kościoła pod wezwaniem św. Wacława, na grobowcu w środku kościoła znacznie później wzniesionym, złotemi litery wyryto następujący napis:



187. Widok grobowca księcia śląskiego.

Ten grób Stanisława zawiera zwłoki świętego,
Bo nie cierpiał bezbożności króla Bolesława;
Zasłużony śmiercią męczeńską wstąpił w podwoje niebieskie,
Szczęśliwy, bo zapłatą dlań boskość, siedzibą gwiazdy.

Na tym i następnie przytoczonych zabytkach, odnoszących się do stracenia biskupa, widać już wpływ późniejszych wyobrażeń. Kult świętego dosięga szczytu uwielbienia w napisach na grobowcu w Ossyachu, należących już do późniejszej doby.

W jednym z najstarszych kościołów, w Trzemesznie, znajduje się kielich ze srebra pozłacanego, pięknie wyrobiony, o którym tradycya historyczna powiada, że darowała go kościołowi Dąbrówka, żona Mieszka I. Naokoło wierzchnej części czary mamy przedstawione sceny odkupienia rodzaju ludzkiego ze starego i nowego testamentu. Objaśnia je okolny napis w leoninach: «Godne Boga są te znaki dla Matki dziewicy. Za nasze utraty zmywa tego woda Jordana».

Wiersze te wskazują symbolicznie na dzieło zbawienia ludzkości. Podnóżek zdobią cztery wyzłacane figury cnót kardynalnych z napisami: Justicia, temperantia,

fortitudo, prudencia (sprawiedliwość, wstrzemięźliwość, męstwo, mądrość). Poniżej stoi w framugach ośm figur przybranych w długie szaty i trzymających wstęgi z napisami ewanielii: Beati pauperes spiritu (Błogosławieni ubodzy duchem) i t. d. Na brzegu pionowym podstawy napis literami czarnemi w srebrze: «Który pragniesz osiągnąć radości najwyższego nieba, bądź tychże cnót zwolennikiem i naśladowcą».

Rytowany na patynie obraz, przedstawiający chwilę zgonu Boga-człowieka, okolony jest następującym napisem:

Życie śmierć podejmuje, słodycz pije ocet,
Nie człowiek, lecz robak, zbrojnego zwycięża bezbronny.

Naokoło obrazu głównego, na brzegu patyny, ciągną się proroctwa i figury starego testamentu, odnoszące się do Chrystusa, jego ofiary, śmierci, kapłaństwa i królestwa To samo wyraża i napis w trzech wierszach na brzegu patyny wyryty:

Głoszą pisma, co oznaczały figury,
Po spełnieniu znaków zabłysła jasność boskości,
Co poprzedziło, było Chrystusa znamieniem.

Drugi, rzekomy kielich, Dąbrówki, w Trzemesznie, także srebrny z pozłoceniami, uważany za równie starożytny, jak tamten, przedstawia w dwunastu polach sceny ze starego testamentu (z życia króla Dawida, proroków Eliasza i Samuela). Naokoło czary idzie napis wierszem leoninowym: «Namaszczenie królów i cnota mistyczna proroków są znakami zbawienia dla wszystkich obleczonych w łaskę Chrystusa».

Z poezyi polsko-łacińskiej wieków średnich, co przetrwała w rękopisach aż do naszych czasów, niewiele możnaby naliczyć przykładów. Pierwsze, co do czasu miejsce, zajmują wiersze, tak zwanego Galla, gęsto rozsiane w kronice w formie leoninów, najpopularniejszej w wiekach średnich. Z tych scholastycznych elukubracyj może najpiękniejszą jest pieśń, pisana na zgon Bolesława Chrobrego, której początek podaję tu w przekładzie polskim:

Przybiegnijcie wieku wszystek i płci wszystka, wszystkie stany,
Utkwić na grób Bolesława wzrok swój smętny i spłakany,
A gdy pieniem żalu pełnem, zgon takiego głoszę męża,
Niechaj każdy, by mi zrównać, we wtór żal natęża:
Biada, biada Bolesławie! Gdzie twa sława, wielka chwała,
Gdzie twe męstwo, dostojeństwo, gdzie zamożność się podziała?
Biada mu, hej! biada Polsce, we łzach się rozpływa cała — i t. p.

Na wzór kroniki Galla spróbował i Wincenty, mistrz nauk wyzwolonych paryskiej Sorbony, swoich zdolności poetyckich. Pierwszy z kolei wiersz w jego kronice odnosi się właśnie do prośby króla Władysława i żony Judyty o potomstwo. Oto początek wiersza w górnych wyrazach tak znacznie odbijających od słów Galla:

Nadziejo stęsknionych!
Pokarmie spragnionych!
Z nektaru Twojego
My spragnieni pijem,
Potomka drogiego
Wyglądając — żyjem.

Kończąc swą kronikę na śmierci Kazimierza Sprawiedliwego, wznosi mu — jak Gall Krzywoustemu — taki pomnik chwały: «Skoro ta gwiazda zgasła, ciemność okryła ziemię, ludy popadły w odrętwienie i wszystko owładnął smutek, ci zaś, do których wieść o nagłym a nieszczęśliwym wypadku tak szybko dojść nie mogła, jeszcze biesiadowali». Tym więc sposobem pomieszał się smutek z radością, która przezeń porwana i do zaślubin wleczona, tak się uskarża:

W e s o ł o ś ć (do smutku):

Smutna, smutek skarżę światu,
Że mu wolno z mego kwiatu
Wieńce sobie wić,
Gdy król uległ śmierci prawom,
Jam upadła i tak łzawą
Całun nieszczęść skrył.

O d p o w i e d ź s m u t k u:

Samaś wbiegła w nasze progi,
Czemuż teraz ten jęk srogi?
I te skargi Twe,
Karmisz boleść, karmisz żale,
Pocóż — pytam — tych łez fale
Płyną każdą noc?
A pociechy sobie we śnie
Nie zostawiasz, bo ją wcześnie
Pożre cierpień moc.

S ł o w a a u t o r a:

A więc rozpędź smutki, bole,
Niechaj wiara w lepszą dolę
Rozjaśni twą skroń,
Niech weselne brzmią puzany
I w radośne niechaj tany
Wiją wieńce dłoń. i t. d.

Przytoczony ten wiersz Wincentego o śmierci Kazimierza zrozumieć można jedynie na tle scholastycznych pojęć o poezyi. Wymagano podówczas, by rzecz najprostszą wyrazić w jak najzawiślejszej formie, sadzono się na cudackie wymysły, które niby objaśniały, a właściwie zwodziły czytelników. Za takimi to wzorami z zachodu kroczy pojętny naśladowca, mistrz Wincenty.

Z drobniejszymi wierszami łacińskimi spotkać się można przygodnie w różnych kodeksach średniowiecznych. Oto naprzykład w najstarszym zbiorze prawa kanonicznego w Polsce, który służył za podręcznik w zarządzie archidyecezyi gnieźnieńskiej, w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, u nas znajdują się na wstępie, zaraz na pierwszej karcie kodeksu, dwie antyfony, jedna na cześć św. Wojciecha, druga poświęcona św. Grzegorzowi, z nutami jeszcze bez linij pisanemi. Przytaczam w przekładzie polskim tekst pierwszej antyfony:

«O, wielki głosie! przystoi ci, byś zabrzmiał chwałą wszędy, gdzie niebios stropy sięgają. Raduje się ziemia takiem ciałem zbogacana, weseli się i pląsa, godna

będąc takiego pasterza. O, święty Wojciechu, męczenniku, racz przyjąć prośby nasze. Alleluja!»

Antyfona powyższa opiewa prawdopodobnie fakt wyniesienia w katedrze gnieźnieńskiej relikwij św. Wojciecha, za arcybiskupa Jakóba Świnki. Zdarzenie to odnosi kronika czeska (Kosmasa) do roku 1127, a trzemeszeńska cofa je o pięć lat wstecz.

Osobną grupę wierszy łacińskich wydzielićby można z naszych roczników. O wierszu scholastycznym kalendarza krakowskiego wspominam na swem miejscu, tu przytoczę kilka innych, ułożonych w heksametrach leoninowych. Pod koniec tak zwanego rocznika małopolskiego, dopisano pod rokiem 956 na kodeksie następujący wiersz, odnoszący się do św. Wacława, króla czeskiego:

Ex virtutis poli — formata
Polonia noli,
Fel retinere doli — cedet
tibi gloria soli.

(Najwyższem męstwem zbudowana Polsko, nie miej goryczy podstępu, a osiągniesz jedyną sławę).

W dopełnieniach rocznika kapituły krakowskiej znajdujemy wiersze na zgon Bolesława III., które służyć miały za nagrobek księciu, a zawierają właściwie tylko rok śmierci i lata jego panowania. Wiersz ten brzmi w tłumaczeniu: «W roku 1138 zmarł książę polski Bolesław, gdy światło dzienne przyświecało kalendom listopada, a żył na tym świecie lat sześć po nad okres jubileuszowy». — Na kartach tegoż rocznika znajdujemy następujący nagrobek biskupa krakowskiego, Prandoty, zmarłego 20go września 1266 roku:



188. Tak zwany kielich Dąbrówki z napisami.

«Tu leży ozdoba kościoła, pasterz dobrotliwy, kwiat sprawiedliwości, honor duchowieństwa, biskup Prandota. Tu leży droga prawdy, sława duchowieństwa, ojczyzny chwała, ojciec nieposzlakowany, złożony w kaplicy Zofii. Tu leży kwiat czysty, droga prawdy i t. d., biskup Prandota, który podniósł relikwie z grobu Stanisława i zaliczył go do grona świętych».

Podajemy tu jeszcze początek wiersza o pierwszych zakonnikach Lubiąża, wykryto go wraz z kilkoma innemi tego rodzaju zabytkami w bibliotece św. Marka w Wenecyi. Należy prawdopodobnie do rocznika lubiąskiego i pochodzi z drugiej

połowy XIV. wieku: «Jest miejscowość Lubiąż, założona przez Cezara — ludność zwykle mowiąc po słowiańsku, nazywa ją Lubiąż, zamiast Juliusz — który tu pierwszy rozbił obóz» i t. d.

Do jałowych w literaturze czasów dzielnego Łokietka, a właściwie do buntu Alberta, wójta krakowskiego, odnosi się wiersz, rzucający światło na ówczesne stosunki Krakowa. Wielka Jagiellonów stolica była podówczas nawskróś niemieckiem miastem. Wszędzie słychać było jedynie język niemiecki, po niemiecku brzmiały nawet kazania z kazalnic kościoła N. Panny Maryi. Po polsku porozumiewają się jedynie w jakimś dworku szlacheckim lub gdzieś pod strzechą. Niemcy urządzali

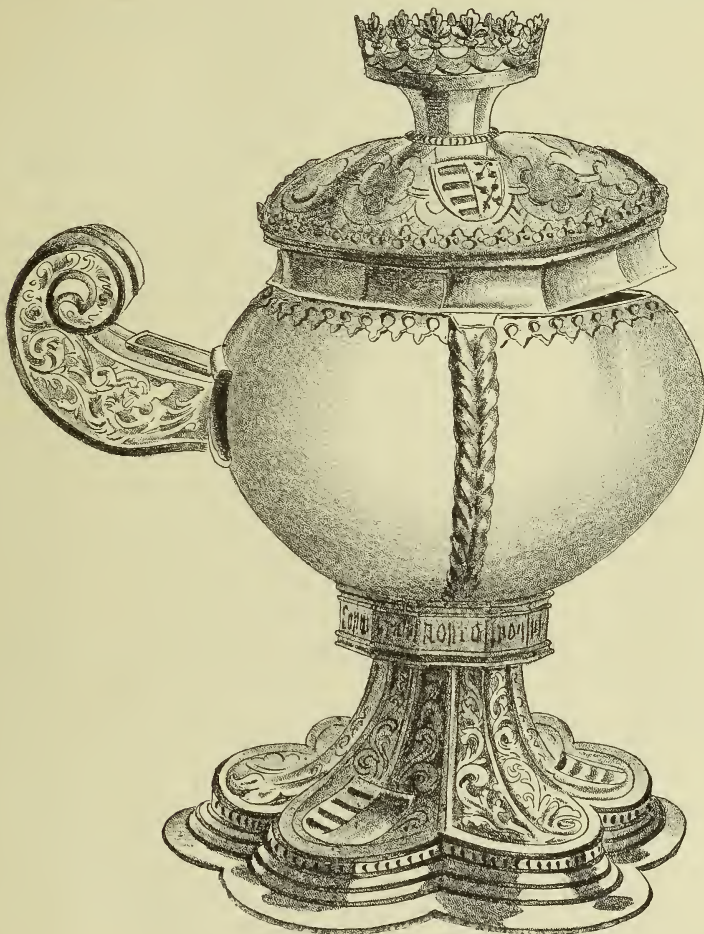


189. Platyna z napisami na kielichu Dąbrówki.

się tu na wzór organizacyi miasta magdeburskiego, otrzymywali najzupełniejszą w sprawach swoich niezależność, samorząd w najszerszem słowa znaczeniu. W ten sposób urządziły się cechy, powstała rada miasta i sądy wójtowskie. Na barkach ludności polskiej spoczywały podwójne ciężary publiczne; winna była nieść do skarbu podatki za siebie i za ludność niemiecką. Po wsiach szerzyła się nędza, ale za to bogaciły się i rosły miasta. Zrodziło to zawiść społeczną, którą jeszcze potęgowała różność pochodzenia i mowy. Struna coraz bardziej wyciągana, musiała wreszcie z łoskotem pęknąć. Albert, wójt krakowski, 1311 roku wypowiedział Łokietkowi posłuszeństwo, zbuntował mieszczaństwo, a stając na czele ruchu, powołuje na tron nieznane książątko śląskie, sprzyjające Niemcom, i roi o przyłączeniu do

Niemiec całej Małopolski. Plan atoli został w niwecz obrócony, a sprawcy ciężko ukarani.

Współczesny kronikarz małopolski powiada, że po ucieczce Alberta rozpoczęła się rzeź bezlitośna. Kogo na ulicy ujęto, kazano mu wymówić: «soczewica, koło, miele młyn», a poznawszy po wymowie Niemca — ścinano. O buncie tym zacho-



190. Naczynie kryształowe królowej Jadwigi z napisem scholastycznym.

wała się spółczesna pieśń szydercza, włożona w usta Alberta, dająca nam zgodne z innemi źródłami historycznemi wyobrażenie o potędze wójta krakowskiego:

Ja, który Albertem zwany,
Wójt, założyciel wielkiego Krakowa,
Możny byłem, szanowany,
Na mnie się każdy oglądał,
Komes, baron i kto żądał,
Bym za nim u książąt się stawił

I z ciężkiej go doli wybawił,
Szukali mię król i książę:
«Bez ciebie nigdy nie zdążę
Trudnemi sterować — mawiali — rządami».

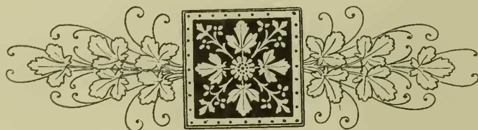
Potomkowie owych kolonistów Krakowa, sprowadzonych niegdyś przez Bolesława Wstydliwego, wzrośli w pierwszorzędnych magnatów,

Lecz szczęście jedynym koła swego zwrotem,
Tak mię o ziemię rzuciło pokotem,
Z magnata zrobiło żebrakiem.

Choć uwolniony, stojąc pod zarzutem zdrady, musiał do Czech uciekać i z wyżyn zaszczytów strącony został w padół nędzy i zniewagi. Poeta przypisuje początek tego nieszczęścia brzydkiej naturze niemieckiej. Opiewa głównie fortelną chciwość Niemców, jedną zawsze i tęż samą w ziemi Franków i Słowian, w sprawach publicznych i zabiegach domowych. Oto dosłowne tego miejsca brzmienie: «Jestto Niemców staraniem, aby dokądkolwiek przybędą, natychmiast pierwszymi tam zostali, nikomu zgoła niepodlegając. Do tego takim oni biorą się obyczajem, takim nadrabiają sposobem, takim trybem w cudzą łaskę się nęcą: Najpierwej korzy się Niemiec, potem u jednego z sąsiadów bierze córkę w małżeństwo, a za drugiego własną wydaje siostrę. I oto spokrewniony, już brat. Lecz dzieje się to wszystko w myśli podstępnej, bo skoro w pierze porośnie, natychmiast dalej macać poczyna. Idzie do pana wsi i ofiaruje mu tysiąc groszy, aby go zrobił włodarzem. Gdy to osiągnie, przemyśliwa we dnie i w nocy, jakby zaliczeniem nowej sumy pieniędzy mógł zostać dziedzicem wsi. I w rzeczy charłak niedawny, staje się panem osady, a dawni dziedzice ziemi za próg wypchnięci. Takimto sposobem oszukani Czesi, zostali z dóbr swych wyzuci od tych Teutonów».

Jako przykład naszej poezyi scholastycznej posłużyć może zalegający w rękopisach bibliotek traktat poetyczny pod tytułem «Antigameratus» (gamrat oznacza rozpustnika, anti = przeciw). Napisał go kanonik krakowski Frowius, który był w 1322 scholastykiem skarbimierskim, a w 1330 plebanem sandeckim. Osobliwszy to satyryczno-moralny poemat o 430 wierszach. Ułożony w ten sposób, iż każde dwa następujące po sobie wiersze kilku-zgłoskowe, kończą się dwoma temiż samemi słowami, różnego przecież znaczenia — co wprawdzie, według dopisku poety, przynosi trojaką czytelnikowi korzyść, bo «naprzód buduje go morałami zbawiennemi, potem wdraża mu w pamięć różnicę dwuznaczników, po trzecie uczy iloczasu zgłosek» — lecz powtarzając się przez setki wierszy, nabawia w końcu istnego zawrotu głowy. Przytaczam dla przykładu początek wiersza:

Hos morum flores si campseris, ut rosa flores,
His quoque disce regi, placet hoc summo quoque regi i t. p.



Podobizna dokumentu z roku 1281 (w archiwum kościoła św. Andrzeja w Krakowie). Pieczęć przedstawia biskupa Stanisława odprawiającego mszę przed ołtarzem, przy nim klęczy książę Leszek Czarny.



ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

ZABYTKI PRAWA POLSKIEGO.

Wszelkie zmiany, zachodzące w stosunkach społecznych, ekonomicznych i kulturnych, każdy stopień rozwoju, każda ścieżka, którą naród wyłaniający się z barbarzyństwa dąży do światła i postępu, zostawia pewien odcisk na woluminach praw, które w ten sposób wchłaniają w siebie obyczaje, skłonności, sumienie i charakter społeczeństwa.

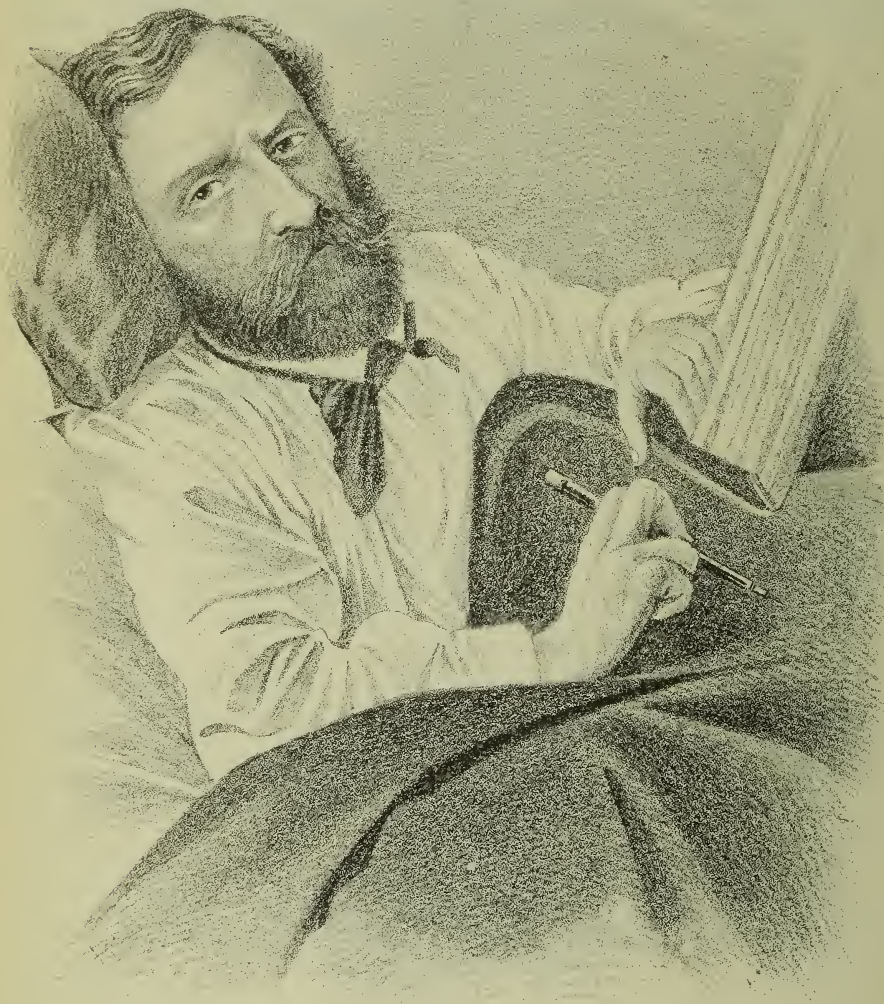
Najdawniejsze źródła prawa polskiego posiadają formę dyplomatów. Dopiero po nich następują pomniki ustawodawcze. Dyplomaty były owym fundamentem, na którym stanęły tablice prawa publicznego; one stanowiły rękojmię spokoju i porządku. Cenny to zaiste pomniki, skarb prawdziwy przez przodków nagromadzony. To też w panteonie świętości narodowych należy im się miejsce obok ołtarza z relikwiami.

Niejednokrotnie w jednym istniejącym egzemplarzu, stanowił ówczesny dokument jedyny tytuł jakiegokolwiek prawa. To też chroniły go grube mury i okopy, przechowywano w najtajniejszym schowku. Umierający w ostatniej chwili wyrażali swą wolę otoczeniu, żeby im w ręce skostniałe złożono owe cenne pergaminy, które razem z nimi szły do trumny. Marcin V., papież, w buli wydanej przeciw fałszerzom dokumentów, nie znajduje dość słów potępienia. Przyrównywa ich do «pogan, kacerzy, żydów, i — antypapy Benedykta III». Stosunek, wiążący księcia i ludność, wsparty u nas pierwotnie na przyznaniu księciu nieograniczonej władzy, jako głowie wielkiej rodziny patryarchalnej, z biegiem czasu przybiera kształty formalnego układu między dwiema stronami, spisanego w licznych przywilejach. Toteż zabytki te są niejako pierwszą oznaką zewnętrzną istnienia państwa polskiego.

Cenne te pomniki odgrywają w dziejach naszych rolę wykopalisk w paleontologii. Na ich podstawie odbudować można organizm pierwotny naszego spo-

łeczeństwa, a ważność ich wzrasta tem więcej, że nadania osobom prywatnym dawane, zaginęły w pomroce dziejów.

Od niepamiętnych czasów ludzie czynności swoje utrwalali pismem dlatego, żeby nie ginęły w pamięci. Są to więc niejako koła korkowe, utrzymujące świa-



191. A. Z. Helcel, wydawca «Pomników prawa polskiego».

dectwa woli, uczucia i myśli ludzkiej na wartkiej fali dziejowej. Nie opowiada w nich nikt o wypadkach, bo one same są wypadkami, albo, że użyjemy porównania, mają bliskie podobieństwo do owych masek gipsowych, które utrwalają rysy schodzących do grobu i przekazują potomnym. Różne w nich zapisywano sprawy: fundacye kościołów, nadania gruntów lub wolności, postanowienie jakiegoś prawa, zapis

dobroczynny, układy o dobra, traktaty pokoju, zaręczenia, podnoszenie wiosek do rzędu miast, wyroki sądowe, zaświadczenia pożyczki i długi, hołdy książąt, królów i t. d. Ludy, nie mogące się jeszcze nawet kronikami poszczycić, od dyplomatów zaczynają wszelką historyę. Zwyczaj ten, właściwy narodom ucywilizowanym, przyszedł do nas z zachodu wraz z chrześcijaństwem, z którem w ogóle przywędrowało wiele praktyk życia kulturnego.

Czasy te atoli nie przekazały nam żadnych pomników dyplomatycznych. Klęski wewnętrzne, ciemnota, wojny i późniejszych pokoleń niedbalstwo domowe, wszystko to w zastraszający sposób pogubiło szczupłe zabytki z pierwszego stadyum naszej państwowości. Z XII. wieku została ich nikła tylko wiązanka, dopiero wiek XIII. jest liczniej reprezentowany. I niedziw. W zaraniu dziejów naszych stał u steru nawy państwowej jeden tylko książę, który nieliczne miał stosunki z poddanymi. Dopiero później, kiedy się państwo na kilka części rozpadło, kiedy ożywiło się życie narodowe i szerszem popłynęło korytem, kiedy Polsce przewodził nie jeden książę,

192. Najstarsza polska bula papieża Inocentego II. z 1136 roku.

ale kilku, a nadto wzrośli w potęgę panowie, kiedy układy z dworami panujących były na porządku dziennym, ożywiły się kancelarye książęce; co raz częściej spisywano dyplomaty. Pierwsze miejsce zajmują nadania, czynione kościołom i klasztorom. Mieszczą one jedynie suchy inwentarz dóbr i majątków. Początek ich należy odnieść do chwili wprowadzenia chrześcijaństwa. Jednym z najbardziej sięgających w przeszłość aktów tego rodzaju są «Castellaniae ecclesiae Plocensis», znajdujące się w bibliotece kapitulnej w Płocku. W celu nadania większej tym dokumentom ważności, udawano się do papieża o potwierdzenie. Takiej mocy prawnej udzielały im tak zwane bule protekcyjne; jedną z najdawniejszych wystosował Innocenty II. dnia 7. lipca 1136 roku. Wielką do dziś dnia posiada ona doniosłość, jest bowiem naszym najstarszym zabytkiem archiwialnym. Należy się jej pierwsze miejsce nietylko w szeregu pamiątek kościelnych, ale także śród dokumentów, odnoszących się do historyi społecznej. Ulegając prośbie Jakóba, arcybiskupa, który godność tę piastował za czasów Krzywoustego, papież bieże tu pod swoją opiekę i protektorat arcybiskupstwo polskie, wraz z całym jego majątkiem i nadaniami. Aczkolwiek zabytek

193. Przywilej króla Kazimierza Sprawiedliwego.

ten wyszedł z kuryi rzymskiej, winniśmy go uważać za pomnik dziejów naszych, albowiem został oparty na doniesieniach polskiego arcybiskupa i prawdopodobnie w jego kancelaryi zgotowany, został w całości wcielony do buli. Dając swoje zatwierdzenie majątku i nadań grozi papież wyklęciem tych, którzyby się na nie napaść ośmielili lub je uszczuplić chcieli, tym zaś, którzy go bronić będą i zachowywać, użycza błogosławieństwa. — Pierwsi Piastowicze byli panami nieograniczonej władzy. Z biegiem czasu stan ten ulega zmianie. Moc i potęga panujących słabnie z powodu rozdziału państwa, duchowieństwo zaś rośnie w wpływy i znaczenie. Coraz bardziej zapada się w ziemię fundament, na którym spoczywał gmach władzy książęcej; na murach tu i ówdzie poczynają się już ukazywać rysy. Takim rysem jest bula Innocentego II., zatwierdzająca prawa archidyecezyi gnieźnieńskiej.

Pierwszym dokumentom brak wszelkich ozdób. W treść niebogate, są zazwyczaj sucho i lakonicznie spisane. Wyjątkowo błyśnie w nich iskierka etnograficznej wiadomości. Taki charakter posiada najdawniejszy dokument, perła archiwalna katedry gnieźnieńskiej.

Nasza dyplomatyka jest pochodzenia obcego. Przyszła do nas z Europy wraz z chrześcijaństwem, z którem szeroką falą popłynęły do nas liczne urządzenia i praktyki życia prawnego.

Wyraźniejsze ślady zostawiła na niej dyplomatyka papieska, albowiem duchowieństwo nasze, częste miało z kuryą stosunki. Nie można tego powiedzieć o dyplomatyce cesarskiej, która z wyjątkiem może Śląska, nie działała bezpośrednio.

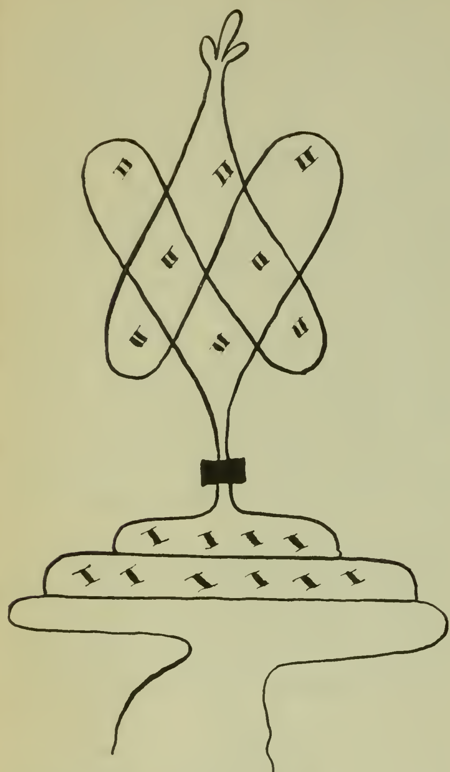
Istota dyplomatyki polega na zrozumieniu form prawnych, w głównej części nie ulegających odmianom. Są one często niewolniczo przekazywane potomnym, lubo fala czasu zmywa dawne instytucye, a nanosi nowe. Jakaż tu jest wymagana przezorność, jakie bystre oko i subtelność,

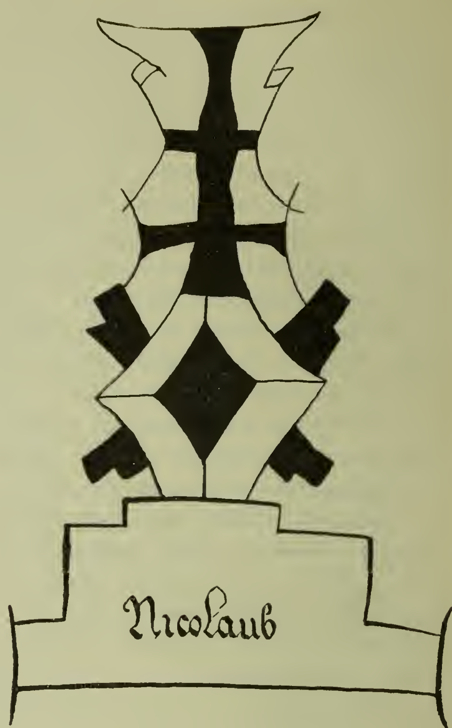
żeby w kształtach, niczem się prawie od siebie nie różniących, wskazać cechy charakterystyczne. Czoło dokumentu zajmuje inwokacya, naprzykład: In nomine patris et filii et spiritus sancti = W Imię Ojca i Syna i Ducha świętego. Po niej następuje salutacya, naprzykład: Benedictus dei gratia posnaniensis episcopus fratribus hospitalis Hierosolomitanis i t. d. Benedykt, z bożej łaski biskup poznański, pozdrowienie szle braciom Bożogrobcom. Dalsze części składowe dyplomu zamyka klauzura protokołu w pełnej formie, naprzykład: Cum teste recipture cuncta sub sole transeant (świadkiem pismo św., że wszystko pod słońcem ginie). Arenga stwierdza zmienność czasu, poucza, dlaczego czynność prawna winna się oblec w twardą skorupę dokumentu, podaje pobudkę działania, jak naprzykład: zasadę słuszności. Najczęściej czerpie tu pisarz z pisma św. W niektórych dyplomach (Przemysława II.) znajdujemy zdania z autorów rzymskich. Zaczęte urywkami z księgi Joba, kończą się cytatem rytmicznym z Witalisa. Z kolei następuje promulgatio. Część ta mieści zapowiedź postanowienia, zawartego w tak zwanym tekście dyplomu. Jestto mniej więcej następująca formułka: Notificamus albo notum sit omnibus catholicis tam futuri, quam praesentis temporis (Wiadomem niech będzie wszystkim katolikom tak przeszłego, jak teraźniejszego czasu). Koniec, tak zwana korobaracya, zawiera oświadczenie wystawcy, że spisanie dokumentu dokonane zostało za jego wolą i wiedzą.

Niektóre wypadki wymagały większego zabezpieczenia, niż dyplom, świadectwo i pieczęć. Wtedy za tarczę umów prawnych służyło odwołanie się do układu stron między sobą, ustanawiających karę umowną, lub też używano groźby kary duchownej, a przedewszystkiem ekskomuniki. Tej ostatniej deski zbawienia chwytają się najczęściej dyplomy papieskie. Najpowszechniejszy anatemat otrzymał swą nazwę od słów: «anathema sit».

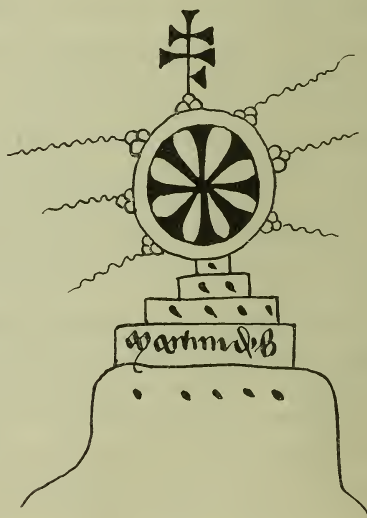
W oznaczeniu terminu stosowano kalendarz chrześcijański, nie usuwało to jednak rzymskiej rachuby. Rok rozpoczynał się z dniem Bożego Narodzenia, a indykcyę nową liczono z 24tym września jeszcze w roku 1363. Dla nadania większej mocy prawnej dokumentowi, pisarze czyli notaryusze dodawali znaki, których podobiznę tu podaję wraz z przekładem potwierdzenia: «Ja też Jan, syn Andrzeja z Bożyc, utworu tego pisarz, ponieważ byłem obecny przy żądaniu pozwu, zakazu i wydania aktów, tudzież przy innych okolicznościach wyżej wyrażonych, gdy się odbywały i działy, a wraz z pomienionymi świadkami tokowi wszystkiego przyglądałem się i przysłuchiwał, przeto dokument ten ręką innego (albo własną) pisany, sporządziłem i ten mu kształt urzędowy nadałem, a znamionując go zwyczajnym swym znakiem i imieniem, stwierdzam przez zawieszenie pieczęci Piotra» i t. p.

W celu nadania aktom mocy prawnej, przywieszano niekiedy do ich oryginałów podrobione pieczęcie; należy to stosunkowo do niewinnych fałszerstw. Do innej już kategoryi należą «fałszowane» dokumenty, w których pod ręką posiadacza dyplomu ulegała zmianie treść sama. Fałszerze dopuszczali się w takich wypadkach pewnych dodatków, związanych z korzyścią osobistą, albo wymazywali inne, zobowiązujące do ciężarów i powinności. Dokument taki ma pewne podobieństwo do wekslu, który z wyjątkiem miejsca sfałszowanego, zazwyczaj liczby, jest w całości autentyczny, kiedy weksel podrobiony ma na blankiecie cały tekst, nie pochodzący od osób, na które opiewa. Takie «podrobione» dokumenty wychodzą z pod ręki zawodowych fałszerzy.





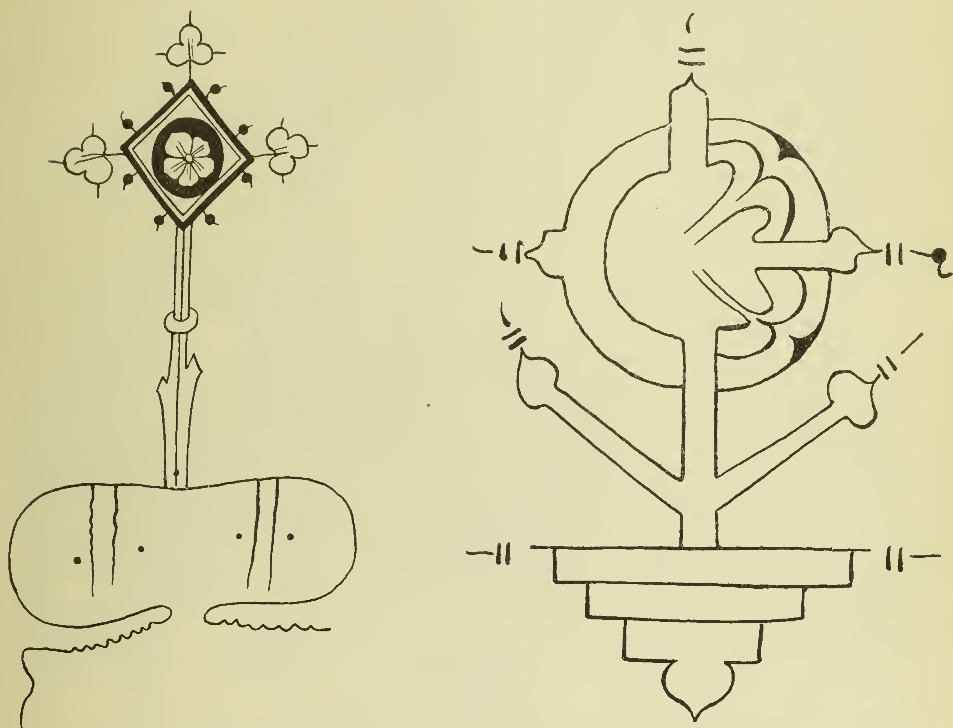




194. Znaki notaryalne na średniowiecznych dokumentach.

Z 27miu najstarszych naszych dokumentów i protokołów z XII. wieku, między któremi znajdują się już i bule, liczba sfałszowanych dochodzi do 20, a autentyków jest tylko kilka. Największą śród nich wagę i znaczenie dla dziejów naszych posiada bezsprzecznie przywilej, dany klasztorowi Benedyktynów w Tyńcu. Jestto najstarszy pomnik historyczny, albowiem mieści w transsumpcie akt, odnoszący się niemal do wieku XI. Z czasu zaś tego nie posiadamy zgoła żadnych pomników dyplomatycznych.

W dokumencie tym mieszczą się dwie części. Jedna obejmuje inwentarz posiadłości praw i poborów klasztoru tynieckiego z roku 1105; w drugiej mamy potwierdzenie rozszerzonych przywilei tegoż klasztoru przez kardynała Idziego około



195. Znaki notaryalne na średniowiecznych dokumentach.

roku 1123. Część pierwsza jest niemal w całości autentyczna; nieliczne bowiem błędy, powstałe przez złe odczytanie przy transsumowaniu, nie bardzo naruszają oryginał. Część drugą przeciwnie skażono wstawkami czyli interpolacyami, które zostały dodane później, w XIII. wieku.

W wiekach średnich, kiedy chodziło o potwierdzenie dawnych przywilei i nadań, odpisywano odnośne dokumenty słowo w słowo. Dyplomat taki, kopia innego, a czasem mieszczący w sobie kilka innych przywilejów, nazywał się transsumptem. Otóż mnisi klasztoru tynieckiego, będąc w posiadaniu przywilei, przędsięwzięli zabiegi o ich potwierdzenie w transsumpcie, który niepomiernie nowemi rozszerzyli przywilejami. Historycy różnie utrzymują o powodach tego kroku. Jedni sądzą, że stało się to jedynie w drodze fałszerstwa, dokonanego w kancelaryi książęcej, przez

pisarza, z którym porozumiał się opat tyniecki i tym sposobem zostały im przyznane przywileje, których poprzednio nie mieli. Podług innych miało się to stać za wolą i wiedzą władzy.

Koroboracya, to jest klątwa dla łamiących przywilej i błogosławieństwo dla tych, co dbają o jego całość i nietykalność, jak inne części, są wzorowane na dyplomatyce papieskiej. Niema tu owych okropnych przekleństw z X. i XI. wieku, które raz na zawsze zostały z bul wygnane ognistą różczką krytyki Piotra Damianiego, ale brak również owej gładkiej formułki, wprowadzonej za Innocentego III., jest to maledykcya kuryalna z początku XII. wieku.

Dokument ten zawiera garść wiadomości, odnoszących się do genezy naszych klasztorów. Mnisi, zagrożeni zewsząd nie wytępionem jeszcze pogaństwem, znajdowali schronienie przy katedrach grodowych. Obsługują więc i Benedyktyni tynieccy katedrę krakowską. Była to oczywiście epoka bardzo zamierzchła, niewygasły jeszcze ognie ofiarne pogaństwa, a światło wiary chociaż powszechnie przyjęte, nie biło dużym blaskiem, ani do głębi serca nie przenikło. Nie tylko zakonnicy, ale nawet biskupi nie mieli jeszcze siedzib stałych. Były to w ogóle czasy budowy, przygotowań, brzask nieledwie, a nie południe. Cóż więc dziwnego, że epoka ta, napół jeszcze drzemiąca w mrokach barbarzyństwa, nie zostawiła żadnego dokumentu. Słabo tętniące życie państwowe nie wysunęło jeszcze tej potrzeby na widownię. W XI. i na początku XII. wieku poczęło się dopiero budzić życie w dziedzinie kościelnej, organizowano kapituły, zakładano klasztory i rozgraniczano dyecezye. Z Rzymu co raz częściej nadchodziły do nas pisma, wskazujące, jak należy zaprowadzić ład i porządek w życiu kościelnem, zewsząd zwożono budulec na silny pod nową świątynię fundament.

Bolesław Chrobry, ofiarowując Benedyktynom gród tyniecki, przydziela im zarazem liczny zastęp rzemieślników. Ogromne załogi, przepełniające wonczas grody polskie, wymagały wielkiej posługi; spełniały je wsie u stóp grodu położone. Jedni trudnili się wypiekiem chleba (piekarze), inni gotowali strawę (kucharze), byli i dostawiciele naczyń drewnianych (łogiewniki) i mający pieczę nad bydłem (skotniki od słowa «skot» — tyle co bydło»), i tacy, którzy bezpośrednio pełnili w grodzie dzienne posługi (komorniki) i t. p., jak to widzimy z nazw osad, położonych niedaleko Krakowa. Za czasów Krzywoustego urządzenia te wojenne ulegają zmianie. Rycerstwo przenosi się na wieś, a w mieście szczupła tylko zostaje załoga. Oczywiście w takich warunkach nie było komu świadczyć przysług. W przywileju naszym spotykamy się już tylko ze szczątkowym objawem osad narokowych. Ale narok lubo stracił racyę bytu, nie znaczy to przecież, żeby narocznicy nie mieli żadnych pełnić obowiązków. Wszystko, co wyświadczyli państwu, teraz przeniesionem zostało na klasztor. Bo też nie do tego zmierzał przywilej, żeby uwolnić włościan z jarzma danin. Owszem widzimy tu wyraźnie etapy, po których kroczy ich rozwój.

Dwa miejsca w przywileju samą stylizacyą zdradzają w tym względzie różnicę. W akcie, wystawionym za czasów Bolesława Chrobrego, daniny nie są jeszcze jasno określone, nie mają ściśle ułożonej, przystającej obroży fiskalnej. Używa się tu jeszcze ogólnikowego terminu, jak pensio ducis. Co innego opiewa ustęp, pochodzący z czasów panowania Władysława Hermana; znajdujemy tu już trzy główne kategorye: pobór, stróża i pomocne. Ale i ten jest zaledwie przejściowem ogniwem do późniejszego wieku, kiedy to daniny i posługi rozwinęły się i wykształciły w rozłożystą koronę, pełną klas, różnic i podziałów.

Wszystkie przywileje i akty publiczne wygotowywała kancelarya książęca lub biskupia. Nieliczny był też zastęp pisarzy za Bolesławów; ograniczał się bowiem jedynym tylko urzędnikiem. Rozwój dyplomacyi następuje dopiero później, w okresie podziałów, kiedy książęta otoczyli się licznym zastępem pisarzy na czele kanclerzy. Pierwszym kanclerzem był biskup Michał. Mówi o nim kronikarz, tak zwany Gall, że wielce mu był pomocnym w układaniu swego dzieła. W końcu XII. wieku widzimy już na dworze książąt podkanclerzego, za Przemysława II., pronotaryusza. Na stanowiska te wynoszą książęta zazwyczaj duchownych; nie kierują się jednak ideą narodowościową. Prokop pochodzi z Rusi, a kolega jego jest rodem z Węgier. Trudy kancelaryjne opłacane są licznemi kanoniami. Kiedy Polska skupiła się na nowo w potężnej dłoni Władysława Łokietka, tradycye dzielnicowe nie odrazu ustępują z widowni. Kancelarya nadworna «Włodzisława» zatrudniała aż ośmiu kanclerzy: krakowskiego, łęczyckiego, sieradzkiego i t. d.

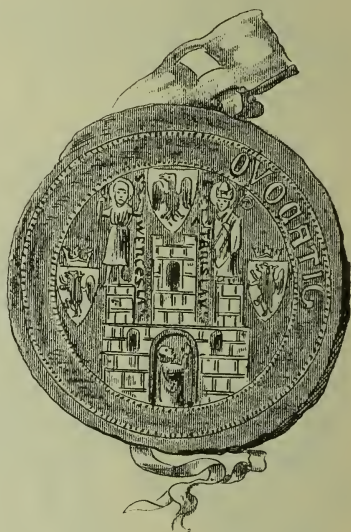


196. Zewnętrzny wygląd dokumentów średniowiecznych z pieczęciami.

Najstarsze dyplomy polskie pisane są typem w całej Europie przyjętym. Czas szerokiego panowania minuskuły romańskiego pochodzenia wycisnął i na nich swoje znamię. W najstarszych dokumentach zwraca uwagę wielce okazałe pismo kancelaryi papieskiej — szczyt kaligrafii ówczesnej. Pieczęć podnosiła dokument do poziomu wiarygodności. Prawo jej używania przysługiwało w XII. wieku wyłącznie książętom i duchowieństwu, później szlachcie, wreszcie mieszczaństwu. W pieczęciach znajdują się liczne ślady kultury. Możemy przez nie poznać dawne ubiory, uzbrojenie, kształty budowli i ozdoby architektoniczne, w ogóle smak i stopień, na jakim stanęła kultura w odnośnym okresie. Najdawniejszą ze wszystkich nam znanych pieczęci przechowuje Biblioteka berlińska. Jest to pieczęć królowej Ryksy, wdowy po Mieszku. Drugą podaliśmy w podobiznie. Monarszych pieczęci było kilka: większa (sigillum majus) i mniejsza (sigillum minus). Pierwsza nazywała się majestatową (sigillum majestatis), gdy przedstawiała osobę monarchy lub królowej, siedzących na tronie z oznakami władzy.

Najstarsze pieczęcie wyobrażają panujących nie w majestacie, lecz w postaci stojącej, w pełnej zbroi, albo cwałujących z rozwiniętą chorągwią na koniu. Do-

piero Przemysław II. zasiadł pierwszy na majestacie, jako król 1295, a i niektóre księżne (naprzykład Grzymisława, Salomea), chociaż nie królowe, kazały się wyryć na pieczęci w majestacie. Była także pieczęć zwana pokojową. Używał jej król do spraw osobistych. Sygnetowa, wyrzeźbiona na pierścieniu królewskim, służyła do potrzeb domowych panujących. Z początku pieczęcie były rozmiarów nieznacznych; potem objętość ich rosła, aż za czasów Jagiellonów stały się ogromne. Wizerunki odbite na pieczęciach bynajmniej nie odpowiadały rzeczywistości; Łokietek na swojej pieczęci jest słusznego wzrostu, a Warneńczyk, mimo, że liczył rok piętnasty, przedstawiony, jako dorosły mężczyzna z wąsem. Na pieczęciach królewskich spotykamy, jako symbole władzy i panowania, lwa i orła — najwyższych w świecie zwierzęcym władców — tudzież lilię, księżniczkę państwa roślinnego lub gryfa i smoka, których, zwalczają, godząc je mieczem lub depcząc stopą. Na pieczęciach duchownych przedstawiony biskup w postaci stojącej, w infule i z pastorałem w dłoni. Później wyobrażano go siedzącego. W najdawniejszym okresie były infuły biskupie niskie. Przepaska, idąca przez wierzch, zbliżała je do mitry książęcej. W takiej występuje biskup przy złożeniu ciała św. Wojciecha, na drzwiach gnieźnieńskich. Późniejsze infuły zaczynają się środkiem wznosić, wysokość ich równa się prawie szerokości i podnoszą się co raz wyżej. W pierwotnych pastorałach brak upiększeń. Trzon jest tylko prostą laską, u góry zakrzywioną. Później zakwita ozdobami, stroją je w litery, kwiaty i inne ornamenty.



197. Pieczęć rady miejskiej krakowskiej z czasów piastowskich.

Klasztory piastowały u siebie zwyczaj, któremu historya nie jedną cenną zawdzięcza wiadomość. Oto wciągały wszystkie dyplomaty do jednej księgi, każdy pod odnośną datą. Tym sposobem, choć wiele dokumentów zaginęło, zostały jednak mniej wartościowe kopie. Zbiory te nazywamy dyplomataryuszami. Oczywiście pobudką gromadzenia owych odpisów była chęć przechowania dowodu własności. Dopiero w połowie XVIII. wieku budzi się potrzeba układania zbioru dyplomatów w celach naukowych. Pierwsze ku temu hasło rzucił ks. Maciej Dogiel, pijar litewski, który wydał źródła dyplomatyczne politycznego znaczenia. W jego ślady poszli inni, zbierając dyplomaty, odnoszące się do dziejów wewnętrznych.

Na czele może najstarszych tego rodzaju ksiąg należałoby postawić «Liber fundationis claustri S. Mariae (Księga założenia klasztoru Najśw. Panny Maryi w Henrykowie, na Śląsku). Klasztor ten założyli w XIII. wieku w tym kraju, który miał wówczas cechy ziemi polskiej, Cystersi, pochodzenia niemieckiego. Książę użyczył im licznych przywilei, ale mnisi, nie świadomi warunków i praktyk krajowych, nie wiedzieli, jak sobie dać radę. Trudne te okoliczności, w jakich zrazu się znaleźli, podsunęły jednemu z braciszków myśl ułożenia księgi, gdzie każda fundacya i nadanie miało być dokładnie opisane wraz z podaniem warunków, śród których się odbyło. Sądzili, że w ten sposób zdołają się obronić, w razie, gdyby w przyszłości

usiłował ktoś prawa ich zakwestyonować. To też każdemu z nadań towarzyszy poczet najdrobniejszych okoliczności miejscowych. Wartość dzieła rośnie przez to, że mieści także do 60 dyplomatów, pochodzących z różnych archiwów śląskich, przeważnie w wieku XIII. Skarb ten wiadomości jest utworem Piotra, opata, jednego z pierwszych zakonników, którzy osiedli w Lubiążu i w 1223 roku objęli klasztor Cystersów w posiadanie. Pracę skrzętnego mnicha prowadzili po skonie inicyatora inni księża, w Henrykowie zamieszkali.

Mamy tu przeważnie rzeczy, ściśle dotyczące interesów klasztoru; tylko niekiedy oplata osoby z ludu bluszcz wspomnień, sięgający czasów Bolesława Wysokiego, a więc w głąb wieku XII. Przedmiotu dostarczała w takich wypadkach bogata skarbnica podań, przechowanych w pamięci starców, codziennych gości henrykowskiego refektarza. Zasługuje na szczególną uwagę zamiłowanie prawdy u piszącego. Celem tu bowiem nie było podniesienie kogoś na piedestał, albo ściągnięcie w dół, ale sprawy realne. Defilują z tych kartek pożółkłych przed naszemi oczyma ludzie najrozmaitszych stanów i narodów; wszyscy sądzeni surowo, ale bynajmniej nie z uprzedzenia lub szowinizmu, bo pisarz, aczkolwiek Niemiec, niejednokrotnie i swoich rodaków potępia.

W grupie tych postaci wyróżnić należy osobę, która opatowi dała wiadomości o czasach odległych. Chłop książęcy, imieniem Kwiatek, musiał się wielce od swych współbraci różnić. Pono nie z jednego pieca chleb jadł, a potrafił sobie ludzi ujmować i jednać, skoro nie tylko w domach różnych panów, ale nawet na dworze książęcym chętnie był widziany. Nazywano go pospolicie kikiem. I nie bez powodu, prawą rękę utracił był w boju, w lewej zaś władzę utracił. Żywił go klasztor chlebem miłosiernym. Za życzliwą opiekę odpłacał się Cystersom opowiadaniami o całej okolicy, której każdy wypadek, każdy niemal zakątek był mu najdokładniej znany. A dobrą o sobie w klasztorze zostawił pamięć, oddał mu bowiem po śmierci szmat należącego doń lasu. «Módlcie się następcy nasi za tego włościanina Kwiatka» — przekazuje opat potomnym w swej księdze — «albowiem wiedzieć wam należy, że ta cząstka ziemi, na której teraz nasz dworzec stoi i cały las, Bukowiną zwany, przez niego to po napadzie Tatarów dostały się w posiadanie klasztoru».

Prawo każdego narodu znajduje swój wyraz albo w zwyczaju, albo w ustawie. Pierwsze miejsce zajmował zwyczaj, który był jakby ustnem prawodawstwem. Dopiero z biegiem czasu, z rozwojem życia państwowego, zwyczaj w cień usunięto, a miejsce jego zajęło prawo. Nie inaczej działo się i u nas. W chwili, gdy Polska wysunęła się na arenę dziejową, nie posiadała innego prawa nad zwyczajowe. Ale z biegiem czasu organizm społeczny stawał się coraz bardziej złożony. Pierwotny zwyczaj, jako nowym potrzebom narodu nieodpowiedni rozpada się. Później przystępuje dalszy czynnik, rozkładający dawny zwyczaj. Mówimy o przywilejach. Instytucya ta, w całej Europie powszechna, poczyna u nas wchodzić w życie dopiero w chwili znacznego już upadku naczelnej władzy książęcej. Przywilej nie był prawem w właściwem tego słowa znaczeniu. Odnosił się bowiem do pewnej osoby i zapewniał jej szczególne korzyści. Z czasem jednak obejmował i stan cały. Duchowieństwo naprzykład na podstawie przywilejów uzyskało w wiekach średnich immunitaty. Tą samą drogą korzystały miasta z autonomii.

W wieku XIII. na równi z prawem krajowem poczyna obowiązywać prawo niemieckie. Nie występuje ono w roli pomocniczej, przeciwnie prowincye i miasta, którym przysługuje, stały poza obrębem prawa, całą Polskę obowiązującego. Kościół

znów rządził się prawem kanonicznem. W ogóle nie było w Polsce piastowskiej ogólnie obowiązującej ustawy. Weszła ona poraz pierwszy w życie w statucie Kazimierzowskim. W ciągu więc czterech wieków od pierwszego wystąpienia, odbywała się bez ustaw. Obrona przed wrogami i walki wewnętrzne nie pozwalały myśleć o zaprowadzeniu u nas jednolitego prawa. Ale skoro przywrócono pokój, a oddzielne księstwa znalazły się pod jednem berłem, budzi się potrzeba ustawy. I oto w dwadzieścia kilka lat po koronacyi króla polskiego powstają pierwsze prawa pisane.

Pośrednie stanowisko między przywilejem a ustawą zajmują przywileje klasowe. Pierwszym i najgłębiej w przeszłość sięgającym pomnikiem tego rodzaju jest przywilej, wydany żydom roku 1264 za czasów Bolesława, księcia wielkopolskiego, zdradzający wyraźnie cechy obcego pochodzenia, co zresztą można powiedzieć o wszystkich naszych najstarszych pomnikach.

Kazimierz Wielki, który szczególną roztoczył opiekę nad mieszczaństwem żydowskiem i — jak podanie niesie — nie obojętnym był na wdzięki Estery, potwierdził ten przywilej, dodał nowe: zupełną wolność przesiedlania się i prowadzenia handlu w całym kraju, prawo dzierżawy i zastawu dóbr ziemskich i t. p.

W dzielnicy przez Krzyżaków zajętej, gdzie obok prawa polskiego obowiązywało niemieckie, spisano dla odróżnienia istniejące tam prawo obyczajowe, zachowane jedynie w ułamkach i to w języku niemieckim (mittelhochdeutsch), dla nas znaczenia doniosłego.

Człowiek, który je spisał, posiadał jak na swoje czasy, wysokie wykształcenie i zdawał sobie jasno sprawę ze stosunków, panujących w Polsce. Domyślają się, że ułożył podręcznik swój głównie dla niemieckich urzędników, którym w zabranym kraju przeznaczona była piecza nad porządkami przyjętymi przez Krzyżaków.

M. Bobrzyński przypuszcza, że powstał dopiero po ukazaniu się «Zwierciadła prawa saskiego» (Sachsenspiegel). Wiele bowiem ustępów nosi znamię wpływu tej księgi. Z drugiej strony ukazała się wcześniej, niż «Zwierciadło szwabskie», kiedy to udzielenie kaźni królewskiej sędziom istniało tylko w terytoryach duchownych, a zatem między rokiem 1230 a 1270.

Pomniki prawne, o których dotychczas mówiliśmy, jakkolwiek ważne i wiele światła rzucające na dzieje naszej kultury, nie mogą iść w porównanie z olbrzymiem dziełem ustawodawczem, do którego obecnie przystępujemy. Smutnie maluje się obraz Polski przed pojawieniem się ustaw Kazimierza Wielkiego. Gdzie okiem rzucić, wszędzie widzimy klęski, spowodowane zdzierstwem, uciskiem i nadużyciami, jakich dopuszczał się na ludzie porastający w pierze stan szlachecki. Zwłaszcza w sądzie zamęt i brak powagi powszechny. Poprzedni dziedzice korony Piastowskiej wytężali wszystkie siły na odparcie wroga zewnętrznego. Kraj tak był osłabiony tą nieustającą obroną, że nie czuł się na siłach do podjęcia budowy wewnętrznej.

Podjął się tego zadania Kazimierz Wielki, znalazł zaś energicznego pomocnika w osobie byłego rektora scholarzy wszechnicy bolońskiej, Jarosława Bogoryi Skotnickiego. Musiała w tym kierunku istnieć ścisła solidarność obu przewódców kościoła i państwa, skoro znajdujemy współczesne prawie źródła, z których jedne wiązały syndyk arcybiskupa w roku 1537 z naszym statutem, drugie prolog ustaw królewskich wplatały w ordynacyą dziesięcinną Jarosława. W układaniu statutów, które zdradzają pióro pełnego erudycyi kanonisty, przyjmował udział również Janusz Strzelecki, zwany Suchywilkiem, siostrzeniec arcybiskupa Jarosława, później jego



STATUTA KAZIMIERZA WIELKIEGO.

z kodeksu Swiętosława, w Muzeum Ks. Czartoryskich.

następca. Garść paragrafów w statucie, niezgodnych z interesami duchowieństwa, przypisują niektórzy temu politykowi w sutannie. Powiada o nim kanclerz Janko z Czarnkowa, że nie małą ujmę stanowi swemu przynosi, czyniąc wiele gwoli przypodobania się dworowi.

Średniowieczni prawnicy ujmowali artykuły prawa w pewien wyraźny system. Praca w tym kierunku, dygestem lub zwodem zwana, polegała na układaniu ustaw w oddzielne rubryki przejęte ze szkoły prawa kanonicznego. Prócz tego «zwodzenia» artykułów pod uświęcone kategorye naukowe, miano wzgląd na użyteczność praktyczną. I statuta Kazimierza ujęte zostały w taki systemat. Nadto rzecz całą uzupełniono krótkim wykładem, streszczającym rozwlekły niekiedy tekst oryginału. Nazywało się to summą. Dla zwięzłości i przejrzystego układu używano jej w sprawach sądowych. W stosunku zaś do oryginału przypadło jej to samo stanowisko, jakie w dziedzinie prawa rzymskiego zajął tak zwany autentyk w odniesieniu do tekstu Justynianowego. Powszechne korzystanie z sumy spowodowało zatracenie oryginału ustawy Kazimierza Wielkiego. Mamy tylko liczne jej odpisy, dokonane w wieku XV., które się wielce między sobą różnią, zwłaszcza ze względu na miejscowości, kierujące się odmienną w szczegółach procedurą. W pierwszych dwóch wydaniach, które ujrzały światło dzienne więcej niż o wiek później, znajdujemy już przeróbki niektórych paragrafów lub dziwaczne upstrzenie tekstu. W zbiorze Łaskiego myśl Kazimierza zatraciła niemal cechy swego pochodzenia.

Celem ustawy Kazimierzowskiej jest zaprowadzenie pewnej jednostajności i ładu w zakorzenionych prawach zwyczajowych. Głębokie bowiem były jeszcze różnice w dzielnicach państwa Kazimierzowego. Odrębnym zwyczajom hołdowała Małopolska, inne rozpowszechniły się w Wielkopolsce. Wielki reformator musiał się z tem liczyć i dlatego starał się w obu dzielnicach przeprowadzić statut. Zwołał więc w r. 1346 wiekopomny zjazd w Wiślicy. Tu przedstawił licznie zgromadzonym możnowładcom małopolskim projekt statutu, składający się z 40 w przybliżeniu artykułów w formie, w jakiej go wypracowała kancelarya królewska. Rada przyjęła go bez zmiany. Następne wiece małopolskie uchwaliły jeszcze trzy statuty. Podobny zjazd zwołuje król w Wielkopolsce, przedstawiony im atoli przez króla statut, na wiślickim wzorowany, nie uzyskał aprobaty butnych wielmożów. Nie dając za wygrane, zwraca się król z prośbą do arcybiskupa, aby zechciał między nim a Wielkopolanami pośredniczyć. Zabiegi arcybiskupa uwieńczone zostały pomyślnym wynikiem. Panowie wielkopolscy zgodzili się w zasadzie na przyjęcie statutu, żądając atoli innej kodyfikacyi. Na wiecu ustawodawczym w Piotrkowie (1347) uchwalono przyjęcie statutu, który składał się z 56 paragrafów.

Wiec wielkopolski przyjął dosłownie dwa tylko paragrafy, jak tego dowodzi zestawienie statutów wielkopolskiego z małopolskim. Niektóre z przedłożonych przez króla odrzucono zupełnie, inne uległy zmianie, a natomiast zostały wprowadzone takie, które nie wyszły zupełnie z inicyatywy króla. Z dalszych porównań obu statutów dowiadujemy się, że małopolski zaleca się doskonalszą formą; pilny jakiś redaktor musiał być przy nim zajęty. W wielkopolskim zaś są liczne i wyraźne ślady niewykończenia, a nawet pewnej dorywczości. Co się tyczy jednak wiedzy prawniczej, to wielkopolski ma znacznie przewyższać małopolski. Odmienne poniekąd cele zakreślają sobie każdy ze statutów. Małopolski ma być narzędziem reformy przestarzałych zwyczajów, wielkopolski owszem pragnie istniejące zachować i obronić. Wyżej wzbija się statut pierwszy, idzie z niego pochop postępu, sięga w przyszłość;

drugi przeciwnie, staje na szańcu przekazanych od przodków tradycyj, zresztą oba się nawzajem dopełniają. W statucie małopolskim zwrócona główna uwaga na zaprowadzenie porządku w sprawach sądowych; wielkopolski zajęty jest kwestyami prawa cywilnego.

Wielki reformator Polski starał się zaprowadzić ogólne dla obu dzielnic prawo: «Gdy pod jednym księciem — powiada we wstępie do statutu — jeden naród różnego prawa nie powinien używać, aby nie wyglądał jako dziwotwór (monstrum), mający różne głowy, przeto uważamy za pożyteczne dla rzeczy publicznej, aby tak Krakowiacy jak i Wielkopolanie jednym i podobnym sądem byli sądzeni».

Należało przedewszystkiem zaprowadzić ład i porządek w sądownictwie. Widząc, że w postępowaniu sądowem mnogość sędziów tamuje tylko sprawy rozstrzygane przed trybunałem, postanowił król na czele swych statutów, że w każdej ziemi ma być jeden tylko sędzia, który winien był rozwijać sprawy w jednym, prawnie określonym kierunku. Nie mało też zaważyło na szali procedury sądowej rozporządzenie, określające kolej, w jakiej mają być sprawy rozstrzygane, przez co zostały usunięte różne wpływy osobiste.

Ustawodawstwo Kazimierza bierze przedewszystkiem w obronę biedne rycerstwo i stan włościański przed uciskiem możnych, zapewnia królewską nad nimi opiekę i nieco lepsze warunki bytu.

Działalność prawodawcza wielkiego reformatora, biorąc początek u źródła krajowego zwyczaju, pragnie zdrożności usuwać. Po drodze jednak postępu kroczy nieśmiało i zwolna. Mimo szlachetnych zamiarów niewiele tam zawiązków, obiecujących wytworzenie silnej organizacyi społecznej. W zestawieniu z prawodawstwem i praktyką sądową zachodniej Europy, gdzie rozgościła się na dobre nauka rzymsko-kanoniczna, statut króla Kazimierza przedstawia się jako wyraz dążeń spóźnionych. Prawodawcy przyświecała tylko idea korektury zwyczaju ziemskiego, który wyradzał się w liczne i niegodne kulturnego narodu nadużycia, a nadto pragnął ujednostajnić zwyczaje w różnych ziemiach zakorzenione. Nie mogło też nie być znaczną dla kraju szkodą, że ustawodawstwo u nas dało znaki życia dopiero w wieku XIV. Społeczeństwo, przez tak długi czas nie krępowane ustawą, wybujało ogromnie. Stąd urosło też dla ustawodawcy niebezpieczeństwo. Spotkał bowiem potęgę, z którą należało stoczyć walkę. Korzyści też statutów, lubo zaprowadzały ład i porządek w sądownictwie, nie były tak uchwytne i dotykalne, jak przywileje, przyznające pewnym warstwom lub poszczególnym osobom uprawnienia. W chwili, kiedy z kancelaryi królewskiej wyszły doniosłe paragrafy prawa, obowiązujące Mało- i Wielkopolskę, znacznie już upadła władza panującego. Poszczególne stany wzrosły w moc i potęgę, uzyskały samorząd i samoistne sądownictwo. Prawo statutowe, pozbawione silnej obrony władz państwowych i samego społeczeństwa, było odrazu skazane na żywot nikły. Sądy opierały się wprawdzie na statucie Kazimierzowskim, ale czyniły to jeno w tej części, w której nie odbiegał od zwyczaju, paragrafy zaś, zawierające nowe rozporządzenia, pozostały martwą tylko literą.

Inaczej w dziedzinie społecznej. W tym kierunku ustawodawstwo Kazimierza rozwija się dość bogato i zapuszcza głęboko korzenie. Nie było bowiem aktem jego bezwzględnej woli, ani abstrakcyjną teoryą, ni odbiciem obcego prawa. Zbudowany na fundamencie zwyczaju, znalazł silną podporę w doświadczeniu i potrzebach społeczeństwa. A nawet zawieruchy, jakie po smierci króla krajem przeciągnęły, nie zdołały obalić szczęśliwie w życie wcielonej idei. Dalszy krok na drodze ujedno-

stajnienia prawa w obu głównych dzielnicach dokonał uchwalony 1423 roku w Warcie statut, zostający w bliskiem z statutem Kazimierza pokrewieństwie.

Pod względem prawnym najwięcej ze wszystkich prowincyj wyróżniało się Mazowsze. Będąc aż do pierwszej części XVI. wieku odrębną całością polityczną, nie brało udziału w reformach spełeczno-prawnych, całej Polski dotyczących. Znamy statutów mazowieckich około trzydziestu pięciu. Najgłębiej w przeszłość sięga statut Ziemowita II., księcia całego Mazowsza wraz z synami jego Januszem i Ziemowitem. Spisany został roku 1373 w Sochanowie.

Duchowy stan społeczeństwa, zamieszkującego dzielnicę mazowiecką, odbił wyraźne ślady na tamtejszem postępowaniu sądowem. Jest ono świadectwem praktycznego zmysłu narodu, który wiele rzeczy umiał przewidzieć, często nawet drobnostki, mogące się wywiązać w toku sprawy. Ale z drugiej strony ciąży na niem brzemię prawniczego formalizmu, który często przygniata ideę sprawiedliwości i zakreśla wąskie ramy postępowi. W owym czasie przekonanie się o prawdzie, było bardzo utrudnionem w wypadku, jeżeli brakło oczywistych dowodów. Nie umiano odgrzebać ziarna prawdy w drobnych okolicznościach; rzadko kiedy mówiły im co poszlaki i zeznania świadków. I prawo mazowieckie w poszukiwaniu winy nie odważyło się przekroczyć szranki osobistego doświadczenia lub niewątpliwych widocznych śladów. Kiedy zaś tego rodzaju dane okazywały się niedostateczne, sędziowie, żeby przynajmniej formalnie spełnić swój obowiązek, zdawali się zupełnie na wolę losów. Tu tkwi źródło powstania sądów bożych, polegających na próbie ognia lub wody.

Odmiana pojęć prawnych daje się tu dobrze obserwować na stopniowych zmianach kar, nakładanych np. na spólników winy. Jeżeli w zabójstwie brało udział kilka osób, odpowiada przed sądem — podług statutu z roku 1373 — tylko jeden; innych nie powołuje się wcale do sądu. Natomiast przywilej z roku 1438 uznaje za już winowajców wszystkich spólników zbrodni.

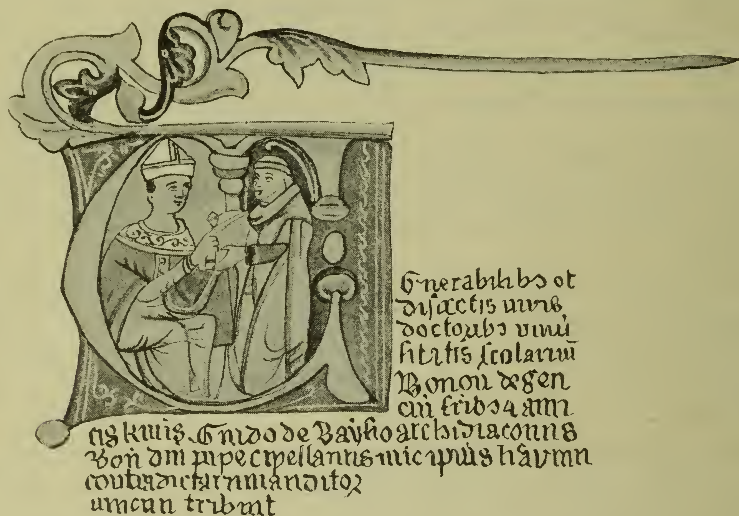
Naiwnie ale wytrwale postępowało prawo mazowieckie naprzód, niepowstrzymywane górą napotykanych przeszkód. Czasem świeciła mu w tej drodze cierniowej gwiazda sprawiedliwości. Oto naprzykład znajdujemy wiadomość o sprawie wytoczonej przez obywatela Mazowsza przeciw monarsze o nieprawe zabranie mu dóbr ziemskich. Sąd bynajmniej nieuchyla czoła przed potęgą panującego. Król musi się tłumaczyć i w końcu uledz ogólnie obowiązującemu prawu.

Poświęcimy tylko słów parę jednemu z ważnych pomników ustawodowstwa polskiego, który pochodzi z ciężkich czasów bezkrólewia, po ucieczce Ludwika węgierskiego. 2go marca roku 1374 był zwołany zjazd ustawodawczy do Radomia. Wobec licznie zgromadzonej szlachty zapadły uchwały, które, lubo w oryginale zagubione, przechowały się w późniejszym odpisie na okładce księgi radzieckiej w Krakowie. Śród natarczywych starań panów małopolskich, jak widać z uchwał tych, około owładnięcia steru nawy publicznej czuć jeszcze szkołę Kazimierza Wielkiego. Oczywiście, ludźmi temi kierowała ambicya, nawet chciwość, ale też z drugiej strony jakież świetne dali dowody, że posiadają rozum polityczny, który później okrył takim blaskiem panowanie Władysława Jagiełły. Na zjeździe w Radomiu rozstrzygali oni nietylko sprawę dziedziectwa tronu. W równej mierze myśleli o zaprowadzeniu silnych rządów w czasie bezkrólewia i o obronie granic przed wrogiem zewnątrz. Chwytano się środków bezwzględnych, ostrych, podobnych do

tych, które stały się w ręku Kazimierza Wielkiego orężem do zgnębienia wewnętrznych rozbojów i nadużyć. Od uchwał, zapadłych na zjeździe w Radomiu rozpoczyna się okres sejmów i sejmików.

Należy pomówić jeszcze o ewolucyi prawa kanonicznego w Polsce. Wzięło ono początek — jak wiadomo — we Włoszech, które po dwakroć jaśniały Europie, jak wielkie ognisko wiedzy i kultury. Pierwszy raz w okresie panowania scholastyki; kiedyto szkoła była punktem środkowym, w którym gromadziła się nauka i wszystko, co było jej żądne. Po raz drugi w bujnej epoce odrodzenia.

Prawo kanoniczne rozwijało się równolegle ze zmianami zachodzącemi w dziedzinie kościelnej, z odmianą pojęć i wyobrażeń chrześcijaństwa. Sobory i koncylia wydawały rozporządzenia, a papieże dekrety, określające je stopniowo na podstawie pisma św. i tradycyi apostolskiej. Uchwały te były ogłaszane oddzielnie. Kiedy



198. Dekretał z miniaturą z XIV. wieku (z biblioteki Jagiellońskiej).

wzrosły do sumy poważnej, poczęto, w celu ulżenia pamięci, układać z nich kolekcye. W Polsce po przyjęciu chrześcijaństwa przyjęło się prawo kanoniczne dzięki współdziałaniu Włochów. Zostawili też sobie wdzięczną pamięć w naszych katalogach biskupów. Skrzętni braciszkowie nazywają ich biegłymi kanonistami i powiadają, że wielce się krajowi przysłużyli, zapoznawszy go z księgą kanonów — przygotowali oni grunt pod zasiew ojczysty. Z początku czerpaliśmy wiadomości prawa kanonicznego z południa, później z zachodu. Z najstarszego spisu biblioteki katedry krakowskiej dowiadujemy się, jakie dzieła prawnicze służyły do użytku w praktykach kanonicznych.

Wśród rękopisów kapituły krakowskiej mieści się do dziś ogromna księga pod nazwą Collectio trium partium.

Zawarty jest tu cały niemal materyał prawny, który stanowił powszechne prawo kanoniczne aż do końca wieku XII. W tym czasie powyższa kolekcya rozpowszechniła się też u nas i wywarła wpływ niepośledni na stosunki prawne w kościele. Jeżeli rozważymy jej osnowę i układ, mimowoli nasuwa się wniosek, że została

Dekret z roku 1266 z pieczęcią Salomei, księżny halickiej

(Strona wewnętrzna.)

ułożoną w celu dawania instrukcyi duchowieństwu, stanowiącemu przy biskupie kapitułę. Znajdujemy w niej przypisy ogólne o życiu moralnem kleru i jego obowiązkach. W części pierwszej mieszczą się wyłącznie dekrety papieskie do Urbana II. † r. 1199; druga obejmuje postanowienia soborów i koncyliów od Nicejskiego począwszy; w skład trzeciej weszły wyciągi z traktatów ojców kościoła, z pism apostolskich, wypisy z praw rzymskich i kapitularzy i t. p. Autor, nieznanego dotąd nazwiska, w pierwszej i drugiej części prowadzi rzecz chronologicznie, w trzeciej podnosi się do metody systematycznej.

Sądząc ze sporej liczby do dziś dnia zachowanych egzemplarzy, musiał się zbiór nasz cieszyć ogólnem uznaniem. «Triparty» musiały też mieć u spółczesnych uznanie, skoro w znacznej części zostały wcielone przez Gracyana do jego Dekretu, tworzącego główną część tak zwanego Corpus iuris canonici kościoła rzymsko-katolickiego; a dzieło to mnicha kamedulskiego miało podobne znaczenie w historyi kościoła, co w sto lat później wydanie Sumy św. Tomasza. Ze wszystkich znanych nam dotąd rękopisów — zbiór nie został jeszcze drukiem ogłoszony — pierwsze miejsce należy się manuskryptowi, znajdującemu się w bibliotece Jagiellońskiej, ze względu na bardzo obszerny dodatek treści prawno-kanonicznej, dokonany przez kanonistę, przebywającego podobno na początku XII. wieku w Krakowie.

W owym czasie wpływ filozofii scholastycznej coraz bardziej oddalał szkołę od życia, prawo cywilne straciło wszelkie ogniwa ze sprawami natury praktycznej. Tylko prawo kościelne zajmuje wtedy stanowisko samodzielne i śmiało staje na gruncie potrzeb społeczeństwa. Od czasu Gracyana powstaje coraz więcej ustaw kościelnych, wywołanych stosunkami rzeczywistemi. Jakkolwiek nie zostały wcielone w całość systematyczną, jak tego dowodzi nazwa extravagantes, mają jednak moc obowiązującą. Od wydania dekretałów cała literatura płynie szerszem łożyskiem. Wychodzi mnóstwo książek, stanowiących wyciągi, skrócenia i monografie, pod scholastycznymi tytułami pierwiosnków, kwiatów, pereł, różańców i run złotych. Znajdował się pod ich wpływami i nasz Marcin z Opawy, który, jak powiedziano, zwracał się zawsze do spraw życia praktycznego. Jego «Tablica czy perła dekretu», napisana w celu podręcznego użytku, zjednała sobie sławę zagranicą.

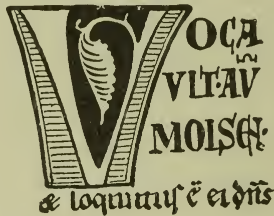
Nie tylko Marcin zapisał swe imię na stronicach literatury kanonicznej. Druga połowa XIII. wieku wydała kilku Polaków w tej dziedzinie. Z pod pióra Wawrzyńca Polaka, ucznia szkoły bolońskiej, scholastyka wrocławskiego, papieskiego kapelana i doktora dekretów, wychodzi w XIII. wieku «Memoriale decreti».

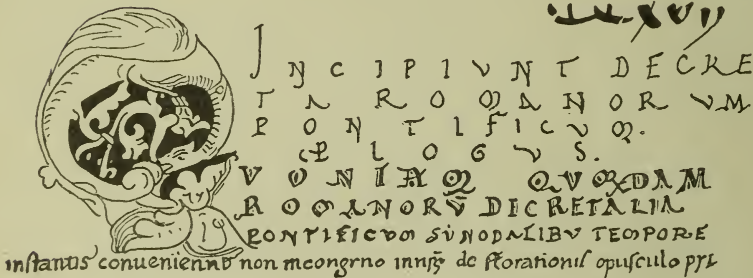
Książka Wawrzyńca spotkała się z życzliwą oceną w Bolonii, gdzie przyjętą została jako książka podręczna dla uczącej się młodzieży uniwersyteckiej. Wyżej na tem polu stanął Mikołaj, archidyakon krakowski. Wyniesiony na godność rektora wszechnicy padewskiej, wypracował dla niej statut organizacyjny. Jego Suma dekretałów, zdradzająca zresztą wpływ szkoły Jakóba z Aveny, jednego z najlepszych profesorów w Padwie, była używaną nawet w XV. wieku. W okresie zjednoczenia Polski za ostatnich Piastów, dostępuje sławy znakomitych doktorów dekretów cały szereg Polaków, którzy długie lata spędzili na studyach kanonicznego prawa w uniwersytecie bolońskim, padewskim i paryskim. Nie wszyscy jednak płonęli miłością kraju ojczystego. Nie jeden z Polaków, kształcących się za granicą, zamiast powiększyć szczupły zastęp ludzi oświeconych w ojczyźnie i pracować chlubnie około podniesienia rodaków, zostaje w obcym kraju, i sprawy ziemi rodzinnej porzuca w niepamięć. Nie wszyscy szli światłym szlakiem biskupa Nankiera, który do osta-

tniej chwili nie wypuszczał z rąk chorągwi narodowej, broniąc straconego Śląska i swemi «doskonałemi »ustawami kościelnemi zaprowadzał ład i porządek w kraju.

W ogóle prawo kanoniczne nie mały wpływ miało na krajowe, że tu wymienię tylko doniosły wpływ na instytucyę małżeństwa i dziedziczenia. W wyrokach sądowych zapanowała większa ludzkość, a w sprawach cywilnych szanowanie ostatniej woli umierającego.

W ustawach papieży lub soborów powszechnych zawarte są jedynie ogólne zasady i myśli przewodnie, a prawo partykularne winno je było rozszerzyć i do





199. Podobizna dekretu z XII. wieku.

potrzeb danej miejscowości zastosować. Uchwały synodalne, zwane inaczej statutami odgrywają nie mniejszą rolę w dziedzinie prawa kanonicznego. Synody były najwyższym organem ustawodawczym kościoła katolickiego w Polsce. Byli na nich obecni biskupi i delegaci kapituł, przewodnictwo zaś obejmował arcybiskup gnieźnieński lub jeden z papieskich legatów. Uchwały zapadłe na tych synodach stały się u nas przykładem dla prawa świeckiego, które naśladowało z nich nietylko treść, ale i formę. Dążąc ciągle do samoistności kościoła, starały się synody roztoczyć opiekę nad społeczeństwem nawet w zakresie spraw świeckich. Wpłynęły zaś nietylko na stan oświaty i moralności duchowieństwa w kraju, ale starały się je zatrzymać w solidarności z klerem innych prowincyi. Toteż znajomość historyi synodów, zwłaszcza

w czasach, kiedy dosięgły najwyższej potęgi i siecią korzeni objęły całą glebę państwowego życia, ważną jest nie tylko dla poznania dziejów kościoła, rzucają one nieraz snopy światła na kulturę i oświatę całego narodu. — Z chwilą, kiedy chrześcijaństwo stało się własnością narodu polskiego, kościół był instytucyą państwową. To też pierwsze uchwały wydawane są w tym duchu, jaki ożywiał energiczną działalność pierwszych książąt polskich. Bolesław Chrobry za niestosowanie się do przepisów postów, karał wybijaniem zębów. Obraz naszego ustawodawstwa kościelnego w zaraniu chrześcijańskiem przedstawia księży w świetle ujemnem. Do XII. wieku nie przytacza żadnego wypadku, żeby duchowieństwo nasze wystąpiło mężnie i z poczuciem swej siły w sprawach, blisko je obchodzących. Nawet w kwestyi roszczeń Magdeburga do zwierzchnictwa nad kościołem polskim, nie dało znaku protestu.

Z tej najwcześniejszej doby rozwoju kościoła za Piastów posiadamy jedną tylko, zresztą dość oryginalną ustawę. Wydał ją dla Pomorza w roku 1124 apostoł tejże ziemi, Otto bamberski. W ustawie tej mieszczą się przepisy, dotyczące religii i prawa kościelnego dla krajów, świeżo do chrześcijaństwa przyłączonych. Znajdujemy więc zakaz zabijania córek, czci bałwanów, grzebania trupów po polach i lasach i t. d. Natomiast nakazuje ustawa przynosić dzieci do chrztu w sobotę wielkanocną i w Zielone święta, utrzymywać posty i święta, nie odstępować od sakramentu małżeństwa (monogamii) i t. d. Prawdopodobnie i misyonarze, szerząc światło wiary w krajach rdzennie polskich, wydawali podobne dla nowonawróconych przepisy. W owym czasie w całej Europie zachodniej chrześcijaństwo było już świadome swego samoistnego stanowiska; u nas nie objawiło się ono nigdzie prawie, a w ustawodawstwie nie dało ani znaku życia. Sprawą organizacyi kościoła polskiego zajmowała się kurya od Grzegorza VII. począwszy, posyłając legatów. Oni też zaprowadzali porządek i karność w duchowieństwie. Nie zawsze atoli owoce ich postępowania były zdrowe. Czasem uganiali się jedynie za własną korzyścią albo nakładali na duchowieństwo nadmierne ciężary.

Najważniejszą ze wszystkich spraw, będących przedmiotem synodów, było przeprowadzenie reform w łonie samego duchowieństwa. Tak nie wielkie jeszcze było zrozumienie zasad chrześcijańskich śród dostojników kościoła, że żyli w wielożeństwie, mieli przy sobie w charakterze pomocników własnych synów, zwanych «księżycami». Księża przychodzili do kościoła katedralnego w maskach i wyprawiali sceny, znieważające święty przybytek. Należało zwrócić baczniejszą uwagę na niski stan obyczajów śród księży, podnieść ich etycznie do poziomu duchowieństwa na zachodzie, a przedewszystkiem zmusić do bezżeństwa. I oto przybywają do nas legaci papiescy, żeby reformy te na synodach przeprowadzić. Przeszkody były wielkie. Bo, jakkolwiek pierwsze lody zostały szczęśliwie przełamane, przeciwili się nowym porządkom sami nawet biskupi, nie radzi pozbywać się dawnego sposobu życia. Między nimi zaznaczył się szczególnie biskup wrocławski Franciszek († 1197), który wydał pismo w obronie małżeństwa kapłanów pod tytułem «De clericorum et laicorum matrimoniis» (O małżeństwie osób duchownych i świeckich).

Synody uchwalają rozporządzenia, mające na celu ukrócenie «samowoli królów polskich». Postanowiono między innemi wykląć księcia w razie, gdyby którego z biskupów uwięził. W ten sposób powoli rosła powaga kościoła i stawała się potęgą, aż w końcu wypowie zaciętą walkę władzy książęcej w sprawie inwestytury. W otrzymywaniu beneficyów z rąk świeckich widzą nasze synody «zbrodnię, której towarzyszem jest gwałt, duchem pycha, a nauczycielem zdrada»... Sprawa dziesięcin

200. Karta najstarszej księgi archiwum aktów grodzkich i ziemskich w Krakowie.



PRAWA MAZOWIECKIE.

kodeks Macieja z Rożan, w Muzeum Ks. Czartoryskich.

była prawdziwem jabłkiem niezgody między szlachtą a duchowieństwem; często też stanowi ona przedmiot obrad synodalnych. Synody wydają także rozporządzenia przeciwko żywiołowi niemieckiemu, wciskającemu się przez Śląsk do Polski.

Niemcy zdobywali sute nadania i przywileje, tak, że ludność miejscowa, uciśniona i podległa prawu polskiemu, spoglądała na nich jak na jakąś wyższą rasę, nie bez zawiści. Duchowieństwo nasze, z ludu pochodzące, nie mogło wobec tego zachować się obojętnie. Wchodziły tu także w grę okoliczności realniejsze. Niemcy nie chcieli ponosić ogólnie na korzyść kościoła ustanowionych ciężarów. Nie dawali ani dziesięciny snopowej, ani pieniędzy. Były to oczywiście sprawy, blisko kościół obchodzące, synody nie omieszkały więc obmyślić odpowiednich środków. Czynne już było podwówczas duchowieństwo, sprawę narodu i kościoła gorąco brało do serca. Zjazdy biskupów i wychodzące bezustannie uchwały dają świadectwo ciągłej troski i opieki dostojników duchownych. Poziom umysłowy duchowieństwa podnosi się ciągle. Przejmuje się ono ideami stolicy apostolskiej i bierze udział w ogólnej reformie duchowieństwa.

Najwybitniejszym objawem działalności biskupów w dobie piastowskiej jest kodyfikacya statutów synodalnych arcybiskupa gnieźnieńskiego, Jarosława. Pierwsza to księga, godnie zamykająca ustawy kościoła polskiego. Poświęcimy słów parę świątłej postaci dostojnika kościelnego, który tak walne zasługi położył na ołtarzu kościoła polskiego i zostawił niezatarte ślady w dziejach naszej oświaty i literatury. Arcybiskup gnieźnieński, Jarosław Bogorya Skotnicki, należy do tych osób, które wielką myśl Kazimierza zjednoczenia i dźwignięcia kraju wcielały w rzeczywistość. Jemu to król wielki zawdzięcza mężną i mądrą obronę w sprawie z Krzyżakami, on prowadził misterną z sąsiadami politykę, był twórcą rozejmów i układów, doradcą w wielkich zadaniach państwowych króla. Sam posiadając rozległą wiedzę, lubił się otaczać gronem duchownych, szeroką posiadających naukę. Żył w przyjaźni z Jankiem z Czarnkowa, znanym kronikarzem, podejmował u siebie Ottona Lisa, pełniącego zaszczytną godność kanclerza na dworze wielkiego króla. Był zawołanym gospodarzem, a w umiejętnej administracyi dóbr kościelnych nikt go nie przewyższał. Wznosił też rezydencye biskupie, obronne zamki, wiele zabudowań gospodarskich. Nazwano go też powszechnie wielkim budowniczym.

Urodził się Jarosław roku 1276. Wychowanie początkowe odebrał w szkołach miejscowych; wyższe studya odbył w Bolonii. Tutaj zapoznał się z znakomitym profesorem prawa, Janem Andrea. Od niego przyjął młodzieniec, świetne na przyszłość rokujący nadzieje, pochop do gromadzenia zabytków prawa kościelnego. Wyniesiony przez kolegów na stopień rektora, stał pilnie na straży instytucyi, do której należał. Bronił energicznie praw i przywilejów uczącej się na uniwersytecie rzeszy. Zanim do Polski wrócił, szeroko mówiono już o nim w kraju, jaką to przynosił chlubę ojczyźnie. Władysław Łokietek wziął go na dwór do siebie i obdarzył nieograniczonem zaufaniem. Towarzyszył mu Jarosław nawet w niebezpiecznych wyprawach wojennych, a lubo duchowny, nieraz za miecz porywał w obronie króla i kraju. Zanim otrzymał wyższe święcenie, musiała go uwolnić stolica apostolska od zarzutu «nieregularności, popełnionych przez palenie, łupiestwo, zabory i szkody». Mowa tu bez wątpienia o jego udziale w wyprawach wojennych, lubo nie wyłącza również gwałtów, do jakich uciekał się przyszły biskup w obronie własnych dóbr dziedzicznych. W dość krótkim czasie przebiegł drabinę godności kościelnych. W roku 1322 widzimy go na stanowisku kanonika krakowskiego, w rok później

obejmuje godność kanclerza, po dwu latach jest już archidyakonem. — Nie należał do nieposzlakowanych charakterów. Skonstatowano, że brał wynagrodzenia pieniężne przy urządzanych odwiedzinach pasterzy krakowskich. Zawieszony w korzystaniu z beneficyów udał się w celu uchylenia zakazu do Awinionu. Został z winy zupełnie uwolniony, ale niebawem znowu popada w niełaskę u papieża i zostaje wyklęty, albowiem świętopietrze, na korzyść kuryi zebrane, nie wrócił do skarbu papieskiego, ale Kazimierzowi Wielkiemu, będącemu w potrzebie, doręczył. Widać stąd, jakiem zaufaniem zaszczycali go król i pełnomocnicy apostolscy. Później za wstawieniem się króla i na mocy uchwały kapituły, obrany po śmierci Janisława na arcybiskupa gnieźnieńskiego, Jarosław powtórnie odbywa drogę do Awinionu, gdzie papież zdejmuje zeń ekskomunikę. Wrócony na łono kościoła wyświęca się na kapłana, a potem zostaje uroczyście konsekrowany arcybiskupem. Może te niezwykłe warunki, w których Jarosław został wyniesiony na stolicę arcybiskupią, przyczyniły się do rozpowszechnionego twierdzenia, przekazanego przez Długosza. Miał arcybiskup gnieźnieński za życia polecić, ażeby zwłoki jego wprowadzono do kościoła nie jak zwykle bramą, ale przez wyłom w ścianie, jakby w znak tego, że nie prostą drogą został arcybiskupem. Obrońcy niewinności Jarosława utrzymują, że stało się to z zupełnie naturalnych powodów. Miejsce bowiem przeznaczone na wieczny spoczynek arcybiskupa nie miało wnijścia z wnętrza kaplicy, lecz z zewnątz.

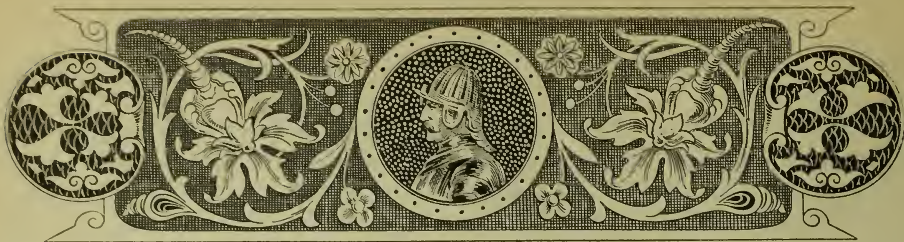
W kronice Janka z Czarnkowa Jarosław występuje jako obrońca uciśnionych i prawdziwy opiekun ubogich. Nie możemy atoli zupełnie ułać słowom burzliwego kronikarza, albowiem zabytki ówczesne stwierdzają, że więcej w niem było starania koło spraw kościelnych, niż troski o dobro ludu. Wydał naprzykład król rorporządzenie, żeby dziesięciny włościan sami sobie duchowni odbierali. Jarosław atoli nie zgodził się nato ustępstwo Kazimierza. I póty rąk nie opuszczał, aż na mocy przywileju (wydanego 19go czerwca 1352 roku) król rozporządzenia tego nie cofnął, i odtąd włościanie winni byli dostarczać zboże własnemi furami. Pozbawiony wzroku, starzec niemal stuletni, rządził dobrami biskupiemi jak własnym majątkiem. Rozdawał je krewnym swoim, pomijając nawet kandydata kapituły. Gdzieindziej jednak szukać należy jego zasług. Skotnicki podjął sprawy doniosłości politycznej. Przyłożył ręki do zjednoczenia Polski zapomocą jednolitego ustawodawstwa, świeckiego i duchownego. Dzięki zabiegom Jarosława zostają już około 1340 r. w Wielkopolsce spisane prawa zwyczajowe. Potem, kiedy wybiła godzina wspaniałego zamiaru Kazimierza, zasiadł w Wiślicy w komisyi ustawodawczej wraz z Janem Grotem, biskupem krakowskim i doktorem dekretów, Janem Suchywilkiem. Największa z nich rola przypadła w udziele Skotnickiemu w przeprowadzeniu ustawodawczego planu Kazimierza Wielkiego. I Akademia krakowska ma wiele do zawdzięczenia Jarosławowi. Zajął się on wewnętrzną organizacyą wszechnicy, sam kierował sprawami, dotyczącemi gospodarki i administracyi. Miał bowiem były rektor uniwersytetu bolońskiego rozległe pod tym względem doświadczenie. Ale zasługi Jarosława nie wyczerpują się bynajmniej tem, co powiedziano wyżej. Biegły w kanonach, z któremi wszedł w bliższą jeszcze znajomość przy wykonywaniu reformy króla, postanowił Jarosław, na wzór władzy świeckiej, zaprowadzić i w dziedzinie kościelnej jednolite ustawodawstwo. Znamienity ten plan wielkiego biskupa został w życie wcielony na synodzie kaliskim 1357 roku.

Zbiór ustaw synodalnych Jarosława, tutaj uchwalonych jednogłośnie, można podzielić na dwa działy. W pierwszym znajdują się ustawy wydane na poprzednich

synodach, przez arcybiskupów Fulkona 1230—53, Janusza 1257—71, Jakóba 1273 do 1313 i Janisława 1317—41, teraz zaś na nowo z pamięci wywołane. Drugi dział obejmuje ustawy obecnie po raz pierwszy ogłoszone, dotyczą zaś obowiązków duchowieństwa i omawiają ukrócenia praw czy przywilejów, na jakie kościół był dotąd często narażony.

Arcybiskup Jarosław, który przybył na synod z dekretem Gracyana, oświadczył, że nie zamierza nowych ogłaszać ustaw, jeno odnowić dawne i tylko wydać niektóre rozporządzenia, dotyczące ich wykonania, albowiem doświadczenie nauczyło go, że na nic są prawa, jeżeli niema dla nich silnych wykonawców i obrońców. Żeby na przyszłość usunąć częste usprawiedliwiania się nieświadomością praw, nakazuje, aby odtąd wszyscy biskupi, archidyakoni i rządcy kościoła mieli u siebie tych ustaw kopie i głosili je w czasie zjazdu niższym duchownym. Odtąd kapłan mógł powiedzieć winnemu słowa Bazylego: «canonem inspice», ale też człowiek świecki, w razie gdyby go skrzywdził duchowny, mógł mu przytoczyć odnośny paragraf... Zbiór ustaw synodalnych jest ostatniem świadectwem starań arcypasterzy około podniesienia polskiego duchowieństwa w dobie piastowskiej.





ROZDZIAŁ JEDENASTY.

NAUKI PRZYRODNICZE.

Straszne kataklizmy i burze średniowieczne nie wytworzyły atmosfery, sprzyjającej pielęgnowaniu nauk ścisłych. Oręż lepiej popłacał niż pióro i był zresztą bardziej potrzebnym. Ludzie, zajmujący wybitne stanowiska w państwie, nie zawsze umieli położyć swój podpis. Karol Wielki podpisywał się w linii objętości dziesięciu cali. Filozofia, medycyna, fizyka, wypłoszone z miejsc, gdzie rozlegał się ciągle szczęk broni i tętent wojennych rumaków, szukały przytułku za murami klasztoru, uprawiane jedynie przez osoby duchowne. To też ogół nie wydobył się z mgły zabobonów i barbarzyństwa. Zjawiska przyrody, całkiem naturalne, ale wychodzące poza szranki wypadków codziennych, napełniały serca trwogą i niepokojem. Kometa, zaćmienie księżyca, zorza północna zwiastowały koniec świata, lub conajmniej jakieś nieszczęście, jak głód, wojna, trzęsienie ziemi.

Z nauk przyrodniczych rozwinęły się najwcześniej wiadomości lekarskie z potrzeby zaradzenia owym nieszczęściom, które padały na kraj cały, pustosząc całe miasta i wsie dokoła. Wieki średnie tę mają zasługę, że przechowały ułamki wiedzy mnichów starożytnych, lubo je niekiedy bez wszelkiej krytyki zmieniały i uzupełniały. Sztuka jednak lekarska, podobnie jak wszelkie nauki przyrodnicze, była krępowana więzami, jakie nakładała teologia.

Medycyna wysunęła ideał miłosierdzia, a za postępowanie w jego ślady obiecywała wieczną szczęśliwość. Mnisi też wielką położyli zasługę w praktyce lekarskiej przez zakładanie pierwszych szpitali. Źródła z XIII. i XIV. wieku wspominają o lekarzach, którzy pobierali nauki w słynnej szkole lekarskiej w Montpellieur, z tych Jan Emeryk został rektorem w Bolonii. W teoryi medycyny zasłynął Tadeusz Ślązak, biskup Sarenty, Montepezulańczyk († 1378). Jest on autorem wielkiego dzieła z zakresu terapeutyki, tudzież słownika medycznego, przechowywanego w rękopisach biblioteki wrocławskiej. Te jednak pierwsze usiłowania Polaków, na polu wiedzy lekarskiej, którychby więcej przytoczyć można, nie przyniosły wielkich korzyści nauce. Ówcześni medycy czerpali niewolniczo z Galena i Avicenny.

VITELLIONIS MATHEMATICI DOCTISSIMI περὶ ὀπτικῆς,
idest de natura, ratione, & proiectione radiorum uisus, luminum, colorum atque formarum, quam uulgo Perspectiuam uocant,
LIBRI X.

Habes in hoc opere, Candide Lector, quum magnum numerum Geometricorum elementorum, quæ in Euclide nusquã extant, tum uero de proiectione, infractione, & refractione radiorum uisus, luminum, colorum, & formarum, in corporibus transparentibus atque speculis, planis, sphæricis, columnaribus, pyramidalibus, cõcauis & conuexis scilicet cur quædam imagines rerum uisarũ æquales, quædã maiores, quædam minores, quædam rectas, quædã inuersas, quædam infra, quædã uero extra se in aëre magno miraculo pendentes: quædam motum rei uerum, quædã eundem in contrarium ostendant; quædã Soli opposita, uehementissime adurant, ignemq; admota materia excitent: deq; umbris, ac uarijs circa uisum deceptionibus, à quibus magna pars Magiæ naturalis dependet. Omnia ab hoc Autore (qui eruditorum omniũ consensu, primas in hoc scripti genere tenet) diligentissime tradita, ad solidam abstrusarum rerum cognitionem, non minus utilia quam iucunda. Nunc primum opera Mathematicorum præstantiss. dd. Georgij Tanstetter & Petri Apiani in lucem ædita.



Norimbergæ apud Io. Petreium, Anno MDXXXV.

Karta tytułowa optyki Witeliona, przyrodnika i matematyka z XIII. wieku.

Nieznaczne są też zawiązki geografii. Znajdziemy w kronikach naszych tu i ówdzie wzmiankę, dotyczącą opisu ziemi naszej, a nawet obcy, kraj nasz zwiedzający, niekiedy szkicują wygląd okolic polskich. Wszystko to atoli jest nieznaczne, małe, nader niedostateczne. Ortlebs, cysters, pochodzący z Zwifalten (w Szwabii), goszcząc w Polsce u Salomei, wdowy po Bolesławie Krzywoustym, zostawił opis Polski. Jakkolwiek nie duże można z niego powziąć wyobrażenie o wyglądzie naszego kraju, ma on jednak wielkie znaczenie, jako jedna z pierwszych na tem polu prób. I Polacy wyruszali w podróż, ale opisów krain, przez które przejeżdżali, nie zostawili po sobie. Pierwsza podróż, przez Polaka opisana, odnosi się do wieku XIII. Nie była to atoli przejażdżka po krajach nieznanych, z ciekawości przedsięwzięta, ale poselstwo, podróż dyplomatyczna. Spowodował ją najazd Mongołów, który taki postrach rzucił na cały zachód. Cesarz i papież wytężyli wszystkie siły, żeby stawić czoło tej burzy, która pustoszyła Europę, pojąc krwią ziemie Polski, Rusi i Węgier, a zostawiając za sobą zgliszcza i popioły. W mniemaniu, że będzie można nawrócić pogan, wysłano do nich poselstwo w stepy azyatyckie, pod przewodem Franciszkanina Jana de Plano Carpini. Wypadek ten musiał być powszechnie uważany za doniosły, skoro ówcześni rocznikarze (t. z. Traska i krakowski) zapisują to, jako fakt godny pamięci. Towarzyszył Janowi de Plano Benedykt Polak, Franciszkanin. Wyruszywszy roku 1297 z Włoch, jechali na Czechy, Polskę i Ruś. Stąd ciągnęli pasmem stepów aż do samej hordy nad brzegiem Bajkału. Wszystko, co u Mongołów zauważyli — zwyczaje, prawa, religię — szkicują, jakby węglem. Plano de Carpini wyodrębnia to, co podaje na podstawie opowiadania, od tego, co na własne oglądał oczy. I dzięki temu zachowała się relacya Polaka. Trzeba było dużego poświęcenia do takiej w krainy barbarzyńców podróży. Ciekawość zwiedzenia ziemi nieznanej i chęć przyjrzenia się ludom odmiennie żyjącym, nie mogły być czynnikiem, zagrzewającym do takiej wycieczki. Odegrała tu najważniejszą rolę chęć nawrócenia niewiernych, zażegnania niebezpieczeństwa, mogącego paść na ludy i kościół. Bawili u Gajuka dwa lata i wrócili tą samą drogą, wioząc listy do papieża. Podróż ta była z wielkiem zajęciem czytana w całej Europie. Opowiadają nawet, że Kolumb czerpał nie mało zachęty z tych kart, malujących bogactwo i przepych wielkiego Hana.

Z opisem podróży Benedykta, znanym z drugiej tylko ręki, pozostaje w chronologicznym związku opis Litwy przez Wita. Nieznamy dokładnie czasu i miejsca urodzenia autora. Wiemy jednak, że około roku 1230 należy już do grona kapituły krakowskiej. Kiedy począł kwitnąć w Polsce zakon kaznodziejski, Wit, żądny siania ziarna bożego między ludem, przywdziewa habit zakonny i łączy się ze św. Jackiem. Odbył w towarzystwie braciszków wyprawy apostolskie na Ruś po śladach świętego. Również nie małe położył zasługi, nawracając Litwinów na chrześcijaństwo. W roku 1253 został wyświęcony na biskupa litewskiego przez arcybiskupa gnieźnieńskiego Fulkona, ten bowiem miał pod swojem zwierzchnictwem sprawy kościelne na Rusi. W czasie ogólnych zamieszek, po skonie księcia Mendoga i powszechnego odstępstwa od religii chrześcijańskiej, Wit opuszcza stolicę biskupią, skąd udaje się do Krakowa i tu w klasztorze OO. Dominikanów wyzionął ducha 1269 roku. Pochowano go w grobie św. Jacka.

Został po nim opis smutnego położenia rzymsko-katolickiego kościoła na Litwie, w liście, wystosowanym do papieża Innocentego IV. w roku 1283 lub następnym. Tytuł tego po dziś dzień nie wydrukowanego pisma brzmi: «De christianorum in Littonia conditione deplorabili epistola.

Polska w okresie Piastów wydała tylko jednego uczonego w dziedzinie nauk przyrodniczych, ale zajmuje on wybitne stanowisko w dziejach oświaty średniowiecznej. Mówimy o Vitellionie, zwanym także Witkiem albo Ciołkiem. Żył w XIII. wieku i napisał znakomite dzieło «De perspectiva», przez co zdobył sobie w świecie naukowym tytuł założyciela nowoczesnej optyki. Wprawdzie zasługa jego nie sięga wyżyn Kopernika, Galvaniego, Newtona, Watta, ale on pierwszy pozbierał w jedną całość okruchy wiedzy optycznej, spoczywające oddzielnie w greckich i arabskich księgach i wzniósł z nich wspaniałą budowlę, w której blisko cztery wieki przemieszkiwała myśl ludzka. Nawet sławny Kepler nie odważył się wywrócić fundamentów, przezeń założonych, ale zasady jego tylko rozszerzył i uzupełnił w wiekopomnem dziele «Paralipomena ad Vitellionem».

W dziele swem nazywa Vitellion Polskę swoją ziemią ojczystą (nostra terra, scilicet Polonia). W księdze czwartej, w której mówi o małych przedmiotach bliskich, które wydają się większymi, aniżeli duże a bardziej oddalone, wspomina nawet bliżej okolicę na Śląsku, gdzie czynił spostrzeżenia:

«Przy niezwykłem oświetleniu, opowiada, gdy o zmroku światło jest wątpliwe, jeżeli widzimy człowieka a zarazem las lub ścianę oddaloną za nim, gdy nie można już rozeznać odległości, dzielącej ich od siebie, chociaż ta może być znaczną, to zdawać się nam może, że las i człowiek tuż przy sobie stoją. Jeżeli wtedy promień, idący od głowy człowieka, dotyka także i wierzchołku lasu, to las i człowiek wydadzą się nam jednako wysokimi, jako przedmioty pod jednym kątem widziane, a nawet człowiek może się okazać wyższym od lasu, jeżeli promień od jego głowy idący, przechodzi nad wierzch lasu.

«Coś podobnego widzieć się zdarza pod miastem w Wrocławiu, przy gaju należącym do folwarku Borek. Ludzie o zmierzchu wydają się tam, jak gdyby od owego wysokiego lasu byli wyższymi, a widziano nawet wilka pomiędzy drzewami a polskim obozem, tak wysokiego, jak las. Zdarza się to tylko o zmroku».

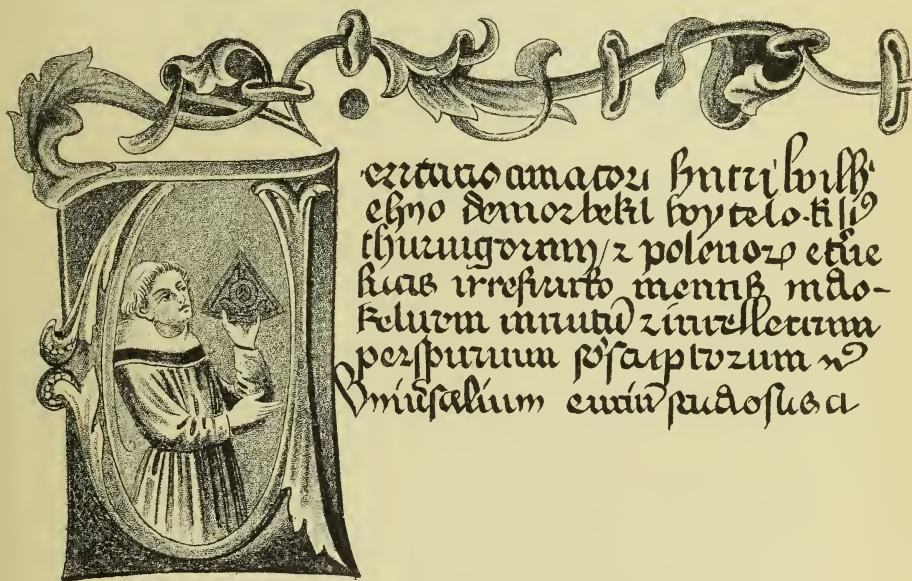
Opowiada dalej, że w okolicy Padwy spostrzegł w wodospadzie tęczę. Zjawisko to zachwyciło go do tego stopnia, że odtąd nabrał ogromnego zamiłowania do przedmiotu, któremu się oddał. Ale o kierunku zajęć w przyszłości zadecydowało głównie udanie się Vitelliona na dwór papieża Innocentego V. Około roku 1230 bawi tam obok Dominikanina Wilhelma z Morbety, który był spowiednikiem papieży i zdobył sobie rozgłos, jako jeden z pierwszych tłumaczy filozofów greckich z oryginału i napisał dzieło o geometryi. Z dedykacyi Vitelliona można wnioskować, że był jego opiekunem i w ogóle w bliższych z nim zostawał stosunkach.

«Zamiłowanie Twe — opowiada tu Vitellion — w badaniu jestestw przyrodniczych, mnie, ku temu samemu celowi zmierzającemu, tak do Ciebie przywiązało, że wola Twoja jest mi rozkazem, wstrzymuje mnie zaś od zajęć, w których sobie nie podobasz. Ponieważ dostrzegłeś, przy właściwej Tobie przenikliwości, że zmienia się działanie boskie wpływów niebieskich na ciała, stosownie do tych ostatnich i że zjawiska zależą nie tylko od sił działających, ale i od różnego sposobu ich działania (mowa tu o perspektywie), przeto postanowiłeś zająć się zbadaniem tego tajemniczego zjawiska i żądny wiedzy umysł zwrócić ku jego wyjaśnieniu. Kiedyś rozpatrzył dzieła starożytnych o tym przedmiocie, zdjął Cię wstręt do wielomówności arabskiej, zawiłości greckiej i oschłości łacińskiej, powierzono Ci bowiem obowiązek penitencyarza kościoła rzymskiego i przekonany jesteś, że lepiej pomódz możesz penitentom

rozumem praktycznym, niżeli spekulacyjnym, co Cię powstrzymało od rozpatrywania się w wielu rzeczach, któreby na to zasługiwały».

Vitellion napisał kilka traktatów filozoficznych i astronomicznych, o których sam czyni wzmianki, jako to: «De ordine entium» (O porządku istnień), «De scientia motuum celestium» (O teoryi obrotu ciał), «De philosophia naturali» (O filozofii wszechbytu), «Elementarae conclusiones» (Wywody elementarne) i t. p. Morbeta ujął w ściślejsze łożysko tę wielostronną działalność autora i zachęcał do napisania dzieła o optyce, to jest zgromadzenia w jedną, systematyczną całość wszystkich w tym kierunku po różnych dziełach rozprószonych wiadomości.

Epoka, w której pisał Vitellion, była przeciwną wszelkiemu samodzielnemu dochodzeniu. Trzeba się było opierać na powagach, a każdy, kto ośmielił się odstąpić od wytkniętej drogi, ściągał na siebie podejrzenie czarodziejstwa i herezyi.



201. Rękopis Optyki Vitelliona z miniaturą autora.

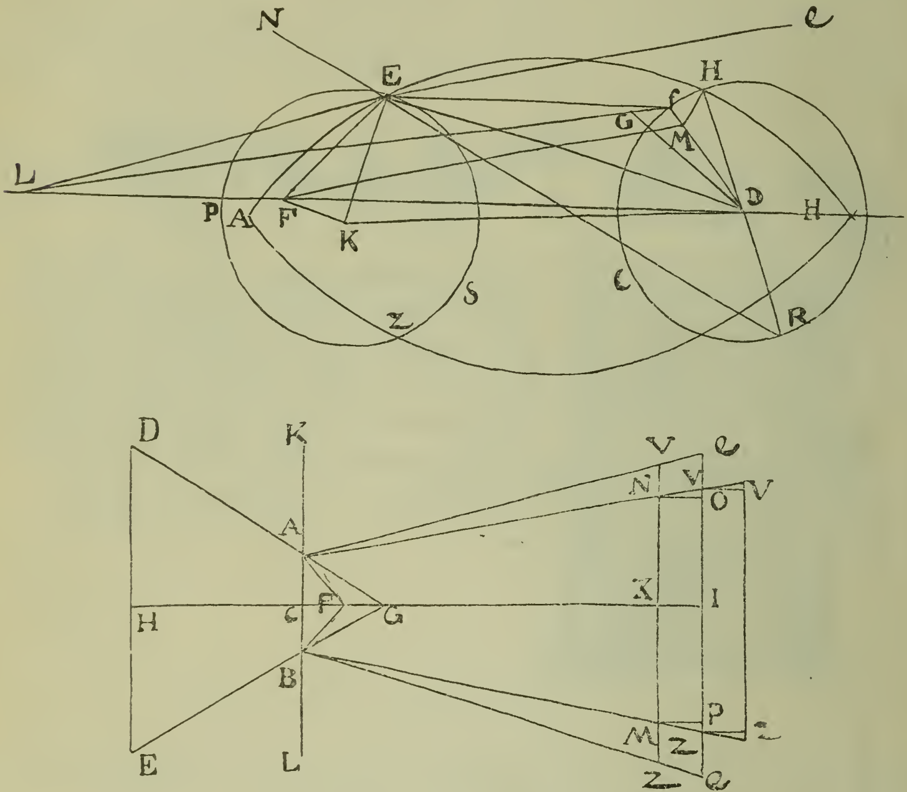
Wiemy, co powszechnie trzymano o papieżu Sylwestrze II., a Roger Bakon, współczesny Vitellionowi, przez to, że poważył się myśleć własnym rozumem, osadzony został w klasztorze, gdzie do samego skonu pozostał.

Vitellionowi w pracy pomógł niezmiernie protektorat papieża. Inaczej nie mógłby nawet dostać ksiąg, które mu były potrzebne do chlubnego przedsięwzięcia. Zamierzając napisać dzieło, które miało być ogniskiem wszystkich dotychczasowych w dziedzinie optyki zdobyczy, musiał się Vitellion otoczyć mnóstwem dzieł, omawiających ten przedmiot, zwłaszcza starożytnych pisarzy.

Kto szuka drogi śród błędnych manowców, mających go doprowadzić do celu, po tym nie możemy wymagać więcej, jak chyba zdrowego instynktu. Odznaczali się tem przedewszystkiem Grecy. Przyznać im należy, że trzeźwo umieli patrzeć na rzeczy. Wieki średnie w wypadkach, w których sobie same dać rady nie mogły, uciekały się pod skrzydła ich dochodzeń, tam szukając ochłody w gorączce ciekawości naukowej.

Podwaliny pod teoryę widzenia rzucił Arystoteles. Dowiódł on, że światło nie jest bynajmniej ciałem, a tylko sposobem zachowania się przeźrocza.

Postrzeżenie, że promień światła, padając na powierzchnię gładką, odbija się od niej pod kątem, wyświetliło odzwierciadlanie; że zaś promień, przechodząc przez ciała zgęszczone, zbacza z kierunku, w jakim biegnie, nie spotykając przeszkód po drodze, otworzyło drogę do nowych dociekań. W ten sposób powstała nauka, zwana perspektywą. W dziele Vitelliona rozpada się ona na trzy części: optykę, dioptrykę i katoptrykę. Podział ten spoczywa na podstawie trojakiego sposobu postrzegania



202. Figury w tekscie Optyki Vitelliona.

przedmiotów, które możemy widzieć bezpośrednio albo przez odbicie, naprzykład w tafli zwierciadlanej, albo też przez załamanie świetlnych promieni, kiedy naprzykład przedmiot spoczywa pod wodą i nie widzimy go na tem samem miejscu, gdzie się rzeczywiście znajduje.

W czasie, kiedy Vitellion pisał swe dzieło, zakrój optyki przedstawiał się zgoła odmiennie, niż to dziś ma miejsce. Tam chodziło głównie o to, jak oko widzi, dziś zaś dociekamy, jak zachowuje się światło, które się oku udziela. Vitellion wierny tradycyi swej epoki, dużo miejsca poświęca narzędziom wzroku, jak to przebija z przedmowy dedykacyjnej, która brzmi: «Prawdy miłośnikowi, bratu Wilhelmowi de Morbeta, Vitellio, syn ziemi turyńskiej i polskiej, życzy szczęśliwego nie-



Podróż Jana de Plano Carpino i Benedykta Polaka do Tataryi w XIII. wieku.

załamanem umysłu promieniem wejrzenia w światło odwieczne i jasnego pojęcia rzeczy niżej wyłożonych».

Pierwszym krokiem, podjętym przez naszego uczonego na drodze swego przedsięwzięcia, musiało być gruntowne objęcie odnośnej literatury w całości. Śród rękopisów, które ciągle odczytywał i sobie przyswajał, natrafił na manuskrypt dziś przypisywany Alhazenowi.

Może było jego zamiarem jedynie uporządkowanie arabskiego autora, a może też zrodziła się w głowie jego myśl napisania dzieła samodzielnego i pokusa zamilczenia o swem źródle.

Jeśli tak, to sroga go za to u potomności spotkała kara. Nazwano go plagiatorem. Może sądził, że dzieło rozwlekłe, mglisto pisane, które razem z narodem ustąpiło z widowni świata, nie upomni się nigdy o swoją własność. Vitellio zresztą nie zdradza zbytniej gorliwości w przytaczaniu autorów, czego mu nawet nie zawsze za złe brać można.

A przecież nie można go poczytać, ani za plagiatora, ani za naśladowcę. — Prawda, że korzystał z wielu pism starożytnych i arabskich, ale też objaśnił wiele fenomenów światła do owej chwili nieznanych. On pierwszy z europejskich uczonych pokusił się o wyświetlenie przyczyny tej kategoryi zjawisk i utorował drogę późniejszym badaczom do zupełnego ich wyjaśnienia. Dzieło stanowczo świadczy o jasności i porządnem rzeczy tłumaczeniu. Wprawdzie nie ujęte jest w dobitną formę, jaką zdradzają naprzykład dzieła Euklidesa. Autor często jest rozwlekły, powtarza się, przytacza niepotrzebnie twierdzenia i dowody, każdemu dobrze znane. lecz nie mniej dzieło napisane jest jasno, przejrzyście, w czem Vitellion jest bezwarunkowo wyższy od Alhazena.

Autor od początku do końca nie spuszcza z oka celu, jaki sobie wykreślił. Nigdzie nie zbacza z wytkniętej drogi. Nie lata w sferze hipotez, ani ucieka się do recept alchemiczno-magicznych, ale opowiada z powagą, godną badacza, który usiłuje wyświetlić zjawiska.

Pierwszy to mistrz i konstruktor optyki, jako nauki. Przez trzy wieki z górą wychowywał w Europie swoim wpływem pokolenia przyrodników, stanowił pomost, łączący świat klasyczny z dociekaniem nowoczesnem.

Dzieło jego, będące ongi w ogromnem u uczonych poważaniu, potem wyszydzone i wzgardzone, spoczywa obecnie zapomniane na półkach biblioteki, a jednak jakież w swoim czasie oddało zasługi nauce. Smutna to zresztą historya, lubo się ciągle powtarza, o starym nauczycielu, co wychowawszy szereg pokoleń, dogorywa w zapomnieniu i nędzy...

Z drugiego dzieła Vitelliona «De ordine entium», możemy powziąć wyobrażenie o stanie filozofii w okresie piastowskim. Pojęcia filozofii średniowiecznej nie przekraczały ciasnych szrank metafiizyki scholastycznej. Myśl uwijała się nieustannie w terenie kategoryj teologicznych i gramatycznych. Dopiero św. Tomasz, wskrzesiwszy arystotelizm i nadając mu formę chrześcijańską, zwrócił umysły badawcze w kierunku dochodzenia przyczyn poznania i rozwoju życia. Neoplatonizm pole to jeszcze rozszerzył, dodając pojęcia ideału umysłowego i moralnego, wykazując olbrzymie jego na świat cały oddziaływanie. Oba te prądy filozoficzne: arystotelizm, który wniósł pojęcie o ruchu i platonizm, nad ludzkością otwierający błękitną kopułę

ideału, ożywiły czynność umysłową XIII. wieku, która przedstawia się względnie wspaniale, jeżeli porównamy z nią jałowość okresu poprzedniego, lub wąską, aczkolwiek subtelną dyalektykę wieków późniejszych.

Na tem tle ożywienia metafizyki przedstawiają się filozoficzne pojęcia Vitelliona, którego traktat o porządku istnień i umysłów stanowi linię graniczną metafizyki w Polsce XIII. stulecia.

Autor dzieła «De intelligentia» nie podpisał się ani na karcie tytułowej, ani też nie dał o sobie wzmianki w tekście. Nie było to zresztą zwyczajem wieków średnich. Literatura i nauka uważane były powszechnie za ołtarze, do których zbliżać się mogą ci, co są zdolni skupienia i oddania się porywom boskim. Drobne ambicyjki, jak to dziś ma miejsce, nie plamiły jeszcze świętych przybytków. O autorstwie atoli Vitelliona świadczy pokrewieństwo poglądów, złożonych w tem piśmie i w dziele wyżej omawianem.

Teorya poznania zajmuje się w pierwszym rzędzie wykazaniem stosunku, zachodzącego między światem wewnętrznym a przedmiotem poznawania. Perypetycy scholastyczni idąc w ślad za swoim mistrzem Arystotelesem, to jedynie uważali za dostępne poznaniu, co nadaje kształt i formę. Materyę zgoła odsądzono od możliwości poznania. Neoplatonicy chrześcijańscy sądzili, że przedmiot poznania jest natury duchowej, to jest samą formą, jak duch poznający. Uważali wszakże, że istnieją różne stopnie i sposoby poznania, «doskonałe» zaś poznanie złożone jest jedynie w umyśle Boga. Traktat Vitelliona «O duchu czystym» («De intelligentia») należy do tej samej kategoryi myślenia, a najlepiej poznać i zrozumieć go można na tle neoplatońskich pojęć o źródle i doskonałości wiedzy. Rozprawa Vitelliona rozpada się właściwie na trzy części. Pierwsza bierze sobie za podstawową zasadę najpierwotniejszą wszechrzeczy przyczynę, której dzisiejsza filozofia nie uznaje. Dowodzi jej Vitellion e contrario: gdyby łańcuch przyczyn był nieskończonym, nie byłoby wcale przyczynowości.

Określenie tej pierwszej przyczyny, jak w ogóle całe rozumowanie i metoda autora, zdradza wyraźny wpływ tak zwanej elementacyi Proklusa.

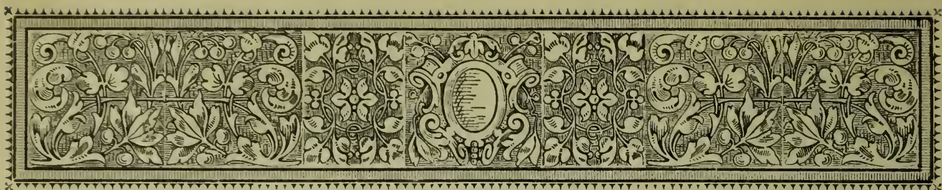
W drugiej części bierze sobie Vitellion za zadanie udowodnić, że skutki i własności światła fizycznego odpowiadają pojęciu pierwszej przyczyny wszechrzeczy. Nie rozumie oczywiście światła, jako pewnego ukształtowania się ruchu, widzi w niem natomiast naturę duchową i wiąże z tą potęgą, która tworzy każde poznanie, wszechwiedzę, bóstwo. Opiera się tu autor na dociekaniach św. Augustyna, który uważa bóstwo za światło, w dosłownem słowa znaczeniu. W dzisiejszej filozofii podobnego wyprowadzania rzeczy dostępnych poznaniu z mniej dostępnych niema. Przeciwnie w wiekach średnich; szermowano ideami, które w żaden sposób nie mogły być objaśnione rozumem, czego dowodem Dante. Dopiero, kiedy umysł ludzki zstąpił z mglistych wyżyn abstrakcyi na niziny dochodzenia pozytywnego, zaprzestano owych wycieczek w zaczarowane koła dowolnych wyobrażeń i pojęć. Filozofia próbowała zaczerpnąć światła ze sfery przyrodniczej. W drugiej części usiłuje autor rozwiązać kwestyę współdziałania światła i ciepła przy powstaniu życia. Jaką odgrywają rolę w ekonomii potrzeb naszej organizacyi? i t. p. Pojęcie jego o cieple bardzo jest podobne do naszego; wyobraża je sobie, jako ruch drobnych cząstek. Mniej szczęśliwie udają mu się wnioskowania, wyprowadzone ze szczególnego objawu co do oddziaływania wzajemnego sił w świecie. Czyni wrażenie przyrodnika, który pojęcia oderwane pragnie przełożyć na język doświadczeń. Przenosi bezwiednie rozumowania swe na

zjawiska zewnętrzne. Tłumaczy nam, dlaczego ówczesny rozwój wiedzy ograniczyć się musiał zakresem stosunków społecznych. Myśl ludzka w tej szkole wyćwiczona, dojrzała do następnego okresu, który wypełni i przyrodniczą dziedzinę. Badacz średniowieczny, czytający w sercach cudzych, na podstawie poruszeń własnego, nie popadł w błąd tak gruby, jak przyrodnik, biorący kolor lub woń za własność ciał.

W trzeciej części autor, wierzący w skalę istot coraz doskonalszych, przechodzi po porządku różne stopnie, począwszy od najdoskonalszego, złożonego w stwórcy, a skończywszy na mechanicznem odbiciu światła na zwierciadłach. Poczem obracamy się już w kole zaciekań, nie mających nic wspólnego z poznaniem. Zamiast sądów trzeźwych, napotykamy co chwila błędne ogniki, sprowadzające czytelnika z prostej drogi. Można atoli usprawiedliwić autora stopniem ówczesnej wiedzy. Arabska spekulacya (Avizenna) szerzyła naukę o drabinie hierarchicznej istot duchowych od stworzenia do stwórcy i inne niedostępne umysłowi pojęcia. Vittellion nie poznał był jeszcze zasad św. Tomasza, który głosił, że poznawać możemy albo przez zmysły, albo w drodze łaski bożej. W trzeciej bowiem części XIII. wieku, kiedy Vitellion pisał swój traktat, nauka ta jeszcze nie była znaną; dopiero zakon Dominikański uznał ją za oficyalną.

Owe metafizyczne pewniki Vitelliona o źródle wiedzy, o pierwszej prawdzie i tym podobne wyobrażenia owiane są pewną poezyą. Był to bowiem wiek w zakresie filozofii młodzieńczy, pełen zachwytu dla objawów myśli; jeszcze go późniejsza jałowa dyalektyka nie zasypała ubezwładniającym mułem. Umysł ludzki jeszcze był wówczas nie przewidział krętych ścieżek, jakim pójdzie myśl ludzka, oderwana od gruntu rzeczywistości. Żywił pełną wiarę w nieograniczoną siłę rozumu, w zbawienny wpływ owoców, zerwanych z drzewa poznania dla moralnego rozwoju rodzaju ludzkiego. Z tej wiary wychodząc, widzi Vitellion w każdym objawie myśli ludzkiej odbicie boskiej doskonałości. Były to, że przytoczymy zdanie pewnego badacza, «śmiałe analogie ducha wierzącego, a nie wyniki krytyki». Ludzie byli wówczas optymistami i umieli dopatrzeć piękna duchowego nawet na najniższych szczeblach bytu. Wiara w prawdę zapalała umysły i serca — prowadziła powoli na szeroki gościniec poznania przyrody i ducha ludzkiego.

Koniec rozdziału XI.



ŹRÓDŁA.

Podaję tu w alfabetycznym porządku spis dzieł i rozpraw, z których w tomie niniejszym korzystałem.

Abraham Wł. Org. koś. w Pol. II. wyd. 1893.
— Zjazd łęcz. w r. 1180. Kwart. hist. 1889.
— Pierwszy spór kościel.-polit. Rozprawy akad. umiej. Tom VII. 1895.
— Exhortatio visit. Synod. Script. rerum Polonicarum. Tom XIII. 1889.
Al-Bekri przekł. W. Łebińskiego «O Słowianach» w Roczn. Tow. nauk pozn. T. XV.
Archiwum do dziejów liter. i ośw. w Polsce. Pam. Zjazdu im. Kochanowskiego. 1886.
Balzer O. Genealogia Piastów. 1895.
— Corpus iuris Pol. Kwart. hist. 1891.
— Studya nad prawem polskiem. 1889.
Bartoszewicz J. Historya liter. pol. 1877. T. I.
Bętkowski N. Boga Rodzica. 1869.
Bielowski A. Monumenta Poloniae. I—III.
— Wstęp kryt. do dziejów Polski. 1850.
Biernacki C. Podobizna pisma św. Wojciecha w Bibliotece warszawskiej. 1875. T. III.
Bilczewski J. ks. Geneza i historya symbolu apostol. Przegląd powwszechny. 1894.
Bobowski M Polskie pieśni katolickie. Rozprawy akad. umiej. 1893.
Bobrzyński, Piekosiński, Smolka. Powst. społ. polsk. Rozprawy akad. umiej. 1879.
Bobrzyński M. Prawo polskie w XIII. w. Bibl. warsz. 1875.
— Dzieje Polski. Tom I. Warszawa. 1880.
Bogusławski Wł. Dzieje słowiańszczyzny. Tom I. 1889. Tom. IV. 1890.
Brückner A. Źródła do dziejów lit. i ośw. polskiej. Bibl. warsz. 1892.
— Gamrat. Archiv für slav. Philologie 1892.
— i Hube R. Zbiór rot przysiąg sądowych z końca XIV. i pierw. lat w. XV. 1888.
— Drobne zabytki jęz. pol. XV. w. Spraw. z czyn. pos. akad. umiej. 1896.
— Kazania średniowieczne. Rozpr. akad. umiej. filolog. 1895.
— Mythologische Studien w «Archiv für slavische philologie». 1892.
— Studya do dziej. lit. Rozpr. akad. um. 1885 i Bibl. warsz. 1891—2.
— Kazania świętokrzyskie. Prace fil. 1891.
— Polonica. Archiv für slav. Philolog. 1893.
Bugiel Wł. Tło lud. Balladyny w «Wiśle». 1895.
Buliński Melchior x. Hist. kośc. pol. T. I. Epoka piast. 1873.
Ciszewski St. Lud w pow. olkuskim w Zbiorze antropol. XI. 3.
Dunin K. Dawne mazowieckie prawo. 1880.
Eliasz W. Ubiory w Polsce. 1891.
Erzepki B. dr. Der Text der Gnesener Predikten, kritisch beleuchtet. 1888.
Fijałek J. ks. Średn. ustawod. synod. bisk. pol. Wyd. akad. umiej. 1893. T. I.
Gacki Ks. Jedlnia. Radom. 1874.
Gloger Z. Zabobony, w Zbiorze antrop. 1877.
— Nazwy weselne, w Zbiorze wiad. do antropol. 1877.
Gluziński J. w Archiw. dom. Wójcickiego 1856.
Gołębiowski L. Gry i zabawy. 1831.
Grabowski A. Starożyt. wiad. o Krak. 1852.
Grabowski B. Zadruga Słow. «Wisła». 1890.
Grajnert J. O drzewach pod. Tyg. ill. 1864.
— Studya nad pod. ludu naszego w Bibl. warsz. 1859.
Gromnicki Tad. x. Synody prow. oraz czyn. niektórych funkc. apost. w Polsce do r. 1357. Kraków. 1885.
Gumplowicz Z. O przywil. Bolesl. z r. 1264 i o praw. Kaz. W. z r. 1356. Dz. lit. 1860.
Hanusz J w Arch. do dziej. lit. i ośw. w Pol. Wyd. akad. umiej. 1886.
Helcel A. Z. Star. prawa pol. pomn. 1870.
Hoffman Karol. O najdawn. grob. król. pol. Rocznik Tow. przyj. nauk. 1872.
Horbut G. Wyrazy niem. w jęz. pol. Prace filologiczne. 1893.
Hube R. Wróżda, wróżba i pokora. Aten. 1884.
— Prawo polskie w w. XIII. 1874.
— Ustawod. Kazim. W. 1881.
— Dwa rękop. zbioru średn. praw kośc., gnieźn. i krak. Bibl. warsz. 1885.
— Prawo polskie w w. XIV. 1886.
— Roty przysiąg krak. Bibl. warsz. 1874.
Jastrzębowski St. Pamięć o zmarł. w «Wiśle».
Kalina A. Hist. jęz. pol. Lwów. 1883.
— Rozb. kryt. pieśni «Bogarodzica». 1880.
Kalinka C. R. X. Męczeń. św. Stanisł. 1879.
Karbowiak Ant. Szkoły paraf. w Pol. w XIII. i XIV. w. w Roz. wydz. filol. ak. um. 1896.
— Ubiory prof. i uczniów w uniw. Jagiell. Przegląd pow. 1889.
Karłowicz J. Imiona wł. osób i miejsc. Pam. fizyogr. 1885. Tom V.

Karłowicz J. Wisła. 1888 II. 1892 VI.
— Chata polska w Pam. fizyogr. 1889.
— Ślady wieku kam. w zwyczaj. i zabob. Tyg. pow. 1881.
Karwowski S. Ein Brief der Herz. Mathilde v. Oberloth. an Mieczysław II. Progr. der kön. kath. Gymn. zu Sagan. 1881/2.
— Św. Brunon z Kwerfurtu. 1891.
Kawczyński M. O początkach poezyi polsk. Kwart. hist. 1889.
— O rytmice. Pam. akad. umiej. 1887.
Kętrzyński W. O nieznanej epopei XV. w. Lwów. 1887.
— «Vita quinque fratrum». Mon. Pol. 1893.
— Żywot i cuda Kingi. Mon. Pol. V.
— Fontes olivenses. Mon. Pol. III.
— O kronice wielkopolskiej. 1896.
— O kronice węgiersko-polskiej. 1897.
— O rocznikach. (Trzy ost. odbicia z Rozpraw akad. umiej.). 1897.
— W Przew. n. i lit. 1886 XIV. i 1890 XVIII.
— O kronice wielkopolskiej. Biulet. akad. krak. wyd. histor.-filolog. 1895.
Kirkor A. H. O znaczeniu zabytków pierw. Przegl. archeolog. 1876.
Kolberg O. Lud I.—XXIII.
— Mazowsze I.—IV.
— Pieśni ludu polskiego.
Komarnicki Z. Kronika Marcina Galla. 1873.
Korytkowski J. ks. Prał. i kan. kat. gniezn. 1883.
— Arcybiskupi gnieźn. 1888.
— Katal. arcyb. gn. Prz. bibl.-arch. 1882.
Kryński A. A. Z dziej. jęz. pol. Aten. 1879.
Krzywicki L. Kurpie, w Bibl. warsz. 1892.
Krzyżanowski S. Początki. dyplom. polskiej. Kwart. hist. 1892.
Księga ziemi czerskiej 1404—1425. 1879.
Leciejewski J. Die Sprache des Flor. Psalters. Archiv für slav. Philolog. 1882.
Lekszycki J. v. Die ältesten grosspolnischen Grodbücher. 1887.
Lepszy Leonard. Inkrustacya, ustęp z dziej. złotn. i szabli. Spr. kom. szt. ak. um. 1896.
— Studya nad ornam. kodeks. min. pol. w wyd.: «Przemysł artyst.» 1896.
Lewis H. Morgan. Społeczeństwo pierwotne, przekł. A. Bąkowskiej. 1887.
Łoś J. O literaturze lud. Wisła. 1894.
— O samogł. dług. w jęz. pol. Prace filol.
Łukaszewicz J. Obraz m. Poznania. 1838.
Łukowski ks. Rzekomy kodeks św. Wojciecha i t. zw. dekretały pseudo-Izydora. Rocznik Tow. przyj. nauk. 1881.
Łuszczkiewicz Wł. Pion. got. w Pol. Aten. 1882.
— W Spraw. kom. do hist. sztuki. 1891.
— Kośc. i rzeźby Dunin. w Strzelnie na Kujawach. Pamiętn. akad. um. 1876.
— Architek. w Wąchocku. Kośc. i reszty cyst. klaszt. Spr. kom. do bad. szt. 1892.
— Opactwo cyst. w Sulejowie z XIII. w. w Spraw. kom. szt. akad. um. 1879.
— Zabytki sztuk piękn. Krakowa. 1872.
— Kościół kolegiacki łęcz. we wsi Tumie z XII. w. Spr. kom. do bad. szt. 1879.
Łuszczkiewicz Wł. Kośc. i reszty klaszt. cyst. Spr. kom. do bad. hist. sztuki w Pol. 1884.
— W Spr. kom. do bad. szt. ak. um. 1896.
— Kośc. koleg. św. Marcina w Opatowie. Spraw. kom. sztuki. 1897.
M. K. O religii pogańskich Słowian. 1894.
Maciejowski W. A. Piśmiennictwo pol. 1852.
Maçoudi. Les prairies d' or. Texte et traduction per C. Barbier de Meynard M. L. XVII. Société Asiatique: Collection d' ouvrages orientaux. Paris. 1865.
Małecki A. Wewnętrzny ustrój w pierw. Pol. Przew. nauk. i lit. 1875.
— Klaszt. i zak. w Pol. Przew. n. i lit. 1875.
— Kronika Baszka. Bibl. warsz. 1894.
— Ludność wolna. Kwart. hist. 1894.
Małkowski K. Przegl. najd. pom. jęz. pol. 1872.
Marasieński Stefan. Obrzęd ludowy w «Wędrowcu». 1881. Nr. 235.
Martynowski F. H. Na przełomie sztuki pol. Przegląd bibliogr.-archeol.
Mátyás K. Podania z Szczepanowa. Przegl. powsz. 1895.
Mecherzyński K. Hist. jęz. łac. w Pol. 1833.
Mierzyński Ant. Nuncius cum baculo, stud. archeol. o krywuli. 1895.
Milkuszyc S. Piotrowin. Tyg. illustr. 1869.
Monumenta Poloniae I.—III. pod redakcyą Bielowskiego, następne Kętrzyńskiego.
Morawski Szczęsny. Sądeczyzna. I.
Narbutt T. Pomniejsze pisma hist. 1856.
Nehring Wł. O psałterzu floryańskim. 1871.
— Pieśń Bogarodzica. Stud. lit. 1884.
— Über die Namen für Polen und Lechen. Jagić: Archiv. für slav. Philol. 1879.
— Beiträge. Archiv für slav. Phil. 1893.
— Kazania gnieźn. tekst, glosy. Biuletyn akad. umiej. wyd. filolog. 1895.
Pamiątki hist. kraj. Warszawa. 1848.
Panlisch Z. Rozbiór gram. kazań świętokrz. Biulet. akad. umiej. wyd. filolog. 1893.
Papée Fr. Liber frater. Lubin. Mon. Pol. V.
Pawiński A. O pojednaniu w zabójstwie. 1884.
Pelczar J. Zarys dziej. kazn. w kośc. katol. Część II. Kaznodzieje polscy. 1896.
Petrow A. Lud ziemi dobrzyńskiej. Zbiór wiad. antropol. 1878.
Piekosiński Fr. W sprawie grzywien karnych. Kwart. hist. 1894.
— O monecie i stopie menniczej w Pol. w XIV. i XV. w. 1878.
— Wiad. numizmat.-archeol. 1890.
— Słowo o statut. Kazimierza W. Biulet. akad. umiej 1895.
— Uwagi nad ustawodawstwem wiślicko-piotrkowskiem Kazimierza W. 1891.
— O ludności wiejskiej w dobie Piastow. Biulet. Rozpr. wyd. histor.-filoz. 1896.
— i E. Diehl. Pieczęcie pol. wiek. średn. w Spraw. kom. szt. akad. umiej. 1897.
— O pradynastyach szlachty pol. w Rozpr. wyd. histor.-filoz. akad. krak. 1896.
— Obrona hipotezy najazdu w Rozpr. wyd. histor.-filoz. akad. krak. 1883.

Piekosiński Fr. Ludność wieśniacza w Polsce, w dobie Piastowskiej. 1896.
Piłat R. Pieśń Boga-Rodz. Pam. ak. um. 1880.
Pleszczyński A. ks. Koza. Wisła. 1890.
Pol Wincenty. Obrazy z życia i natury.
Polkowski Ign. ks. Katal. rękop. kapit. 1884.
— Napisy z XIV. w. w kośc. św. Jakóba w Toruniu.
— Słów kilka o księdze ew. Bibl. w. 1876.
— Katedra gnieźnieńska. 1874.
— Grób i trumna św. Stanisława. Stud. archeol.-hist. 1885.
Potthast A. Bibliotheca hist. medii aevi. 1896.
Potkański K. Postrzyżyny u Słowian. Rozpr. akad. umiej. histor.-filoz. Ser. II. 1895.
— Wiersz nagrob. Bolesława Chr. w Spr. z czyn. i pos. akad. umiej. 1896.
Przeździecki A. i Rastawiecki E. Wzory szt. średn. w dawnej Polsce. 1853.
Przeździecki Al. Ślady Bolesławów polskich po obcych krajach. 1853.
Rawita Fr. O chacie. Wisła. 1890.
Roeppel Ryszard. Dzieje Polski do XIV. w. przekł. K. Przyborowskiego. 1879.
Rosner Ign. Kron. węg.-pol. Rocz. filar. 1886.
Rostafiński J. Polska z czasów przedh. pod wzgl. fiz. i gosp. R. zarz. ak. um. 1886. Rozpr. akad. umiej. wyd. filolog. i hist. filoz.
Rubczyński Witold. Traktat o porządku istnień i umysł., w Roz. ak. um. wydz. hist. fil.
Ruch Muzyczny. Warszawa. 1860. Tom IV.
Rymarkiewicz J. Pieśń Boga Rodzica. Rocz. Tow. przyj. nauk poznańsk. 1878.
Sallet. Schles. Vorzeit im Wort u. Bild. 1885.
Semkowicz Al. Kryt. rozbiór dziejów polsk. Jana Długosza. 1887,
Siarkowski Wł. ks. Mater. do etn. ludu pol. w Zbiorze wiad. do antrop. 1879.
Smolka St. Mieszko Stary i jego wiek. 1881.
— Trad. o Kazimierzu Mnichu w Rozpr. i spraw. akad. um. hist.-filoz. 1877.
— Przegląd kryt. historyografii w Przew. nauk i liter. 1873.
Sokołowski Maryan. Ruiny na ostrowie jez. Lednicy. Stud. nad budown. z przedchrz. i pierw. w. chrześc. Pam. akad. um. 1876.
— Rzeźba z kości słon. XII. w. w Spraw. kom. do bad. sztuki w Polsce. 1895.
— Miniatury włoskie bibl. Jagiell. Spraw. kom. akad. umiej. do sztuki.
Stronczyński K. Legenda obrazowa o św. Jadwidze, księżnie śląs. Ak. um. 1880.
— W odpowiedzi A. Moszyńskiemu. Przegl. bibliogr.-archeol. 1881.
— Pom. ks. Piastów, lenn. d. Pol. w piecz., budow., grob. i innych starożyt. 1888.
— Dawny grob. Bolesława Chr. w Pozn. Bibl. warsz. 1887.
Stefczyk Fr. Upadek Bolesł. Śm. At. 1885.
Surzymski J. ks. Pol. pieś. kośc. kat. 1891.
Swistun F. Uwagi do pierw. księgi kroniki Wincentego w Spr. gim. rzesz. za r. 1887.
Szajnocha K. Bolesław Chr. i odrodzenie się Polski za Wład. Łokietka. 1859.
— Miorsz czyli Dzierzwa. Dz. liter. 1857.
— Szkice hist. Tom I. 1881.
Szujski Józef. Z dziejów uniw. krak. 1886.
— Dzieła. Ser. II. Tom VIII. 1888. Dzieje oświaty w Polsce przed Kazimierzem W.
— Dzieła. T. II. Hist. wędrówka po Krak.
— Dzieła. Serya II. Tom VII.
— Rzut oka na stan. Pol. Dzieła. S. II. T. V.
Tygodnik illustrowany. 1861. IV. 191.
Tylor. Antropol. przekł. A. Bąkowskiej. 1890.
Ulanowski B. Kilka uwag o stat. syn. dyec. z XIV. i XV. w. Arch. kom. hist. 1889.
— O pracach przygotow. do hist. prawa kanon. w Polsce. 1887.
— Antiq. libri iudic. terrae Cracov. 1884-6.
— Kilka słów o małżon. Przemysława II. w Rozpr. akad. um. wyd. hist.-filoz. 1884.
— Wnuk Mieszka Starego. Aten. 1884.
— Examen testium super vita Beguinarum. Arch. kom. hist. 1889. T. V.
— Mikołaj z Błonia, kan. polski. Rozpr. i spraw. wydz. hist.-filoz. akad. um. 1888.
Ulanowska St. Boże Narodz. Wisła. 1888.
Wędrowiec. 1888. Nr. 9. Str. 100—101.
Weigel J. dr. Hist. medyc. w w. śred. 1895.
Windakiewicz St. Znaczenie szkół i uniw. dla ośw. i liter. łac. w Polsce. W Pam. zjazdu hist. 1892. T. I.
— Bolonia w «Przeglądzie polskim». 1889.
Winiarz A. Sądy Boże w Polsce. 1891.
— Prawo dziedziczenia kobiet w wiekach średnich. Kwart. hist. 1896. IV.
Wiszniewski M. Hist. lit. pol. 1840. T. I. i nast.
Witort Jan. Podarek poran. w «Wiśle». 1892.
Wituski L. O życiu i dziele opt. Vitellona. 1870.
Wojciechowski T. O Kazim. Mnichu. Pam. akad. umiej. 1885. Tom V.
— O roczn. pol. Pam. akad. um. 1880 T. IV.
— O Piaście i piaście. Wyd. ak. um. 1895.
Wolski Z. i Dowgird T. Pisanki w «Wiśle». 1889.
Zakrzewski Ign. Wspóln. rodowe, tworzenie się herbów i nazw famil. Rocz. Tow. przyj. nauk. 1876. IX. 41.
Załęski St. Św. Kinga i jej wiek. Przegląd lwowski. 1882. Nr. 23.
Zanowicz A. Słówko o zadan. numizmatyki. Przegląd bibliogr.-archeol. 1882.
Zawiliński R. Kwestya run słow. ze stan. lingwist. 1883.
— Wyjątki z pomn. jęz. pol. 1892.
Zbiór wiad. antrop. kraj. Wyd. akad. um. w Krakowie. Tom I.—XV.
Zeissberg H. Dziejop. pol. w. śred. 1877. I.-II.
Żebrawski Teofil. O pieczęciach dawnej Polski i Litwy. 1865.
Żmichowski M. Swastyka w «Wiśle» i osobno.
Znamirowski Ign. O ile zaprawiał swoją łacinę na pism. Sallustego kronikarz Gallem zwany, w Spraw. dyrek. gimn. św. Jacka w Krakowie. 1876.

Koniec pierwszego tomu.




UTL AT DOWNSVIEW
D RANGE BAY SHLF POS ITEM C
39 14 20 22 08 009 2